

IZABELA  
**JANISZEWSKA**

*LUDZIE  
Z MGŁY*

NIE KAŻDY, KTO ZBŁĄDZIŁ WE MGLE,  
ODNAJDZIE DROGĘ DO DOMU.



**LUDZIE  
Z MGŁY**



IZABELA  
**JANISZEWSKA**

*LUDZIE  
Z MGŁY*





Copyright © Izabela Janiszewska, 2023

Copyright © Wydawnictwo Poznańskie sp. z o.o., 2023

Redaktorki prowadzące: Monika Długa, Joanna Zalewska

Marketing i promocja: Marta Kujawa

Redakcja: Karolina Borowiec-Pieniak

Korekta: Marta Akuszevska, Joanna Pawłowska

Projekt typograficzny, skład i łamanie: Stanisław Tuchołka | panbook.pl

Projekt okładki i stron tytułowych: Tomasz Majewski

Fotografie na okładce: Mimi van Praagh | Getty Images, Nikola Pavkovic |

Getty Images, Dave Hoefler | Unsplash

Zdjęcie autorki: © Marta Machej

Konwersja publikacji do wersji elektronicznej: Dariusz Nowacki

Zezwalamy na udostępnianie okładki książki w internecie.

eISBN 978-83-67616-62-1

**CZWARTA STRONA**

Grupa Wydawnictwa Poznańskiego sp. z o.o.

ul. Fredry 8, 61-701 Poznań

tel.: 61 853-99-10

redakcja@czwartastrona.pl

www.czwartastrona.pl



*Tym, którzy zgubili się we mgle.  
By odnaleźli drogę do domu.*





## Dwa miesiące wcześniej

Niedziela, 24 lutego 2019 roku, Sinice

Niedzielny ranek okrywał mleczny całun. Świat trwał w letargu, a zimna mgła osiadała na asfalcie w postaci warstewki lodu. Mieszkańcy sąsiednich domów zdawali się jeszcze spać i tylko mdły poblask lamp w ich oknach oraz wstążki dymu wydobywające się z kominów świadczyły o tym, że oni również rozpoczęli nowy dzień.

Z piętrowego budynku na wzniesieniu wyszła kobieta w niebieskiej kurtce i kapturze głęboko nasuniętym na głowę. Jasne pasma włosów wymykały się z ukrycia i wirowały wokół twarzy, poruszone delikatnymi podmuchami wiatru. Kiedy kobieta dotknęła klamki w furtce, poczuła przejmujący chłód. Przystanęła na ułamek sekundy. Ostre powietrze wdzierало się przez rozchylone usta aż do płuc, dźgając je setkami drobnych igiełek. Zwilżyła językiem wargi, po czym zerknęła przez ramię w okno na piętrze.

Coś w jej wnętrzu ścisnęło się, wywołując na twarzy grymas niepokoju. Oddech przyspieszył, krew zaczęła szybciej krążyć w żyłach. Firanka, na którą spojrzała, drgnęła, a postać ukryta za woalem kiwnęła głową, jakby zachęcała kobietę do dalszej wędrówki.

Nabrała tchu i ruszyła przed siebie, a echo szczęku metalowej bramki, która zatrzasnęła się za jej plecami, zmąciło panującą ciszę.

Kobieta minęła drewniany dom, pomalowany zieloną farbą, i chwilę później przykucnęła obok bramy wjazdowej prowadzącej na zagracone podwórko. Na wyłysiałym trawniku poniewierały się psie zabawki. Poszarpane pluszaki i gumowy kurczak z odgryzioną nogą. Odwróciła wzrok od tego pobojuwiska, by zawiązać sznurówkę, a wtedy z budy wyskoczyły dwa zaniedbane kundle. Na widok intruza przy swojej posesji zaczęły głośno ujadać. Podbiegły do bramy, szczerząc kły i nerwowo podskakując.

– No dalej – syknęła, jakby się z nimi drażniła.

Ruchy kobiety stały się gorączkowe. Sznurówka jak na złość wymykała się jej rozedrganym palcom. Nagle drzwi domu skrzypnęły i wyjrzała zza nich głowa zwabionego hałasami mężczyzny z papierosem w ustach.

– Dzień dobry – mruknął, zbadawszy wzrokiem otoczenie, na co kobieta odpowiedziała nieśmiałym skinieniem. – Do budy! – zawołał jeszcze w stronę rozszczekanych psów, strzepując popiół na ganek, po czym odwrócił się i zniknął we wnętrzu budynku.

Kobieta otarła wilgoć znad górnej wargi, pospiesznie wetknęła w uszy słuchawki i uruchomiła ostatnio odtwarzaną playlistę. Byle nie myśleć, byle zagłuszyć pęczniejący w trzewiach strach. Pod kaptur kurtki wpłynęły dźwięki gitary, a po nich słowa piosenki, w której refrenie wokalista śpiewał „Oh, baby, baby, it’s a wild world”, ostrzegając przed złem będącym częścią tego świata. Dłonie kobiety zacisnęły się w pięści. Ukryła je w kieszeniach, wbijając spojrzenie w pozdzierane czubki czarnych traperów, po czym skręciła w stronę mostu tonącego we mgle.

Kładka sprawiała wrażenie zawieszanej w nicości. Kobieta przystanąła, patrząc w biel, jakby rozważała jeszcze obranie innej drogi. Wciągnęła w nozdrza mokre powietrze i podjęła decyzję. Wykonała nieśmiały krok, a po nim następny i kolejny. Wchodząc

w obejmującą ją ciasno wilgoć, czuła, jakby wkraczała do innego świata. Takiego, do którego musi się udać i z którego nie będzie już powrotu. Jej sylwetka powoli zatapiała się w ulotnej bieli, aż wreszcie zniknęła całkowicie.

Staruszka oparta na poduszce w oknie drewnianej chaty nieopodal mostu przeżegnała się na ten widok. Naznaczoną bruzdami twarz ściągnęła trwoga, a jej pomarszczone dłonie zaczęły drżeć. Chwyliła za różaniec. Z wąskich, zapadających się warg wypłynęły słowa modlitwy.

– Ojcie nasz... – szepnęła, po czym urwała nagle z powodu łoskotu za jej plecami.

Zmęczone życiem serce zaczęło galopować w piersi, a płuca przeszły bolesne ukłucie. Odwróciła się niepewnie, dostrzegając na podłodze kalendarz, który wcześniej wisiał na ścianie. Gwałtownie wciągnęła powietrze, kładąc dłoń na otwartych ustach. Plastikowe okienko służące do oznaczania aktualnej daty pękło, jakby czas miał się zatrzymać tego dnia. Staruszka uniosła rękę, by ponownie wykonać znak krzyża, ale nie zdążyła, ponieważ ból za mostkiem powrócił.

Ostatkiem sił próbowała chwycić się parapetu, ale fala duszności, która ją dopadła, powaliła kobietę na wydeptane linoleum. Nim straciła przytomność, pomyślała, że powinna kogoś powiadomić o postaci znikającej we mgle. Bo choć niewielu rzeczy w życiu była pewna, to wiedziała, że ci, których nakrył mleczny całun, nie wracali już nigdy.

\*

– Dochodzi siódma. O tej godzinie powinna się już zbierać na pociąg. – Bogdan Jarosz przeniósł zaniepokojony wzrok z zegarka

na srebrnej bransolecie na żonę.

Oboje przemierzali pokój nerwowym krokiem. Urszula co jakiś czas przysiadła na kanapie, ściskając w palcach frędzle narzuty, po czym wstawała, jakby miejsce, którego dotknęła jej skóra, parzyło. Na powrót ruszała w swoją pielgrzymkę prowadzącą z salonu przez jadalnię aż do kuchni. Tam wstawiała w czajniku wodę, o której wkrótce zapominała. Wpatrzona w przestrzeń za oknem, z nieobecny wzrokiem odpływała na jakiś obcy, nieznany brzeg. Była tu i jednocześnie nie istniała nigdzie. Jedynie odgłosy przychodzących na telefon wiadomości przyzywały ją do świata żyjących. Biegła wtedy po komórkę, lecz po chwili odkładała ją na ławę z rozczarowaniem malującym się na poszarzałej twarzy.

Bogdan wędrował niespokojnie wzdłuż okien wychodzących na drogę. Wydawało mu się, że tykanie zegara dochodzące z korytarza staje się głośniejsze z każdą kolejną sekundą i lada moment rozsadzi mu bębenki. Podeszwy jego kapci miarowo uderzały o drewniany parkiet, a deski pod stopami skrzypiały. Każdy z tych dźwięków drażnił Jarosza. Lekarz w napięciu wbijał paznokcie we wnętrza dłoni. W końcu przystanął, oparł łokcie na parapecie i objął czoło zimnymi palcami. Obraz za szybą nie przestawał wirować, dlatego mężczyzna zacisnął mocno powieki, by uspokoić świat rozszalały jak ocean i powstrzymać napływające mdłości.

– Zadzwoń do niej jeszcze raz – rzucił, obrywając uschnięty liść fikusa.

Urszula, która właśnie przesuwiała opuszką palca kryształki cukru rozsypane na blacie w kuchni, nawet nie drgnęła. Pograżona w apatii garbiła się, jej ramiona opadły, a drobna sylwetka sprawiała wrażenie bardziej kruchej niż zwykle.

– Słyszysz, co mówię? – powtórzył Bogdan, kładąc komórkę przed żoną. – Musisz do niej zadzwonić.

– Próbowałam już kilka razy. Wiesz przecież, że ma wyłączony...

– Po prostu to zrób, do cholery! – przerwał jej stanowczym tonem, tak ostrym, że kobieta struchlała, a on natychmiast zrozumiał, że przesadził. – Przepraszam, to z nerwów – dodał pojednawczo.

– W porządku – szepnęła i wybrała numer Alicji.

Lekarz patrzył na żonę, która z telefonem przyciśniętym do ucha ruszyła w kierunku salonu. Krew szumiała mu w uszach i choć próbował się trzymać, bez trudu można było zauważyć, że cały dygocze. Poprawił mankiety białej koszuli wystające spod eleganckiego swetra, po czym wepchnął dłonie do kieszeni. Usiłował udawać człowieka, na którym takie sytuacje nie robią wrażenia. Kogoś, kto jest ponad to – choć wcale nie był i mówiła o tym każda komórka jego ciała. Drżące palce, przyspieszony oddech i poprzecinane czerwonymi żyłkami, pełne lęku oczy.

– A ty przestań grzebać w tym telefonie, tylko zrób coś! – ryknął na syna, który siedział wciśnięty w kąt ławy przy kuchennym stole.

Siedemnastoletni Kuba Jarosz instynktownie skulił się z przestraczem. Jego palce ciasniej objęły komórkę, nozdrza się rozszerzyły. Chłopak przełknął ślinę, a następnie posłał ojcu gniewne spojrzenie spod zmarszczonych brwi. Po chwili jednak odwrócił głowę, jakby nie mógł znieść widoku jego zasępionej twarzy.

– Rozmawiam ze znajomymi Ali na Facebooku – wytłumaczył, zerkając na ekran smartfona, który zawibrował w jego dłoni.

Bogdan machnął ręką, podchodząc do okna z widokiem na ogród. Mrok wieczoru rozpraszały żółte punkciki żarzących się lamp solarnych. Lekarz potarł gładko ogolone policzki i ponownie spojrzał na zegarek.

– Daruj sobie, mama już do nich dzwoniła – powiedział.

– Ale mamie nie zdradzili, że wczoraj wieczorem w Vegas Alicja poznała jakichś podejrzanych kolesi. – Znacząco uniósł brwi.

Ojciec przyspilił Kubę wzrokiem.

– Wiesz, kto to był? – zapytał.

Nastolatek pokręcił głową.

– Nikt ich nie kojarzy. Podobno nie są z Sinic. Siedzieli przy stoliku w swoim towarzystwie i dopiero później dołączyli do Alicji.

Doktor Jarosz zamyślił się, uderzając paznokciami o blat, a gdy jego żona wróciła do kuchni ze zmartwioną miną, która najwyraźniej oznaczała, że telefon córki nadal pozostawał wyłączony, oznajmił:

– Musimy iść z tym na policję. Nie ma jej już od wielu godzin. Trzeba zgłosić zaginięcie.

Młodszy brat dziewczyny przygryzł wargę i skinął ojcu głową, dając znać, że go popiera, jednak Urszula pobladła, zapadła się jeszcze bardziej w swoim wątlym ciele, a jej oczy zaszły wilgocią.

– Ale... – bąknęła, z całej siły powstrzymując napływające łzy. – Może jeszcze zaczekajmy? – Patrzyła z nadzieją to na męża, to na syna, jakby nie chciała zaakceptować, że najgorsze już się wydarzyło.

– Czekanie nic nie zmieni – odparł Bogdan. – Nasza córka zaginęła i musimy zacząć jej szukać. Wiesz o tym równie dobrze jak ja.

Żyły na skroniach kobiety pulsowały. Urszula przylgnęła do męża, otaczając jego ciało wiotkimi ramionami. Jej palce kurczowo ścisnęły sweter Jarosza.

– Boję się – wyszeptała, licząc na to, że w odpowiedzi usłyszy coś pocrzepiającego, ale z pobladłych ust Bogdana wypłynęło tylko ciche:

– Ja też.

\*

– Pan chyba nie rozumie. Ile razy mam powtarzać to samo? – Poirytowany Jarosz energicznie gestykulował.

Oboje z żoną siedzieli na niewygodnych plastikowych krzesłach Komendy Powiatowej Policji w Sinicach. W pomieszczeniu było gorąco i duszno, a spod parapetu wydobywało się irytujące syczenie grzejnika odkręconego na najwyższą temperaturę. Lekarz odciągnął od szyi czarny sweter, próbując złapać oddech. Powietrze pachniało mieszaniną woni taniej wody kolońskiej i odgrzewanej zupy. Zrobiło mu się słabo, czoło zrosiły krople potu. Przez moment miał ochotę wypić duszkiem wodę przyniesioną przez funkcjonariusza, ale powściągnął pragnienie i skupił uwagę na tym, po co tu przyszedł.

– Moja córka wyszła przed dziesiątą do kościoła – kontynuował. – Nie wróciła do domu na obiad, na który się umawialiśmy, ani tak, byśmy zdążyli odwieźć ją na pociąg do Warszawy, do której planowała dziś wrócić. Zostawiła walizkę i komputer. Ma wyłączony telefon, nikt nie wie, dokąd mogła pójść, a jej znajomi twierdzą, że wczoraj w pizzerii Vegas zaczepiali ją jacyś obcy mężczyźni. To dla pana mało?! – wyrzucił z siebie.

Komisarz Krzysztof Lipski uniósł dłonie w uspokajającym geście. Wyglądał na człowieka, który odbył wcześniej wiele podobnych rozmów. Na jego przystojnej, acz zmęczonej twarzy, którą znaczyły igielki świeżego zarostu, malował się zagadkowy wyraz. Doktor Jarosz odnalazł w nim niepokój podobny do tego, który trawił jego wnętrzności. Policjant podciągnął rękawy koszuli, odsłaniając silne ręce poprzecinane arteriami żył, a następnie nachylił się w stronę rozmówców.

– Mówię tylko, że minęło dopiero kilka godzin i powinni państwo spróbować nieco ochłonać. Dla własnego dobra. Jest młoda, mogła się z kimś spotkać, zagadać.

– Przecież tłumaczę...



– Nie skończyłem – uciął ostro policjant. – Za chwilę przyjmę zawiadomienie o zaginięciu. Wiem, że się państwo martwicie, to rozumiałe, ale wpadanie w panikę i wyobrażanie sobie najgorszego naprawdę w niczym nie pomogą. Jeśli chcecie odnaleźć córkę, musimy współpracować, a to będzie możliwe dopiero wtedy, gdy przestanie pan na mnie pokrzykiwać. Czy wyrażam się jasno?

Urszula Jarosz, która dotychczas ocierała łzy zmiętą chusteczką, zastygła z dłonią przyciśniętą do policzka i przytaknęła jak grzeczna uczennica przywołana do porządku. Jej mąż tymczasem popatrzył wyzywająco na komisarza, ale ostatecznie skapitulował. Nabrał tchu, po czym odchrząknął i zapytał:

– Dobrze, to co w takim razie mamy robić?

– Zaczniemy od daty i miejsca urodzenia Alicji – oznajmił Lipski, sięgając po kwestionariusz i długopis.

Zadawał kolejne pytania, a rodzice nastolatki na przemian udzielali informacji. Mówił głównie ojciec, ponieważ kobiecie głos coraz częściej wiązał w gardle. Wspominanie znamion i blizn na ciele córki sprawiało, że Urszula czuła, jakby coś ciężkiego rosnęło jej w piersi. Wspólnymi siłami opisali strój, jaki Alicja miała na sobie, wychodząc do kościoła: dżinsy, niebieską pikowaną kurtkę z kapturem i czarne, skórzane trapery.

– Wczoraj dostała od nas srebrny łańcuszek z otwieraną małą zawieszka w kształcie serca. – Matka dziewczyny instynktownie dotknęła dekoltu. – W środku były dwa zdjęcia, jej i nasz rodzinny portret zrobiony w ostatnie święta. Na pewno miała wisiołek ze sobą. Tak jak bransoletkę z informacją o grupie krwi, na wypadek gdyby...

– Zamilkła, a następnie schowała twarz w dłoniach i pociągnęła nosem.

Policjant pomyślał, że tylko sukienka z dzianiny i silne ramię męża trzymają jeszcze tę kobietę w całości, a gdyby je zabrać, rozpadłaby

się na kawałki. Notował coś w dokumencie, gdy do jego biurka podeszła wysoka policjantka o silnych ramionach i ciemnych włosach związanych w koński ogon. Na pozbawionej makijażu twarzy odznaczały się mocno zarysowane kości policzkowe, a wokół kobiety unosił się delikatny zapach chloru, świadczący o tym, że tego dnia odbyła już swój trening na basenie.

– To aspirant Weronika Sowińska – wyjaśnił Lipski. – Należy do naszego zespołu poszukiwań.

– Dzień dobry. – Funkcjonariuszka przywitała się z Jaroszami i sprawnie podsunęła sobie krzesło.

Położyła na stole dłonie, a wtedy Urszula zarejestrowała, że dwa paznokcie jej lewej ręki i skóra wokół nich zostały pomalowane mazakiem o krzykliwym różowym kolorze. Policjantka dostrzegła ciekawość kobiety i skrępowana rozciągnęła usta w bladym uśmiechu. „Córka” – wyszeptały niemo jej wargi, na co Jarosz skinęła głową ze zrozumieniem.

– Zaginęła dziewiętnastolatka. Na co dzień studiuje w Warszawie. Przyjechała do rodziców na weekend, wyszła do kościoła kwadrans przed dziesiątą i od tamtej pory nie ma z nią kontaktu – zrelacjonował Lipski.

Sowińska zmarszczyła brwi.

– Jak opisaliby państwo jej stan, gdy wychodziła z domu? – zapytała.

Urszula wbiła szczupłe palce w ramię męża, pochyliła głowę i zaczęła skubać rąbek sukienki, jakby to wszystko ją przerastało.

– Wydawało się, że miała dobry nastrój – wyjaśnił doktor Jarosz. – Choć była może nieco bardziej zmęczona i niewyspana niż zwykle. Poprzedniego dnia obchodziła urodziny i sporo się działo. Najpierw świętowaliśmy razem w restauracji, dostała prezenty, były też tort

i świeczki, a wieczorem wyszła do knajpy ze znajomymi i z tego, co wiem, wróciła dosyć późno.

– O której? – chciał wiedzieć komisarz.

– Nie jestem pewien. Musiało być jakoś koło drugiej. – Lekarz z namysłem potarł skroń. – Położyliśmy się już wtedy do łóżka. Niedługo po pierwszej, kiedy gasiłem lampkę i odkładałem książkę, Alicji jeszcze nie było. Słyszałbym, gdyby wchodziła.

– Może nie wróciła na noc do domu?

– Nie, mój syn Kuba przebudził się, gdy zamykała drzwi do swojego pokoju. Zamek od dawna szwankuje i żeby je domknąć, trzeba porządnie trzasnąć. Mieliśmy go naprawić, ale córka wyjechała na studia i nie było potrzeby się tym zajmować.

Mężczyzna delikatnie ujął żonę za rękę i posłał jej pokrzepiający uśmiech. Krzysztof Lipski obserwował, jak lekarz głaszcze palcami drobną dłoń Urszuli, zdającą się niknąć w jego silnej męskiej dłoni. Było w tym geście coś tak intymnego, że policjant poczuł się nieswojo. Odwrócił wzrok, a następnie uderzył końcówką długopisu w leżącą przed nim kartkę i podkreślił kilka zdań w notatkach. Funkcjonariuszka zerknęła mu przez ramię, po czym z troską zwróciła się do rodziców dziewczyny:

– Czy mogą państwo dokładnie opisać wasz dzisiejszy poranek? Może doszło do jakichś nieporozumień albo wydarzyło się coś szczególnego?

– Nie, nic takiego nie miało miejsca – odparła Urszula, przecząco kręcąc głową. – Rano przygotowałam śniadanie, a potem zajrzałam do Ali, bo myślałam, że zje z nami i wybierzemy się razem do kościoła, jak zwykle. Ale córka zawołała spod kołdry, że jest zmęczona, musi odespać i pójdzie sama na kolejną mszę, więc zostawiłam ją w spokoju.

– Co wydarzyło się później? – dopytał komisarz.

– Pojechaliśmy bez niej. Ja, mąż i Kuba, młodszy brat Ali. Kiedy wróciliśmy, córka była już ubrana. Zbiegła z góry, przywitała się, w pośpiechu wypła kefir, a potem krzyknęła, że leci, narzuciła kurtkę i wyszła. – Kąciki ust kobiety drgnęły na to wspomnienie, jej wzrok zasnuł się mgłą, jakby znów patrzyła na nastolatkę. – Zdążyłam jej tylko przypomnieć, że obiad będzie o pierwszej.

– Planowała gdzieś iść po mszy? Odwiedzić kogoś? Może była z kimś umówiona?

– Nic mi o tym nie wiadomo.

Krzysztof Lipski zapisał te informacje, a następnie przesunął wzrokiem po matce dziewczyny, która nerwowo kręciła obrączką na palcu.

– Czy w ostatnich dniach wydarzyło się coś, co mogło wpłynąć na jej zachowanie? Miała jakieś problemy? Czymś się martwiła? – Szukał punktu zaczepienia.

Bogdan Jarosz zamrugał i westchnął.

– Wydaje mi się, że mogła być nieco przeciążona ilością nauki na uczelni. W ubiegłym roku dostała się na Warszawski Uniwersytet Medyczny i kilka przedmiotów okazało się dla niej wyzwaniem. Chyba się nie spodziewała, że to będą tak wymagające studia.

– Rozważała przerwanie nauki?

Jarosz obdarzył policjanta protekcjonalnym spojrzeniem.

– Żartuje pan? Nie moja córka. Ala to ambitna dziewczyna, nie poddaje się tak łatwo. Jest piekielnie zdolna. Poszła do szkoły rok wcześniej niż jej rówieśnicy, przez co zawsze była młodsza od swojego rocznika. Przywykła do ciężkiej pracy. Zresztą to tylko chwilowe trudności, musi się przyzwyczaić do nowego rytmu.

– Czy kiedyś już tak zniknęła? – drażniła aspirantka Sowińska.

Ojciec dziewczyny potrząsnął głową. Na jego wyczerpanej twarzy malowała się rozpacz.

– Nie, nigdy nie uciekała z domu, nie ma też za sobą prób samobójczych i nie leczyła się psychiatrycznie, jeśli zamierza pani o to pytać.

– Bierze jakieś leki na stałe?

– Nie. Jest zdrowa jak rydz.

– Coś jeszcze, o czym powinniśmy wiedzieć? Uzależnienia, kłopoty z używkami?

– Nic z tych rzeczy – odparł lekarz. – Nie bierze narkotyków, nie pali, a alkohol pije sporadycznie na imprezach, jak to studentka.

– Może potrzebowała trochę czasu na osobności? Chciała coś przemyśleć albo poznała kogoś nowego? – podrzuciła aspirantka, gdy tymczasem komisarz czujnie lustrował twarze rozmówców.

Jaroszowie wymienili spojrzenia. Bogdan zaprzeczył ruchem głowy, a wargi Urszuli drgnęły.

– Proszę posłuchać – zaczęła matka dziewczyny. – Gdyby Alicja planowała wyjechać albo miała kłopoty, podzieliłaby się tym ze mną. Znam moją córkę, ona nie robi takich rzeczy. Ufa nam, nie zniknęłaby ot tak, bez uprzedzenia. Przecież wyszła tylko do kościoła... – Głos jej się załamał, ścisnęła rękę męża. – Miała już kupiony bilet na pociąg, planowałyśmy po południu upiec szarlotkę, naszykowałam słoiki... – Przytknęła dłoń do ust, by przełknąć gorycz, a po chwili drżącym głosem dodała jeszcze: – To dobra, kochana dziewczyna.

Policjant zerknął na zdjęcie Alicji Jarosz, które jej matka położyła trzęsącą się ręką na blacie biurka. Zaczęło oplatać go przecucie, bliskie pewności i lepkie jak pajęczna sieć, że ta dziewczyna nigdy się nie odnajdzie. Ofiara idealna, szepnął cichy głos w głowie funkcjonariusza. Taka, którą kochają media, widzowie utożsamiają się z nią i nie spoczną, dopóki nie poznają wyjaśnienia zagadki jej zaginięcia.

Komisarz poprawił się na krześle, by strząsnąć z siebie to nieprzyjemne wrażenie, ale ono nie odpuszczało. Wiedział, że tego typu sprawy są jak kamień uwierający w bucie. Kiedy do zaginięcia dochodzi w miejscu uznawanym dotychczas za bezpieczne, ludzie pragną zrozumieć, co się stało, i zyskać pewność, że nie spotka ich podobny los. Tyle tylko, że w tej okolicy na przestrzeni minionych ośmiu lat zaginęły już trzy inne osoby. Wprawdzie istniały racjonalne przesłanki za tym, że poszukiwani wyjechali z własnej inicjatywy, ale Lipski wiedział, że gdy tylko mieszkańcy poznają historię Alicji Jarosz, w Sinicach i okolicy zapanuje histeria.

Szczególnie że rankiem, gdy jechał na komendę, nad łąkami unosiła się mgła. Taka sama jak ta, która spowijała miasto przy wszystkich poprzednich zaginięciach. Gęsta i nieprzenikniona. Ta, która mąciła w głowach i wiodła na zatracenie.

\*

Kiedy Jaroszowie opuścili pokój, śledczy podeszli do okna skrytego za pożółkłą firanką i przez moment w ciszy podążali wzrokiem za rodzicami nastolatki wychodzącymi z budynku na betonowy parking przed komendą. Aspirantka, uderzając komórką o dłoń, obserwowała, jak postawny lekarz obejmuje żonę ramieniem, a później otwiera jej drzwi i pomaga zająć miejsce w lśniącym mercedesie.

– I co o tym myślisz? – zapytał Lipski, gdy światła pozycyjne limuzyny rozbłysły czerwienią.

– Według mnie dziewczyna może mieć jakieś problemy, o których nie chce im powiedzieć – odparła Sowińska, otwierając w telefonie aplikację Facebooka. Wyszukała konto zaginionej i zaczęła je przeglądać. – Zauważyłeś, jak bardzo oni ją idealizują? Dobra córka,

pilna studentka. Takim ludziom najtrudniej jest przyznać się do słabości. Stają się zakładnikami swojego wizerunku.

Komisarz mruknął, jakby się nad tym zastanawiał. Podeszedł do biurka i chwycił w dłoń czerwoną piłeczkę antystresową.

– Im bardziej doskonałym widzą cię inni, tym mocniej starasz się ukryć swoje niedoskonałości – powiedział powoli. – O to ci chodzi?

Weronika kiwnęła głową znad telefonu, po czym wzięła do ręki fotografię Alicji Jarosz zostawioną na blacie. Przyglądała się jasnym, sięgającym ramion włosom dziewczyny. Zaglądała w jej duże brązowe oczy, jakby szukała w nich wskazówek.

– Uważasz, że przyznałaby się im, gdyby zaszła w ciążę, chciała rzucić uczelnię albo zrobiła coś głupiego? – zapytała.

– Ojcu niekoniecznie, prędzej matce – stwierdził. – Wiesz, że leczyłem się kiedyś u niego? Składał mi nogę po złamaniu, jakieś dziesięć lat temu.

– Nie ty jeden. To najlepszy ortopeda w okolicy. Sportowcy z całej Polski przyjeżdżają operować u niego kolana.

Krzysztof dreptał wokół biurka, z wyrazem zamyślenia na twarzy.

– A ona czym się zajmuje?

– Uczy polskiego w naszym ogólniaku. – Sowińska przysiadła na krawędzi blatu. – Zaczynała mniej więcej wtedy, kiedy ja zdawałam maturę. Stara Kłosowska rozstawała się ze szkołą, a na jej miejsce przyszła Jarosz. Pamiętam, bo zazdrościliśmy młodszemu rocznikom, że będą mieli taką fajną nauczycielkę. – Westchnęła, jakby to wspomnienie pochodziło z zamierzchłych czasów, po czym podniosła się z niechęcią. – Porozmawiam z proboszczem lokalnej parafii, może widział Alicję na mszy, a później podjadę do Jaroszków z technikiem. Trzeba zabezpieczyć DNA dziewczyny i wypytać jej brata. Rodzeństwo zwykle wie więcej niż rodzice.

– Dobra. – Przeskanował wzrokiem to, co widniało w formularzu. – Na razie nie widzę żadnych przesłanek wskazujących na to, by rodzina przyczyniła się do jej zaginięcia, ale znasz moje motto.

– Wszyscy kłamią?

Kiwnął głową.

– Na wszelki wypadek rozejrzyj się tam u nich. Koniecznie zobacz jej pokój, jeśli się zgodzą, zajrzyj do komputera, i porządnie przemagluj tego młodego.

– Poradzę sobie – ucięła, rzucając mu wymowne spojrzenie. – Kurczę, wiesz, że to będzie zakwalifikowane do trzeciego poziomu? Jest dorosła, zdolna do samodzielnej egzystencji, nie choruje, nie leczy się psychiatrycznie, pogoda jest dobra i nic nie wskazuje na bezpośrednie zagrożenie życia. Jej rodzice myślą, że będziemy teraz przeczesywać pół świata, a przecież stary się na to nie zgodzi. – Zmartwiona zaczęła ścierać ślady mazaka z płytki paznokciowej.

Lipski przerzucił piłeczkę z ręki do ręki, po czym zatrzymał się i z palcem uniesionym w górę powiedział:

– Niekoniecznie. Wydaje mi się, że Bogdan Jarosz chadzał niegdyś na polowania z naszym komendantem i nie wiem, czy nie operował jego córki. Jeśli rodzice dziewczyny zrobią dym, stary może się ugiąć. Zobaczymy.

Weronika przyznała mu rację. We wspomnieniach wróciły do niej twarze innych, którzy przepadli bez wieści, gdy miasto spowijała gęsta biała zawiesina.

– Nie martwi cię fakt, że to kolejna nastolatka, która zniknęła w mglisty dzień? – rzuciła.

Zaskoczony nagłym pytaniem Krzysztof upuścił gumową piłeczkę, a ta potoczyła się wprost pod jego biurko.

– Daj spokój. Przecież wiesz, że tamte dzieciaki zwały z domu – powiedział, schylając się po zabawkę. – Nie szukaj sensacji na siłę.



A że występowały wtedy zamglenia? Tak już jest na naszym terenie, nic nadzwyczajnego.

Wzruszył ramionami, a policjantka skrzywiła się, jakby słowa komisarza jej nie przekonały.

– Dla pewności przejrzę stare akta. Może znajdę tam coś, czego wcześniej nie dostrzegaliśmy.

– Według mnie to strata czasu, ale rób, jak chcesz. – Uniósł ręce w geście poddania. – A teraz weźmy się do porządnej roboty. Zarejestruję dane o zaginięciu Alicji w systemie i odezwę się do jej operatora. Musimy jak najszybciej ustalić, gdzie ostatnio logowała się komórka Jarosz i z kim rozmawiała przed zniknięciem. – oznajmił Krzysztof. – Przydałoby się też sprawdzić szpitale i aktywność dziewczyny w banku. Jeśli korzystała z bankomatu albo płaciła kartą, może uda się nam ją namierzyć.

– A co ze znajomymi, którzy byli z nią na piwie w pizzerii Vegas w sobotnią noc? Dobrze byłoby z nimi pogadać, tyle że z tego, co zrozumiałam, wszyscy studiują poza Sinicami, mogli już wyjechać.

– Zajmę się tym, pojedę też do Vegas i sprawdzę, czy właściciel pizzerii zna nazwiska tych chłopaków, którzy zaczepiali Jarosz tamtego wieczoru. Mogą mieć coś ciekawego do powiedzenia.

Aspirantka Sowińska założyła kurtkę, po czym zerknęła na kwestionariusz i zatrzymała wzrok na rubryce z adresem.

– To na górze za osiedlem Świt, prawda? Mamy tam jakieś kamery monitoringu miejskiego?

– Niestety nie, dopiero bliżej miasta jest więcej rejestratorów, na wysokości skrzyżowania Ludowej z Prusa, i tam na pewno ją złapiemy. Nie ma innej drogi prowadzącej do kościoła, ale możesz też popytać w Autoserwisie u Klepackiego i w pokojach gościnnych u Wandy. Idę o zakład, że mają jakieś kamery na własny użytek i monitorują swoje parkingi.

– Jasne, zrobi się. – Wsunęła telefon do kieszeni. – A według ciebie co się z nią stało?

– Są dwie opcje: albo narozrabiła, a potem przestraszyła się i uciekła, żeby sobie to wszystko poukładać, albo wydarzył się nieszczęśliwy wypadek. Rano była mgła, słaba widoczność, ktoś mógł ją potrącić.

Policjantka przygryzła wargę i westchnęła ciężko.

– Trzeba będzie zbadać drogę z jej domu do kościoła. Sprawdzić rowy. Dam znać dyżurnemu, by wysłał tam patrole, i dołączę do nich, jak tylko skończę w domu Jaroszków. – Zamyśliła się. – A co, jeśli nabroiła na tyle, by wpaść na jakiś głupi pomysł?

Komisarz zmarszczył brwi.

– Mówisz o samobójstwie? Nie wydaje mi się. Ich rodzina jest bardzo wierząca, co tydzień zajmują pierwsze ławki w kościele. Nie sądzę, żeby ktoś taki targnął się na swoje życie. Zresztą słyszałaś, co mówili Jaroszowie, nie miała skłonności samobójczych.

– Może, ale znasz to przysłowie: „Jak trwoga to do Boga”. A Kościół przyciąga nie tylko wierzących, ale też zdesperowanych i tych, którzy cierpią.

Krzysztof Lipski złapał zdjęcie leżące na stole i wskazał palcem rozciągnięte w szerokim uśmiechu usta nastolatki.

– Spójrz na nią. Nie wygląda, jakby była smutna.

Weronika wzięła od niego fotografię, bo nagle coś ją w niej uderzyło.

– Teraz nie, ale gdy przyjrzesz się dokładnie... – zasłoniła dłonią dolną połowę zdjęcia, tak że widać było twarz Alicji od nosa w górę – ...zauważysz, że jej oczy pozostają bez wyrazu. Trochę jak u lalki, a śmieją się tylko usta. To nie jest prawdziwa radość, według mnie ona udaje.

Policjant przystanął w swojej nerwowej wędrówce wokół biurka i nachylił się nad zdjęciem, by zweryfikować tezę Sowińskiej.

– To nie wszystko – oznajmiła i sięgnęła po komórkę.

W telefonie znów otworzyła aplikację Facebooka, a później weszła na konto Jarosz i pokazała Lipskiemu kilka fotografii dziewczyny oraz smutne piosenki i niepokojące cytaty, które nastolatka zamieszczała w sieci.

– Te zdjęcia są z balu maturalnego w zeszłym roku, tańczyła poloneza w jednej z pierwszych par. – Powiększyła obraz, by mógł się lepiej przypatrzeć dziewczynie. – A to fotki, które umieściła w albumie zatytułowanym „Ja”. – Znów podsunęła mu telefon pod nos. – Ma publiczny profil, wszystko jest łatwo dostępne.

Komisarz przerzucił zdjęcia, skupiając się na oczach dziewczyny, a następnie prześledził posty z ostatnich kilku miesięcy. Na jego czole zarysowała się głęboka zmarszczka.

– Chcesz powiedzieć, że Alicja Jarosz była nieszczęśliwa?

– Nie wiem, ale sprawia wrażenie, jakby coś ją trapiło. Myślę, że jeśli odkryjemy przyczynę jej smutku, będziemy bliżej zrozumienia tego, co się z nią stało.

\*

Kiedy aspirant Weronika Sowińska wysiadła z samochodu, przeszył ją chłód. Postawiła kołnierz kurtki, roztarła dłonie, a później chuchnęła w nie kilkakrotnie, by szybciej je rozgrzać. Nocną ciszę zakłócały dobiegające z pobliskich podwórek szczekanie psów oraz szmer samochodów pędzących ulicą Warszawską. Policjantka uniosła twarz w stronę nieba i przez chwilę patrzyła w gwiazdy. Myślała o słowach proboszcza z pobliskiej parafii, który zaprzeczył, jakoby Alicja uczestniczyła we mszy o dziesiątej. Podobno zawsze

zajmowała miejsce z przodu, więc gdyby przyszła, na pewno by ją zauważył. Zastanawiała się nad tym, gdy uderzenie zatrzasniętej klapy bagażnika i kroki kolegi przywołały ją z powrotem przed furtkę prowadzącą do domu Jaroszków.

– Gotowy – oznajmił Łukasz Maćkowiak, rosły policjant, który zarzucił na ramię plecak z ekwipunkiem potrzebnym do zabezpieczenia DNA.

– Miej oczy i uszy szeroko otwarte, okej? – poprosiła Sowińska, omiatając spojrzeniem okna na piętrze.

W jednym z nich dostrzegła nastolatka w obszernej bluzie z kapturem. Przyklejony do szyby uważnie obserwował gości. Policjantka uznała, że to zapewne Kuba, młodszy brat Alicji. Wiedziała o nim niewiele, właściwie tylko tyle, ile zdołała wywnioskować z konta szkoły na Facebooku, ponieważ jego profil był dostępny jedynie dla znajomych.

Udało się jej ustalić, że uczęszcza do trzeciej klasy liceum ogólnokształcącego i należy do szkolnej drużyny koszykówki, w której odnosił niemałe sukcesy. Kiwnęła do chłopaka, chcąc dać mu do zrozumienia, że ona również go widzi, ale nie odpowiedział na jej gest.

– Do roboty – rzuciła do Maćkowiaka i koleżeńsko klepnęła go w ramię.

Szli wąskim chodnikiem zalewanym złotą poświatą latarni, a mroźne powietrze szczypało ich w nosy i policzki. Wokół ścieżki rozpościerał się rząd uśpionych krzewów o kulistym kształcie, a wzdłuż ciągnęło się zamarznęte o tej porze roku oczko wodne.

Jaroszkowie mieszkali w murowanym, dwupiętrowym domu na niewielkim wzniesieniu przy drodze wiodącej z Sinic do wsi Lipki. Asfaltowy jezior meandrował tam między polami, mijał tartak, kilka rozrzuconych niedbale posesji i drewnianą kapliczkę z figurą Matki

Boskiej. Weronika podniosła rękę, by nacisnąć dzwonek, ale w tym samym momencie drzwi się otworzyły, a Bogdan Jarosz gestem zaprosił funkcjonariuszy do środka.

Jego żonę, która przysiadła na pufie w korytarzu, zastali w dziwnej, nieruchomej pozie. Oparta plecami o ścianę, patrzyła przed siebie niewidzącym wzrokiem. Jej spojrzenie było zamglone, a skóra błyszcząca w świetle żarówki, upodabniając kobietę do figury woskowej. Kogoś, kto z zewnątrz wygląda, jakby był żywy, ale w środku jest już martwy.

Ojciec Alicji musiał zauważyć zatroskanie na twarzy policjantki, ponieważ w ułamku sekundy obrócił się w stronę żony, po czym natychmiast do niej doskoczył, przykucnął na podłodze i chwycił ją za ramiona, zapytał:

– Kochanie, nic ci nie jest? – Delikatnie poklepał brudne od rozmazanego makijażu policzki.

Urszula zamrugnęła, jakby właśnie się ocknęła, a potem ścisnęła dłonie męża i zaczęła płakać. Początkowo cicho, niemal nieśmiało, lecz po chwili coraz głośniejsze i bardziej rozpaczliwe.

– Ja nie wiem, czy dam radę... – wyszeptała, przetykając łzy. – To jest dla mnie za dużo...

Mąż objął ją mocno, pozwalając, by wtuliła twarz w zagłębienie na jego szyi, a policjanci wymienili współczujące spojrzenia.

– Już w porządku. – Jarosz gładził jasne włosy Urszuli, z których zsunęła się klamra do ich upinania. – Jestem przy tobie. Ci państwo przyjechali tu, żeby pomóc nam ją odnaleźć. Wszystko będzie dobrze, zobaczysz.

Sowińska zwarła mocniej szczęki na dźwięk ostatniego zdania. Nie znosiła, gdy ludzie składali takie obietnice. Według niej przypominały pudrowe dropsy podawane zamiast leków na prawdziwe choroby. Stanowiły placebo. Ich działanie było krótkotrwałe i skuteczne tylko

wtedy, gdy człowiek pozwalał się oszukiwać. Gdzieś usłyszała, że w życiu istnieją trzy rodzaje kłamstwa. Z głupoty, do których zaliczała także te z wyrachowania, ze strachu i z miłości. Dawanie gwarancji bez pokrycia należało bez wątpienia do ostatniej kategorii.

Poirytowana zaczęła lustrować spojrzeniem korytarz. Badała kurtki na wieszaku, buty ustawione w równym rzędzie na wycieracze pokrytej drobinkami suchej ziemi i ozdobny stojak na parasole.

Kiedy płacz kobiety nieco ucichł, a w sieni słychać było już głównie siąkanie nosem, Łukasz Maćkowiak podniósł z podłogi kłamerę do włosów i podał ją Jaroszowi. Mężczyzna podziękował, a następnie, obejmując plecy żony, powoli pomógł jej wstać.

– Zaparzę ci herbaty – zaproponował, ocierając wilgoć z policzków Urszuli, która ledwie zauważalnie kiwnęła głową, po czym zwrócił się do funkcjonariuszy: – Przepraszam za to... – Zerknął na żonę i dodał ściszym głosem: – Ula niedawno straciła ojca. Zmarł nagle na zawał. Jeszcze się z tego nie otrząsnęła, a teraz ta sytuacja z Alicją... – Urwał, ze smutkiem kręcąc głową.

– W porządku, to zrozumiałe – zapewniła Weronika.

Lekarz przełknął ślinę.

– Pokój Ali jest na górze. Mój syn, Kuba, czeka tam na państwa i pokaże wszystko, co trzeba. Ja zajmę się żoną i za chwilę do was dołączę.

– Będziemy musieli zabrać kilka rzeczy osobistych pana córki w celu zabezpieczenia DNA i przejrzeć zawartość komputera – dodała.

– Oczywiście – zgodził się. – Róbcie wszystko, co konieczne. Laptop powinien stać na jej biurku.

Aspirantka Sowińska ruszyła w stronę schodów jako pierwsza. Nie spieszyła się. Przymknęła delikatnie powieki, a dłoń położyła na lakierowanej poręczy i zaczęła się wspinać. Opuszki sunęły po

balustradzie, natrafiając na drobne wgłębienia i rysy. Policjantka chciała poczuć atmosferę tego domu. Wychwycić to, co umyka intelektowi, ale unosi się gdzieś w powietrzu. Drewniane stopnie skrzypiały pod jej stopami. W uszach brzmiał oddech technika, który szedł tuż za nią, a nos wyczuwał subtelny zapach drewna.

Otworzyła oczy.

U szczytu schodów stał ten sam chłopak, którego wcześniej widziała w oknie. Obserwował ją z zaciekawionym wyrazem twarzy. Z bliska nie sprawiał wrażenia wyniosłego, lecz raczej przestraszonego. Rękawy bluzy miał naciągnięte na dłonie tak, że z mankietów wystawały tylko czubki palców z obgryzionymi paznokciami. Jego krótko ostrzyżone włosy odsłaniały wysokie czoło i niebieskie, skupione oczy.

Policjantka uznała, że reprezentuje typ dobrego kumpla. Wystarczająco atrakcyjny, by nie uchodzić za klasowego kujona, a jednocześnie nie na tyle, by zostać uznanym za szkolnego przystojniaka. Kiedy chodziła do liceum, właśnie takich chłopaków lubiła najbardziej. Zawsze chętnie pożyczali zeszyty, można było z nimi pogadać na przerwach i zatańczyć na dyskotecce bez obawy o jakiegokolwiek podteksty. Dziewczyny rzadko się w nich zakochiwały, bo bardziej fascynowało je zdobywanie niegrzecznych chłopców z błyskiem w oku, ale to właśnie ci spokojni okazywali się najlepszymi kandydatami na mężów. Wiedziała, bo wyszła za jednego z nich.

– Weronika Sowińska, aspirant Komendy Powiatowej Policji – przedstawiła się i wskazała na kolegę. – A to sierżant sztabowy Łukasz Maćkowiak.

– Kuba – odparł nastolatek. – Jestem bratem Ali.

Policjantka zauważyła, że opuszki palców chłopaka poplamione są czarnym tuszem.

– Miałeś z nią jakiś kontakt, odkąd wyszła z domu? – zapytała.

– Nie. Wysłałem jej kilka wiadomości, ale na żadną nie dostałem odpowiedzi.

– Rozumiem – mruknęła. – Pokażesz nam jej pokój?

Chłopak, który dorównywał funkcjonariuszce wzrostem, wskazał otwarte drzwi do pokoju i zrobił krok w tył, by przepuścić śledczych. Sowińska z Maćkowiakiem włożyli niebieskie lateksowe rękawiczki, a później weszli do środka. Weronika przystanęła w progu, próbując wyobrazić sobie dziewczynę w tej przestrzeni, zobaczyć Alicję Jarosz przy biurku, z długopisem w dłoni albo budzącą się rano w skołtunionej pościeli. Policjantka uważała, że o człowieku więcej niż słowa mówią jego drobne gesty, nawyki i to, jak zachowuje się, gdy nikt nie patrzy.

Pokój określiłaby jako schludny, co mogło wynikać z faktu, że dziewczyna od pół roku bywała w nim jedynie podczas odwiedzin u rodziców. Uporządkowany blat, zaścielone, nakryte kocem łóżko, na podłodze w rogu otwarta walizka z poskładanymi ubraniami, a na stoliku nocnym przy łóżku atlas anatomii człowieka *Prometeusz*. Sowińska podeszła do reklamówki stojącej pod ścianą i ostrożnie zajrzała do środka. Wewnątrz kłębiły się ubrania wymieszane z bielizną.

– To jej brudne ciuchy – wytłumaczył Kuba, który obserwował działania funkcjonariuszy z korytarza, skąd dochodziło zgrzytanie pracującej drukarki.

– Pewnie się o nią martwisz ... – zaczęła Weronika, ale gdy dostrzegła, że jego wargi drżą, zmieniła strategię. – Macie ze sobą dobrą relację?

– Chyba tak. – Wzruszył ramionami. – Czasem kłócimy się o to, jaką pizzę zamówić, nie możemy dogadać się w kwestii zwierzaka domowego, bo Ala nie cierpi psów, które ja kocham, a jak wybieramy



serial na Netflixie, to nie ma opcji, żebyśmy obstawiali ten sam tytuł, ale gdy jedno z nas ma kłopoty, to drugie staje za nim murem.

– Alicja miała jakieś kłopoty?

– O ile wiem, to nie – wyjaśnił. – To spokojna dziewczyna. Wie pani, ten typ, o którym ludzie mówią „miła i grzeczna”. Zawsze miała dobre stopnie i nigdy nie sprawiała problemów.

Sowińska otworzyła notes i zapisała w nim kilka słów, które następnie podkreśliła.

– Studia w Warszawie jej nie zmieniły? Czasem, gdy przed kimś z małego miasta otwiera się wielki świat, można się nim zachłysnąć.

– Może i tak, ale moją siostrę to ominęło. Wiem, że raz na jakiś czas chodziła na koncerty albo potańczyć do klubów, ale nie szalała za bardzo, bo musiała się uczyć. Medycyna to piekielnie ciężki kierunek.

Aspirantka wędrowała po pokoju, a jej wzrok czujnie lustrował przestrzeń. Mleczną firankę, tapetę w motyle i miękki dywan. Sierżant Łukasz Maćkowiak, który uruchomił właśnie komputer dziewczyny, wskazał na ekran z pustym okienkiem do wpisania hasła.

– Wiesz, jakiego hasła używała twoja siostra? – zwrócił się do chłopaka, ale ten zaprzeczył.

– Zabierzemy laptop na komendę – zdecydowała Sowińska. – Wychodząc, dam Jaroszowi protokół zatrzymania do podpisu.

Rysy Kuby, obserwującego, jak technik pakuje srebrny komputer z symbolem jabłka na obudowie, na ułamek sekundy stężały. Dostrzegając jego zaniepokojenie, policjantka wyjaśniła:

– Być może Alicja pisała z kimś o swoich planach albo zaglądała na strony, które okażą się pomocne w ustaleniu miejsca jej pobytu. Trzeba to sprawdzić.

– Jasne, rozumiem. Po prostu nadal nie dociera do mnie, że to się dzieje naprawdę. – Z niedowierzaniem pokręcił głową i objął spojrzeniem puste łóżko siostry.

Zgarbiony, ze łzami w oczach, przypominał zagubione dziecko, które choć nie rozumie tego, co się wokół niego dzieje, czuje lęk wypełniający je po brzegi. Aspirantka uśmiechnęła się do niego łagodnie.

– Myślisz, że Ala mogła mieć swoje sekrety?

– Jak każdy.

– Tak? Ty też je masz? – Próbowła wziąć go pod włos. – Wyjawisz, jakie rzeczy nastolatkomie trzymają w tajemnicy?

– Nie mogę powiedzieć, bo wtedy przestałoby to być sekretem. – Rozłożył ręce z udawaną bezradnością.

– Racja – stwierdziła. – To co takiego stało się dzisiaj rano, że Alicja do tej pory nie wróciła do domu? Spięliście się? Może doszło do jakiejś awantury z rodzicami?

– Nie... To był zwyczajny niedzielny ranek. Smażenie jajecznicy na szynce, prasowanie ubrań i takie tam. Szykowaliśmy na dole śniadanie, kiedy na piętrze rozwrzeszczał się budzik Ali. Mama czekała chwilę, aż siostra go wyłączy, a w końcu uznała, że zajrzy do niej i sprawdzi, czy Ala żyje po nocnym imprezowaniu. Mówiłem, że wróciła grubo po drugiej i żeby dała jej spokój, bo pewnie jest nieprzytomna, ale matka, jak to matka, musiała ją obudzić i gderać o kościele.

– Pokłóciły się?

Potrząsnął głową.

– Matka pomęczyła chwilę bułę, a potem Ala obiecała jej, że pójdzie na kolejną mszę, jak się wyśpi, i na tym stanęło.

– A ty rozmawiałeś z nią rano? Albo w nocy, gdy wróciła? – Długopis w palcach Weroniki zawisł nad kartką notesu.

Nastolatek wziął głęboki wdech i zdawało się, że posmutniał.

– Nie, w nocy słyszałem tylko, jak trzasnęła drzwiami do swojego pokoju. Przebudziłem się zdezorientowany, sprawdziłem godzinę na komórce, a później nakryłem głowę kołdrą i z powrotem zasnąłem. – Z zakłopotaniem przesunął ręką po włosach. – A rano widziałem ją w kuchni, tuż po naszym powrocie z kościoła. Ala stała przy otwartej lodówce i piła kefir, jakby ją potwornie suszyło. Matka rzuciła jakiś komentarz o tym, że powinna zjeść porządne śniadanie, a ja zaśmiałem się w duchu, że musiała być niezła impreza. Darowałem sobie jednak uszczypliwości, bo siostra wyglądała na skonaną.

Sowińska usiłowała poukładać sobie to wszystko w głowie. Oparła dłonie na biodrach, przyglądając się, jak technik zabezpiecza szczotkę poprzetykaną jasnymi włosami. Jej wzrok wędrował po półkach w poszukiwaniu jakiegoś punktu zaczepienia. Regał naprzeciwko łóżka wypełniały licealne lektury, słowniki i repetytoria. Na komodzie zaś dostrzegła fotografie w złożonych ramkach. Zdjęcia przedstawiały Alę z bratem na koncercie Męskiego Grania, rodzeństwo w czerwonych koszulkach z napisem „Lubię ludzi” podczas akcji Szlachetna Paczka oraz nastolatkę z uśmiechniętymi przyjaciółkami. Weronika wskazała palcem na towarzyszki Alicji.

– Kim są te dziewczyny?

– To Anka i Emilia, koleżanki z klasy. W liceum trzymały się razem, ale później każda poszła na studia do innego miasta i ich drogi się rozeszły. To z nimi Ala widziała się wczoraj wieczorem.

Funkcjonariuszka mruknęła ze zrozumieniem.

– Masz jakiś pomysł, gdzie może być twoja siostra? – zapytała, odwracając się w stronę chłopaka.

Kuba, który bawił się sznurkami od bluzy, zacisnął usta, jakby coś go zdenerwowało.

– Mam nadzieję, że nie z typami, których poznała w pizzerii – powiedział z irytacją, a jego dłonie zwinęły się w pięści.

– Byłeś tam?

– Nie. Nawet nie wiem, co to za jedni, ale podobno przystawiali się do Alki. Dowiedziałem się o tym od jej znajomych. Twierdzą, że ci kolesie raczej nie są stąd. Z tego, co słyszałem, przyjechali do Vegas na piwo, a po kilku kolejkach wzięło ich na tańce. Alicja była już lekko wstawiona, nie protestowała, gdy dosiedli się do jej stolika. Pogadali chwilę, a potem namówili ją, żeby wybrała się z nimi do Euforii.

– Jej znajomi też poszli do klubu?

– O ile mi wiadomo, to nie.

Weronika pomyślała, że to ryzykowne posunięcie: iść na dyskotekę w towarzystwie nowo poznanych, podchmielonych mężczyzn. Obraz Alicji w jej oczach nabrał nowego wymiaru. Wszystko wskazywało na to, że córka Jaroszków nie była tylko grzeczną dziewczyną skupioną na nauce, ale też spontaniczną nastolatką.

– Moja siostra czasem bez sensu ulega wpływom innych ludzi – powiedział Kuba, jakby czytał w myślach Sowińskiej. – A do tego kiepsko radzi sobie z odmawianiem. Jakby chciała udowodnić wszystkim, że ona też potrafi wyluzować i dobrze się bawić. Że nie jest tylko nudną panienką z dobrego domu.

– A ty jak ją widzisz?

– To mądra, dobra dziewczyna. Zwykle najpierw myśli o innych, a dopiero później o sobie.

– Tacy ludzie często płacą za to wysoką cenę... – zauważyła policjantka i nagle urwała, bo coś pod łóżkiem zwróciło jej uwagę.

Podeszła do tapczanu, schyliła się i przyświeciła sobie latarką.

– Łukasz, pomożesz? – zawołała Maćkowiaka. – Muszę się tam dostać.

– Jasne.

Technik złapał mebel i uniósł go nieco do góry, a wtedy Sowińska wcisnęła rękę pod spód i ze stęknieniem wyciągnęła stamtąd kawałek szkła o ostro zakończonym brzegu. Poczowała też, że pod tapczanem podłoga jest nieco mokra.

– Coś się rozlało? – zapytała Kubę i zbliżyła rękawiczkę do nosa, by ją powąchać. Ciecz nie miała żadnego zapachu.

Chłopak wygiął usta w wyrazie niepewności.

– Nie mam pojęcia.

– Możemy? Przyda się nam materiał dla psów tropiących – wtrącił sierżant Maćkowiak, wskazując torbę pełną rzeczy do prania, a kiedy nastolatek potwierdził skinieniem, funkcjonariusz podniósł kremową reklamówkę.

Wysypując jej zawartość, natknął się na kilka sztuk erotycznej bielizny, w tym wyjątkowo odważnych stringów, na których widok policzki brata Alicji poczerwieniały.

– Jesteś pewien, że dobrze znasz swoją siostrę? – Sowińska pokazała Kubie seksowne figi otwarte w kroku oraz bieliznę składającą się jedynie z cienkich sznurków. Wszystkie zdecydowanie więcej odkrywały, niż zakrywały.

Chłopak otworzył usta, chcąc skomentować znalezisko, ale po chwili je zamknął i odwrócił wzrok. Niczego już nie powiedział.

\*

Właściciel pizzerii Vegas, sympatyczny pięćdziesięcioletnik o rumianej twarzy, w czarnej, dżinsowej koszuli i białym fartuchu zawiązanym w pasie, przeliczał właśnie dzienny utarg, gdy ktoś

zapukał do drzwi lokalu. Mężczyzna zamierzał udawać, że go nie ma. Chwycił pilota i pośpiesznie ściszył telewizor ustawiony na kanale sportowym, gdzie Atlético Madryt wygrywało z Villarealem jeden do zera.

W restauracji paliła się tylko mała lampka na kontuarze, dzięki czemu obecność właściciela nie rzucała się w oczy, ale natręt najwyraźniej nie zamierzał kapitulować i zastukał ponownie. Tym razem mocniej i bardziej stanowczo.

– Zamknięte! – zawołał restaurator. – Zapraszamy jutro od jedenastej.

Niespodziewane najście zdążyło go już jednak wybić z rytmu i sprawiło, że pogubił się w rachunkach. Przeklął szpetnie, po czym zaczął od nowa, ale nim na dobre się rozkręcił, znów dobiegło go niecierpliwe łomotanie. Wściekły cisnął banknoty do szuflady, warknął pod nosem i ruszył w stronę wyjścia.

Idąc, odruchowo podciągnął rękawy, jakby szykował się na udział w knajpianej burdzie. Kiedy przekręcał klucz w zamku, w jego myślach puchła wiązanka, którą zamierzał zaserwować człowiekowi po drugiej stronie, ale gdy wreszcie z impetem pchnął drzwi, cała zuchwałość wyparowała z niego w ułamku sekundy. Na widok gościa dobijającego się do lokalu zaniemówił.

– Dobry wieczór, panie Witku – przywitał się komisarz Lipski. – Sprawę mam, wpuści mnie pan?

Mężczyzna odsunął się nieznacznie, nerwowo wycierając ręce w ścierkę przewieszoną przez ramię, po czym wymienił z funkcjonariuszem mocny uścisk dłoni.

– Coś się stało, że tak pan po nocy ludzi straszy? Zawału prawie przez pana dostałem.

– No to całe szczęście, że pan nie dostał, bo nie miałbym wtedy z kim pogadać.

Policjant wdrapał się na wysoki stółek przy barze, który wydał z siebie przeszywające zgrzytnięcie, a właściciel pizzerii wrócił za ladę, udając obrażonego. Obaj zdawali sobie sprawę, że to tylko teatr, i każdy z nich czerpał z niego przyjemność. Owa inscenizacja umożliwiła bowiem panu Witoldowi złożenie osobie przed kontuarem propozycji, która na dobrą sprawę była czymś bardziej w rodzaju spełniania niewyrażonej prośby.

– To co, po maluchu? – zapytał i nie czekając na odpowiedź, wyciągnął spod lady butelkę wyborowej oraz dwa kieliszki.

Policjant jednak złapał go za rękę.

– Nie dzisiaj. Przyjechałem samochodem.

– A wczoraj było inaczej? – Na twarzy właściciela knajpy wykwitł porozumiewawczy uśmiech, w którym kryła się wspólna, nienazwana głośno tajemnica.

Mężczyzna machnął ręką, jakby chciał powiedzieć: „Przestań się pan wygłupiać”, odsunął dłoń Lipskiego, po czym zdjął nakrętkę z wódki i zbliżył butelkę do kieliszka, ale komisarz stanowczo odstawił naczynie. Mięśnie jego twarzy napięły się, a oczy mu pociemniały.

– Chyba się nie zrozumieliśmy, panie Witku – oznajmił surowym tonem. – Poza tym jakie wczoraj? Wczoraj mnie tu nie było, prawda?

Zdezorientowany restaurator przyglądał się swojemu gościowi, wypatrując oznak świadczących o tym, że wypowiedź policjanta była jedynie niewinnym żartem i za chwilę tamten poklepie go po ramieniu, a później obaj wybuchną gromkim śmiechem, ale niczego takiego nie dostrzegł.

– No rzeczywiście – bąknął z zakłopotaniem, wycierając szmatką lepłą plamę po soku do piwa pozostawioną na barze. – Musiało mi się coś pomylić.

Odsunął butelkę wyborowej z kontuaru, schował kieliszki i z wyjątkowym zaangażowaniem zaczął szorować ladę, unikając kontaktu wzrokowego z komisarzem. Tą chaotyczną krzątaniną usiłował zamaskować swoje rozczarowanie, ale tylko ślepiec nie zauważyłby jego zaciśniętych zębów i pobielających kostek dłoni. Krzysztof Lipski również zwrócił na nie uwagę, jednak postanowił nie dolewać oliwy do ognia.

– Słyszałem, że Alicja Jarosz, córka doktora Jarosza, spędzała tu czas poprzedniego wieczoru. Widział ją pan? – zapytał, opierając przedramiona na kontuarze.

– Tak. Siedziała na zewnątrz przy ogrzewaczu z jakimiś koleżankami. – Pan Witek zagapił się na telewizor, a kiedy Atlético wbiło Villarealowi drugiego gola, uniósł pięść w geście zwycięstwa. – Zresztą była tu wczoraj dwa razy – wrócił do rozmowy. – Najpierw przyszli całą rodziną na obiad. Tam siedzieli, pod ścianą. – Wskazał na stolik w rogu sali. – Przed deserem jej ojciec podszedł do mnie i poprosił, żeby włożyć świece do tortu, który przynieśli. Potem odśpiewali *Sto lat*, ten ich chłopak porobił zdjęcia, a dziewczyna rozpakowała prezenty.

– Brzmi, jakby się dobrze bawili.

– I to jak, aż miło popatrzeć. Mnie za dzieciaka nikt nie robił takich imprez. Jak urodziny miałem, to matka dawała parę złotych cichaczem, żeby ojciec nie widział, i wysyłała do spożywczego, żebym sobie coś kupił. – Pokręcił głową z ubolewaniem, po czym otworzył zmywarkę, z której buchnęły obłoki gorącej pary. – No, ale nikt nie wybiera, w jakiej rodzinie się urodzi, co nie?

– Niestety nie – odparł funkcjonariusz i bez skrupułów zmienił temat: – A wieczorem to były z nią tylko te koleżanki czy ktoś jeszcze? Słyszałem, że jacyś nietutejsi ją zaczepiali.

– A tam, od razu „zaczepiali”. Rozmawiali normalnie, jak to młodzi.



– Zna pan ich nazwiska?

– Nie, wiem tylko, że pochodzą z Sokołów. Pracownika mam z tamtych stron i on ich skojarzył – dodał wyjaśniająco. – Dzieciaki takie, pewnie w wieku tej dziewczyny. Może jeden trochę starszy.

Nagle dociekania policjanta na temat minionego wieczoru wzbudziły zainteresowanie pana Witolda. Mężczyzna przerwał wyciąganie szklanek ze zmywarki i splótł przedramiona na klatce piersiowej.

– A co pan tak o tę Jaroszonę dopytuje?

– Wyszła dziś rano z domu i nie wróciła do tej pory.

– O matko... – Właściciel pizzerii upuścił ścierkę i schylił się, żeby ją podnieść.

– To pewnie nic wielkiego, ale jej rodzice się martwią i obiecałem sprawdzić to i owo. To jak, powie mi pan coś więcej o tych chłopakach? Nagabywali ją?

– Chyba niespecjalnie – odparł, miętosząc szmatkę w rękach. – Piwko sobie pili, gadali, śmiali się, ale raczej w swoim towarzystwie. Sprawiali wrażenie, jakby się dawno nie widzieli. Jeden z nich opowiadał, że z wojska na przepustkę wyszedł, bo za chrzestnego miał u kolegi robić.

– Jak w takim razie wylądowali przy tym samym stoliku z Jarosz?

– Córka doktora ich zaprosiła.

Krzysztof Lipski zmarszczył brwi. W drodze do pizzerii zdążył zamienić z aspirant Sowińską kilka zdań, z których wynikało, że to ci młodzi mężczyźni zaproponowali swoje towarzystwo dziewczynie. Zerknął badawczo na restauratora, który umieszczał kieliszki do wina w stojaku wiszącym nad barem.

– Jest pan pewien?

– No tak, sam słyszałem, jak ich wołała na jednego. Akurat szklanki poszedłem zebrać na zewnątrz. – Wskazał głową w stronę

okna. – Śmiała się głośno. Wie pan, jak to ludzie po alkoholu. Powiedziała tym chłopakom, że nie mogą jej odmówić, bo ma urodziny. Nawet kolejkę im postawiła.

– A co na to jej koleżanki?

– Nie było ich wtedy przy stoliku. Pewnie wyszły do łazienki czy coś, a jak wróciły, to oni już tam siedzieli.

Komisarz postukał palcami w ladę, po czym uniósł wzrok i napotkawszy kamerę zawieszoną nad barem, wpadł na pewien pomysł.

– Monitoruje pan restaurację?

– Tak, ale tylko parking, zaplecze i przestrzeń za kontuarem. Szczerze mówiąc, bardziej pilnuję pracowników niż gości. Miałem tu kilku takich, co lubili podprowadzać pieniądze z kasy.

– A ten stolik, gdzie siedziała Alicja Jarosz, załapał się na jakieś nagranie?

Pan Witold pokręcił głową.

– Nie, ale to i tak nic by panu nie dało. Ot, grupka rozgadanych dzieciaków spędzająca czas przy piwie. Normalny widok w każdy piątkowy i sobotni wieczór.

– Da mi pan numer do tego pracownika z Sokołów, który kojarzył tamtych chłopaków?

Mężczyzna zaczął obmacywać się po kieszeniach i po chwili wyjął z jednej z nich komórkę. Szukał długo, jakby z ociąganiem, mamrocząc coś niezrozumiale. Na jego czoło wystąpiły drobne, błyszczące krople potu. W końcu rzucił krótkie „O, jest!” i nagryzmołił na żółtej kartce samoprzylepnej dziewięć cyfr oraz imię Stasiek, po czym wręczył ją policjantowi.

Krzysztof Lipski podziękował. Złożył papierek na pół i wsunął go do wewnętrznej kieszeni kurtki.

– O której wyszli od pana? – dopytał.

– O jedenastej. Tuż przed zamknięciem. Byli jednymi z ostatnich gości.

– Nie doszło między nimi do jakiejś kłótni?

– No gdzie tam. Gadali oczywiście trochę za głośno, w którymś momencie zaczęli nawet przekrzykiwać muzykę, ale uznałem, że to urodziny córki pana doktora, i odpuściłem. W końcu każdy czasem potrzebuje się trochę rozerwać, prawda?

Komisarz Lipski uśmiechnął się kwaśno i pogroził palcem właścicielowi lokalu.

– Nieładnie, panie Witku. Nieładnie.

Doskonale znał stwierdzenie, które przed momentem usłyszał. Zwykle to on je wygłaszał, gdy wpadał do Vegas na jednego po długim dniu służby, a niekiedy również w trakcie jej pełnienia. Pan Witold puścił do niego oko, jakby to wszystko było tylko żartem, choć napięcie wyczuwalne między mężczyznami sugerowało coś zgoła odmiennego.

– Niech się pan nie martwi – rzucił restaurator, układając okrągłe podkładki do piwa w plastikowym stojaku z logo Żubra. – Jak to mówią, co się wydarzyło w Vegas, zostaje w Vegas.

Policjant mruknął, a później zeskoczył ze stołka barowego i trzasnąwszy drzwiami, opuścił pizzerię. Mężczyzna za barem zaczekał chwilę i gdy był już pewien, że jego gość odjechał, wybrał numer z listy kontaktów. Przytknął komórkę do ucha, po czym zaczął chodzić tam i z powrotem, jakby wziął sobie za cel wydeptanie dziury w podłodze. Po krótkim czasie, który zdawał się mu wiecznością, w słuchawce coś zatrzeszczało i restaurator usłyszał zaspany głos.

– Pan Witek? Coś się stało?

– Pamiętasz tych młodych, co tu balowali wczoraj z córką doktora Jarosza?

– Tych z Sokółów? No pewnie. Wiem nawet, gdzie mieszkają.

– No to chciałbym, żebyś o nich zapomniał.

Cisza w telefonie była tak dojmująca, że aż bolały od niej uszy. Właściciel pizzerii oddychał ciężko, przewracając w palcach papierową podkładkę do piwa.

– Ale jak to, nie rozumiem... – Chłopak, który odebrał połączenie, sprawiał wrażenie zagubionego.

– A co tu jest do rozumienia? Po prostu jak cię ktoś będzie o nich pytał, to nic nie wiesz, nie znasz się, nie orientujesz się, zarobiony byłeś. Znasz ich tylko z widzenia, nie masz nawet pojęcia, jak się nazywają.

– Ale dlaczego?

– Policja ich szuka, Stasiak – warknął mężczyzna, a podkładka, którą ścisnął, zgięła się wpół i pękła.

– No i co z tego?

– Jak to: co z tego? Pomyśl trochę, człowieku. Sam ich przecież obsługiwałeś. Wiesz, co nam grozi, jak gliny z nimi pogadają?

Chłopak znów milczał przez dłuższy czas.

– Aaa... – powiedział w końcu, jakby wreszcie się obudził. – Nie no, spokojnie, panie Witku, głupi nie jestem, przecież wiadomo, że szefa nie wydam.

– Mnie? A bo to ja za barem wczoraj stałem?

– Ale przecież pan kazał...

– Co kazał? – przerwał mu. – Masz to na piśmie? Ty mi tu lepiej nie podskakuj, tylko trzymaj gębę na kłódkę. Zrozumiano?

– Dobrze, już dobrze. Niech się tak szef nie gorączkuje. Powiem, co trzeba.

Właściciel knajpy rozłączył się, ale zamiast uczucia ulgi dopadł go gryzący w gardle niepokój. Cisnął ze złością zepsutą podkładkę do kosza, a następnie zaczął dreptać po lokalu, nie mogąc się na niczym skupić. Wreszcie ruszył na zaplecze, skąd przyniósł skrzynkę

z narzędziami. Z jej wnętrza wygrzebał niewielki śrubokręt, po czym udał się do ogródka. Rozejrzył się płochliwie dookoła, by sprawdzić, czy przypadkiem nikt go nie obserwuje, stanął na jednej z drewnianych ławek i stękając, odkręcił kamerę przytwierdzoną do ściany budynku. Kiedy zdyszany zszedł na ziemię, jego samopoczucie wcale nie uległo poprawie.

Dotarło do niego, że popełnił błąd, który może go wiele kosztować.

\*

Z północy nadciągnął chłodny wiatr, który podrywał drobiny piasku z pobocza i miotał nimi, bezlitośnie siekąc policzki funkcjonariuszy przeszukujących drogę z domu Jaroszków do kościoła. Snopy światła latarek dźgały ciemność, odzierając z nocnego płaszcza rowy i pola w odległości stu metrów od jezdni. Nigdzie jednak nie natrafili na żaden ślad dziewczyny. Jakby w ogóle tamtędy nie szła.

Weronika Sowińska rozmasowała zziębnięte dłonie. Jej wzrok prześlizgiwał się po okolicy w nadziei, że ujrzy coś, co naprowadzi ich na nowy trop, aż natrafił na sylwetki bliskich dziewczyny. Bogdan Jarosz i jego syn, którzy uparli się, by dołączyć do poszukiwań, przeczesywali przydrożne zarośla z desperacją widoczną w każdym ruchu. Było jej ich szkoda, przez co nie potrafiła powiedzieć mężczyznom, że to, co robią, jest bezcelowe. Patrzyła więc tylko na zmagania brata i ojca Alicji, nie ingerując w nie. Pozwalała im karmić się nadzieją i wspierała ich wiarę w to, że na cokolwiek jeszcze mają wpływ.

Za jej plecami przemknął czerwony fiat, który najpierw prawie zjechał do rowu, a następnie przystanął kilka metrów dalej, zatrzymując się w poprzek drogi z piskiem opon. Głowy policjantów i Jaroszków zwróciły się w tamtym kierunku. Weronika odniosła

wrażenie, że we wnętrzu fiata doszło do szarpaniny. Drzwi samochodu otworzyły się gwałtownie, po czym wysiadła z niego niska, korpulentna postać, ścigana wołaniem kogoś ze środka, i zaczęła truchtać w stronę funkcjonariuszy. Zmierzała ku nim stara kobieta w długiej spódnicy, z rozwianymi włosami uciekającymi z siwego koka. Tuż za nią biegła młodsza, która najwyraźniej próbowała zatrzymać staruszkę.

Jej dłonie chwyciły ramię uciekającej i obie zaczęły się szamotać.

– Mamo, przestań! W szpitalu dopiero byłaś! – krzyczała błagalnie rachityczna pięćdziesięciolatka, ale starsza z nich nie zamierzała jej słuchać.

Wyrwała łokieć z ciasnych objęć córki i zamiatając spódnicą uliczny kurz, z determinacją zmierzała na miejsce poszukiwań. Kiedy przechodziła obok przydrożnej kapliczki, uniosła dłoń do czoła, by wykonać niedbały znak krzyża, a później odszukała spojrzeniem Bogdana Jarosza i podeszła do mężczyzny, z trudem łapiąc oddech.

– Ja ją widziałam – rzuciła drżącym głosem. – Widziałam ją dziś rano. Bo to jej szukacie, prawda?

Po ulicy przetoczył się szmer, po którym zapadła pełna napięcia i wyczekiwania cisza. Sowińska z Jaroszem spojrzeli po sobie, a brat Alicji cofnął się o krok.

– Chodźmy do domu, lekarz kazał ci się oszczędzać, proszę – szepnęła jej córka, chwytając matkę pod ramię.

Była w tym geście łagodność oraz troska, jakby zwracała się do dziecka, które jeszcze nie wszystko rozumie. Staruszka niemo pokręciła głową. Jej pomarszczoną twarz i wyblakłe spojrzenie przepełniał smutek.

– On musi wiedzieć – upierała się. – Musi wiedzieć, że jego córka nigdy nie wróci.

Ojciec dziewczyny zadrżał. Zebrani wstrzymali oddech, ktoś prychnął, a jeden z policjantów rzucił pod nosem: „Idź już, kobieto, wstydu nie masz”. Kuba Jarosz zacisnął palce na obudowie latarki tak mocno, że jego ręka wpadła w dygot, a córka staruszki, pokrywszy się rumieńcem, spuściła wzrok.

– Co też pani opowiada, pani Kruszewska? – włączyła się Sowińska, która dotychczas z zainteresowaniem śledziła przebieg wydarzeń.

Podeszła do kobiety i z zafrapowaną miną nachyliła się nad nią, mrużąc oczy.

– Prawdę mówię. Poszła we mgłę, sama widziałam.

– Gdzie?

– Tam, gdzie oni wszyscy – wyjaśniła. – Skręciła na most, a potem zniknęła w tej bieli. Nawet nie spojrzała za siebie, szła, jakby coś ją tam wołało. Noga za nogą. Jak w transie.

Ludzie zaczęli szeptać. Bogdan Jarosz pobladł jeszcze bardziej, a jego syn objął ramieniem ojca, sam przygryzając dolną wargę.

– Cicho! – zawołała aspirantka, ucinając dyskusje, po czym zwróciła się do Kruszewskiej: – Kiedy to było?

– Dzisiaj przed dziesiątą. Słuchałam transmisji mszy w naszym świętym radiu i zobaczyłam, jak córka doktora znika we mgle. Ubrana w taką niebieską kurtkę z kapturem, co to w niej do mnie po jajka niedawno przychodziła. – Strząsnęła z ramienia rękę swojej córki, która subtelnie próbowała ją uciszyć. – A kiedy zginęła mi z oczu, ze ściany spadł kalendarz. Rozumie pani? Latami tam wisiał i nagle zleciał. Przecież to znak.

– Jaki, do licha, znak? – Policjantka nie kryła irytacji. Westchnęła i przewróciła oczami.

– Że to, co zabrało tamtych, wzięło i ją.

Aspirantka Sowińska, nie mogąc dłużej patrzeć na to przedstawienie, odciągnęła kobietę, by porozmawiać z nią na osobności. Kiwnięciem dała znać zaufanemu funkcjonariuszowi, by zajął się pozostałymi członkami ekipy, w szczególności rodziną zaginionej.

Weronika tymczasem wyjęła notes, gdzie spisała słowa staruszki, pomijając fantastyczne teorie na temat mgły, która pochłania ludzi. Córka pani Kruszewskiej przeprosiła za zamieszanie, zrzucając odpowiedzialność za zachowanie matki na karb jej wieku, pogłębiającą się po śmierci męża samotność kobiety i niezaspokojoną potrzebę uwagi.

– Usiłowałam ją zatrzymać – wyjaśniała, w zakłopotaniu ściskając dłoń matki naznaczoną brązowymi plamami. – Ale kiedy przejeżdżaliśmy obok i zobaczyła doktora Jarosza, coś w nią wstąpiło. Zaczęła krzyczeć, że musi mu powiedzieć, szarpnęła kierownicą i o mały włos nie doprowadziła do wypadku. – Potrząsnęła głową, rzucając kobiecie karcące spojrzenie.

Naburmuszona staruszka zabrała rękę córce i prychnęła ze złością. Jej ramiona splotły się na biuście w wyrazie oburzenia.

– Pani mi nie wierzy, ale ja wiem, że mgła nie oddaje tego, co uznała za swoje – rzuciła do policjantki.

Młoda Kruszewska posłała Weronice pojednawczy uśmiech, po czym płaszczem, który zdjęła z siebie, okryła zgarbione plecy matki i powoli poprowadziła ją w stronę samochodu.

\*

Kiedy Krzysztof Lipski wyszedł z pizzerii Vegas, delikatna mgła snuła się ulicami. Po jego plecach przeszedł dreszcz. Miał wrażenie, jakby za koszulę wpełzało mu coś lepkiego i śliskiego.



– Cholera jasna – syknął, z obrzydzeniem pocierając kark.

Wskoczył do samochodu, chcąc jak najszybciej zamknąć za sobą drzwi, i pospiesznie ruszył w stronę komendy. Auto przedzierało się przez ażurową biel, a on czuł, jakby trafił na plan teledysku, w którym świat tonie w oparach. Po raz pierwszy od dawna jego miasto wydało mu się obce i odpychające. Mijał osiedla niskich, szarych bloków, niewielkie sklepiki i billboardy informujące o promocjach w dyskontach. Obejmował wzrokiem puste ulice, kikuty drzew w parku przy domu kultury i ukryte w mroku sylwetki postaci obserwujących go zza firanek. Czy naprawdę tam były, czy tylko je sobie wyobrażał?

Włączył radio, by odegnać niespokojne myśli. RMF FM grało właśnie jedną z tych smutnych piosenek Korteza. Policjant podkręcił głośność.

– „Hej, wy, co na mnie tak patrzycie...” – zanucił do wtóru z wokalistą, gdy telefon leżący na siedzeniu pasażera zawibrował, a na ekranie pojawiła się kopertka zwiastująca nową wiadomość.

Był przekonany, że to jego Ewa niepokoi się długą nieobecnością męża w domu. Zajęty sprawą Alicji Jarosz, zupełnie zapomniał dać jej znać, że tego wieczoru nie wróci wcześniej. Choć właściwie nie był to wyjątek. W ostatnich tygodniach Krzysztof Lipski coraz częściej zapominał o żonie. I nie chodziło o nią, ale o fakt, że czuł się rozczarowany własnym życiem. Jego monotonią i przewidywalnością.

Widok mieszkania odziedziczonego po teściach, przykry zapach na klatce schodowej i odgłos skrzypiących drzwi uświadamiały mu, że nic więcej już na niego nie czeka. Że to jest właśnie jego życie i żadnego innego mieć nie będzie. Wszystko, na co było go stać, to dni odbijane jak przez kalkę, blok z pękającą elewacją, zatłoczony parking i zawód w oczach żony.

Dlatego uciekał. Łapczywie próbował zatrzymać to coś, co nieustannie mu się wymykało. Dogonić przeszłość, znów poczuć energię wibrującą w ciele.

Westchnął ciężko i chcąc uniknąć kolejnej awantury ciągnącej się aż do świtu, przystanął w zatoczce autobusowej. Z niechęcią sięgnął po komórkę i ku swojemu zaskoczeniu zobaczył, że nadawcą wiadomości nie była Ewa, ale osoba, której numeru nie miał na liście kontaktów.

– Co jest? – mruknął i otworzył wiadomość.

Ta okazała się MMS-em. Nie zawierała żadnych słów, tylko zdjęcie wykonane nieopodal osiedla Świt. Na fotografii widoczny był on, uśmiechnięty jak uczeń, który poderwał właśnie najładniejszą dziewczynę w szkole, oraz nachylająca się w jego stronę młoda kobieta. On wyglądał przez otwarte okno samochodu, ona zaś przystanęła na pasach obok wysepki rozdzielającej jezdnię i opierając dłoń o karoserię, zerknęła z zaciekawieniem do wnętrza auta. Obie osoby można było łatwo rozpoznać. Mógłby oczywiście wmawiać żonie, że to ktoś inny, lawirować i szukać wyjaśnień, ale wyraźny profil kobiety nie pozostawiał wątpliwości co do tego, kim była.

– Kurwa mać – zaklął i natychmiast rozejrzał się po okolicy, by upewnić się, że nikt go nie obserwuje.

Przez chwilę patrzył na telefon, jakby ten miał mu odpowiedzieć, co powinien teraz zrobić. Widok fotografii irytował jak ćmiący ból zęba i w końcu, niewiele myśląc, policjant nacisnął symbol słuchawki obok numeru nadawcy wiadomości. W telefonie rozległ się sygnał oczekiwania na odebranie połączenia.

Komisarz zaczął niespokojnie bębnić palcami o kierownicę. Był już pewien, że nikt się nie odezwie, gdy nagle wprowadzające w hipnotyczny stan, przeciągłe „buu” umilkło. Coś zachrząściło

i Lipski założyłby się o wymarzone wakacje w Dubaju, że wychwycił w tle szmer czyjgoś oddechu. Przymknął oczy, by skoncentrować się na dźwiękach, które mogłyby pomóc zidentyfikować osobę po drugiej stronie. Tamta jednak nawet nie pisnęła.

– Bawi cię to? – zapytał policjant, ale rozmówca nie zareagował. – Po co mi to wysłałeś?

Znów odpowiedziała mu cisza. Drażniła uszy i sprawiała, że nozdrza komisarza zaczęły się rytmicznie rozszerzać.

– Taki jesteś odważny? – prowokował, ale człowiek, który odebrał telefon, pozostawał nieugięty.

Rozsierdzony Lipski wcisnął pedał hamulca do oporu, chcąc rozładować narastającą złość. Tak silną, że mógłby wyrywać drzewa gołymi rękami.

– Znajdę cię, przecież wiesz. Namierzę ten twój cholerny telefon i w końcu cię dopadnę. – Przeszedł do etapu straszenia. – Zresztą w miejscu, w którym zrobiłeś zdjęcie, są kamery, cwaniaku. Wystarczy, że przejrzę monitoring, i będę cię miał jak na widelcu – blefował, bo doskonale zdawał sobie sprawę, że tamten obszar nie jest kontrolowany przez czujne oczy kamer.

Jednak i te groźby nie odniosły oczekiwanego efektu. Rozmówca otwarcie z niego drwił. Policjant odsunął komórkę od ucha i zacisnął zęby na kostce dłoni zwiniętej w pięść. Wypluł kilka mało wyszukanych przekleństw, po czym nabrał tchu i podjął ostatnią próbę.

– Słuchaj no, chojraku – rzucił, ale gdy zamierzał przystąpić do negocjacji, rozmówca niespodziewanie zerwał połączenie.

Komisarz siedział jeszcze przez chwilę w bezruchu z niepokojem malującym się na zmęczonej twarzy. Nie potrafił przestać myśleć o tym, że osoba, która wykonała zdjęcie, z pewnością zrobiła więcej ujęć i mogła widzieć rzeczy, których nikt zobaczyć nie powinien.

Postanowił, że gdy tylko dotrze na komendę, skontaktuje się z operatorem i ustali nazwisko właściciela numeru. Wściekle przekręcił kluczyk w stacyjce, a następnie ruszył z impetem, tak że koła samochodu zapisały na zakręcie.

Kiedy chwilę później parkował pod błękitnym budynkiem z szyldem „Policja”, czuł piasek pod powiekami i ból w dole pleców. Zegar na desce rozdzielczej wskazywał, że do północy zostały dwa kwadransy. Lipski mógłby już pójść do domu, zrobił wszystko, co powinien w takiej sytuacji, a jednak nie znajdował w sobie siły, by wstać. W uszach wciąż pobrzmiwały mu odgłosy tyrady komendanta o tym, że mają wziąć się do roboty i poważnie potraktować zaginięcie córki doktora Jarosza.

Przed oczyma majaczyły powidoki kadru z nim i młodą kobietą rozmawiającymi pod osłoną nocy.

Oparł głowę o zagłówek i uwolnił powietrze nagromadzone w płucach. Potrzebował snu, by rano z grupą poszukiwawczą przeczesać okolice wokół bagien, które – jak dowiedział się z nagranej na pocztę wiadomości od aspirant Sowińskiej – stara Teresa Kruszewska wskazała jako miejsce ostatniego pobytu dziewczyny. Postanowił, że upora się z tym, co niezbędne, i wróci do domu.

Wysiadł z wectry, a potem, idąc w stronę komendy, sięgnął do kieszeni po żółtą karteczkę, którą dostał od właściciela pizzerii, i wybrał numer pracownika Vegas. Po chwili w słuchawce odezwał się cichy, jakby przestraszony, męski głos:

– Halo?

– Dobry wieczór, komisarz Krzysztof Lipski, Komenda Powiatowa Policji Sinice. Czy rozmawiam z panem Stanisławem?

– Tak – odparł tamten niepewnie. – Stanisław Wysocki z tej strony. Coś się stało?

Lipski dreptał przed wejściem, omiatając wzrokiem wyludnione ulice. Chłód owinał się wokół jego szyi jak szal.

– Jeszcze nie wiemy, ale staramy się to ustalić – powiedział. – Interesują mnie nazwiska kilku gości, którzy odwiedzili wczoraj wieczorem pizzerię Vegas. Podobno ich pan zna. Mam na myśli trzech chłopaków z Sokołów. Wyszli z lokalu z Alicją Jarosz.

– Kurczę, nie jestem pewien, o kogo panu chodzi. Mieliśmy wczoraj niezły młyn. Przez knajpę przewaliły się jakieś dzikie ilości ludzi, trudno coś powiedzieć.

Krzysztof przewrócił oczami.

– Tak? I ci wszyscy goście byli akurat z Sokołów? – powątpiewał, chcąc przyłapać Wysockiego na kłamstwie.

Chłopak stęknął.

– Nie no, raczej nie.

– To przestań pierdolić i powiedz, jak nazywali się ci chłoptasie, którzy usiedli przy stoliku z Jarosz.

– Ale ja naprawdę nie wiem, o kim pan mówi. Z jaką Jarosz? Ja jej nawet nie kojarzę.

– To mam nadzieję, że za chwilę odzyskasz pamięć, bo dziewczyna zaginęła dziś rano i jeśli spadnie jej chociaż włos z głowy, będziesz pierwszym, który za to odpowie. Na komendzie nie będę z tobą rozmawiał tak miło jak przez telefon.

Poirytowany komisarz kopnął leżący na parkingu kamień, który wpadł do studzienki kanalizacyjnej, a pracownik Vegas głośno przełknął ślinę.

– Nie znam tych kolesi. Widziałem ich kiedyś w Sokołach, ale...

– Gdzie ich widziałeś? – wszedł mu w słowo.

– Na stacji benzynowej.

Krzysztof Lipski sapnął nerwowo.

– A może w kościele, co? – ironizował. – Oj, Wysocki, Wysocki, chyba bardzo chcesz, żebyśmy dobrali ci się do tyłka.

– Nie. Mówię prawdę.

– Nazwiska.

– Przysięgam.

– W takim razie staw się jutro o szóstej rano na komendzie w Sinicach. Spiszemy te twoje bzdury w protokole. Słowo po słowie, żebyś potem mógł się tłumaczyć przed sądem.

– To konieczne?

– Wystarczą mi dane jednego z nich. – Policjant słyszał, jak chłopak ciężko oddycha, i postanowił zaczekać.

– Majewski. Marcin Majewski – wysapał z trudem rozmówca. – Wołają go Majki.

– Nie można było tak od razu? Dlaczego nie chciałeś powiedzieć? Boisz się ich?

– Nie.

Komisarz zmrużył oczy w zastanowieniu. Podczas rozmowy wyczuwał niepokój i napięcie pracownika pizzerii, jakby tamten uważnie kalkulował konsekwencje informacji, które ujawnia. Lipski nie mógł tego stwierdzić z niezachwianą pewnością, ale coś podpowiadało mu, że chłopakiem kierował lęk.

– Jeśli nie ich, to kogo? – drążył.

– Myślę, że dostał pan już to, czego chciał – uciął Stanisław i się rozłączył.

Krzysztof Lipski jeszcze przez moment rozważał jego słowa, po czym wszedł do komendy. Dźwięk przychodzącego połączenia dogonił go, gdy znalazł się przy biurku. Przekonany, że tym razem to już na pewno Ewa, odebrał, nie patrząc nawet na ekran. I rzeczywiście w słuchawce zabrzmiał głos jego żony. Mocny i wyraźnie zdenerwowany.

– Musimy porozmawiać. Kiedy wrócisz do domu?

Komisarz przystanął z telefonem przyciśniętym ramieniem do ucha, jednocześnie nieporadnie usiłując zdjąć kurtkę.

– Niedługo, muszę zrobić jeszcze kilka rzeczy. Mam dziś urwanie jaj. Zaginęła córka Jarosza, tego lekarza.

– Wiem, cały sinicki internet już huczy od plotek. Jakaś godzinę temu jej brat wrzucił na Facebooka post z prośbą o pomoc, skierowaną do każdego, kto mógłby wiedzieć cokolwiek na temat zniknięcia Alicji. Informacja roznosi się po sieci jak wirus.

– Czyli wszyscy już wiedzą – mruknął bardziej do siebie niż do żony. – Zaczekaj chwilę.

Zawiesił kurtkę na krzesło, a później usiadł na nim i pospiesznie przejrzał posty na portalu społecznościowym. Wiele osób zdążyło już udostępnić zdjęcie nastolatki z apelem jej brata o wsparcie. Krzysztof oparł czoło na dłoniach i zaczął masować palcami skronie. Pod skórą wyczuwał przyspieszony puls, a intuicja podpowiadała mu, że tej nocy długo jeszcze nie przyłoży głowy do poduszki.

– Jestem już – rzucił do słuchawki. – Sprawdziłem, co się dzieje na Facebooku. Sporo tego. Obawiam się, że będę musiał to wszystko przejrzeć. Połóż się, nie czekaj na mnie.

– Wykluczone. Zrobisz to później, teraz naprawdę musimy porozmawiać. – Stanowczo podkreśliła ostatnie słowa.

Lipski jęknął, nie rozumiejąc, dlaczego Ewa się tak upiera.

– Jeśli chcesz mnie zasypać pretensjami, to zlituj się i odłóżmy tę część do jutra, dobra? Naprawdę mam teraz dużo na głowie.

– Będziesz miał jeszcze więcej, jeśli za chwilę nie zobaczę cię na parkingu pod blokiem.

– Boże, Ewa, piłaś? Co to za melodramaty?

– Przestań robić ze mnie idiotkę, Krzysztof! – fuknęła ostro. – Dostałam twoje zdjęcie.

Policjantowi zrobiło się gorąco. Odruchowo sięgnął dłonią do górnego guzika koszuli, ale zorientował się, że odpiął go już wcześniej.

– O czym ty mówisz?

– Dam ci szansę, żebyś się wytłumaczył, ale jeżeli zaczniesz kręcić, przysięgam, że sama wrzucę je do sieci. Po tym wszystkim, co mi zrobiłeś, nie zawaham się ani chwili.

– Jakie zdjęcie, do cholery?! – Komisarz ścisnął w palcach ołówek tak mocno, że ten pękł z trzaskiem.

– To, na którym widać ciebie i Alicję Jarosz.

Po raz pierwszy od dziewiętnastu lat, odkąd został mężem Ewy, nie potrafił wydobyć z siebie odpowiedzi. W jego wnętrzu coś tąpnęło, jak zerwany w czasie trzęsienia ziemi strop budynku. Było mu na przemian zimno i gorąco, a jego dłonie zaczęły drżeć.

– Jadę – szepnął głosem przestraszonego chłopca.

\*

Kiedy Lipski parkował pod blokiem przy Pierwszego Maja, wszystko go drażniło. Klimatyzacja albo dmuchała mu w twarz afrykańskim powietrzem, albo próbowała wywołać u niego zapalenie płuc zimnymi powiewami. Sąsiad znów krzywo zaparkował samochód, przez co Krzysztof nie mógł otworzyć szeroko drzwi i musiał się przeciskać. Na klatce śmierdziało papierosami i kocim moczem, a pod skrzynką na listy poniewierały się tony ulotek. Policjant przeklął, odsuwając je stopą pod ścianę, po czym z niechęcią pokonał siedem stopni i wszedł do mieszkania.

Ewa czekała w dużym pokoju. Zobaczył ją, gdy tylko przekroczył próg. Siedziała przy stole z pilotem od telewizora w dłoni, ubrana



w szlafrok. Na widok męża odwróciła twarz jak ktoś obrażony i zaczęła wyrównywać obrus.

– Umyję ręce i zaraz jestem – rzucił, chcąc odwlec rozmowę.

Z lustra nad umywalką patrzył na niego facet po czterdziestce, o zmęczonej twarzy. Czoło znaczyły poziome zmarszczki, a na skórze widniały czerwone plamy wywołane stresem. Komisarz strzepnął resztki wody z dłoni, które następnie wytarł o ręcznik. Widok foliowej zastłonki nad wanną, ciasnota łazienki oraz cieknąca w spłuczce woda, która przestawała płynąć dopiero po uderzeniu obudowy zbiornika, sprawiły, że znów poczuł się oszukany przez życie. Dałby wiele, by cofnąć czas i podjąć inne decyzje, przeżyć to wszystko jeszcze raz, tylko inaczej, ale wiedział, że takie rzeczy możliwe są jedynie w bajkach.

Zgasił w łazience światło, by po chwili znaleźć się w salonie. Te kilka kroków korytarzem nigdy wcześniej nie dłużyło mu się tak, jak tej nocy. Ewa patrzyła na wyciszony telewizor, jakby jej mąż nie wysunął przed momentem krzesła spod stołu i nie usiadł naprzeciwko niej. Traktowała go, jak gdyby był przezroczysty niczym tafla szkła.

– Chciałaś porozmawiać – zaczął.

– Może jeszcze mnie zapytasz o czym? – Wbiła w Krzysztofa ostre spojrzenie, po czym odwróciła w jego stronę komórkę z tym samym zdjęciem, które otrzymał wcześniej z nieznanego numeru. – Wytłumaczysz, co robiłeś z tą dziewczyną?

Usztywnił się.

– Zamieniliśmy tylko parę słów.

– Tak? A na jaki temat? Może chciała zapytać o drogę? – Ewa przesunęła zdjęcie w bok i na ekranie telefonu pojawiło się inne ujęcie przedstawiające Jarosz już w samochodzie na fotelu pasażera. – Jesteś łgarzem, nikim więcej – syknęła.

Lipski poczuł, że zaczyna mu brakować powietrza.

– Podwiozłem ją do domu, to wszystko. Poza tym to stare zdjęcie.

– Przestań! – Ewa uderzyła pięścią w stół, a on pomyślał, że zaczyna się jej bać. – Tę kurtkę – dotknęła palcem ekranu – kupiłam ci tydzień temu, nawet tego nie pamiętasz.

Tym razem to on odwrócił głowę i wbił spojrzenie we wzór na dywanie. Pocierał niespokojnie dłonie, a jego żona zaciskała wargi, by powstrzymać ich drżenie. Wyglądali, jakby ktoś zatrzymał czas, utrwalając ich w tym dziwnym, przesyconym samotnością kadrze. Tak blisko, a zarazem kilometry od siebie.

Zegar nad stołem tykał, złośliwie odmierzając czas. Przez ściany bloku do pokoju wsączały się odgłosy dochodzące z sąsiednich mieszkań. Na obrusie stała szklanka z czarną herbatą. Kawalek dalej leżały łyżeczka i kilka zużytych chusteczek higienicznych, a na regale telewizyjnym widniało ich ślubne zdjęcie oprawione w pozłacaną ramkę.

– Gdzie byłeś wczoraj w nocy? Z nią? – przerwała ciszę Ewa.

Krzysztof westchnął.

– Tylko ją podwiozłem, przysięgam. – W jego głosie pobrzmiwała rezygnacja. – Zatrzymała mnie, bo jacyś menele ją zaczepiali i uznała, że będzie bezpieczniej, jeśli odstawię ją pod dom. Pewnie kojarzyła mnie jeszcze z liceum, przychodziłem do nich czasem na różne takie pogadanki.

– Jej rodzice wiedzą, że poprzedniej nocy jechaliście razem samochodem?

– Nie muszą, nie ma o czym.

– Czy wiedzą? – powtórzyła bardziej stanowczo, zgniatając w rozdygotanej dłoni jedną z papierowych chusteczek.

– Oczywiście, że nie. To nie ma żadnego związku z jej zaginięciem. Ta informacja tylko niepotrzebnie namiesza im

w głowach.

– A może w twoim życiu, co?

– O co ci chodzi? – Poruszył się gwałtownie, popychając stół. Herbata w szklance zatańczyła i czarna kropla spłynęła po szkle, a później wylądowała na obrusie.

– Minionej nocy odwozłeś dziewczynę, która zaginęła następnego dnia. Nie powinieneś zostać dopuszczony do tej sprawy, bo możesz mieć z nią coś wspólnego. Dziwię się, że jeszcze nikt na to nie wpadł i cię nie przesłuchał.

Lipski parsknął, a następnie ukrył ręce pod stołem, by żona nie zauważyła ich dygotu.

– Nie rozśmieszaj mnie. Nie zrobiłem niczego złego.

– To gdzie byłeś później? Jarosz poszła do domu, a ty? Kiedy obudziłam się koło czwartej, nie zastałam cię w sypialni. Łóżko po twojej stronie było puste.

– Siedziałem tutaj, na kanapie – wyjaśniał, patrząc w noc za oknem, jakby gdzieś tam znajdował się sufler, który podrzucał mu kwestie. – Chciałem po prostu pobyc sam, przemyśleć sobie to wszystko, co ostatnio mnie dręczy, a potem zmarzłem i wróciłem do łóżka. – Zawstydzony swoją otwartością, zaczął skubać płatek ucha.

– Czy ty w ogóle słyszysz, co wygadujesz? Wiesz, jak to brzmi? Jak jakiś tani kit. – Podniosła do ust herbatę, ale gdy tylko upiła łyk, jej wargi wygiął grymas niesmaku i natychmiast odstawiła szklankę.

Policjant zamilkł, zakładając, że żona i tak go nie zrozumie. Co więcej, był przekonany, że jeśli zacznie się bronić, narobi sobie jeszcze więcej kłopotów niż wtedy, gdy nie powie nic. Wodził więc w ciszy palcem po pustym talerzyku, zbierając okruchy ciastek, a Ewa ścierała herbacianą plamę z obrusu z taką intensywnością, że chusteczka rozpadła się na kawałki.

– Zapytam tylko raz, więc zastanów się, zanim mi odpowiesz – uprzedziła. – Masz coś wspólnego z jej zniknięciem?

Komisarz przecząco pokręcił głową, a Ewa jeszcze przez chwilę lustrowała go niczym wyjątkowo rzadki okaz.

– Skoro nie masz nic na sumieniu, to dlaczego nie powiedziałeś o tym jej rodzicom? Nie rozumiem. Patrzyłeś im w oczy, gdy składali zawiadomienie o zaginięciu, i milczałeś?

Krzysztof w bezradności wbił paznokcie w siedzisko krzesła.

– Ta wiedza i tak nic by im nie dała, a zważywszy na okoliczności, niepotrzebnie ściągnąłbym na siebie podejrzenia. Nie mówiąc już o tym, że gdyby mnie odsunęli, Sowińska sama nie ogarnęłaby koordynacji czynności poszukiwawczych i sprawa by zdechła. Spełniłem obowiązek, zabrałem podchmieloną nastolatkę do domu, i tyle. Gdybym wiedział, że następnego dnia zniknie, zapewniam cię, że trzymałbym się od niej z daleka.

– W takim razie powiedz prawdę teraz. Zrób to, zanim ktoś inny cię oczerni i umieści te zdjęcia w internecie – zażądała. – To jedyne wyjście. Jaroszowie muszą wierzyć, że niczego przed nimi nie ukrywasz. Nie mogą dowiedzieć się z sieci albo anonimowej wiadomości, jak ja.

– Oszalałaś? Nie ma mowy.

– Zrozum, jeśli opowiesz o wszystkim sam, zdołasz się z tego jakoś wyłgać i będziesz miał szansę przedstawić swoją wersję. W przeciwnym razie pozostanie ci tylko odpieranie ataków.

– Już za późno, to poszło za daleko. Nie rozumiesz? Bez względu na to, jakich wymówek użyję, będę spalony. Ludzie wydadzą wyrok, zanim się obejrzymy. Na tym etapie muszę trzymać gębę na kłódkę.

Ewa podniosła się z krzesła i z zaciśniętą szczęką zaczęła zbierać mokre chusteczki ze stołu, upychając je nerwowo w kieszeni szlafroka.

– Mam nadzieję, że dobrze sobie to wszystko przemyślałeś, bo kiedy twoi przełożeni odkryją, co zataiłeś, wywalą cię stamtąd na zbity pysk – wypaliła, ze złością wymachując rękoma. – Nie mówiąc już o Bogdanie Jaroszu, który wpadnie w szal i postawi na nogi całą sinicką, a może nawet i wojewódzką policję, żeby dobrali ci się do tyłka. – Włożyła do szklanki łyżeczkę i złapała naczynie za uchwyt. – Podejrzewasz chociaż, kto mógł zrobić to zdjęcie?

– Nie, ale pół godziny temu dostałem identycznego MMS-a.

Żona Lipskiego mruknęła.

– Tylko skąd ten ktoś miałby nasze numery? Mój jest dostępny w sieci przy ogłoszeniu o prywatnych lekcjach angielskiego, ale twój?

– Ma go mnóstwo ludzi, to mógł być każdy.

Strzepnął z rękawa niewidzialny pyłek, a potem poprawił mankiety koszuli. Ewa przesunęła palcami po krótko obciętych włosach.

– Ten człowiek powiedział, czego chce? Chodzi o pieniądze?

– Raczej o władzę, pokazuje, że ma mnie w garści. Myślę, że go to kręci. Chce, żebym się go obawiał.

– I z tego, co widzę, świetnie mu to wychodzi – rzuciła, kierując się w stronę wyjścia.

– Ewa... – Zatrzymał ją, chwytając za rękaw szlafroka żony. – Mam nadzieję, że nie zamierzasz mnie szantażować?

Przymknęła na moment powieki, nabrała tchu, a później spojrzała na niego jak na kogoś, kto wyrządził jej krzywdę.

– Nie da się szantażem zmusić drugiej osoby, by cię kochała – odparła łamiącym się głosem. – Mam zamiar cię chronić, bo w przeciwieństwie do ciebie co noc siedzę przy tym cholernym stole i czekam na twój powrót. Gapię się w migające obrazki na ekranie telewizora i marzę tylko o tym, żebyś tu wszedł i przytulił mnie jak kiedyś. Nie wiem, czego szukasz nocami tam, na zewnątrz –

wskazała za okno – ani czego ci brakuje, ale... – Głos uwiązł jej w gardle, zamrugła powiekami, by powstrzymać łzy.

Po chwili jednak przegrała tę walkę i po jej policzku spłynęła słona kropla. Lipski spojrzał na czerwoną, nabrzmiąłą od smutku twarz żony. W pierwszym odruchu chciał ją objąć i pokazać, że nie jest tym, za kogo go uważa, opisać to poczucie braku sensu, które męczyło go od miesięcy, ale nie potrafił się na to zdobyć. Sam wydawał się sobie żaloszny.

Przełknął gorycz i położył nieśmiało dłoń na przedramieniu Ewy. Kobieta odsunęła się gwałtownie.

– Dopóki będziesz mówił prawdę, będę stać po twojej stronie. Jeśli jednak okaże się, że spałeś z tą dziewczyną albo masz jakikolwiek związek z jej zaginięciem, bez wahania przekażę zdjęcia policji i Jaroszm – rzuciła, a później zabrała szklankę z niedopitą herbatą i wyszła z pokoju.

W Lipskim aż się gotowało. Zmiał w palcach obrus i gwałtownym ruchem zrzucił go na podłogę, przewracając wazonik ze sztucznym kwiatem.

– Kurwa mać – warknął pod nosem, gdy na jego telefon przyszła nowa wiadomość.

Pochodziła z tego samego numeru, z którego wcześniej otrzymał MMS-a. Krzysztof otworzył ją poirytowany i w mgnieniu oka pobrał, a jego gniew zamienił się w niepokój.

„Kto dowie się następny? Aspirant Sowińska czy młody Jarosz? Wybieraj. Daję ci pięć minut. Jeśli nie podejmiesz decyzji, oboje dostaną zdjęcia”.

\*

Krzysztof Lipski nerwowo chodził po pokoju, przyciskając komórkę do ucha.

– No odbierz, do cholery – błagał.

Zegar na ścianie wskazywał kwadrans po północy. Mężczyzna zaczął przygryzać paznokcie kciuka, a gdy włączyła się poczta głosowa, zostawił krótką wiadomość z prośbą o pilny kontakt, rozłączył się i zadzwonił raz jeszcze.

Czuł, że cały dygocze. Jego stopy szurały o dywan, a sekundowa wskazówka przesuwiała się nieubłaganie po tarczy zegara. Wtem głuchy sygnał oczekiwania na połączenie umilkł i policjanta dobiegł nieco zasapany głos aspirant Sowińskiej.

– Co tam? Byłam pod prysznicem. Coś nowego w sprawie Jarosz? Komisarz przełknął ślinę.

– Wczoraj w nocy podwiozłem Alicję Jarosz do domu. Wracła z Euforii, była podchmielona i poprosiła mnie o pomoc – wyrzucił na jednym oddechu. – Wysadziłem ją prawie pod furtką i wróciłem do siebie, ale ktoś zrobił nam zdjęcie i teraz mnie nim szantażuje.

Po drugiej stronie zapadła cisza. Najgorsza z możliwych odpowiedzi. Lipski odgryzł skórę przy paznokciu i syknął z bólu. Założył, że aspirantka na niego naskoczy, wścieknie się i da mu wykład o odpowiedzialności, ale ona milczała, przez co poczuł się jeszcze bardziej winny.

Znali się od dobrych dziesięciu lat i zawsze mogli na sobie polegać. To on wprowadził młodszą funkcjonariuszkę w świat mundurowych i nauczył ją wszystkiego, co potrafił. Z czasem odkrył, że Weronika poza determinacją i bystrym analitycznym umysłem miała również niebывałą intuicję, a jej przeczucia pomogły rozwikłać kilka skomplikowanych spraw.

Westchnął. Pospiesznie wysłał szantażyście przygotowaną wcześniej wiadomość z nazwiskiem Sowińskiej, po czym wrócił do

rozmowy:

– Posłuchaj, wiem, jak to wygląda, ale przysięgam, że nie mam nic wspólnego z jej zaginięciem. Gdybym wiedział, jak się sprawy potoczą, nie bawiłbym się w gentlemana, tylko zamówił dziewczynie taksówkę.

Mięśnie komisarza napięły się w oczekiwaniu. Wyobraził sobie, jak policjantka po drugiej stronie marszczy brwi, a jej zaufanie do niego topnieje.

– Dlaczego nic nie powiedziałaś? – Głos Weroniki brzmiał obco i chłodno.

– Bo zamiast skupiać się na tym, co naprawdę ma znaczenie, roztrząsalibyśmy pieprzone dziesięć minut, które spędziłem z Jarosz w samochodzie.

– I co, nagle uznałaś, że musisz się tym podzielić? Dlaczego dzwonicz akurat teraz?

Odsunął komórkę od ucha i uderzył pięścią w ścianę tak mocno, że po chwili sąsiad odpowiedział mu podobnym łomotem oraz poirytowanym gderaniem. Przez jego rękę przeszedł prąd, kostki dłoni zapiekły. Rozmasował je, zauważając, że wysuszona skóra na knykciach pękła w kilku miejscach, a drobne rany szybko wypełniły się czerwienią.

– Ten skurwiel dał mi pięć minut i kazał wybrać osobę, do której wyśle zdjęcie – wyznał. – Zaproponował ciebie albo brata Jarosz. Gdybym nikogo nie wskazał, fotografia trafiłaby do was obojga.

– Czyli strach cię obleciał – podsumowała. – Sęk w tym, że nie dostałam żadnego zdjęcia. Dałaś się podpuścić. I muszę przyznać, że ten, kto cię wyrolował, całkiem sprytnie to wymyślił. Przewidział, że postawisz na koleżankę z pracy i spróbujesz przygotować sobie miękkie lądowanie, uprzedzając mnie o całej sprawie. Dzięki temu sam się podłożyłeś.



Wzór na tapecie zdawał się wirować przed oczyma Krzysztofa. Zamrugnął, by wyostrzyć obraz, i z rezygnacją opadł na krzesło. Złość wypełniła go od stóp po koniuszki czerwonych uszu. Dźgał długopisem odłożony na regale egzemplarz krzyżówek panoramicznych, jakby to miało ukoić rozdrażnienie.

– Czy możesz zachować tę informację dla siebie? – poprosił. – Nie chcę, żeby Jaroszowie się dowiedzieli, teraz to wypadnie naprawdę fatalnie.

– Chyba żartujesz. Miałabym cię kryć przed jej rodzicami? Trzeba było myśleć o tym wcześniej. Zanim zdecydowałeś się zataić przed nimi nocną przejażdżkę z ich córką.

– Weronika, nie wygłupiaj się – mówił łagodnie, coraz mocniej wbijając długopis w okładkę krzyżówek. – Znasz mnie przecież tyle lat. Poza tym wiesz, że ta informacja nie wpływa w żaden sposób na czynności poszukiwawcze. Spędziłem z nią zaledwie kilka minut. Nawet nie gadaliśmy zbyt wiele. Dziewczyna była wstawiona, zatrzymała mnie przy zjeździe na osiedle Świt. Powiedziała, że źle się czuje i boi się sama wracać do domu. Co miałem zrobić? Ty byś postąpiła inaczej?

– Tak. Powiedziałabym o tym jej rodzicom i tobie – odparła z niezachwianą pewnością. – Mogę jeszcze zrozumieć, dlaczego ukryłeś ten fakt przed Jaroszami. Było dużo emocji, nie chciałeś zostać odsunięty ani brany pod lupę, ale że mnie nie pisałeś ani słówka? Co się z tobą dzieje, Krzysiek?

Zaczął szarpać odstający fragment tapety.

– Teraz ci mówię. To nie wystarczy?

– Trochę za późno.

– Kurwa, Wera, co mam zrobić, żebyś mi uwierzyła?

W słuchawce zapadła cisza wypełniona jedynie szmerem oddechu policjantki. Wypuściła powietrze z płuc, jak ktoś, kto ma za sobą

koszmarny dzień.

– Nie chodzi o to, czy ci wierzę, tylko o zasady, które złamałeś – wyjaśniła. – Musisz się przyznać, bo prędzej czy później to i tak wypłynie. Skąd wiesz, czy ten człowiek nie wysłał fotki bratu Alicji?

– To wtedy będę się tym przejmował. Poza tym powtarzam ci, nie mam nic na sumieniu. Jeśli chcesz, weź mnie na wariograf – zaproponował. – Udowodnię, że mówię prawdę.

– Kompletnie ci odbiło. Wiesz, w jakim świetle mnie to postawi?

Lipski ścisnął nasadę nosa, po czym sięgnął po argument, którego nie chciał używać, ale poczuł się do tego zmuszony.

– Kiedy rok temu poprosiłaś mnie o przysługę, nawet nie pisałem. Zrobiłem, co trzeba, by chronić twój tyłek. Nagrania z monitoringu, na których widać, jak niszczysz samochód należący do niejakiego Łady, nigdy nie ujrzały światła dziennego.

– To inna historia. Dobrze wiesz, że ten gnojek zastraszał moich rodziców i wymuszał na nich haracz. Przez niego moja matka wylądowała na oddziale nerwicowym.

– Może przez niego, może nie. Takie rzeczy udowadnia się w sądzie, sami uczymy tego ludzi. Nie można wymierzać sprawiedliwości na własną rękę.

– Krzysztof, jeśli zamierzasz... – warknęła, ale nie pozwolił jej dokończyć.

– Pokazuję ci tylko, że nadeszła twoja kolej, by przemilczeć sprawę, która cię nie dotyczy, i oddać przysługę. Rozumiesz? – Znowu mówił pewnym, zdecydowanym głosem, a gdy Weronika nie odpowiadała, dodał: – Zamiast tracić energię na dyskusje, znajdziemy Jarosz i ustalmy, kim jest nadawca tych zdjęć.

Sowińska milczała przez jakiś czas, a on w napięciu wstrzymał oddech.

– Podaj mi jego numer. Sprawdzę, do kogo jest przypisany – odparła oschle.

Policjant przesłał koleżance dziewięć cyfr w SMS-ie.

– A co, jeśli on już wtedy śledził dziewczynę i stanąłem mu na drodze? – zapytał. – W jego działaniu jest jakaś chora premedytacja. Najpierw zrobił kilka fotek z ukrycia, a potem odegrał tę szopkę z rozsyłaniem ich. Po co to wszystko?

– Według mnie stoi za tym jakaś osobista uraza. Gdyby był zamieszany w zaginięcie Jarosz, wrzuciłby zdjęcie do sieci, by skierować podejrzenia na ciebie, a on rozgrywa to tylko między wami. Zażądał czegoś za milczenie?

Lipski zaprzeczył.

– Dziwne. Po tym, jak brat zaginionej opublikował w sieci post z prośbą o pomoc, ludzie oszaleli. Całe Sinice dzielą się teraz informacjami na temat Alicji, a tymczasem on prowadzi tę swoją grę tylko z tobą.

– Monitorujesz te wpisy?

– Próbuję, ale jest tego tyle, że ledwie nadążam. Zaczekaj chwilę – rzuciła.

Komisarza dobiegło stłumione wołanie oraz dziecięcy płacz w mieszkaniu Weroniki. Kobieta odkrzyknęła coś, a potem odezwała się do niego:

– Muszę kończyć, moja córka się obudziła. Pogadamy o tym jutro.

– Dobra. Widzimy się rano na poszukiwaniach przy Trakcie Suraskim.

Zamierzał już nacisnąć czerwoną słuchawkę, gdy usłyszał głos koleżanki. Zdanie wypowiedziane w emocjach, rzucone jakby do siebie. „Kurwa, Krzysiek, coś ty najlepszego zrobił” – padło, nim Sowińska zerwała połączenie. Lipski poczuł narastające mdłości.

Być może wywołało je wyczerpanie, lecz równie dobrze lęk o to, że teraz Weronika będzie mu się bacznie przyglądać, aż w końcu odkryje to, czego wstydział się nawet przed sobą.



*Maj 2000 roku*

*Dzień wlewa się przez okno do dziecięcego pokoju mieszczącego się na piętrze domu pod lasem. Błady chłopiec o wielkich oczach w zapadniętej twarzy leży na łóżku. Przez jego cienką jak pergamin skórę prześwitują niebieskie żyły. Ręce ma wiotkie, a palce chude jak patyczki. Nasłuchuje. Jego uszy wychwytyją dźwięki krzątania matki, dochodzące z dołu. Rozpoznaje stukot jej kroków, gwizd czajnika, szum odkręcanej wody i szcęk naczyń, które kobieta chowa do kredensu. Wyobraża sobie, jak matka zanurza dłonie w ciepłej, spienionej wodzie, a później starannie szoruje porcelanowy talerzyk i kubek po kawie zbożowej. W dobre dni pod drzwiami jego pokoju prześlizgują się także odgłosy audycji Polskiego Radia albo wesole melodie, przy których matka zapomina o wszystkich zmartwieniach i zaczyna podśpiewywać jak ktoś, kto nigdy nie poznał, co to wstyd.*

*Ten dzień do takich nie należy.*

*Chłopiec przeciera zaspaną twarz, mruga, po czym wychyla się w stronę okna i z wysiłkiem sięga po czerwonego resoraka, który stoi na parapecie obok innych miniaturowych aut. Drobną dłoń trzyma samochodzik, który jeździ po ramie łóżka, wykonując ostre zakręty i imponujące akrobacje. Usta chłopca, wyblakłe jak ubrania zbyt długo suszone na słońcu, naśladują dźwięk pracującego silnika. Podczas zabawy wyobraża sobie, że przemierza pustynne drogi otoczone przez suche połacie traw i czerwone skaliste wzniesienia,*

*podobne do tych, które widział na pocztówce z napisem „Arizona”, schowanej w toaletce matki.*

*Karmi się marzeniami jak inne dzieci landrynkami. Są wśród nich marzenia słodkie, o lodach w czekoladowej polewie i galaretkie pod chmurką bitej śmietany. Marzenia odważne, by polecieć na Księżyc i przejechać samochodem pustynię, jak ci panowie w wyścigu, o którym opowiadał pan Molenda. Są też marzenia głośne, by zabrać mamę na koncert, od którego jej oczy błyszczałyby jak lampki na bożonarodzeniowej choince, i wreszcie marzenia całkiem cichutkie – jak to, by iść do szkoły, usiąść w ławce, stawiać w zeszytach krzywe litery, a na przerwach robić z chłopakami głupie kawały. Tego ostatniego pragnie najbardziej i jednocześnie wie, że to nieśmiałe, szeptane wieczorami przed zaśnięciem marzenie nigdy się nie spełni.*

*Nie jest taki jak wszyscy. Matka powtarza mu to każdego dnia. Jest wątły, chorowity i słaby. Kruchy jak szkło. Pozbawiony odporności, a od jakiegoś czasu także złudzeń.*

*Zanim sprowadzili się do domu pod lasem, ich świat mieścił się w dwóch pokojach i kuchni, które dzielili z babcią Jadwigą oraz jej trzema kotami. Później koty ktoś otruł, a babcia zmarła na białaczkę, choć on był pewien, że z tęsknoty. Dopiero gdy babci zabrakło, dotarło do niego, że wcale nie ma na imię „łamaga”, bo od tej pory nikt inny w budynku z czerwonej cegły już go tak nie nazywał.*

*Ze zdrowiem nigdy nie było u niego najlepiej, często bolały go brzuch albo głowa, ale po śmierci babci Jadwigi zrobiło się naprawdę źle. Jakby ona tamtej ostatniej nocy, gdy charcząc, sterczała nad jego łóżkiem, chciała wyrwać z małego ciała jeszcze choć cząstkę życia, lecz widocznie to, co zdołała zabrać, było dla niej i tak niewystarczające. On jednak zaczął więdnąć. Z każdym dniem opuszczały go siły. Nieustannie czuł się zmęczony i senny, jego*

apetyt słabł, a łazienkowa waga, na której stawał co rano, drwiła z niego, pokazując coraz mniejsze liczby. Matka łapała go wtedy za rękę i prowadziła do doktora.

Najpierw do pana Żarowy, o wielkiej, tysej głowie błyszczącej na czubku. Pachniał miętówkami i sprawiał wrażenie mądrego, ale ilekroć przychodziły wyniki badań, bezradnie rozkładał ręce. Później do Profesora, który posiadał więcej dyplomów na ścianach niż on blaszanych samochodzików. Być może nie były to jednak odpowiednie dyplomy, bo mimo iż wyglądały pięknie w złotonych ramach, nie pomogły Profesorowi zatrzymać dolegliwości małego chłopca. Na końcu odwiedzali doktor Kochaną, mieszczącą w sobie tyle miłości, że ochoczo obdarzała nią pacjentów i ich rodziców. „Wszystko będzie dobrze, kochanieńki” – mówiła na koniec każdej wizyty, a matce chłopca udzielała równie znanej, co bezwartościowej w takich przypadkach rady: „Głowa do góry, kochana”.

Z pewnością miał anemię i dużą podatność na infekcje. Podobno w jego sercu coś szurało, jak człowiek w za dużych kapciach. Niektórzy lekarze podejrzewali rzadkie schorzenie genetyczne. Żonglowali dziwnymi nazwami, jakby to był konkurs, w którym należy wymyślić najtrudniejsze słowo, ale finalnie wszyscy załamywali ręce.

Tylko jego matka się nie poddawała. Wkrótce wystawiła na sprzedaż mieszkanie po babci, a za zarobione w ten sposób pieniądze kupiła dom na podlaskiej wsi. Taki z dużymi oknami, zielonym ogródkiem i budą dla psa. Wprawdzie pustą, ale od czego jest wyobraźnia.

Chłopiec szybko polubił nowe miejsce. Wreszcie ma swój pokój i dużo miejsca, by poustawiać wszystkie resoraki. Brakuje mu tylko sił, by się nimi bawić. Tak jak teraz, gdy czerwony kabriolet wysuwa się ze szczupłych palców, a ręka opada bezwładnie na łóżko.



*W złości gryzie kciuk i zaczyna cicho popłakiwać, a wtedy słyszy kroki na schodach i skrzypienie otwieranych drzwi, w których ukazuje się łagodna twarz matki.*

*– Hej, kochanie, przyniosłam coś dla ciebie – mówi radośnie, ale gdy tylko dostrzeża smutek syna, odstawia na stolik trzymaną w rękach tacę i siada na krawędzi łóżka. – Mam dziś ochotę na coś naprawdę fajnego, a ty?*

*Chwyta w palce drobny podbródek i daje dziecku buziaka w czubek nosa.*

*– Moglibyśmy pójść do parku i zabrać ze sobą te patyki ze sznurkiem do robienia wielkich baniek mydlanych – kontynuuje rozmarzona. – Co o tym myślisz?*

*Chłopiec unosi się lekko na ramieniu, a jego oczy się roziskrzają.*

*– Naprawdę?*

*– No pewnie. Oczywiście o ile będziesz się dobrze czuł – dodaje, a on spuszcza wzrok i zaczyna skubać poszewkę kołdry. – No chodź tutaj, pokaż mi się. – Łapie jego twarz w dłonie, najpierw przytyka rękę do czoła, a później ogląda zapadnięte policzki. – Wyglądasz kwitnąco.*

*Wie, że matka kłamie, lecz mimo to uśmiecha się i dziękuje.*

*– Co jest tam? – Wskazuje na wybrzuszoną ścierkę, która przykrywa naczynie stojące na tacy.*

*– Sam sprawdź – proponuje mama.*

*Podsuwa mu pod nos tacę i gestem zachęca, by podniósł szmatkę. Ona tymczasem przysiada na dywanie, opierając łokcie na dziecięcym łóżku. Chłopiec łapie za róg materiału, a następnie zrywa go jak sztukmistrz odstawiający kapelusz, w którym kryje się królik. Jego oczom ukazują się błyszczące, dorodne truskawki. Dopiero teraz czuje ich słodki zapach, a ślina sama napływa mu do ust.*

– O ja cię! – Młazzcze. – Naprawdę mogę? Nic mi od tego nie będzie?

– Spróbujmy, inaczej nigdy się nie dowiemy.

Chłopiec wpatruje się w zawartość porcelanowej miseczki, jakby ten widok był jedynie fatamorganą, złudzeniem schorowanego organizmu.

– No dalej – zachęca go matka.

Dziecko wyciąga dłoń i ujmuje w palce owoc, a potem zbliża go do twarzy, przymyka oczy i zaciąga się aromatem przywodzącym na myśl lato, pola tonące w słońcu i beztroskę.

Dorodna truskawka znika nagle w ustach chłopca. Sok skrapia jego brodę i szyję, a na pościeli powstaje różowy kleks.

– I jak? – dopytuje matka, gdy sięga po następną.

– Pyszne. Są idealne, dziękuję.

Kobieta tarmosi jego jasne włosy.

– Zjedz sobie. Zejdę rozwiesić pranie i zaraz do ciebie przyjdę – oznajmia, podnosząc się z podłogi.

– A ty nie chciałabyś spróbować? – Wyciąga do niej kruchą rączkę, w której kryje się krwistoczerwona truskawka.

– Ja zjadłam już swoją porcję. Te są tylko dla ciebie – rzuca kobieta, a później posyła mu całusa w powietrzu i zbiega na dół.

W kuchni domyka drzwiczki szafki z lekami, których mają tak dużo, że mogliby otworzyć własną aptekę. Dłonią ściera z blatu drobiny białego proszku, strzepuje je do zlewu i zalewa wodą, obserwując, jak znikają w odpływie. Strzykawkę oraz igłę owija w papierowy ręcznik, by potem cisnąć je do kosza na śmieci. A później siada na krześle i czeka. Drogą przejeżdża listonosz na rowerze. Mężczyzna dzwoni wesóło dzwonkiem, ale nie zatrzymuje się i znika w dali. Dom wypełnia pełna napięcia cisza, tak intensywna, że kobieta słyszy szum płynącej w żyłach krwi.

*I nagle ciszę mąci przeraźliwy krzyk:*

*– Mamo! – Rozpaczliwe wołanie dobiega z piętra. – Mamo!*

*– Już biegnę! – odpowiada kobieta, lecz tak naprawdę wcale się nie spieszy.*

*Idzie na górę powoli, wiedząc dokładnie, co zastanie za drzwiami.*

*Na jej twarzy tańczy uśmiech, ręce dygoczą z ekscytacji.*

*Dopiero gdy ma nacisnąć klamkę, przystaje i przegania radosny grymas, na powrót przybierając maskę zatroskanej matki.*



Teraz

Piątek, 26 kwietnia 2019 roku, Sinice

Wiosna tego roku zdawała się omijać Sinice szerokim łukiem. Chłód nadal doskwierał mieszkańcom, a ostatni tydzień obfitował w ulewne deszcze i zachmurzenia. Tego wieczoru nad łąkami unosiła się gęsta mgła. Przypominała lepka, ciasno utkaną pajęczynę. Kłuła w oczy, wnikała w nozdrza i zostawiała na karku wilgotne pocałunki. Jej tajemniczość kusila i zarazem odpychała. Coś w niej wołało, lecz wystarczyło podejść bliżej, by przedramiona pokryły się gęsią skórka, a ciało zastygło, niezdolne do najmniejszego ruchu.

W drodze na leśną polanę siedemnastoletnia Jagoda Borowiec mijala słupy ogłoszeniowe oblepione wyblakłymi, zniszczonymi przez deszcz ogłoszeniami o zaginięciu Alicji Jarosz. Omiatała je spojrzeniem z uczuciem ściśniętego gardła. Młodej studentki poszukiwano już od dwóch miesięcy i nikt nie potrafił wyjaśnić, co ją spotkało.

Piach chrzęścił pod trampkami licealistki, jej wzrok czujnie badał otoczenie, a niepokój w piersi rósł tym bardziej, im ciaśniej otulał ją kokon z mlecznej mgły. Niespodziewanie dziewczynę dobiegło posapywanie, a po chwili przyprawiające o dreszcz warknięcie. Odskoczyła na bok, w panice rozglądając się dookoła, i wtedy go dostrzegła.

Rottweiler stał naprzeciwko niej, za lichą siatką z drutu okalającą lokalną ubojnię bydła. Grube cielsko na masywnych nogach poruszało się w rytm niespokojnego oddechu. Zwierzę szczyrzyło kły, a z jego pyska skapywała ślina. Jagoda zrobiła krok wstecz i nagle poczuła na ramionach czyjeś dłonie. Zamarła. Nim zdążyła zareagować, za jej plecami rozległo się niskie „buu”, po którym nastąpił wybuch znajomego śmiechu.

– Ty idioto! – krzyknęła, odwracając się w stronę Filipa Klepackiego. Jej dłoń uderzyła go w klatkę piersiową. – Odbiło ci? Prawie dostałam zawału.

Chłopak o twarzy naznaczonej świeżymi bliznami i blednącymi siniakami uniósł dłonie w przeproszającym geście, tłumiąc wesołość, która nadal malowała się w jego rysach.

– Wyluzuj – uspokajał. – Przecież mówiłaś, że nie wierzysz w te legendy o mgle.

– Bo to bzdury. Zresztą dajmy już spokój i kręcmy, robi się późno.  
– Wskazała na lustrzaną. – Będę stała na tle ściany lasu, a ty spróbuj złapać szerszy kadr, żeby było widać całe to mleko.

Klepacki skinął koleżance, odpalił ledową lampę przymocowaną do aparatu i zaczął rozkładać statyw. Borowiec tymczasem odchrząknęła, a następnie, przechadzając się gruntową ścieżką, powtarzała kwestię, którą zamierzała wygłosić przed kamerą.

Filip, umieściwszy aparat na trójnogu, dał dziewczynie znać, że jest gotowy, a ona ustawiła się przed obiektywem i zbliżyła do ust profesjonalny mikrofon z logo „Głosu Sinic”.

– To już dwa miesiące, odkąd Alicja Jarosz zniknęła bez śladu... – Urwała nagle, zauważając, że Klepacki zastygł z rozchyłonymi wargami i wzrokiem utkwionym gdzieś w oddali.

– Co jest, do cholery? – wycedził.

Dziewczyna odwróciła się, a gdy dostrzegła to, co chwilę wcześniej jej przyjaciel, znieruchomiła. Przez gęstą mgłę i zarośla przedzierał się człowiek.

Brodaty mężczyzna poruszał się powoli. Brud pokrywał jego robocze spodnie oraz koszulę w kratę. Nieznajomy uniósł ramię, jakby chciał osłonić twarz przed ostrym światłem lampy. Jagoda zauważyła, że palce i twarz mężczyzny znaczą zaschnięte plamy o brunatnym kolorze, łudząco przypominające krew. Jego spękane, pokryte strupami usta drżały. Przypominał spłoszone zwierzę o lęklwym spojrzeniu.

Z warg dziewczyny wydobyło się bezgłośnie przekleństwo. Cofnęła się o krok, ogłuszana dudnieniem własnego serca, a wtedy mężczyzna pokręcił głową i uspokajająco wyciągnął przed siebie rękę, jakby chciał ją zatrzymać. Licealistka bezwiednie wbiła paznokcie we wnętrza dłoni, a jej spojrzenie padło na rozczochrane włosy nieznajomego, które sprawiały wrażenie dawno niemytych. Mamrocząc coś niezrozumiałego, człowiek z lasu wykonał krok naprzód.

Filip Klepacki, który dotąd trwał w osłupieniu, z mięśniami napiętymi w gotowości, otoczył koleżankę ramieniem i przyciągnął ją do siebie.

– Nie zbliżaj się! – zawołał, ściskając w ręce zdjętą ze statywu lustrzaną. – Czego chcesz?

– Ja... – Nieznajomy z zawstydzieniem potarł czoło i odwrócił wzrok.

– No mów. Mowę ci odebrało? – pospieszał chłopak. – Jesteś jakimś podglądaczem czy co?

Mężczyzna zaprzeczył ruchem głowy. Na jego twarzy malowało się zagubienie.

– Nie wiem, kim jestem – odparł.

Nastolatek prychnął, gdy tymczasem Borowiec śledziła wzrokiem zaciśniętą dłoń rozmówcy. Spomiędzy palców mężczyzny wystawało coś połyskującego.

– Co tam trzymasz? – zapytała, wskazując na jego rękę.

Nieznajomy zamrugnął z dezorientacją i dopiero po chwili rozluźnił palce. We wnętrzu, na pokrytej zaschniętą krwią skórze, znajdowała się srebrna zawieszka w kształcie serca, nanizana na łańcuszek. Jedna z tych, które można otworzyć, by w środku umieścić miniaturowe zdjęcie. Na jej widok dziewczyna gwałtownie wciągnęła powietrze i przycisnęła palce do ust.

– O co chodzi? – chciał wiedzieć Filip.

– To on – wyszeptała Jagoda, spoglądając na mężczyznę z przerażeniem.

– Jaki on? O czym ty mówisz? – Chłopak próbował zrozumieć, ale jego towarzyszka przypominała osobę w transie, do której nie docierają sygnały z zewnątrz. Jej cera pobladła, a szeroko otwarte oczy o wielkich źrenicach patrzyły nieruchomo przed siebie.

Nie mogąc dłużej znieść napięcia, Klepacki chwycił wisiołek i otworzył puzderko. Gdy tylko zobaczył zdjęcie, drgnął, jakby przez jego ciało przepłynął prąd.

– O kurwa! – wyrwało mu się i z wrażenia upuścił naszyjnik. – Spadamy stąd. – Zgarnął w pośpiechu sprzęt, po czym chwycił Borowiec za rękę i nie czekając na jej reakcję, pociągnął dziewczynę za sobą.

Ich buty deptały wysoką trawę, dłonie splotły się w mocnym uścisku. Zapadający wieczór wypełniły dźwięki urywanych oddechów.

Nim zniknęli za ścianą mgły, nieznajomy obserwował plątaninę nerwowych ruchów nastolatków oraz ich oddalające się sylwetki. Nie próbował zatrzymać licealistów. Z jakiegoś niezrozumiałego dla



siebie powodu pomyślał, że każdy przed czymś ucieka i czasami trzeba mu na to zwyczajnie pozwolić.

Delikatny powiew wiatru liznął jego kark, wywołując dreszcz. Mężczyzna schylił się po wisiołek. Ze zdjęcia spoglądała na niego ładna blondynka o drobnej twarzy i dużych oczach wyglądających na smutne.

W ostatnich dniach była wszystkim, co miał.

\*

Serce Jagody Borowiec trzepotało pod żebrami jak ptak schwytyany do worka, jej ręce się trzęsły. Strach wypełniał ją po brzegi, a jednocześnie nie potrafiła oprzeć się pokusie i gdy odbiegli na odległość kilkunastu metrów, spojrzała za siebie, dostrzegając pod lasem człekokształtną plamę. Ten widok sprawił, że wstrzymała oddech i zwolniła kroku. Filip, który nerwowo obgryzał suche skórki ze spierzchniętych warg, raniąc się przy tym do krwi, ponaglił koleżankę. Jeden z jego trampków się rozwiązał, przez co drobne kamienie ze żwirówki wpadły do wnętrza buta, ocierając mu boleśnie stopę. On jednak nie zatrzymał się, by je wyjąć. Gnał przed siebie jak zahipnotyzowany, z palcami ciasno oplatającymi pasek torby z lustrzanką.

Od ucieczki z polany żadne z nich nie wypowiedziało ani słowa. Wymieniali jedynie płochliwe spojrzenia. Ich twarze poczerwieniały, skórę zrosił pot. Na niebie widniała srebrna połówka księżyca, a ruch uliczny stopniowo się przerzedzał. Dopiero gdy dotarli do pierwszych zabudowań miasteczka, a na ich sylwetki padło ciepłe światło ulicznych latarni, Jagoda przystanęła obok budynku apteki, oparła dłoń o metalową barierkę oddzielającą parking od chodnika i próbując uspokoić oddech, zapytała:

– Co zobaczyłeś we wnętrzu tej zawieszki? Naszyjnik należał do niej, prawda? – Kiwnęła w stronę betonowego słupa, z którego spoglądała uśmiechnięta Alicja Jarosz.

Dekolt dziewczyny z plakatu ozdobił wisiołek łudząco podobny do tego, który nieznamy trzymał w zakrwawionej dłoni.

Klepacki potwierdził skinieniem, krzywiąc się z powodu kłującej kolki.

– W środku były dwa zdjęcia – wyjaśnił. – Jej i całej rodziny Jaroszków.

– Może on po prostu znalazł go w lesie?

– Sam już nie wiem, co o tym myśleć. – Otarł palcami krew z wargi. – Na moje oko to jakiś świr. Widziałaś, jak on wyglądał? Według mnie powinniśmy jak najszybciej iść na komendę i opowiedzieć im o wszystkim.

Borowiec uważała podobnie, a jednak uporczywie wracał do niej obraz twarzy człowieka z mgły. Odniosła wrażenie, że jego smutne oczy usiłowały jej coś przekazać, jakby kryła się w nich niewypowiedziana prośba, a może nawet błaganie.

W zadumie, z nieobecny wzrokiem, szarpała uchwyt od suwaka kurtki.

– Udało ci się go nagrać? – zapytała z ciekawością.

– Złapałem ten moment, gdy wychodził z mgły, a później spękałem i wyłączyłem sprzęt. – Filip siąknął nosem i poprawił torbę na ramieniu. Rumieńce na jego policzkach powoli bledły.

Licealistka wygrzebała z torebki paczkę chusteczek. Otworzyła opakowanie i podsunęła je koledze, który z wdzięcznością wyjął jedną. Jej palce nadal drżały i przy każdym szmerze niespokojnie zerknęła za siebie.

Kiedy Klepacki wydmuchiwał nos, a po jezdni leniwie przejeżdżały samochody, Jagoda przywoływała w pamięci bordowe plamy na

koszuli mężczyzny i dziwne, niejasne słowa, które padły z jego ust.

– Nie rozumiem, dlaczego on powiedział, że nie wie, kim jest. O co mogło mu chodzić? – wyraziła głośno to, co ją dręczyło.

– Dżizas, Jaga, nie mam pojęcia. Może był pijany i gadał od rzeczy? Nie wyglądał na faceta, który ma po kolei w głowie.

Chłopak schylił się, by wyjąć z trampka kamień.

– A co, jeśli to on jest zabójcą Alicji Jarosz, a może nawet... – Urwała, jakby zawstydziła ją własna myśl, i zaczęła nerwowo odłupywać płaty farby obłazącej z barierki ciągnącej się wokół apteki.

Filip, który właśnie zawiązał but, podniósł się, otrzepał kolano i posłał koleżance sceptyczne spojrzenie.

– Chyba nie sądzisz, że to on stoi za tym wszystkim, o co ludzie dotychczas obwiniali mgłę?

– Nie wiem. – Westchnęła, wciskając ręce do kieszeni kurtki, po czym zamilkła na moment, by odprowadzić wzrokiem starsze małżeństwo z psem na smyczy, które przechodziło obok. Dopiero gdy para się oddaliła, Borowiec ściszone głosem dodała: – Sam powiedz, co czułeś, gdy na ciebie patrzył?

Klepacki przełknął ślinę, a jego grdyka podskoczyła.

– No dalej – zachęciła go. – Przecież nie uciekłeś jedynie z powodu zdjęcia Jarosz.

Wysoki nastolatek potarł z zakłopotaniem kark.

– To było cholernie dziwne, ale miałem wrażenie, jakby przejrzał mnie na wskroś. A ten jego wzrok... – Zawiesił głos, zmazując podeszwą strzałkę namalowaną kredą na płycie chodnika. – Odniosłem wrażenie, jakbym znał to spojrzenie. Kiedy byłem młodszy, często śnił mi się człowiek, który stał w rogu pokoju i obserwował mnie w nocy. Patrzył dokładnie tak samo jak ten mężczyzna z lasu.

Jagodę przeszedł dreszcz. Przypomniała sobie słowa, które słyszała od matki na temat mgły: „Ci, którzy z niej wyszli, mówili, że spotkali tam to, co przeraża ich najbardziej”.

\*

Komisarz Krzysztof Lipski odłożył na stos dokumentów przeglądane przed momentem teczkę dotyczącą sprawy zaginionej Alicji Jarosz, po czym przeciągnął się, ziewając przy tym szeroko. Ukłucie bólu przeszło jego plecy, gdy poruszył się na skrzypiącym krześle. Stęknął i potarł szarą, zmęczoną twarz. Białka jego oczu pokrywała siatka czerwonych żyłek.

Lipski zgasił lampkę na biurku, na którym piętrzyły się papiery oraz puste kubki po kawie. Chwycił kurtkę z wieszaka i zamierzał opuścić komendę, ale kiedy położył rękę na klamce, zastygł. W jego myślach nie przestawały krążyć zdania z notatek oraz fragmenty przesłuchań i nagle, był tego zupełnie pewien, wyłapał w nich jakiś dysonans. Fałszywą nutę, która sprawiła, że przeszły go ciarki, jakby ktoś obok kroił styropian.

Rzucił się w stronę biurka. Włącznik lampki kliknął, a powierzchnię blatu zalała żółta poświata. Policjant nie zadał sobie nawet trudu, by usiąść. Przerzucał gorączkowo kartki, otwierał teczki i przekopywał się przez zdjęcia zrobione podczas mszy zorganizowanej kilka dni temu w intencji zaginionej. Jego wzrok niecierpliwie przeskakiwał po liniijkach tekstu, a usta poruszały się, gdy powtarzał szeptem fragmenty zeznań.

Gdzie to, do cholery, jest, myślał, przeczesując palcami rzednące pod wpływem stresu włosy. Ze zmęczenia zakręciło mu się w głowie i musiał oprzeć dłonie na biurku, by nie stracić równowagi. Na kilka sekund opuścił powieki, z nadzieją, że gdy je uniesie, jego wzrok

natrafi dokładnie na to zgrzytające sformułowanie, którego nie mógł wyłonić z pamięci. Oddech policjanta uspokajał się i kiedy już Lipski myślał, że jest blisko odnalezienia wskazówki, drzwi do pokoju otworzyły się ze skrzypnięciem.

Drgnął zaskoczony, po czym natychmiast zalała go fala irytacji.

Oficer dyżurny, który wszedł do środka w towarzystwie dwojga nastolatków, musiał wyczuć niezadowolenie komisarza, bo zgarbił się lekko i uciekł wzrokiem. Odchrząknął, jakby chciał dodać sobie otuchy.

– Tych dwoje mówi, że widzieli faceta, który mógł uprowadzić Alicję Jarosz – rzucił, wskazując głową nastolatkę i chłopaka z torbą na ramieniu, stojących tuż za nim. – Podobno go nawet nagrali.

Krzysztof Lipski sceptycznie ściągnął brwi, a speszeni goście gapili się na niego w niemym oczekiwaniu.

– Siadajcie – zaproponował, dostawiając drugie krzesło do biurka.

Młodzi zajęli miejsca, a on nie spuszczał ich z oczu. Filip Klepacki, wysoki chłopak o długich kończynach, lękliwie spojrzął na komisarza, po czym przysiadł na krawędzi krzesła. Tymczasem jego koleżanka nabrała tchu, jakby szykowała się do długiej tyrady, i zaczepnie wysunęła podbródek.

Policjant czytywał artykuły Jagody Borowiec przygotowywane dla lokalnego portalu internetowego oraz do papierowego wydania „Głosu Sinic”, w którym jako praktykantka pisała o sprawach powiatu. Głównie były to relacje z lokalnych wydarzeń albo doniesienia o przebudowach i remontach dróg. Kilkakrotnie oglądał nawet materiały video nagrane przez dziewczynę. Miała w sobie nieugiętość, która go intrygowała. Niezależnie od tego, czy opowiadała o dziurze w jezdni, czy akcji charytatywnej, za każdym razem angażowała się w temat z pasją równą tej Bogusława Wołoszańskiego.

Największe zacięcie zauważył jednak przy sprawie Alicji Jarosz. To wtedy zwrócił baczniejszą uwagę na aspirującą dziennikarkę. Okazało się bowiem, że uczennica trzeciej klasy lokalnego liceum potrafi zadawać dociekliwe pytania, wyciągać zaskakujące wnioski i dostrzegać to, co umykało większości. Przesunął po dziewczynie badawczym spojrzeniem, a ona instynktownie splotła przedramiona na piersi.

– To prawda? Rzeczywiście widzieliście kogoś, kto mógł być zamieszany w tę sprawę? – zapytał, gdy oficer dyżurny opuścił pokój.

Klepacki i Borowiec skinęli głowami.

– Facet, którego spotkaliśmy, miał naszyjnik Alicji, ten sam, który widać na plakatach z jej wizerunkiem – wyjaśniła Jagoda.

– Ten sam czy podobny? – drażył Krzysztof, rolując na blacie plastikowy długopis.

– To był jej wisiołek – wtrącił stanowczo Filip. – Srebrny łańcuszek z otwieraną zawieszka w kształcie serca, ze zdjęciem Jaroszków i Alicji w środku.

Lipski przestał się bawić pisakiem, wyprostował plecy, po czym zamrugął z zaciekawieniem.

– Może go po prostu znalazł – zasugerował.

– Nie sędzę – zaproponowała Borowiec, a w jej spojrzeniu zapłonął ogień. – Zachowywał się dziwnie, jak człowiek, który przed czymś ucieka. Chował się w lesie, miał brudne ubranie. I do tego te jego ręce i twarz... – Urwała, odtwarzając we wspomnieniu widok nieznanego.

– Co z nimi? – dopytał komisarz.

– Były pokryte zaschniętą krwią – odparła.

Policjant poczuł, że robi mu się gorąco. Odruchowo sięgnął po kubek z kawą, ale zdał sobie sprawę, że wypił ją już wcześniej.

– Gdzie to było? – zwrócił się do Klepackiego.

Chłopak potarł o siebie wilgotne dłonie.

– Na polanie w lesie, niedaleko bagien. Tam, gdzie kończy się miasto i zaczyna wieś Lipki. Za osiedlem Świt. Zresztą pokażę panu.

– Sięgnął do futerału po lustrzankę, którą trzymał na kolanach.

Komisarz nachylił się do przodu, mrużąc przy tym oczy. Tymczasem nastolatek przygotował nagranie. Postawił aparat na blacie biurka, a następnie odwrócił niewielki ekran w stronę Lipskiego.

– Zaraz po wypowiedzi Jagody ten mężczyzna wyjdzie z mgły. Proszę. – Podał funkcjonariuszowi słuchawki podpięte do lustrzanki, by poza obrazem mógł prześledzić również dźwięki.

Krzysztof rzucił licealiście niespokojne spojrzenie, po czym wetknął słuchawkę do ucha. Sam drwił z lokalnych legend o mgle. Uważał, że przekonanie, jakoby miała mącić w głowach i doprowadzać do obłądzenia, było bzdurą. Według niego jeśli czegokolwiek w życiu należało się bać, to ludzi. To w nich pęczniały zło, zawiść i pogarda. I to one prowadziły do tragedii, nie mgła.

Młody Klepacki nacisnął przycisk „play”, a do uszu Lipskiego dopłynął głos Jagody. Wypowiedź dziewczyny przerwało rzucone przez operatora przekleństwo i po chwili z mlecznych oparów wyłonił się człowiek. Komisarz złapał aparat w dłonie i przysunął go bliżej oczu. W skupieniu obserwował nagranie, a gdy dobiegło końca, przewinął je i uruchomił raz jeszcze. Jego klatka piersiowa falowała, paznokcie zaś bezwiednie wbijały się w kartkę otwartego notesu. Nastolatki spojrzeli po sobie z wahaniem, ale pogrążony w myślach Krzysztof Lipski zupełnie nie zwracał na nich uwagi. Niczym w amoku zaczął przerzucać jakieś papiery, czytał szeptem poszczególne fragmenty, po czym nagle zerwał się zza biurka

i rzuciwszy krótkie: „Nie publikujcie nigdzie tego nagrania”, wybiegł z pokoju.

\*

Kiedy dwadzieścia minut później wysłużona vectra komisarza sunęła po żwirowej drodze biegnącej przez most we wsi Lipki, mężczyzna zastanawiał się, czy wezwanie na miejsce patrolu oraz aspirant Sowińskiej nie było błędem. A jeśli się mylił? Co, jeżeli to wszystko było jedynie zbiegiem okoliczności?

Niespodziewanie w świetle reflektorów opla mignął kicający zajęc. Policjant gwałtownie nadepnął pedał hamulca, wzbijając chmurę kurzu za samochodem. Szarak, który zdążył uskoczyć, po chwili zniknął w zaroślach na poboczu, nie zdając sobie sprawy, jak bardzo przestraszył funkcjonariusza. Lipski zaklął pod nosem, po czym wrzucił jedynkę i rozeźlony ruszył na miejsce spotkania.

Nad łąkami unosiła się mgła przypominająca dym z ogniska. W rozmytych sylwetkach domów, które mijał, majaczyły światła. Komisarz opuścił szybę i zaciągnął się nocnym, rześkim powietrzem. Jego palce zabębniły o kierownicę, gdy raz jeszcze układał w głowie plan. Jeden z patroli miał obstawiać drogę wylotową do miasta, drugi zabezpieczać teren od strony Traktu Suraskiego, na wypadek gdyby podejrzany próbował uciekać. W tym czasie on z Sowińską będą musieli zostawić samochody przed skrętem na polanę, a później pieszo udać się w okolice bagien. W ten sposób otoczą mężczyznę. O ile, oczywiście, nadal przebywał w lesie.

Radio zaskrzeczało, po czym z głośników dobiegł głos jednego z policjantów: „Aspirant Zarzecki na miejscu, kogo szukamy?”. Krzysztof Lipski sięgnął po słuchawkę, wcisnął przycisk i zbliżył radio do ust.



– Mężczyzna między dwudziestym a trzydziestym rokiem życia, średniego wzrostu, ubrany w koszulę w kratę i robocze spodnie. Krótkie, zaniedbane włosy i broda. Może być niebezpieczny.

– Przyjąłem – potwierdził funkcjonariusz patrolu.

Komisarz zauważył w lusterku wstecznym światła nadjeżdżającego samochodu. Po uszkodzonym reflektorze przeciwmgielnym zgadywał, że to auto Sowińskiej. Pokręcił głową z niezadowoleniem, bo już kilka dni temu przestrzegał ją, że jeśli nie naprawi usterki, on będzie pierwszym, który zgłosi temat do drogówki, a później na tacy wręczy jej mandat. Jednak Weronika najwyraźniej nie przejęła się ostrzeżeniem. Zamigała do niego radośnie długimi światłami, a on tylko westchnął i powtórzył sobie w myślach: „To dobra policjantka, nie świruj”.

Dwie minuty później zgasił reflektory, dając koleżance znak, by zrobiła to samo. Tocząc się, samochody funkcjonariuszy skrzyły w lewo, po czym zaparkowały w miejscu, w którym otwierała się wyrwa w leśnej połaci prowadząca do bagien. Aspirant Sowińska skinęła Lipskiemu, który po potwierdzeniu drugiego patrolu odwiesił radio i wyszedł z vetry.

– Czego mam się spodziewać? – zapytała policjantka.

– Mandatu na dwie stowy – rzucił kąśliwie, spoglądając w stronę świateł skody, a po chwili ściszone głosem dodał: – Nie wydaje mi się, żeby był uzbrojony, ale na wszelki wypadek bądź czujna. Jeżeli nadal tu jest, spróbujemy go otoczyć. Rozdzielamy się na mój znak. Jasne?

Weronika potwierdziła ustalenia kiwnięciem głowy. Trzymając latarkę w jednej, a broń w drugiej ręce, ruszyła za Krzysztofem z wyrazem napięcia na twarzy. Jej wzrok czujnie badał okolicę, choć wiązka światła nie była w stanie rozproszyć zamglenia. Oboje

ostrożnie przemieszczali się w kierunku polany, zwracając uwagę na każdy najdrobniejszy szmer. Gdzieś nieopodal zahuczała sowa.

Lipski odwrócił się i powiódł spojrzeniem po ścianie lasu. Gęsta połać tonęła w mleku. Mgła wylewała się spomiędzy pni drzew i kładła na poszyciu, obejmując swoimi lepкими ramionami nogi funkcjonariuszy.

Komisarz ledwie dostrzegalnie zadrzał. Odniósł wrażenie, jakby coś śliskiego i mokrego wpełzło mu za kołnierz, przez co instynktownie sięgnął dłonią do karku i ku swojemu zdziwieniu natrafił na lepki, miękki i obły kształt.

– Co jest, do cholery? – warknął, zrzucając ze wstrętem kleiste paskudztwo.

Weronika przykucnęła, a gdy światło jej latarki natrafiło na leżącego w trawie ślimaka bez skorupy, pokazała go Lipskiemu.

– Pewnie wlaż ci do samochodu. Przez tę wilgoć wszędzie ich pełno.

Policjant skrzywił się z obrzydzeniem i już zamierzał odpowiedzieć, gdy nagle przystanął w bezruchu, z palcem na ustach. W lesie po lewej rozległ się szelest liści i trzask uderzającej o coś gałęzi. Komisarz niemo pokazał swojej partnerce kierunek i zasugerował gestem, by podeszli mężczyznę z dwóch stron.

– Wchodzimy do lasu, pełna gotowość – rzucił szeptem do krótkofalówki i wyłączył ją, by żadne niepożądane dźwięki nie spłoszyły poszukiwanego. – Zgaś latarkę – nakazał Sowińskiej, która posłała mu zagubione spojrzenie. – Rób, co mówię – syknął i dotknął palcem ucha, jakby chciał zasugerować, że poza wzrokiem ma też inne zmysły.

Świat pogrążył się w mroku, choć nie zupełnym, bo łuna znad miasta i srebrna poświata księżyca nieznacznie rozpraszały

ciemność. Krzysztof czuł na sobie wilgoć mgły, która sprawiała wrażenie, jakby wnikała w skórę.

Przypomniało mu się, jak kiedyś, gdy był dzieckiem, zgubił ojca podczas grzybobrania. Nagle dopadły go tamte lęk i bezradność. Zaczęło mu się robić duszno, a gdy spojrzał na swoje dłonie, zobaczył drobne ręce chłopca, którym dawno już nie był. Weź się w garść, nakazał sobie w myślach. Zacisnął zęby na wewnętrznej stronie policzka i ruszył.

Stąpając ostrożnie, z wyciągniętą przed siebie ręką, starał się unikać wystających gałęzi. Jego wzrok powoli przyzwyczajał się do ciemności. W nocnej ciszy wszystko zdawało się wybrzmiewać bardziej. Uderzenia serca przypominały łomotanie, a szmer oddechu – dyszenie psa. Stopy Lipskiego ugniatały leśną ściółkę, gdy policjant stawiał nad wyraz baczne kroki. Fakt, że zdecydował o zgaszeniu latarek, powodował pewną niedogodność, ale jednocześnie dzięki temu śledczy mogli poczuć się tak jak ten, którego tropili. Teraz funkcjonowali w jego świetle.

Między drzewami mignęła mu sylwetka Sowińskiej z włosami związanymi w kucyk i ramionami szerokimi od częstych treningów pływackich. Krzysztof skręcił w lewo, by zwiększyć dystans między nimi. Poruszał się powoli, jak ktoś, kto niesie śpiące dziecko, i nasłuchiwał. W którymś momencie przystanął, bo wydawało mu się, że obok swojego wychwytuje także jakiś inny, nieco świszczący oddech. Wyostrzył zmysły, dbając o to, by nie wykonać nawet najdrobniejszego ruchu. Delikatny podmuch wiatru przenikający między szpalerami drzew załaskotał go w nos.

Lipski zamknął oczy i czekał. Przez chwilę wydawało mu się, że nie jest człowiekiem, ale lasem, ziemią, na której wyrósł, i wszystkim, co w niej żyje równocześnie. Należał teraz do przyrody i stanowił z nią jedność.

Nabrał tchu i wtedy to usłyszał. Szelest liści.

Komisarz uniósł powieki, odwrócił się gwałtownie, włączył latarkę i wycelował wiązkę światła w miejsce, skąd dochodził dźwięk. Dokładnie w tej samej sekundzie, w której ujrzał mężczyznę rzucającego się do ucieczki, powietrze przeciął krzyk Sowińskiej. Policjant zawahał się, tracąc przez to cenne sekundy, lecz gdy tylko przyszło otrzeźwienie, wyrwał za podejrzanym.

Biegając, potykał się o wystające korzenie i pozostawione po wycince pniaki. W drgającej smudze światła majaczyła niewyraźna sylwetka zbiega. Poruszał się z dużą pewnością, jakby doskonale znał to miejsce. Kluczył i meandrował między drzewami, nie oglądając się za siebie.

Lipski deptał mu po piętach. Gdy dotarli do jaru, nieznajomy rzucił funkcjonariuszowi dzikie spojrzenie, które bardziej przypominało wzrok drapieżnika niż człowieka, po czym ruszył wzdłuż zagłębienia, kierując się w stronę bagien. Policjant poczuł, że z wysiłku pałą go płuca. Miał teraz uciekiniera tuż przed sobą, a to stwarzało mu pewną okazję. Przystanął i ściskając w dłoni broń, krzyknął:

– Policja! Stój, bo strzelam!

Nieznajomy jednak nie zareagował. Krzysztof uniósł pistolet w wyciągniętych rękach i wykonał strzał ostrzegawczy, kierując lufę ku niebu. Chmara wron z wrzaskiem zerwała się z gałęzi drzew i wzleciała w powietrze, ale ścigany przystanął jedynie na moment i odruchowo zasłonił rękoma uszy, po czym z nową energią rzucił się do ucieczki.

Komisarz, nie zwlekając, ruszył za nim. W oddali słyszał nawoływanie Sowińskiej i nerwowe pokrzykiwanie gdzieś w okolicy drogi prowadzącej do miasta. Pomyślał, że jeśli uda mu się wyprowadzić mężczyznę z lasu i zapędzić go w kierunku patrolu, będzie na wygranej pozycji. Docierali właśnie do wschodniej granicy

kniei, gdy uciekinier zawadził o wystający konar i niespodziewanie runął jak długi. Lipski stanął nad nim z bronią w rękach, oświetlając latarką szczupłą sylwetkę.

Był to bez wątpienia ten sam człowiek, którego widział na nagraniu z kamery Filipa Klepackiego.

– Nie ruszaj się! – nakazał, próbując uspokoić oddech. – Kim ty, do cholery, jesteś? – zapytał.

Leżący na ziemi mężczyzna nieznacznie uniósł tułów i odwrócił głowę w stronę policjanta. Dyszał, a z jego nosa ciekła krew. W pokrytej błotem twarzy błysnęły białka oczu.

– Nie wiem – odpowiedział.

Komisarz zmarszczył czoło ze zdziwieniem. Spodziewał się większej hardości, gdy tymczasem ten człowiek sprawiał wrażenie ogarniętego lękiem i bezradnego. Ubranie, które miał na sobie, cuchnęło. Adidasy były tak zniszczone, że niemal rozpadały się na kawałki, a kończyny dygotały jak u osób na głodzie narkotykowym.

– Jak to nie wiesz? – dopytywał Krzysztof, nie przestając mierzyć do zatrzymanego z broni.

– Nie pamiętam, jak się nazywam.

– Masz jakieś dokumenty?

Nieznajomy zaprzeczył i wbił paznokcie w ziemię, na której leżał.

– Mam w głowie czarną plamę – wyjaśnił. – Nie wiem, skąd się tu wzięłem.

Lipski zmrużył powieki, badawczo lustrując rozmówcę. Nie potrafił określić, czy mężczyzna mówi prawdę, czy zgrabnie nim manipuluje. Sięgnął po krótkofalówkę, by nadać informację o ujęciu ściganego i poprosić o wsparcie. Kiedy przekazał patrolowi, gdzie się znajduje, kucnął obok mężczyzny, chcąc mu się lepiej przyjrzeć. Ze względu na brodę i brud pokrywający jego policzki Krzysztof nie był w stanie stwierdzić, ile nieznajomy może mieć lat.

– Usiądź – zaordynował, nie spuszczając go z muszki. – Gdzie mieszkasz? – zapytał, gdy tamten bojaźliwie przyciągnął kolana do piersi.

– Tutaj. – Rozejrzał się po lesie.

Komisarz powtórzył w myślach jego słowa, usiłując zrozumieć ich sens. Podrapał policzek, na którym zachręścił świeży zarost.

– Jak to tutaj? – chciał wiedzieć.

– Teraz, kiedy jest cieplej, sypiam pod gołym niebem, a wcześniej tułałem się po ogródkach działkowych.

– Ile to już trwa?

– Nie jestem pewien. Straciłem rachubę.

Krzysztof zauważył, że mężczyzna wzdryga się na każdy głośniejszy dźwięk, a palec wskazujący jego prawej dłoni kreśli na ziemi równe linie. Policjant nachylił się i przyświecił w to miejsce latarką. Na wilgotnej, błotnistej ścieżce widniały trzy litery – ALA. Ręka Lipskiego drgnęła na ten widok. Napiął mięśnie, adrenalina eksplodowała w jego żyłach, po czym dopadł nieznanego i przygwoździł go do ziemi.

– Co to ma, kurwa, znaczyć?! – zapytał z wściekłością, a kropelki jego śliny opadły na twarz nieznanego. – Skąd znasz tę dziewczynę?!

Mężczyzna niemo pokręcił głową.

– Stąd – wyjąkał z trudem, rozpościerając zwiniętą dłoń, w której zamknięty był wisiorek ze zdjęciem Alicji Jarosz.

\*

Mężczyzna wodził czujnym wzrokiem po niewielkiej salce na komendzie, wyposażonej jedynie w stolik i krzesła. Jego ręce drżały, dlatego zwarł je mocno ze sobą i położył na kolanach pod blatem.

Dopiero teraz wyraźnie poczuł kwaśną woń własnego potu i odór niemytego od wielu dni ciała. Nie potrafił dokładnie określić od ilu, ale wiedział, że nie korzystał z prysznicza wystarczająco długo, by zacząć wstydzić się samego siebie.

Miał na sobie o kilka numerów za duże spodnie dresowe oraz obszerną bluzę, które dostał od policjantów, gdy jego ubrania zostały zabrane do badań. Wcześniej bez protestów poddał się wszystkim procedurom. Niepewnie ustawił się do fotografii, a następnie pozwolił, by obcięto mu paznokcie, które miały trafić do laboratorium, i pobrano odciski palców oraz wymaz z wewnętrznej strony policzka.

Gdy tak czekał w napięciu, jego głowę rozsadzał niemożliwy do zatrzymania jazgot, jakby ktoś w środku uruchomił młot pneumatyczny. Ogłuszające dźwięki doprowadzały go do obłądu. Uderzył pięścią w czołko, raz i drugi, mrużąc przy tym oczy i błagając, by tumult ucichł, ale on tylko się wzmógł. Kiedy uniósł powieki, policjant, który znalazł go w lesie, stał naprzeciwko i z rezerwą obserwował te paniczne ruchy. Jakby mężczyzna jednocześnie go drażnił i fascynował.

Po chwili komisarz wysunął głowę przez drzwi i krzyknął do kogoś w korytarzu:

– Hubert, możesz wstrzymać się z tym drukowaniem? – zaczął, po czym dodał: – Dzięki. Jestem twoim dłużnikiem.

Ku zdziwieniu człowieka z lasu huk młota pneumatycznego ucichł, a wtedy napięcie wyraźne w rysach włóczęgi nieco zelżało.

– Zadam panu teraz kilka pytań – oznajmił Krzysztof Lipski, zajmując miejsce na krześle po drugiej stronie stołu. – Niektóre z nich padły już wcześniej, ale muszę mieć pewność, że niczego nie pominęliśmy.

– Dobrze. – Głos męczyzny był słaby, jakby dochodził zza ściany.

Drzwi skrzypnęły i do pomieszczenia weszła aspirant Sowińska z długą szramą na policzku, zaklejoną plastrami do zamykania ran. Przecięła skórę w lesie: podczas akcji w ciemnościach przewróciła się i upadając, zahaczyła o wystającą gałąź. Komisarz zareagował na jej widok syknięciem, ale Weronika tylko machnęła ręką. Podeszła bliżej, po czym szeptem powiedziała coś Lipskiemu na ucho. Krzysztof zamrugał niespokojnie, a ona przedstawiła się zatrzymanemu i z głośnym szurnięciem odsunęła krzesło dla siebie.

Policjant otworzył notatnik, po czym pstryknął długopisem, spoglądając na mężczyznę.

– Poproszę pana pełne imię i nazwisko – zażądał, bo choć dobór słów był dyplomatyczny, to już ton, który przybrał, bez wątpienia miał w sobie zaczepną nutę.

– Nie znam go.

– A datę urodzenia pan pamięta?

Mężczyzna bezradnie pokręcił głową, ale Lipski nie ustawał. Odkreślał kolejne punkty z listy.

– Ile ma pan lat?

– Nie wiem.

– Adres zameldowania?

Nieznajomy tylko wzruszył ramionami. Później padło pytanie o imiona rodziców, miejsce pracy i kontakty do osób mogących potwierdzić jego tożsamość, ale po każdym z nich mężczyzna kurczył się na krześle jak sweter wyprany w zbyt wysokiej temperaturze. Sowińska, patrząc na jego bezsilność, pomyślała o swojej dwuletniej córce, a jej serce ścisnęło współczucie. Krzysztofa trawiły zgoła odmienne uczucia. Wzrok policjanta pociemniał, a długopis coraz mocniej wbijał się w papier.

– Czy jest cokolwiek, co pan wie? – warknął, z irytacją rzucając długopis na stolik.



Weronika chrząknęła, by dać mu do zrozumienia, że przesadza.

– Kiedy otworzyłem oczy, znajdowałem się w lesie. Było zimno i ciemno – powiedział nieznajomy. – Pamiętam suchą, twardą ziemię i ból, który pojawiał się przy każdym ruchu. O, tutaj. – Wskazał na klatkę piersiową.

– Ktoś pana pobił? – zaciekawiała się funkcjonariuszka, ale on tylko uchylił wargi i z powrotem je zamknął, rozkładając ręce.

– Nie umiem dotrzeć do tego, co wydarzyło się wcześniej. Wiem tylko, że tamtej nocy szedłem długo przed siebie. Wszystko wydawało mi się obce, a później, wyczerpany, usnąłem w takim małym drewnianym domku na działkach.

Lipski notował każde słowo mężczyzny.

– A co z jedzeniem? – dopytywał.

Zatrzymany spuścił głowę ze wstydem i zaczął nerwowo pocierać palce.

– Kradłem. Najczęściej z gospodarstw. Suchy chleb dla zwierząt, czasem jajka. Wybierałem resztki ze śmietników, a nocami zaglądałem do kontenerów sklepowych.

– Dlaczego pan stąd nie wyjechał?

– A dokąd miałbym się udać? Nie wiem, gdzie jest mój dom. Nie jestem nawet pewien, czy w ogóle go mam.

– Mógł pan poprosić o pomoc mieszkańców albo iść do pomocy społecznej. Może ktoś z lokalnych by pana rozpoznał.

– Bałem się wychodzić do ludzi. Wszędzie było pełno policji, jakby kogoś szukali, a ja miałem na rękach krew i... – Zerknął na swoje paznokcie i umilkł.

Krzysztof pokręcił z niedowierzaniem głową. To wszystko wydawało mu się wierutnym kłamstwem.

– Dobra, koniec tych ceregieli. – Wyciągnął z teczki zdjęcie Alicji Jarosz, to samo, które wisiało na każdym słupie w Sinicach,

i podsunął je pod nos mężczyzny. – Co pan wie o tej dziewczynie?

Mężczyzna skulił się na krześle.

– Miałem jej łańcuszek z zawieszka – wydukał.

– Skąd go pan wziął?

– Nie wiem. Kiedy się ocknąłem, znalazłem go w kieszeni razem z kilkoma monetami.

Po każdym „nie wiem” Lipski oddychał coraz szybciej, a jego stopa drżała niespokojnie.

– Czy kiedykolwiek wcześniej ją pan spotkał? – Komisarz dźgnął fotografię palcem.

– Nie wydaje mi się.

– Byliście znajomymi, coś was łączyło?

– Ile razy mam mówić, że nie wiem?! – zirytował się mężczyzna, a jego głos zaczął przechodzić w pisk.

– Krzysiek, wystarczy – upomniała policjanta Sowińska.

On jednak wyciągnął przed siebie dłoń, dając jej znak, by zaczekała. Przestraszony mężczyzna poprawił się na krześle i podrapał długą brodę.

– Skąd ta krew na pana spodniach i koszuli? – Krzysztof nie zamierzał się zatrzymać. Wstał i zaczął krążyć po pokoju jak rekin wokół swojej ofiary.

– Uderzyłem się.

– Czyżby? I akurat to pan pamięta?

Mężczyzna milcząco wbił spojrzenie w blat.

– Gdzie jest dziewczyna? – wysyczał Lipski, nachylając się nad uchem zatrzymanego.

– Nie wiem – odparł drżącymi wargami człowiek z lasu, a komisarz, nie mogąc znieść brzmienia tych słów, uderzył pięścią w blat tak mocno, że wszystko na nim podskoczyło.

– Dość – rzuciła policjantka, kładąc rękę na ramieniu Krzysztofa. – Opanuj się. Musimy go zawieźć do szpitala, ma ranę głowy, nie widzisz tego?

Komisarz jeszcze przez chwilę mierzył się wzrokiem z mężczyzną, a potem przyznał Sowińskiej rację.

Kiedy zbierali się do wyjścia, odniósł wrażenie, jakby po twarzy nieznajomego przemknął uśmiech. Tak dziwny i niepokojący, że policjanta przeszył dreszcz.



## Wrzesień 2001 roku

*To miał być najszcześniejszy dzień, a on jak na złość znów czuje się źle. Nie daje rady stać o własnych siłach ani nawet mówić. Może tylko leżeć, schowany we wnętrzu tego wymizerowanego ciała, które stało się jego więzieniem. Dotyka palcami wystających żeber i szuka siebie pod skórą. Bo przecież to nie prawdziwy on choruje i gaśnie z każdym rokiem coraz bardziej. On jedynie zamieszkuje gdzieś między słabymi mięśniami tamtego, za jego łamliwymi kośćmi i pod bolącym sercem.*

*Czasem zastanawia się, jak naprawdę wygląda i kto go zamknął w tej skorupie. W myślach odtwarza sceny, które widział w telewizji w te dni, gdy mama zanosila go na dół, kładła na kanapie i pozwalała mu oglądać filmy do czasu, aż zapadał w sen. Był wtedy chłopcem biegnącym po plaży z czerwonym latawcem w ręku, dzieckiem rozchlapującym wodę z kałuży i łakomczuchem wpychającym do ust czekoladowe ciastko. Jeździł na rowerze, grał z kolegami w piłkę, a na huśtawce bujał się najwyżej ze wszystkich na całym placu zabaw. Był nimi wszystkimi i jednocześnie żadnym z nich.*

*Niekiedy ma ochotę rozerwać skórę na brzuchu, by zwrócić zakładnikowi wolność, ale gdy tylko o tym pomyśli, robi mu się niedobrze, jak na widok brejowatej zupy o zielonym kolorze, i tchórzy. Nie chce bardziej zasmucać mamy. Wie, że to przez niego przestała wychodzić do pracy, zrezygnowała z tańca, a jej przyjaciółki zaczęły odwoływać spotkania, które od jakiegoś czasu*

*mogły odbywać się już tylko w ich domu. Zapach leków, wymiocin i krążącej gdzieś pod sufitem śmierci, niemożliwy do zamaskowania nawet najlepszym odświeżaczem powietrza, powoduje, że żadna z nich nie chce zabawić w ich domu dłużej. Jakby to, co mu się przytrafiło, było zaraźliwe.*

*Ale dziś miało być inne. Wyczekane i zwyczajnie dobre. Cieszył się tak bardzo, że w nocy z ekscytacji nie mógł spać. Od tygodni wyobrażał sobie to miejsce, do którego mieli iść. Olbrzymi kolorowy namiot z chorągiewką zatknietą na czubku. Tłum roześmianych dzieci. Rysował klaunów z czerwonymi nosami, siłaczy z małym, zabawnym wąsikiem i akrobatów fruujących pod sufitem. Jednak najbardziej pragnął ujrzeć magika. Na samą myśl o nim robiło mu się ciepło w brzuchu. Iluzjonista wydawał mu się kimś nadzwyczajnym, jakby pochodził nie z tego świata. Miał czarną pelerynę i wysoki cylinder, jak jakiś dostojny pan. Mama opowiadała chłopcu, że dobrzy sztukmistrzowie robią rzeczy, które nie mieszczą się ludziom w głowach. Z pustych cylindrów wyciągają króliki, potrafią zamienić chusteczkę w piękny, żywy kwiat i wydostać się z zamkniętego sejf.*

*To ostatnie interesuje chłopca najbardziej. Minionego wieczoru rozbił swoją świnkę skarbonkę, a pieniądze, które w niej znalazł, schował w kieszeniach spodni. Oczywiście nie zdołał ukryć tego faktu zbyt długo, bo monety dzwoniły o siebie tak głośno, że szybko zwróciły uwagę mamy. Wyjaśnił jej, że to po to, by kupić pamiątkę z cyrku. W rzeczywistości planował zapłacić za jeden z najpilniej strzeżonych sekretów magika. Chciał się dowiedzieć, jak czarodziej wydostaje się z pułapki, by później zastosować ów trik i uwolnić się z potrzasku własnego ciała.*

*Nie ma pewności, czy to wszystko się uda. Czy iluzjonista zechce z nim rozmawiać, czy zgodzi się wyjawić tajemnicę i czy w jego przypadku ten czar zadziała. Na wszelki wypadek od kilku dni stara*

się być wyjątkowo dzielny. Robić wszystko, jak trzeba, by los nie ukarał go odebraniem tego najważniejszego marzenia. Nie płacze, gdy mama podłącza mu kroplówkę, choć czuje wtedy, jakby w jego żyły wpełzał wąż o szorstkiej skórze. Nie prosi o pomoc, gdy głowa boli go tak, że mdleje z wyczerpania. A kiedy jego nogi wpadają w drżenie i boi się potwornie, że nigdy już nie wykona ani jednego kroku, wmawia sobie, że one tylko tańczą. Jest grzecznym chłopcem i ma nadzieję, że to wystarczy.

Gdy tak teraz leży, z rozmarzonym, błędzącym po suficie wzrokiem i żołądkiem ściśniętym z niepokoju, drzwi sypialni uchylają się ze skrzypnięciem i do środka wchodzi mama. Kiedy siada obok syna na łóżku, uśmiecha się tajemniczo, a później chwyta w dłonie blade policzki chłopca. Ma ciepłe ręce. Pachnie mlekiem i czymś słodkim, jak ciasto albo budyń.

– To już dziś – mówi. – Jesteś gotowy?

Dziecko spuszcza wzrok i zduszonym od napływającego żalu głosem mówi:

– Nie wiem, czy dam radę, mamo.

– Będę przy tobie. Wezmę cię na ręce i zaniosę do wózka, a później powoli pójdziemy w stronę cyrku, dobrze?

Chłopiec potwierdza nieśmiałym skinieniem. Kobieta całuje go w czoło i wkładając jedną rękę pod zgięcie w kolanach, drugą zaś pod plecy kilkulatka, unosi osłabione ciało. Ostrożnie schodzi z nim po schodach i sadza syna na specjalistycznym wózku. Z kuchni dobiegają dźwięki radia. Matka przeprasza go na chwilę.

Słyszy, jak wyłącza muzykę i trzaska szafkami, jakby czegoś szukała. Zdenerwowana wychodzi na korytarz i zaczyna przetrząsać torebkę. W końcu jej palce natrafiają na coś, co wywołuje westchnienie ulgi.

– Są. – Pokazuje mu bilety. – Już myślałam, że je zgubiłam. –  
Twarz kobiety rozświetla promienny uśmiech.

Gdy idą zastaną jesiennymi liśćmi ulicą, delikatny wiatr łaskocze nos chłopca. Mijają ich podskakujące z radości dzieci i rodziny trzymające się za ręce. Wszyscy rozgadani i przejęci. Przed wejściem do namiotu mężczyzna w kapeluszu sprzedaje watę cukrową, a obok grupka maluchów wyciąga ręce, by pogłaskać kucyka za ogrodzeniem.

– Mógłbym? – pyta chłopiec, spoglądając w stronę foliowych baloników pompowanych helem.

– Czemu nie, w końcu to twój dzień.

Kobieta płaci handlarce i po chwili złote serduszko przywiązane tasiemką do wózka wędruje razem z nimi. Kilkulatek ma wrażenie, że jego siły wracają. Serce zaczyna mocniej bić, smutek topnieje. W powietrzu unosi się zapach prażonej kukurydzy i palonego cukru.

Chłopiec upewnia się, że pieniądze nadal są w kieszeni, a gdy przechodzą za kotarę i znajdują się w środku namiotu, z wrażenia gwałtownie wciąga powietrze do płuc. Drobne dłonie ściskają kocyk, a buzia bezwiednie się otwiera.

– Masz coś do picia, mamo? – wykrztusza, czując, że z emocji zasycha mu w gardle.

Kobieta podaje dziecku bidon, a on pije łapczywie, patrząc na rzędy czerwonych ław i gigantyczną scenę skąpaną w świetle reflektorów. Jego rozszerzone źrenice błyszczą, jakby za moment miał otworzyć najbardziej wyczekiwany prezent. Nie może uwierzyć, że wkrótce zobaczy prawdziwego iluzjonistę, i boi się tylko, czy z tej radości, której nie potrafi już w sobie pomieścić, jego serce nie pęknie jak za mocno nadmuchany balon.

Zajmują miejsca. Kilkulatek kładzie dłoń na swojej klatce piersiowej, cały jest oczekiwaniem. Światło przygasa, rozlega się



*podniosła muzyka, biją werble. Bum, bum. Chłopiec nie wie już, czy to bębny, czy serce chce się wyrwać spod żeber. Bum, bum. Na scenę wbiega mężczyzna we fraku, cylindrze i z laseczką w rękę. Tłum wiwatuje, a sala tonie w tsunami oklasków. Bum, bum. Muzyka staje się coraz bardziej intensywna. Światła reflektorów padają na dziewczynę w sukience baletnicy, która chwyta trapez i zaczyna wirować w powietrzu, rozsypując wokół brokat, a ten spada na publiczność niczym magiczny pył. Bum, bum. Muzyka się zacina, kolory rozmywają, a dźwięki kłają uszy jak szerszenie. Bum, bum.*

*Chłopiec kuli się na wózku. Pot rosi jego czoło. W brzuchu wiruje tornado i choć robi, co może, to czuje, że dłużej nie wytrzyma.*

*– Mamo – szepcze, ale kobieta, oczarowana przedstawieniem, nawet go nie słyszy.*

*I wtedy przychodzi atak. Drobne dziecięce ciało drga, jakby je rażono prądem. Na scenę wybiegli już kłowni, powietrze przecinają salwy śmiechu. Matka spogląda na syna, a gdy dostrzega, co się z nim dzieje, w panice chwyta wózek i biegnie do wyjścia. Z dziecięcych kieszeni wypadają monety. W tle konferansjer zapowiada występ magika. Światła gasną, a wraz z nimi ostatnie nadzieje chłopca. Ktoś proponuje kobiecie pomoc, lecz ona nawet nie przystaje. Przepycha się przez tłum i cały czas powtarza synowi, żeby się nie bał. Choć sama drży ze strachu i w myślach przelicza dawki leków, które dodała do napoju. Nie chciałyby się pomylić, jeszcze nie teraz, nadal go potrzebuje.*

*Na zewnątrz wkłada dziecku palce do ust. Wpycha je głęboko, by wywołać wymioty, a gdy kilkulatkiem wstrząsają torsje, oddycha z ulgą.*

*Nie dlatego, że go uratowała, ale dlatego, że ocaliła siebie.*



## Dwa miesiące wcześniej

Poniedziałek, 25 lutego 2019 roku, Sinice  
Dzień po zaginięciu Alicji

Poniedziałkowy ranek przyniósł ze sobą nieznaczne ocieplenie. Mgła woalem otaczała łąki. Nad Sinicami zawisły gęste ołowiane chmury, a w powietrzu unosiła się wilgoć.

Kiedy grupa poszukiwawcza stawiała się na parkingu nieopodal tartaku, komisarz poszeregował zebranych na frakcje i każdej z nich przydzielił rejon do sprawdzenia. Lipski w towarzystwie dwóch funkcjonariuszy, aspirant Sowińskiej oraz przewodnika z psem mieli ruszyć na północ, w rejon trzęsawiska. Tereny leśne przy wysypisku i pola za starą lisiarnią objęli policjanci z wydziału prewencji w towarzystwie psów patrolowo-tropiących, a obszar wzdłuż cienkiej nitki rzeki Brok – strażacy z OSP Sinice, ochotnicy i bliscy zaginionej, dla których bezczynne czekanie w domu było gorsze od tortur.

Ojciec oraz brat nastolatki, ubrani w ciepłe kurtki i wyposażeni w latarki, stawili się na zbiórce z determinacją, by szukać do skutku. Inni spoglądali na nich ze współczuciem, szeptem wymieniając komentarze i snując przypuszczenia na temat losu Alicji. Niektórzy marudzili, że gdyby nie interwencja komendanta i jego zażyłość z ojcem dziewczyny, nie musieliby teraz płatać się po polach. Większość jednak rozumiała, zwłaszcza ci, którzy mieli dzieci.

A mimo to wielu z nich bało się podejść, polerowali wzrokiem kostkę brukową, byle tylko nie patrzeć Jaroszom w oczy. Tylko nieliczni witali ich mocnym uściskiem dłoni i rzuconym półgębkiem „Trzymajcie się” albo „Znajdziemy ją”. Bogdan Jarosz kiwał niemo głową. Chciał tylko, by już ruszyli. Musiał działać, zrzucić z siebie ciężar tych spojrzeń.

Zniecierpliwiony zerknął na zegarek i pomyślał, że Urszula dobrze zrobiła, zostając w domu. Wyczerpana emocjami, po ciężkiej, pełnej koszmarów nocy zaparzyła melisę, połknęła tabletkę na uspokojenie i znieczulona lekiem zwinęła się w kłębek na kanapie, po czym odpłynęła w niebyt. Wychodząc, mężczyzna okrył ją kocem, a wtedy otworzyła gwałtownie oczy i rozglądając się z przejęciem, zapytała:

– Alicja?

Miała rozbiegane, nieprzytomne spojrzenie, jak ktoś, kto po części nadal pozostaje w krainie snu. Mąż pogładził dłonią jej policzek.

– To tylko ja, kochanie, odpoczywaj – powiedział, a ona niemal natychmiast opuściła powieki i ponownie zasnęła.

Myśli Weroniki Sowińskiej również wypełniła Urszula Jarosz. Policjantka niedawno sama została matką i świadomość, że jej córka mogłaby w podobny sposób przepaść bez wieści, wydawała jej się paraliżująca. Nigdy nie przyznałaby tego głośno, ale niekiedy żałowała decyzji o ciąży, bo wraz z dzieckiem pojawiła się nie tylko radość, lecz również lęk, którego w żaden sposób nie dało się zagłuszyć.

W tym momencie matka Alicji mogła mieć jeszcze nadzieję, trzymała się jej jak tonący dryfującej deski, ale co, jeśli będą musieli jej tę deskę odebrać? Aspirantka modliła się w duchu, by to nie jej przypaść w udziale obowiązek przekazywania hiobowej wieści. Wprawdzie na razie nic nie sugerowało, by dziewczynie przydarzyło

się coś złego, ale intuicja Weroniki podpowiadała jej, że ta sprawa nie skończy się dobrze.

Kiedy przemierzali tereny wokół grzęzawiska, mgła stopniowo opadała. Zmęczenie kilkugodzinną pracą odciskało piętno na wszystkich. Odgłos płytkich oddechów oraz szorującej o ciężkie buty trawy mieszał się z prowadzonymi ściszym głosem rozmowami i szumem krótkofalówek. Rufus, owczarek niemiecki o łagodnym spojrzeniu, który wcześniej dostał do powąchania ubranie Alicji, z nosem przy ziemi poszukiwał śladów dziewczyny.

– Będzie trzeba wysłać ekipę do przeszukania bagien – stwierdziła aspirant Sowińska, a Lipski przytaknął jej niechętnym mruknięciem.

– Rozmawiałem już o tym z dowódcą naszego OSP. Ludzie z odpowiednim sprzętem powinni się niebawem stawić.

Policjantka zwróciła spojrzenie w stronę trzęsawisk. Z wody wystawały pnie zbutwiałych drzew, omszałe gałęzie oraz wysepki wyblakłych traw o długich źdźbłach przypominających włosy. Miejsce to od zawsze budziło w niej irracjonalny lęk. Ciche, trwające w bezruchu, a jednocześnie zdradliwe i bezlitosne dla tych, którzy znaleźli się na grząskim terenie. Najbardziej przerażające, gdy na wodzie unosił się zwarty roślinny kożuch i nie wiadomo było, co skrywa pod powierzchnią.

Po plecach funkcjonariuszki przebiegł dreszcz. Zaciągnęła suwak kurtki i dogoniła Krzysztofa.

Wchodzili właśnie na rozłożystą polanę, gdy tropiciel zaczął szczekać wokół gęstej kępy trawy.

– Tutaj! – zawołał przewodnik psa, wskazując na coś białego, ukrytego w zaroślach.

Komisarz wyrwał przed siebie. W pośpiechu włożył rękawiczki, kucnął obok znaleziska, a potem wziął do ręki niewielki skrawek

papieru. Przyglądał mu się, marszcząc brwi w zamyśleniu, lecz po chwili westchnął z rozczarowaniem.

– To tylko stary paragon ze spożywczaka. Zwyczajny śmieć. – Zgniół w palcach świstek i schował go do kieszeni kurtki. – Postaraj się bardziej, Rufus – rzucił do psa, grożąc mu surowo palcem.

Zwierzak w odpowiedzi zaszczekał, po czym wrócił do pracy. Weronikę Sowińską, która przyglądała się zajściu, przeszły dziwne ukłucie niepokoju. Odniosła wrażenie, że w reakcji komisarza wybrzmiała jakaś fałszywa nuta, i choć znaleziony kwitek rzeczywiście pochodził z delikatesów Lewiatan, policjantka nie potrafiła pozbyć się myśli, że mógł mieć większe znaczenie, niż zakładali.

Podeszła do Lipskiego, który trzymał się lekko z boku. W jej głowie nadal brzmiały echa ich nocnej rozmowy. Mimowolnie napięła mięśnie, a w podbrzuszu poczuła złość, która nie minęła, tylko czekała w uśpieniu. Krzysztof musiał zauważyć jej zaciśnięte szczęki i pociemniałe spojrzenie, ponieważ odezwał się pierwszy:

– Przepraszam za tamto. Nie powinienem był cię szantażować.

Jego wyznanie ją zaskoczyło. Zbita z tropu, poprawiła nerwowo gumkę, która zsuwała się z kucyka. Wędrowali teraz z tyłu, z dala od postronnych uszu, dzięki czemu mogli swobodnie porozmawiać.

– Cieszę się, że zmądrzałeś – odparła. – Nie możesz zmuszać mnie do tego, bym cię kryła. To ty narozrabiałeś, nie ja.

– Wiem. Naprawdę nie chciałem zawieść twojego zaufania.

Weronika z satysfakcją uniosła kąciki ust.

– Możesz je podreperować, wyjaśniając mi, dlaczego schowałeś...

– Urwała, bo ciszę przerwało nawoływanie funkcjonariuszy dochodzące z obszaru, gdzie zaczynały się bagna.

Oboje pobiegli w tamtym kierunku. Rufus obwąchiwał właśnie leżący w mchu i częściowo przysypany zgniłymi liśćmi przedmiot, ale

poza jednorazowym szczeniściem nie wykazał przesadnego zainteresowania znaleziskiem.

Krzysztof ostrożnie rozgarnął liście, odkrywając granatowy portfel na rzep. Policjant wziął go do ręki, zauważając, że z jednej strony widnieją na nim brunatne plamy, łudząco przypominające krew. Otworzył go. Wewnątrz znajdowały się: gotówka – trzydzieści cztery złote w bilonie oraz banknotach – legitymacja emeryta kolejowego ze zdjęciem siwowłosego mężczyzny, wystawiona na Jerzego Kosa, bilet autobusowy z Warszawy do Sinic, święty obrazek nadrukowany na papierze i sfatygowana wizytówka specjalisty od remontów, Zdzisława Beli.

– To raczej nie jest własność Alicji Jarosz. Portfel wygląda na męski, pewnie należał do tego emeryta – stwierdził komisarz, obracając w palcach legitymację.

– Dziwne, że kupił bilet na autobus, skoro jako dawny pracownik kolei mógł przyjechać pociągiem z dużą zniżką – zauważyła Weronika. – Nie ma też kart bankomatowych czy choćby dowodu osobistego.

– Stawiam na to, że wybrał autobus, bo w ten sposób uniknął przesiadki. Nie musiał szukać transportu ze stacji w Szepietowie do Sinic. Poza tym ta legitymacja jest nieaktualna, pochodzi z dwa tysiące dwunastego.

– Tylko po co facet na emeryturze przyjeżdża z Warszawy do lasu w Sinicach? Za mało ich mają wokół stolicy?

Patrzyła na przedmiot, marszcząc brwi, ale Krzysztof jedynie wzruszył ramionami.

– Tak czy siak trzeba to zabrać do laboratorium i sprawdzić, czy te plamy to krew, a jeśli okaże się, że tak, będziemy musieli zweryfikować, czy nie należy do naszej zaginionej – skwitowała, po

czym machnęła na technika, który zdążył już przygotować pakiet papierowy do zabezpieczenia przedmiotu.

Lipski wstał, a gdy wykonał krok w tył, usłyszał mokre plaśnięcie i poczuł, że jego but wpadł w wodę. Zachwiał się i upadł pośladkami w breję o zielonkawym kolorze. Dwóch funkcjonariuszy zdusiło śmiech, za co Sowińska zgromiła ich wzrokiem i podała Krzysztofowi rękę, pomagając mu wstać.

– Cholerne grzęzawiska – złorzeczył, ściągając z siebie mokrą kurtkę, którą wcisnął w rękę aspirantki, by odebrać telefon. – Potrzywasz? Dzięki.

Policjantka spojrzała na ociekające okrycie, a potem na plecy komisarza zajętego rozmową. Z emocji zrobiło się jej gorąco. Ścisnęła materiał w palcach, a potem pospiesznie otworzyła zamek kieszeni kurtki Lipskiego, wyjęła z niej paragon znaleziony na polanie i wetknęła go do kieszonki w swoich dżinsach. Nieświadomy niczego Krzysztof stał przy pobliskim drzewie i zajęty rozmową, obskubywał kawałki kory ze starego pnia.

– To ten sam facet, z którym balowała w Vegas? Mógłbyś mi wysłać screeny ich rozmów? – mówił do słuchawki. Położył rękę na biodrze i spojrzał na Weronikę, która obserwowała go ze strapioną miną. – Świetnie. Dzięki za pomoc.

Kiedy zakończył rozmowę, aspirantka podeszła do niego.

– Coś się stało? – zapytała.

– Hubi złamał zabezpieczenia komputera Jarosz. Ktoś zainstalował jej program szpiegowski i podglądał ją przez kamerkę – wyjaśnił ścisłym głosem, odbierając od policjantki kurtkę, z której kapąła brudna woda.

– Ale jak?

– Według Huberta musiała kliknąć w link niewiadomego pochodzenia i w ten sposób otworzyła drzwi trojanowi, który



umożliwił osobie z zewnątrz przejęcie kontroli nad kamerą.

Funkcjonariuszka pokręciła głową z niedowierzaniem.

– Niedługo to już nawet we własnym domu nie będzie można czuć się bezpiecznie. To dlatego ja przezornie zawsze zaklejam swoją kamerkę.

– I słusznie. Nasz komputerowy magik dostał się też do Messengera Alicji. Gdy tylko tam wszedł, zaczęły przychodzić wiadomości od niejakiego Marcina Majewskiego. To jeden z chłopaków, z którymi spędziła wieczór w pizzerii. Musiał śledzić jej aktywność i napisać od razu, gdy zauważył, że dziewczyna jest online.

Machnięciem ręki Sowińska przegoniła latającego obok jej twarzy natrętnego robala.

– Czego chciał? – zapytała.

– Przeprosić za to, jak się zachował. I to nie była pierwsza próba nawiązania kontaktu z Jarosz. Kilkukrotnie pisał do niej także w nocy.

– Interesujące.

– Złożę mu wizytę, mam jego adres w Sokołach – oznajmił. – Zostałabyś tutaj dopilnować tego bajzlu? Większość już sprawdziliśmy, pozostałe grupy też powoli kończą, a ekipa do przeszukania bagien powinna zaraz przyjechać.

Weronika skinęła głową.

– Nie ma sprawy. Zobaczymy się później na komendzie.

Lipski podziękował funkcjonariuszce, a kiedy obrzucił spojrzeniem swoje nogi, do których kleiły się ubłocone spodnie, jego usta wykrzywił grymas obrzydzenia. W butach komisarza chlupotała woda, a podeszwy oblepiał muł.

– Jezu, wyglądam, jakbym brał udział w zapasach w błocie – stęknął. – Lecę, muszę jeszcze wpaść do domu i się przebrać.

Sowińska pożegnała się z nim, a gdy znajdował się już dostatecznie daleko, sięgnęła po paragon schowany w džinsach. Trzykrotnie przeczytała nadruk i nagle dotarło do niej, na co patrzy. Kwitek pochodził z sobotniego popołudnia, kiedy to oboje z Krzysztofem poczuli nieodpartą pokusę wpakowania w siebie tony cukru i wybrali się do Lewiatana po batoniki oraz napoje. Zgadzało się absolutnie wszystko, godzina, lista zakupów. Tylko jedna rzecz frapowała Weronikę. Na odwrocie paragonu widniał numer telefonu Lipskiego, zapisany odręcznym pismem, a obok niego ktoś narysował wysyłającą całusa buźkę. Policjantka znów odtworzyła w pamięci ich nocną rozmowę.

I wtedy to zrozumiała, a wraz ze zrozumieniem przyszła wściekłość, bo kolejny raz poczuła się oszukana.

\*

Krzysztof Lipski zaparkował służbową vectrę pod jednym z murowanych domów przy ulicy Szkolnej w Sokołach. Miał na sobie czyste, suche ubranie, które zmienił w domu. Dochodziła pierwsza i z uchylonych okien dobywały się zapachy gotowanych obiadów. Policjant podszedł do kutej bramy, pomalowanej zieloną farbą, a następnie pchnął furtkę, która ustąpiła ze skrzypnięciem. Drogę do wejścia wyścięłały betonowe płyty otoczone łysym trawnikiem. Komisarz przeszedł na tył budynku, wzbudzając zainteresowanie kundla przypiętego łańcuchem do budy. Pies na widok intruza zaczął szczeleć i podskakiwać, jakby chciał zerwać więzy. Głośne ujadanie musiało zaalarmować właściciela, ponieważ po chwili drzwi się otworzyły, a ze środka wyrzwał siwowłosy mężczyzna koło sześćdziesiątki.

– Coś się stało? – zapytał z twarzą napiętą od niepokoju. – Widziałem przez okno radiowóz. Chodzi o Igora?

Krzysztof zauważył, że wargi mężczyzny drżą, a krew odpłynęła z jego policzków. Obiema rękami trzymał się balustrady na schodach, jakby się obawiał, że jeśli ją puści, niechybnie spadnie w dół.

– Igora? Nie. Komisarz Lipski z komendy powiatowej w Sinicach – przedstawił się. – Szukam Marcina Majewskiego.

– A! To mój najmłodszy – odparł właściciel domu z wyraźną ulgą i gestem dał znać, by funkcjonariusz poszedł za nim. – Przepraszam, za każdym razem, gdy widzę policję albo wojskowych, myślę, że coś się stało Igorowi. Wyjechał na misję do Afganistanu, ale na szczęście wszystko się już skończyło i jego zmiana niedługo wróci do Polski.

– To dobrze – rzucił Krzysztof.

Prowadzony długim korytarzem, zaglądał za uchylone drzwi mijanych pomieszczeń. W jednym z nich zauważył leżącą na podłodze wypchaną torbę na ramię oraz mundur żołnierski przewieszony przez oparcie fotela.

– Ktoś się gdzieś wybiera? – zapytał, wskazując bagaż.

– Marcin wraca dziś do jednostki. Na przepustce był, bo go dawny znajomy na chrzestnego poprosił.

– A gdzie jest teraz pana syn?

– Pewnie w kotłowni. Buty miał wypastować. – Mężczyzna zaprosił Lipskiego do kuchni i odsunął krzesło od stołu nakrytego ceratą. – Siądzie pan. Już go wołam.

Komisarz na sekundę przysiadł, ale od razu poczuł się niezręcznie i wrócił na korytarz. Widział, jak właściciel domu otwiera białe drzwi po drugiej stronie, a następnie wtyka głowę do środka.

– Marcyś, jakiś pan z policji do ciebie – dało się słyszeć.

Chłopak musiał o coś zapytać, bo po chwili jego ojciec dodał:

– Nie wiem, w jakiej sprawie. Z Sinic przyjechał, to chyba musi być coś ważnego. Zostaw już te buty i chodź do nas.

Sześćdziesięciolatek odwrócił się do funkcjonariusza z pojednawczym uśmiechem.

– Już idzie – oznajmił, lecz w tym samym momencie z kotłowni dobiegł rumor, a tuż po nim gwałtowny odgłos zatrzasnkanych drzwi.

Mężczyzna, zaskoczony sytuacją, ze zdziwienia otworzył usta, nie mogąc wydobyć z siebie ani słowa. Lipski, w przeciwieństwie do swojego rozmówcy, nie miał problemu z dobozem komentarza, ponieważ w tym samym momencie z jego warg wypadło wściekłe:

– Kurwa mać!

Gwałtownym ruchem szarpnął za klamkę drzwi do kotłowni, a gdy zobaczył, że żołnierza tam nie ma, ruszył w pościg. Biegnąc, minął leżące na podłodze przewrócony taboret, wojskowe buty i pudełko czarnej pasty, po czym wypadł na zewnątrz tylnym wyjściem. Majewski znajdował się już po drugiej stronie podwórka, obok drucianej siatki odgradzającej sąsiadującą posesję.

– Stój! – krzyknął policjant.

Krótko ostrzyżony chłopak w spodniach moro i zielonym T-shircie na ułamek sekundy przystanął, spojrzał w kierunku funkcjonariusza, lecz po chwili przełożył nogę przez siatkę i zeskoczył po drugiej stronie. Lipskiemu krew zbulgotała w żyłach. Wypluł z ust kolejną porcję przekleństw, a następnie rzucił się w pogoń. Gnał, dysząc z wysiłku. Jego serce łomotało w piersi, płuca paliły. Uczepił się rękoma siatki, wybił jedną nogą z ziemi i nim się obejrzał, mknął już trawnikiem sąsiada.

Majewski wyprzedzał go o jakieś dwieście metrów. W pośpiechu nie zdążył włożyć butów, dlatego na stopach miał jedynie białe

skarpetki. Wybiegł na ulicę, po czym skręcił w prawo, co jakiś czas zerkając za siebie. I wtedy stało się coś, czego żaden z nich nie przewidział. Chłopak nieopatrznie nastąpił na szkło z potłuczonej butelki leżącej obok kosza. W powietrze wzbił się przeraźliwy ryk.

Zbieg spojrział na swoją stopę, ale instynkt żołnierza nakazał mu kontynuować ucieczkę, dlatego kulejąc, przemieszczał się dalej. Rana sprawiła jednak, że znacząco zwolnił, a to pozwoliło Krzysztofowi zmniejszyć dystans i wreszcie dorwać ściganego, który zostawiał na chodniku krwawe plamy. Zasapani mężczyźni znaleźli się w zaułku tuż obok metalowych wiat garażowych, śmietnika i parkingu.

– Czego pan chce? – zapytał dyszący Majewski, opierając rękę o drzwi garażu z wymalowanym sprejem herbem Jagielloni Białostok, czarną literą „J” na żółto-wiśniowej tarczy.

– Przecież wiesz. Inaczej byś nie uciekał.

– To teraz tak nazywacie jogging? – Uśmiechnął się łobuzersko, co sprawiło, że dłonie policjanta zaczęły mrowieć ze złości.

– Nie pajacuj, tylko mów, co robiłeś w niedzielę koło dziesiątej rano.

– Byłem w kościele. Kumpel chrzczył córę i poprosił mnie na ojca chrzestnego.

– A później?

Chłopak usiłował stanąć na zranionej nodze, ale tylko skrzywił się z bólu i podniósł ją do góry. Lipski zatrzymał wzrok na powiększającej się bordowej plamie na białej skarpetce. Facet naprawiający samochód w jednym z garaży, zwabiony odgłosami rozmowy, wyjrzał z zaciekawieniem, ale gdy dosięgło go ponure spojrzenie Krzysztofa, wrócił do środka.

– Poszliśmy do restauracji, jak to zazwyczaj na takich imprezach bywa – wyjaśnił żołnierz. Jego odsłonięte, silne ramiona pokryły się

gęsią skórką, a on zadrżał z zimna.

– Jest ktoś, kto może to potwierdzić?

– Pewnie jakieś trzydzieści osób. Mamy też zdjęcia i film. Pełen pakiet.

Policjant, który zaczął już sięgać do kieszeni po notes, zatrzymał rękę, a na jego twarzy odmalowało się rozczarowanie.

– To dlaczego uciekałeś? Czy to ma coś wspólnego z twoimi wiadomościami do Alicji Jarosz?

Pytanie trafiło Majewskiego na tyle skutecznie, że na ułamek sekundy zaniemówił.

– Wiem, że poznałeś ją w pizzerii Vegas, a później poszliście razem do klubu Euforia – ciągnął policjant. – Chciałbym zrozumieć, za co przepraszałeś Jarosz. Czym jej się tak naraziłeś?

Chłopak, który odzyskał już swobodny oddech, potarł kark z zawstydzeniem.

– Wystawiłem ją – powiedział. – Bawiliśmy się razem i było naprawdę świetnie. Czułem się przy niej jak dzieciak, który po raz pierwszy w życiu całuje dziewczynę. W pewnym momencie, gdy atmosfera zrobiła się już naprawdę gorąca, poszedłem do kibla, żeby trochę ochłoniąć. I wtedy dorwał mnie jakiś chudy typ. Pokazał mi zdjęcie, które nam zrobił. Ona oparta tyłkiem o mnie, moje ręce pod jej spódnicą. Wie pan. – Uśmiechnął się szczeniacko. – Koleś powiedział, że wyglądam na miłego gościa i lepiej, żebym się zmył, zanim wpadnę w kłopoty.

– Dlaczego?

Żołnierz próbował poruszać zranioną stopą, ale tylko syknął z bólu. Obok nich przeszedł menel z reklamówką z biedronki wypchaną puszkami i uprzejmie skinął głową mężczyznom.

– Twierdził, że dziewczyna poprosiła go, by cyknął kilka fotek – wyjaśnił Majewski, gdy lump się oddalił. – Podobno miała ich później

użyć do szantażu i zażądać pieniędzy za to, że nie wniesie oskarżenia o gwałt, jak to już robiła wcześniej z innymi.

– Chwila, nie rozumiem. – Lipski wyciągnął dłoń, zatrzymując rozmówcę. – Czy między tobą a Alicją Jarosz doszło do...

– Nie – wtrącił poirytowany chłopak. – Nie zdążyło, bo po rozmowie z tym typem strasznie się wkurzyłem. Koleś był naprawdę przekonujący. Sprzedał mi gadkę o męskiej solidarności, powiedział, że laska ma taki sposób na wyłudzenie kasy, a ja, idiota, mu uwierzyłem. Po powrocie na salę nawrzucałem jej, wyzwałem ją od dziwek i poszedłem pić z kumplami. A potem przemyślałem sobie to wszystko i uznałem, że typ zrobił mnie w jajo. Bo ta cała historyjka nie trzymała się kupy.

Krzysztof zmrużył oczy w zastanowieniu.

– I co dalej?

– Usiłowałem przeprosić, ale ona ignorowała moje wiadomości.

– Widzieliście się albo rozmawialiście ze sobą po tym, co zaszło w Euforii?

– Nic z tych rzeczy – odparł, drapiąc tors, a nieśmiertelniki na jego szyi zadzwoniły o siebie.

– A wiesz chociaż, jak się nazywał ten chłopak z dyskoteki?

– Nie mam pojęcia. Taki wysoki, chudy, z ciemnymi włosami. Młody, jakoś w jej wieku.

Komisarz prychnął, bo opis pasował do sporej grupy sinickich nastolatków.

– Nadal nie powiedziałaś, dlaczego zaczęłaś uciekać na wieść o policji – podrzucił Majewskiemu.

Tamten podążył spojrzeniem za facetem wynoszącym śmieci, zaczekał, aż mężczyzna opróżni kubek i odejdzie, a wtedy wyznał:

– Wraciałem do Sokołów na lekkim gazie. Przestraszyłem się, że może mnie nagraliście i będę miał przerąbane.

Komisarz pokręcił głową z dezaprobatą.

– Powinieneś stracić prawo jazdy, wiesz o tym? – Żołnierz przytaknął, ze skruchą gryząc wargę. – Zabijesz kiedyś kogoś albo siebie i będzie tragedia. Na moje nieszczęście nie mam jak ci tego udowodnić, więc tym razem skończy się na pouczeniu, ale następnym nie oczekuj litości. – Spojrzał na niego groźnie. – Mam nadzieję, że chociaż nie byłeś tak głupi, by wziąć ze sobą jakichś pasażerów?

– No co pan? Oczywiście, że nie. Jeszcze nie oszalałem.

Krople krwi skapywały ze skarpetki Majewskiego, znacząc spękane płyty betonowe przy garażach. Policjant podszedł do chłopaka i wziął go pod ramię.

– Chodź, zaprowadzę cię do ojca. Trzeba opatrzyć tę ranę.

Kuśtykali powoli w kierunku ulicy Szkolnej, mijani przez dzieciaki na rowerach i ciekawskich sąsiadów. Wiatr delikatnie powiewał, a czarne wrony przysiadły na okolicznych płotach, jakby one również chciały obserwować dwóch posapujących z wysiłku mężczyzn. Uwieszony na Krzysztofie żołnierz złorzeczył na skaleczenie, martwiąc się o to, czy będzie mógł biegać. Lipski początkowo zamierzał go pocieszyć, ale ostatecznie uznał, że czasem karma może naprawdę wraca i taki prztyczek od losu Majewskiemu nie zaszkodzi.

Gdy dotarli do kutego ogrodzenia, z którego obłaziła zielona farba, żołnierz zerknął w stronę domu i z zakłopotaniem zapytał:

– Powie mu pan?

– Ja? Sam mu powiesz. W ramach mandatu i ćwiczenia odwagi cywilnej. No i żeby nie zachować się jak ostatni tchórz.

Marcin uśmiechnął się kwaśno.

– Dlaczego właściwie pan tak wypytywał o tę dziewczynę?



– Naprawdę zamierzasz odstawić przede mną tę szopkę? – Lipski spojrzał na chłopaka z przyganą. – Przecież śledzisz jej aktywność w sieci, od soboty dobijasz się do Jarosz na Messengerze i na pewno wiesz, że zaginęła.

Majewski przełknął ślinę i zażenowany wbił wzrok w komin domu po drugiej stronie ulicy, z którego ku niebu wnosiły się wstęgi dymu.

– No rzeczywiście, coś tam mi się obito o uszy – bąknął, przesuwając ręką po spoconych włosach.

– To po co ściemniasz?

– Nie wiem, chyba strach mnie obleciał. Cały czas myślę o tym, że niepotrzebnie tak na nią wtedy naskoczyłem. Że mogła się po tym załamać czy coś... – Urwał, krusząc w palcach płat zaschniętej farby, który oderwał od ogrodzenia.

Krzysztof sam zaczął rozważać tę możliwość. Jeśli Alicja była tak wrażliwa, jak sugerował jej profil na portalu społecznościowym, po niesłusznych oskarżeniach mogła popaść w przygnębienie.

– Nie zauważyłeś, żeby ktoś poza tobą rozmawiał z nią w Euforii? Może spotkała jakiegoś dawnego znajomego? Ktoś się jej wyjątkowo naprzykrzał? – dopytał policjant.

– Raczej nie. Chyba że dopiero później, po naszej kłótni, ale wtedy już piłem z kumplami i nie zwracałem na nią uwagi.

– Podasz mi nazwiska tych kolegów? Może oni widzieli coś, co mogłoby nam pomóc dotrzeć do istotnych informacji.

Lipski wyciągnął z wewnętrznej kieszeni kurtki notes i długopis. Notując, zauważył, że gdy żołnierz dyktował nazwisko bliźniaków Faszczewskich, stał się nadmiernie niecierpliwy i zaczął intensywnie mrugać. Twierdził, że to przez konieczność powrotu do jednostki, ale szósty zmysł komisarza podpowiadał inne rozwiązanie. Według niego chłopak coś ukrywał i żywił obawę, że koledzy nieopatrznie zdradzą jego tajemnicę.

Kąsany przez podejrzenia komisarz nie zamierzał tracić czasu. Usiadł w radiowozie, odpalił silnik, by dać szansę klimatyzacji ogrzać wnętrze, a następnie wybrał na komórce jeden z numerów zapisanych drobnym maczkiem w notatniku. Telefon nie odpowiadał, a sygnał w słuchawce świadczył o tym, że właściciel prowadzi akurat rozmowę z kimś innym. Drugi chłopak również nie odbierał. Zrezygnowany Lipski zamierzał zerwać połączenie, gdy usłyszał trzask, a po chwili delikatny głos, bez wątpienia należący do kobiety.

– Halo? – zapytała lękliwie, jakby wchodziła do domu, w którym straszy, i upewniała się, czy wszystkie duchy zniknęły.

Policjant przedstawił się, a następnie wyjaśnił, że chciałby porozmawiać z którymś z braci Faszczewskich.

W telefonie na ułamek sekundy zapadła cisza.

– A coś się stało? Jestem ich matką.

– Nic wielkiego, po prostu szukamy informacji na temat dziewczyny, z którą pani synowie spędzili sobotni wieczór w klubie Euforia.

– Ale jak to w klubie? – Rozmówczyni sprawiała wrażenie zdezorientowanej. – Z tego, co wiem, byli wtedy u znajomego w Sokołach. Mieli jeść pizzę i oglądać jakiś mecz.

Rozparty na fotelu kierowcy Krzysztof mimowolnie parsknął.

– Proszę wybaczyć, ale jeśli ten znajomy nazywa się Marcin Majewski, to owszem, zjedli razem pizzę, ale w knajpie w Sinicach, a potem długo bawili się w dyskotecę.

Matka bliźniaków westchnęła z irytacją.

– Nie ujdzie im to płazem, zapewniam pana – przekonywała. – Gdyby nie to, że Michał zapomniał dziś komórki, pewnie nigdy nie dowiedziałabym się o całej sprawie. Już ja z nimi pogadam, niech no tylko wrócą ze szkoły! – rzuciła ze złością.

– Skąd?! – Funkcjonariusz nie krył zaskoczenia.

– Chłopcy są w drugiej klasie technikum zawodowego. Mają teraz lekcje.

Informacja ta zbiła komisarza z tropu. Odburknął, że oczekuje pilnego kontaktu ze strony bliźniaków, a później spojrzął w okno domu na drugim piętrze.

Za szybą z komórką przy uchu kręcił się Marcin Majewski. Wymachiwał ręką i tłumaczył coś dobitnie, wyraźnie zdenerwowany. To, z kim rozmawiał, pozostawało niejasne, pewnym było natomiast, że dwaj nastolatki w wieczór zaginięcia Alicji Jarosz zarówno w Vegas, jak i w klubie Euforia pili alkohol, którego nikt nie powinien im sprzedać, ponieważ byli niepełnoletni. Lipski wrzucił kierunkowskaz i wyjechał na drogę.

\*

Na parkingu pod klubem Euforia stało zaledwie kilka samochodów, lecz tylko jeden z nich przyciągał spojrzenia. Żółty nissan 370Z, zdobiony czarnymi pasami na dachu i masce, wyglądał jak wyjęty z hollywoodzkich filmów o pościgach. Krzysztof Lipski wiedział, że auto miało podrasowany silnik. Jego właściciel, chcąc robić wrażenie na mieszkańcach Sinic, często zdecydowanie za mocno dociskał pedał gazu, a mandaty traktował niczym trofea.

Być może właśnie w ten sposób manifestowała się filozofia życiowa Bolka Rapackiego, ponieważ z podobnym zaangażowaniem jak mandaty zbierał szpanerskie samochody oraz kobiety, nieustannie przy tym podkreślając, że za najwyższą wartość uznaje przyjemność. Przemilczał jednak fakt, że jego rozpasanie mocno ograniczały okazałe alimenty, wypłacane byłym żonom. Ten drobiazg najwyraźniej nie służył aurze legendy, którą wokół siebie roztaczał, równie drażniący jak woń perfum, których używał.

Komisarz zatrzymał się przy drzwiach, na których wisiał plakat ze zdjęciem i opisem zaginionej dziewczyny. Nie mógł pozbyć się myśli, że jeszcze długo będzie oglądał tę twarz oraz uśmiech, który budził w nim wyrzuty sumienia. Wizerunek Alicji, dzięki zaangażowaniu jej brata oraz innych licealistów, zawisł w witrynach sinickich sklepików, pod kościołami i przy szkołach. Nastolatka spoglądała z ogłoszeń przyklejonych przezroczystą taśmą do słupów telegraficznych oraz latarni, jakby mówiła mieszkańcom, że teraz to ona patrzy im na ręce.

Krzysztof usiłował wyczytać coś więcej z oczu studentki, ale dostrzegał w nich jedynie pustkę.

Nacisnął klamkę i wszedł do wyludnionego o tej porze klubu. Ogromną salę zdobiły kolorowe światła i neony, których intensywny blask raził oczy. W tle cicho pobrzmiwały dyskotekowa muzyka oraz głos komentatora sportowego, który relacjonował wyścig kolarski wyświetlany na telebimie. Pod ścianą ciągnęły się rzędy kanap obitych czerwoną skórą, podobne do tych, jakie spotyka się w przydrożnych amerykańskich barach. Kawalek dalej policjant napotkał plastikowe siedziska wyglądem przypominające rozchylone wargi, a później minął mężczyzn grających w bilard.

– Zastałem pana Rapackiego? – zagaił do chłopaka za barem.

– Szef ma spotkanie. – Wskazał głową łożę pod ścianą, w której właściciel Euforii rozmawiał z dwoma mężczyznami przy butelce wódki chłodzonej w wiaderku z lodem.

Jeden z gości miał na sobie kolorowy kapelusz wędkarski, bejsbolową kurtkę z naszywkami i ciemne okulary, drugi natomiast nosił się elegancko. Jego wysportowane ciało opinała czarna koszula, a stopy okrywały skórzane mokasyny. Gwiazda i menadżer, pomyślał Lipski, po czym ruszył w stronę łoży, ale na jego drodze wyrósł barman, który cmokając, pogroził mu palcem.

– A gdzie się pan władza tak spieszy? Zapraszam do baru. Postawię coś na koszt firmy, by umilić oczekiwanie.

– Jakbym chciał sobie cokolwiek umilić, zostałbym w domu pod kocem z kubkiem kakao i oglądał komedie romantyczne – oznajmił Krzysztof. – Poszukuję informacji na temat zaginionej Alicji Jarosz. Dziewczyna spędziła tutaj sobotnią noc, a następnego dnia przepadła bez śladu.

– No i? – Mężczyzna o szerokim karku skrzyżował ramiona na piersi.

– To zapewne jedynie zbieg okoliczności i jej zniknięcie nie ma nic wspólnego z tym, co wyrabia się w Euforii, ale być może będziemy musieli przyjrzeć się bliżej działalności klubu. – Lipski rozłożył ręce z udawaną bezradnością. – Chyba że liczyacie na taryfę ulgową, wtedy sugeruję przekazać panu Rapackiemu, że na niego czekam. Niecierpliwie – wyraźnie podkreślił ostatnie słowo.

Rysy pracownika klubu wyostrzyły się, a grymas złości wykrzywił mu usta. Mężczyzna nerwowym krokiem podszedł do szefa i szepnął mu parę słów na ucho, spoglądając nienawistnie na policjanta. Właściciel lokalu skinął Krzysztofowi głową, po czym wrócił do rozmowy z gośćmi. Pięć minut później miejsce ekstrawagancko ubranej gwiazdy disco polo zajął Lipski, uraczony przez nadąsanego barmana kubkiem kakao.

– Zgodnie z życzeniem – powiedział mężczyzna, zostawiając na stole gorący napój.

Policjant zwarł szczęki, przez co skóra na jego policzkach się napięła, tymczasem Bolesław Rapacki zsunął na czubek nosa druciane okulary i spojrzał znad oprawek na parujące kakao.

– Serio? Kocyk też ci przynieść?

– Wystarczą mi nagrania z sobotniej nocy. Wszystkie, na których widać dziewiętnastoletnią Alicję, córkę Bogdana Jarosza.

Właściciel klubu niespiesznie nalał sobie wódki do kieliszka, uniósł go jak do toastu, po czym przechylił i połknął zawartość jednym haustem. Kiedy odstawił naczynie, wydał z siebie głośne stęknięcie, a później otarł usta wierzchem dłoni.

– To konieczne? – zapytał. – Wiesz, jak jest, staramy się chronić prywatność naszych gości.

– Bolek, traktujmy się poważnie. Masz tutaj więcej kamer niż pracowników, krążą też pogłoski, że wykorzystujesz nagrany materiał, by szantażować swoich klientów, więc może ominiemy etap negocjacji i po prostu przygotujesz dla mnie to, o co grzecznie proszę.

Rapacki bawił się srebrną zapalniczką Zippo, obracając ją w palcach.

– Skoro prosisz, to znaczy, że nie masz nakazu, a to z kolei oznacza, że mogę ci pokazać środkowy palec.

– Teoretycznie tak, ale zapominasz o tym, jak taka informacja wpłynie na twój wizerunek. Ludzie, którzy tu mieszkają, nie darują ci, że nie chciałeś pomóc odnaleźć córki szanowanego lekarza. Być może uznają nawet, że masz coś wspólnego z jej zniknięciem.

Mięśnie pod koszulą właściciela lokalu drgnęły. Poprawił mankiety z eleganckimi spinkami w kolorze złota, po czym strzepnął z rękawa niewidoczny pyłek i przesunął dłonią po włosach związanych w kitkę.

– Niczego ciekawego na tych nagraniach nie znajdziesz – wyjaśnił.  
– Przejrzałem je po tym, jak ten młody przykleił plakat na drzwiach. Dziewczyna przez większość czasu bawiła się z jakimś wygolonym na rekruta typem, którego nigdy wcześniej nie widziałem na oczy, i jego kumplami. Potem się posprzeczali i laska poszła do domu, a tamci pili tu jeszcze przez jakąś godzinę. Koniec pieśni.

– Dziękuję za to streszczenie, ale mimo wszystko nalegam, żebyś pokazał mi zarejestrowany materiał. Utrudniasz prowadzenie działań

poszukiwawczych. Mogę cię za to pociągnąć do odpowiedzialności.

Rapacki zerknął na swój drogi zegarek na skórzanym pasku, następnie położył dłonie na karku i rozmasowując go, rzucił:

– Nic się nie zmieniłeś, Krzychu. Jesteś tak samo upierdliwy jak w podstawówce.

– A ty tak samo naiwny. Przecież doskonale wiem, że sprzedajecie piwo nieletnim. Tamtych dwóch od rekruta miało po szesnaście lat.

– Naprawdę? – Właściciel klubu cofnął tułów w udawanym zdziwieniu. – Kto by pomyślał, wyglądali na dużo starszych.

Lipski zaśmiał się, kręcąc głową.

– Ciekawe, jak ty będziesz wyglądał, gdy odwiedzą cię moi koledzy z narkotykowego. Dużo podejrzanych typów kręci się na tych twoich imprezach. Dilerzy, gangsterka. Może czas przyjrzeć się bliżej działalności Euforii, nie sądzisz? Różne słuchy chodzą po mieście. – Złożył palce w piramidkę i czekał.

– Krzysiu, litości. Po co się tak od razu gorączkować? – odparł Rapacki, zgrywając obojętnego, choć zdradziła go drżąca powieka. Wychylił jeszcze jeden kieliszek wódki, po czym zaczął się podnosić z miejsca. – Chodź, pokażę ci wszystko, żebyś już przestał marudzić.

Świątynia Bolesława pachniała skórą i drewnem. Na niskim szklanym stoliku pod ścianą tłoczyły się butelki z alkoholem oraz kryształowe karafki. Masywne drewniane biurko zajmowało centralne miejsce, a pokój zdominowały ciemna zieleń i brązy. Lipski poczuł się jak w gabinecie prawnika. Studiował etykietę bourbona, gdy właściciel klubu, zatopiony w skórzanym fotelu, przeglądał nagrania z kamer.

– Zapraszam! – zawołał Rapacki.

Krzysztof dostawił sobie krzesło i zajął miejsce obok dawnego szkolnego kolegi.

– Nie możesz mi po prostu tego zgrać?

– Dostaniesz wszystko, nie bój żaby. Chodzi o to, że materiału jest naprawdę dużo. Wybrałem na razie trzy kamery, ale jeśli stwierdzisz, że musisz zobaczyć inne ujęcia, wtedy od razu je dorzucimy, a ja nie spędzę przed monitorem całej nocy. Gra?

Komisarz kiwnął głową, a jego towarzysz uruchomił nagranie, na którym Alicja Jarosz, ubrana w krótką sukienkę i niebieską kurtkę z kapturem, weszła do lokalu w towarzystwie Marcina Majewskiego oraz braci Faszczewskich. Dwaj ostatni, wbrew zapewnieniom Bolesława, wyglądali zdecydowanie na swój wiek i nie można było pomylić ich z dorosłymi. Krzysztof prychnął pod nosem, po czym przysunął się bliżej i nachylił w stronę ekranu, by niczego nie pominąć.

Dziewczyna sprawiała wrażenie zadowolonej. Jej ramiona oplatały szyję żołnierza, a chwiejny krok wskazywał na to, że wypita już dostatecznie dużo. Kiedy usiedli przy stoliku, Majewski poszedł do baru, a ona została sama z bliźniakami. Nastolatki wyciągnęli ją na parkiet, a kiedy utwór wybrzmiał i skończyli taneczne popis, do Jarosz poszedł chudy, wysoki chłopak o długich nogach.

– Puść to jeszcze raz – poprosił komisarz, ponieważ wydawało mu się, że początkowo niezobowiązująca wymiana zdań między Alicją a nieznanym zamieniła się w sprzeczkę.

Druga emisja rozwiała wątpliwości policjanta. Szczupły nastolatek bez wątpienia miał do dziewczyny jakieś pretensje. W którymś momencie złapał ją nawet za łokieć, ale Jarosz wyrwała się i wróciła do stolika, gdzie czekali jej towarzysze. Krzysztof przypomniał sobie, co Majewski mówił o wyglądzie chłopaka robiącego im zdjęcia, i pomyślał, że być może miał na myśli tę samą osobę, która kłóciła się z Alicją na parkiecie.



– Teraz będą sceny tylko dla dorosłych – oznajmił Rapacki z przebiegłym uśmieszkiem i uruchomił nagrania z innej kamery. – Patrz tutaj. – Wskazał palcem miejsce w rogu monitora.

Na ekranie wirował roztańczony tłum, ale para stojąca pod ścianą z tyłu zupełnie nie zwracała uwagi ani na DJ-a, ani na muzykę. Dziewczyna opierała się pośladkami o biodra żołnierza, oczy miała zamknięte, głowę odchyłoną. Kiedy tańczący przesunęli się nieco na lewo, Krzysztof mógł przyjrzeć się uważniej scenie na drugim planie, a wtedy dostrzegł coś, co sprawiło, że głośno przełknął ślinę. Chłopak trzymał dłonie pod spódnicą Alicji i z dużym prawdopodobieństwem nie tylko pod nią.

– Niezłe, co? – skomentował Bolesław. – Może powinniście przemaglować tego kochasia.

Lipski jednak nie odpowiedział, ponieważ jego wzrok wyłapał w tłumie długonogiego nastolatka, który stał nieruchomo wśród podskakującej młodzieży i gapił się na Alicję.

– Wiesz może, kto to jest? – Pokazał chłopaka w białej koszuli.

– Poczekaj – rzucił Rapacki i przewinał nagranie do momentu, w którym chudzielec wychodził z Euforii i można było dokładnie obejrzeć jego twarz. – A! To syn Klepackiego z Autoserwisu. Spotkałem go tam kilka razy, kiedy jeździłem naprawiać swoje bryki. Jeśli dobrze pamiętam, uczy się w naszym ogólniaku, ale głowy nie dam.

Myśli policjanta wirowały niczym liście smagane wiatrem. Zamierzał zapytać jeszcze o kilka rzeczy i obejrzeć moment, w którym Alicja kłóciła się z Majewskim, ale wtedy na zatrzymanym kadrze w dole ekranu uchwycił postać, której nigdy nie spodziewałby się zobaczyć w takim miejscu.

Zabrakło mu tchu. Wstał i podszedł do barku Bolesława, a później, nie pytając o zgodę, napełnił szkło bursztynowym płynem i wlał go

w wysuszone gardło.

Alkohol zapiekł go w przełyku, jednak uczucie to było niczym w porównaniu z paleniem w trzewiach, którego doświadczał, odkąd zobaczył na ekranie swoją żonę, Ewę.

– Zapisz na pendrivie wszystkie ujęcia, na których widać Jarosz, jej towarzyszy i tego dzieciaka od Klepackiego – zarządził, pewien, że po tym, co zobaczył, nie będzie w stanie spokojnie kontynuować oglądania. – Niech ktoś od ciebie podrzuci to na komendę. Muszę mieć nagrania ich kłótni, momentu, gdy opuszczają lokal, i zapis z parkingu. Jak znam życie, tam też masz swoje oczy.

– Przezorny zawsze ubezpieczony. – Rapacki uniósł kąciki ust. – Krzychu?! – zawołał jeszcze policjanta, który kierował się już w stronę wyjścia.

Lipski przystanął i niechętnie spojrzał na właściciela klubu.

– Co tam?

– Ona przyszła tutaj, bo cię szukała.

Komisarz kiwnął głową, a później bez słowa wyszedł. Kiedy przemierzał świecącą neonami salę, dotarło do niego, jak samotne musiały być dla Ewy te późne godziny oczekiwania. Zapewne myślała, że Krzysztof ucieka przed nią, gdy tak naprawdę usiłował umknąć przed samym sobą.

\*

Weronika Sowińska z ulgą przyjęła informację, że przeszukanie bagien nie przyniosło rezultatów. Ciężyło jej jednak to, iż z każdą godziną ich możliwości się wyczerpywały. Dopóki nic realnie nie wskazywało na ewentualność popełnienia przestępstwa albo bezpośrednie zagrożenie życia, zdrowia czy wolności Alicji, nie było powodów, by wszczynać śledztwo.

Policjantka wysiadła z samochodu, dostrzegając w lusterku wstecznym vectrę Lipskiego, która z impetem wjechała na parking pod zakładem mechaniki samochodowej. Wcześniej zdążyli wymienić przez telefon najświeższe ustalenia i uznali, że będzie dobrze, jeśli razem pojawią się w domu Filipa Klepackiego.

– Stało się coś? – zapytała Krzysztofa, gdy ten z całej siły trzasnął drzwiami opla i warknął pod nosem na krzywo zaparkowaną skodę.

– Wyglądasz na zdenerwowanego.

Komisarz westchnął głośno, przypominając sobie kadr z monitoringu klubu Euforia, na którym dostrzegł Ewę.

– Nie. Po prostu ostatnio mam jakoś mniej cierpliwości – rzucił na odczepnego i kucnął, by podnieść kluczyki, które nieopatrznie upuścił. – Rozmawiałem przed chwilą z młodymi Faszczewskimi. To ci bliźniacy z Sokołów, którzy bawili się z Jarosz w Euforii. Przyznali, że wypili tamtego wieczoru po kilka piw, a potem wsiedli do samochodu z Majewskim, który również był pod wpływem.

Aspirantka syknęła.

– Idioci, mają szczęście, że nic im się nie stało. Dowiedziałeś się od nich czegoś nowego na temat Alicji?

– Tylko tego, że jakiś chudy, wysoki chłopak prosił ją do tańca, ona mu odmówiła i doszło między nimi do spięcia.

– Czyżby Filip? – Wskazała brodą w stronę budynku, obok którego stali.

Krzysztof potwierdził skinieniem, otrzepując kolano z piasku, i badawczo rozejrzał się po posesji. Jego wzrok spoczął na pustych o tej porze roku kwietnikach z opon. W tym samym momencie drzwi zakładu otworzyły się, stare zawiasy jęknęły, a ze środka wyszedł Andrzej Klepacki z rękoma umazanymi smarem. Miał na sobie szary kombinezon roboczy i zarzuconą na ramię brudną szmatę. Z ust mechanika zwisał papieros, z oczu zaś wyzierała niepewność.

– Dobry wieczór. Czemu zawdzięczam tę niespodziewaną wizytę?  
– zapytał, wycierając dłonie kawałkiem materiału. – Przekazałem wczoraj pani policjant zapis z kamery monitorującej nasz parking. Coś nie tak?

Rzucił niedopałek na ziemię i przydepnął go butem.

– Nie, wszystko w porządku – zapewniła Sowińska. – Musimy porozmawiać z pana synem. Zastaliśmy go?

– Tak, jest na górze. – Zerknął w okno na piętrze domu. – Chciałem go zaprzęgnąć do pomocy w warsztacie, ale wymówił się nauką. Ostatnio nie mam z niego żadnego pożytku, wiecznie tylko gdzieś łązi, a to szkoła, a to gazeta – utyskiwał.

– Wie pan, gdzie był w niedzielę rano? Między dziewiątą a jedenastą – próbował wybadać Lipski.

Klepacki z zawstydzeniem podrapał brew, a później schylił się, podniósł peta z ziemi i cisnął go do pobliskiego kosza.

– Nie za bardzo. Skacowany byłem po sobocie, wypiliśmy z kolegami trochę i spałem do południa.

– A pańska żona? – drążył komisarz.

– Miała nockę w szpitalu. Wróciła do domu jakoś po siódmej, wśliznęła się do łóżka i zasnęła. No ale młody na pewno był, bo gdzie by się pałętał o tej porze? Zresztą jeśli wychodził, to nasza kamera powinna go złapać.

– Sprawdzimy jeszcze raz, dziękuję – odparła Weronika i gdy zamierzali już odejść, zapytała: – A mógłby mi pan rzucić na pendrive dłuższy materiał? Ten, który dostałam, zaczyna się od dziewiątej trzydzieści. Chciałabym zobaczyć nagrania od ósmej do dwunastej.

Andrzej Klepacki zatknął kciuki za szlufki w kombinezonie.

– Obawiam się, że to niemożliwe – oznajmił. – Nasz system przechowuje zapis tylko przez dwadzieścia cztery godziny. Wie pani,

to nie bank czy sklep jubilerski. Monitoruję parking głównie na wypadek kradzieży. Klienci zostawiają u mnie drogie samochody i chcą czuć, że ich cacka są tutaj bezpieczne. Jeśli wszystko gra, nie ma sensu gromadzić materiału z kamer.

Policjanci podziękowali za informację, a później przeszli do drzwi i zapukali żelazną kołatką. Z piętra dolatywały tłumione dźwięki rytmicznej muzyki oraz ujadanie psa. Aspirantka zastukała ponownie, tym razem bardziej stanowczo. Roleta w oknie na piętrze się poruszyła, po czym funkcjonariuszy dobiegło wołanie:

– Już idę!

Policjanci zdążyli jedynie wymienić porozumiewawcze spojrzenia i jedno krótkie zdanie wypowiedziane przez Sowińską – „Ty z nim gadaj, ja będę obserwować” – nim drzwi się otworzyły, a w progu stanął wysoki chłopak w czarnym, rozciągniętym T-shircie z napisem „Metallica”. Na widok gości wsunął dłonie do kieszeni wiszących na nim džinsów i zgarbił plecy.

– Ojciec powinien być w zakładzie – rzucił.

– Wiemy, chcieliśmy porozmawiać z tobą – wyjaśnił Krzysztof.

– Ze mną? – Na bladej twarzy odmalowało się zaskoczenie.

– Tak. Aspirantka Sowińska i komisarz Lipski – wylegitymował się Krzysztof. – Chodzi o zaginięcie Alicji Jarosz. Musimy ci zadać kilka pytań. Moglibyśmy wejść? Wolelibyśmy nie rozmawiać przez drzwi.

Nastolatek odsunął się, wpuszczając funkcjonariuszy do przedpokoju. Ściany sieni pokrywała pożółkła drewniana boazeria, a z piętra dochodziło niespokojne szczekanie. Weronika zauważyła, że gdy chłopak wyjmował rękę z kieszeni, jego palce drżały. Splótł przedramiona na piersi, zwał je mocno i stanął tyłem do korytarza prowadzącego w głąb domu, jakby swoim ciałem bronił dostępu do pozostałych pomieszczeń.

– W czym mogę pomóc? – zapytał.

– Kiedy ostatnio widziałeś Alicję Jarosz?

Pytanie padło jak strzał, po którym zawsze na ułamek sekundy zapada głęboka cisza. Filip w namyśle spojrzął na sufit. Długie palce jego dłoni zaczęły ugniatać materiał koszulki.

– Nie pamiętam dokładnie. Jakoś kilka tygodni temu spotkaliśmy się na zakupach w markecie. Była z mamą.

– Rozumiem – skwitował policjant. – Możesz mi opowiedzieć, co robiłeś w sobotni wieczór?

Klepacki przestąpił z nogi na nogę. Panele zaskrzypiały pod jego ciężarem.

– Zajmowałem się obróbką zdjęć, a później obejrzałem coś na Netflixie i poszedłem spać.

– Co konkretnie oglądałeś?

– Jakiś serial kryminalny, chyba skandynawski, ale nie jestem w stanie sobie przypomnieć tytułu.

Komisarz z wyrozumiałością kiwnął głową.

– Kiedy ostatnio byłeś w klubie Euforia?

Licealista znieruchomiał, jego źrenice rozszerzyły się, a mięśnie napięły. Dotarło do niego, że funkcjonariusze muszą wiedzieć o jego wizycie w dyskotecie. Klepnął się ręką w czoło, jakby nagle go olśniło.

– Rzeczywiście! Zupełnie o tym zapomniałem. Zajrzałem tam na moment w sobotę późnym wieczorem.

– I nie spotkałeś Alicji Jarosz? Wiemy, że bawiła się w lokalu Bolka Rapackiego w noc przed zaginięciem.

– Naprawdę? To musieliśmy się pewnie jakoś minąć. W Euforii są zawsze dzikie tłumy, szczególnie podczas koncertów. Zresztą z tego powodu po chwili wyszedłem, nie było nawet gdzie usiąść.

– Wyjątkowo długa ta twoja chwila. – Krzysztof wyciągnął asa z rękawa. – Zdążyłeś poprosić Jarosz do tańca, dostać kosza

i jeszcze się z nią pokłócić. O co poszło?

Klepacki zaniemówił. Krew odpłynęła z jego twarzy. Otworzył usta i chciwie łapał powietrze, jakby dostał ataku astmy.

– Ja... – zaczął niepewnie, wyłamując sobie palce. – Chciałem ją tylko spytać, co słysząc, i takie tam.

– Ale ona nie była zainteresowana – podsunął Lipski.

– Niespecjalnie. Kręcił się obok niej jakiś taki obleśny typ. Wpychał jej język do gardła i łapy do majtek. Usiłowałem z nią porozmawiać, wytłumaczyć, że ten koleś chce ją tylko wykorzystać, ale kazała mi spadać.

– Co było potem?

Nastolatek przeczesał palcami długą grzywkę opadającą na oczy.

– Zrobiłem im zdjęcie, jak się migdalili pod ścianą, a później zdybałem tego gościa w kiblu. Nastraszyłem go, że Ala poprosiła mnie o skołowanie materiału, którym później będzie go szantażować. Wcisnąłem mu kit, że już jednego faceta oskarżyła w ten sposób o gwałt.

– Po co to wszystko?

– Żeby ją ochronić, inaczej ten koleś nigdy by się od niej nie odczepił. Nie mogłem patrzeć, jak ją obmacuje. Gnojek wykorzystał to, że się upiła i straciła nad sobą kontrolę. Niewiele brakowało, a przeleciałby ją na tym parkiecie. – Ze wzburzenia podniósł głos.

Weronika Sowińska, robiąc notatki, przez cały czas nie spuszczała chłopaka z oka. Każde napięcie mięśni, zmieniony tembr głosu czy mikroekspresje twarzy Filipa były przez policjantkę rejestrowane i poddawane wnikliwej analizie. Z jego dotychczasowej wypowiedzi wywnioskowała, że dziewczyna musiała znaczyć dla niego więcej, niż chciał przyznać, i być może kierowała nim nie troska, ale zazdrość.

– Jak zareagował na to, co mu powiedziałaś? – kontynuował Krzysztof.

– Wkurzył się na Alicję, nawrzucał jej i wściekły wrócił do kumpli, a ona jakiś czas po tym wyszła do domu.

– Wiedziała, że cała ta afera wybuchła z twojego powodu?

– Nie jestem pewien, ale kiedy zaproponowałem, że ją odprowadzę, odepchnęła mnie i kazała się pierdolić. Po alkoholu nie była sobą, puszczały jej wszystkie hamulce. Zupełnie jakby miała dwie różne twarze.

Aspirantka zanotowała to zdanie.

– O której wróciłeś w sobotę? – dopytał Lipski.

– Jakoś koło drugiej. Stary już spał, a matka była w pracy.

Komisarz przypomniał sobie, że jego zdjęcia z Alicją zostały zrobione mniej więcej w tym samym czasie. W zamyśleniu zastukał opuszkami palców w kaburę i zapytał:

– Lubisz fotografować, prawda?

– No jasne – ożywił się Filip. – To moja pasja, między innymi dlatego dołączyłem do redakcji „Głosu Sinic”. Chcę się tym zajmować profesjonalnie.

– A czy tamtej nocy, gdy robiłeś zdjęcia na dyskotecę, fotografowałeś kogoś jeszcze?

Chłopak ściągnął brwi, jakby czuł, że te pytania nie zmierzają w dobrym kierunku.

– Nie – odparł pewnie.

– I nie poszedłeś za Alicją po spotkaniu w klubie? Nie próbowałeś jej eskortować do domu?

– Nie. Przysięgam. – Filip uderzył pięścią w klatkę piersiową. – Skłamałem wcześniej, bo nie chciałem, żeby stary dowiedział się o mojej wizycie w Euforii, ale teraz mówię prawdę. Pan Rapacki wisi



ojcu trochę kasy. Staruszek wyszedłby z siebie, gdyby wiedział, że tam łąkę.

– Co według ciebie stało się z Alicją? – badał Lipski.

– Nie mam pojęcia. Odkąd wyjechała do Warszawy, prawie nie mamy ze sobą kontaktu. Tylko w weekendy, gdy gramy w kosza z jej bratem, czasem udaje mi się czegoś o niej dowiedzieć. – W jego głosie pobrzmiwało rozczarowanie. – Mam nadzieję, że nie wpadła w żadne tarapaty. Ala po pijaku lubiła prowokować. Zwłaszcza mężczyzn.

Aspirantka Sowińska pomyślała, że to przeczy wizerunkowi dziewczyny, który przedstawili Jaroszowie.

– Zawsze tak było? – wtrąciła z ciekawości.

– Nie, coś się w niej zmieniło, gdy poszła na studia. Wcześniej prawie wcale nie piła. Może chodzi o to, że w końcu znalazła się daleko od domu i rodziców. Poczwała wolność. Z tego, co wiem, starzy Kuby trzymają ich krótko. A może po prostu odkryła swoją prawdziwą naturę. – Wzruszył ramionami.

Weronika wsunęła notes do kieszeni. Krzysztof rozejrzał się po przedpokoju, na dłuższą chwilę zatrzymując wzrok na sportowych butach o ubłoconych podeszwach.

– Mógłbyś przekazać nam te zdjęcia, które zrobiłeś w Euforii?

– Niestety nie, wykasowałem je następnego dnia. Na samą myśl, że mam je w telefonie, robiło mi się niedobrze.

– Rozumiem – odparł funkcjonariusz, choć wyraz jego twarzy sugerował niedowierzanie. – Gdyby przypomniało ci się coś ważnego, co mogłoby pomóc w odnalezieniu córki doktora Jarosza, wpadnij do nas.

– Dobrze. Chociaż mam nadzieję, że Ala niebawem wróci.

– Wróci? – Komisarz uniósł brwi, a chłopak skupił się na przesuwaniu materiałowej opaski na nadgarstku, pamiątki po udziale

w Biegu Niepodległości.

– Nie wiem, może było jej wstyd z powodu tej sceny na dyskotecę i po prostu chciała побыć trochę sama. Każdy czasem ma ochotę zniknąć.

Sowińska i Lipski podziękowali Filipowi za udzielone informacje, a kiedy wyszli na zewnątrz, komisarz szepnął:

– Czegoś tu nie rozumiem. Najpierw jak jakiś rycerz stawał w jej obronie, a teraz, gdy dziewczyna zniknęła, nie wydaje się specjalnie przejęty.

– Według mnie on się w niej podkochał. Kiedy go odrzuciła, poczuł się urażony. Pogarda i zazdrość to cholernie niebezpieczne połączenie. Zaślepia ludzi, a czasem popycha do potwornych zbrodni.

– Trzeba go będzie mieć na oku – stwierdził Krzysztof. – Odnoszę wrażenie, że nie mówi nam całej prawdy.

Weronika skinęła głową, czując, że obejmuje ją dziwny chłód. Rozejrzała się wokół, a później zerknęła w stronę okna na piętrze, skąd obserwowały ją ciemne, nieprzeniknione oczy Filipa.

\*

Kiedy policjanci odjechali, Andrzej Klepacki, który z uchem przy drzwiach warsztatu przysłuchiwał się rozmowie funkcjonariuszy, rzucił wściekle młotkiem w wiszące na ścianie narzędzia. Kilka kluczy spadło, dzwoniąc o blat stołu roboczego, a aluminiowa puszka ze smarem upadła na posadzkę i potoczyła się pod auto na podnośniku, po czym zniknęła w kanale samochodowym.

Mechanik przeklął, a potem cisnął brudną szmatę na blat i wybiegł z serwisu. Wspiął się po schodach, sapiąc głośno. W rowku nad jego górną wargą zalśnił pot. Mężczyzna bez zapowiedzi wpadł do

pokoju syna, wyłączył dudniącą w głośnikach muzykę, a następnie złapał Filipa za koszulkę, potrząsnął nim i ze złością zapytał:

– W co ty się, do cholery, wpakowałeś?!

Twarz nastolatka pobladła. Wykrzywił ją lęk, tak silny, że chłopak nie był w stanie odpowiedzieć. Patrzył na ojca szeroko rozwartymi oczami, jedynie mrugając.

– Wiem, że wychodziłeś gdzieś w niedzielę rano. Widziałem nagranie z monitoringu. Wyjaśnisz mi, dokąd poszedłeś, albo idę z tą informacją na policję. Rozumiesz?

Nozdrza mężczyzny pulsowały, a policzki nabiegły czerwienią. Jego syn ostrożnym ruchem wyswobodził koszulkę z uścisku ojca i odsunął się, jakby umykał nie przed kochającym rodzicem, ale jadowitym wężem, który w każdej chwili może zaatakować.

– Wszystko ci powiem – wyszeptał, a później schował twarz w dłoniach i się rozplakał.

\*

Krzysztof patrzył nieruchomo na wyświetlacz dzwoniącej komórki. Z opuszczonymi ramionami, poszarzałą cerą i matowym wzrokiem, wyglądał jak człowiek na poły martwy.

– Zamierzasz odebrać? – zapytała Weronika, stawiając na biurku kolegi dwa kubki z parującą kawą.

– Nie mam na to teraz siły. To Bogdan Jarosz. Pewnie znów chce zadawać pytania, na które nie znamy odpowiedzi.

Telefon w dłoni policjanta umilkł, a Lipski z głośnym westchnieniem potarł zarost i odłożył komórkę. Przez uchylone okno do pokoju na komendzie wpadało świeże, wilgotne powietrze oraz odgłosy ulicy. Funkcjonariusze zajmujący dwa pozostałe biurka poszli już do domu,

dzięki czemu Weronika z Krzysztofem zostali w pomieszczeniu sami. Usiedli przy blacie komisarza, tuż pod mrugającą świetlówką.

– Spróbujmy sobie to jakoś poukładać, bo może czegoś nie dostrzegamy – zaproponował komisarz, podchodząc do białej tablicy. – Wiemy na pewno, że Jarosz nie była notowana. Dzień przed zaginięciem wypłaciła z bankomatu dwa tysiące złotych, według jej rodziców głównie po to, by pokryć czynsz za wynajmowany pokój, choć ja uważam, że niekoniecznie, bo dotychczas prawie zawsze rozliczała się przelewem.

Sowińska, opierając łokcie na biurku, potwierdziła skinieniem, po czym zerknęła w swoje notatki i dodała:

– Od około dziewiętej czterdzieści w niedzielę jej telefon pozostaje wyłączony. Od tego czasu nie korzystała z karty bankomatowej ani z usług banków. Nie pojawiła się też w żadnym z okolicznych szpitali. – Aspirantka zaczekała, aż Krzysztof zapisze informacje na tablicy. – Nigdy nie dotarła do kościoła, co wynika z monitoringu, relacji księdza, zeznań sąsiadów i Teresy Kruszewskiej, która widziała, jak dziewczyna znika za mostem.

– Tylko po co by tam poszła?

Lipski w zamyśleniu uderzał mazakiem suchościeralnym o otwartą dłoń, a Weronika bezradnie rozłożyła ręce.

– Trudno powiedzieć – odparła. – Nie ma tam żadnych domów. Droga prowadzi jedynie do wysypiska śmieci, ubojni bydła i starej, opuszczonej lisiarni. Wszystkie te miejsca zostały sprawdzone, a osoby, które w nich pracują, dokładnie przepytane. Zresztą w niedzielę ubojnia i tak była zamknięta. Żaden z zatrudnionych nigdy wcześniej nie widział dziewczyny w okolicy.

– Może umówiła się tam z kimś albo chciała dotrzeć do przelotówki z Białegostoku na Warszawę i złapać stopa? Z jej domu byłaby to najszybsza droga, by wydostać się z miasta.

Sowińska splotła dłonie za głową i odchyliła się na krześle, wypuszczając powietrze w stronę sufitu.

– I nie zabrałyby ze sobą żadnych rzeczy osobistych? Ciuchów, komputera? To mało prawdopodobne – wątpiła. – Zweryfikowałam analogiczne zaginięcia na przestrzeni minionych dziesięciu lat, w tym historie, w których pojawiał się wątek mgły, ale nie wydaje się, by te sprawy mogły być ze sobą jakoś powiązane.

Krzysztof rzucił jej sceptyczne spojrzenie.

– Wera, błagam, mówiłem ci, że to strata czasu. Nie ma sensu tego rozgrzebywać. Jeśli już, to poszedłbym raczej tropem handlu żywym towarem albo morderstw młodych kobiet...

– Zrobiłam to – przerwała mu. – I nic. Zero powiązań, brak wspólnych znajomych z ofiarami czy osobami ze świata przestępczego. Żadnych nitek łączących z tym kierunkiem.

Lipski dreptał wzdłuż tablicy, przygryzając wargę.

– A czego udało ci się dowiedzieć od przyjaciółek, z którymi Jarosz spędzała wieczór w pizzerii Vegas? Zauważyły coś znaczącego w jej zachowaniu tamtej nocy?

– Utrzymują, że Alicja była nieco zamyślona, ale według nich nie dręczyły jej żadne większe problemy. Podobno zapytana o studia, poprosiła o zmianę tematu, co w połączeniu z informacjami od jej ojca mogłoby sugerować, że dziewczyna nie radziła sobie zbyt dobrze na uczelni i kto wie, czy nie rozważała rezygnacji z nauki.

– Zweryfikujesz to?

– W nocy napisałam wiadomość do WUM-u. Jak tylko skończymy, sprawdzę, czy odpowiedź już przyszła.

Krzysztof kiwnął głową i pociągnął kilka łyków kawy. Zepsuta świetlówka wydawała z siebie rytmiczne pstryknięcia, które podnosiły komisarzowi ciśnienie. Omiótł ją wzrokiem, po czym odstawił kubek, zgasił górne światło i zapalił lampkę na blacie,

kierując jasny snop na tablicę. W szybie niczym w lustrze odbijało się wnętrze pokoju oraz sylwetki jego i Weroniki.

– Na imprezie w klubie była pijana – kontynuował, obracając nakrętką markera. – Doszło tam do spotkania z potencjalnie zadurzonym w niej Filipem Klepackim oraz do sprzeczki z Marcinem Majewskim, któremu pozwalała obmacywać się na parkiecie.

Aspirantka przekartkowała swój notes, a gdy znalazła to, na czym jej zależało, przeczytała:

– „Po alkoholu puszczały jej hamulce. Jakby miała dwie twarze”, pamiętasz? To słowa Klepackiego.

Lipski potwierdził skinieniem.

– Mówił też, że wstawiona lubiła prowokować mężczyzn – zauważył.

– No właśnie, a podczas wizyty w domu Jaroszków w jej pokoju znaleźliśmy plastikową siatkę pełną ubrań do prania splątanych z frywolną bielizną – przypomniała, w zastanowieniu przygryzając końcówkę cienkopisu. – Cały czas o tym myślę, bo przecież nikt nie nosi takich rzeczy tylko dla siebie. Tego rodzaju bieliznę wkłada się, by budzić pożądanie.

– Może właśnie o to chodziło. Dziewczyna wyrwała się z konserwatywnego domu i odkryła inny świat – zasugerował, wyciszając telefon, który znów zaczął wibrować. – A co na ten temat sądzą jej przyjaciółki? Może spotykała się z kimś po kryjomu?

Sowińska pokręciła głową.

– Według nich nic na to nie wskazywało – odparła. – Twierdzą, że w liceum była raczej nieśmiała i cicha. Na zaczepki kolegów z klasy reagowała zawstydzeniem, a kiedy jej koleżanki podkochiwały się w rówieśnikach i popularnych raperach, ona sprawiała wrażenie obojętnej. Zmianę zauważyły dopiero, gdy Alicja zaczęła studiować. Podobno stała się odważniejsza i mniej wstydliva. Zdarzało się, że

po kilku piwach podrywała chłopaków w pubie, ale jej znajome nie podejrzewały, by mogła iść na całość z którymkolwiek z nich.

Lipski przysiadł na rogu biurka, niespokojnie uderzając stopą o wykładzinę. Zatopiony w myślach, zaczął obrywać odstający fragment laminatu, aż zrobił w nim dziurę.

– Może uwikłała się w jakiś sponsoring? – myślał głośno.

– Nie miała ku temu powodu. Rodzice co miesiąc zasilali jej konto okrągłą sumką.

– Dla adrenaliny? Sam już nie wiem. – Podrapał czoło. – Trzeba dowiedzieć się więcej o jej życiu w Warszawie. O znajomych, problemach, przyzwyczajeniach.

– Bogdan Jarosz przekazał mi numer do jej współlokatorki, Lidii, zadzwonię, jak tylko skończymy – oznajmiła, po czym wskazała na tablicę. – O której wyszła z Euforii?

– Koło drugiej. Według Bolka Rapackiego opuściła lokal sama, a ci kolesie z Sokołów siedzieli tam jeszcze przez godzinę. Nie mam tylko pewności, kiedy dokładnie zwinął się młody Klepacki i czy na pewno nie poszedł za Alicją. Choć kiedy ją spotkałem, nie miała żadnego towarzystwa. – Na ułamek sekundy zamilkł, ręka z markerem opadła, a on odwrócił spłoszony wzrok, skupiając się przesadnie na drobnych kroplach deszczu, które znaczyły szybę. – Trafiłem na nią za rondem, przed skrzyżowaniem na osiedle Świt. Musiało być niewiele po drugiej, kwadrans, może odrobinę później, kiedy wysiadła pod swoim domem.

Weronika poczuła, że narasta w niej irytacja. Z nerwów upuściła długopis. Doskonale pamiętała swoje pierwsze dni w policji. Lipski jako jeden z niewielu okazał jej wsparcie, a ona w zamian obdarzyła go zaufaniem. Tym samym, które w ostatnich dniach tak bardzo osłabło. Upiła spory łyk zimnej kawy, mocno zaciskając palce na

uchwycie kubka, po czym wsunęła dłoń do kieszeni i wyjęła z niej pomiętą paragon.

– To wtedy wręczyłeś Alicji swój numer telefonu? – zapytała z pretensją w głosie. Rozprostowała pognieciony rachunek i położyła go na blacie, przesuwając w stronę Krzysztofa. – To ten świstek z lasu, który uznałeś za śmieć. Zaciekawilo mnie, dlaczego tak szybko go zignorowałeś.

Komisarz stał nieruchomo, z mazakiem przytkniętym do tablicy.

– O co ci chodzi, Wera?

– Po cholere dałeś studentce swój numer telefonu?!

Policjant przyglądał się partnerce, oceniając, czy ma jeszcze szansę się z tego wyłgać, ale zobaczywszy napięte mięśnie, skrzyżowane ramiona i kamienny wyraz twarzy, uznał, że będzie trudno.

– Bo mnie o to poprosiła.

– Niby dlaczego miałyby to robić?

– Jezu, nie wiem. Myślę, że mnie kokietowała.

Weronika zerwała się z krzesła, jej nozdrza drżały z oburzenia.

– I teraz o tym mówisz? Kurwa, Krzysiek, dziewczyna zaginęła, a ty się bawisz w jakieś gierki? Co jest z tobą nie tak?

– Ze mną? To ona naoglądała się *Lolity*. Zresztą jak ty to sobie wyobrażasz? Miałem powiedzieć Jaroszm przy zgłoszeniu: „No pewnie, że kojarzę waszą córkę, to ta, co rwała mnie, gdy odwoziłem ją do domu pijaną w sztok”?

Aspirantka oparła dłonie o blat i pokręciła głową z niedowierzaniem.

– Nie rób ze mnie idiotki. Obok swojego numeru na paragonie narysowałeś emotkę wysyłającą buziaka, więc nie pierdol, tylko mów, jak było – wysyczała. – Masz trzy sekundy albo idę z tym do komendanta.



Zaczęła odliczać, a gdy doszła do dwóch, Krzysztof uniósł dłonie w geście poddania.

– Dobrze, powiem, ale opanuj się!

– Czekam. – Trzymając ręce na biodrach, niecierpliwie bębniła palcami o skórzany pasek.

Lipski przysiadł na biurku kolegi i z zakłopotaniem wbił spojrzenie w szarą wykładzinę.

– Kiedy Alicja mnie zaczepiła, płakała. Po jej twarzy spływał rozmazany makijaż i wyglądała żałośnie. – Przełknął ślinę. – Wydawała się przy tym krucha i bezbronna... Patrząc na nią, poczułem nagle, że muszę jej jakoś pomóc, zaopiekować się nią... – Nabrał tchu. – Ale nie jak mężczyzna, bardziej jak ojciec – dodał pośpiesznie. – Zapisałem jej ten cholerny numer i narysowałem buźkę, żeby się rozchmurzyła. Nie prosiła o niego.

Weronika nadal ciężko oddychała, a jej wzrok czujnie śledził kolegę.

– Po co to zrobiłeś?

Krzysztof bawił się skuwką mazaka, zdejmując ją i nakładając.

– Sam już nie wiem – szepnął. – Bo było mi jej szkoda? Bo z Ewą nie możemy mieć dzieci? Bo czuję się ostatnio gównowarto i chciałem zrobić coś dobrego? Choć przez chwilę pomyśleć o sobie dobrze? A może dlatego, że przypomniała mi Ewę z początków naszej znajomości? Nie wiem, kurwa. – Przetarł palcami zaczerwienioną twarz. – Odwiozłem dziewczynę do domu, nie mając pojęcia, że następnego dnia zrobi się wokół niej takie zamieszanie. Zamieniliśmy kilka zdań o niczym, a teraz będę się z tego tłumaczył do końca życia. – Wściekle oderwał nitkę wystającą z mankietu koszuli.

Sowińska patrzyła na niego, czując przez skórę dojmujący smutek mężczyzny. Zgarbiony, ze łzami w oczach wydawał się jej żalony.

Nadal buzowała w niej złość, ale powoli zaczynało ją przysłaniać współczucie. Znała Krzyśka od lat i zawsze uważała go za dobrego człowieka. Nie chciała zmieniać tej wizji.

Jej rozważania przerwało nadejście niskiego policjanta w okularach, który w rękach trzymał srebrnego macbooka.

– Oho, ktoś umarł? – zapytał, stawiając między policjantami laptopa Jarosz.

– Na razie tylko sprawa nam zdycha. – Weronika wzięła na siebie ciężar odpowiedzi. – Co tam, Hubi? Znalazłeś coś ciekawego poza programem szpiegującym?

– Dziewczyna musiała regularnie czyścić historię wyszukiwarki, bo nie było tam zbyt wiele, ale odkryłem, że jakiś miesiąc temu zrobiła duże zakupy w sklepie z bielizną erotyczną. W zamówieniu znalazłem kilka rodzajów body stocking... to coś w rodzaju body połączonego z pończochami, bardzo zmysłowe.

– Dobra, skończ już ten wykład o bieliźnie – zgasił go Lipski. – Ogarnąłeś dostęp do jej maila?

– Jasne.

– No to do widzenia. Mamy dużo pracy.

– Jak sobie pan komisarz życzy – zażartował funkcjonariusz, po czym puścił oko do Sowińskiej i wyszedł z pokoju.

Krzysztof wziął komputer Alicji i ruszył z nim do swojego biurka.

– Przejrzę go i przeanalizuję raz jeszcze nagrania z monitoringu w Euforii, a ty w tym czasie porozmawiaj z tą koleżanką z Warszawy. Mam poczucie, że nadal niewiele wiemy.

Aspirantka zerknęła na kolegę z wahaniem, jakby zastanawiała się, czy na pewno może mu zaufać, lecz po chwili skinęła głową, a on przystanął w pół kroku i nieśmiałym głosem zapytał:

– Między nami w porządku?

– Będzie, jak przestanieś mnie okłamywać.

– Niczego więcej przed tobą nie ukrywam. Słowo gliny. – Podniósł do góry dwa palce i uśmiechnął się do niej.

Weronika odwzajemniła uśmiech, choć nadal czuła, jakby na dnie jej żołądka leżał kamień. Wyjęła telefon, wybrała zapisany w notesie numer, a później, chodząc tam i z powrotem między biurkami, prowadziła ożywioną rozmowę, intensywnie przy tym gestykulując. Kiedy skończyła, przeczytała maila z Uniwersytetu Medycznego, a później zaczęła gwałtownie uderzać palcami w klawiaturę.

– Coś się stało? – Krzysztof oderwał wzrok od ekranu laptopa i z zaciekawieniem spojrzał na koleżankę.

– Chwila. Zaraz do ciebie podejść – odkrzyknęła, zbyt zajęta, by tracić czas na rozmowy.

Pobiegła po wydruk, a następnie, stojąc pochylona nad swoim biurkiem, zaczęła nanosić na papier odręczne notatki.

– Daruj sobie już to budowanie napięcia i mów, co masz – rzucił Lipski, podchodząc do koleżanki i zaglądając jej przez ramię. – Chodzi o tę współlokatorkę z Warszawy?

– Nie – odparła z wypiekami na policzkach. – Warszawa to ślepa uliczka. Alicja większość czasu spędzała na nauce, więc według mnie nie ma mowy o żadnym sponsoringu. Na uczelni rzeczywiście nie szło jej najlepiej. Z informacji, które dostałam od WUM-u, wynika, że niektóre przedmioty w ostatniej sesji zaliczyła z trudem, choć mieszkająca z nią... – zajrzała do notesu – ...Lidia Zalewska twierdzi, że dziewczyna bardzo się starała. Podobno nie chciała rozczarować rodziców. Zwłaszcza ojca, z którym miała na tym tle sporo sprzeczek.

Krzysztof zdawał się zawiedziony. Blask w jego spojrzeniu zgasł, a kąciki ust opadły.

– I to wszystko? A jacyś faceci, skandale?

– Nikogo nie miała na stałe. Zdarzało się, że na dyskotekach piła na umór, a później uprawiała seks z obcymi facetami, ale według jej współlokatorki były to tylko jednorazowe przygody, służące temu, by odreagować stres. Często nie pamiętała nawet, jak ci mężczyźni mieli na imię.

Lipski zmarszczył brwi.

– To co wywołało w tobie takie poruszenie?

– To. – Podsunęła mu wydruk zagryzmołony jej odręcznymi notatkami. – Dostaliśmy spis nazwisk przyporządkowanych do numerów, które widniały na liście połączeń Alicji z ostatniej doby. Zobacz. – Przytknęła czubek długopisu do kartki, a komisarz nachylił się nad dokumentem, w skupieniu mrużąc oczy. – O piętnastej dzwoniła do niej jedna z koleżanek, z którą była na piwie w Vegas, później, dwanaście po pierwszej, jej brat, a tuż po drugiej Filip Klepacki.

– A to połączenie o drugiej trzydzieści osiem? – zapytał, wskazując palcem rząd cyfr.

– Zostawmy je na chwilę, zaraz do tego wrócimy – powstrzymała go i dotknęła kolejnego numeru. – Następnego dnia rano, za piętnaście dziewiąta, dzwoniła do niej przyjaciółka, z którą była w pizzerii, ale tego telefonu Alicja już nie odebrała.

– Z tego, co mówili Jaroszowie, odsypiała nocne imprezowanie.

– Zgadza się. Natomiast godzinę później jej telefon został całkowicie wyłączony. Miejscem ostatniego logowania był BTS przy Warszawskiej, co jest spójne z teorią o jej zniknięciu za mostem.

Krzysztof położył dłonie na biodrach i westchnął zniecierpliwiony.

– Czy teraz będzie ten wielki finał? Prosisz się o werble czy w końcu powiesz, co to za numer? – Zapukał paznokciem w dziewięć cyfr, przy których Weronika narysowała wykrzyknik, i sięgnął po kawę, którą zostawił na swoim biurku.

Policjantka się uśmiechnęła.

– To niezarejestrowany numer na kartę z lewego obiegu. Kupiony na nieżyjącą emerytkę, niejaką Genowefę Śliwę. – Zawiesiła głos. – Co więcej, to ten sam numer, z którego kontaktował się z tobą szantażysta. Ten od zdjęcia z Jarosz.

Kubek wysunął się z rąk Lipskiego i upadł na podłogę, po drodze z łoskotem uderzając o kant biurka. Krew odpłynęła Krzysztofowi z twarzy, a czarna ciecz momentalnie wniknęła w wykładzinę, zostawiając na podłodze brzydką plamę.

– Zanim dostaniesz zawału, weź głęboki wdech – powiedziała Weronika, kładąc mu uspokajająco dłoń na ramieniu. – Bo tak się składa, że wiem, kto mógł sprzedać ten numer twojemu szantażyście.

\*

Na szary blok przy ulicy Ludowej padało światło ulicznych latarni. Mżawka znaczyła wilgocią ulice i chodniki. Kilku wyrostków w podróbkach markowych dresów, z kapturami głęboko naciągniętymi na głowy, siedziało na murku z przenośnym głośnikiem i komórkami w dłoniach. Śmiali się, pokazując sobie filmiki na YouTube. Uszu Weroniki Sowińskiej dobiegły przekleństwa rzucane jako przecinki. Jeden z dzieciaków odwrócił się, by splunąć za siebie. Na widok policjantów przestał żuć gumę, którą miał w ustach, i niezgrabnie kiwnął im głową, jakby chciał powiedzieć „dzień dobry”.

– Gliny – syknął do kolegów, trącając łokciem tego po prawej.

Dwóch starszych zgasiło w popłochu papierosy. Któryś z małych zaczął nucić „Łapy, łapy, cztery łapy, a na łapach pies kudłaty...”. Nie zdołał jednak dokończyć, bo najwyższy i prawdo-

podobnie najstarszy z jego towarzyszy warknął: „Zamknij się”. Przez grupę przetoczyła się fala chichotu.

– Co wam, chłopaki, tak wesoło? – zapytał Lipski ponurym tonem, dostrzegając, że na drzwiach do klatki wisi plakat ze zdjęciem Alicji Jarosz.

– Tak po prostu – odparł niski, wygadany dzieciak, tłumiąc nerwowy śmiech.

Przez uchylone okno na drugim piętrze wydostawały się dźwięki rapu oraz charakterystyczny zapach marihuany. Komisarz uniósł spojrzenie, omiatając nim przysłonięte roletami, drgające od mocnych basów szyby. Aspirantka wcisnęła odpowiedni guzik na domofonie i czekała. Czuła na sobie bezczelny, lepki wzrok młodzików. Prześlizgiwał się po jej dżinsach oraz szyi, na której wisiała odznaka. Przez myśl przemknęło jej, że powinna była urodzić syna, a nie córkę, bo dziewczyna nie będzie miała lekko na tym świecie.

Jakby ktokolwiek miał, skonstatowała gorzko.

Jej ciało napięło się, dłonie zaczynały wilgotnieć z nerwów. Czuła, że poci się pod puchową kurtką, i pożalowała, że zamiast koszuli tego dnia włożyła golf. Któryś z dzieciaków szczerknął pod nosem. Jego kumpel natychmiast pacnął go otwartą dłonią w tył głowy, a Sowińska położyła rękę na kaburze. Dokładnie wtedy drzwi do klatki schodowej się otworzyły. Ze środka wydreptał staruszek z jamnikiem przy nodze. Uniósł dłoń do kaszketu i niczym gentleman z dawnych lat ukłonił się policjantce.

Funkcjonariusze weszli do środka, nie czekając, aż lokator z drugiego piętra usłyszy dzwonek. Ściany z odpadającym tynkiem zdobiły wulgarne napisy i jeszcze gorsze rysunki. W ciszy pokonali schody, by po chwili zapukać do mieszkania z numerem dziewięć.

– Ja będę z nim gadać – oznajmiła Weronika.

Krzysztof zauważył, że jego partnerka zwinęła palce w pięści, i zaczął się niepokoić. Wiedział, że dorastała na tych podwórkach, a to, co ją tu spotkało, przyczyniło się do tego, że została policjantką. Nigdy nie wyjaśniła mu dokładnie, do czego doszło, gdy była nastolatką, wspomniała jedynie, że więcej nie chce się już bać tak, jak wtedy.

Muzyka zza drzwi wdzierала się do ich uszu, a woń palonej trawki była na tyle intensywna, że sama obecność na korytarzu przyprawiała o zawroty głowy. Aspirantka uderzyła pięścią w drewniane drzwi.

– Idę, już idę! – krzyknął ktoś ze środka.

Klucz zazgrzytał w zamku i po drugiej stronie stanął młody mężczyzna w dresach z trzema paskami oraz bejsbolówką nałożoną daszkiem do tyłu.

– Wera, no proszę, kopę lat. – Rozpromienił się, autentycznie ucieszony, i dopiero po chwili zauważył Lipskiego. – Dzień dobry, panie władzo.

– Dobry, możemy wejść? – zapytał komisarz.

Lokator spod dziewiątki wyszedł na klatkę, zamykając za sobą drzwi.

– Gości mam – wytłumaczył. – Lepiej tutaj pogadajmy, w czym mógłbym pomóc?

– Norbi, nie rób sobie jaj, tylko nas wpuść – nalegała Sowińska. – Podziękuj kolegom i ścisz to gównno, żebyśmy mogli normalnie porozmawiać.

Mężczyzna poprawił gruby, złoty łańcuch na szyi. Zerknął gdzieś w bok, a później na funkcjonariuszkę, jakby tym spojrzeniem chciał ją przekonać do zmiany zdania. Ona jednak niecierpliwie stuknęła czarnym, wojskowym butem na grubej podeszwie o podłogę, pozostając obojętna na jego niemo wyrażoną prośbę.

- Zaczekajcie w kuchni – rzucił w końcu, wyraźnie niezadowolony.
- Ogarnę pokój i wtedy was zaproszę na salony.

Przeszli ciasnym korytarzem, potykając się o porzucane w nieładzie obuwie. Powietrze gęste od dymu drażniło nozdrza, a muzyka rozsadzała bębunki. W pokoju naprzeciwko wejścia przy niskiej ławie siedziało dwóch tęgich mężczyzn w puchowych kurtkach i markowych adidasach. Jeden z nich zdjął z blatu kryształową popielnicę i wyzywająco patrząc Weronice w oczy, wsunął ją pod fotel. Policjantka ani myślała czekać w kuchni. Ruszyła prosto do salonu z twarzą napiętą od gniewu. Krzysztof podążył za nią, czując, że jeśli czegoś nie zrobi, zaraz dojdzie do przepychanki. Właściciel mieszkania wyłączył muzykę, gdy rozległy się stanowcze słowa policjantki skierowane do gości:

- Do widzenia.

Dwaj mężczyźni skrzywili się, jakby opowiedziała mało zabawny dowcip, i wrócili do rozmowy, którą najwyraźniej im przerwała. Lipski miał wrażenie, że usłyszał, jak zęby Sowińskiej zatrzęszczały.

- Wyjazd, panowie – wtrącił mężczyzna w bejsbolówce. – Dokończymy nasze sprawy kiedy indziej. No już. – Zaczął zgarniać z ławy resztki suszu.

Goście przybrali zdziwione miny.

- Co ty, Norbi, psami będziesz nas szczuł? – zapytał ten większy, z sygnetami na palcach.

Weronika oddychała coraz szybciej. Szum w jej głowie narastał, a złość piekła w gardle. Usiłowała się uspokoić, ale gdy jeden z mężczyzn puścił do niej oko, nie wytrzymała i rzuciła się na faceta, przyciskając go za krtań do oparcia fotela.

- Masz jakiś problem? – warknęła.
- Ja nie, ale ty już tak.



Atmosfera w ułamku sekundy stała się gęstsza od wirującego w powietrzu dymu. Właściciel mieszkania pobladł, a jego luzacki uśmiech spłynął z twarzy, ustępując miejsca przerażeniu. Komisarz położył rękę na plecach policjantki, pewien, że od tragedii dzieli ich jeden nieostrożny ruch.

– Nie warto. Puść go – powiedział łagodnie, a ona rozluźniła uchwyt.

– Zwijamy się, Beny – bąknął do swojego kumpla facet w fotelu, masując szyję. – Zanim ta suka zarazi nas wścieklizną.

– Pilnuj języka, stary, bo cię zgarnę za znieważanie funkcjonariusza – zagrzmiął Lipski, na co mężczyzna zareagował uniesieniem dłoni i przybrał minę niewiniątka.

Nozdrza Sowińskiej pulsowały, jej klatka piersiowa unosiła się i opadała rytmicznie, a kostki dłoni pobieły od zaciskania. Goście powoli wstali i celowo ocierając się o Weronikę, opuścili pokój.

– Załatwimy sprawę w sobotę u Łysego! – zawołał jeden z nich, salutując gospodarzowi.

Kiedy drzwi się za nimi zatrzasnęły, policjantka obdarzyła lokatora dziewiątki pełnym żalu spojrzeniem.

– Dlaczego nie zareagowałaś?

Mężczyzna skulił się, jakby dostał pięścią w brzuch, wbił ręce w kieszenie i zaczął studiować wzór na swoich adidasach.

– Daj spokój, siostra, wiesz, co to za ludzie. Nie miałbym życia. Nikt by już nie chciał ze mną interesów robić.

Na dźwięk słowa „siostra” oczy Krzysztofa otworzyły się szerzej.

– Przyrodnia – rzuciła Sowińska, dostrzegając jego konsternację, po czym sięgnęła do kieszeni i wręczyła Norbiemu świstek z nagryzmołonym numerem telefonu: – Muszę ustalić, komu sprzedałaś lewą kartę do telefonu. Chodzi o ten numer.

Brat policjantki przelotnie rzucił okiem na karteczkę.

– Daj spokój, nie robię już takich rzeczy.

Chciał jej oddać skrawek papieru, ale funkcjonariuszka zignorowała jego wyciągniętą dłoń.

– Kartę zarejestrowano na dane pani Genowefy Śliwy. Twojej nieżyjącej od roku babci – oznajmiła. – Swoją drogą, to musiała być niezwykle przedsiębiorcza kobieta, operator potwierdził, że do jej nazwiska podpięto siedemnaście numerów. Imponujące, zważywszy, że ostatnie lata życia spędziła na walce z alzheimerem.

Norbert zdjął z głowy czapkę i potarł obcięte na jeża włosy.

– Nie prowadzę ewidencji. Nie mam pojęcia, co i do kogo poszło – wyznał.

Weronika wyrwała kartkę z notesu, a następnie razem z długopisem wręczyła ją bratu.

– To zapisz mi nazwiska wszystkich swoich klientów. – Rozsiadła się w fotelu, wyciągając nogi przed siebie i zaplatając palce na brzuchu. – Mamy czas, nigdzie się nam nie spieszy.

Lipski, który dotychczas czekał oparty o futrynę, również usiadł, z ciekawością śledząc wymianę zdań między rodzeństwem.

– Jaja sobie robicie? Myślicie, że jak ktoś do mnie przychodzi, to każę mu się wylegitymować? – bronił się chłopak. – Kojarzę kilka ksywek, czasem rozpoznaję kogoś z widzenia, ale najczęściej nie mam pojęcia, z kim handluję. Obchodzi mnie tylko, żeby hajs się zgadzał.

Sowińska zaczęła się rozglądać, głęboko wdychając powietrze.

– Ciekawe, pachnie zupełnie jak marihuana – rzuciła beznamiętnie.

Norbert wypluł stek przekleństw, po czym usiadł na wersalce z tyłu i zaczął notować. Szukał czegoś w telefonie, uderzał długopisem o kartkę, a jego kolano rytmicznie podrygiwało.

– Co mówią na mieście o zaginięciu Alicji Jarosz? – zagaił Lipski.

Brat Weroniki przerwał pisanie, uniósł głowę i wbił wzrok w komisarza.

– A ta karta zarejestrowana na moją babkę ma z tym coś wspólnego?

– Może ma, może nie ma. Sprawdzamy różne tropy.

– Zainteresujcie się lepiej niejakim Majkim z Sokołów.

Policjanci spojrzeli po sobie.

– A to niby dlaczego? – chciał wiedzieć Krzysztof.

Oparł łokcie na kolanach i z ciekawością nachylił się w stronę rozmówcy.

– Krążą słuchy, że w sobotę balował z córeczką doktora. Ludzie gadają, że to świr. Podobno jest strasznie narwany. Jeden z moich kumpli zajechał mu kiedyś drogę na es ósemce. Tamten tak się wpienił, że aż do Białegostoku siedział mu na zderzaku, a później pierdyknął koledze krechę przez całe drzwi nowiutkiego audi.

– Udowodnili mu to?

Norbert parsknął.

– Człowieku, to nie jest jakiś pierwszy lepszy leszcz. Zrobił to po cichu, z dala od monitoringu. A potem zaparkował po drugiej stronie ulicy i czekał, żeby zobaczyć minę kumpla. Jebany psychol.

Twarz Lipskiego poszarzała. W zamyśleniu skubał nitkę wystającą ze spodni, zastanawiając się, czy wystarczająco dobrze sprawdził alibi żołnierza. Wprawdzie widział zdjęcia z chrztu i rozmawiał z kilkoma znajomymi Marcina Majewskiego, którzy potwierdzili, że facet został chrzestnym, ale może coś przeoczył.

– Masz. Tyle pamiętam. – Norbi, który skończył pisać, podniósł się i wcisnął kartkę w dłoń siostry. – I nie rób mi więcej takich nalotów. Mogłaś zadzwonić.

– Chciałam cię zobaczyć, stęskniłam się.

Chłopak prychnął z powątpiewaniem. Nim wyszli, Weronika złożyła kartkę na czworo, schowała ją do wewnętrznej kieszeni kurtki, a później uścisnęła brata, długo i mocno, chcąc mu pokazać, że słowa, które padły z jej ust, nie miały nic wspólnego z ironią, ale były wyrazem prawdziwych uczuć.

Nie czekając na Lipskiego, popędziła schodami w dół, wypadła na zewnątrz i zatrzymała się dopiero przy radiowozie. Biegła, jakby pragnęła uciec przed przeszłością, która wyczierała z każdego kąta odrapanej, śmierdzącej klatki.

– Nie wiedziałem, że masz... – zaczął Krzysztof, ale policjantka zatrzymała go wyciągniętą dłonią, nie pozwalając mu dokończyć.

Niespokojnie szarpnęła za klamkę vectry.

– Otwórz, do cholery. Muszę stąd odjechać.

Samochód zamrugał światłami. Rozległ się zgrzyt centralnego zamka. Funkcjonariuszka wskoczyła na fotel, odchyliła głowę i zamknęła oczy, oddychając, jakby brakowało jej powietrza. Lipski nie pytał. Są takie momenty w życiu, gdy najlepsze, co można zrobić, to wstrzymać się od robienia czegokolwiek.

Dopiero kiedy znaleźli się za domem kultury, Weronika uniosła powieki i wyjęła z kieszeni kartkę. Szelest papieru zastąpił ciężką ciszę, którą po chwili przeszły ostre:

– O kurwa.

– Co jest?

– Na liście od Norbiego są dwa nazwiska, które znamy – wyjaśniła.

– Klepacki?

Sowińska pokręciła głową.

– Pudło. Emilia Wanat, jedna z przyjaciółek, z którą Alicja spędzała wieczór w pizzerii Vegas.

Krzysztof mruknął zaintrygowany.

– A ta druga osoba?

Policjantka otworzyła usta, rzucając Lipskiemu współczujące spojrzenie.

– To twoja żona – wyjaśniła.

\*

Nad Sinicami zapadał zmierzch. Mżawka już ustała, a ulice pustoszały, cichnąc po gwałnym dniu. Od zaginięcia Alicji Jakub nie potrafił znaleźć sobie miejsca. Miał wrażenie, że obwiesił plakatami całe miasto, przez co jego siostra zerkała ze wszystkich mijanych słupów. Znajomi wysyłali mu wspierające wiadomości na Messengerze, kilku proponowało spotkanie, ale on nie miał na to siły. Nie chciał znów o niej opowiadać. Odpuścił sobie dziś szkołę, podobnie jak jego rodzice pracę, ale jednocześnie nie potrafił beczynnie czekać. Musiał działać. Zmęczyć się tak bardzo, by zasnąć z wyczerpania i nie musieć snuć czarnych scenariuszy.

Po porannych poszukiwaniach zaszył się w garażu, położył na przykurzonej ławeczce do ćwiczeń i wyciskał sztangę, aż rozbolały go mięśnie. Później w grobowej ciszy zjadł z rodzicami obiad. Żadne z nich nie radziło sobie z tym, co się stało. Mówi się, że trudne sytuacje zbliżają rodzinę, ale to nie zawsze prawda. Niektóre ją niszczą.

Matka popłakiwała, ojciec dreptał osowiały z kąta w kąt, a on uciekał, w co tylko mógł. Popołudnie spędził na kompulsywnej grze w *Counter Strike'a*. Wieczorem, po tym, jak przeczytał wszystkie nowe komentarze w sieci dotyczące zaginięcia, wziął piłkę i ruszył na boisko upchnięte między blokami. Dzieciaki, które grały w kosza, na jego widok zaczęły szeptać z podekscytowaniem. Nie znał ich, byli młodszy, ósma, może siódma klasa szkoły podstawowej. Naciągnął kaptur na głowę i nie zważając na zainteresowanie

młokosów, rozpoczął rozgrzewkę. Wymachiwał właśnie ramionami, gdy usłyszał wołanie.

– Kuba? – dobiegło go zza siatki.

Po drugiej stronie stał Filip Klepacki w bluzie i grubym bezrękawniku. Trzymał ręce w kieszeniach i błądził wzrokiem po boisku, z którego razem z piłką odrywały się drobne cząsteczki wody.

– Czego chcesz? – warknął do niego brat Alicji, kozłując między nogami.

– Będiesz w przyszłym tygodniu na meczu?

Młody Jarosz posłał mu pełne pogardy spojrzenie, a później z dwutaktu wrzucił piłkę do kosza. Dzieciaki grające po przeciwnej stronie boiska kłóciły się o to, czy doszło do faulu. Najwyższy z nich popchnął rudego chłopaka z kręconymi włosami, a pozostali stanęli w obronie kolegi.

– Sorry, nie chciałem, wiem, że masz teraz ważniejsze rzeczy na głowie – bąknął Filip. – Trzymasz się jakoś? To musi być niezły hardcore. Gdybym mógł coś dla was zrobić albo jakoś pomóc...

– Zrobiłeś już wystarczająco dużo.

– O co ci chodzi?

Kuba wybił się z prawej nogi, wyrzucił ramiona w górę, sprawiając, że piłka poszybowała w stronę kosza, ale tym razem nie wpadła do obręczy. Z głuchym łoskotem stuknęła o tablicę i wypadła poza ogrodzenie, niemal wprost pod nogi Klepackiego. Chłopak podniósł ją z trawnika, a potem z zadowoloną miną wszedł na boisko, podciągnął rękawy bluzy i zaczął kozłować.

– Meczyk? – zaproponował.

– Zjeżdżaj stąd.

– Jezu, masz. – Rzucił piłkę Jaroszowi. – Nie musisz zachowywać się jak dupek. Chciałem po prostu być miły.

– Wystarczy, że w sobotę już byłeś. Nie rozumiesz, że to wszystko przez ciebie? Po cholere mi to wysłałeś?

Nastolatek cofnął się o krok. Otworzył usta, ale nie był w stanie wydobyć z nich żadnych słów. Kilkoro dzieciaków grających nieopodal zatrzymało się, by obserwować rozwój wydarzeń, jakby burza już wisiała w powietrzu.

– Pomyślałem, że powinienes wiedzieć. W końcu to twoja siostra.

– Nikt cię o to nie prosił. Już dawno mówiłem, żebyś dał sobie spokój. Jej nie interesują tacy koleś jak ty.

– Tak? Niby jacy? Masz coś do mnie? – Filip splunął, a żyła na jego czole zaczęła pulsować.

Jarosz patrzył na chłopaka jak na coś obrzydliwego, w co niechcący wdepnął. Jego wykrzywione usta niemo wyrażały wstręt. Ścisnął oburącz piłkę, którą trzymał w dłoniach, i z całej siły pchnął ją, uderzając Klepackiego w splot słoneczny. Nastolatek zatoczył się lekko i jęknął.

Ekipa z drugiej połowy boiska zamarta. Odgłos piłki uderzającej o asfaltową nawierzchnię umilkł. Kuba podszedł do dawnego kumpla, który palcami jednej ręki uczeplił się siatki, nachylił się nad nim i wyszeptał mu do ucha:

– Jesteś pierdolonym zbokiem. Nic niewartym śmieciem.

Na reakcję Filipa nie trzeba było długo czekać. Uniósł pociemniały wzrok i w ułamku sekundy wymierzył Jaroszowi cios w szczękę. Pięść ześliznęła się jednak z brody i trafiła w nos, który pod wpływem uderzenia chrupnął jak przełamywany krakers. Kuba odrzucił głowę, a krew zalała jego twarz oraz ubranie.

– Ty gnoju – warknął, dotykając wilgoci nad górną wargą.

Chwytał Klepackiego za kamizelkę i rzucił go na boisko niczym worek ziemniaków. Chłopak nie zdążył się nawet obronić. Upadł bezwładnie, z głuchym łoskotem, uderzając głową o asfalt. Dzieciaki

przyglądające się całej scenie wyciągnęły komórki, by sfilmować zajście. Ktoś przeklął z emocji.

Brat Alicji dopadł przeciwnika, nim ten zdołał się podnieść. Usiadł na nim okrakiem, nogami przyciskając do ziemi uda Filipa. Chłopak młócił powietrze rękoma, chcąc się wyswobodzić, ale udało mu się jedynie podrapać Jarosza, który bez wątpienia był silniejszy. Złapał ręce leżącego za nadgarstki i przygwoździł je do ziemi. Klepacki dyszał, jakby miał zaraz eksplodować. Próbował wierzgać ciałem, ale Kuba trzymał go w żelaznym uścisku.

Bezradny i bliski furii Filip charknął, a potem plunął prosto w twarz Jarosza. Odpowiedź przyszła niemal natychmiast. Powietrze przeszył zwierzęcy ryk, od którego ptaki z pobliskich gałęzi zerwały się do lotu, po czym grad ciosów spadł na głowę i klatkę piersiową Klepackiego. Dotarło do niego wysyczone we wściekłości: „To wszystko twoja wina”, lecz nie był w stanie odpowiedzieć. Czuł, jakby przebiegało po nim stado nosorożców o twardych jak kamienie kopytach. Nie mógł zrobić już nic, tylko leżeć nieruchomo i w myślach błagać, by ten koszmar się skończył.

– Kurwa, on go zajebie! – krzyknął któryś z młokosów. – Zajebiesz go, słyszysz?! Cholera, dzwońcie po gliny.

Te słowa musiały w jakiś sposób dosięgnąć uszu Jakuba. Z trudem łapiąc oddech, wyhamował pięści. Spojrzał na swoje ręce, a później na to coś na ziemi, co przypominało stertę zakrwawionych szmat. Zamrugął, jakby ze zdziwieniem, po czym podniósł się i na chwiejnych nogach zaczął iść w stronę domu.

Dzieciaki na widok jego twarzy oraz czerwonych od krwi rąk zbiły się w ciasną gromadę. Przechodzący nieopodal starszy mężczyzna podbiegł do Filipa i zaczął coś krzyczeć, ale Jarosz zdawał się go nie słyszeć. Kroczył przed siebie z opuszczoną głową, poruszając palcami dłoni, jakby chciał w nie złapać łagodny wiatr.



Jeden z podmuchów pchnął pod stopy Jakuba strzęp papieru. Chłopak przystanął, obserwując, jak kolejne powiewy tarposzą zerwane ze słupa ogłoszenie, częściowo uwięzione pod sportowym butem. Twarz Alicji to się pojawiała, to znikła, jakby siostra bawiła się z nim w chowanego.

Jarosz stał tak niczym posąg, czując, że wszystko się w nim już skończyło, a potem podniósł kartkę z chodnika. Otrzeptał z niej piasek i wstążką oblepioną brudem taśmy przywiązał ogłoszenie do mijanego ogrodzenia.

\*

Krzysztof patrzył na pogrążoną we śnie Ewę. Z dłońmi złożonymi przy twarzy wyglądała tak niewinnie. Delikatnym dmuchnięciem odsunął grzywkę z jej czoła. Obserwował drobne zagniecenia przy kącikach oczu, pełne usta i ciało poruszające się w rytm spokojnego oddechu. Wszyscy kłamią, pomyślał. Ganił się za naiwność. Jak mógł przypuszczać, że tylko on w tym związku ma tajemnice? Ostrożnie, by nie zbudzić żony, podniósł się z łóżka, na którego krawędzi przysiadł. Sprężyny materaca zareagowały cichym skrzypnięciem.

Upewnił się, że Ewa nadal śpi, a kiedy nie miał już co do tego żadnych wątpliwości, otworzył górną szufladę komody. Przerzucił bieliznę żony, szukając drugiego aparatu telefonicznego albo schowanej gdzieś pod stertą majtek karty SIM. Jego dłonie przemierzały półki z ubraniami, przetrząsały torebkę, kosmetyczkę w łazience, a nawet zawartość kuchennych szafek. Nigdzie jednak nie było śladu po dodatkowym telefonie.

W akcie desperacji zadzwonił na numer szantażysty. Miał nadzieję, że jeśli zapasowa komórka jest w mieszkaniu, usłyszy, jak dzwoni,

ale nic takiego się nie wydarzyło. Dla odmiany rozwrzeszczał się jego smartfon.

Dzwoniła Sowińska.

– Rozmawiałam z Emilią Wanat, tą znajomą Jarosz – oznajmiła.

– Przyznała się, że kupiła kartę od Norberta?

– Po kilku minutach maglowania była gotowa wyznać wszystko. Jestem pewna, że gdybym poprosiła, podałyby mi nawet hasła do swoich kont bankowych – zaśmiała się. – Sprawa okazała się dość banalna. Dziewczyna ma romans z kolegą ojca.

Lipski wsunął dłoń za toaletkę żony, a gdy poza kurzem nie znalazł tam niczego innego, otrzepał ze wstrętem rękę.

– Nie mogła po prostu kupić sobie nowego telefonu na kartę i ukrywać go przed starymi? – dociekał.

– Mogła, ale musiałaby go zarejestrować, a ten jej facet jest przesadnie ostrożny. To on zasugerował takie rozwiązanie. Sprawdziłam go. Koleś obraca nieruchomościami w całej północno-wschodniej Polsce i na moje oko robi jakieś niezłe przekręty. Być może na wypadek, gdyby coś wypłynęło, zadbał o to, by żadna z dróg nie doprowadziła do jego kochanki, ale to już nie nasza broszka.

– Myślisz, że ta Wanat mówi prawdę?

– Wszystko na to wskazuje. Poza tym według jej rodziców tamtej nocy po powrocie z Vegas nigdzie już nie wychodziła. Nie mogła więc strzelić ci fotki z Jarosz koło drugiej.

Krzysztof zatrzasnął drzwiczki apteczki, w której znalazł jedynie leki.

– Rodzice są w stanie powiedzieć wiele rzeczy, by chronić swoje dziecko.

– Może i tak, ale ja im wierzę – odparła. – A skoro mowa o rodzicach, to przyjaciółka Alicji zastanawiała się, dlaczego

dziewczyna była trochę przygaszona tamtej nocy, i stwierdziła, że to chyba przez ojca. Podobno stary gadał z dawnym znajomym z uniwersytetu i doszły go słuchy o ocenach córki, które przed nim zataiła. Wanał przypomniła sobie, że kiedy były na piwie, Alicja rzuciła ni to żartem, ni serio, że robi wszystko, żeby ojciec nie musiał się za nią wstydzić.

Lipski w zaciekawieniu zaczął skubać wargę.

– No proszę.

– A jak u ciebie, porozmawiałeś już z Ewą?

– Nie, spała, kiedy wróciłem. Zapytam ją o to rano. – Westchnął. – Myślę jeszcze o tym, co twój brat powiedział o Majewskim. Pięć osób, które były z nim na chrzcie, potwierdza jego alibi, podobnie jak zdjęcia z kościoła, ale coś mi tu zgrzyta – myślał głośno, zaglądając do szuflad pod umywalką. – Chrzest był o dziewiątej. Nie zdążyłby dojechać do Sinic tak szybko, by natrafić na Alicję, prawda? Szczególnie że potem goście poszli do restauracji.

– Czy ja wiem... Może msza skończyła się wcześniej albo on zwinął się przed końcem i spóźnił do knajpy? Mógł też wysłać po nią jakiegoś swojego kolesia. Jeśli jest tak zawzięty, jak twierdził Norbi, wszystko jest możliwe. Po prostu miejmy na niego oko. Zresztą z tego, co mówiłeś, teraz i tak miał wrócić do jednostki.

– Słuszna uwaga – odparł, grzebiąc w koszyku z kosmetykami, gdy jego opuszka natrafiła na ostrze maszynki do golenia.

Skóra zapiekła, a on syknął. Po chwili kreskę na palcu wypełniła bordowa ciecz.

– Coś się stało? – zapytała Sowińska.

– Nic poważnego, skaleczyłem się tylko – wyjaśnił, trzymając rękę pod strumieniem zimnej wody.

– W każdym razie pamiętaj, że na ten moment nic nie wskazuje na to, by w sprawie Alicji popełniono przestępstwo. Właściwie wszystko,

co odkrywamy, coraz bardziej sugeruje dobrowolne oddalenie. Chyba że jest coś jeszcze, czego mi nie wyjawiałeś? Coś, co dotyczy twojej przejażdżki z Jarosz.

– Nie, Wera. Powiedziałem ci już wszystko. – Zamknął oczy i czekał na reakcję policjantki.

Sekundy ciągnęły się jak godziny. Rana na palcu pulsowała, a on słyszał, jak Sowińska oddycha.

– Minęły dopiero dwa dni – rzuciła w końcu. – Dajmy sobie trochę czasu. Jest dorosła, wzięła ze sobą pieniądze i dokumenty. Jutro spróbuję wydusić z jej ojca, czy kłócili się o medycynę.

Lipski przytaknął, a później pożegnał się z koleżanką. Jego myśli krążyły wokół tamtej nocy i tego, co wtedy zrobił. Ze wstrętem spojrzał na swoją twarz w lustrze. Jego wargi drżały z wściekłości. Zwinął dłoń w pięść twardą jak kamień, a po chwili krew zaczęła się przesączać między palcami. Czuł napięcie, które zdawało się rozsądzać go od środka. Musiał coś zrobić, cokolwiek, byle nie zwariować. Nie rozpaść się. Podniósł rękę i w desperacji uderzył nią o tafelę lustra. Odłamki szkła zadzwoniły, spadając do umywalki, a świeża krew skropiła okruchy. Krzysztof wypuścił powietrze z płuc z nadzieją, że teraz będzie lepiej. Ale nie było.

\*

Andrzej Klepacki, siedząc przy stole w kuchni, siorbał herbatę ze szklanki. Rozdrażniony bębnił o blat stołu palcami umazanymi smarem i wpychał do ust kanapki z szynką, które zagryzał ogórkiem małosolnym. Za każdym razem, gdy jego uszu dobiegał odgłos przejeżdżającego samochodu, podrywał się i wyglądał przez okno na ulicę, w nadziei, że to jego żona wróciła ze szpitala z Filipem. Pół godziny wcześniej odebrał od niej telefon. Była zdenerwowana,

mówiła chaotycznie. Ze strzępków zdań i jęknięć zdołał się jednak dowiedzieć, że ich syn został pobity. Podobno przyszedł do szpitala o własnych siłach i kategorycznie odmówił rozmowy na temat tego, co go spotkało.

Mechanik przeczuwał, że napaść mogła mieć związek z tym, co jego syn zrobił w niedzielę rano. Z trudem przełknął ostatni kęs kanapki, utwierdzając się w przekonaniu, że muszą jak najprędzej pozbyć się obciążających dowodów. Miał wrażenie, jakby na jego piersi leżał ciężki głaz, utrudniający oddychanie. Coś zakłuło go w okolicy mostka, ale nim zdążył się tym przejąć, za szybą dostrzegł samochodowe światła rozpraszające noc i na podjazd wjechał fiat jego żony. Chwilę później do kuchni weszli Filip oraz jego zapłakana matka, która przylgnęła do męża, szukając w nim pociechy.

Na widok syna Andrzej mimowolnie się skrzywił. Twarz chłopaka przypominała rozkwaszonego pomidora. Pod prawym okiem, które teraz było jedynie wąską szparką, miał olbrzymią śliwę. Na czole, obok brwi, widniał długi szew, a w kącie ust krwawe rozcięcie. Przez opuchliznę wyglądał jak ktoś zupełnie inny i mechanik pomyślał, że gdyby nie wiedział, że to jego syn, nigdy by go nie poznał.

Nastolatek usiadł na moment przy stole, ale nie mogąc znieść świdrujących spojrzeń i pytań, które wisiały w powietrzu, wstał i ruszył do wyjścia.

– Będę u siebie – oznajmił.

– Zaczekaj! – zawołał go ojciec. – Mamy do pogadania.

Filip stęknął, po czym niechętnie wrócił na krzesło.

– Zostawisz nas? – Andrzej spojrzał na żonę, a gdy kobieta skinęła głową i wyszła, usiadł naprzeciwko syna. Upewniwszy się, że matka chłopaka nie może ich już usłyszeć, zapytał ściszym głosem: – Kto ci to zrobił, Bogdan Jarosz?

Nastolatek milczał. Odwrócił twarz do okna i naciągnął rękawy bluzy na obtarte dłonie.

– A może jego synalek? Brat tej dziewczyny?

Ponownie odpowiedziała mu cisza.

– Dzieciaku, lepiej zacznij gadać, bo za chwilę i ja się zdenerwuję.

– Andrzej podniósł głos. – Czy to ma coś wspólnego z tym, co robiłeś w niedzielę?

– A jakie to ma znaczenie?

– Jakie znaczenie? Ludzie, trzymajcie mnie, bo nie ręczę za siebie. – Nerwowo potarł brodę na policzkach. – Człowieku, czy ty widziałeś się w lustrze? Twoja twarz wygląda jak kawał mięsa od rzeźnika. Mam udawać, że tego nie widzę, i zaproponować ci herbatkę?

– Mógłbyś.

Mechanik rąbnął pięścią w stół, ale nastolatek był tak zobojętniały, że nawet nie drgnął. Pochylił tylko głowę i w milczeniu obserwował wzór na ceracie przykrywającej blat. Jego ojciec podniósł się, nalał do szklanki wody z kranu i wypił ją duszkiem, jakby chciał ugasić nie tyle pragnienie, ile wewnętrzny ogień.

– Powiesz mi w końcu, kto cię tak pobił? – spróbował ponownie, tym razem łagodniej.

– I co zrobisz z tą wiedzą? Pójdiesz tam i im nawrucasz? A może każesz mi złożyć zawiadomienie o pobiciu, żeby policja jeszcze raz wzięła mnie pod lupę? Mleko się już rozlało, tato. Trzeba to przeczekać. Życ, jakby nic się nie wydarzyło.

– Ale to nieprawda i dobrze o tym wiesz. Jeśli gliny zwęszą, co zrobiłeś, będzie po tobie. Nie wytłumaczysz się z tego.

– Przynajmniej spróbuję.

Andrzej, który krążył po kuchni, obgryzając skórki wokół paznokci, prychnął.

– Nie rozumiesz, że to tak nie działa? W takich sprawach liczą się tylko dowody i poszlaki. Ci ludzie zmiażdżą cię, zanim zdążysz cokolwiek powiedzieć. Nikt nie będzie się z tobą cackał ani pytał o prawdę.

– To co proponujesz? – rzucił Filip od niechcienia, drapiąc paznokciem rysę na ceracie.

– Musimy pozbyć się tego, co zabrałeś z jej torebki.

Filip z niepokojem zerknął na ojca.

– Niby jak?

– Zostaw to mnie, zaplanowałem wszystko dokładnie. Włóż kurtkę, weź, co trzeba, i idziemy.

– Dokąd?

– Po prostu zrób, co mówię.

Kilka minut później mężczyzna oznajmił żonie, że wychodzą się przewietrzyć i przy okazji wyprowadzą na spacer Rocky'ego, zadziornego sznaucera, który mieszkał z nimi od niedawna. Za furtką Klepacki spuścił psa ze smyczy, a ten zastrzygł uszami i ruszył przed siebie, uradowany wolnością.

Na polach i pod lasem kłębiły się białe opary mgły. Przedzierali się przez noc w ciszy. Pod osłoną czerni twarz nastolatka sprawiała wrażenie nieco mniej przerażającej. Mechanik w napięciu rozglądał się wokół i nasłuchiwał w obawie, że mogliby spotkać sąsiadów, a to z kolei wywołałoby lawinę niewygodnych pytań.

Kiedy doszli do mostu prowadzącego do leśnej polany i bagien, sznaucer przystanął, uniósł łeb, a następnie zaszczekał w kierunku mlecznej polaci.

– No co ty, Rocky? To tylko mgła – próbował go uspokoić Filip, ale gdy wziął zwierzaka na ręce, ten zapiszczał i wyrwał się z jego objęć, po czym ukrył się za nogą chłopaka.

Andrzej machnął ręką.

– Daj spokój, zostawmy go tutaj. Załatwimy szybko, co trzeba, i zgarniemy go w drodze powrotnej. – Przypiął smycz do obroży czworonoga, po czym zawiązał jej drugi koniec na ogrodzeniu domu starej Kruszewskiej i poklepał szczeniaka po głowie. – Waruj, Rocky – rzucił, a później poszedł w stronę mostu, ponaglaając syna, by do niego dołączył.

Nastolatek z troską obejrzał się na psa, który popiskiwał, jakby błagał, by wrócili do domu. Jego żalosne skamlenie i smutne oczy sprawiły, że żołądek Filipa ścisnął skurcz. Ukucnął przy zwierzaku, pogłaskał go delikatnie za uchem, a potem ruszył za ojcem.

Powietrze pachniało wilgotną ziemią. Spieszyli się, jakby to, co chłopak włożył do kieszeni, wypalało w niej dziurę. Nocną ciszę wypełniały szmer dwóch przyspieszonych oddechów i odgłos niespokojnych kroków, ciemność zaś rozpraszała wiązka światła latarki. Chłopak rozsunął suwak, po czym wetknął dłoń do kieszonki i dotknął opuszkami chropowatej metalowej powierzchni. Ogarnęło go przyjemne uczucie, pod powiekami zatańczyły wspomnienia niedzielного poranka. Wróciły zapach pościeli Alicji Jarosz, miękkość jej bielizny.

– Podejdź tutaj! – zawołał go ojciec, który stał przy krawędzi grzędzawiska. – Musisz to rzucić najdalej, jak potrafisz. W okolice tamtej plamy. Widzisz? – Wskazał palcem miejsce, na które padał snop światła.

Filip kiwnął głową, ale się zawahał.

– A może chociaż spróbowałbym wytłumaczyć, co się wtedy stało? Oni powinni wiedzieć...

– Zapomnij o tym – wszedł mu w słowo mechanik. – Ci ludzie nie szukają prawdy, tylko winnego. Nie proś się o to, byś ty nim został.

Chłopak wypuścił powietrze nagromadzone w płucach, zamknął palce wokół swojego trofeum, a później wziął zamach i cisnął



zdobycz w czeluść mokradeł. Uszu mężczyzn dobiegło głucho „chlup”, po którym przedmiot zapadł się w głąb mętnej wody, jakby nigdy nie istniał. Przez chwilę obaj niczym zaczarowani patrzyli w tamto miejsce, jak gdyby chcieli się upewnić, że to koniec. Że już po wszystkim.

Pierwszy zareagował Andrzej, który poklepał syna po ramieniu.

– Chodźmy, mama będzie się niepokoić.

Nastolatek ostatni raz omiół spojrzeniem rozległe bagna, po czym włożył ręce w kieszenie i ze spuszczoną głową ruszył w stronę mostu.

– Dlaczego to dla mnie robisz? – zapytał ojca, gdy wychodzili z lasu.

Mechanik długo nie odpowiadał, w końcu splunął gdzieś w bok i powiedział:

– Bo popełniłeś głupi błąd i nie chcę, żebyś płacił za to do końca życia.

Chłopak odniósł wrażenie, że ojciec nie mówi o nim, lecz o sobie.

Andrzej tymczasem wrócił pamięcią do letniej nocy sprzed wielu lat. Znów był w podkradzionym ojcu fiacie 126p. Pędząc po białostockich ulicach, śmiał się i śpiewał tak głośno, że bolało go gardło. Niedawno świętował osiemnastkę, przepełniało go poczucie, że jest niezwyciężony. A później nastąpiły ten głuchy łoskot i niepokojące gruchotanie pod maską.

We wspomnieniu zobaczył mężczyznę leżącego nieruchomo na asfalcie oraz ojca, który za kołnierz prowadzi go na komendę. Najgorszego roku swojego życia, spędzonego w zakładzie karnym na Hetmańskiej w Białymstoku, nie chciał pamiętać. Tego, że po wyjściu z więzienia nie zobaczył już więcej ojca ani matki, również. Wyraźnie widział natomiast twarz mężczyzny, którego potracił. Ona nie bledła mimo upływu lat.

– O Boże, tato! Gdzie jest Rocky? – krzyknął nagle Filip, przywracając ojca do rzeczywistości.

Na płocie nadal wisiała smycz, ale po sznaucerze nie było ani śladu. Lekki wiatr poruszał delikatnie taśmą z karabińczykiem, na którym smętnie zwisała pusta obroża. Andrzej chwycił ją w palce i zauważył, że została przecięta ostrym narzędziem. Rozejrzał się dookoła z miną wyrażającą niepokój, gdy na asfalcie dostrzegł niewielkie bordowe plamki krwi. Pospiesznie odwrócił wzrok, nie chcąc martwić syna. Wiedział jednak, że musiało wydarzyć się coś złego.

Przejęty chłopak patrzył na mechanika z lękiem. W jego oczach czaiły się dziesiątki niewypowiedzianych pytań.

– Wiedziałem, że nie trzeba go było zostawiać – denerwował się. – Co my teraz zrobimy? Jak powiemy o tym mamie?

– Niczego nie będziemy jej mówić. Rano, gdy wyjdzie do pracy, zadzwonię do hodowli. Może uda mi się kupić drugiego psa.

– A co, jeśli zacznie go szukać?

– Skłamiemy, mamy w tym już wprawę.

Mężczyzna otoczył zmieszanego syna ramieniem i poprowadził go drogą w stronę domu.



## *Kwiecień 2003 roku*

*Chłopiec ogląda w lustrze swoją łysą głowę. Przypomina wielką białą żarówkę zatknietą na chudej szyi. Pod skórą rozciągają się autostrady niebieskawych żył. Jestem brzydki, myśli, dotykając palcami wysokiego czoła, po czym szczerzy zęby, jakby chciał wystraszyć samego siebie. W odbiciu nie dostrzega słodkiego bobasa, którego zdjęcie mama nadal trzyma na komodzie, tylko kosmitę, który przejął władzę nad jego ciałem. Zjadł mnie, myśli, choć wie, że to nieprawda, a ten pokraczny chłopiec, który patrzy mu w oczy ze strachem, to rzeczywiście on.*

*Włosy zaczęły mu wypadać kilka tygodni temu, gdy leżąc na kanapie, oglądali z mamą Króla Lwa. Kobieta pogłaskała dziecięcą czuprynę, a w jej palcach zostało grube blond pasmo. Chciała je ukryć, wetknąć pod poduszkę i udawać, że nic się nie stało, ale nie zdążyła. Chłopiec zażądał, by otworzyła zamkniętą dłoń, a później patrzył na nią nierozumiejącym wzrokiem. Matka nacisnęła wtedy guzik na pilocie, telewizor zgasł, dźwięk ucichł i z ust kobiety wypłynął potok niejasnych słów.*

*– Przy pewnych chorobach... Czasem tak się zdarza... Ale to oczywiście nie musi oznaczać nic strasznego – kluczyła.*

*Później mówiła coś o tym, że bez względu na wszystko będą walczyć i że nie ma sensu zamartwiać się przed diagnozą. Jak papuga powtarzała słowa lekarzy ze sterylnych gabinetów, sama im nie wierząc. Kiedy myślała, że jej syn śpi, zamknęła drzwi w toalecie*

*i szlochala głośno, a płacz przenikał ściany. „To może być rak” – jęczała do telefonu.*

*Skulony na łóżku chłopiec, który słyszał, jak wylewa swoje żale przed jedną z koleżanek, wyobraził sobie czerwonego skorupiaka ze szczypcami i zapukał w czaszkę, jakby liczył na to, że dziki lokator mu odpowie, ale tamten uparcie milczał.*

*Po kilku wizytach u mądrych doktorów w okularach, którzy chrząkali nad nim, wydawali z siebie pełne namysłu pomruki, a przy tym drapali czoła oraz brody, okazało się, że to jednak nie rak. Nikt właściwie nie był pewien, co spowodowało utratę włosów. Podejrzewano mononukleozę, łysienie plackowate, efekt uboczny przyjmowania sterydów, a nawet upośledzenie układu odpornościowego. Gdy rozmawiali o chłopcu, matka zasłaniała mu rękoma uszy. „By nie robić przykrości” – tłumaczyła. Dostał nowe leki do i tak już poważnej kolekcji, a naklejki z uśmiechniętą buźką i napisem „Dzielny pacjent” zaczęły wysypywać się z blaszanego pudełka po ciastkach, które trzymał pod łóżkiem. Od tamtej pory mama strzygła go regularnie maszynką, wmawiając chłopcu, że za oceanem fryzura na zapałkę to najnowszy krzyk mody. Nie wierzył jej, ale zdążył zauważyć, że mamy nie lubią, gdy się podważa ich zdanie, dlatego grzecznie przytakiwał.*

*A teraz gapi się na dziwoląga w lustrze nad umywalką i pokazuje mu język. Tamten robi to samo, a chwilę później obaj rozciągają usta w uśmiechu. Chłopiec zsuwa się z szafki w łazience i staje na wadze, która wskazuje dwadzieścia cztery kilogramy. Lekarze mówią, że to niewiele przy jego wzroście i powinien więcej jeść – tylko po co, skoro i tak większość tego, co wkłada do ust, zwraca, wymiotując? Jego mama twierdzi, że to przez uczulenie. Nie wie dokładnie na co, ale na wszelki wypadek podaje mu zwykle zielono-*

burą papkę o konsystencji przypominającej pokarm, który ktoś już wcześniej przeżuł.

Chłopiec podchodzi do okna, za którym na podjeździe dostrzega swojego nauczyciela, pana Winnickiego, oraz matkę gestykującą tak żywiotowo, jakby gonił ją rój pszczół. Z tej odległości nie jest w stanie usłyszeć, o czym rozmawiają, ale skrzyżowane ręce na klatce piersiowej mężczyzny i purpurowa twarz matki sugerują, że nie jest to miła konwersacja. Pedagog wystawia do przodu stopę, jakby szykował się do natarcia, a kobieta dźga palcem powietrze między nimi. Na widok nauczyciela chłopcu robi się ciepło w żołądku. Od kiedy nie jest w stanie chodzić do szkoły, lekcje z panem Winnickim są jego oknem na świat. Pedagog zjawia się regularnie z torbą pełną ciekawych książek i opowiada historie, które wypełniają później wyobraźnię młodego ucznia.

Biegnie na dół. Chce się przywitać, ale gdy kładzie dłoń na klamce drzwi wyjściowych, okazuje się, że zostały zamknięte od zewnątrz. Walczy z nimi, szarpie, lecz gdy to nie pomaga, rezygnuje. Nie rozumie dlaczego, ale nagle opada go lęk, który ściska płuca, jakby ktoś usiadł mu na klatce piersiowej. Może to z powodu podniesionych głosów, które dobiegają zza ściany, a może dociera do niego znaczenie mowy ciała, którą obserwował z łazienki na górze.

Postanawia skorzystać z okna w sypialni matki. Jeśli zdoła je otworzyć i dostatecznie się wychyli, będzie mógł zawołać nauczyciela. Z roziskrzonym wzrokiem wskakuje na nocną szafkę stojącą przy łóżku, stamtąd, przytrzymując się firanki, przechodzi na parapet i pewien, że już za moment zobaczy pana Winnickiego, ciągnie za klamkę w ramie okiennej. Gdy ta nie chce puścić, próbuje z sąsiednim oknem, lecz i tu ponosi porażkę.

– Proszę pana! – woła słabym głosem, przysuwając usta do szyby.

Z miejsca, w którym się znajduje, dostrzega profil matki i ręce nauczyciela, poruszające się podobnie do rąk dyrygenta w transie. Nikt jednak nie zwraca na niego uwagi.

– Poświęciłam wszystko dla tego dziecka, a pan zjawia się tu i twierdzi, że wie, co będzie dla niego lepsze?! – wybuchła matka, przerywając rozmówcy. – Niech się pan stąd wynosi! – żąda.

Chłopiec przykleja ucho do okna. Lęk całkowicie go paraliżuje i jest w stanie tylko przełknąć ślinę.

– Nie chciałem tego mówić, ale zmusza mnie pani, bym zawiadomił pomoc społeczną. Według mnie bije pani to dziecko. Wielokrotnie widziałem jego siniaki.

Chłopiec ma wrażenie, że zaraz w jego głowie wybuchnie bomba. Dlaczego pan Winnicki mówi takie okropne rzeczy o mamie? Chcąc zaprotestować, uderza pięścią w okno i z całej siły krzyczy „nie!”.

– Jak pan śmie?! Mój syn jest chory! Ma anemię – odpowiada w tym samym momencie rozwścieczona kobieta, która nagle odwraca się i patrzy na syna za szybą. – Zresztą proszę, niech pan go zapyta. – Wskazuje dziecko ręką i rusza w jego kierunku.

Winnicki nerwowo pociera czoło. Próbuje się uśmiechnąć do chłopca, ale jego twarz jest ponura i szara jak niebo w deszczowy dzień.

– No dalej! Na co pan czeka? – pogania go kobieta z pretensją w głosie.

Pedagog ucieka spojrzeniem i garbi się, jakby słowa, które powinny przejść teraz przez jego gardło, przypominały kasztany w kolczastych skorupach. Chłopiec kładzie dłonie na szybie i kręci głową.

*– Mama nigdy... – wyrzuca z siebie przez łzy. – Moja mama jest dobra. Dlaczego pan tak mówi?*

*Nauczyciel przygryza wargę. Smutek dziecka sprawia, że mężczyzna wbija wzrok w kostkę brukową.*

*– Niech pan tu więcej nie wraca – mówi z pogardą kobieta. – Sama będę uczyła mojego syna.*

*Winnicki kiwa głową, a później odchodzi krokiem przegranego. Zanim wsiądzie do samochodu, ostatni raz spogląda wprost na swojego ucznia, jakby chciał mu jeszcze coś powiedzieć, ale wtedy klucz zgrzyta w drzwiach i chłopiec schodzi z parapetu, by wtulić się w miękkie ciało matki.*

*– Nigdy nie zrobiłabym ci żadnej krzywdy – zapewnia kobieta, głaszcząc plecy syna.*

*– Wiem, mamo – szepcze, a szczupłe ramiona obejmują szyję rodzicielki, która w tej samej chwili zauważa, że z jej kieszeni wysunęła się ampułka z przezroczystym roztworem.*

*Podnosi ją sprawnie z dywanu i chowa głęboko, po czym jeszcze mocniej obejmuje dziecko.*





## Teraz

Sobota, 27 kwietnia 2019 roku, Sinice  
Dzień po odkryciu człowieka bez pamięci,  
dwa miesiące po zaginięciu Alicji

Aspirant Sowińska podeszła do komisarza, który palił niebieskiego L&M-a na parkingu pod budynkiem szpitala. Lipski stał w cieniu potężnego kasztanowca, który właśnie zakwitał, rozsiewając wokół przyjemną woń. Funkcjonariusz zaciągał się tak, jakby chciał wyssać cały dym z papierosa. Jego włosy sterczały na wszystkie strony, koszula była pomięta, a skóra na twarzy zaczerwieniona. Bez wątplenia miał za sobą ciężką noc. Przyłapany przez koleżankę, pospiesznie cisnął niedopałek na chodnik i przydepnął go butem.

– Podobno rzuciłeś. – Chrząknęła znacząco.

– A ty podobno wiesz, kiedy powstrzymać się od komentarza.

Policjantka przewróciła oczami. Jej uwagę przykuł widok przybrudzonych butów Krzysztofa, które dotychczas skrupulatnie pastował na błysk. Miała wrażenie, że w ciągu minionych dwóch miesięcy, odkąd zaginęła Alicja Jarosz, Lipski zmizerniał, skóra na jego policzkach się zapadła, a on szybciej niż zazwyczaj popadał w rozdrażnienie. Zatknęła kciuki za kieszenie džinsów i zapytała:

– Udało ci się dowiedzieć czegoś nowego o naszym człowieku z mgły?

Komisarz ściągnął brwi, a jego usta wygięły się w wyrazie zagubienia.

– O kim?

– Tak nazywają go dziennikarze – wyjaśniła.

Kiedy jednak dostrzegła brak zrozumienia na twarzy kolegi, wyjęła z kieszeni wiatrówki telefon i otworzyła witrynę „Głosu Sinic”. Jej palce sprawnie odszukały artykuł zatytułowany: *Czy mężczyzna, który wyszedł z mgły, ma coś wspólnego z zaginięciem Alicji Jarosz?*

– Opublikowali to dziś rano – powiedziała, podając komisarzowi komórkę. – Najciekawsze są komentarze.

Wzrok Lipskiego pochłaniał kolejne zdania, a jego oblicze z każdym akapitem tężało coraz bardziej. Publikację ilustrowały zdjęcia poszukiwanej Jarosz, a pod tekstem widniało nazwisko aspirującej dziennikarki Jagody Borowiec. Krzysztof pomyślał, że niedoświadczona praktykantka nie powinna zajmować się tak poważnym tematem, lecz po chwili doszedł do wniosku, że w końcu to ona widziała mężczyznę wychodzącego z lasu, a dzięki temu jej relacja była najbliższa faktom.

W komentarzach pod artykułem roiło się od spekulacji co do tego, kim mógł być nieznajomy z lasu i co mogło go łączyć z zaginioną. Przeważały jednak kąśliwe opinie na temat opieszalej i nieskutecznej pracy lokalnej policji. Złośliwi pisali, że „wszystkie rozwiązania trzeba im wręczyć na tacy”, ktoś twierdził, że śledztwo powinna przejąć prasa, skoro to oni trafili na ślad mężczyzny, inni natomiast bezlitośnie wyliczali rzekome błędy i zaniedbania funkcjonariuszy przy sprawie Jarosz, wylewając na policję nagromadzone frustracje.

Komisarz zaklął siarczyście.

– Bezczelna gówniara – warknął. – Szlag by to trafił. – Uderzył pięścią w drzwi stojącego obok samochodu tak gwałtownie, że Sowińska drgnęła.

– Ojciec zaginionej wydzwania na komendę od rana – nadmieniła. – Żąda wyjaśnień. Chce wiedzieć, czy to, co piszą w gazecie, jest prawdą, i domaga się rozmowy z tym mężczyzną.

– Jezu Chryste, co za bajzel. Do mnie też się dobijał, ale odrzuciłem go kilka razy, pewien, że będzie wypytywać o postępy w sprawie. Przez ten cały młyn nie miałem głowy, żeby się nim zająć. – Przymknął oczy i stęknął, przeczesując palcami włosy. – Znaleźliście coś w bazach?

Weronika zaprzeczyła ruchem głowy.

– Żadne odfitki palców z zarejestrowanych w AFIS-ie do niego nie pasują. Nic nie wskazuje na to, by był poszukiwany ani by kiedykolwiek miał jakieś problemy z prawem.

Komisarz odruchowo sięgnął po paczkę papierosów, ale gdy dostrzegł naganę w spojrzeniu funkcjonariuszki, wepchnął pudełko z powrotem do kieszeni. Po twarzy Sowińskiej przemknął nieśmiały uśmiech.

– Przeczesalam też bazę osób zaginionych oraz tych o nieustalonej tożsamości, ale tu również zderzyłam się ze ścianą – kontynuowała. – Żaden z poszukiwanych go nie przypomina. Obejrzałam nawet progresje wiekowe zdjęć chłopców zaginionych przed laty i ponownie nie znalazłam niczego, co mogłoby nam pomóc ustalić jego tożsamość. – Westchnęła ciężko. – Może analiza materiału DNA i porównanie go z profilami zarejestrowanymi w bazie Genom coś zmieni.

– Tyle że wprowadzenie nowego profilu do bazy zajmie pewnie trochę czasu, a nam się nieco spieszy.

Aspirantka rozłożyła ręce w geście bezradności.

– To nie koniec wieści. Podgoniłam temat w laboratorium i okazuje się, że zaschnięta krew na naszyjniku należy głównie do Alicji Jarosz oraz po części do faceta z lasu, ale już ta na ubraniu, skórze i za paznokciami mężczyzny jest tylko jego.

Lipski przeklął.

– Pamiętasz ten portfel sprzed dwóch miesięcy? Ten, który znaleźliśmy podczas przeszukiwania terenu wokół bagien? – Zaczekała, aż komisarz potwierdzi skinieniem. – Poprosiłam, by sprawdzili go pod kątem zgodności. Kto wie, może należał do naszego bezimiennego faceta.

– Dobry pomysł.

– A co powiedzieli w szpitalu? – zapytała.

– Niewiele. Ze względu na ranę na czole neurolog przeprowadził eeg. głowy, a później jeszcze rezonans magnetyczny, ale żadne z badań nie wykazało uszkodzeń mózgu. Poza niedawnym złamaniem żeber, które zdążyło się już zagoić, i kilkoma ranami na skórze fizycznie nasz człowiek z lasu wydaje się zdrowy jak ryba. Teraz rozmawia z nim psychiatra, usiłują sprawdzić, co pamięta, i ustalić przyczynę amnezji.

Do zaparkowanego obok volkswagena wsiadł łysy mężczyzna, który z szacunkiem ukłonił się funkcjonariuszom. Warkot pracującego silnika na moment przerwał rozmowę Krzysztofa i Weroniki, a kiedy kierowca odjechał, policjantka przegoniła machnięciem dłoni chmurę czarnych spalin i odkaslnęła.

– Istnieje też prawdopodobieństwo, że facet zwyczajnie symuluje – zasugerowała. – Zrobił coś Jarosz, a teraz udaje głupiego, by uniknąć odpowiedzialności.

– Poprosiłem, by to sprawdzili. Według lekarza testy, którym go teraz poddają, powinny rozwiązać wszelkie wątpliwości. – Zerknął w stronę schodów prowadzących do szpitala, a gdy zauważył

psychiatrę prowadzącego ożywioną rozmowę telefoniczną, rzucił do Sowińskiej: – Wracaj na komendę, porozsyłaj jeszcze jego zdjęcie po jednostkach w całym województwie i przejrzyj komentarze pod artykułem tej praktykantki, może ktoś go w końcu rozpozna.

– Jasne – odparła, omiatając spojrzeniem medyka, którego zmarszczone czoło i dłoń tnąca powietrze gwałtownymi smagnięciami zdradzały zdenerwowanie.

Lipski przyglądał się lekarzowi przez chwilę, a gdy tamten zakończył rozmowę, ruszył w jego stronę. W kilku susach pokonał schody, by w ostatniej chwili zatrzymać psychiatrę.

– Doktorze Załuski! – zawołał.

Medyk przystanął w pół kroku i obejrzał się za siebie. Jego skronie znaczyły drobne krople potu, a dłonie schowane w kieszeniach białego fartucha sprawiały wrażenie, jakby niespokojnie się poruszały.

– Czy udało się panu przeprowadzić testy psychologiczne wykluczające pozorowanie amnezji? – zapytał policjant.

– Tak i obawiam się, że czeka pan na inną odpowiedź niż ta, którą mam do zaoferowania. Pacjent nie symuluje, on naprawdę nie pamięta, kim jest ani jak tutaj trafił.

Komisarz poczuł, jakby ziemia usunęła mu się spod nóg. Na ułamek sekundy otworzył usta, jak gdyby sformułowanie kolejnego pytania sprawiało mu trudność.

– Może jest wyjątkowo przebiegły? – spróbował.

– To wykluczone. Przeprowadziliśmy szereg testów, które temu przeczą – odparł Załuski z niezachwianą pewnością. – Proszę mi wierzyć, że nie da się zmanipulować badań. Zadajemy pacjentowi setki pytań, gdyby udawał, nie zdołałby zawsze odpowiadać w spójny sposób. W którymś momencie by się potknął, a jego oszustwo wyszłoby na jaw, ale do niczego takiego nie doszło. Ten

człowiek mówi prawdę. Nie stwierdziliśmy żadnej patologii organicznej...

– Czego? – wtrącił Lipski, który odniósł wrażenie, że lekarz mówi do niego w obcym języku.

– Najprościej mówiąc, chorób mózgu. Nie ma uszkodzeń układu nerwowego ani symptomów chorób neurodegeneracyjnych czy zatrucia metalami ciężkimi – tłumaczył. – Co ciekawe, pamięć mężczyzny w obszarze ogólnym funkcjonuje prawidłowo. On wie, do czego służą konkretne przedmioty, kim był Hitler oraz Jan Paweł II, zna marki samochodów i potrafiłby zrobić pranie, ale nie jest w stanie dotrzeć do niczego o sobie samym – wyjaśnił z błyskiem w oku, zdradzającym fascynację przypadkiem pacjenta. – Test Wechslera wykazał, że jest osobą o wysokiej inteligencji, IQ 115, w miarę dobrze rozumie sytuacje społeczne, ma duży zasób słów i podstawową wiedzę o świecie. Dane z testów projekcyjnych sugerują natomiast, że w jego przeszłości miały miejsce trudne doświadczenia związane z życiem rodzinnym. Skłaniam się ku rozpoznaniu amnezji psychogennej.

Krzysztof, któremu zaczynało kręcić się w głowie od obco brzmiących terminów medycznych, z zakłopotaniem podrapał czoło.

– To znaczy?

– Niepamięć u tego mężczyzny pełni najpewniej funkcję obronną przed skutkami silnego urazu psychicznego, którego doznał. On musiał doświadczyć czegoś traumatycznego. Z mojej praktyki wynika, że ten rodzaj amnezji poprzedzają poważne kłopoty. Rodzinne, małżeńskie, finansowe czy zawodowe.

Policjant wyciągnął rękę przed siebie, jakby chciał zatrzymać lekarza.

– Chwila, chce mi pan powiedzieć, że ten człowiek to czysta, biała kartka, z której treść została wymazana?

– Tak. Pamięta tylko to, co działo się już po wystąpieniu amnezji. Umie przywołać moment, gdy zmarznięty obudził się w lesie, oraz dni bezcelowej tułaczki, spania w ogródkach działkowych albo wśród drzew na gołej ziemi, ale wszystko, co stało się wcześniej, jest dla niego niedostępne.

Komisarz patrzył bezradnie w dal, nie chcąc przyjąć do wiadomości tego, co właśnie usłyszał. Na SOR podjechała karetka na sygnale, a po chwili ratownicy z pacjentem na noszach zniknęli za drzwiami izby przyjęć. Policjant i lekarz stali na podeście schodów nieopodal wejścia do szpitala, mijani przez pracowników placówki oraz bliskich chorych. Lipski rozejrzał się bacznie, po czym ścisząc głos, dopytał:

– Wyjawił, skąd ma naszyjnik Alicji Jarosz?

– To akurat ciekawy wątek. Kiedy spytałem, co o niej wie, posmutniał, długo wpatrywał się we wzór na posadzce, a w końcu powiedział: „Jej już nie ma”. Usiłowałem drążyć, by zrozumieć, na jakiej podstawie wyciągnął takie wnioski, ale on tylko wzruszył ramionami i zamilkł.

Funkcjonariusz, którego twarz już od kilku chwil nabiegała czerwienią, uderzył dłonią o metalową poręcz dzielącą schody.

– Cholera jasna, ten facet urządza sobie jakieś kpiny. Przecież to oczywiste, że on się nami bawi. Nie widzi pan tego?

– Nie sądzę. Mógł zobaczyć coś na tyle przerażającego, że nie chce tego pamiętać.

Komisarz pokręcił głową z irytacją.

– To są same domysły, a ja chcę się w końcu dowiedzieć, z kim mam do czynienia. Ze sprawcą czy świadkiem zbrodni?

– Musi pan czekać. Odzyskanie wymazanych wspomnień może nastąpić naturalnie lub dzięki psychoterapii. – Lekarz gestykułował powoli, jakby chciał tym uspokoić rozmówcę. – Pacjent wydaje się



zagubiony i bezradny, ale jednocześnie chętnie współpracuje, dlatego chcę zatrzymać go na obserwacji. Gdy mu to zaproponowałem, zgodził się od razu. U wielu osób amnezja psychogenna cofa się w ciągu kilku dni.

– Ale nie u niego, skoro błąkał się już jakiś czas po lesie i nadal nie wie, kim jest.

– On nie, gdzieś tam jednak z pewnością jest ktoś, kto go rozpozna i umożliwi jego identyfikację.

Krzysztof Lipski w zamyśleniu obrywał naklejkę z piłkarzem przyklejoną do poręczy na schodach. Doktor Załuski obrzucił policjanta przelotnym spojrzeniem, wyrażającym dezaprobatę, i gdy zamierzał już się oddalić, usłyszał słowa funkcjonariusza:

– Myśli pan, że ten człowiek byłby zdolny do popełnienia morderstwa?

Lekarz zatrzymał się.

– Jak my wszyscy. W pewnych okolicznościach każdy z nas potrafiłby zabić.

– Darujmy sobie te filozoficzne bzdury. Chodzi mi o pana ocenę tego konkretnego przypadku.

– To nie takie proste – odparł wymijająco psychiatra i zaczął się przy tym rozglądać, jakby szukał wsparcia w przypadkowych przechodniach.

– Tak czy nie? – naciskał komisarz.

Załuski nabrał tchu, po czym, wbijając wzrok we wjeżdżający na parking samochód z naklejką „transport krwi”, powiedział cicho:

– Dostrzegam w nim głębokie poczucie krzywdy. Nie wiem, gdzie ma swoje źródło, ale ludzie, którzy żyją z czymś takim, czasami przekraczają granice i posuwają się do potwornych czynów.

Bogdan Jarosz odkręcił wodę w kranie i podstawił pod strumień szklankę. Ręka, w której trzymał naczynie, trzęsła się tak mocno, że nie był w stanie go napełnić. Zimna woda ściekała po dłoni, a on czuł, jakby stracił kontrolę już nie tylko nad tym, co działo się wokół niego, ale również nad sobą. Zacisnął palce na szkle, jego oddech stawał się coraz głośniejszy i szybszy, jakby wkładał w to proste zadanie wiele wysiłku. Ciało nie zamierzało go jednak posłuchać i w końcu ze zwierzęcym rykiem rzucił szklanką o ścianę.

Dźwięk tłuczonego szkła wypełnił powietrze, dając Jaroszowi chwilową ulgę. Mężczyzna rozejrzał się po kuchni w poszukiwaniu innych naczyń, które mógłby rozbić, by rozładować skumulowaną w mięśniach złość, ale gdy chwycił porcelanową miskę i zamachnął się nią, poczuł, że ktoś złapał go za nadgarstek.

– Przestań – jęknęła jego żona.

Ton Urszuli Jarosz można było odczytać jako rozkaz albo błaganie. W tym krótkim słowie mieściła się cała jej rozpacz i bezradność wobec sytuacji, która dwa miesiące temu spadła na nich jak nieoczekiwany grad o ostrych krawędziach.

– To nic nie zmieni – dodała zrezygnowana, po czym uklękła, by pozbierać szkło.

Chwytała palcami pojedyncze odłamki, a następnie układała je na otwartej dłoni. Powoli i metodycznie. Jakby wierzyła, że jeśli będzie zachowywać pozory normalności, szaleństwo jej nie doścignie. Bogdan z twarzą ściągniętą gniewem w bezruchu śledził krzątanie żony. Jego zęby bezwiednie szarpały wewnętrzną stronę policzka, do chwili, w której poczuł przeszywające dżgnięcie bólu. Syknął i się skrzywił.

– Ten facet podobno twierdzi, że nasza córka nie żyje, dociera to do ciebie? – odezwał się, gdy Urszula podeszła do kosza na śmieci

i nie mogąc odsunąć męża, spojrzała na niego wymownie.

– To człowiek, który stracił pamięć i wszystko mu się pomieszało – wycodziła. – Nie możemy popadać w obłąd.

Nozdrza doktora Jarosza poruszyły się niespokojnie.

– On znalazł naszyjnik Alicji, rozumiesz? To też zamierzasz zignorować?

– To jeszcze nic nie znaczy. Mógł zsunąć się z jej szyi... – zaczęła, ale nie dane jej było dokończyć.

Bogdan złapał żonę za nadgarstki i potrząsnął nią. Kobieta, chcąc uratować szkło przed ponownym rozsypaniem, zamknęła pospiesznie dłoń, przez co odłamki wbiły się w jej skórę. Pisnęła cicho, ale jej mąż, owładnięty złością, tego nie usłyszał.

– Jak możesz być tak ślepa? – fuknął. – Zejdź na ziemię i przestań się oszukiwać.

– Au! – Wyrwała mu rękę.

Strużka krwi wyciekła spomiędzy palców kobiety i spłynęła aż do łokcia, znacząc skórę bordowym tatuażem. Ojciec Alicji zamrugał, jakby wyrwany z letargu. Gwałtownie, strącając na podłogę metalowy stojak, sięgnął po ręczniki kuchenne, po czym nakazał Urszuli wyrzucić szkło. Ostrożnie wyjął wbity w skórę drobny odłamek, zdezynfekował ranę i owinął czystym papierem rękę żony. Kiedy krople krwi zaczęły przesączać się przez warstwę ręczników i malować na podłodze coraz większe kleksy, doktor Jarosz wepchnął dłoń żony pod bieżącą wodę.

– Nie ruszaj nią – polecił, a następnie zmył krew i pod strumieniem jeszcze raz wnikliwie obejrzał rany Urszuli. – O mój Boże, przepraszam, kochanie – powiedział, gdy jego oczom ukazały się trzy głębokie rozcięcia. – Nie wiem, co we mnie wstąpiło. To wszystko sprawia, że odchodzę od zmysłów.

Jego niedawne wzburzenie odeszło, ustępując miejsca trwodze. Z lęku pobladł, po czym przyciągnął żonę do siebie i zachęcił, by oparła głowę na jego klatce piersiowej. I choć Urszula poddała się dotykowi męża, ich uścisk sprawiał wrażenie sztucznego. Kobieta usztywniła mięśnie, a na jej twarzy malował się zawód.

– Sprawy nie muszą wyglądać tak źle, jak nam się wydaje... – zaczęła nieśmiało.

– Proszę cię, Ula – powstrzymał ją, tym razem łagodniej. – Wszystko wskazuje na to, że ten człowiek wie coś na temat naszej córki. Może rzeczywiście na razie niczego nie pamięta, ale to tylko kwestia czasu, niebawem jego pamięć wróci, a wtedy... – Przełknął głośno ślinę. – Wtedy nasz świat może runąć.

– W takim razie idź tam – odezwał się głos za ich plecami.

Oboje obrzucili wzrokiem Kubę, który wszedł do kuchni w bluzie z kapturem i z dłońmi ukrytymi w przepastnej kieszeni na brzuchu.

– Nie czekaj, aż policja coś z niego wyciągnie – kontynuował syn, opierając się plecami o szafkę. – Jedź do szpitala, znajdź tego człowieka, spójrz mu w oczy jak ojciec, który stracił córkę, i zażądaj odpowiedzi. Może to odblokuje jego pamięć.

Bogdan Jarosz uznał, że nawet jeśli prawda okaże się nie do zniesienia, to wreszcie będzie mógł bać się tego, co realne, a nie mrocznych wizji, które dotychczas podsuwała mu wyobraźnia. Po ośmiu tygodniach spędzonych w więzieniu własnych myśli całym sobą poczuł, że jest gotowy zmierzyć się z tym, co przyniesie los.

– A co, jeśli i tak niczego sobie nie przypomni? – zwrócił się do Kuby. – Albo udaje i ma w tym jakąś ukrytą intencję? Nie wiemy, kto to w ogóle jest. Co więcej, dopóki jego tożsamość pozostaje nieznana, policja nie może mu nawet postawić zarzutów.

– Tym bardziej powinniśmy spróbować coś z niego wyciągnąć – podkreślił nastolatek. – Ja i mama nie dostaniemy się do szpitala,

ale ty tak. Musiałbyś to tylko zrobić tak, by nikt cię nie zauważył, najlepiej w nocy, po cichu.

Urszula Jarosz popatrzyła niepewnie na męża i syna.

– Bogdan, no co ty? Chyba nie zamierzasz... – Urwała, gdyż mąż spojrzał na nią gniewnie.

– Zrobię to, co muszę. Nie mam innego wyjścia.

\*

Usiadł na szpitalnym łóżku, a ono odpowiedziało metalicznym zgrzytnięciem i ugięło się pod jego ciężarem. W pokoju było duszno. Powietrze wypełniała mieszanka woni słodkawego potu oraz środków do dezynfekcji i jedzenia. Mężczyzna zwrócił twarz do okna, za którym podmuch wiatru poruszył liśćmi rozłożystego kasztanowca. Ulicą przejechała ciężarówka z czerwono-białym logotypem i zdaniem wypisanym na plandece: „Twoja mleczna droga”.

Pacjent opuścił wzrok na swoje dłonie i oglądał je z każdej strony, mając nadzieję, że w końcu je rozpozna. Jak to możliwe, że znał litery i potrafił odczytać słowa, a na widok własnej twarzy w lustrze reagował lękiem? Za każdym razem, gdy ją dostrzegał, odruchowo sprawdzał, czy człowiek odbijający się w tafli nie stoi za jego plecami.

Kim był mężczyzna o łagodnym, przestraszonym spojrzeniu, szczupłej twarzy i dawno niestrzyżonych włosach? Ofiarą nieszczęśliwego wypadku, pokrzywdzonym w brutalnej napaści, a może kimś, kto w poprzednim życiu zrobił coś bardzo złego?

Człowiek siedzący na łóżku nie znał odpowiedzi na te pytania. Czasami myślał, że może tak jest lepiej. Gdyby poznał prawdę,

mógłby natrafić na coś, czego wcale nie chciał odkryć. A tak trwał w zawieszaniu. Jednocześnie istniał i nie było go wcale.

Na oddziale rehabilitacji oprócz niego przebywali pacjenci po urazach kręgosłupa, amputacji kończyn i ci po udarach. Tego ranka, gdy się obudził, czuł na sobie ciężki wzrok pana Staszka, leżącego naprzeciwko.

– Ja to właściwie panu zazdroszczę – rzucił, szeleszcząc foliowym woreczkiem, z którego wyjął mandarynkę. – Wolałbym, żeby mnie zamiast tej nogi amputowali pamięć. Bez niej to człowiek może jakoś żyć. A z tym – odkrył kołdrę i wskazał na pokryty opatrunkami kikut – to już życia żadnego nie będzie.

Mężczyzna bez imienia rozciągnął usta w czymś na kształt pokrępowanego uśmiechu, choć na dobrą sprawę sam nie wiedział, co i dlaczego robi. Szurając kapciami o wytarte linoleum, podszedł do okna. W szybie zamajaczyło jego odbicie, a on pomyślał, że pan Staszek jest głupi, bo tylko dureń chciałby żyć w ciągłym strachu przed samym sobą.

Ukucnął i ze szczeliny pod parapetem wyjął coś, co w niej ukrył tamtej nocy, gdy go przywieźli do szpitala. Kontrolnie zerknął za siebie, by upewnić się, że nikt go nie obserwuje, a potem położył na dłoni słonika z metalu i zacisnął na nim palce. Był tak mały, że zmieściłby się na paznokciu kciuka. Mężczyzna nie pamiętał, skąd go ma, ale czuł, że to jedyne, co mu pozostało. Ostatni most pomiędzy tym a dawnym życiem, rozciągnięty nad rzeką niepamięci. Nie chciał, by mu go odebrano. Zważył przedmiot w dłoni i przymknął oczy, nasłuchując, jakby wierzył, że słonik podsunie mu rozwiązanie. Ten jednak uparcie milczał.

– A może my panu wymyślimy jakieś imię, co?

Donośny głos pana Staszka przestraszył go, jego ręka drgnęła, a schowany w niej skarb wypadł i zatonął w czeluściach zmiętej

pościeli.

– No bo głupio tak cały czas tylko „proszę pana” i „proszę pana” – kontynuował niezrażony sąsiad, nie zauważając paniki rysującej się na twarzy towarzysza. – Nie wiem, może Marek albo Władek? To takie dobre polskie imiona. Co pan sądzi?

Mężczyzna, który właśnie przetrząsał kołdrę i przesuwając dłońmi po taflach prześcieradła, szukając swojego sekretnego skarbu, uniósł spojrzenie.

– Słucham? – wydukał, niepewny, o co właściwie był pytany.

– Nie podoba się panu, co nie? Wiedziałem. To może coś nowoczesnego, chociaż teraz to dają dzieciom takie dziwne imiona, że szkoda gadać. Jakies Dżesiki i Brajany. Człowiek nie wie nawet, jak to wymówić. – Skrzywił się, jakby ugryzł cytrynę.

Mężczyzna, który wreszcie odnalazł słonika, otarł rękawem piżamy czoło i westchnął jak ktoś, kto właśnie skończył się wspinać na bardzo wysoką górę.

– Może Jan – zaproponował, chcąc tym uciąć kolejne pomysły pana Staszka, gdy jego wzrok padł na okładkę książki księdza Jana Kaczkowskiego leżącej na szafce nocnej.

Wczoraj wieczorem odwiedził ich szpitalny kapelan. Zostawił Pismo Święte i lekturę o tytule *Grunt pod nogami*.

– Jan, Janek... – powtarzał pan Staszek, robiąc dziwne miny, jak gdyby smakował to słowo, w końcu zawyrokował: – Może być i Jan. – Na starej, pogniecionej twarzy wykwił krzywy uśmiech.

Wtedy „to” zdarzyło się po raz pierwszy. Błysk, coś jak oślepiający widok spadającej komety albo prześwietlona klatka przypadkiem wklejona do filmu, w którym w ogóle nie powinna się znaleźć. Ziemią zatrzęsło, a mężczyzna ze słonikiem w palcach desperacko chwycił się poręczy łóżka i zacisnął mocno powieki. Jego zęby zachrzęściły. Wszystko wokół wibrowało. Miał wrażenie, że zaraz straci

równowagę albo zemdleje. Szyby w oknach zdawały się trząść, a podłoga drżeć.

To, co zobaczył, było zaledwie mgnieniem, iluzją trwającą ułamek sekundy, a jednak wbiło się w jego mózg jak gwóźdź. Doskonale wiedział, co ujrzał. Krwi nie dało się pomylić z niczym innym. Gęstej i lepkiej brunatnej posoki, która sklejała jasne kobiece włosy.

Otworzył usta i zaczął spazmatycznie łapać powietrze, jak człowiek, który tonie, ale jeszcze próbuje walczyć z przeznaczeniem.

– Proszę pana! – krzyczał pan Staszek. – Panie Janie, wszystko w porządku? – Gdy pacjent z przeciwległego łóżka nie odpowiadał, mężczyzna zaniepokoił się na dobre. – Siostro! – zawołał, odruchowo odrzucił kołdrę, a gdy zobaczył kikut, posmutniał i z wściekłością ryknął jeszcze głośniejsze: – Niech ktoś tu, do cholery, przyjdzie!

Kiedy wystraszona pielęgniarka weszła do sali, jej oczom ukazał się obraz pobladłego mężczyzny, na którego czole lśniły krople potu.

– Weźmie pani zobaczy, co z nim. – Pan Staszek przejął dowodzenie. – Dyszy mi tu jak stara lokomotywa, jakby miał zaraz zawału dostać albo i czegoś gorszego.

Kobieta nachyliła się nad pacjentem, który powoli zdawał się wracać do żywych. Jego ręce puściły poręcz, a oddech się uspokajał.

– Dobrze się pan czuje? – zapytała, jednocześnie dotykając dłonią jego wilgotnego czoła.

– Tak – odparł cicho, przełknął ślinę i dodał: – Nic mi nie jest, naprawdę.

Pielęgniarka mimo tych zapewnień o dobrym samopoczuciu wyjęła z kieszeni elektroniczny termometr i przytrzymała go na wysokości czoła mężczyzny.



– Boże, pan ma gorączkę. – Cmoknęła, patrząc na wyświetlacz. – Zaraz przyniosę coś na zabicie temperatury i może jakiś okład chłodzący. – Pokręciła głową, jakby to była jego wina. – Musiał się pan przeziębic w tym lesie. Już my tu pana postawimy na nogi – zapewniła, a potem wyszła z sali, głośno tupiąc drewniakami.

Mężczyzna opadł bezwładnie na poduszkę. Jego oczy śledziły pęknięcie na pożółkłym suficie, a serce stopniowo odzyskiwało miarowy rytm.

– Coś pan sobie przypomniał, prawda? – Ciszę zakłóciło pytanie z drugiego końca sali.

– Nie, panie Staszku – skłamał. – Tak tylko gorzej się poczułem.

Zastygł w oczekiwaniu na reakcję sąsiada.

– Oj, panie Janie, nie wie pan, że nie da się okantować łgarza? Jak pan nie chce powiedzieć, to trudno, ale taki kit wciskać to nieładnie. Myślałem, że z pana to może być i porządny człowiek, ale, jak widać, się myliłem.

Mężczyzna leżący na łóżku zgniótł w palcach pościel tak mocno, że kostki jego dłoni pobielaly. Miał ochotę krzyczeć i tłuc pięściami w materac, ale połknął całą złość, która żółcią spłynęła do żołądka.

Nadal nie wiedział, kim jest, ale nie opuszczała go pewność, że nikim dobrym i że obraz, który mignął mu przed oczyma, nie przestanie go dręczyć. Po tym, co zobaczył, nie doświadczył ulgi, wręcz przeciwnie, strach jeszcze szczelniej owinął się wokół niego. Odbierał tlen, jak ciężki, duszący koc narzucony na głowę.

Pacjent musnął opuszkami metalową figurkę słonia, schowaną pod poduszką. Teraz oprócz niej musiał ukrywać też inne rzeczy, o których nikt nigdy nie mógł się dowiedzieć.

\*

W oknach mieszkańców Sinic powoli gasły światła. Zbliżała się dziesiąta, a nieśmiałe wiosenne słońce dawno zdążyło skryć się za horyzontem. Wiatr toczył ulicami ziarna piasku, jakby się z nimi bawił. Wszystko milkło. Nawet grupka mężczyzn na murku przy sklepie z alkoholem zdawała się mówić ściszonymi głosami. Siedzieli tam już od dobrej godziny, ściskając w dłoniach szyjki butelek. Ich uśmiechy zdążyły spełznąć z ogorzałych twarzy, ustępując miejsca zmęczeniu, a chodnik w dole znaczyły strzępy etykiet zrywanych z żubrów.

Jagoda Borowiec spoglądała na stałych bywalców rampy z biura redakcji „Głosu Sinic” na pierwszym piętrze miejskiego ośrodka kultury, mając nadzieję, że odejdą stamtąd, zanim ona będzie wracała do domu. Nie chciała, by odprowadzali ją gwizdami, cmoknięciami i gestami, od których robiło się niedobrze. Wprawdzie żaden z nich nie był groźny, popisywali się tylko przed sobą, a jednak czuła wtedy, jakby jej skórę oblepiało coś oślizłego, czego później długo nie mogła zmyć pod prysznicem.

– Nie przejmuj się nimi, odprowadzę cię. – Głos Filipa wyrwał ją z zamyślenia.

Dziewczyna odłożyła ściskany w palcach długopis.

– Dlaczego mężczyznom wolno robić takie rzeczy? – zapytała ze złością, zamykając plik z artykułem, który wcześniej pisała. – Widziałeś kiedyś, żeby to kobiety siedziały na murku i komentowały kształt pośladków przechodzących obok facetów?

Nastolatek, który drugą już godzinę zajmował się obróbką zdjęć do najbliższego wydania, prychnął i przekręcił obrotowe krzesło w stronę koleżanki.

– Nie, ale chętnie bym to zobaczył. – Wyszczrzył zęby, a gdy zauważył, że twarz jego znajomej spochmurniała, pospiesznie dodał: – O Jezu, nie wiem, Jaga, może dlatego, że nikt im nie zabrania.

Zresztą kobiety same często reagują uśmiechem na te niewyszukane komplementy.

– Bo są zażenowane i się boją – fuknęła, wstając przy tym tak gwałtownie, że przewróciła stojącą na biurku plastikową butelkę po coli.

Filip spokojnie podniósł opakowanie, a później podszedł do Jagody i lekko musnął palcami jej szczupłą rękę. Czarny golf na barkach chłopaka zdobiły białe płatki łupieżu. Był wysoki, a jednocześnie nieporadny, jakby nie wiedział jeszcze, w jaki sposób używać tych długich pajęczych rąk i nóg.

– Nie chciałem cię zdenerwować – powiedział, drapiąc piegowaty policzek.

Dziewczyna wzruszyła ramionami, przysiadła na blacie, po czym odetchnęła głęboko. Jej ostre rysy zmiękły. Znow miała twarz kruchej siedemnastolatki o wielkich, ciekawskich oczach i ustach w kolorze malin. Chwyliła złotą literę J wiszącą na szyi i zaczęła przesuwając ją po łańcuszku.

– To nie ty. Chodzi o to przeklęte miasto. – Westchnęła. – Coraz częściej mam wrażenie, że wszystko tu jest sztuczne. – Omiotła wzrokiem budynki po drugiej stronie ulicy. – Męczą mnie te plastikowe uśmiechy przyklejone do twarzy, płytkie rozmowy i parsknięcia śmiechu rodem z seriali komediowych.

Klepacki, który chował właśnie aparat do futerału, rzucił pocieszająco:

– Daj spokój, jeszcze półtora roku i wyjedziesz stąd do Warszawy na to swoje dziennikarstwo.

– A co, jeśli od tego nie da się uciec? Zobacz, Alicja też wyjechała, a to miasto i tak wyciągnęło po nią swoje macki.

– Nie sądzę, żeby to było miasto, raczej jakieś typy spod ciemnej gwiazdy – odparł z irytacją, bo narzekanie koleżanki zaczęło mu

ciężyc. – Zadała się z kimś, z kim nie powinna, i spotkała ją za to kara.

Jagoda uniosła spojrzenie i zamrugła z niedowierzaniem.

– Co chcesz przez to powiedzieć? Jaka kara?

– O matko, czepiasz się słówek. – Filip chwycił plecak, unikając wzroku nastolatki. Przez chwilę szarpał się z zamkiem, a gdy ten ustąpił, zaczął wrzucać do środka flamastry i notatniki. W jego ruchach zagościła nerwowość. – Wszyscy wiedzą, że w noc przed zniknięciem dała się obmacywać jakimś obcym koleśiom w Euforii.

– I co z tego? To nie uprawnia nikogo do zrobienia jej krzywdy – oburzyła się. – Zresztą policja sprawdziła tych chłopaków, mieli niepodważalne alibi i świadków. Dwóch z nich pykało w niedzielę od rana na konsoli, a ten trzeci, z tego, co pamiętam, był na chrzcinach w czasie, gdy Ala zaginęła.

Klepacki odstawił plecak na krzesło i przysiadł na biurku obok Jagody.

– Po prostu chodzi mi o to, że takie dziewczyny jak Alicja Jarosz prędzej czy później ściągają na siebie kłopoty.

– Jakie dziewczyny? – Borowiec splótła ramiona na piersi.

– Te, które bezmyślnie prowokują facetów. Udają nieśmiałe, ale tak naprawdę lubią się drażnić. Rzucają powłóczytymi spojrzeniami, rozdają uśmiechy. Kiedy przechodzą obok, zawsze niby przypadkiem dotykają męskiego ramienia. Siedząc przy barze, oblizują językiem wargi i zakładają nogę na nogę, pozwalając, by już i tak krótka spódnica podniosła się jeszcze wyżej.

Oddech Filipa przyspieszył, a jego oczy zabłyśły gniewem. Jagoda zauważyła, że mimowolnie zwiększyła dystans między nimi, odchylając plecy. Jej ciało napięło się jak cięciwa łuku.

– Nie wiem, na kogo i o co jesteś taki wściekły, ale nie pozwolę, żebyś mnie tym obrzucał. – Uniosła dłonie w obronnym geście. –

Pobiegaj, idź na siłownię, basen czy co tam jeszcze potrzebujesz, i wyluzuj trochę. Alicja była miłą, dobrą dziewczyną. Nie zasłużyła sobie na to, by ktokolwiek mówił o niej w ten sposób, rozumiesz?

Chłopak potarł ucho w zawstydzeniu, a potem niezdarnie wyciągnął dłoń, jakby chciał nią dotknąć policzka nastolatki. Ona jednak gwałtownie odsunęła głowę.

– Nie dzisiaj – powiedziała.

Klepackiemu wydawało się, że w jej oczach zatańczyły łzy, ale odwróciła się do niego plecami i niczego nie był już pewien. Kucnęła, by pozbierać z podłogi papierki po cukierkach, a później przełożyła przez ramię skózaną torbę, poprawiła frotkę zsuwającą się z długich włosów i zostawiwszy na skórze nastolatka ciepły pocałunek, ruszyła w stronę drzwi.

– Wrócę sama – rzuciła tuż przed wyjściem, nie spoglądając nawet w jego kierunku.

Słyszał, jak zbiega po schodach opustoszałego budynku, a potem zobaczył, jak wypada na ulicę i szybkim, nerwowym krokiem przecina Ludową, biegnąc w stronę bloków rozrzuconych przy Pierwszego Maja. Osiedle wchłonęło ją momentalnie i tylko niesforny srebrny papierek po gumie do żucia, wyrzucony przez nią do kosza, a po chwili porwany przez nocny podmuch, przypominał o tym, że tamtędy szła.

Filip z sapnięciem opadł na obrotowy fotel. Zamknął oczy i odchylił głowę na oparcie, podrygując niespokojnie prawą stopą.

– Niech cię szlag, Jagoda – mruknął pod nosem.

Do niedawna byli tylko kolegami ze szkoły, którzy spotykali się w redakcji lokalnej gazety i wspólnie dokumentowali ważne wydarzenia w mieście, ale po zaginięciu Alicji Jarosz ich relacja uległa zmianie. Coraz częściej spędzali ze sobą wieczory, wymieniali dziesiątki wiadomości i prowadzili długie, ożywione rozmowy,

próbując ustalić, co tak naprawdę spotkało absolwentkę ich liceum. Filip szybko zauważył, że kiedy Borowiec pisze, lubi sięgać po słodczyce. Dlatego zawsze miał przy sobie czekoladę, ciastka albo batoniki, którymi ochoczo się z nią dzielił.

Po tym, jak spotkali człowieka z mgły, w sklepie na rampie kupili tanie wino. Przytaszczyli je do redakcji, upewniwszy się wcześniej, że ich naczelna, Danuta Kulesza, opuściła już biuro, a potem usiedli na poplamionej kawą i Bóg wie czym jeszcze wykładzinie i podawali sobie butelkę, pijąc z gwinta. To wtedy pierwszy raz ją pocałował. Lekko i niezgrabnie, jak ktoś, kto nigdy wcześniej tego nie robił. Uśmiechnęła się i odrzuciła włosy do tyłu. Chciał to powtórzyć, ale patrząc na jej łabędzią szyję oraz leżące się aż do podłogi włosy, przestraszył się, że mógłby nad sobą nie zapanować i przekroczyć niepisane granice. Postanowił zaczekać.

Od tamtej pory witali się przyjacielskim cmoknięciem w policzek. Czasami przy pracy kładł rękę obok jej dłoni i czuł pulsujące ciepło. Gdy nachylała się nad nim pod pretekstem obejrzenia zdjęć, owiewał go owocowy zapach jej perfum, a kiedy pasma jej włosów muskały jego skórę, odnosił wrażenie, że cały topi się jak masło na rozgrzanej patelni. Po rumieńcach, które często wypływały na jej policzki, wnosił, że dziewczyna czuje podobnie, ale teraz nie był już niczego pewien.

Przepelniała go złość, swędząca w opuszkach palców. Nie rozumiał, dlaczego przyjaciółka tak brutalnie go odtrąciła. Przecież chciał ją tylko odprowadzić, nic więcej. Tarł kciukiem o wyszczerbioną krawędź biurka, aż ostry fragment blatu skaleczył skórę. Syknął i rozmazał kroplę krwi na palcu. Obraz Jagody powrócił.

Przewrażliwiona, głupia pinda, pomyślał Klepacki, czując narastający gorzki smak w ustach. Wyciągnął rękę, by zgasić

lampkę na biurku, ale zatrzymał wzrok na swoim odbiciu w szybie. Równie żałośnie wyglądał tamtej nocy, gdy spotkał Alicję Jarosz w klubie Euforia. Był dla niej miły, a ona z niego zakpiła. To dlatego uznał, że zasłużyła na karę.

A teraz doszedł do wniosku, że być może Borowiec również się o nią prosiła.

\*

Daniel Weber leżał na kanapie z pilotem od telewizora w dłoni i nogami opartymi o ławę, na której piętrzyły się puste opakowania po pizzy. W pokoju unosiły się woń jedzenia oraz zapach piwa, a dźwięk bębniącego telewizora skutecznie wypełniał trudną do zniesienia ciszę. Przeskakując po kanałach, Daniel szukał czegoś, co choć na chwilę zatrzymałoby jego uwagę i oderwało go od wspomnień wyłazających z zakamarków umysłu. Te wyłaniały się zwykle po zmroku, niczym karaluchy, obłaziły go i sprawiały, że miał ochotę zedrzeć z siebie skórę. Za oknem noc przykryła świat czarnym kocem. Wielkowiejski zgiełk powoli cichł i tylko zgrzyt tramwajów sunących ulicą Grochowską przypominał, że warszawska dzielnica Praga-Południe jeszcze nie śpi.

Dochodziła dziesiąta wieczór, na ścianach mieszkania Webera tańczyły kolorowe plamy telewizyjnej poświaty, a on robił wszystko, by zmęczyć głowę i zasnąć. Przez dobry kwadrans usiłował wybrać coś do oglądania na Netflixie, a gdy w końcu trafił na serial Ricky'ego Gervaisa, Brytyjczyka znanego z niepoprawnego i złośliwego poczucia humoru, uznał, że wreszcie znalazł coś, co go rozchmurzy. To, jak bardzo się pomylił, zrozumiał już po kilku minutach pierwszego odcinka *After life*. I nie chodziło bynajmniej o poziom żartów, ale o fakt, iż historia dziennikarza, który próbuje

pogodzić się ze śmiercią żony, za bardzo przypominała mu jego doświadczenia. Była jak niespodziewany policzek od losu. Daniel pomyślał, że im bardziej ucieka przed powracającym obrazem własnej traumy, tym gorliwiej on go ściga. Przełknął gorycz zbierającą się w ustach, a jego palce bezwiednie musnęły grube blizny pokrywające prawą rękę.

Dwa lata temu młoda kobieta i jej córka zginęły w wypadku samochodowym. Kierowca, który prowadził czerwonego forda mondeo, nie sypiał od kilku dni, a nużąca podróż sprawiła, że jego powieki zaczęły opadać. Potrząsnął głową, gdy nagle zza zakrętu wyłoniło się ostre, wciskające się pod powieki światło i pędząca w jego kierunku biała plama. Samochód, a może tylko miraż wywołany wyczerpaniem – nie wiedział. Chcąc uniknąć zderzenia, szarpnął gwałtownie kierownicą, po czym stracił panowanie nad pojazdem. Auto uderzyło w drzewo i zaczęło się palić, a uwięzione w nim kobieta i dziewczynka nie zdołały wydostać się z pułapki.

Jedynym, który ocalał, był mężczyzna siedzący tamtej nocy w fotelu kierowcy. Odzyskał przytomność jakiś czas po uderzeniu. Kiedy otworzył oczy, płomienie pełzły w jego stronę, a wewnątrz samochodu wypełniał dym. Z wysiłkiem szarpał klamkę i uderzał ramieniem o drzwi, a gdy w końcu ustąpiły, kaszląc, wypadł na trawę.

Nie czuł bólu, tylko wypełniający go po opuszki palców strach. Zdjęty przerażeniem podbiegł do tylnych drzwi. Za szybą dostrzegł dziewczynkę z zamkniętymi oczami i łagodnym wyrazem twarzy, opartą głową o szybę, jakby tylko spała. Ogień wspinał się po materiale jej sukienki. Mężczyzna bez namysłu złapał za klamkę, która okazała się tak gorąca, że zdawała się rozpuszczać jego dłoń. Mimo to ciągnął rozgrzany metal. Jednak na nic się to zdało, bo



drzwi nawet nie drgnęły. Spróbował jeszcze raz, parząc dotkliwie skórę, lecz i to nie pomogło.

Kuśtykając, obszedł samochód. Otworzył drzwi, za którymi znajdowała się piękna kobieta o długich kasztanowych włosach. Głowę miała odgiętą dziwnie do tyłu, wargi rozchylone, oczy na wpół przymknięte. Tańczący ogień lizał jej nogi. Mężczyzna klepnął kobietę w policzek, a ona wymamrotała z trudem jakieś słowo. Schylił się, by rozpiąć jej pas, i wtedy usłyszał syk. Chwilę później rozległ się potężny huk wybuchu.

Siła eksplozji cisnęła nim niczym szmacianą lalką. Ciało bezwładnie upadło na ziemię, głowa uderzyła o asfalt, a uszy przeszył ogłuszający pisk. Wydawało mu się, że krzyczy, ale poza wizgiem wwiercającym się w mózg nie słyszał niczego. Niebo nad nim zawirowało. Nie wiedział już, gdzie jest lewo, a gdzie prawo. Gdzie góra, a gdzie dół. Ból kąsał jego ciało, a w ustach czuł smak krwi. Odpływał.

Z niemocy wyrwał go dźwięk syren straży pożarnej. Na horyzoncie zamajaczyły błękitne światła. Powoli obrócił głowę i zastygł. Mógłby przysiąc, że pomiędzy drzewami dostrzegł ludzką sylwetkę i ciemne, przestraszone oczy. Wyciągnął rękę do tej postaci, a z jego warg wydobył się dziwny odgłos, przypominający skrzek. Nieznajomy wpatrywał się w niego z przerażeniem, zrobił krok naprzód – i wtedy obraz zgasł.

Wydawało mu się, że ktoś go szarpał. Jak z głębokiej studni dosięgły go dźwięki wypowiedzianych podniesionym tonem komend i ponagających okrzyków. A potem te dziwne słowa, po których świat umilkł.

– Jedziemy do was z czterdziestolatkiem z wypadku. Zderzenie czołowe z drzewem, doszło do zapłonu auta. Nieprzytomny, niewydolny krążeńiowo, niestabilny, poparzony, drugi, trzeci

stopień, jakieś osiemnaście procent. Zaintubowany, będziemy u was za osiem minut, prosimy o salę R.

Kierowcą forda, który feralnej nocy stanął w płomieniach, był Daniel Weber. Od wypadku karmił się poczuciem winy i żałował, że to nie on zginął w tamtym lesie zamiast żony i ośmioletniej córki. Jego prawy policzek, rękę oraz klatkę piersiową znaczyły blizny oparzeniowe. Nie zakrywał ich, chciał, by każdego dnia przypominały mu o tym, co zrobił. Te zaróżowione zgrubienia stanowiły jego pokutę.

Policja nigdy nie potwierdziła, by poza mondeo tamtą leśną drogą na chwilę przed wypadkiem przejeżdżał rozpędzony biały samochód. Być może tylko przyśnił się Weberowi albo był wytworem zmęczonej wyobraźni, podobnie jak postać o przestraszonych oczach, do której wyciągał dłonie.

Daniel sięgnął po heinekena, wypił duszkiem kilka łyków i bez żalu wyłączył serial. Nie zamierzał się katować. Pragnął jedynie zagłuszyć ten skowyt, który znów odezwał się w jego głowie. Zmieniał kanały, szukając ratunku, gdy nagle zatrzymał się na programie informacyjnym telewizji Białystok. Blondwłosa prezenterka *Dziennika regionów* informowała o znalezionym w miejscowości Sinice mężczyźnie, który nie potrafił wyjaśnić, kim jest ani skąd wziął się w tamtym rejonie.

– Policja próbuje ustalić tożsamość człowieka, którego zauważono wczoraj na terenie powiatu sinickiego – tłumaczyła. – Jak donoszą świadkowie, zdezorientowany mężczyzna błąkał się po lesie, a jego wygląd sugerował, iż mógł paść ofiarą napaści. Wszystko wskazuje na to, że człowiek ten stracił pamięć. Nie jest w stanie określić, skąd przyjechał, jak się nazywa, ani podać celu, w jakim włóczył się po okolicy.

Weber odstawił butelkę, którą trzymał w dłoni, i z zaciekawieniem nachylił się w stronę telewizora. Paradoksem zdawało się to, że ci, którzy najbardziej chcieli zapomnieć, musieli pamiętać, inni zaś otrzymywali niepamięć w prezencie, choć o nią nie prosili.

– W momencie interwencji mężczyzna ubrany był w robocze spodnie, zniszczone adidas i koszulę w czerwono-czarną kratę – opowiadała dalej dziennikarka. – Został przewieziony do najbliższego szpitala, gdzie poddano go niezbędnym badaniom i gdzie przebywa obecnie na obserwacji.

Na ekranie pojawiło się zdjęcie smutnego mężczyzny w szpitalnej piżamie w paski i w kapciach. Miał zaniedbane, zwichrzone blond włosy, brodę i oczy o ciemnym kolorze. Wyglądał raczej młodo, Daniel dałby mu maksymalnie jakieś trzydzieści lat, choć jednocześnie w jego spojrzeniu można było dostrzec pewną ciężkość, charakterystyczną dla osób, które wiele przeszły. Właściwie niczym się nie wyróżniał. Żadnych znamion, blizn, tatuaży czy pieprzyków. Przypominał setki podobnych mężczyzn chadzających po ulicach małych i wielkich miast, a jednak było w nim coś, co nie pozwalało Weberowi przełączyć kanału.

Prezenterka wróciła na wizję, z troską zwracając się do oglądających:

– Jeżeli ktoś z państwa rozpoznaje osobę ze zdjęć, proszony jest o niezwłoczny kontakt z Komendą Powiatową Policji w Sinicach. Numer podajemy na dole ekranu, a więcej szczegółów dotyczących tej sprawy znajdą państwo na naszej stronie internetowej. – Prowadząca dziennik przełożyła kartkę ze stosu, którą miała przed sobą, na sąsiedni po prawej, a następnie posłała do kamery promienny uśmiech i zręcznie przeszła do zapowiedzi prognozy pogody.

Daniel nie słyszał już kolejnych słów płynących z głośników telewizora. Jego uwaga została przy mężczyźnie bez tożsamości. Zamyślony oderwał fragment etykiety z butelki heinekena, a później dokończył piwo i przyniósł z sypialni laptopa.

Na stronie *Dziennika regionów* odszukał materiał dotyczący człowieka z lasu, po czym wnikliwie lustrował zdjęcia mężczyzny. Prawy profil, lewy profil i to pokazujące twarz z bliska. Rysopis pod fotografiami informował, że osoba na nich uwieczniona ma od około dwudziestu pięciu do trzydziestu pięciu lat, mierzy sto siedemdziesiąt centymetrów wzrostu, ma brązowe oczy, przylegające do głowy uszy i pełne uzębienie.

Weber przerzucał zdjęcia, zastanawiając się, dlaczego ich widok wywołuje w jego żołądku uczucie ciężkości. Usiadł głębiej na kanapie, a komputer postawił na skrzyżowanych nogach. Powodowany instynktem, wpisał do wyszukiwarki słowa „mężczyzna nie wie kim jest podlaskie” i po chwili jego oczom ukazało się kilkanaście linków prowadzących do artykułów o osobach bez tożsamości. Większość z nich dotyczyła człowieka z lasu i właściwie powtarzała te same informacje, które znał już z telewizji.

Tylko na stronie lokalnej gazety „Głos Sinic” znalazł rozbudowaną notatkę zawierającą nowe, intrygujące informacje. Kiedy się w nie zagłębił, jego oczy zaczęły błyszczeć. Autorka publikacji, Jagoda Borowiec, sugerowała związek mężczyzny z niedawnym zaginięciem dziewiętnastoletniej studentki, Alicji Jarosz. W treści artykułu pojawiło się także nawiązanie do innych zaginięć we mgle, do których doszło na przestrzeni minionych ośmiu lat.

Weber wbijał zahipnotyzowany wzrok w zdjęcie mężczyzny, a gdy zrozumiał, na co patrzy, zadrżał. Gwałtownie podniósł się z kanapy, poszedł do lodówki po trzecie piwo, otworzył je i opróżnił butelkę, nie

odrywając jej od ust. Gdy skończył, wytarł twarz wierzchem dłoni, a następnie wybrał numer komendy w Sinicach.

Kiedy oficer dyżurny podniósł słuchawkę, Daniel nabrał tchu. Jego palce ciasno objęły komórkę, a spojrzenie nie odrywało się od wyświetlanej na monitorze fotografii człowieka z lasu. Jakby w obawie, że gdy na moment straci go z oczu, ten zniknie. Głos policjanta w słuchawce powtórzył pytanie, którego wcześniej Weber nie usłyszał:

– Komenda Powiatowa Policji Sinice, dyżurny Grzegorz Malinowski, słucham?

– Myślę, że mogę pomóc w ustaleniu tożsamości mężczyzny, który został znaleziony w lesie na terenie państwa powiatu. Rozpoznaję go – dodał, czując, że jego serce bije tak mocno, jakby miało zaraz pęknąć.

Mógł się mylić, był tego świadomy. Czasami w desperacji widzimy to, co chcemy, nawet gdy to coś nie istnieje. A jednak wewnętrzny głos, który drapał pazurami ściany jego umysłu, nie przestawał szeptać: „Znasz tę twarz, widziałeś wcześniej jego sylwetkę, patrzyłeś w te oczy”. I choć do niedawna robił wszystko, by zakneblować usta temu, co się w nim odbywało, teraz musiał przyznać głosowi rację. Człowiek z lasu był tym samym mężczyzną, którego twarz widział w noc wypadku.

\*

Sinicki szpital pogrążył się we śnie. Światło w salach pacjentów oddziału rehabilitacji zgasło, ich rozmowy umilkły, a jedynymi dźwiękami, które dało się słyszeć, były odgłosy chrapania i pikającej aparatury. Raz na jakiś czas korytarzem niósł się jeszcze stukot drewniaków, jednak wokół dominowała atmosfera zastoju.

Dochodziła druga w nocy. Lekarz zaszył się w swoim gabinecie, a pielęgniarki przebywały w dyżurce.

Bogdan Jarosz wszedł do szpitala przez główne drzwi. Ubrany w lekarski fartuch, ze stetoskopem zawieszonym na szyi, na palcach przemknął obok stróżówki, rejestrując, że pracujący tam mężczyzna przysnął na fotelu. Skręcił w stronę schodów, po czym dostał się na piętro i przez szklane drzwi obserwował długi korytarz. Jego oddech przyspieszył, a tętno wzrosło. Dopiero gdy zyskał pewność, że nikt z pracowników nie kręci się w pobliżu, odbił swoją kartę i najciszej, jak potrafił, wszedł na oddział.

Sunął korytarzem miękko i cicho niczym wąż. Schylony minął dyżurkę, po czym jego wzrok odszukał drzwi sali oznaczonej numerem trzy. Zdecydowanym ruchem nacisnął klamkę, a następnie wśliznął się do wnętrza.

Na metalowych łóżkach spało sześciu mężczyzn. Jarosz przesuwając spojrzeniem po ich twarzach do chwili, gdy znalazł tę, której szukał. Sprawiała wrażenie łagodnej i niewinnej. Pacjent leżał na boku, zwinięty w kłębek, jakby próbował się schować. Lekarz podszedł bliżej. Niepokój o to, że zostanie nakryty, wbił pazury w jego kark, lecz ortopeda nie zamierzał się mu poddać. Nachylił się nad człowiekiem z lasu i delikatnie dotknął jego ramienia.

Mężczyzna z przestraszeniem otworzył oczy, ale zanim zdążył cokolwiek powiedzieć, Bogdan przytknął palec do warg i rozciągnął usta w serdecznym uśmiechu.

– Spokojnie, proszę się nie bać, jestem lekarzem. Zabiorę pana na chwileczkę do zabiegowego.

– Ale po co?

– W pana badaniach krwi wyszło coś niepokojącego. Muszę założyć wkłucie dożylnie i podać panu lekarstwa.

Zaspany pacjent rozejrzał się wokół z lękiem wypisanym na twarzy. Za oknem świat pogrążył się w ciemności, a szpitalne korytarze wypełniała cisza.

– A czy to nie może poczekać do rana? – zapytał.

– Niestety to wykluczone. Jeśli będziemy zwlekać, może dojść do pogorszenia pana stanu. Trzeba jak najszybciej rozpocząć leczenie.

Mężczyzna podrapał się po głowie, wyraźnie zagubiony, a jego spojrzenie błędziło po obliczu lekarza, jakby nadal mu nie ufał. Medyk dla zachęty uniósł kołdrę i chwycił pacjenta pod ramię.

– Chodźmy, pomogę panu. Wyjaśnię wszystko w zabiegowym, żebyśmy nie pobudzili pana towarzyszy.

Człowiek bez pamięci z wahaniem podniósł się z łóżka, a później w asyście Jarosza opuścił salę i wszedł do leżącego po przeciwnej stronie korytarza gabinetu zabiegowego.

– Proszę, niech pan tutaj usiądzie. – Lekarz wskazał krzesło do pobierania krwi, po czym wrócił do drzwi i przekręcił blokadę zamka.

Pacjent usztywnił się, słysząc charakterystyczne zgrzytnięcie.

– Co pan robi?

– Zapewniam nam prywatność. Nie lubię, gdy ktoś patrzy mi na rękę.

Znów posłał mężczyźnie ten uspokajający uśmiech, lecz on, zamiast koić, wywoływał coraz większy paraliż. Pacjent poczuł zimno, które objęło jego ciało. Wbijając paznokcie w podłokietniki krzesła, obserwował, jak medyk nakłada lateksowe rękawiczki, a następnie umieszcza na stalowym wózku szpitalnym wenflon, jałowe gaziki oraz płyn do dezynfekcji. Tuż obok położył niewielką strzykawkę wypełnioną przezroczystym płynem, którą wyjął z kieszeni fartucha.

– Strasznie pan pobladł. To będzie tylko małe ukłucie – wyjaśnił lekarz podczas zakładania opaski uciskowej.

Zdezynfekował skórę pacjenta i wbił igłę w jedną z jego żył po wewnętrznej stronie przedramienia. Mężczyzna siedzący na krześle drgnął nerwowo, a wtedy Jarosz go upomniał:

– Proszę się nie ruszać.

Zdjął opaskę, po czym ostrożnie wysunął igłę, zostawiając w naczyniu pacjenta wenflon, który zabezpieczył plastikowym koreczkiem.

Ramię mężczyzny pozostawało napięte, oddech się spłycił, a wzrok czujnie śledził każdy ruch medyka.

– Może pan luźno położyć rękę – zachęcał lekarz, ale pacjent nie był w stanie się odprężyć. Zaschło mu w ustach, a jego serce niespokojnie kołatało się w piersi.

Doktor Jarosz podniósł z wózka strzykawkę z bezbarwnym płynem, a następnie odkręcił korek i sprawnie wetknął jej koniec do wejścia dożylnego. Mężczyzna z amnezją nerwowo przełknął ślinę. Jego ręka zatrzymała medyka.

– Co pan wyprawia?!

Lekarz uniósł lewą dłoń, jakby chciał pokazać, że ma dobre intencje. Prawą jednak cały czas trzymał na tłoku strzykawki.

– Spokojnie, to tylko sól fizjologiczna. Sprawdzam położenie wenflonu i upewniam się, czy nie przebił naczynia.

W świetle lampy jarzeniowej twarz doktora sprawiała wrażenie jeszcze bardziej upiornej. Wszystko w pacjencie krzyczało, że coś jest nie w porządku.

– Proszę zawołać tego drugiego lekarza – domagał się. – Nie wiem nawet, kim pan jest. Nie zgadzam się, żeby mi pan coś wstrzykiwał.

Wyraz twarzy medyka nagle się zmienił. Życzliwe oblicze ustąpiło miejsca chłodnej masce. Siłą przytrzymał rękę mężczyzny i przywiązał ją opaską do podłokietnika.



– Nie próbuj krzycheć ani się szarpać, bo od razu nacisnę tłok – warknął, a pacjent zastygł w przerażeniu.

– Co to jest? Co mi pan podaje?

– Coś, co sprawi, że będziesz zwijał się z bólu i błagał o ratunek.

Rysy człowieka bez pamięci wypełniła panika.

– Ale dlaczego? Co ja takiego panu zrobiłem? – Rozpaczliwie domagał się odpowiedzi, wargi mu drżały.

– Przypatrz się mi uważnie. Wiesz, kim jestem?

– Nie.

– Na pewno? Nie rozpoznajesz mnie? Przecież znasz tę twarz.

Lekarz ścisnął pacjenta za szczękę tak mocno, że tamten pisnął, po czym zbliżył do niego wykrzywione wściekłością oblicze. Mężczyzna, któremu ze strachu brakowało tchu, potrząsnął ledwie zauważalnie głową, rzucając desperackie spojrzenie w stronę drzwi.

– Moja córka Alicja bardzo mnie przypomina – kontynuował medyk. – Ma takie same oczy, identyczny podbródek i kształt ust. Widziałeś je już wcześniej, prawda?

– Proszę przestać.

Pacjent w popłochu usiłował się wyswobodzić, ale lekarz wbił kościste palce w jego ramię. Mężczyzna struchlał. Na białych skroniach załśnił pot.

– Nie radzę. – Ostrzegł ojciec dziewczyny i wzmocnił uścisk, a wtedy pacjent jęknął z bólu i się skrzywił. – Kiedy cię znaleźli w lesie, miałeś ze sobą naszyjnik Alicji. Skąd go wzięłeś?

– Nie pamiętam.

Medyk lekko pchnął tłok, a chłód zaczął wypełniać żyłę pacjenta.

– Niech pan przestanie! – wrzasnął i jednocześnie wierzgnął ciałem.

Stalowa nerka spadła z wózka, uderzając o podłogę z głośnym brzdękiem. Lekarz próbował przytrzymać mężczyznę, ale ten,

słyszając głosy po drugiej stronie drzwi, szamotał się jak zwierzę w potrzasku. Strzykawka upadła na posadzkę.

– Proszę natychmiast otworzyć! – zawołał ktoś, szarpiąc za klamkę, ale Jarosz nawet nie spojrzał w tamtą stronę.

– Co jej zrobiłeś? – wycharczał, przyciskając pacjenta do oparcia krzesła.

– Nic. Nie mógłbym.

– To skąd miałeś jej naszyjnik? Gdzie go znalazłeś? Mów!

– Nie mam pojęcia, przysięgam – skamlał, czując ból rozchodzący się od ściskanych obojczyków, wędrujący po kręgosłupie i eksplodujący w głowie.

Nagle klucz zachrobotał w zamku, drzwi się otworzyły i do środka wpadły dwie pielęgniarki. Zaskoczenie na widok ortopedy na ułamek sekundy odebrało kobietom mowę. W tym czasie do gabinetu wbiegł również poczerwieniały ze złości doktor Załuski.

– Co tu się, do cholery, wyprawia?! – ryknął, a gdy zdał sobie sprawę, że patrzy na kolegę po fachu, dodał: – Bogdan?

Jarosz puścił przerażonego pacjenta, patrząc najpierw na swoje ręce, a następnie po zebranych, jakby właśnie ocknął się z długiego snu i nie rozumiał, w jaki sposób trafił do szpitala. Na miękkich nogach cofnął się pod ścianę, kręcąc przy tym głową i mówiąc do siebie:

– Co ja zrobiłem, co ja najlepszego zrobiłem?

Osunął się na podłogę, po czym schował twarz w dłonie i zaczął cicho płakać.

– Moja córka zaginęła – wyrzucał z siebie między kolejnymi falami smutku. – Moja kochana Ala.

Pielęgniarki patrzyły na ortopedę ze współczuciem.

– Proszę tak nie stać i zabrać pacjenta na salę – zarządził Załuski.

– No już, ja się zajmę doktorem Jaroszem.

Jedna z kobiet otoczyła ramieniem mężczyznę z amnezją.

– Chodźmy – zaproponowała, pomagając mu wstać. – Nic panu nie jest?

– On mi coś wstrzyknął.

Pracownica szpitala gwałtownie wciągnęła powietrze. Wszyscy utkwili pytające spojrzenia w ojcu Alicji.

– To tylko sól fizjologiczna. Niczego mu nie zrobiłem.

Psychiatra gestem dłoni dał znać pielęgniarkom, by już poszły, on tymczasem ukucnął na podłodze obok Bogdana, wpatzonego niemo w punkt na ścianie.

– Po cholere tu przyszedłeś? Mówiłem ci przecież, że on niczego nie pamięta.

– Myślałem, że jak mnie zobaczy... Ala jest do mnie bardzo podobna... Miałem nadzieję, że się przyzna.

– Do czego?

– Do tego, co jej zrobił i gdzie ją ukrył.

Załuski westchnął z niedowierzaniem.

– Odbiło ci? Nie ma nawet pewności, że to on. Za taki numer możesz wylecieć ze szpitala. Zdajesz sobie sprawę, ile przepisów złamałeś? Ten facet na stówę złoży na ciebie skargę do dyrektora, nie mówiąc o tym, że ja też pewnie będę musiał, bo stary i tak dowie się o tym cyrku z plotek.

Jarosz tarł guzik przy mankiecie, wiszący na cienkiej nitce.

– Mnie już jest wszystko jedno – wyznał głosem wyczerpanym z emocji.

– Chcę tylko znaleźć Alicję, na niczym więcej mi nie zależy.

Psychiatra niemo pokręcił głową, po czym ze stęknieniem podniósł się z podłogi i wyciągnął do kolegi rękę.

– Chodź, dam ci coś na uspokojenie, a potem wezwę ci taksówkę. Nie powinieneś prowadzić w takim stanie.

Mężczyzna jednak nawet nie drgnął. Nadal bawił się guzikiem, jakby w ogóle nie słyszał Załuskiego.

– Spróbuję usprawiedliwić cię chwilowym załamaniem – ciągnął lekarz. – Stary powinien to łyknąć. Wszyscy tutaj są wstrząśnięci tym, co spotkało twoją rodzinę. Gdybyśmy mogli jakoś pomóc...

– Jest jedna rzecz, którą możesz dla mnie zrobić – przerwał mu Bogdan, unosząc na psychiatrę przytomny wzrok. – Kiedy ten facet odzyska pamięć, chcę być pierwszym, który się o tym dowie.

– To niemożliwe, najpierw muszę zawiadomić policję.

Ojciec zaginionej nastolatki wstał z podłogi, otrzepał fartuch i obdarował znajomego pełnym pogardy spojrzeniem.

– W takim razie nie kłam, że chcesz mi pomóc – rzucił oschle, a następnie spokojnym krokiem wyszedł z pomieszczenia.

Załuski poczuł żrący wstyd rozlewający się po ciele. Czy stał się służbistą, dla którego procedury znaczyły więcej niż ludzie? Przecież chodziło tylko o drobną przysługę. Zły na siebie, podniósł z podłogi strzykawkę, cisnął ją do kosza na odpady medyczne i z hukiem zatrzasnął metalową klapę. Myślał o tym, przez co musiał teraz przechodzić Bogdan, i nagle sam sobie wydał się żałosny. Co, do licha, nim kierowało, że wykazał się absolutnym brakiem empatii? Jarosz nigdy nie postąpiłby w ten sposób. Wprawdzie traktował innych z pewną rezerwą, ale jednocześnie z ogromnym szacunkiem. Zawsze kulturalny, czytany, z niebywałą klasą, a do tego wybitny w swoim fachu. A on odmówił mu pomocy, bo ważniejszy był regulamin.

Stojąc w pustym gabinecie zabiegowym, z wzrokiem utkwionym w ciemności za oknem, psychiatra pożałował wypowiedzianych słów i postanowił, że zrobi to, o co prosił Bogdan. Był mu to winien.



*Luty 2004 roku*

*Matka przyciska do policzków chusteczkę, którą zbiera łyżki wielkie jak grochy. Jej twarz jest czerwona, spojrzenie rozbiegane. Wygląda jak jedna z tych kobiet, które szły za trumną na pogrzebie pana Molendy w zeszłym tygodniu. Koścista, w czarnej sukience, z podkrążonymi oczyma. I z miną, jakby świat właśnie się skończył. Chłopiec obserwuje pantomimę jej gestów. Widzi poruszające się wargi, ale nie słyszy żadnych słów. Wszystko ogląda niczym zza szyby albo jak stary, niemy film. W uszach ma słuchawki, którymi z odtwarzacza płynie wesola muzyka. Podoba mu się, dlatego leżąc na kozetce w gabinecie neurologa, porusza rytmicznie stopą i nuci cichutko, nie zważając na zatroskany wyraz twarzy lekarza.*

*– Nasza rozmowa tylko cię przygnębi – powiedziała matka, gdy specjalista zakończył badanie. – Posłuchaj sobie czegoś radosnego, a ja w tym czasie porozmawiam z doktorem.*

*Nie oponował. A teraz, gdy Jon Bon Jovi kończy śpiewać It's my life, chłopca nieoczekiwanie dopada pragnienie, by jednak wziąć udział w rozmowie. Może z powodu lekarza trzymającego rękę na ramieniu matki w taki sposób, jakby chciał ją podeprzeć i uchronić przed upadkiem. Albo za sprawą rodzicielki, która wypija duszkiem wodę z plastikowego kubka, a potem chowa twarz w dłoń i pociąga nosem.*

*Chłopiec wycisza muzykę, ale słuchawki pozostawia w uszach. Nie chce, by wiedzieli. Leży jak wcześniej, z głową na podwyższeniu i wzrokiem badającym krzywo zawieszoną roletę w oknie. Nawet*

*stopą porusza tak samo, by nikt się nie domyślił, że nie jest już tam, tylko tu.*

*– Te ataki to coś strasznego – tłumaczy matka. – Trzęsie się, jakby go ktoś raził prądem. Odgina głowę do tyłu, wypręża ręce i nogi, a do tego nie może złapać tchu i zaczyna sinieć.*

*Chłopiec z wrażenia prawie upuszcza odtwarzacz. Łapie go w ostatniej chwili, po czym wysyła kobiecie uspokajające spojrzenie. Lekarz odchrząkuje.*

*– Nie mam dobrych wieści – oznajmia, wpatrując się w blat biurka. – Wygląda na to, że pani syn cierpi na padaczkę. Niestety w tym momencie nie jesteśmy w stanie ustalić konkretnej przyczyny choroby.*

*Mały pacjent zauważa, że kiedy medycy nie znają odpowiedzi na pytania jego matki, mówią o sobie w liczbie mnogiej.*

*– Skoro ataki są tak częste, jak pani mówi, musimy wprowadzić farmakologię. Najlepiej od razu. Wprawdzie większość napadów drgawkowych jest niegroźna, ale jeśli będą się wydłużać, dziecko może zacząć mieć poważne trudności z oddychaniem. Gdyby do takiej sytuacji doszło, trzeba natychmiast wezwać karetkę.*

*Kobieta zakrywa dłonią usta i mocno zaciska powieki, jakby chciała uwięzić w środku napływające łzy. Przegrywa jednak tę walkę. Krople spadają na jej sukienkę, zostawiając na materiale mokre plamy. Chłopiec wierci się niespokojnie. Leżanka skrzypi pod nim.*

*To nie tak, to wszystko nie tak, myśli gorączkowo.*

*– Przepiszę leki. – Neurolog odwraca twarz do monitora, a jego palce tańczą na klawiaturze. – Proszę liczyć się z ryzykiem skutków ubocznych. U niektórych pacjentów pojawia się senność, niekiedy dezorientacja i problemy z nastrojem. Oczywiście jeśli lek nie zadziała, spróbujemy z innym.*

*Odgłos uderzania w klawisze narasta w uszach chłopca. Brzmi, jakby ktoś tłukł młotem o ścianę. Biała koszulka z Batmanem przykleja się do mokrych pleców. Coś w nim krzyczy, że nie chce już więcej tabletek, bo to po nich zawsze czuje się źle.*

*– A co, jeśli żaden z leków nie pomoże? – pyta matka. – Te napady to koszmar dla mojego syna. Nie mogę patrzeć, jak on się męczy.*

*– Zdarza się, że konieczne jest wszczepienie stymulatora nerwu błędnego, a w skrajnych przypadkach operacja... – Lekarz nie jest w stanie dokończyć, ponieważ z kozetki dobiega przeraźliwy krzyk.*

*– Nie! – wrzeszczy chłopiec.*

*Jego twarz jest purpurowa, oczy szeroko otwarte i pełne lęku. Podbiega do matki, obejmuje ją, a potem, płacząc, prosi:*

*– Powiedz mu, mamo, że to nieprawda.*

*Kobieta patrzy zdezorientowana to na dziecko, to na lekarza. Jej palce odnajdują drobną dłoń, owijają się wokół niej niczym bluszcz i zamykają ją w zwartym uścisku.*

*– Nie rozumiem, kochanie. Źle się czujesz? – pyta z troską.*

*Jej ręka jak imadło zaciska się na drobnych kostkach syna.*

*– Przecież ja nie... – próbuje powiedzieć chłopiec, ale ból i uczucie, jakby zaraz miały mu popękać stawy, zabiera wszystkie słowa.*

*Zagubiony szuka w tej strasznej kobiecie swojej matki. Bo choć wygląda jak tamta, to on doskonale wie, że nią nie jest. Jej dotyk jest zimny i obcy, wzrok pusty. Przerażony kręci głową, nie będąc w stanie wydusić z siebie już nic. Żal odbiera mu dech, sprawia, że zaczyna spazmatycznie łąpać powietrze, jak ryba wyrzucona na brzeg.*

*– Proszę dać wody! Szybko! – woła kobieta.*



*Lekarz zrywa się z krzesła. Napełnia plastikowy kubek wodą z dystrybutora i wciska go w rękę matki. Gdy chłopiec pije, strugi spływają mu po brodzie. Jego oddech się uspokaja, serce stopniowo wraca do miarowego rytmu.*

*Kwadrans później, gdy wychodzą z gabinetu i przystają na chodniku nieopodal szkoły, matka nachyla się nad synem. W jej oczach błyszczą łzy, a wargi drżą.*

*– Kochanie, ja to wszystko robię dla ciebie – mówi płacząco. – Poświęcam całe swoje życie, żebyś nie musiał cierpieć. Nie możesz być tak niewdzięczny i kwestionować tego, co opowiadam lekarzom. Bo jeśli oni nam nie pomogą, zostaniemy sami. Nie udźwignę tego bez wsparcia. Nie dam rady. A kiedy umrę... – urywa, by otrzeć oczy chusteczką – ...nikt już nie będzie cię kochał. Rozumiesz?*

*Chłopiec przełyka ślinę. Patrzy w dal, na boisko, na którym szkolna drużyna gra właśnie w piłkę nożną, a później wyciąga szczupłe palce, by złapać dłoń matki, tę samą, która jeszcze niedawno miażdżyła mu kości, i przytula ją do policzka.*

*– Tak, mamusiu. Przepraszam – szepcze.*



## Dwa miesiące wcześniej

Wtorek, 26 lutego 2019 roku, Sinice  
Dwa dni po zaginięciu Alicji

Radio informowało o nieznacznym przejaśnieniu na wschodzie. Wtorek zapowiadał się słoneczny, choć mroźny, bo niedawna odwilż odeszła w zapomnienie, a do Sinic wróciła termiczna zima. Ubrana w ciepłe skarpety i gruby sweter Ewa zamieszała drewnianą łyżką jajka rozlane na skwierczącym boczku, a następnie nastawiła wodę w czajniku. Mieszkanie Lipskich wypełnił przyjemny zapach. Woń dotarła również do Krzysztofa, który, zawinięty w kołdrę, leżał jeszcze w łóżku. Komisarz otworzył oczy i nie potrafił myśleć o niczym innym jak tylko o głodzie wyżerającym dziurę w żołądku. Podniósł się, narzucił na plecy starą, obszerną bluzę i w bokserkach udał się do kuchni.

– Siadaj, właśnie miałam nakładać – rzuciła jego żona, która wyciągała z szafki talerze.

W mgnieniu oka Lipskiego dogoniła świadomość tego, o czym musiał z nią porozmawiać. Jego wzrok spoczął na plastrach, którymi w nocy zakleił rany na knykciach po uderzeniu w lustro. Z głośnym szurnięciem odsunął od stołu drewniane krzesło i opadł na nie ciężko jak głaz. Śledził spojrzeniem palce Ewy, posypujące danie świeżo pokrojonym szczypiorkiem. Z kubków, które postawiła na stole, unosiły się wstążki pary, a radio grało *Kiedy powiem sobie*

dość zespołu O.N.A. Policjant obserwował prostokąt światła rysujący się na kuchennym blacie i w myślach nucił za wokalistką: „Czy warto było spalać się, jak ja”. Przetarł zmęczone oczy, szukając odpowiedniego zdania, by zacząć tę trudną rozmowę, ale każde, które przychodziło mu do głowy, sprawiało wrażenie niewłaściwego.

– Smacznego – powiedziała Ewa, podtykając mu pod nos talerz.

Tyle że apetyt, który postawił go na nogi, teraz gdzieś wyparował. Mężczyzna gapił się na tę złotą jajecznicę o obłądnym zapachu, ale czuł jedynie mdłości. Tknął ją lekko widelcem, po czym odłożył go i nabrał tchu.

– Musimy porozmawiać – oznajmił.

Po twarzy jego żony, która stała przy blacie, smarując kromki chleba masłem, przemknął cień niepokoju. Uniosła deskę z pieczywem, by zanieść ją na stół, ale po chwili zatrzymała się i głosem zdradzającym obawy spytała:

– Przesoliłam?

– Nie o to chodzi. Wiem, że kupiłaś lewą kartę telefoniczną od Norberta Łuczaka.

Deska w rękach Ewy przechyliła się, a przylepka zsunęła się z niej jak po zjeżdżalni i upadła na podłogę, przywierając do kafli. Kobieta podała mężowi pieczywo, sama zaś sięgnęła po zmywak i wyrzuciwszy piętękę do kosza, zaczęła szorować tłustą plamę na podłodze.

– Trzeba to od razu zetrzeć, bo zostanie ślad – mówiła ni to do siebie, ni to do Krzysztofa.

– Zostaw, zajmiesz się tym później – prosił, ale ona już odrywała z rulonu papierowy ręcznik, przez cały czas unikając wzroku męża.

Lipski przykucnął obok żony i delikatnie chwycił ją za rękę. Znieruchomiła, jej palce drgnęły.

– Po co ci karta zarejestrowana na nazwisko innej osoby? – drażył, siląc się na spokój, choć w jego wnętrzu wszystko się trzęsło.

Ewa tymczasem wyswobodziła dłoń, cisnęła zmięty papier do kosza i wspięła się na krzesło, by zamknąć lufcik nad zlewem.

– Zrobiło się zimno – powiedziała, otulając ciało szarym swetrem z wełny, narzuconym na piżamę. – Siadaj, jedzenie nam wystygnie.

– Przestań udawać, że mnie nie słyszysz. – Poirytowany podniósł głos tak, że aż się wzdrygnęła. – Odpowiedz w końcu na moje pytanie.

Kobieta odwróciła głowę, układając serwetki w plecionym koszyku.

– To nie dla mnie, to dla Klary – wyszeptała.

– Co?!

Twarz Krzysztofa przybrała szkarłatny kolor.

– Poprosiła mnie o to. Chce zacząć nowe życie. Niedawno skończyła odwyk... – zaczęła tłumaczyć Ewa, ale jej wypowiedź przerwał huk pięści uderzającej o blat.

Szklany wazonik z bambusową łodygą przewrócił się, a woda z naczynia zaczęła tworzyć coraz większą plamę na szafce i powoli skapywać na podłogę. Kobieta przełknęła ślinę.

Lipski dostrzegł zaciśnięte, blade usta żony, ale jego gniew był silniejszy od współczucia.

– Nie mogę uwierzyć, że to zrobiłaś. Jak mogłaś?! Twoja siostra to dziwka i ćpunka. Po tym, jak nas okradła, obiecałaś, że zerwiesz z nią wszelkie kontakty. Rozmawialiśmy o tym tysiące razy. To ona się do ciebie odezwała?

Żona komisarza nieruchomo patrzyła na wodę spływającą po drzwiczkach szafki. Wcisnęła dłonie do kieszeni swetra i zaczęła zdrapywać lakier z paznokci.

– Przyszła tu pod twoją nieobecność – odparła. – Wyglądała dobrze, jakby naprawdę się ogarnęła. Przeprosiła mnie za wszystko.

– Ona tobą manipuluje, nie widzisz tego? Ile jeszcze razy musi cię oszukać, byś wreszcie to pojęła?

– To moja siostra, nie mogę jej tak po prostu zostawić. Mam ją wysłać na ulicę?

– Nie, no jasne, lepiej daj jej pieniądze, które i tak rozpieprzy na dragi.

Ewa chwyciła kubek za ucho, ale jej ręka trzęsła się tak bardzo, że nie była w stanie donieść go do ust. Odstawiła naczynie z powrotem na stół, a potem wstała i zaczęła sprzątać niezjedzone śniadanie.

– Jak w ogóle znalazłaś Norberta Łuczaka? – chciał wiedzieć Krzysztof.

– W sieci. Wpisałam w wyszukiwarkę hasło „telefon na kartę bez rejestracji” i trafiłam na jego ogłoszenie.

– A dlaczego nie mogłaś po prostu kupić numeru w pierwszym lepszym kiosku i zarejestrować go na siebie? Nie musiałaś spotykać się z szemranymi facetami z półświatka. To ona cię do tego namówiła?

Kobieta podeszła z talerzem do kosza i widelcem zrzuciła resztki do pojemnika na odpadki.

– Uważała, że tak będzie bezpieczniej.

– Bezpieczniej? Dla kogo? Bo chyba nie dla ciebie – grzmiał, chodząc po kuchni. – Ona znów robi to samo. Pojawia się nie wiadomo skąd i odgrywa kochającą siostrzyczkę, tylko że zawsze ma w tym jakiś interes, zauważyłaś? Wiesz, dlaczego tak jej zależało na numerze, po którym trudno namierzyć właściciela? Bo lada chwila coś zmaluje i nie chce, by policja dobrała się jej do tyłka. Cała Klara.

Ewa zacisnęła palce na sztućcu.

– Mówisz tak, bo jej nie lubisz.

– Mówię tak, bo nie mogę patrzeć, jak owija cię sobie wokół palca.

Pomiędzy małżonkami zapadła kłująca cisza. Ewa wkładała naczynia do zmywarki, a jej mąż wytarł podłogę, po czym podniósł przewrócony wazon, uzupełnił go wodą i wetknął do środka bambusową gałązkę.

– Nie jesteś ciekawa, jak się o tym wszystkim dowiedziałem? – zapytał nagle.

– Zgarnęliście tego Łuczaka za jakieś przekręty i powiedział ci o mnie?

Lipski zaprzeczył.

– Sprawdziliśmy numer szantażysty, który wysłał mi tamto zdjęcie z Alicją Jarosz, i okazało się, że jest zarejestrowany na nieżyjącą babkę Norberta Łuczaka, podobnie jak kilkanaście innych numerów. Ten, który kupiłaś, jest jednym z nich.

– I myślałaś, że zaopatrzyłam się w telefon na czarnym ryku, by cię szantażować? – Spojrzała na męża z niedowierzaniem. – Chyba oszalałaś.

– Widziałem cię na nagraniu z monitoringu w klubie Euforia tamtej nocy. To wszystko aż za bardzo do siebie pasowało.

– Musisz więcej sypiać, bo zupełnie ci odbija. – Prychnęła, po czym napełniła szklankę wodą i podlała rośliny stojące na parapecie. Krzysztof odniósł wrażenie, że jej ręka zadrżała.

– Często chadzasz do klubu Bolka Rapackiego?

– Nie. Byłam tam tylko raz. Martwiłam się, bo długo nie wracałaś do domu i nie mogłam się do ciebie dodzwonić.

– A pamiętasz ten numer? Może go gdzieś zapisałaś?

– Mam go na liście kontaktów w komórce, ale to nie jest ten sam numer, z którego pisał szantażysta. Gdyby tak było, odkryłabym to od razu. Poza tym nie sądzę, by Klara śledziła cię nocami po to, by zrobić ci zdjęcie, to nie w jej stylu.

Policjant w myślach zgodził się z żoną. Jego spojrzenie omiotło ukruszoną krawędź wazonu. Ewa tymczasem zanurzała palce w pianie, próbując domyc patelnię.

– Wygląda na to, że się pomyliłem – wydukał. – Nie powinienem był cię oskarżać. Po prostu to zaginięcie córki Jaroszów całkowicie wybija mnie z rytmu. Do tego ta sprawa z szantażystą... – Westchnął ciężko.

Żona Lipskiego zakręciła wodę i wycierając dłonie w ścierkę, popatrzyła na niego z niepokojem.

– Ostatnio zachowujesz się tak jak kiedyś, na początku służby. Miałam nadzieję, że tamto już nigdy nie wróci.

– Bo nie wróci – obiecał i objął szczupłe ciało Ewy ramionami, wiedząc, że być może znów ją okłamuje.

\*

Herbata przygotowana przez Bogdana Jarosza stała na ławie nietknięta od co najmniej kwadransa i z pewnością zdążyła już wystygnać. W pokoju panowała tak naelektryzowana atmosfera, że nikt nie byłby w stanie przełknąć napoju. Rozmowa rwała się jak nitki pajęczyny, lekarz omiatał policjantów chłodnym spojrzeniem, a jego żona i syn siedzieli przytuleni na kanapie niczym rozbitkowie na bezludnej wyspie. Krzysztof Lipski odchrząknął.

– Doktorze Jarosz, powtórzę pytanie i proszę pozwolić mi zdecydować, co ma znaczenie, a co nie. Czy przed zaginięciem pokłócił się pan z córką?

Lekarz opuścił wzrok. Wpatrywał się w żyły na swojej dłoni, jakby to z nich miał wyczytać odpowiedź.

– Tak – odparł niechętnie. – W dniu jej urodzin. I bardzo tego żałuję.



Wyciągnął rękę, by sięgnąć po filiżankę, ale gdy zauważył, że jego palce drżą, cofnął ją i z powrotem położył na kolanach. Komisarz wymienił spojrzenia z Weroniką, a następnie zwrócił się do Bogdana:

– Dlaczego nie powiedział pan o tym, kiedy składaliście zawiadomienie na komendzie?

– Bo wiem, że byście jej wtedy nie szukali. Zaginiona pełnoletnia dziewczyna, która wypłaciła pieniądze z bankomatu i miała powód, by chcieć zaszyć się gdzieś z dala od rodziny, nie jest priorytetem dla policji.

– Więc zdecydował się pan nas okłamać i zmarnować nasz czas?

Jarosz położył palce u nasady nosa i wziął głęboki wdech.

– Nie, po prostu uznałem, że moja sprzeczka z córką nie ma znaczenia – oznajmił. – Nawet gdyby Ala była na mnie zła, nie zrobiłaby czegoś takiego matce. Nie dziwi pana, dlaczego nie zniknęła, gdy byliśmy w kościele, i nie zabrała ze sobą walizki? Przecież tak byłoby wygodniej. Po co miałyby na nas czekać?

– Może chciała się pożegnać? – zasugerowała Sowińska.

– To nie ma sensu. Nie widzicie tego? – upierał się lekarz. – Nie wzięła żadnych ubrań, komputera ani nawet ładowarki do telefonu. Ktoś, kto ucieka, nie postępuje w ten sposób. Ona wyszła tylko na chwilę, jestem tego pewien, a później musiało ją spotkać coś złego.

Krzysztof Lipski, obracając w palcach plastikowy długopis, przyglądał się Bogdanowi z namysłem. Wnioski męczyzny były słuszne, choć nie zmieniało to faktu, że postąpił źle, kiedy zataił istotne informacje.

– O co się pokłóciliście? – zapytał śledczy.

– O studia. Ala chciała rzucić uniwersytet – wyznał skrzępowany ojciec dziewczyny, pocierając rękawem tarczę zegarka, jakby chciał usunąć z niej zabrudzenie. – Wytknęła mi, że wybrała medycynę tylko ze względu na mnie, żebym był z niej dumny. Niepotrzebnie się

uniostem i zamiast spokojnie z nią porozmawiać, powiedziałem, że jeśli zrezygnuje ze studiów, to o jakiegokolwiek dumie może zapomnieć. W złości wykrzyczałem, że przynosi wstyd rodzinie, i... – Urwał, ponieważ głos uwiązł mu w gardle.

Lekarz przytknął do ust drżącą dłoń, jakby chciał w ten sposób zamknąć w sobie napływający żal. Jego oczy się zaszklily, a żona położyła mu na nodze rękę i pogłaskała go z troską. Syn Jarosza wstał z kanapy, unikając patrzenia na ojca. Sprawiał wrażenie, jakby smutek Bogdana go krępował, nie mniej, niż gdyby zobaczył rodzica nago. Chwycił jedną z filiżanek, po czym usiłował precyzyjnie się obok siedzącej na fotelu aspirant Sowińskiej.

– Będę u siebie – bąknął pod nosem.

– Zaczekaj – poprosił go Lipski. – Chcemy porozmawiać o twojej bójce z Filipem Klepackim.

Kuba jęknął. Naczynie w jego dłoniach przechyliło się lekko i odrobina herbaty skapnęła na ławę.

– O jakiej bójce? – Urszula Jarosz szukała w twarzach policjantów wyjaśnienia.

– To nic wielkiego. Wkurzał mnie, więc dostał za swoje – wyjaśnił chłopak, wzruszając ramionami.

Jego matka zamrugnęła niespokojnie.

– Z tego, co widziałem na filmiku, obiteś go całkiem konkretnie. Aż dziw, że nie złożył zawiadomienia – dodał policjant. – Dzieciak, który wrzucił to nagranie do sieci, twierdzi, że powiedziałeś Klepackiemu – zajrzał do notesu leżącego na kolanie – „To wszystko twoja wina, po cholerę mi to wysyłałeś?”. O co chodziło?

Nastolatek stęknął z irytacją, po czym niechętnie odstawił filiżankę i opadł z powrotem na skórzaną kanapę, która zatrzeszczała pod jego ciężarem.

– Wysłał mi fotkę Ali z klubu Euforia.

– Co na niej było?

Chłopak zerknął na ojca, jakby obawiał się, że to, co za chwilę powie, mu się nie spodoba. Przełknął ślinę.

– Siostra obściskiwiała się z jakimś chłopakiem na parkiecie.

– Tylko obściskiwiała? – drażył Krzysztof, który widział nagranie z monitoringu.

– Nie. Ten facet trzymał rękę w jej... pod jej spódnicą.

Bogdan Jarosz poczerwieniał, a jego żona gwałtownie wciągnęła powietrze. Patrzyli na syna tak, jak gdyby chcieli pozbierać słowa, które wypadły z jego ust, i wepchnąć mu je z powrotem do gardła, by nigdy nie dosięgły niczyich uszu.

– A co miałeś na myśli, mówiąc: „To twoja wina”? – ciągnął niezrażony Lipski.

Kuba schylił głowę i położył ręce na karku, po czym zaczął niespokojnie masować skórę.

– Po wiadomości od Klepackiego zadzwoniłem do Ali. Prosiłem, żeby wróciła do domu, bo zrobiło się późno. Ale siostra była już porządnie wstawiona, nie chciała mnie słuchać. Rzuciła coś w stylu, że ma dziewiętnaście lat, a ja nie jestem jej niańką i nie mam prawa dyktować jej, co ma robić.

– Co ty na to?

– Powiedziałem, że skoro jest taka samodzielna, to niech więcej nie przychodzi do mnie, gdy będzie czegoś potrzebowała, i zerwałem połączenie. – Schował twarz w dłoniach, głośno wzdychając, a kiedy opuścił ręce, jego oczy zalśniły wilgocią. – Gdyby nie to pieprzone zdjęcie od Filipa, nigdy bym się w ten sposób do niej nie odezwał. Cały czas myślę, że mogłem jakoś zapobiec jej zniknięciu... Że to może przeze mnie.

– To była wasza ostatnia rozmowa? – drażył śledczy.

– Tak.

Chłopak poruszał nerwowo nogami, wbijając wzrok w dywan. Matka otuliła go ramieniem i musnęła blady policzek.

– Dlaczego nie powiedziałaś nam o tym wcześniej? – wtrąciła Sowińska, która pamiętała niemal każde słowo z ich wcześniejszej rozmowy.

– Chciałem kryć ją przed rodzicami. I tak miała z ojcem na pieńku z powodu studiów, po co jej było dokładać. – Zerknął z lękiem na Bogdana. – Poza tym czułem się winny.

– A po co tak właściwie Klepacki wysłał ci to zdjęcie? – spytał Krzysztof.

– Bo to świr. Może myślał, że uznam go za fajnego koleśka, bo pilnuje mojej siostry? Nie wiem. – Wzruszył ramionami. – Od drugiej klasy łąził za Alą, zostawiał jej liściki, fotografował ją ukradkiem i nie chciał przyjąć do wiadomości, że nie jest nim zainteresowana. Nawet kiedy wyjechała na studia, nadal się łądził. Idiota.

Aspirantka nachyliła się w stronę chłopaka, marszcząc czoło.

– Myślisz, że byłby zdolny do tego, by zrobić jej krzywdę?

To pytanie zawisło w powietrzu jak chmura gryzącego dymu. Kuba przez moment miętosił w palcach ściągacze bluzy, jego rodzice zastygli w oczekiwaniu, a Lipski uniósł pytająco brew, jakby to miało przyspieszyć odpowiedź.

– Jest taki typ ludzi, o których w telewizji sąsiedzi zawsze mówią: „To był miły człowiek, nigdy byśmy go nie podejrzewali o coś tak strasznego”. I według mnie taki jest właśnie Filip Klepacki.



## Czerwiec 2005 roku

*Siedzi na wózku otępiały. Jego głowa, przechylona na bok, zwisa bezwładnie. Wzrok pozostaje nieruchomy. Przed wyjściem z domu dostał zastrzyk. Nie chciał, prosił, ale mama upierała się, że dzięki temu uniknie ataku, gdy znajdzie się na scenie. I właśnie teraz na niej stoi. Z sufitu spada złote konfetti. Ludzie w sali kinowej wiwatują. Muzyka rozbrzmiewa w uszach, a reflektory oświetlają go jak gwiazdę na koncercie rockowym. Chłopiec usiłuje przekrzyczeć rozwrzeszczany tłum, ale jego głos więźnie gdzieś w środku. Na rzęsach zawisa łza, która po chwili spada i płynie po policzku.*

*– Zobacz, jak się wzruszył – szepcze ktoś stojący za jego plecami.*

*Matka chwyta wychudzoną rękę syna i unosi ją do góry w geście zwycięstwa. Ktoś podsuwa jej mikrofon. Kobieta wygładza spódnicę. Z nieśmiałością oblizuje wargi, podchodzi do statywu i niepewnie rozgląda się na boki.*

*– Dziękuję – mówi. Przez salę przetacza się pisk i zgrzyt, od którego bolą zęby.*

*Jakiś człowiek z obsługi natychmiast podbiega, pokazuje kobiecie, że musi stanąć dalej od mikrofonu, a ona ze zrozumieniem kiwa głową, jak grzeczna uczennica. Odchrząkuje.*

*– Chciałabym podziękować państwu za to, że choć sami macie niewiele, okazaliście takie ogromne wsparcie mnie i mojemu synowi – deklamuje jasnym, czystym głosem, jakby ćwiczyła to przemówienie wielokrotnie przed lustrem. – Jak widać, nie trzeba dużych portfeli, by mieć wielkie serca. Dzięki waszej pomocy*

*będziemy mogli wziąć udział w specjalistycznej eksperymentalnej kuracji w Szwajcarii, a mój syn... – Jej głos się łamie. Opuszcza głowę, po czym nabiera tchu i unosi spojrzenie, przesuwając nim po zebranych. – Mój ukochany syn, który jest dla mnie wszystkim... – Kładzie dłoń na sercu, ze łzami w oczach patrząc na dziecko w wózku. – Dostanie szansę na nowe życie.*

*Publiczność unosi dłonie do oklasków. Salę zalewa tsunami braw. Burmistrz miasta z wydrukowanym na piance czekiem dumnie kroczy po scenie. Ściska dłoń kobiety, a później ustawia się między nią a dzieckiem i odslania dziąsła w szerokim uśmiechu. Błyskają lampy fleszy.*

*– Ależ ona jest dzielna – dobiega chłopca. – Podobno ojciec tego małego siedzi gdzieś za granicą. Zostawił dzieciaka, jak tylko dowiedział się, że coś jest z nim nie tak.*

*– Co się dziwisz? – dołącza drugi kobiecy głos. Chłopiec chciałby się odwrócić, zobaczyć twarze tych kobiet, ale jego ciało nie reaguje ani na błagania, ani na rozkazy. – Kto normalny by coś takiego wytrzymał? Nie dosypiasz, nie dojadasz i wieszcznie w strachu. Na jej miejscu już dawno oddałabym dzieciaka do jakiegoś domu opieki.*

*Chłopiec na wózku usiłuje zacisnąć zęby, ale i tego nie potrafi. Gdyby mógł, zeskoczyłby z tej sceny i biegł tak długo, aż jego serce zatrzymałoby się z wysiłku. Znieruchomiłby wtedy jak zepsuta zabawka albo zegar, w którym wyczerpała się bateria. Nie musiałby więcej znosić tych szeptów i spojrzeń. Widoku bladej, wyczerpanej matki. I bólu, który pozbawia go sił. Mógłby zniknąć.*

*Matka posyła publiczności wielkiego całusa, a potem chwyta wózek i ostrożnie zjeżdża nim po rampie. Na scenę wbiegają muzycy zespołu Dragons, który wystąpi tego wieczoru charytatywnie. Widownia szaleje. Światła zaczynają migotać.*

*Chłopiec czuje, że od hałasu i stroboskopowych lamp robi mu się niedobrze.*

*Matka jakby na złość ustawia go obok samego głośnika.*

*– Nie tutaj – wykrztusza z siebie chłopiec, ale ona już tańczy i podryguje niczym w transie, nie zważając na syna.*

*Chłopiec usiłuje wytrzymać. Zamyka oczy, lecz ostre rozbłyśki światła zdają się dźgać jego powieki.*

*– Zabierz mnie stąd! – woła nadludzkim wysiłkiem. Na bladej skórze widnieją krople potu.*

*Muzycy akurat kończą pierwszy utwór, jazgot chwilowo cichnie i słowa dziecka docierają do uszu matki. Ta nachyla się nad nim.*

*– Mówiłeś coś?*

*– Wyprowadź mnie na zewnątrz – prosi.*

*Przez moment kobieta patrzy na syna tak, jakby chciała mu się sprzeciwić. Jej wzrok tęsknie ucieka w kierunku sceny i gitarzysty, który zaczyna właśnie przygrywać do kolejnego numeru.*

*– Dobrze – odpowiada wreszcie. – Mam pewien pomysł.*

*Jadą długim korytarzem. Koła wózka skrzypią, tocząc się po kamiennej posadzce. Słychać rytmiczne stuknięcia obcasów oraz echa koncertu, choć teraz natężenie dźwięku jest na tyle niskie, że już nie przytłacza chłopca. Miejski dom kultury pachnie cytrusowym płynem do mycia podłóg. Kobieta otwiera drzwi w rogu i manewrując wózkiem, wjeżdża do środka. Trafiają do zagraconego, ciasnego pokoju, który przypomina składzik rzeczy niepotrzebnych, a może zapomnianych.*

*By zrobić miejsce dla syna, matka przestawia kartony jeden na drugi, odsuwa starą lampę i ustawia chłopca na wąskim pasku wykładziny. Przez okno do wnętrza wpada rozproszona żółta poświata latarni ulicznej.*



*– Tu będzie cicho i spokojnie. Odpocznij – mówi kobieta, daje dziecku pospiesznego buziaka i wybiega.*

*Nie zdradza, kiedy i czy w ogóle wróci. Nie zapala światła. Po prostu zostawia go, jak ktoś, kto wcześniej porzucił te wszystkie nikomu niepotrzebne rzeczy.*



## Teraz

Niedziela, 28 kwietnia 2019 roku, Sinice  
Dwa dni po odkryciu człowieka bez pamięci,  
dwa miesiące po zaginięciu Alicji

Krzysztof Lipski rzucił słuchawką telefonu stacjonarnego, miotając pod nosem tak wymyślne przekleństwa, że próżno byłoby ich szukać w słowniku wulgaryzmów. Kolega z sąsiedniego biurka wyrzał z za ekranu komputera, ale ledwie zdołał unieść brwi i nieznacznie otworzyć usta, a komisarz wycelował w niego palec i cisnął groźnym spojrzeniem.

– Nawet nie próbuj tego komentować – wypalił. – Chyba że masz za mało roboty, wtedy mogę pogadać ze starym, żeby ci jej dołożył.

– No co ty, Krzysiu. Wyluzuj – bąknął z udawaną swobodą funkcjonariusz. – Przecież ja nic nie mówię.

– I lepiej niech tak zostanie – skwitował Lipski, a później zebrał kilka kartek z biurka, wepchnął do kieszeni paczkę papierosów i ruszył w stronę aspirantki Sowińskiej.

Palce policjantki zawisły nad klawiaturą komputera, kiedy dostrzegła na ścianie cień komisarza. Uniosła wzrok, lustrując jego posępny wyraz twarzy, po czym stanowczo pokręciła głową.

– Nie – odparła i bez słowa wyjaśnienia wróciła do notatki służbowej, którą chciała wreszcie skończyć.

Lipski podrapał skroń w zagubieniu.

- Co nie? – dopytał.
- Nie, nie pójdę z tobą zapalić.
- Ale ja wcale nie chciałem...

Spojrzała na niego jak na dziecko, które usiłuje oszukać matkę, że nie zjadło ciasteczka, choć cała jego buzia jest umorusana czekoladą. Sapnął i ostentacyjnie przewrócił oczami.

– Przyszedłem spytać, czy masz coś nowego o tym mężczyźnie z lasu – upierał się.

– Dobrze wiesz, że za każdym razem, gdy trafiam na jakiś interesujący trop, od razu przychodzę z tym do ciebie – rzuciła, nie odrywając wzroku od monitora.

Po chwili postawiła ostatnią kropkę w dokumencie, po czym obróciła się na krześle w stronę komisarza, uniosła ręce, by rozciągnąć zdrętwiałe od długiej pracy mięśnie, i ziewnęła przeciągle.

– Wybacz, córka daje nam w nocy popalić – wyjaśniła, masując dłonią kark. – A wracając do twojego pytania, nie mam najlepszych wieści. Nikt nie rozpoznaje naszego faceta z amnezją, mieliśmy tylko kilka nieudanych prób identyfikacji. Zaczęłam się już nawet zastanawiać, czy nie uciekł z jakiejś sekty lub klasztoru. Rozważałam, czy nie należał do grupy przestępczej albo nie był przez kogoś więziony, ale wszystko to wydaje mi się naciągane. Jego zdjęcia rozeszły się po internecie jak wirus. Trafiły na wszystkie grupy i profile dotyczące osób poszukiwanych, zaginionych i bezimiennych. Ludzie udostępniają informacje na swoich kontach, do pomocy dołączają fundacje oraz lokalne grupy poszukiwawczo-ratownicze. I nadal nic. – Rozłożyła ręce. – Niestety pogłoski o tym, że nasz człowiek bez pamięci może mieć coś wspólnego z zaginięciem Alicji Jarosz, również poszły już w świat.

- Cholera jasna, co ta Borowiec sobie wyobrażała?

– Nie przemyślała tego. Jest młoda, popełniła błąd. Na szczęście szybko zareagowaliśmy i artykuł został poprawiony. Zresztą według mnie te plotki działają też na naszą korzyść. Dzięki nim ludzie jeszcze bardziej angażują się w ustalanie tożsamości bezimiennego. Może w finalnym rozrachunku wyjdzie nam to na dobre.

– Chyba chciałaś powiedzieć, że wyjdzie nam to bokiem.

Westchnęła, zmęczona utyskiwaniem kolegi, a później przygryzła końcówkę cienkopisu.

– Może zgodzi się na udział w *Ktokolwiek widział, ktokolwiek wie?* – zasugerowała. – Ktoś go w końcu musi zidentyfikować. Każdy ma jakąś rodzinę, kolegów z pracy albo chociaż sąsiadów, których mija na ulicy.

– Teoretycznie tak, ale czasami rodzina nie chce rozpoznać bezimiennego. Bywa, że taka sytuacja jest im wręcz na rękę. Jeśli bliski był dla nich niewygodny albo cierpi na jakąś chorobę, zwłaszcza psychiczną, mogą nie zawiadomić policji o tym, że widzieli go w telewizji. Niektórym żyje się łatwiej, gdy udają, że nie widzą. – Skrzywił się cierpko. – Poza tym niekiedy trafiamy na duchy.

Sowińska odłożyła na blat biurka telefon i spojrzała na komisarza z rezerwą.

– Duchy?

Krzysztof potwierdził skinieniem, a następnie przysiadł na krawędzi jej biurka.

– Słyszałaś o „człowieku, który powstał z torów”?

Weronika zaprzeczyła.

– Facet obudził się gdzieś w okolicy torowiska – ciągnął Lipski. – Nie wie, czy było lato, czy zima. Pamięta tylko ból i to, że gdy dotknął ręką głowy, zobaczył krew. Szedł przed siebie, aż dotarł na Dworzec Centralny w Warszawie. W łazience spojrzał w lustro i nie

rozpoznał człowieka, którego tam zobaczył. Od niemal dwudziestu lat nie odzyskał pamięci. Do dziś nie udało się ustalić, kim jest. Wyobrażasz to sobie? – Z ekscytacji otworzył szerzej oczy. – Jego twarz pojawiała się na okładkach gazet i w artykułach największych serwisów internetowych, odwiedzał programy telewizyjne, zgłosił się do fundacji Itaka... i nic. Nikt go nie rozpoznał. Jakby był duchem. – Uniósł przed siebie dłoń, po czym złączył opuszki i dmuchnął w nie, niczym czarodziej, który sprawia, że to, co trzyma w palcach, znika. – Mam nadzieję, że nasz człowiek z mgły nie okaże się właśnie takim cholernym duchem.

Funkcjonariuszka bawiła się obrączką na palcu, a nieobecny wyraz jej twarzy sugerował, że odpłynęła myślami gdzieś daleko.

– A co z tym facetem z Warszawy, który twierdzi, że go rozpoznaje? – zapytała, przerywając ciszę.

– Nazywa się Daniel Weber, przyjeżdża tutaj. Nie chciał niczego wyjaśnić przez telefon. Według mnie robi nas w balona. Sprawdziłem go, to reporter jednego z największych tygodników w kraju. Wprawdzie ostatnio pisze niezbyt dużo i o samych bzdurach, ale jestem pewien, że już ostrzy sobie zęby na nowy gorący temat.

– Nie lubisz dziennikarzy, co?

– Nie za bardzo. Irytuje mnie ta ich nachalność i wścibstwo. – Rozłożył ręce, jakby chciał powiedzieć: „Nic na to nie poradzę”. – Mam złe przeczucia wobec tego faceta. Wiesz, że dostał wyrok w zawieszeniu? Dwa lata temu z niewyjaśnionych przyczyn zjechał z drogi. Samochód uderzył w drzewo, a później zaczął się palić. W wypadku zginęły jego żona i córka, a on doznał rozległych poparzeń.

Weronika Sowińska przytknęła dłoń do ust i syknęła, przybierając zbolatą minę.

– Boże, to straszne. Nie wyobrażam sobie, jak można żyć z czymś takim.

– Z tego, co czytałem na jednym z portali plotkarskich, po tej całej tragedii Weber wcale nie chciał żyć – tłumaczył podekscytowany, przysiadając na biurku koleżanki. – Podobno nałykał się prochów, zalał je alkoholem i już prawie odleciał. Gdyby nie jego teść, facet jak nic pożegnałby się ze światem. Stary znalazł go nieprzytomnego na dziecięcym łóżku w pokoju małej i zawiózł na płukanie żołądka.

Zajęty opowiadaniem komisarz nie zauważył, że w trakcie jego wyvodu do pokoju wszedł mężczyzna w ciemnozielonym trenczu. Na dźwięk nazwiska dziennikarza zatrzymał się, lekko uśmiechnął, a następnie skierował swoje kroki w stronę funkcjonariuszy.

– Pominęli fakt, że wcześniej kilka razy dał mi po mordzie – wtrącił lekko zachrypniętym głosem, przystając niepostrzeżenie obok Lipskiego.

Mężczyzna miał półdługie falujące włosy poprzetykane siwiejącymi pasmami, badawcze spojrzenie i blizny ciągnące się od prawego policzka aż po szyję. Policjant na widok nieznanego drgnął jak dzieciak przyłapany na gorącym uczynku, zszedł z biurka, a jego twarz oblał delikatny rumieniec. Otworzył usta, lecz nic nie powiedział. Poruszał wargami jak bożonarodzeniowy karp, który choć nie mógł tego wiedzieć, to w jakiś sposób czuł, że czeka go marny los.

– To nie wszystko – kontynuował gość, niezrażony niemym powitaniem. – Kiedy odzyskałem przytomność, teść zagroził, że jeśli kiedykolwiek jeszcze będę próbował uciekać przed odpowiedzialnością za to, co zrobiłem jego córce i wnuczce, osobiście urwie mi jaja, a później wepchnie mi je do gardła. Wspaniały człowiek, nie sądzicie państwo? – Z uśmiechem błakającym się po twarzy omiół wzrokiem skamieniałe oblicza

funkcjonariuszy, po czym gwałtownie wyciągnął dłoń, jakby nagle coś mu się przypomniało. – Impertynent ze mnie, przepraszam. Nie przedstawiłem się. Daniel Weber – wyjaśnił, podając rękę Sowińskiej.

Aspirantka pospiesznie odwzajemniła gest i wymamrotała swoje nazwisko, a następnie zaczęła układać papiery na biurku, jakby była to najbardziej paląca potrzeba na świecie. W rzeczywistości walczyła ze sobą, byle tylko nie przykleić się spojrzeniem do blizn Daniela.

Ludzie z reguły dzielili się na tych, którzy bez skrępowania pożerali go wzrokiem, i tych, którzy udawali, że to, jak wygląda, ich nie interesuje. Zdecydowanie wolał tych pierwszych. Bywali ciekawscy, ale przynajmniej uczciwi, w przeciwieństwie do drugiej grupy, ludzi pazurami uczepionych konwenansów. Może dlatego ucieszył się, gdy po chwili policjantka jednak podniosła wzrok i zdecydowanie dłużej, niż powinna, przytrzymała go na pokrytym bliznami policzku oraz zdeformowanym uchu Webera.

– Miło pana poznać, komisarzu Lipski. – Reporter wymienił ze skonsternowanym funkcjonariuszem mocny uścisk. – Proszę wybaczyć, ale sprawdziłem pana w sieci. Taki zawodowy nawyk, choć z tego, co słyszałem, pan też już o mnie co nieco wie, a zatem jesteśmy kwita.

– Na to wygląda – odparł sucho policjant i przyjrzał się zaróżowionym zgrubieniom na skórze rozmówcy. – Po co to wszystko? – zapytał. – Przecież nie musiał pan jechać przez pół Polski, żeby z nami porozmawiać. Nie łatwiej byłoby opowiedzieć dyżurnemu przez telefon, co pan wie?

Weber wzruszył ramionami.

– Może i łatwiej, ale mniej ciekawie. Poza tym mam taką wadę, że nie cenię tego, co zbyt lekko mi przychodzi. Zna to pan, prawda? – zapytał, lecz nie czekał na odpowiedź, ponieważ od razu dodał: –



Muszę też sprostować jedną rzecz. Nie przyciągnąłem swojego tyłka na Podlasie, by rozmawiać z panem, ale z nim. – Wskazał palcem na wydruk zdjęcia człowieka z lasu przyklejony do ścianki z pleksi oddzielającej biurko Sowińskiej od sąsiedniego stanowiska.

– I myśli pan, że tak zwyczajnie na to pozwolę?

– Tak – odparł z niezachwianą pewnością Weber. – Z tego, co wiem, nie postawiono mu żadnych zarzutów, do sądu nie został skierowany akt oskarżenia, a mężczyzna przebywa w szpitalu dobrowolnie. Jeśli więc zgodzi się na spotkanie ze mną, nie ma pan podstaw, by nam tego zabronić.

Krzysztof Lipski poczerwieniał, usztywnił ciało, a skóra na jego twarzy się napięła.

– Czyli całe to gadanie o tym, że go pan rozpoznał, było kłamstwem – stwierdził z nieukrywanym rozczarowaniem. – Tak naprawdę nie ma pan pojęcia, kim on jest, i tylko szuka pan sensacji.

– To nie tak. – Daniel zrobił dłuższą pauzę, jakby układał w myślach zdania, które lada chwila miały paść z jego ust. – Jestem pewien, że spotkałem go już wcześniej, dwa lata temu. Nie wiem, jak się nazywa, ale myślę, że rozmowa ze mną może pomóc mu odzyskać wspomnienia. Jeżeli mam rację, obaj na tym skorzystamy.

– To za mało. Musi mi pan dać coś więcej. W jakich okolicznościach doszło do tamtego spotkania?

– Na razie chciałbym zachować tę informację dla siebie.

Komisarz parsknął i pokręcił głową, jakby usłyszał przed chwilą wyborny dowcip.

– Żartuje pan, prawda? Skąd mam wiedzieć, że to nie kolejny blef?  
– zapytał.

– Może pan zaryzykować i sprawdzić.

– Robię to od dziesięciu lat, skreślając totolotka. W pracy wolę opierać się na rzeczowych przesłankach i faktach.

Weber nabrał tchu, a gdy nawet szmer rozmów na komendzie zdawał się cichnąć w oczekiwaniu na jego odpowiedź, zaproponował:

– Porozmawiam z redaktorem naczelnym mojej gazety, by zgodził się na publikację reportażu o tym człowieku i dał jego zdjęcie na okładkę. To zwiększy szansę na rozpoznanie.

Krzysztof Lipski roześmiał się cynicznie i machnął ręką, jakby chciał przegonić dziennikarza.

– Od początku wiedziałem, że tylko po to pan przyjechał.

– To nieprawda, nie miałem zamiaru o nim pisać. Zależało mi jedynie na tym, by sprawdzić, czy pamięta nasze spotkanie.

Komisarz patrzył na swojego rozmówcę nieco inaczej niż wcześniej. Wrogość, którą dotychczas okazywał, ustąpiła miejsca zaciekawieniu.

– Co tak naprawdę chce pan na tym zyskać? Jeśli nie chodzi o artykuł, to o co? – chciał wiedzieć.

Weber schylił się, chwycił długopis, który wcześniej spadł z biurka Sowińskiej, i nie patrząc policjantowi w oczy, powiedział:

– Świadomość, że nie jestem najgorszym człowiekiem na świecie.

Powoli odłożył cienkopis na blat funkcjonariuszki, a później pożegnał się i wyszedł.

\*

Doktor Załuski przechodził korytarzem na drugim piętrze szpitala w Sinicach, gdy zobaczył zmierzającego w jego kierunku komisarza Lipskiego. Policjant miał na sobie mokrą od deszczu wiatrówkę, a jego buty zostawiały na podłodze wilgotne ślady.

– Jakież postępy w terapii? Przypomniał sobie cokolwiek? – rzucił, pomijając zbędne uprzejmości.

– Myślę, że coś powoli w nim pęka. – Psychiatra przystanął obok funkcjonariusza i włożył ręce do kieszeni fartucha. – Podczas dzisiejszego spotkania wyświetlałem mu na ścianie zdjęcia i filmy z projektora. Dobrałem fotografie tak, by przypominały wspomnienia, które zazwyczaj ludzie mają zapisane na kliszy pamięci. Była tam kobieta z wózkiem, niemowlę w kąpielu, ojciec jeżdżący z synem na rowerze, tort urodzinowy, wizyta Świętego Mikołaja, wakacje nad morzem i kadry obrazujące pierwszą miłość czy ślub.

Krzysztof Lipski oparł ramię o ścianę i słuchał, w zniecierpliwieniu bawiąc się kluczykami, które miał zawieszzone na palcu.

– Zauważyłem, że jego mózg reaguje obojętnie na widok ojca, ale wszystkie kadry z matką uaktywniają obszar ciała migdałowatego odpowiadający za odczucie strachu i pamięć emocjonalną – ciągnął Załuski. – Jednak najciekawsze wydarzyło się, gdy zobaczył fotografię nastoletniej dziewczyny. Ten obraz wywołał w nim tak silne uczucia, że zaczął się pocić, jego tętno przyspieszyło, po czym zażądał, bym przerwał badanie, i kategorycznie odmówił kontynuacji.

Na czole komisarza zarysowała się pozioma zmarszczka. Odprowadził wzrokiem pielęgniarkę z mężczyzną na wózku, a następnie z przejęciem zapytał:

– Co to oznacza?

– Że coś, co zostało zapomniane, stopniowo zaczyna dochodzić do głosu i przebija się do świadomości – odparł lekarz. – Martwi mnie tylko fakt, że dziewczyna, na której zdjęcie tak zareagował, była podobna do Alicji Jarosz.

Policjant nerwowo ścisnął kluczyki w palcach.

– Mówiłem panu, że on się nami bawi. Nadal uważa pan, że to niemożliwe?

Doktor Załuski nie odpowiedział, przeniósł wzrok na parking widoczny za oknem i milczał wystarczająco długo, by ujawnić tym,

że on również zaczyna mieć wątpliwości. Przygryzł wargę w zastanowieniu, a potem nagle zamrugał, jakby chciał przegonić niewygodne myśli, i spojrzął na zegarek.

– Ten dziennikarz z Warszawy, o którym pan wspominał przez telefon, nie powinien już tu być?

– Spóźnia się – mruknął Lipski.

– Ale tylko osiem minut. – Mężczyźni usłyszeli zasapany głos dobiegający z klatki schodowej.

Po chwili ich oczom ukazał się Daniel Weber z mokrymi włosami i smugą czekolady nad górną wargą.

– Byłbym wcześniej, ale złapał mnie deszcz i postanowiłem go przeczekać w cukierni Oleńka. Mają tam doskonałe ekery i napoleonki. – Uśmiechnął się, a później podał dłoń Załuskiemu. – Weber.

Mężczyźni wymienili uprzejmości, podczas których medyk uważnie przyjrzał się bliznom na twarzy dziennikarza.

– Podobno twierdzi pan, że już wcześniej spotkaliście się z naszym pacjentem bez tożsamości? – zapytał lekarz.

Reporter skinął głową.

– Zgadza się. Dwa lata temu natrafiłem na człowieka, który wyglądał jak on. Jeśli mam rację, powinien mnie pamiętać.

– To było jakieś znaczące spotkanie?

– Zależy dla kogo, ale jego okoliczności były na tyle niezwykłe, że raczej niełatwo byłoby o nim zapomnieć.

Psychiatra się zawahał.

– Wolałbym jednak poznać więcej szczegółów, muszę mieć na uwadze dobro pacjenta.

– Widzieliśmy się w nocy, w lesie nieopodal Hajnówki. Przystanąłem tam z powodu awarii samochodu.

Lipski zmrużył oczy z zainteresowaniem. Wydawało mu się, że rozumie, do czego zmierza reporter, gdy Załuski powiedział:

– W takim razie chodźmy. Pacjent powinien już czekać w socjalnym. Poprosiłem pielęgniarkę, by go tam przyprowadziła.

Ruszyli korytarzem, mijając odwiedzających oraz personel. Stukot ich butów odbijał się echem od nagich ścian szpitala. Komisarz dogonił Daniela i stanowczym głosem oznajmił:

– Będę się przysłuchiwał tej rozmowie.

– Nie spodziewałem się po panu niczego innego – rzucił Weber z uśmiechem.

– To jakaś kpina?

– Nie. Po prostu stwierdzam fakt. Jest pan człowiekiem, który lubi trzymać rękę na pulsie. Miło jest czuć, że ma się wszystko pod kontrolą, prawda?

Krzysztof Lipski zbył to pytanie milczeniem. Wnętrza dłoni zaczynały go swędzieć na skutek narastającej irytacji, ale nie chcąc jej po sobie pokazać, skupił uwagę na firance tańczącej w otwartym oknie na końcu korytarza.

– Jesteśmy – oświadczył psychiatra, gdy dotarli do białych drzwi z niebieskim paskiem.

Kiedy lekarz naciskał klamkę, Daniel poczuł, że jego żołądek kurczy się jak torebka, z której próżniowo wyssano powietrze. Zalała go fala gorąca, a skronie skropił zimny pot.

W pokoju na niebieskiej sofie przykrytej kocem siedział mężczyzna. Głowę chował w zaokrąglone ramiona, wzrokiem zaś muskał podłogę. Nie obrócił twarzy, nie drgnął ani w żaden inny sposób nie zareagował na pojawienie się w pomieszczeniu nowych osób. Wydawał się nieobecny, choć bez trudu można było dostrzec wyraźne w jego ciele napięcie.

– Pani Krystyno, może nas pani zostawić – zwrócił się do pielęgniarki Załuski. – Odprowadzę później pacjenta do trójki.

Komisarz zatrzymał się przy drzwiach. Oparł biodra o szafkę, splótł ramiona na piersi i w ciszy obserwował przebieg zdarzeń. Tymczasem psychiatra przywitał się z pacjentem, na co ten zareagował jedynie obojętnym spojrzeniem.

– Przeprowadziłem kogoś, kto chciałby z panem porozmawiać – zapowiedział, dając Weberowi znak, by usiadł na niskim fotelu obok sofy, sam zaś wycofał się w kierunku wyjścia i stanął obok policjanta.

Obaj mieli teraz przed sobą profil człowieka z mgły i twarz dziennikarza, który przysiadł we wskazanym miejscu, lecz nie odezwał się ani słowem. Powietrze w gabinecie zdawało się gęstnieć, a każde najdrobniejsze nawet szurnięcie czy nieco głośniejszy oddech sprawiały wrażenie wyjątkowo donośnych. Dziennikarz czekał nieporuszenie jeszcze chwilę, a później wstał i zdjął płaszcz, który przewiesił przez oparcie fotela.

– Mam na imię Daniel. – Wyciągnął poparzoną rękę w stronę mężczyzny na sofie.

Krótki rękaw koszulki odsłaniał zaróżowione, bliznowate zgrubienia pokrywające ramię. Pacjent podniósł głowę i beznamiętnie przesunął wzrokiem po zniszczonej skórze reportera.

– Co się panu stało? – zapytał.

– Miałem wypadek. Samochód, który prowadziłem, wypadł z drogi, uderzył w drzewo i zaczął się palić.

Mężczyzna mruknął coś, co brzmiało jak „aha”, a jego oczy posmutniały.

– To się wydarzyło dwa lata temu, niedaleko Hajnówki. Jechaliśmy z rodziną do Białowieży – tłumaczył Weber. – Moja córka bardzo chciała zobaczyć żubry, ale niestety nie zdążyła. – Na moment

spuścił głowę. – Był pan w tamtej okolicy? – zapytał nienaturalnym, ciężkim od emocji głosem.

– Nie wiem.

– Mam wrażenie, że musieliśmy się już kiedyś spotkać. To możliwe? – Dziennikarz nie poddawał się.

Pacjent obserwował swojego rozmówcę w skupieniu, w jakim jubiler studiuje szlify na powierzchni diamentu. Początkowo jego twarz przypominała nagie płótno, na którym nie malowały się żadne emocje, ale kiedy Weber obrócił się bokiem, prezentując mężczyźnie nietknięty płomieniami policzek, coś w rysach mężczyzny uległo zmianie. Jednak dokładnie w tym samym momencie w pokoju rozwrzeszczał się telefon, a komisarz Lipski zaczął nerwowo przeszukiwać kieszenie kurtki. Ostrza spojrzeń zgromadzonych w gabinecie wpiły się w niego.

Wreszcie policjant wyjął komórkę z kieszeni dżinsów, rzucił okiem na wyświetlacz i skrzywiwszy się, wyciszył aparat.

– Przepraszam – bąknął, ale zanim zdążył schować telefon, rozległo się charakterystyczne dla trybu wibracji bzyczenie. – Co jest? – syknął komisarz, dostrzegając, że ponownie dzwoni jego matka, na co pozwalała sobie tylko wtedy, gdy działo się coś poważnego. – Zaraz wracam – rzucił.

Kiedy drzwi zatrzasnęły się za jego plecami, doktor Załuski dał Weberowi znak, by kontynuował rozmowę. Dziennikarz odchrząknął i zamierzał wrócić do zadawania pytań, gdy klamka szczęknęła, a w wejściu ukazała się potargana głowa komisarza.

– Mam pilną sprawę do załatwienia. Moja matka wywołała powódź w bloku. Dokończcie beze mnie – powiedział i nie czekając na odpowiedź, zniknął.

Daniel ponownie skupił uwagę na rozmówcy.

– Przypomniało mi się, gdzie wcześniej widziałem pana twarz. – Wyciągnął palec i wskazał na pacjenta. – Był pan tam.

– Nie wiem, o czym pan mówi.

– Stał pan za drzewami w lesie, tam gdzie doszło do wypadku. Pamięta pan?

– Nie – odparł mężczyzna, a jego palce wczepiły się mocno w koc przykrywający kanapę. – Jestem zmęczony, chciałbym już wrócić na salę – odezwał się do lekarza, który skinął głową, a następnie podszedł do pacjenta i pomógł mu wstać.

Weber jednak nie planował odpuszczać. Zagroził mężczyznom drogę.

– Siła wybuchu odrzuciła mnie na asfalt – mówił, coraz mniej panując nad drżeniem głosu. – Wyciągnąłem do pana rękę, ale po chwili straciłem przytomność i wszystko zniknęło. Musi to pan pamiętać! – W jego tonie pobrzmiwała desperacja.

Pacjent skulił się w sobie i tylko niemo pokręcił głową.

– Proszę przestać – zatrzymał go lekarz, ale Daniel ani myślał go posłuchać.

Wykonał jeszcze jeden krok w stronę mężczyzny, a następnie nachylił się nad nim i powiedział z przekonaniem:

– Jestem pewien, że to pan.

– To nieprawda! – Pacjent podniósł głos i cofnął się z przestraszeniem, po czym chwycił się za serce i zaczął coraz szybciej oddychać.

Jego nogi ugięły się, jakby były z plasteliny. Ostatkiem sił złapał ramię lekarza, a później osunął się na podłogę. Doktor Załuski zbadał tętno na nadgarstku mężczyzny i poczerwieniał.

– Cholera, ma tachykardię! – stwierdził. – Potrzebujemy ekg. Niech pan sprowadzi pomoc. Szybko! – zaordynował.



Weber wybiegł na korytarz i zatrzymał pierwszą pielęgniarkę, na którą wpadł.

– Potrzebujemy pomocy w socjalnym – wysapał z przejęciem. – Coś się stało z pacjentem... – Nie skończył tłumaczyć, bo kobieta odepchnęła go i pognęła do gabinetu.

Dzwoniło mu w uszach i żądliły go wyrzuty sumienia. Stawiając ciężkie kroki, powłókł się za pracownicą szpitala. Nie mógł uwierzyć, że tak bardzo się pomylił. Nie był nikim więcej, jak tylko desperatem, który szukał odkupienia, nie patrząc na koszty. Czy wyobrażał sobie, że ten człowiek uwolni go od poczucia winy i naprawi to, co Weber sam zniszczył?

Poczuł się żaloszny i znów zapragnął umrzeć. Patrzył na opanowane ruchy lekarza oraz pielęgniarki, która przyklejała elektrody do odsłoniętej klatki piersiowej mężczyzny. Rozedrgane ciało pacjenta powoli zaczęło się uspokajać, z czoła na brew spłynęła mu strużka potu, a dłonie kurczowo ściskające fartuch lekarza puściły.

I wtedy mężczyzna – przez ułamek sekundy – spojrzał na Daniela tak, jakby go rozpoznał. Z pełną świadomością. Dziennikarz w osłupieniu otworzył usta, niepewny, czy to wydarzyło się naprawdę, czy tylko to sobie wyobraził. Z szoku wyrwał go doktor Załuski.

– Co pan tu jeszcze robi? Proszę go stąd wyprowadzić! – zarządził.

– Ale... – próbował jeszcze Weber.

– Nie chcę pana więcej widzieć w tym szpitalu – warknął lekarz.



## *Październik 2007 roku*

*Chłopiec właściwie nie jest już chłopcem. Stał się chłopakiem. Jego głos od jakiegoś czasu żyje własnym życiem. Kiedy chłopak otwiera usta, na przemian wyskakują z nich to niskie, to wysokie dźwięki. Czasem zamiast mówić, chrypi, jak ktoś poważnie przeziębiony. Niekiedy nie poznaje swojego ciała, które, choć słabe, bywa krnąbrne i zaskakuje go w sposób, o którym wstydzę się powiedzieć nawet matce.*

*Nie pojechali do Szwajcarii. Nie zakwalifikował się do specjalistycznej terapii, która miała pomóc mu odzyskać to, co już od dawna uważał za bezpowrotnie utracone. Obwinił się o to, jakby mógł chorować lepiej, bardziej atrakcyjnie, by lekarze z odległego kraju chcieli obdarzyć go uwagą. Pieniądze z akcji charytatywnej początkowo zostały na koncie fundacji, która organizowała zbiórkę. Jego matka napisała oświadczenie. Znalazły się w nim wszystkie te podniosłe słowa, które najwyraźniej powinny się tam znaleźć. Z wielkim żalem zawiadamiamy. Nasze nadzieje zgasły. Prosimy o modlitwy. Matka, płacząc, poprosiła panie z fundacji, by przekazały zebrane środki na zbliżony cel albo oddały je ludziom, do których należały. Wydarzyło się jednak coś dziwnego. Kobiety z Promyka Nadziei, przejęte losem chłopca, spotkały się z każdym, kto zostawił datek na jego rzecz, i pokazując chwytający za serce list samotnej matki, uzyskały zgodę, by pieniądze zostały wykorzystane na dalsze leczenie i rehabilitację chłopca.*

*Teraz jego dni wypełnia rutyna. Każdy zaczyna się od brejowatej papki bez smaku, porcji tabletek i masażu, który ma pobudzać mięśnie do pracy. Chłopak nie przepada za rehabilitantem, bo ten potężny, mrukliwy mężczyzna o surowym wyrazie twarzy sprawia mu ból. Mama jednak uparcie powtarza, że zapłacili za niego dobrzy ludzie i niewdzięcznością byłoby teraz zrezygnować.*

*Około południa wychodzą na spacer, ale tylko wtedy, gdy nie muszą odwiedzać lekarzy oraz gdy jest ładna pogoda, co znaczy, że nie może padać, mocno wiać ani być zimno. Mówiąc wprost, nie spacerują zbyt często. Po obiedzie, który poza rozmiarem porcji właściwie niczym nie różni się od śniadania, chłopak czyta. To jego ulubiona część dnia. Czeka na nią zwykle już od chwili, gdy otworzy oczy. Matka przynosi mu z biblioteki albumy o świecie, historie o magach i smokach oraz książki o młodym czarodzieju z Hogwartu albo powieści fantasy z cyklu Zwiadowcy.*

*Czytać nauczył go pan Winnicki, zanim tak niesprawiedliwie potraktował jego matkę. I choć chłopak próbował w ramach odwetu na nauczycielu zapomnieć o miłości do książek, nie potrafił. Skoro choroby odebrały mu życie, on postanowił zagrać im na nosie. Czytał, bo wtedy czuł, jakby jednak żył, jakby oszukał ból, pisk w uszach, wymioty i omdlenia. Był Willem, Harrym i niezwyciężonym pogromcą kardynała Richelieu. To siebie widział oczyma wyobraźni na koniu, z mieczem w dłoni albo zjeżdżającego z górki na sankach.*

*W czytaniu przeszkadzała mu tylko gęsta mgła, jak wata wypełniająca głowę. To przez nią czuł się dezorientowany, senny i otępiały. Zazwyczaj nadpływała wkrótce po przyjęciu leków. Wraz z nią nikły siły i jasność myślenia, a z chłopaka, który jeszcze chwilę wcześniej miał rumieńce na policzkach, pozostawała tylko pogrążona w letargu skorupa. Obserwował ten proces długo, wkrótce zaczął błagać matkę, by nie podawała mu tabletek, ale ona*

twierdziła, że chroni syna przed napadami. „To dla twojego dobra” – powtarzała, a on posłusznie otwierał usta i popijał pastylkę wodą.

Jednak dzisiaj zdecydował się postąpić inaczej. Myślał o tym przez ostatnie dni. Analizował ryzyko, a strach rósł w nim jak potwór o ostrych zębach. Dlatego teraz, gdy matka wchodzi do pokoju z tabletką w plastikowym pudełku i szklanką wody, jego chude łydki drżą ukryte pod kołdrą. Nie wie, czy bestia nie czyha gdzieś za rogiem. Jeszcze może się wycofać. Zmienić zdanie i zapaść w przykrą nicość – jak zawsze. Może, a jednak tego nie robi.

– Proszę, kochanie. – Słodki głos muska płatki jego uszu, a chłopak w myślach dopowiada: „To dla twojego dobra”.

Wkłada białą pastylkę do ust, lecz tym razem jej nie połyka. Ukrywa lek pomiędzy zębami a policzkiem, dokładnie tak, jak ćwiczył z ziarnem fasoli, które znalazł w kuchni. Gdy chwytą w dłonie naczynie z wodą, myśli, że matka już wie, musi przecież słyszeć to donośne dudnienie serca. Z nerwów pije szybko, zachłannie, jakby ktoś mógł mu tę szklankę wyrwać. Wczepia w nią chude palce i trzyma się jak ostatniej nadziei. A potem wydaje z siebie westchnienie, które kryje w sobie ekscytację oraz strach jednocześnie. Matka wyciera dłonią mokry policzek, całuje syna w czubek głowy jak małe dziecko i wychodzi.

Chłopak czeka. Nasłuchuje. Docierają do niego jej kroki na schodach. Dźwięki radia w kuchni na dole. Brzęk naczyń układanych w szafkach i szczeranie psa za oknem. W końcu zapala latarkę i wyjmując tabletkę z ust. Powoli, cały czas pilnując drzwi. Kładzie ją sobie na dłoni i ogląda, jakby nigdy wcześniej czegoś takiego nie widział. W głowie mu szumi, myśli się płaczą. Sięga po Filemona, maskotkę, którą dostał od babci, gdy ta jeszcze żyła. Filemon to oczywiście kot, umiłowanie babci do miauczących zwierząt nie pozwoliłoby jej kupić wnuczce niczego innego. Chłopak podnosi

ogon zabawki – futro w tym miejscu jest nieco rozdarte. Rozgląda się jeszcze, jakby ktoś mógł go przytapać w ostatniej chwili, tuż przed metą. Z dołu dobiega go szum wody nalewanej do wanny. Dziwi się, bo gdy on prosi matkę o kąpiel, ta mówi mu, że nie stać ich na taki luksus.

Wreszcie nabiera tchu jak ktoś, kto zamierza skoczyć na głęboką wodę, i wilgotnymi od potu palcami wciska pastylkę do wnętrza maskotki. Wpycha ją głęboko pomiędzy kłębki waty i czeka. Jest pewien, że zaraz wydarzy się coś złego. Ale to coś nie nadchodzi, ani pięć, ani piętnaście minut później. Chłopak rozluźnia się. Jego dłoń sięga po Kod Leonarda da Vinci, podkradziony matce. Naciąga kołdrę na głowę i zaczyna czytać.

Czyta tak długo, aż litery rozmazują mu się przed oczyma. W końcu zasypia ze zmęczenia. Nie może stwierdzić tego na pewno, ale podejrzewa, że nim odpłynie, na jego ustach wykwita uśmiech. Nie ma bólu, mdłości ani zagubienia. W brzuchu czuje przyjemne łaskotanie i wie już, że od tej pory kot Filemon stanie się jego największym przyjacielem.



Teraz

Wieczór

Niedziela, 28 kwietnia 2019 roku, Sinice  
Dwa dni po odkryciu człowieka bez pamięci,  
dwa miesiące po zaginięciu Alicji

Jagoda Borowiec, pochylona nad zeszytem w kratkę, ćwiczyła rozwiązywanie równań kondensacji cząsteczek aminokwasów przed nadchodzącą klasówką z chemii. Jej palce mocno wciskały ołówek w papier, zostawiając w nim wgłębienia, a brwi zbiegały się w wyrazie intensywnego namysłu.

Podniosła kubek z kawą, ale gdy zbliżyła go do ust, okazało się, że jest już pusty. Zegar nad ladą naleśnikarni, do której uciekła przed wrzaskliwym młodszym rodzeństwem, wskazywał kwadrans do ósmej. Jagoda powiodła wzrokiem po pustych stolikach, smętnych paprociach zwisających ze ścian oraz kelnerce z nudów oglądającej swoje paznokcie i uznała, że czas już wracać do domu.

Za szybą słońce chyliło się ku zachodowi. Zamknęła zeszyt, zebrała włosy, a następnie spięła je ołówkiem. Dokładnie w tej chwili dzwoneczek nad drzwiami wejściowymi do lokalu wydał z siebie radosne dzyń, dzyń, a do środka wszedł wysoki mężczyzna z fryzurą, którą równie dobrze mógł układać najlepszy stylistą, co wiatr. Z miejsca w rogu sali widziała tylko jego lewy profil, ale to



wystarczyło, by dostrzegła wyraźnie zarysowaną szczękę oraz dołek w brodzie.

Nieznajomy, jakby wyczuwając jej zainteresowanie, odwrócił głowę i uśmiechnął się ze skinieniem głowy. Nastolatkę spłoszył ten niespodziewany gest, a widok blizn na prawym policzku mężczyzny spowodował, że jeszcze bardziej się speszyła, kiwnęła mu niedbale, po czym szybko przeniosła spojrzenie na książkę od chemii, nie chcąc, by posądził ją o wścibstwo.

Kiedy wkładała podręcznik do Inianej torby, dosięgły ją odgłosy składanego zamówienia. Mężczyzna poprosił o herbatę z rumem, z jak najmniejszą ilością herbaty. Gdy to powiedział, wnętrze restauracji wypełnił nerwowy śmiech kelnerki, tak donośny, że zdawały się drzeć od niego liście paproci. Nieznajomy zapłacił, a później nieoczekiwanie podszedł do stolika Jagody. Dziewczyna przeklęła w myślach, zastanawiając się, czego może od niej chcieć ten człowiek.

– Czy to przypadkiem nie ty piszesz do „Głosu Sinic”? – zapytał, przyglądając się jej badawczo. – Mam wrażenie, że widziałem twoje zdjęcie pod artykułem o człowieku z mgły.

Nastolatka przytaknęła.

– Choć nie wiem, jakim cudem mnie pan rozpoznał – odparła, opuszczając podwinięte rękawy swetra. – Zdjęcie jest nie większe od jednogroszówki. Sama ledwie siebie na nim rozpoznaję.

– Wolisz prawdę czy jakieś zgrabne kłamstwo?

– To pierwsze.

– Wygooglowałem twoje nazwisko. Takie niegroźne zboczenie zawodowe. Wszystkich zawsze sprawdzam. Ale to raczej nie jest ci obce.

Po jej twarzy przemknął skrywany uśmiech.

– Jest pan dziennikarzem? – zapytała.

– Daniel Weber. – Podał jej dłoń. – Piszę do...

– ...do „Newsweeka”! – weszła mu w słowo z entuzjazmem, jakby właśnie odgadła hasło w teleturnieju. – Kojarzę nazwisko. Polonistka zachęcała nas do czytania pana reportaży. Mówiła, że powinniśmy uczyć się z nich, jak pisać dobre teksty i chwycić czytelnika za gardło.

Daniel z zaskoczenia otworzył szeroko oczy, a potem zamrugał i bąkając coś niewyraźnie, potarł czoło. Wydawało się, że ta informacja wprawiła go w zakłopotanie.

– Chyba wolałbym o tym nie wiedzieć.

– Niech się pan tak nie kryguje. Z całej klasy i tak tylko ze trzy osoby czytały pana artykuły. Przegrał pan z memami i Wattpadem.

Wzruszył ramionami.

– Cóż, najwyraźniej nie jestem wystarczająco nowoczesny. – Uśmiechnął się. – I mów mi, proszę, po imieniu, przez tego „pana” czuję się potwornie staro.

Zaskoczona propozycją mężczyzny Jagoda na moment oniemiała, a gdy otworzyła usta, by wreszcie odpowiedzieć, podeszła do nich kelnerka. Szczebiocząc, zostawiła na obrusie parujący napój, po czym zniknęła na zapleczu.

– Mógłbym? – Dziennikarz wskazał na stół, sugerując, że chciałby się przysiąść.

– Pewnie. I tak zbierałam się już do wyjścia. – Zarzuciła torbę na ramię, po czym zaczęła wysuwać się zza stołu.

– A nie dotrzymasz mi towarzystwa? Chętnie porozmawiałbym o twoim artykule. Uważam, że był naprawdę dobry. – Zdjął płaszcz i przełożył go przez oparcie krzesła.

Dziewczyna czuła się onieśmielona jego bezpośredniością. Tym, jak patrzył, jakby dotykał jej skóry. Na policzki nastolatki wypełzły czerwone plamy. Musnęła spojrzeniem zegar, szukając argumentów,

by odrzucić jego propozycję, ale pokusa zawarcia znajomości z reporterem, który pracował w renomowanej redakcji i mógł szepnąć o niej słowo swoim przełożonym, kiedy będzie szukała stażu, nakazała jej zostać.

Usiadła. Kelnerka spoglądała z zaciekawieniem w ich kierunku, ale Jagoda postanowiła to zignorować. Położywszy ręce na stole, chwyciła w dłonie ceramiczną cukiernicę i zaczęła obracać ją w palcach, skupiając na przedmiocie wzrok.

– Tak naprawdę dopiero uczę się dziennikarstwa – wyznała nieśmiało. – Latem przyszedłam na praktyki do gazety, a później ciotka, która jest redaktorem naczelną tygodnika, uznała, że świetnie sobie radzę, i zaproponowała, żebym objęła rubrykę aktualności. Dotychczas wszystkie ważniejsze teksty pisała ona, mnie pozostawały relacje z imprez, ale kiedy zaginęła Alicja Jarosz, z którą chodziłyśmy do tej samej szkoły, dostałam swoją szansę. – Uśmiechnęła się z satysfakcją. – No a teraz opublikowałam tekst o spotkaniu z mężczyzną z lasu. Co pana... – Urwała, pąsowiejąc jeszcze bardziej. – Co cię tak zaciekawiło w tym artykule?

Weber odstawił herbatę, której towarzyszyła intensywna słodko-korzenna woń rumu.

– Wątek mgły – odparł. – Napisałaś tam, że dotychczas mgła zabierała ludzi i nikt nie sądził, że kiedykolwiek kogoś odda, aż do dnia, w którym z lasu wyłonił się ten mężczyzna bez pamięci. Co miałaś na myśli, wspominając o zabieraniu?

– To tylko takie nasze lokalne legendy. – Machnęła ręką.

– Chętnie je poznam.

Borowiec odsunęła z czoła pasmo włosów i zaczęła tarmosić brzeg okrągłej, plecionej podkładki leżącej na stole.

– Okoliczni mieszkańcy wierzą, że mgła mąci ludziom w głowach – wyjaśniła. – Szepcze do uszu i namawia do strasznych rzeczy. Ci,

którzy się w niej gubią, nie wracają już nigdy, a nawet jeśli im się to jakimś cudem uda, nie są już tacy sami, jacy byli wcześniej.

Daniel uniósł sceptycznie brwi.

– Serio?

Jagoda skrzywiła się z zawstydzeniem.

– Wiem, brzmi jak średniowieczne zabobony.

– Albo bajki dla niegrzecznych dzieci.

– Zdziwiłbyś się, wiedząc, ile osób podziela te poglądy. Niektórzy twierdzą nawet, że słyszeli pomruk mgły sunącej w stronę zabudowań i widzieli w niej zarys postaci. Podobno skrada się jak wąż. Ludzie tu wierzą, że w mlecznych oparach czyha coś bardzo niedobrego, co potrafi zatruć duszę człowieka.

– Jezu. – Położył dłoń na piersi i gwałtownie wciągnął powietrze, udając, że ta historia robi na nim wrażenie. – A tak naprawdę to kto wymyślił te bzdury? Jakiś specjalista od promocji regionu, który obejrzał za dużo horrorów?

Twarz dziewczyny rozświetlił uśmiech.

– Właściwie sama już nie wiem, kiedy zaczęło się to szaleństwo. Chyba na dobre wybuchło dopiero po tamtym morderstwie, choć może już po pierwszym zaginięciu.

– Poczekaj. – Uniósł dłoń, by ją zatrzymać. – O jakim morderstwie mówisz?

– To długa historia.

– Mam czas. – Weber zauważył, że nastolatka zerka w stronę baru. – Zamówię ci herbatę. – Wstał, nim zdążyła zaprotestować, zamienił kilka zdań z kelnerką i po chwili wrócił do stolika. – A zatem? – zachęcił ją do opowiadania.

Borowiec usiadła wygodniej, oparła plecy i spojrzała na mężczyznę wątpiaco, jakby nie dowierzała, że naprawdę interesują go lokalne sprawy. Daniel chrząknął z wyczekiwaniem.

– No dobrze, skoro ci zależy – skwitowała. – Do morderstwa w lesie doszło siedem lat temu. Dwóch przyjaciół wybrało się na grzyby, ale wrócił tylko jeden z nich. Kręcił, że nie wie, gdzie zgubił swojego towarzysza, ale jego tłumaczenie było mętne i szybko wyszło na jaw, że kłamie – opowiadała, gestykulując żywiłowo. – Tego drugiego znaleźli już następnego dnia. Miał pękniętą czaszkę i stracił dużo krwi. Jego przyjaciel, ten sam, z którym wychowywali się na jednym podwórku i kolegowali od najmłodszych lat, zakopał go w płytkim grobie i przykrył mchem.

Dziennikarz zamrugał osłupiały, po czym nachylił się w stronę dziewczyny.

– O co poszło?

– Sprawca twierdził, że w lesie coś w niego wstąpiło. Przyznał się do popchnięcia przyjaciela, ale nie potrafił wyjaśnić, dlaczego to zrobił. Mówił, że to z powodu mgły, która odebrała mu rozum. – Pokręciła głową z niedowierzaniem. – Śledczy ustalili, że tym, co go zaślepiło, był raczej alkohol. Między mężczyznami musiało dojść do przepychanki. Jeden z nich uderzył głową o kamień i leżał nieprzytomny, a drugi spanikował. Zakopał kumpla, zamiast wezwać karetkę. I to był błąd, bo sekcja wykazała, że jego kolegi nie zabił krwotok, tylko brak tlenu.

Weber syknął.

Rozmowa urwała się nagle, gdy do stolika podeszła kelnerka z herbatą i sokiem malinowym w małym porcelanowym dzbanuszk.

– Proszę. – Postawiła napar na podkładce, a następnie niedyskretnie otaksowała rozmawiających.

Jagoda poczuła na sobie jej wścibski wzrok, ale postanowiła go zignorować. Wlała sok do wrzątka i mieszając napój, zadzwoniła łyżeczką o kubek.

– Mógł mieć jakiś powód? Dlaczego zaatakował przyjaciela? – Daniel wrócił do rozmowy.

– Wiadomo było tylko, że ostatnio nie wiodło mu się w pracy. Podobno zaczął więcej pić i stał się nerwowy, a do tego pożyczył pieniądze od szwagra. To właśnie one miały stać się źródłem konfliktu.

– Chwila. – Dziennikarz zmarszczył brwi. – Chyba przestaję nadążać za tą telenowelą. Szwagra?

– Aha. – Rozciągnęła usta w uśmiechu i upiła łyk naparu. – Zabity ożenił się z siostrą sprawcy kilka lat przed zbrodnią. Cała trójka dorastała w tym samym bloku. Najpierw kolegowaty się ich babki, później matki, a wreszcie i oni. Spędzali razem wakacje, świętowali wspólnie urodziny. Tworzyli naprawdę zgraną paczkę. Facet stracił więc nie tylko przyjaciela, ale też rodzinę, bo po tym, co się stało, wszyscy się od niego odwrócili. Zwłaszcza siostra.

Weber z namysłem pogładził bliznę na prawym policzku. Usiłował poukładać te informacje w głowie, gdy przypomniał sobie wcześniejsze słowa licealistki.

– Wspomniałaś o pierwszym zaginięciu. To ile ich właściwie było?

– Trzy. Pierwsza zniknęła siedemnastoletnia Matylda Sarnacka. W dwa tysiące jedenastym, rok przed morderstwem w lesie. – Sięgnęła po serwetkę i podłożyła ją pod dzbanuszek, który lepił się do obrusu. – Byłam wtedy dzieckiem, nie śledziłam uważnie tej sprawy, ale w naszym archiwum prasowym znalazłam artykuły na jej temat. Podobno dziewczyna nie dogadywała się z ojcem i starszym bratem. Policja uznała, że to klasyczna ucieczka z domu. Ktoś mówił, że kupiła bilety na autobus do Anglii, krążyły też słuchy, że miała tajemniczego ukochanego i to z nim wyjechała. Podobno znalazła pracę na zmywaku w jakiejś brytyjskiej restauracji.

Pochłonięty opowieścią Daniel obracał w palcach papierową saszetkę z cukrem.

– Ojciec jej nie szukał?

– Z tego, co słyszałam, to nie za bardzo. Oczywiście zgłosił zaginięcie, ale nie angażował się przesadnie w działania policji. Ludzie mówili, że dziewczyna nie była jego biologiczną córką. Podobno jej matka zdradziła męża, a Matylda nie przypominała wyglądem żadnego z rodziców. Niektórzy szeptali, że na miejscu Sarnackiego też by się nie przejęli zniknięciem nastolatki, z którą na dobrą sprawę nic go nie łączyło.

Dziennikarz aż odchylił się na krześle.

– A matka dziewczyny?

– Zmarła przy porodzie.

Weber pokiwał głową, jakby to wszystko powoli się w nim osadzało, a nastolatka napiła się herbaty. Kiedy odstawiła kubek, otarła dłonią usta.

– Później, w dwa tysiące piętnastym, zaginęła para nastolatków, Maks i Dominika, którą wszyscy nazywali Niki. Ona miała czternaście, on prawie osiemnaście lat – kontynuowała. – Rodzice zabronili się im spotykać, ale i tak widywali się potajemnie. Plotkowano, że chłopak miał na nią zły wpływ, choć według mnie to Dominika była czarnym charakterem w tym związku. Kręciły ją satanistyczne obrzędy, a na okładkach zeszytów rysowała pentagramy. Słyszałam nawet, jak przechwalała się kumpeli, że zamierzają z Maksem uprawiać seks na cmentarzu. – Skrzywiła się z niesmakiem. – Przez to, że powtarzała rok, chodziłyśmy do jednej klasy. Miała w sobie coś dziwnego... – Wzdrygnęła się, jakby przeszedł ją dreszcz.

Na twarzy Daniela malowało się coraz większe zainteresowanie. Opowieść licealistki wciągnęła go na tyle, że zapomniał o herbacie

i nie usłyszał wibrującego telefonu. Dopiero po chwili dobiegło go natarczywe bzyczenie dochodzące z kieszeni płaszcza.

– Przepraszam – rzucił, a gdy wreszcie wygrzebał komórkę, rozmówca zdążył się już rozłączyć. – Jaką hipotezę postawili śledczy w ich przypadku? – zapytał, odkładając smartfona na sąsiednie krzesło.

– Uznali, że albo wstąpili do sekty, albo uciekli za granicę. Rodzice Dominiki wychodzili z siebie, by odnaleźć córkę, ale po roku poszukiwań i sprawdzania różnych grup wyznaniowych matka Niki poważnie zachorowała od tych stresów i musieli skupić się na ratowaniu jej zdrowia. W międzyczasie wyszło na jaw, że Maks zakosił ojcu sporo gotówki i sprzęt elektroniczny wart niezłą sumkę, który przed zniknięciem upłynął jakiemuś paserowi, a to przypieczętowało teorię o ich dezercji. Traf chciał, że na ucieczkę wybrali sobie mglisty wieczór, a do tego ktoś widział, jak kręcili się w okolicy bagien.

– Ludzie pewnie oszaleli. Kolejne niepokojące wydarzenie powiązane z mgłą.

– Każdą z tych historii da się racjonalnie wytłumaczyć, ale część mieszkańców rzeczywiście nabrała przekonania, że to wina tego, co kryje się we mgle. Dlatego kiedy nad łąkami unosi się mleko, lokalni omijają te tereny szerokim łukiem. Nikt nie chce kusić losu.

– Poza tobą – stwierdził. – Nie bałaś się iść do lasu wieczorem, gdy panowała mgła?

– Nie. Zawsze uważałam, że to ludzie wymyślili te idiotyzmy. Chcieli poczuć się wyjątkowo w miejscu, w którym nic niezwykłego się nie dzieje. Wyobraź sobie tylko, jak taka sensacja przyspiesza tętno. Z dnia na dzień przestaliśmy być mieszkańcami zwyczajnych Sinic, o których nikt w Polsce nie słyszał. Nagle nasze miasto nabrało charakteru i tajemniczości.



– Z tego, co czytałem, Alicja Jarosz również zaginęła we mgle. Jagoda się uśmiechnęła.

– To nie takie trudne. Ze względu na liczne mokradła i podmokłe tereny mgły występują tu dość często. Choć masz rację, po jej zniknięciu wszyscy mówili tylko o tym, że to się znowu dzieje.

– A jednak ty wiedziałaś swoje...

– Niby tak, choć muszę przyznać, że kiedy tamten facet wyszedł z lasu z rękoma we krwi, przez chwilę sama nie wiedziałam, co o tym myśleć.

– Człowiek z mgły – podsunął, a ona potwierdziła.

– Od tamtego spotkania co noc śni mi się, że idę przez ciemny las – mówiła, muskając nieobecny spojrzeniem szybę, która odbijała wnętrze lokalu. – W pewnym momencie zauważam drżącą ziemię między drzewami. Nachylam się, żeby sprawdzić, co się dzieje. Odgarniam suche liście, a wtedy ściółkę przebijają czyjeś dłonie. Łapią mnie za nadgarstki, wbijają paznokcie w skórę i wciągają mnie pod ziemię.

Przełknęła głośno ostatni łyk herbaty, wpatrując się we wnętrze naczynia, jakby na jego dnie znalazła coś wyjątkowo interesującego. Chwilę później telefon leżący na stole zawibrował. Dziewczyna zerknęła na wyświetlacz, potem na zegar ścienny i pobladła.

– Cholera, to moja mama – rzuciła, gwałtownie podnosząc się z miejsca. Jej kolano uderzyło o blat stołu, a naczynia zabrzęczały. – Przepraszam, powinnam już być w domu. Obiecałam poczytać rodzeństwu na dobranoc.

Chwyciła w dłoń płócienną torbę i zaczęła pospiesznie zakładać cienką wiosenną kurtkę.

– Czy znajdę w sieci archiwalne artykuły o tych wszystkich wydarzeniach? – Daniel zatrzymał ją jeszcze na moment.

Borowiec zaprzeczyła.

– Tylko o części z nich. Nasza strona internetowa działa prężnie dopiero od kilku lat. Wcześniej redakcja skupiała się głównie na wydawaniu gazety w tradycyjnej formie i nie uzupełniano treści online na bieżąco. Mamy natomiast świetnie wyposażone archiwum papierowe. Mogłabym ci pomóc się w tym rozeznać. Kończę jutro lekcje o piętnastej.

– Nie chciałbym robić ci kłopotu. Właściwie sam mogę się zgłosić do redaktor naczelnej.

Nastolatka zacisnęła palce na uchwytach torby, czując, że szansa zaprzyjaźnienia się z dziennikarzem ze stolicy ucieka jej sprzed nosa.

– W takim razie powodzenia – rzuciła ironicznie. – Ciotka chroni te archiwalne egzemplarze jak Pentagon. Wprawdzie powinny być ogólnie dostępne, ale naczelna nie znosi, gdy obcy ludzie płaczą się jej po redakcji, i potwornie wtedy marudzi. Gdybyśmy poszli razem, mogłabym z nią porozmawiać, spróbować ją jakoś urobić. Może nawet udałoby się wejść do archiwum pod jej nieobecność, mam zapasowe klucze. – Uśmiechnęła się przebiegle, wprawiając tym Daniela w rozbawienie.

– I dar przekonywania – skwitował. – W porządku, namówiłaś mnie. O piętnastej będę pod...

– Ogólniakiem przy Tysiąclecia. Duży, biały budynek.

– Jesteśmy umówieni. Na wszelki wypadek weź to. – Wyjął z kieszeni wizytówkę i wręczył ją nastolatce.

Dziewczyna obejrzała prostokątny kartonik, a później pożegnała się i wyszła.

Weber z satysfakcją zabębnił palcami o stół. Ze wszystkich rzeczy, które spotkały go tego dnia w Sinicach, ta jedna dodała mu otuchy.

Być może miałby na ten temat zupełnie inne zdanie, gdyby wiedział, że Jagoda Borowiec go okłamała, a jej intencje wcale nie

należały do szlachetnych.

\*

Spoglądając na piętrowy biały dom odcinający się od ściany lasu i pogrążony w mlecznej mgłę, Daniel Weber odniósł wrażenie, jakby zawisł gdzieś pomiędzy jawą a snem. Kontury budynku nikły w bieli. Na frontowej ścianie wisiał krzykliwie kolorowy szyld wydrukowany na kawałku pleksi, a napis na nim głosił, że w środku znajdują się Pokoje u Wandy.

Daniel widział ten budynek za dnia, gdy wpadł tu się zameldować i zostawić torbę, ale musiał przyznać, że w nocy nabierał on upiornego charakteru. Gdzieś w tle zahuczała sowa, na pobliskiej posesji ujadał pies. Nos dziennikarza drażnił żywiczny zapach lasu, a ubranie na nim nasiąkało wilgocią od mokrej zawiesiny, która unosiła się w powietrzu.

Weber zauważył, że w jednym z pomieszczeń na parterze ktoś tańczy. Zaciekawiony wspiął się po schodach, ukrył za ścianą i ostrożnie wychylił, by móc obserwować kobietę za szybą, oświetlaną jedynie blaskiem ledowych lampek. Miała jakieś pięćdziesiąt lat, może nieco więcej. Jej blond włosy do ramion i równo przycięta grzywka podskakiwały przy każdym podrygu. Z rękoma uniesionymi tak, jakby trzymał ją w ramionach niewidzialny partner, wirowała po kuchni do piosenki, która wymykała się na zewnątrz przez uchylony lufcik. „Tango milonga, tango mych marzeń i snów” – śpiewała rozwibrowanym głosem Irena Santor, a na twarzy kobiety porwanej przez takt malował się smutny uśmiech.

Daniel, oczarowany tym widokiem, nie spostrzegł nawet, kiedy postawił stopę na nóżce metalowego kwietnika. Stojak zachwiał się, a po chwili razem z glinianą donicą upadł na ganek. Rumor sprawił,

że kobieta w budynku natychmiast przerwała swój taniec, zawstydzona nerwowo rozejrzała się wokół, wyłączyła radio i wybiegła na zewnątrz.

– Co tu się dzieje? – zapytała, patrząc to na rozsypaną wśród potłuczonych skorup ziemię, to na mężczyznę z twarzą naznaczoną bliznami. – Kim pan jest i co pan wyprawia pod moim domem? – zaatakowała go.

Weber uniósł ręce i zrobił krok w tył, jakby przestraszył się, że kobieta zaraz naskoczy na niego z jednym z ostrych odłamków, które zaczęła zbierać.

– Wynajmuję tu pokój – oznajmił.

– Pan jest tym gościem z Warszawy?

– Tak, byłem tutaj już wcześniej, żeby zostawić torbę. Rozmawiałem z taką rudowłosą dziewczyną w warkoczu.

– To Lilka, córka znajomych. Wpada tu czasem, żeby pomóc. Jestem Wanda. – Otrzepała ręce z ziemi i podała mu dłoń.

Jej uścisk był mocny i zdecydowany. Taksowała przyjezdnego głodnym, pełnym ciekawości wzrokiem, a pytania zdawały się cisnąć na jej usta. Daniel policzył w myślach do trzech, zakładając, że tyle czasu minie, zanim padnie pierwsze z nich.

– Co pana sprowadza do naszego miasta? – rzuciła, zmiatając rozsypaną ziemię na szufelkę.

Weber, chcąc zyskać czas na przemyślenie odpowiedzi, podniósł przewrócony kwietnik i odstawił go pod ścianę. Wiedział, że ludzie nie lubią, gdy obcy u nich węszą, dlatego usiłował wymyślić coś neutralnego.

– Sentyment. Moja matka pochodziła z tych stron. Zmarła niedawno, a ja chciałem pospacerować ścieżkami jej dzieciństwa.

Właścicielka pensjonatu odłożyła potłuczone fragmenty doniczki na szufelkę i ze współczuciem spojrzała na swojego gościa.

– Bardzo mi przykro. Jak się nazywała? Może ją znałam.

– Nie sądzę. Wyjechali stąd całą rodziną pod koniec lat sześćdziesiątych. Najpierw do Stanów, a później, gdy im na emigracji nie wyszło, wrócili do Polski i osiedli pod Warszawą. – Uśmiechnął się i natychmiast odbił piłeczkę, by uniknąć dalszej inwigilacji. – Pewnie dużo ludzi przyjeżdża tu do pani. Czyste powietrze, dużo zieleni. Wydaje się, że można porządnie odpocząć.

– Albo zanudzić się na śmierć – odparła i otwierając drzwi, gestem zaprosiła go do środka. – W Sinicach nic wielkiego się nie dzieje. Nie ma tu też specjalnie co zwiedzać. Więcej atrakcji jest tam bardziej na wschód, wie pan, w okolicach Białegostoku, Hajnówki. Turyści ciągną na szlak kulturowy, żeby oglądać cerkwie, albo do Białowieży na żubry, a tu u nas możemy się pochwalić co najwyżej największą mleczarnią w Polsce.

– Ale macie spokój, a tego teraz szukają ludzie. Ciszy i kontaktu z naturą.

– Może i tak. U mnie w każdym razie najczęściej nocują robotnicy albo goście weselni.

Gdy weszli do domu, przepuściła Webera przodem, po czym zsunęła ze stóp kaptcie obsypane ziemią, ostukała je o siebie nad wycieraczką i z powrotem nałożyła. Daniel w tym czasie przyglądał się haftom zamkniętym w ramkach wiszących na ścianie. Obrazki przedstawiały polne kwiaty oraz bociany uchwycone w locie.

– A te legendy o mgle nie przyciągają turystów? – zapytał, stąpając po miękkim dywanie z frędzlami, prowadzącym do salonu.

Kobieta, która przygotowała klucz do pokoju numer cztery i wertowała zeszyt w kratę, wyjęty chwilę wcześniej z sekretarzyka, znieruchomiła.

– Staramy się nie opowiadać o nich publicznie. To takie nasze lokalne wierzenia. Nie chcemy, żeby ludzie bali się tu przyjeżdżać

albo mieli nas za... – Nakreśliła palcem kółko obok skroni i zagwizdała. – Gdzie pan w ogóle o tym słyszał?

– Przed przyjazdem przeczytałem kilka numerów „Głosu Sinic”, chciałem wczuć się w tutejszy klimat. Różne rzeczy tam piszą. Dowiedziałem się na przykład o facecie, który niczego nie pamięta, odkąd wyszedł z lasu. No a w telewizji trafiłem na program o zaginięciu Alicji Jarosz.

– Sporo pan wie jak na kogoś, kto wyruszył na Podlasie z sentymentu. – Podała mu klucz przewiązany błękitną tasiemką, poprosiła o dowód osobisty i wskazała drogę do salonu.

Daniel machnął ręką, jakby to nie było nic wielkiego, choć tak naprawdę strużka potu spłynęła właśnie w dół jego pleców.

– A jakie jest pani zdanie na ten temat? Mam na myśli mgłę i te wszystkie straszne opowieści. Podobno żadne pogłoski nie biorą się znikąd. W każdej jest jakieś ziarno prawdy.

Kobieta westchnęła i usiadła na kanapie, kładąc sobie zeszyt na kolanach.

– Niech pan tak nade mną nie stoi. – Wskazała mu miejsce na fotelu obitym skórą, założyła na nos druciane okulary i zaczęła uzupełniać rubryki w kajecie, spisując dane z dowodu reportera. – Zaraz wszystko powiem, tylko tu zaznaczę, co trzeba, żeby mieć porządek w papierach.

Weber posłusznie przycupnął na pokaznym meblu, a ten zatrzeszczał pod jego ciężarem. Pocierając palcem o ząbki klucza, patrzył, jak kobieta wpisuje informacje do równych tabelk.

– O! I zrobione – powiedziała, oddając mu dokument. – To co tam chciał pan wiedzieć? A! Pytał pan o mgłę. – Odwróciła twarz w stronę okna, jakby wypatrywała mlecznej zawiesiny. – Różnie o tym miejscowi gadają. Według policji to głupie wymysły. Nie wierzą w żadne zło, które kryje się we mgle. Twierdzą, że ci młodzi uciekli

z Sinic za lepszym, ciekawszym życiem, a morderstwo po prostu się wydarzyło.

– A pani jak uważa?

Wanda powoli odłożyła na ławę zeszyt oraz długopis i odchrząknęła, gładząc dłońmi czarne getry.

– Widzi pan, znałam tego chłopaka, który zabił swojego przyjaciela. – Zrobiła wymowną pauzę, by jeszcze bardziej przykuć uwagę gościa. – Emil mu na imię. Kolegowaliśmy się z jego matką. Przynosił mi od niej jajka albo owoce z sadu. Czasem wypijaliśmy razem herbatę, zamieniliśmy parę słów i zapewniam pana, że to był dusza człowiek. – Uderzyła w pierś zwiniętą dłonią, jakby składała przysięgę. – On z tym Marczkim od małego wszędzie łąził i jak Boga kocham, w ogień by za niego skoczył. Nigdy by mu nie zrobił takiej krzywdy, a już na pewno nie bez powodu.

– To co się stało?

– Mgła. Ona mu rozum odebrała. Inaczej nie umiem tego wytłumaczyć.

– A może alkohol?

Pokręciła głową, cmokając sceptycznie.

– Przecież wcześniej pili ze sobą setki razy i nigdy nie dochodziło między nimi do kłótni. To jakaś bzdura. – Prychnęła. – Oni naprawdę byli jak bracia. Każdy w Sinicach to panu powie.

Daniel musiał gryźć się w język, by nie skomentować słów kobiety.

– Jak to się skończyło?

– Chłopak trafił do więzienia, trzydziestki jeszcze nawet nie miał. Bóg jeden wie, co tam z nim wyrabiali, a jak wyszedł warunkowo, to już nie miał żadnego życia. Wszyscy się od niego odwrócili. Tylko matka mu wtedy powiedziała, że jeśli wyjaśni, dlaczego to zrobił, to ona go przygarnie pod swój dach. Błagała, żeby jej powiedział, ale on cały czas powtarzał, że nie wie. Upierał się, że sam tego nie

rozumie. – Westchnęła. – Na śmieciarce teraz jeździ. Mieszka z menelami w barakach tam, niedaleko szpitala, a z matką, jak się widzą na ulicy, to jak obcy. Nawet nie patrzą w swoją stronę.

– Smutne.

Właścicielka pensjonatu pokiwała głową, przyznając mu rację.

– Według mnie zaginięcia tych nastolatków to też nie przypadek. Najpierw Sarnacka, która zresztą mieszkała tu niedaleko, później ta dziewczyna z chłopakiem, a teraz córka doktora Jarosza. Sami młodzi. Do tego wszyscy zniknęli we mgle. Nie uważa pan, że to za dużo zbiegów okoliczności?

– Może... – Starał się pozostać bezstronny. – Ale jeśli ma pani rację, to co się z nimi stało? Ludzie nie przepadają ot tak bez wieści. Gdyby nie żyli, prędzej czy później ktoś trafiłby na ich ciała albo kości.

Wzruszyła bezradnie ramionami, przykrywając skrawkiem długiego swetra kolano, na którym widniało niewielkie przetarcie w getrach.

– To jest w tym wszystkim najciekawsze – stwierdziła. – Wydaje się, że rozplłynęli się w powietrzu, prawda? Zagubili się we mgle i już nie znaleźli drogi powrotnej do domu.

Weber skrzywił się i spojrzał na kobietę z rezerwą.

– Naprawdę tak to tłumaczycie?

– Niektórzy z nas tak, inni wierzą, że te dzieciaki popadły w obłęd, tak jak Emil, syn mojej koleżanki. Zrobiły coś strasznego, a później uciekły i ukrywają się do dziś. Wystarczyło, że wyjechały za granicę, i słuch po nich zaginął.

Daniel podrapał z zakłopotaniem skórę na karku. Nie mieściło mu się w głowie, że w tych czasach ludzie nadal mogą wierzyć w takie rzeczy.

– A co pani myśli o tym człowieku z lasu, który stracił pamięć?

Kobieta wzdygnęła się, jakby przeszły ją ciarki.



– Przeciąg – wyjaśniła, wstając z kanapy, po czym zamknęła uchylone okno i oparła się biodrami o parapet, splatając ręce na piersi. – Nikt go tu u nas nie zna. Ludzie się go chyba trochę boją, mówią, że coś jest z nim nie w porządku.

– Tak? A co konkretnie?

– Czy ja wiem... To tylko pogłoski. Zupełnie niedorzeczne. – Na jej policzki wystąpiły rumieńce, jakby zawstydzona się tego, co zamierzała powiedzieć. – Podobno miewa jakieś takie dziwne ataki, jakby paniki, a niektórzy twierdzą... – urwała, po czym nachyliła się w stronę dziennikarza i konspiracyjnie ściszyła głos: – ...że czyta w myślach jak sam diabeł.

Weber z trudem powstrzymał się od parsknięcia śmiechem. Zażenowany wyjął z kieszeni komórkę, spojrzął na ekran, po czym klasnął dłońmi o uda i podniósł się z kanapy.

– Późno już – stwierdził. – Przepraszam, że tak panią zagadałem.

Wanda również musiała poczuć się niezręcznie. Nagle zmienił się jej wyraz twarzy. Otuliła ciało połami swetra i nerwowo zatknęła pasmo włosów za ucho.

– Oczywiście. Pana torba jest w pokoju na górze. Lilka ją tam zaniósła – dodała formalnym tonem. – Na którą życzy pan sobie śniadanie?

– Ósma będzie idealna.

– Dobrze, przygotuję panu coś lokalnego. Zwykle jadamy w kuchni, tutaj na dole, ale jeśli pan chce, mogę przynieść jedzenie do pokoju.

– Nie. Chętnie zejdę. Może poznam wtedy innych gości.

– Raczej nie. Ostatni budowlańcy wymeldowali się wczoraj, a nowi goście przyjadą dopiero na majówkę. Będzie pan mieszkał u nas sam.

Kiwnął głową ze zrozumieniem i leniwym krokiem ruszył w stronę korytarza, rzucając przez ramię uprzejme „dobranoc”. Kiedy był już niemal na szczycie schodów, a podeszwy jego butów zatapiały się w bordowym chodniku, usłyszał głos właścicielki hoteliku.

– Panie Danielu! – zawołała, wynurzając się z salonu. W dłoni miała komórkę, a jej oczy błyszczały.

Przystanął na półpiętrze i odwrócił się niechętnie.

– Na jakiej ulicy dorastała pańska matka, gdy tu mieszkała?

Zrobiło mu się gorąco, ale postanowił brnąć dalej w swoje kłamstwo. Przygryzł wargę, zmarszczył brwi i błędził wzrokiem po suficie.

– Przepraszam, ale nie mogę sobie przypomnieć. – Rozłożył ręce z bezradnością. – Mam to zapisane gdzieś w notesie, jutro pani powiem.

– Może łatwiej byłoby do niej zadzwonić i po prostu zapytać – zaproponowała.

– Słucham?

Weber słyszał już w głowie sygnał alarmowy. Wbił paznokcie w drewnianą poręcz na schodach.

– Z tego, co wyczytałam na Facebooku, mieszka w Szwecji i niedawno obchodziła sześćdziesiąte urodziny. Muszę przyznać, że jak na martwą całkiem dobrze wygląda.

Daniel przeklął w myślach.

– Nie wiem, o czym pani mówi – upierał się.

– Doskonale pan wie. Nie rozumiem, dlaczego mnie pan okłamał, ale radzę zapamiętać jedno: my tutaj bardzo nie lubimy kłamców. – Posłała mu wrogie spojrzenie. – Po co tak naprawdę przyjechał pan do Sinic?

Weber zastanowił się chwilę, po czym wziął głęboki wdech i odparł:

- Uwierzy mi pani, gdy powiem, że szukałem ucieczki z piekła?
- Jeśli to prawda, to wyjątkowo źle pan trafił, bo o ile piekło istnieje, to tu, w Sinicach, znajdują się wrota do niego.



## *Marzec 2008 roku*

*Jest noc. Biała tabletką tkwi w materacu. Musiał zmienić kryjówkę, bo maskotka w ostatnich miesiącach zaczęła podejrzanie pęcznieć. Teraz chowa leki w nowym miejscu, choć nie zawsze mu się to udaje. Od niedawna matka coraz częściej bacznie go obserwuje, jakby podskórną wyczuwała fałsz. Wtedy chłopak z nerwów połyka pastylkę i popada w otchłań bez końca, lecz nie dziś. Dziś leży na łóżku, wpatrzony w sufit, na którym wiązka światła z latarki zatacza kręgi, i czuje się najszczęśliwszym człowiekiem na świecie. Nie tęskni za drżeniem rąk, bólem rozsadzającym czaszkę i bezwładem. Noc to jego czas. W najgorsze dni, gdy wymiotuje po posiłku albo gdy czuje się tak słaby, że sam odmawia spaceru, czeka tylko na jedno. Na noc.*

*Odgłos wody napełnianej do wanny oznacza, że matka już nie przyjdzie. Wtedy chłopak powoli unosi ciało do pozycji siedzącej. Stawia stopy na dywanie i trzymając się ramy łóżka, wstaje. Nogi drżą, choć już nie tak mocno jak za pierwszym razem. Teraz dłonie, śliskie i rozdygotane, wczepiają się w firankę, następnie chwytają się krawędzi wiszącej półki na książki i wreszcie łapią za oparcie krzesła na kółkach. Chłopak oddycha, jakby ukończył maraton. Na ułamek sekundy opuszcza powieki i próbuje uspokoić serce, które chce wyskoczyć z piersi. Czuje cierpki zapach swojego potu i to przyjemne mrowienie w opuszkach palców. Rusza.*

*Początkowo ociężale. Krok za krokiem. Obrotowy fotel przemierza ocean dywanu, a mięśnie chłopaka przyzwyczajają się do wysiłku.*

*Jego wędrówka przypomina pokraczny taniec, wypełniony sapnięciami i cichym popiskiwaniami kółek krzesła. Czasami wyobraża sobie, że idzie przez park. Czuje ciepło promieni słonecznych na twarzy, wiatr łaskocze płatki jego uszu, a żwirowa alejka chrzęści pod stopami. W te noce, gdy udaje mu się przejąć władzę nad ciałem, jest najszczęśliwszy. Na razie nie mówi o tym matce. Kiełkuje w nim nieśmiałe marzenie, by pewnego dnia zbiec do kuchni na śniadanie i zobaczyć uśmiech na jej twarzy. Powiedzieć, że lekarze się mylili.*

*Po kilku minutach czuje się pewniej. Nie musi zastanawiać się już nad każdym krokiem, po prostu idzie. Plecy i czoło ma mokre. Czuje, jak krew krąży w jego ciele, pulsuje w dłoniach, szumi w uszach. Jeszcze jedno kółko, myśli. Odwraca się, by zmienić kierunek, i wtedy ją dostrzega. Stoi w otwartych drzwiach i patrzy. W pokoju panuje półmrok, chłopak nie może więc stwierdzić, czy cieszy się tak bardzo, jak to sobie wyobrażał. Jest jednak pewien, że zaniemówiła ze szczęścia.*

*– Mamo, zobacz – mówi z ekscytacją.*

*Idzie do niej. Jego serce łomocze. Z ekscytacji zaczyna gubić rytm, lecz wcale go to nie zniechęca. Wręcz przeciwnie. Wkłada w ten spacer jeszcze więcej wysiłku. Unosi kąciki ust i nagle dłoń matki spada na jego policzek. Skóra piecze, jakby liznął ją płomień.*

*Nie rozumie. Chce coś powiedzieć, ale potrafi myśleć tylko o tym gorącym miejscu na twarzy.*

*– Jak mogłeś? – syczy matka. – Tak mi się odpłacasz za te wszystkie lata? Trzeba było od razu powiedzieć, że chcesz umrzeć. Nie pielęgnowałabym cię w dzień i w nocy, nie woziłabym do najlepszych lekarzy, nie umierałabym ze strachu o mojego synka za każdym razem, gdy brakowało mu tchu. I może... – Głos jej się*

łamie. – Może kochałabym cię mniej, by potem, kiedy już w końcu się zabijesz, nie cierpieć tak bardzo.

Matka osuwa się na podłogę i płacze. Jej ciało podryguje w rytm spazmów, a szloch wypełnia przestrzeń. Chłopak siada obok niej na dywanie, kładzie dłoń na jasnych włosach i wzdycha. Nagle czuje się całkowicie odpowiedzialny za to życie, które jej zafundował.

– Nie chcę umrzeć, mamo. Nie mów tak.

– Ale umrzesz, kochanie. Jeśli nie będzie brał leków, ataki powrócą.

– To nieprawda. Lekarze nas oszukali.

Na twarzy matki, wyraźnej w smudze światła z korytarza, maluje się zaskoczenie. Pionowa zmarszczka na jej czole się pogłębia.

– Gdzie one są? Tabletki. Gdzie je schowałeś? – pyta, nagle ożywiona.

Chłopak mimowolnie zerka na kota Filemona. To ostatnia chwila, gdy maskotka przypomina zwierzę. Kilka minut później jest już tylko stertą waty i strzępów pluszu z dwoma czarnymi guziczkami, które kiedyś udawały oczy. Matka obraca w palcach pigułki, szepcząc do siebie coś niezrozumiałego. Jej ruchy stają się chaotyczne, a wzrok nieobecny.

– Nie pozwolę, żebyś się zabił na moich oczach. Prędszej sama wolę umrzeć – oznajmia i zaczyna pakować tabletki do ust.

– Przestań, mamo!

Szarpią się. Kobieta go odpycha. Zbiera z dywanu białe jak płatki śniegu pastylki i wpycha między wargi.

– Przestań! – nalega chłopak, łapiąc ją za ręce.

Matka płacze. Wraz z nabrzmiałym od żalu jękiem z jej ust wypadają leki. Posklejane ze sobą i lepkie od śliny. Chłopak chwytą ją w ramiona jak dziecko.

*– Nie rozumiesz, że jeśli umrzesz, nie będę miała po co żyć? Czy musi dojść do kolejnego ataku, żebyś się opamiętał? A może chcesz usłyszeć dźwięk trzaskającej kości? Bo to się stanie, gdy w końcu puścisz to krzesło. Wiesz o tym.*

*Nie wie, ale boi się tego i wyobraża to sobie za każdym razem, gdy stawia stopy na podłodze.*

*– Przepraszam, mamo – mówi w końcu.*





Teraz

Noc

Niedziela, 28 kwietnia 2019 roku, Sinice

Daniel wszedł do pokoju i nie zapalając światła, stanął przy oknie. Za firanką rozciągały się okryte mlecznym woalem pola, cienka nitka rzeki oraz las. Nie wiedział, czy to za sprawą opowieści właścicielki pensjonatu, ale musiał przyznać, że pejzaż za szybą sprawiał wrażenie demonicznego, a zarazem go hipnotyzował. Przedramiona dziennikarza pokryły się gęsią skórą, a on poczuł nieodpartą pokusę, by zatopić się w tej bieli i sprawdzić, czego tak naprawdę boją się okoliczni mieszkańcy.

Zerknął na telefon, dochodziła północ. Wiedział, że i tak długo nie będzie mógł zasnąć. Od dwóch lat sen nie potrafił mu przynieść wytchnienia. W większości przypadków, gdy zamykał oczy i odpływał w błogość, pod jego powiekami wyświetlały się obrazy żony i córki uwięzionych w płonącym samochodzie. Budził się wtedy zlany potem, z ciężkim oddechem i galopującym sercem. Koszmar był jak tortura, ale Weber uważał, że na nią zasługuje. Niekiedy witał senną marę z czymś w rodzaju ulgi, jakby stała się nieodłączną częścią codziennego rytuału.

Nacisnął włącznik lampki, rzucił na łóżko pognieciony trencz oraz sportową torbę i zaczął wypakowywać z niej ubrania. Kiedy skończył, opadł na materac z rękoma wyciągniętymi w bok i zrobił

wydech, który wydawał mu się równie długi jak kończący się właśnie dzień. Z zewnątrz dobiegało wycie psa, lecz dom tonął w ciszy. Wcześniej Daniel zarejestrował, że prostokąt światła padający z pokoju na dole na trawnik zgasł, co zapewne oznaczało, że Wanda tuż po ich rozmowie poszła spać. Leżał na wznak, analizując spotkanie z mężczyzną bez pamięci. Niespodziewanie drgnął, pewien, że za ścianą po prawej, tą, na której wisiało lustro, coś się poruszyło. Nasłuchując, powoli uniósł tułów, gotów przysiąc, że wyłapał także skrzypnięcie desek w podłodze, a przecież kobieta wyraźnie dała mu do zrozumienia, że jest jedynym gościem. Zciekawiony podszedł do ściany i przytknął do niej ucho, ale poza szmerem własnego oddechu nie usłyszał niczego więcej. Pokręcił głową, w duchu naigrywając się z faktu, że uległ lokalnym opowieściom.

Mgła na zewnątrz zgęstniała. Biel wylewająca się spomiędzy drzew chłonęła wszystko, co stanęło na jej drodze, przykrywając świat grubą, miękką kołdrą. Podchodziła już niemal pod dom, jakby celowo prowokowała Webera i chciała go wyzwać na pojedynek. Tym razem podniósł rękawicę. Zarzucił na plecy płaszcz, a do kieszeni wcisnął komórkę. Wprawdzie telefon nie mógł złapać zasięgu, odkąd dziennikarz znalazł się w pensjonacie, ale uznał, że latarka wbudowana w smartfona może mu się przydać w lesie, i dlatego postanowił go zabrać ze sobą.

Zszedł cicho po schodach, tak by nie obudzić właścicielki. Na dole przekręcił klucz w zamku, a później wyszedł w noc. Powietrze wilgotne i lepkie niczym wata cukrowa przylgnęło do jego skóry. Otarł policzek jak po mokrym pocałunku. Gdy stawiał długie kroki, zmierzając w stronę mostu, tego samego, którym wedle prasy dwa miesiące temu szła Alicja Jarosz, z jego ust wydobywały się drobne

obłoki pary. Żwir na poboczu drogi chrząścił pod butami, a latarnie rzucały na asfalt okrągłe plamy światła.

Daniel zapiął guzik pod szyją i postawił kołnierz, by ochronić się przed chłodem. Na horyzoncie widział domy należące do mieszkańców wsi Lipki. Z ich okien ziały czern oraz pustka, jakby nie należały już do ludzi, tylko do duchów. To upiorne wrażenie potęgowały nadpływające od strony lasu opary mgły.

Dziennikarz wyciągnął z kieszeni komórkę i zrobił kilka zdjęć. Nie chodziło mu bynajmniej o uchwycenie klimatycznej scenerii, ale o zatrzymanie w pamięci telefonu ujęć domów, obok których tamtej nocy musiała przechodzić zaginiona dziewczyna.

Odważnie przeciął most, mijając zamkniętą o tej porze ubojnię zwierząt, i ruszył w stronę polany, przy której znaleziono mężczyznę z amnezją. Mokra mgła wpełzała mu do nosa, przez co po chwili zaczął nim bezwiednie pociągać. Ze względu na ograniczoną widoczność dziennikarz poruszał się intuicyjnie. Jeszcze w Warszawie obejrzał na mapie położenie polany, dzięki czemu pamiętał, że powinna znajdować się po lewej, niedaleko za zagajnikiem.

Krok za krokiem przedzierał się przez mleczną zawiesinę, a kiedy wchodził między drzewa, zza pleców dobiegł go szelest liści. Odwrócił się gwałtownie, świecąc w tamtym kierunku latarką, ale mgła uniemożliwiła dostrzeżenie czegokolwiek, co było oddalone o więcej niż kilka metrów. Dookoła panował bezruch. Weber wyężył słuch, by wyłapać odgłosy zdradzające obecność kogoś innego, szybko jednak stwierdził, że to tylko dźwięki lasu, i ruszył przed siebie.

Na polanie przykucnął i dotknął mokrej trawy palcami. Z jego nosa kapnęła woda. Odruchowo otarł twarz wierzchem dłoni, a w myślach przeklął fakt, że nie zabrał ze sobą żadnej chusteczki. Po kilku

minutach oczekiwania mgła zaczęła mu się jawić nie jako straszna, ale wręcz kojąca. Był pewien, że mieszkańcy padli ofiarą manipulacji i w lesie nie czyha na nich nic złego. Przymknął powieki i trwał tak, chłonąc atmosferę tego miejsca, gdy nagle odniósł wrażenie, jakby coś przemknęło za jego plecami. Drgnął i powiódł wzrokiem w stronę drzew, dostrzegając między nimi rozmyty kształt ludzkiej sylwetki.

– Stój! Kim jesteś? – zawołał, gdy cień rzucił się do ucieczki.

Weber popędził za widziadłem, przeskakując leżące na leśnym poszyciu złamane konary i omijając wyrastające z ziemi pieńki. Snop światła latarki odkrywał przed nim jedynie fragment drogi, dlatego zahaczał o gałęzie, które drapały jego policzki, oraz wpadał na utkane między drzewami pajęczyny. Krew pulsowała mu w skroniach, a oddech galopował. Daniel miał świadomość, że wchodzi coraz głębiej w las, który przestał być przyjaznym miejscem. Teraz bardziej przypominał labirynt pełen zasadzek.

Zdyszany oparł dłoń o drzewo. Nagle nieopodal usłyszał szelest liści. Wyrwał w kierunku, z którego dochodziły odgłosy. Z całych sił próbował dogonić majaczącą na horyzoncie postać, lecz nie zauważył rozpoczynającego się w tym miejscu grzęzawiska. Woda chlupnęła pod jego nogami.

Poczuł wilgoć wnikającą do butów i wpychającą się pod nogawki spodni. Kiedy upadał, telefon z latarką wysunął się z jego ręki, po czym wylądował gdzieś w zaroślach albo, co gorsza, w odmętach mokradła.

Wokół zapadła ciemność.

Weber po omacku młócił powietrze rękoma, próbując znaleźć coś, czego mógłby się chwycić. Wreszcie natrafił na gałąź pobliskiego drzewa i ze stęknieniem się na niej uwiesił. Strach wbił szpony w jego kark. Mężczyzna odniósł wrażenie, jakby coś śliskiego wędrowało po jego udach. Czując, że zapada się coraz głębiej,

napiął mięśnie, mocno objął gałąź i próbował wyswobodzić nogi z gardzieli trzęsawiska. Znów wyraźnie wyczuł czyjąś obecność. Instynktownie znieruchomiał.

– To tylko ich wymysły, bzdury wyssane z palca – powtórzył, ale zanim zdołał wydostać się z pułapki, to coś podeszło bliżej i uderzyło go w potylicę tak mocno, że stracił przytomność. Ręce Webera puściły konar, a topielisko fragment po fragmencie zaczęło pochłaniać jego ciało.

\*

Pierwszy oddech przypominał ten, który biorą nowo narodzone dzieci. Zachłanny, wręcz paniczny. Jakby w obawie, że jednocześnie mógłby być ostatnim.

Daniel otworzył oczy, czując błoto oblepiające twarz. Kaszłał i krztusił się, wypluwając z ust brudną wodę. Ubranie przywarło do ciała jak druga skóra. Pod koszulą, w okolicy brzucha, i na udach coś go swędziało. Płuca palił ogień. Weber leżał na boku, a rozmyty obraz drzew wirował mu przed twarzą. Miał wrażenie, jakby w ostatniej chwili wyrwał się z otchłani. W nozdrza kłuł go ziemisty zapach. Dotknął palcami mchu, by w pełni uwierzyć, że jest tutaj, a nie po tej drugiej, mrocznej stronie.

Równowaga stopniowo wracała, szum w głowie ustawał, a jego miejsce zajął czyjś zdyszany oddech. Dziennikarz zerknął za siebie i zobaczył siedzącego na trawie Krzysztofa Lipskiego.

Tułów policjanta pokrywały błotniste plamy, na jego twarzy widniały czarne rozbryzgi, a ręce w całości unurzane były w bagnistej brei. W świetle porzuconej w trawie latarki wyglądał jak upiór. Komisarz odchrząknął i splunął z wściekłością.

– Przez pana obaj prawie zginęliśmy – rzucił ochryplym głosem.

Świadomość tego, co musiało się wydarzyć po tym, jak stracił przytomność, uderzyła Daniela z siłą pędzącej ciężarówki. Z trudem otworzył usta i wydobył z siebie głos tak słaby, jakby dochodził zza betonowej ściany.

– Jak mnie pan znalazł?

– Dyżurny powiedział mi, że któregoś z mieszkańców Lipek zaniepokoił widok faceta błakającego się po okolicy w środku nocy i robiącego zdjęcia ich domom. Z opisu szybko domyśliłem się, że chodzi o pana, i postanowiłem ukrócić to węszenie. – Policjant z przyganą pokręcił głową. – Tym razem miał pan szczęście, ale gdybym przyjechał kilka minut później, nie wiedziałbym nawet, że wciągnęło pana grzęzawisko.

– Stałbym się częścią legendy – usiłował zażartować Weber, ale Lipskiemu najwyraźniej nie było do śmiechu, bo posłał dziennikarzowi karcące spojrzenie.

– Czego szukał pan o tej porze w lesie? – zapytał.

– Chciałem przekonać się na własnej skórze, czy w całym tym gadaniu o mgle, która mąci ludziom w głowach, jest jakieś ziarno prawdy.

Krzysztof prychnął.

– I do jakich wniosków pan doszedł?

– Że ludzie tutaj są gotowi zrobić wiele, by ochronić swoje wierzenia – odparł, ostrożnie podnosząc się do pozycji siedzącej, a następnie położył dłoń na potylicy, gdzie zdążył już wyrosnąć potężny guz. Syknął. – Jestem pewien, że ktoś poszedł za mną do lasu, a później, gdy utknąłem w bagnie, ogłuszył mnie i nieprzytomnego zostawił na pastwę losu.

Komisarz wpatrywał się w reportera, z niedowierzaniem marszcząc brwi.

– To poważne oskarżenie. Jest pan pewien? Widział pan tę osobę? – dociekał.

– Niestety nie. Upadając, zgubiłem komórkę, zrobiło się ciemno i wtedy ten ktoś podszedł od tyłu. Musiał zamachnąć się jakimś konarem albo drągiem, bo uderzeniu towarzyszyło głuche łupnięcie.

Lipski skrzywił się ze współczuciem.

– Chodźmy. – Wyciągnął rękę do dziennikarza i pomógł mu wstać.

– Być może tę ranę na głowie trzeba opatrzyć. W ogóle powinien pana chyba obejrzeć jakiś lekarz. Wygląda pan, jakby wrócił z za grobu.

– Nie chcę pana rozczarowywać, ale w konkursie piękności obaj zajęlibyśmy raczej mało zaszczytne miejsca.

Weber z wysiłkiem dźwignął ciało. Szedł ociężale, jak ktoś, kto wy dostał się nie z grzęzawiska, ale z oka cyklonu. Błoto chrzęściło mu w zębach i odpadało z ubrania.

– Mój telefon – zauważył, rozglądając się. – Może pan do mnie zadzwonić?

Komisarz sięgnął po smartfona i wybrał numer, z którego wcześniej kontaktował się z nim Daniel, zaglądał w zarośla wokół bagien. Snop światła latarki przenikał ciemność, ale po komórce nie było ani śladu.

– Abonent jest poza zasięgiem sieci – oznajmił z rezygnacją Lipski.

– Mógł utonąć w mule. Trzeba go będzie poszukać za dnia. W tych ciemnościach i tak niewiele widać.

– To prawda. Tym bardziej zastanawiam się, jak zdołał mnie pan odnaleźć? – zapytał dziennikarz. – Ten las zajmuje rozległy teren, skąd wiedział pan, że będę akurat tutaj?

Funkcjonariusz przystanął. Na jego czole rysowała się lwia zmarszczka.



– Serio? Zamierza mnie pan brać pod włos po tym, jak narażałem się, by uratować panu życie?

W lesie powiało chłodem, liście na drzewach zaszeleściły.

– Po prostu to duży zbieg okoliczności... – zaczął Weber.

– Usłyszałem krzyk i podążyłem za dźwiękiem – przerwał mu stanowczo policjant. – Kiedy dotarłem do moczarów, osuwał się pan na dno jak jakaś cholerna śnięta ryba. Z trzęsawiska wystawały już tylko pana twarz i ręce. – Fuknął poirytowany. – Więc zanim kolejny raz zacznie pan opowiadać te bzdury, radzę się poważnie zastanowić. Z tego, co zdążyłem ustalić, nie jest pan w tym mieście mile widziany. Dobrze będzie mieć chociaż jedną osobę po swojej stronie, nie uważa pan?

Daniel wytrzymał świdrujący wzrok komisarza, lecz po chwili widok zmęczonej, pochlapanej błotem twarzy funkcjonariusza sprawił, że jego hardość zaczęła kruszeć.

– Powinienem być zrobić to wcześniej. – Wyciągnął do Lipskiego rękę. – Dziękuję.

Mężczyźni wymienili uścisk.

– Zmyjmy z siebie to świństwo – zaproponował komisarz, wycierając lepką dłoń o nogawkę spodni. – I niech pan się porządnie obejrzy w domu. Te bagna to raj dla pijawek.

– Co?! – Weber podskoczył, jakby uderzył w niego piorun.

W popłochu zrzucił płaszcz i zaczął rozpinać koszulę, a gdy zobaczył grube, czarne robale o wyglądzie zbliżonym do ślimaków, przyssane do jego brzucha, prawie zemdłał.

– Ożeż, kurwa – syknął, zdecydowanym ruchem odrywając od skóry miękkie, obłe ciała pasożytów, które ciskał, gdzie popadnie, byle jak najdalej od siebie. – Zaraz zwymiotuję.

– Sprawdziłbym jeszcze uda – zasugerował Lipski, podśmiewując się z panicznych ruchów dziennikarza.

Daniel bez zawahania rozpiął spodnie i zsunął je, ale na szczęście na mokrych nogach nie znalazł żadnych pasożytów.

– A plecy? Mam coś na plecach? – pytał z histerią w głosie, podciągając koszulę.

Komisarz podszedł bliżej i oderwał coś od skóry rozmówcy.

– Tylko jedną – oznajmił, po czym rzucił okiem na spodnie mężczyzny, zrolowane na wysokości kostek. – Może się pan już ubrać, inspekcja skończona. – Wybuchł tłumionym dotychczas śmiechem.

– Bardzo zabawne – warknął Daniel, szarpiąc się z rozporkiem, ale po chwili i on zaczął chichotać. – Nienawidzę tego dziadostwa – wyjaśnił, drapiąc szyję.

Kiedy dotarli do samochodu Lipskiego, dziennikarz z ulgą opadł na siedzenie vectry, przykryte reklamówką z dyskontu. Jego ołowiane powieki opadły na moment, a z płuc wydobyło się głębokie westchnienie.

– Czy możemy ustalić, że fakt mojego obnażania się i histerycznych podskoków nad grzędzawiskiem pozostanie między nami? – zaproponował.

Policjant roześmiał się, szczerze ubawiony.

– Zdecydowanie tak. Mojemu wizerunkowi nie służyłoby to równie mocno jak pańskiemu. – Przekręcił kluczyk w stacyjce, wrzucił jedynkę i ruszył, zostawiając w oddali mglistą polanę.

Dźwięki muzyki wypełniły przestrzeń między mężczyznami. Krzysztof Lipski pogrążony w myślach zanucił do wtóru z radiem fragment piosenki Budki Suflera. Fałszował okrutnie. Weber uśmiechnął się skrycie. Potarł piekące miejsca na klatce piersiowej, marząc o gorącej kąpieli, która zmyje z niego uczucie obrzydzenia. W pamięci odtwarzał wszystko, co zdołał zarejestrować, zanim został napadnięty. Patrząc w gęstą ciemność za szybą, próbował

zrozumieć, dlaczego komisarz wspomniał, że usłyszał w lesie krzyk, skoro z tego, co dziennikarz pamiętał, przed utratą przytomności nie zdążył wydać z siebie żadnego dźwięku.



## *Sierpień 2009 roku*

*Siedzi w ogródku za domem, pod rozłożystą jabłonią. Oparty o zagłówek wózka, zamyka oczy i całym sobą chłonie promienie słońca, które głaszczą jego twarz. W powietrzu unosi się żniwny kurz z pobliskich pól. Słyszczy terkot kombajnów i pokrzykiwania rolników. Chłopak wyobraża sobie, jak by to było zanurzyć dłoń w worku owsa. Wydaje mu się, że przyjemnie, choć nie może tego stwierdzić na pewno, bo dotychczas widział takie sceny tylko w telewizji. Bezwiednie porusza palcami i śmieje się cicho, jakby coś go łaskotało w rękę.*

*Wtem dobiega go szelest. Unosi powieki i widzi, że gałęzie przekwitłego już bzu na posesji sąsiada się poruszają. Pomiędzy liśćmi prześwituje postać w dżinsowych spodenkach i białej koszulce na ramiączkach. Szamocze się, jakby próbowała umknąć z pułapki. Wreszcie wrywa się krzewiastym szponom i wyskakuje na zewnątrz z głośnym „auć!”. Ma jasne włosy uczesane w kucyk, opaloną na złoto skórę oraz podrapane do krwi przedramiona. Stoi tam i gapi się na niego jak na zjawisko, a potem nagle wybucha chichotem, który kryje w sobie zarówno radość, jak i zawstydzenie. Chłopak czuje, że jego policzki płoną. Nie potrafi zrozumieć, dlaczego nagle jest mu tak gorąco.*

*– Kim jesteś? – pyta.*

*Dziewczyna odgarnia z twarzy niesforne pasmo.*

*– Mam na imię Matylda. Mieszkam tu.*

*– Nigdy wcześniej cię nie widziałem.*

– Ale ja widziałam ciebie. Obserwowałam cię.

Chłopak chciałby się uśmiechnąć, ale jego usta układają się w niejednoznaczny grymas. Nie wie, czy dziewczyna nie próbuje go oszukać, a później przewrócić i wyśmiać, jak ten dryblas, którego dotychczas widywał na podwórku domu obok. Na wszelki wypadek palcami mocno obejmuje uchwyty wózka. Im dłużej o tym myśli, tym bardziej jest przekonany, że padł ofiarą okrutnego żartu i lada chwila zza krzaków wyjdą dzieciaki, które od dawna mu dokuczają. Jak mały Filippek, wredny dzieciak, który rzuca w niego kamieniami. Chłopak czeka, rozgląda się niepewnie, lecz nic takiego się nie dzieje.

– Dlaczego mnie obserwowałaś? – Chce wiedzieć, choć jednocześnie obawia się tego, co może usłyszeć.

Wyobraźnia podsuwa mu szereg odpowiedzi. Bo jesteś dziwny, z litości, by mieć z kogo drwić. Dziewczyna opuszcza ręce. Zrywa listek bzu i drze go na małe kawałeczki, podążając za nimi spojrzeniem.

– Lubię patrzeć, jak się cieszysz – mówi. – Chciałabym tak umieć.

Chłopak drapie ucho z zakłopotaniem.

– Ja? Nie wydaje mi się, że bym należał do wyjątkowo szczęśliwych ludzi.

– O czym myślałaś przed chwilą, siedząc tak z zamkniętymi oczami?

Po jego twarzy nieśmiało przemyka delikatny uśmiech. Zdejmuje z głowy czapkę z daszkiem i przytula ją do piersi.

– Widziałem siebie, jak idę przez pole porośnięte zbożem, wyciągam ręce i otwartymi dłońmi dotykam kłosów.

– Jakbyś tam był, prawda?

– Chyba tak.

*Rysy dziewczyny rozpromienia radość, która sekundę później gaśnie. Pokaleczone ostrymi gałęziami ramiona obejmują szczupłe ciało, jak wtedy, gdy komuś jest zimno, choć temperatura nie uległa zmianie i żar nadal leje się z nieba.*

*– Czy myślisz, że mogłabym... że ty mógłbyś mnie tego nauczyć?*

*Chłopak nie rozumie, o co jej chodzi. Znów zerka na boki, pewien, że oni już tu są, czyhają, by wybuchnąć szyderym śmiechem. Szcherbate dzieciaki w koszulkach w paski i ten wielki, piegowaty, z przerwą między zębami, który zawsze dokucza najbardziej. Niby niechcący uderza w niego piłką, zawsze z całej siły i w głowę. Wjeżdża rowerem na wózek, a później przeprasza tak ładnie, że nawet matka mu wybacza. Nie wie, że kiedy dryblas podaje mu dłoń na zgodę, ścisną ją aż do chrzęstu kości.*

*– Boisz się mojego brata? – zgaduje dziewczyna. – Igora dziś nie ma. Pojechał z tatą do Białegostoku.*

*– A ty? Dlaczego zostałaś?*

*Jej oczy napętniają się wilgocią, a dolna warga drży.*

*– Bo kiedy jestem sama, nikt nie nazywa mnie podrzutkiem.*

*Do ogródka wchodzi matka, omiata wzrokiem syna, który miętosi w palcach daszek czapeczki, i zapłakaną dziewczynę po drugiej stronie płotu.*

*– Co tu się wyprawia? – rzuca, sięgając po nakrycie głowy. – Nałóż to, bo dostaniesz udaru.*

*– Mamo, to... – próbuje powiedzieć chłopak, wskazując na swoją koleżankę, lecz ona mu przerywa:*

*– Kochanie, musimy wziąć leki, później porozmawiamy.*

*Chwyta wózek i nie pytając o nic, odwraca go w stronę domu, a potem idzie szybkim krokiem, jak ktoś, kto usiłuje zdążyć przed burzą. Chłopak chce się odwrócić, ale nie może.*

*– Nauczę! – woła, po czym rozkłada ręce na boki, jakby chciał złapać w dłonie całe słońce.*

*Nie słyszy, co odpowiada dziewczyna, bo matka zatrzaskuje za nimi drzwi. Ma zaciętą minę, ciska jego czapkę na szafkę w przedpokoju.*

*– Nigdy więcej tego nie rób – grzmi. – Masz obniżoną odporność, zarazisz się od tej dziewczyny jakimś wirusem i znów wylądujesz w szpitalu.*

*Chłopak nie odpowiada. Jest mu dziwnie przyjemnie, jakby gdzieś w jego wnętrzu płynęła rzeka słodkiej i gęstej czekolady.*

*– Odpowiadaj, jak do ciebie mówię – kontynuuje ze złością matka.  
– Czy ty w ogóle zastanawiasz się nad konsekwencjami...*

*Dźwięk stopniowo cichnie. Chłopak przestaje słyszeć jej gderanie. Widzi tylko poruszające się wargi. Nie obchodzą go szpital, ból ani śmierć. Znaczenie ma tylko ona. Dziewczyna o złotej skórze, która chce nauczyć się cieszyć.*

*Matylda.*





Teraz

Ranek

Poniedziałek, 29 kwietnia 2019 roku, Sinice

– Bingo! – powiedziała aspirant Sowińska, rzucając na biurko Lipskiego kilka wydruków z laboratorium.

Komisarz, zmęczony po nieprzespanej nocy, prześliznął się wzrokiem po kartkach, ale migrena, która dokuczała mu od rana, sprawiła, że nie był w stanie zrozumieć sensu tego, na co patrzył. Oddał dokumenty policjantce i masując skronie, poprosił:

– Wy tłumaczysz? Nie jestem dziś w najlepszej formie.

– Krew na portfelu, który znaleźliśmy w lesie dwa miesiące temu, należy do naszego człowieka bez pamięci.

Oczy Krzysztofa zrobiły się okrągłe jak po wypiciu podwójnego espresso.

– Chwila? To skąd tam legitymacja jakiegoś emeryta? Nasz bezimienny go okradł? A może są spokrewnieni?

– Nie wydaje mi się. Odnalazłam siostrę Jerzego Kosa, mężczyzny, którego nazwisko widnieje na legitymacji. Kobieta twierdzi, że ani ona, ani jej brat nie mieli dzieci, nie pamięta, by Jurek wspominał, że został okradziony, nie rozpoznaje też twarzy faceta z amnezją. – Oparła dłonie na blacie Lipskiego i nachyliła się, opowiadając z podekscytowaniem: – Kos mieszkał w Białymstoku. Zmarł dwa lata temu na serce. Całe życie zawodowe przepracował

na kolei jako maszynista, a w wieku sześćdziesięciu lat przeszedł na emeryturę i wiódł spokojne, raczej samotnicze życie. Gdybym miała zgadywać, stawiałabym na to, że nasz duch znalazł portfel na jakimś śmietniku i z tylko sobie wiadomego powodu nie wyrzucił starego dokumentu.

Komisarz pstryknął długopisem, który trzymał w dłoni.

– To by znaczyło, że może pochodzić gdzieś z tamtych okolic – zasugerował.

– Białystok ma jego zdjęcie, materiał poszedł w wieczornych wiadomościach lokalnej telewizji, a dzisiaj polecą w *Ktokolwiek widział, ktokolwiek wie* na całą Polskę. Do tego ludzie na profilach o zaginionych na Facebooku masowo udostępniają jego portret, ale na razie i tak nic to nam nie daje.

Z niedowierzaniem pokręciła głową, po czym podeszła do okna, zza którego dobiegały podniesione głosy. Kiedy wyjrzała przez szybę, zobaczyła, że na parkingu doszło do kłótni między mężczyznami, z których jeden zablokował wyjazd, a drugi wściekle kopał oponę tamtego. Weronika prychnęła i zastukała pięścią w szybę.

– Panowie chcą odwiedzić areszt za zakłócanie porządku? – zawołała, przybierając groźną minę.

Zaskoczeni mężczyźni znieruchomieli. Zgodnie zaprzeczyli i w mgnieniu oka rozwiązali konflikt, a dwie minuty później już ich tam nie było. Sowińska uśmiechnęła się pod nosem, wdychając wpadający przez uchylone okno świeży zapach wiosny.

– Pamiętasz, co jeszcze było w portfelu? – zapytał Krzysztof, który analizował dokumenty leżące na biurku.

Weronika podeszła do niego i usiadła naprzeciwko.

– Święty obrazek od dominikanina ojca Bernarda, którego nie sposób namierzyć, i wizytówka specja od remontów, niejakiego

Zdzisława Beli – przypomniała. – Facet ma fanpage na Facebooku i prawie dwa tysiące obserwujących. Zajmuje się pracami wykończeniowymi, głównie na terenie województwa mazowieckiego, ale zdarza mu się też działać w innych lokalizacjach. Ładne, gustowne wnętrza. Klienci go chwala, noty ma wysokie, a zdjęcia, które wrzuca do sieci, są naprawdę zachęcające. Niestety utrzymuje, że nigdy nie spotkał naszego człowieka z lasu.

Lipski w zamyśleniu przygryzł końcówkę cienkopisu.

– Ciekawe, zważywszy na to, że w badaniu wyskrobin spod paznokci bezimiennego znaleziono gips, a ciuchy, które miał na sobie, wyglądały jak żywcem zdjęte z jakiegoś fachury.

– Też o tym myślałam. Może pracował przy remontach, ale niekoniecznie z Belą. – Wzruszyła ramionami.

– A jak ten spec od wykończeniówki tłumaczy swoją wizytówkę w portfelu obcego człowieka?

– Twierdzi, że zostawia je we współpracujących sklepach z materiałami budowlanymi i każdy może sobie taką wziąć.

Krzysztof kiwnął głową ze zrozumieniem, po czym podniósł się z za biurka i przeciągnął.

– Dokończysz przy kawie? Jeśli nie dostarczę sobie natychmiast kofeiny, zasnę na stojąco.

– A co takiego robiłeś w nocy? – zapytała policjantka w drodze do kuchni.

– Wyławiałem z bagien zagubionego dziennikarza.

– Webera?

Lipski potwierdził z ironicznym uśmiechem i wcisnął guzik na ekspresie. Maszyna zazgrzytała, z sykiem wypuściła parę, a następnie wypluła do kubka smolisty napój.

– Poszedł zmierzyć się z legendą i niewiele brakowało, a sam stałby się jej częścią. Idiota utopił nawet komórkę. Gdyby nie

sąsiedzi, którzy zadzwonili ze skargą, że jakiś obcy typ kręci się im pod domami, mielibyśmy trupa jak nic.

– Słuchaj, a co myślisz o tym, by podesłać mu zdjęcia tych przedmiotów z portfela? Jest zawzięty, może uda mu się w jakiś sposób dotrzeć do tego dominikanina. – Weronika podstawiała swój kubek i nacisnęła przycisk z dwiema filiżankami.

Komisarz spojrział na nią z ukosa, po czym postodził kawę i rozmieszał cukier.

– Że niby jest lepszy od nas? – zapytał, stukając łyżeczką o rant kubka.

– Daj spokój, po prostu ma więcej czasu i działa bez presji. Nie musi ogarniać miliona spraw jednocześnie, a później świecić oczami przed ludźmi. Zresztą wiesz, jak jest, ciągle brakuje nam rąk do pracy.

Krzysztof upił duży łyk kawy i rozciągając zeszywniały kark, stęknął.

– Wolałbym nie – odparł. – To facet z zewnątrz, nie wiadomo, co zrobi z tą wiedzą.

– Przecież nie zdradzę mu żadnych sekretów. Poproszę tylko, by poszukał dla nas kilku informacji. Z tego, co powiedział ci doktor Załuski, wynika, że dziennikarz jest zdeterminowany, by przywrócić pamięć bezimiennemu...

– Powiedziałem: nie – uciął ostro.

Sowińska pomyślała, że jego opór jest wyjątkowo silny, jakby obawiał się tego, na co może natrafić Weber.

– Dobrze, już dobrze – rzuciła, unosząc dłonie w geście poddania, a kiedy Lipski wyszedł, wybrała numer Daniela.

\*

Obudził go sen o pijawkach wijących się pod ubraniem. Zerwał się z krzykiem, czując pot spływający po plecach. Na krześle wisiał niedbale rzucony płaszcz. Część błota zaschła, tworząc skorupę na jego powierzchni, a wokół mebla utworzyła się brudna kałuża. Daniel przeczesał palcami sterczące na wszystkie strony włosy, po czym odruchowo sięgnął po komórkę, ale szybko przypomniał sobie, że zgubił ją minionej nocy. Na potylicy wymacał guza po uderzeniu nad mokradłami. Ból nieco zelżał, jednak nadal promieniował od karku aż do szczęki. Reporter się skrzywił. Z głodu ssało go w żołądku, dlatego wziął szybki prysznic, włożył czyste ubranie i zszedł na dół, niosąc w rękach utyłane okrycie.

W korytarzu przy drzwiach zauważył swoje zamszowe półbuty. Wyglądały gorzej od płaszcza. Noski i cholewy oklejone były błotem, wewnątrz królował osad z wód grzęzawiska. Weber odstawił obuwie i ze wstrętem otarł dłoń o dzinsy, gdy jego wzrok wyłowił podobnie ubabrane kalosze. Stały w uchylonych drzwiach szafy. Dziennikarz otworzył je szerzej i uważnie przyjrzał się zabrudzeniom, które wydawały się równie świeże jak te jego.

– Czy jest jakiś powód, dla którego grzebie pan w moich rzeczach?  
– odezwała się właścicielka pensjonatu, sprawiając, że Daniel podskoczył.

Schodziła właśnie ze schodów z wiadrem w jednej i mopem w drugiej ręce. Poruszała się na tyle bezszelestnie, że zupełnie nie usłyszał jej kroków.

– Przepraszam. Po prostu zobaczyłem pani buty i pomyślałem, że może byliśmy na spacerze w tym samym miejscu. – Wskazał swoje obuwie.

– O matko, a gdzie pan wlaźł? Boże, i ten płaszcz. Da mi pan to, spróbuję doczyścić. – Cmoknęła z niezadowoleniem, biorąc od niego okrycie, z którego obsypywało się błoto. – Chyba ma pan za mało

roboty, że takie głupie pomysły przychodzą mu do głowy. Jakby pan tak skopał kilka grządek, jak ja od rana, toby panu te fanaberie w moment przeszły.

– Czyli nie wybierała się pani w nocy na bagna?

Kobieta spojrzała na niego jak na wariata.

– A po co ja bym miała tam chodzić? I to we mgle? Jeszcze mi życie miłe. Panu zresztą też odradzam, złęgo lepiej nie kusić.

– Pani Wando, zapewniam, że nie ma się czego bać. Mgła sama w sobie nie jest w stanie nikogo skrzywdzić, w przeciwieństwie do ludzi. To ich należy się obawiać.

Jego słowa wyraźnie zirytowały kobietę. Ścisnęła mocniej kij od mopa i zaczęła nim wymachiwać.

– I przez takich jak pan potem inni giną – uniosła się. – Wydaje się im, że to wszystko są żarty. A ja wiem swoje, lichy nie śpi i niech pan się modli, żeby po pana nie wróciło. Bo jak szatan przychodzi do człowieka, to skrada się po cichu. Nie zdąży pan nawet mrugnąć.

Dziennikarz uśmiechnął się polubownie i już miał skomentować jej wypowiedź, gdy poczuł bolesny skurcz żołądka, który domagał się jedzenia.

– Nie chciałem pani urazić. Mam nadzieję, że nie nagrabiłem sobie na tyle, by nie dostać śniadania?

– O tej porze to już chyba obiadu. Dochodzi dwunasta. Spał pan jak zabity i musiałam pochować wszystko, co naszykowałam. – Popatrzyła na niego z dezaprobatą. – Ale niech pan idzie do kuchni. Pieczywo jest w chlebaku, a cała reszta w lodówce. A! Szukała pana ta policjantka, Weronika Sowińska.

– Była tutaj?

– Nie, dzwoniła. Prosiła, żeby się pan do niej odezwał. Kartka z numerem leży na stole.

– A mógłbym skorzystać z pani telefonu domowego? Moja komórka chyba utonęła w bagnie.

Wanda wypluła niechętnie: „Dobrze”, a potem zniknęła razem ze swoimi narzędziami do sprzątanania.

Daniel przygotował kilka kanapek z grubymi plasterkami sera korycińskiego, po czym nastawił wodę w czajniku i z kartką w dłoni podszedł do wiszącego na ścianie w korytarzu telefonu z kablem przypominającym sprężynę. Funkcjonariuszka odebrała po kilku sygnałach.

– No proszę, wreszcie się pan obudził. A już myślałam, że dosięgła pana klątwa mgły.

– Na razie dopadła tylko moje ubrania i komórkę. Mnie oszczędziła.

– To dobrze, bo wysłałam panu na maila kilka zdjęć i chciałabym, żeby spojrzął pan na nie swoim okiem.

– Cudzym będzie raczej trudno.

Weronika zignorowała zaczepkę i niestrudzenie kontynuowała:

– Chodzi o przedmioty znalezione w portfelu, który może należeć do mężczyzny z nieustaloną tożsamością.

Sowińska zastrzegła, że informacje są niejawne, po czym opowiedziała o wizytówce, legitymacji emeryta i świętym obrazku. Słowem nie zająknęła się o plamach krwi na portfelu ani o okolicznościach, w jakich funkcjonariusze się na niego natknęli. Wyraziła też nadzieję, że być może dziennikarz trafi na jakiś trop, który pozwoli im rozwiązać zagadkę tożsamości człowieka z lasu. Słuchając, Weber w zamyśleniu pocierał dolną wargę. Zastanawiał się, czy policjanci przypadkiem nie szukają jelenia, który wykona za nich żmudną robotę, ostatecznie jednak postanowił docenić to, że podzielili się z nim informacjami.



– Przede wszystkim powinniśmy pokazać te przedmioty mężczyźnie z amnezją. Jeśli należały do niego, może ich widok odblokuje jakieś wspomnienia.

– Słuszna uwaga – zauważyła.

– Mam jeszcze jeden pomysł. Potrzebny będzie nam zestaw do kładzenia gładzi i goła betonowa ściana. Macie tu jakieś pustostany?

– Coś się znajdzie. Chce pan sprawdzić, jak poradzi sobie z narzędziami?

– Mniej więcej. Czytałem niegdyś o kobiecie z amnezją, która zareagowała pobudzeniem na widok maszyny do szycia. Kiedy do niej usiadła, okazało się, że potrafi posługiwać się urządzeniem z niebywałą wprawą, a krótko po eksperymencie odzyskała wszystkie wspomnienia – wyjaśnił. – Jeżeli facet z lasu naprawdę pracował przy remontach, jest szansa, że wydobędziemy z otchłani kolejny fragment jego pamięci.

W słuchawce zapadło milczenie i dopiero po chwili zabrzmiał głos policjantki.

– Niestandardowe podejście, ale podoba mi się – stwierdziła. – Pogadam jeszcze z komisarzem Lipskim, mam nadzieję, że nie będzie oponował. Znam jedno miejsce, które idealnie pasuje do przeprowadzenia takiego eksperymentu, ale odezwę się do pana, gdy będę wiedziała, że mamy zielone światło.

Daniel potwierdził, że będzie oczekiwał na wiadomość, po czym rozłączył się, chwycił talerz z kanapkami i popędził do pokoju na piętrze, by obejrzeć zdjęcia od aspirantki. Chwilę później ślęczał pochylony nad laptopem, łapczywie pochłaniając śniadanie. Z każdym kęsem czuł, że jego siły wracają. Humor psuł mu tylko brak telefonu – nie mógł skontaktować się z żadną z osób, której nazwisko pojawiało się na przedmiotach z portfela. Oglądał wnikliwie fotografie wizytówki, legitymacji i obrazka, aż w końcu postanowił, że

skoncentruje wysiłki na próbie namierzenia duchownego. Z uporem maniaka rozesłał maile do klasztorów dominikańskich, choć miał świadomość, że szuka igły w stogu siana.

Kiedy skończył, rozmasował kark. Z łazienki dobiegał odgłos wody kapiącej z niedokręconego kranu i Weber wstał, by się tym zająć. Myjąc zęby, patrzył w okno, za którym rozpościerał się widok na ogródek. Właścicielka pensjonatu wyszła właśnie na zewnątrz. Napętniła wodą z węża dwa duże plastikowe wiadra, po czym chwyciła je i zanosiła w okolice ogrodowego tunelu z foli. Dziennikarz obserwował ją, gdy dobiegł go terkot ciężarówki i po chwili obok Wandy ujrzał mężczyznę w odblaskowym stroju śmieciarza. Pracownik MPO sprawiał wrażenie poruszonego, gestykulował żywo i domagał się czegoś od kobiety. Jej mina pozostawała zacięta, odwracała się do rozmówcy plecami i przecząco kręciła głową.

Daniel z zaciekawienia podszedł do uchylonego okna. Nadstawił ucha.

– Nie rozumie pani, że ona umiera? Jeśli powiem prawdę, przynajmniej te ostatnie chwile spędzimy razem. To moja matka, chcę przy niej być.

– Złamię jej pan serce tą prawdą o was. I po co? Nie lepiej, żeby odeszła w spokoju? Myśli pan, że będzie zadowolona, jak się dowie, kim pan jest? Będzie jeszcze gorzej.

Śmieciarz opuścił bezradnie ramiona.

– To co ja mam robić, pani Wando?

– To samo, co do tej pory. Trzymać gębę na kłódkę. Zna pan moje zdanie – zamknęła dyskusję, po czym wróciła do dźwigania wiader, a jej towarzysz odszedł ze spuszczoną głową.

Weber pomyślał, że to musiał być mężczyzna, który siedem lat temu we mgle zabił swojego przyjaciela. Odtworzył w pamięci

rozmowę śmieciarza z kobietą i zrobiło mu się gorąco, ponieważ intuicja zasugerowała mu, że Wanda nakłaniała tego człowieka do kłamstwa.



## *Marzec 2010 roku*

*Matka długo nie wraca. Pojechała przecież tylko do sklepu, więc na pewno za chwilę się zjawi. Chłopak leży na łóżku, boli go głowa i chce mu się wymiotować. Jęczy, zwinięty w kłębek, i nie ma nawet jak zadzwonić, bo kiedy matka odkryła, że wysyłali sobie z Matyldą wiadomości, zarekwirowała mu komórkę. A zatem podciąga nogi pod brodę i skamle. Widok wędrującej minutowej wskazówki na zegarze jest jak tortura. I to „cyk, cyk” wwiercające się w mózg.*

*– Przestań – błaga i niedbałym gestem zrzuca budzik na podłogę.*

*Zaciska zęby, wbija paznokcie w koc i drży. Raz jest mu zimno, raz gorąco. Chce, by to się skończyło, lecz koszmar nie odchodzi. W końcu nie widzi innego wyjścia. Nadludzkim wysiłkiem dźwiga ciało do góry. Podpiera się na krześle i idzie. Czuje zawroty głowy. Pokój faluje, jakby chłopak stał na pokładzie statku. Kontury rozmywają się, kolory bledną. Przeciera spoconą twarz.*

*Jest już przy drzwiach, naciska klamkę i puszcza krzesło. Od balustrady na schodach dzielą go trzy kroki. Niepewne jak u dziecka, które stawia je po raz pierwszy. Dysząc, wyciąga dłoń, kurczowo chwytając się poręczy, a później opada na nią brzuchem i powoli schodzi na dół. Ciężar ciała sunie po drewnianej barierce, stopy chłopaka przemierzają stopnie. Byle wytrzymać. Gryzie wewnątrz policzka, przeganiając mroczki tańczące przed oczyma.*

*Na dole nie ma już siły. Uczepiony ściany jak pijak, siłą woli wlecze się do kuchni. Nie czuje strachu o łamliwe kości. W tej chwili jest już tylko palącym bólem. Na trzęsących się nogach dociera do blatu.*

*Łapie metalowy uchwyt jednej z szafek i wisi na nim podobnie jak ludzie na plastikowych paskach w autobusie. Prawa ręka otwiera apteczkę. Przez suche, blade wargi wydostaje się stęknienie. Chłopak wyciąga dłoń. Jego dygoczące palce przewracają fiolki, tekturowe opakowania i butelki. Przedmioty z trzaskiem obijają się o szafkę i spadają na podłogę.*

*Gdzie są te leki, myśli gorączkowo.*

*Sięga głębiej, gdy nagle słyszy trzask. Wstrzymuje oddech. Jego wiszące ciało opada lekko w dół. Doskonale wie, co wydarzy się za chwilę. Trwa to ułamek sekundy, lecz on zdąża jeszcze zamknąć dłoń na słoiczku z kapsułkami, a moment później następuje tąpnięcie.*

*Upada na pośladki. Ból promieniuje od kości ogonowej aż do czubka głowy. Jakby go ktoś raził prądem. Palce lewej ręki nadal obejmują wyrwany uchwyt od szafki. W panice podwija spodnie i ogląda nogi. Spodziewa się najgorszego, ale pod warstwą materiału nie znajduje żadnych złamań ani innych uszkodzeń. Jego oddech powoli się uspokaja. Krew, która stężała w żyłach, znów zaczyna płynąć, jak rzeka po zimie, gdy jej lodowy pancerz topnieje.*

*Siedząc na podłodze, wygląda niczym jedna z wysp archipelagu, otoczony przez pomniejszych wysepki leków. Ze zmęczenia, a może bezradności, wybucha dzikim śmiechem, który pozwala mu odreagować to wszystko. Gdy odzyskuje dech, sięga po słoiczek z tabletkami, który wyturlał się pod stół. To właśnie jego szukał. Obraca w palcach ulotkę, szukając informacji o dawkowaniu, i nie potrafi zrozumieć, dlaczego na złożonej kartce widnieje napis „środek przeciwpsychotyczny”.*

*Klucz zgrzyta w zamku, zadrukowana maczkiem ulotka wypada mu z ręki i do domu wchodzi matka ubrana w kwiecistą sukienkę. Chłopak zastyga, a ona niczym wytrawny łowca szóstym zmysłem*

wyczuwa, że coś jest nie w porządku. Odstawia szeleszczące siatki z zakupami i węszy. Może alarmują ją otwarte drzwi jego pokoju nad schodami albo jedna z niesfornych fiolek, która wytoczyła się aż na korytarz, ale nie mija sekunda, a wpada do kuchni. Wzrokiem prześlizguje się po pobojuwisku. Jej usta zwierają się w wąską linię, a oczy ciskają błyskawice.

– Co tu się stało? Dlaczego wyszedłeś z pokoju? Jak ty w ogóle się tu dostałeś? – Sili się na troskliwy ton, choć bije od niej złość.

– Źle się czułem. Nie było cię tak długo.

Z jej ust padają słowa: „Przepraszam”, stłuczka, to nic wielkiego, facet z ubezpieczalni, idiota. Ręce kobiety pospiesznie uprzątają bałagan. Chowa leki do szafek, jakby ukrywała coś wstydliwego, i dopiero po chwili zauważa słoiczek w jego palcach.

– Oddaj – żąda.

– Co to za lek, mamó?

– Nie wiem, pokaż. – Matka wyrywa mu ulotkę, a potem marszczy brwi. – Dziwne. Nie rozumiem, skąd on się tu wziął. Musiał zaplątać się omyłkowo, kiedy robiłam porządki – tłumaczy chaotycznie.

Chłopak dygocze. Wie, że to nieprawda. Dostawał ten lek wiele razy. Zapadał po nim w czarny sen bez snów, umierając ze strachu o to, czy zdoła się obudzić.

– Podawałaś go mi – mówi głosem nabrzmiałym od żalu.

– Nie, synku. Nigdy bym tego nie zrobiła. Przysięgam.

Jej pocałunki spadają na policzki i czoło chłopaka. Matka płacze, tonąc w zapewnieniach o swojej miłości, lecz on po raz pierwszy, choć bardzo chce, nie potrafi jej uwierzyć. Nie wzrusza go teatr z łez i lamentów. A ledwie słyszalny głosik w środku jego głowy podpowiada, by nie ufał kobiecie w kwiecistej sukience. Nie wie jednak, czy sam przed sobą przyzna, że ten głos usłyszał.





Teraz

Popołudnie

Poniedziałek, 29 kwietnia 2019 roku, Sinice

Młodzież wysypująca się z Liceum Ogólnokształcącego im. Kazimierza Jagiellończyka przypominała buzujący rój pszczół. Nastolatki grupkami wypadali na plac przed szkołą. Rozgadani, kolorowi i uroczo bezczelni. W sposób, w jaki można być bezczelnym tylko wtedy, gdy ma się naście lat. Ten widok ukłuł Daniela gdzieś pod żebrem. Szczególnie gdy przez furtkę przeszła dziewczyna o kręconych włosach, która mogłaby być starszą wersją jego córki.

Odwrócił twarz, udając, że nie dostrzega zaciekawionych spojrzeń i wzroku lustrującego blizny na jego twarzy. Czy on też był kiedyś tak nieprzyzwoicie radosny? – myślał, zasłuchany w śmiech licealistów. I czy kiedykolwiek jeszcze będzie?

Z rozważań wyrwał go niespodziewany dotyk Jagody Borowiec. Uczennica położyła dłoń na jego ramieniu, jakby witała się z dawno niewidzianym przyjacielem.

– Jestem – oświadczyła.

Odruchowo cofnął rękę, nieprzyzwyczajony do tego, by ktoś dotykał jego blizn. Nawet przez warstwę materiału. Tak jak teraz, gdy pozbawiony płaszcza po kąpieli w bagnie miał na sobie tylko sweter na suwak.

– Przepraszam, nie chciałam cię wystraszyć – wydukała, rumieniąc się po czubki uszu. Przechodzący obok nauczyciel znacząco chrząknął i obrzucił Webera potępiającym spojrzeniem. Dziennikarz zdał sobie sprawę, że jego wygląd i obecność pod budynkiem szkoły niekoniecznie muszą budzić zaufanie. Posłał belfrowi uspokajający uśmiech.

Za plecami Jagody wyrósł chłopak o długich, pajęczych nogach. Założył kciuki za szelki plecaka i dokładnie zlustrował Daniela. W jego wysuniętym podbródku, tym, jak mrużył oczy i zadzierał głowę, było coś pogardliwego, jakby czuł do dziennikarza niechęć.

– To co, idziemy? – Zerknął pytająco na koleżankę, ignorując Webera.

– Jasne – odparła. – To mój przyjaciel, Filip. W redakcji zajmuje się obróbką zdjęć i materiałami video – wytłumaczyła Danielowi, rozglądając się za środkiem transportu. – Gdzie masz samochód?

– Nigdzie. Od dwóch lat nie prowadzę. Chodzę pieszo albo jeżdżę taksówkami.

Dziewczyna zamrugnęła, przypominając sobie to, co znalazła o nim w sieci, po czym rzuciła krótkie „aha” i wskazała kierunek spaceru.

Wiosenne słońce ogrzewało ich twarze. Tego dnia niebo mieniło się błękitem, a termometry wskazywały dziewiętnaście stopni. Kiedy przechodzili pod szpalerem soczyście zielonych drzew, Borowiec poinformowała, że redaktor naczelna musiała wyjść wcześniej z biura z powodu złego samopoczucia i dzięki temu będą w redakcji tylko we troje. W drodze nastolatka z ożywieniem opowiadała o mijanych budynkach, o tym, jak bardzo miejscowość rozkwitła w ostatnich latach, oraz o mieszkańcach Sinic.

– Wszyscy u nas się znają. Ludzie są na ogół mili, ale nigdy nie można mieć pewności, czy ta uprzejmość jest szczerą, czy to tylko sztuczny miód. Małe miasto, wielkie kłamstwa – skwitowała,

otwierając drzwi do lokalnego domu kultury. – Proszę. – Przepuściła dziennikarza przodem.

On i dziewczyna szli pierwsi, Filip pozostawał w tyle. Nie brał udziału w rozmowie, ale przysłuchiwał się jej z cynicznym wyrazem twarzy. Odgłos ich kroków niósł się echem po pustym korytarzu o kamiennej posadzce i kremowych, świeżo pomalowanych ścianach. Zapach farby nadal unosił się w powietrzu. Na piętrze jakaś kobieta myła podłogę wokół rozstawionych w kącie sztalug.

Na widok gości sprzątaczką przywitała się i wróciła do pracy, a uwaga Webera powędrowała do zdjęć zamglonych pejzaży, wyeksponowanych na stojakach.

– Tutejsi boją się czegoś równie mocno jak mgły? – spytał, gdy mijali wystawę.

– Boga i opinii sąsiadów – oznajmiła Jagoda. – Zwłaszcza tego ostatniego. W małej społeczności, jak ta, bycie odrzuconym może słono kosztować. W pewnym stopniu wszyscy od siebie zależymy, a reputację ma się tylko jedną, lepiej jej nie psuć.

Uczennica zanurkowała dłonią w workowatej torebce. Po chwili wyjęła z niej pęk dzwoniących kluczy na smyczy. Gdy szarpała się z kolorową tasiemką, z torby wypadło jej pudełko z lekami.

Daniel podniósł je i podał Jagodzie, a ona pośpiesznie schowała zgubę i otworzyła drzwi do redakcji.

– Witamy w naszych skromnych progach. – Szerokim gestem wskazała trzy zagracone biurka w ciasnym pokoiku z oknem wychodzącym na ulicę Ludową.

Jedno z biurek stało w rogu pod ścianą, nieopodal kącika kawowego, i zapewne należało do redaktor naczelnej, co wywnioskował po zostawionym na blacie złotym kubku z napisem „Jej Wysokość szefowa”. Dwa pozostałe znajdowały się bliżej okna. Piętrzyły się na nich książki, czasopisma i wydruki.

Filip rzucił plecak na obrotowe krzesło, a następnie podszedł do czajnika.

– Jagoda, masz ochotę na kawę?

Dziewczyna podziękowała, ale niespodziewanie odezwał się Weber.

– Ja poproszę. Z mlekiem, jeśli to możliwe.

Nastolatek ledwie zauważalnie przewrócił oczami, a później zdjął z ociekacza dwa kubki i napełnił je granulkami rozpuszczalnej nescafé. Pokój wypełnił szum czajnika. Dziennikarz usiłował zrozumieć, dlaczego jego obecność tak drażni licealistę, ale dopiero gdy złapał jedno z czułych spojrzeń, którymi Filip obdarzył koleżankę, pojął, że chłopak żywi do niej uczucia. Być może uznał dojrzałego mężczyznę za kogoś w rodzaju rywala i napędzany zazdrością, postanowił traktować go ozięble.

Po twarzy Daniela przebiegł życzliwy uśmiech. Reporter był starszy od dziewczyny o dwie dekady, nie przyszłoby mu nawet do głowy, by myśleć o niej w ten szczególny sposób. Nie wspominając o tym, że dwa lata temu jego serce uschło jak stare drzewo i nie podejrzewał, by kiedykolwiek mogło znów zacząć czuć.

– Idziemy do archiwum? – zapytała Jagoda, z werwą podwijając rękawy bluzki. – Rano zdążyłam namierzyć kilka numerów, ale jeszcze sporo wertowania przed nami.

– Chcesz powiedzieć, że dzisiaj już tutaj byłaś? Kiedy? – Filip, marszcząc czoło, zastygł podczas mieszania kawy.

– Wpadłam przed lekcjami. Chciałam jakoś przyspieszyć to całe szukanie, a przy okazji zamieniłam parę słów z naczelną.

– No proszę, a podobno nie znosisz wczesnie wstawać – podsumował złośliwie chłopak, po czym wręczył dziennikarzowi kubek z kawą. – Niestety mleko się skończyło – dodał, choć Weber widział w kącie na podłodze zgrzewkę wypasionego.

Pominał jednak ten fakt milczeniem i podziękował chłopakowi. Chwilę później wkraczał do wąskiej i długiej kanciapy bez okien, zastawionej po obu stronach metalowymi regałami ciągnącymi się od podłogi aż do sufitu. Półki ugiwały się pod ciężarem papierowych segregatorów oraz pudeł. Gdy goła żarówka, zwisająca na kablu, rozbłysła, szafki zalała żółta poświata. W pomieszczeniu unosił się zapach kurzu oraz starych książek, od którego Danielowi zakręciło się w nosie. Kichnął, zakrywając usta dłonią.

– Sporo tego nazbieraliście.

– Tak, kiedyś „Głos Sinic” był dziennikiem – wyjaśniła dziewczyna, wpatrzona w świstek papieru z odręcznymi notatkami, który obracała w palcach.

Weber pociągnął łyk kawy, po którym skrzywił się z obrzydzeniem i natychmiast odstawił kubek na krawędź jednej z półek. Napój był tak mocny, że wypicie go oznaczałoby prośzenie się o wizytę na szpitalnym oddziale ratunkowym. Borowiec przesuwiała wzrokiem po etykietach na pudłach, a gdy znalazła odpowiedni rocznik, dosunęła do regału wysoką drabinę na kółkach.

– Mógłbyś? – Spojrzała w górę. – Musimy zdjąć tamten brązowy karton z wrześniami dwa tysiące jedenastego. Wtedy zaginęła Matylda Sarnacka.

Dziennikarz wspiał się na chyboczącą drabinę. Stopnie zatrzeszczały pod nim. Zachwiał się, pewien, że lada moment runie w dół, ale jakimś cudem zdołał odzyskać równowagę. Odetchnął z ulgą. Stając na palcach, sięgnął po pudło wciśnięte w róg na najwyższej półce i powoli zszedł na dół.

– Rozumiem, że niewiele się u was dzieje i dostarczacie sobie adrenaliny na wszelkie możliwe sposoby, ale ta drabina to już przesada. Zabiłbym się.

Dziewczyna się roześmiała.

– Co najwyżej lekko obić.

Zdjęła pokrywę kartonu i zaczęła przeglądać pożątkłe numery sprzed ośmiu lat. Jej palce sprawnie przerzucały kolejne egzemplarze, aż w końcu natrafiła na ten właściwy i odłożyła go na niewielki stolik.

– Według mnie od tego wszystko się zaczęło – powiedziała, gładząc zdjęcie uśmiechniętej blondynki wydrukowane na pierwszej stronie. – Kiedy zniknęła, chodziłam do trzeciej klasy. Pamiętam jak przez mgłę, że wieczorami rodzice rozmawiali o niej szeptem, pewni, że już śpię, a ja wyłapywałam strzępki słów, ale niewiele z nich rozumiałam.

Wróciła do swoich notatek i wydobyła z pudła jeszcze kilka numerów, a później wykreśliła z listy te egzemplarze, które udało jej się już odnaleźć. By usprawnić pracę, podzielili się zadaniami. Daniel lokalizował na regałach konkretne miesiące z określonych roczników, natomiast dziewczyna przeglądała poszczególne numery, zaznaczając kolorowymi fiszkami wzmianki o tajemniczych zdarzeniach we mgle.

Kiedy skończyli, dochodziła piąta. Weber ukradkiem wylał kawę do doniczki z kaktusem. W pokoiku redakcji rozparty na krześle Filip pochłaniał snickersa. Na ekranie jego komputera widniało zdjęcie jakiegoś mężczyzny w garniturze przecinającego wstęgę, a z radia ustawionego na parapecie płynęły dźwięki popowych przebojów. Dostrzegając reportera, chłopak skomentował:

– No proszę, jesteście. A już myślałem, że pochłonęła was czarna dziura.

– I nie ruszyłeś nam na ratunek? Dzięki za kawę, tego mi było trzeba. – Oddał Klepackiemu pusty kubek.

Nastolatek zmierzył go podejrzliwym spojrzeniem. W tym czasie Borowiec uprzątnęła pobieżnie biurko szefowej, położyła na nim

naręcze gazet oraz plik kartek i kilka pisaków, po czym zaprosiła tam dziennikarza.

Weber chciał odstawić kubek redaktor naczelnej, by przypadkiem się z niego nie napić, ale kiedy podniósł naczynie, a resztką napoju zatańczyła na dnie, zauważył, że pod warstwą czarnego płynu znajduje się biały proszek, przypominający niedokładnie rozpuszczoną tabletkę. Zmrużył oczy.

– Wszystko w porządku? – zapytała nastolatka, zniecierpliwiona nachylając się nad nim.

– Tak. Po prostu nie spodziewałem się, że będzie tego tak dużo.

Odstawił naczynie, wskazując na stosy gazet.

– Większość to krótkie aktualizacje. Pójdzie szybciej, niż ci się wydaje. A tutaj – przekazała mu plik wydruków – przygotowałam wszystkie publikacje dotyczące zaginięcia Alicji Jarosz i człowieka z mgły. Pochodzą z ostatnich dwóch miesięcy. Wprawdzie możesz je też znaleźć w wersji online, ale pomyślałam, że tak będzie wygodniej.

Daniel objął wzrokiem morze papierów zaścielających biurko i podrapał się po czole.

– No dobra, czas się z tym zmierzyć – powiedział, układając periodyki od najstarszego.

Przez następne dwie godziny z miejsca, w którym pracował, dochodziły szelest papieru, powtarzane szeptem cytaty z artykułów oraz ziewnięcia. Weber z zapalem notował daty, nazwiska i fakty powiązane z każdym z zaginięć oraz z morderstwem sprzed siedmiu lat. Od ilości informacji kręciło mu się w głowie. Wiercił się na krześle, szukając wygodnej pozycji, ale jego kręgosłup i tak dawał o sobie znać ćmiącym bólem w dole pleców. Co jakiś czas przecierał spocone czoło i pogrążony w myślach uderzał końcówką długopisu o archiwalne numery. Nie dostrzegał spojrzeń Jagody, nie słyszał

ironicznych komentarzy licealistów. Wyruszył w podróż do lasu, we mgłę, razem ze wszystkimi, którzy udali się tam na długo przed nim.

Kiedy skończył, odsunął na bok stos gazet i poukładał obok siebie zapisane kartki z notatkami, które przykrywały biurko niczym wielka płachta. Jego twarz zdobił rumieniec, oczy błyszcząły jak w gorączce. Za oknem słońce zachodziło na tle różowo-fioletowego nieba, ale Daniel nawet go nie zauważył. Podniósł się, by rozciągnąć mięśnie pleców, i dopiero wtedy przypomniał sobie, że nie jest w redakcji sam.

Filip, stojąc przy drzwiach, wkładał kurtkę, Jagoda chowała rzeczy do plecaka.

– Witamy wśród żywych – zażartowała.

Weber zamrugał, jakby jeszcze niezupełnie wrócił z wyprawy w przeszłość.

– Możecie podejść do mnie na chwilę?

Klepacki stęknął. Zsunął plecak z ramienia, zrzucając go na podłogę, i z rękoma w kieszeniach powłókł się do biurka reportera.

– No, co tam? – zapytał, rzucając od niechcienia okiem na notatki.

Borowiec dołączyła do nich po chwili, zajmując miejsce pomiędzy kolegą a dziennikarzem. Jej wzrok przesuwiał się po zapiskach, a głowa kiwała z uznaniem.

– Nieźle, nie wiedziałam, że aż tyle można wyciągnąć z tych starych artykułów – stwierdziła.

– Problem w tym, że nadal niewiele nam to daje. – Daniel potarł twarz, drepcząc wzdłuż biurka. – Może gdybyśmy odkryli, co łączy te wydarzenia, znaleźlibyśmy jakieś wskazówki.

Licealista nachylił się nad blatem, śledząc zawartość każdej z kartek.

– Ich wiek – powiedział, po czym zaczął dotykać palcem poszczególnych notatek, tłumacząc: – W momencie zaginięcia



wszyscy byli nastolatkami. Matylda miała siedemnaście lat, Dominika i Maks czternaście i siedemnaście, a Alicja przepadła dzień po swoich dziewiętnastych urodzinach. Nie pasuje tylko zabójstwo dokonane przez Emila Biernata, bo i on, i ofiara zblížali się już do trzydziestki.

– Mnie nie przestaje intrygować to, że oni giną co cztery lata – wtrąciła Jagoda. – Wprawdzie policja zarzuciła ten trop, uznając go za czysty przypadek, ale trudno mi wierzyć w tak duży zbieg okoliczności.

Daniel mruknął z zaciekawieniem. Przesunął na środek kartkę, na której narysował prowizoryczną mapę z zaznaczonymi mokradłami, rzeką Brok i lasem otaczającym Sinice.

– Ciekawe jest też to, że wszystko wydaje się spajać jedno miejsce. – Wskazał na zalesione tereny wokół bagien. – Tam został zabity Marek Błach, Matylda Sarnacka mieszkała nieopodal, Alicja Jarosz feralnego ranka poszła w tamtym kierunku, a Dominika i Maks, choć zniknęli bez śladu, to podobno również byli widywani w okolicy.

– Błagam, chyba nie wyjedziecie teraz z tą bajką o mgłę – stęknął Filip. – To wszystko bujdy. Regularnie chodzę tam robić zdjęcia i jeszcze nigdy nic mi się nie stało. Zapewniam was, że nie czyha tam żaden diabeł. Ludzie sobie to wszystko wymyślili.

Weber przyglądał się chłopakowi, próbując rozgryźć, czy to jego mógł spotkać minionej nocy w lesie.

– Co do tego nie mam żadnych wątpliwości – oznajmił. – Bardziej zastanawia mnie, dlaczego zaginęły akurat te osoby. Z artykułów wywnioskowałem, że się raczej nie znali. Czy mogli odkryć w lesie coś, co było na tyle kontrowersyjne, że trzeba ich było uciszyć?

– Niby co? – irytował się Klepacki. – Szukacie sensacji na siłę. A może po prostu zwiali, dokładnie tak, jak twierdzi policja? Poza

tym te sprawy wcale nie muszą się ze sobą łączyć.

Nad biurkiem tonącym w papierach zapadła cisza. Dziennikarz poczuł, jak zmęczenie oplata jego skronie i zaciska na nich żelazną obręcz.

– Może masz rację – rzucił, a następnie zaczął zbierać notatki, lecz po chwili przystanął z ręką pełną kartek. – Jeszcze jedno. Kto według was mógł zainspirować te legendy o mgle? Zauważyłem, że pierwsze pogłoski na ten temat pojawiły się już po morderstwie w dwa tysiące dwunastym.

– Nie jestem pewna. Miałam wtedy dziesięć lat. – Jagoda utkwiała spojrzenie w pejzażu za szybą. – Pamiętam tylko, że głównym informatorem ciotki z ramienia policji był Krzysztof Lipski.

– Z tego, co wiem, pan komisarz nie wierzy w te bzdury – skomentował Filip.

– To samo twierdził, gdy wyciągał mnie wczoraj z bagna. – Weber poczuł na sobie pytające spojrzenia i w telegraficznym skrócie streścił przebieg nocnej eskapady do lasu. – Ale może to, co mówi Lipski, to tylko oficjalna wersja. Jeśli podsuniesz ludziom winnego, nie będą go już szukali. Kiedy uwierzą, że za złem stoi mgła, przestaną tropić człowieka, i może o to mu chodzi?

Klepacki zarzucił plecak na ramię i sceptycznie spojrzał na reportera.

– Serio? – Prychnął. – Spadam, ojciec na mnie czeka.

Chłopak podszedł do Jagody i ostentacyjnie pocałował ją w policzek, a później zatrzasnął za sobą drzwi.

– Późno już. My też powinniśmy się zbierać. – Daniel upychał właśnie kartki w torbie na laptopa, gdy niechcący strącił łokciem na wykładzinę złoty kubek naczelnej. – Cholera, dasz mi ręczniki papierowe?

Nastolatka rzuciła mu rolkę, a on pospiesznie urwał kilka listków i przycisnął je do plamy na podłodze. Jego wzrok znów padł na białą, nie do końca rozpuszczoną tabletkę na dnie naczynia.

– Co właściwie stało się twojej szefowej, że musiała skończyć pracę wcześniej?

– Kłopoty z żołądkiem. – Dziewczyna skrzywiła się, rysując dłonią kółko na wysokości pępka. – Podobno i tak, zamiast przed komputerem, musiała siedzieć w toalecie, więc uznała, że to nie ma sensu, i poszła do domu.

Weber przywołał w pamięci pudełko z lekami, które wypadło z torby Jagody. Gdy uświadomił sobie, że były to środki przeczyszczające, ogarnął go chłód. Patrzył na drobne plecy siedemnastolatki, próbując zrozumieć, z kim naprawdę ma do czynienia, a wtedy ona odwróciła się z uśmiechem równie ujmującym, co diabolicznym.

\*

Zaplecione na piersi ramiona i zmarszczone czoło komisarza Lipskiego sugerowały, że raczej nie czuł przesadnego entuzjazmu na myśl o eksperymencie. Podobny sceptycyzm malował się na twarzy doktora Załuskiego, który razem z pacjentem tuż po siódmej dołączył do zebranych w opuszczonym domu przy ulicy Kochanowskiego.

Aspirant Sowińska usiłowała przedstawić Krzysztofowi pomysł jako swój, ale kłamanie nigdy nie było jej mocną stroną i policjant szybko ją przejrzał. Wściekły na niesubordynowaną partnerkę oraz dziennikarza wtykającego nos w nie swoje sprawy, kategorycznie odmówił udziału „w tej błazenadzie”. Dopiero reprimenda od komendanta, związana ze stojącą w miejscu sprawą Jarosz,

zmieniła nastawienie funkcjonariusza, który teraz z naburmuszonym wyrazem twarzy niecierpliwie uderzał stopą o posadzkę.

Weber jako jedyny sprawiał wrażenie wyjątkowo podekscytowanego. W emocjach nie docierały do niego kąśliwe uwagi komisarza ani wrogość medyka. Chodził niespokojnie po zakurzonej, pachnącej betonem pomieszczeniu i przestawiał leżące na podłodze przedmioty zorganizowane przez policjantkę. Baniak z emulsją gruntującą, wałek malarski, wiadro z wodą i worek gładzi.

Mężczyzna z amnezją przyglądał się temu z dłońmi wciśniętymi pod pachy rozciągniętej bluzy. Miał na sobie ubranie, które dostał wcześniej na komendzie. Czuł się w nim nieswojo i co chwilę pocierał kark z powodu drapiącej go metki. Nie rozumiał, w jakim celu przyprawiono go do obcego domu, a jedynym, co udało mu się wydusić z lekarza, była informacja, że to doświadczenie może mu pomóc w odzyskaniu pamięci. Zgodził się z oporem, bo im więcej obrazów z przeszłości odkrywał, tym bardziej wydawała mu się ona mroczna.

Lipski podwinął rękawy i patrząc na Daniela, znacząco odchrząknął.

– Skoro to pan nas tu ściągnął, to proszę o przejęcie inicjatywy – polecił.

Dziennikarz uśmiechnął się życzliwie do pacjenta.

– Chciałbym, żeby obejrzał pan przedmioty, które tu przynieśliśmy, i zastanowił się, czy cokolwiek panu mówią. Może wydadzą się znajome. Wie pan, do czego służą?

Mężczyzna podszedł do zgromadzonych na posadzce rzeczy i zaczął ich dotykać. Zdawało się, że wszyscy w pokoju wstrzymali oddech. Komisarz zastygł w oczekiwaniu, Sowińska szarpała paski zamykające jej ranę na policzku, a doktor Załuski niecierpliwie

uderzał palcami o tarczę zegarka. W ciszy każdy najdelikatniejszy dźwięk odbijał się echem od nagich ścian.

Człowiek z lasu zamknął oczy i nabrał tchu. Weber pogonił go w duchu – „no dalej” – i napiął mięśnie, jakby chciał w ten sposób pomóc mężczyźnie. A wtedy on sięgnął po puste wiadro, napełnił je emulsją gruntującą i zanurzył w niej wałek. Z wprawą, której najwyraźniej sam się nie spodziewał, przesuwiał narzędziem po ścianie. Kiedy skończył, otworzył nożem worek z gładzią, wsypał ją do wiadra z wodą i wymieszał leżącym na podłodze kijem. Działał automatycznie, jakby to nie on sterował swoim ciałem. Jakby jego ręce doskonale pamiętały tę sekwencję ruchów.

Przy nakładaniu gładzi na pacę opadł na podłogę, a po jego policzkach popłynęły łzy. Otarł umorusanymi dłońmi twarz i pociągnął nosem.

– Wiem, jak to robić – powiedział, przytłoczony odkryciem, którego właśnie dokonał. – Nie mam pojęcia skąd, ale wiem dokładnie.

– Czy coś się panu przypomina? – chciał wiedzieć psychiatra, ale mężczyzna bezradnie pokręcił głową.

Wtedy Weronika Sowińska włożyła gumowe rękawiczki i z papierowej koperty wydobyła portfel na rzep. Człowiek z amnezją na jego widok zeszywniał, a następnie zaczął coraz szybciej oddychać.

– Rozpoznaje go pan? – zapytała policjantka.

Mężczyzna nie odpowiadał, ale patrzył na przedmiot z przerażeniem. Jego blada dotychczas twarz nabiegła czerwienią. Funkcjonariuszka wyjęła ze środka legitymację emerycką Jerzego Kosa, podsunęła ją pod oczy pacjentowi, a ten niespodziewanie położył ręce na uszach i kiwając się, zacisnął mocno powieki. Z jego ust wydobywały się skleione ze sobą, trudne do zrozumienia słowa, które dopiero po chwili stały się czytelne.

– Dlaczego tak szumi? Niech przestanie. Boję się. Wyłączcie ten hałas!

Weronika z Krzysztofem wymienili spojrzenia.

Mężczyzna nie przestawał dygotać, jego czoło zrosił pot.

– Dość! – przerwał wzburzony doktor Załuski, kładąc rękę na ramieniu pacjenta i tym samym wrywając go z amoku.

Mężczyzna gwałtownie otworzył oczy. Nadal oddychał spazmatycznie, jakby miał za moment zemdleć, ale wydawał się w pełni obecny. Daniel czuł, że dotknęli czegoś ważnego, nie mógł pozwolić, by to teraz stracili. Ignorując psychiatrę, doskoczył do pacjenta i ukucnął obok niego.

– Co pan zobaczył?

– Ja... nie wiem... Nie mogę tego złapać...

Weber widział, jak wargi tego człowieka drżą, i choć był pewien, że nie powinien naciskać, nie potrafił przestać.

– Wiem, że zobaczył pan coś strasznego, musimy się dowiedzieć co.

Mężczyzna ponownie potrząsnął głową, ale nie jak ktoś, kto nie potrafi sobie czegoś przypomnieć, tylko jak człowiek obawiający się zaglądać w to mroczne miejsce, z którego przed momentem wyjrzało coś przerażającego.

Daniel przeklął w duchu i już miał podjąć kolejną próbę, kiedy powstrzymał go Załuski.

– Wystarczy tego cyrku. Pacjent jest zmęczony, powinien wrócić do szpitala – zawyrokował.

Zarówno dziennikarz, jak i policjanci zamierzali wejść z nim w dyskusję, ale wtedy ciszę przeciął zdecydowany głos mężczyzny bez tożsamości:

– Nie wrócę do szpitala. Mam już dość badań i testów.

Wszyscy spojrzeli na niego z zaskoczeniem.

– Chwila moment – rzucił komisarz, unosząc uspokajająco dłonie.  
– To co pan w takim razie zamierza? Nie ma pan pieniędzy ani dokumentów. Gdzie będzie pan spał? Co jadł? Jak pan to sobie w ogóle wyobraża? – irytował się. – Poza tym chciałbym, by pozostał pan do naszej dyspozycji, dopóki nie wyjaśnimy, skąd miał pan naszyjnik Alicji Jarosz.

Pacjent spochmurniał, jakby dopiero dotarło do niego, że znajduje się w wyjątkowo trudnym położeniu.

– Mogę zabrać pana ze sobą – wtrącił Weber, któremu także zależało na tym, by nie stracić kontaktu z mężczyzną. – Zatrzymałem się w Pokojach u Wandy. Właścicielka na pewno znajdzie jedno dodatkowe miejsce, a ja pokryję koszty.

Oblicze człowieka z lasu się rozjaśniło.

– Absolutnie wykluczone – zaprotestował Załuski, wymachując rękoma, po czym z troską zwrócił się do pacjenta: – Nie wolno nam postępować pochopnie. Nie powinniśmy teraz przerywać terapii. Idzie panu naprawdę dobrze i lada dzień może nastąpić przełom.

– A co, jeśli ja wcale nie chcę sobie przypomnieć? Może istnieje jakiś powód, dla którego to wszystko zniknęło z mojej pamięci. Sam pan mówił, że czasem ludzka psychika broni się w ten sposób.

– Tak, ale...

– To pozwólmy jej nadal mnie chronić – przerwał mu mężczyzna. – Muszę zacząć żyć normalnie, wśród zdrowych ludzi – powiedział, po czym przeniósł wzrok na komisarza. – Nie mam nic do ukrycia i nie zamierzam uciekać, może pan być o to spokojny – zapewnił i skierował się do wyjścia.

Sowińska spojrzała na Krzysztofa z paniką, a wtedy Lipski warknął do Webera:

– No, co się pan tak gapi? Niech pan za nim idzie i go teraz pilnuje, skoro sam się pan zaoferował.

Daniel rozejrzał się wokół zaskoczony rozwojem wydarzeń, ale w końcu skinął policjantowi głową i wybiegł. Wściekły komisarz kopnął wiadro z emulsją gruntującą, która zaczęła rozlewać się po podłodze.

– Wy i te wasze pieprzone eksperymenty – zrzędził, dźgając powietrze między nim a Weroniką. – Jeśli okaże się, że to on odpowiada za zaginięcie Jarosz, obiecuję ci, że osobiście za to bekniesz. Teraz nie mamy nad nim już żadnej kontroli.

– A myślisz, że wcześniej mieliśmy? I skąd pewność, że zrobił coś tej dziewczynie? Na jego ubraniach ani pod paznokciami nie wykryliśmy śladów jej krwi. Może tylko znalazł naszyjnik, i tyle? – broniła się zaciekle.

Lipski z bezsilności zacisnął dłonie w pięści. Wszystko w nim buzowało.

– To niech nam chociaż powie gdzie, do cholery. Gdzie trafił na ten przeklęty wisiołek. Wtedy pójdziemy tam i będziemy szukać dziewczyny.

– On tego nie pamięta – włączył się Załuski, który dotychczas pozostawał zamyślony. – Ale w tym, co powiedział, jest pewna słuszność. Im dłużej się nad tym zastanawiam, tym bardziej jestem skłonny uwierzyć, że żyjąc poza szpitalem, rzeczywiście może odzyskać pamięć szybciej.

Krzysztof pokręcił głową z niedowierzaniem.

– O ile już jej nie odzyskał – rzucił pod nosem, po czym machnął na Weronikę. – Robota czeka, widzę cię za moment na komendzie – oznajmił i skierował się do wyjścia.

Policjantka westchnęła ciężko, rozglądając się po zagraconym pomieszczeniu.

– Na mnie też już pora. – Doktor Załuski pożegnał się uściskiem dłoni.



Kiedy Sowińska została sama, poczuła piekące w piersi rozczarowanie i gulę rosnącą w gardle. Wzięła głęboki wdech, by ze złości się nie rozplakać, po czym zaczęła kompulsywnie uprzątać bałagan. Zbierając rzeczy z parapetu, dostrzegła za szybą odjeżdżającą vectrę Lipskiego oraz zaparkowane pod domem czarne bmw, należące do psychiatry. Lekarz zatrzymał się przy samochodzie, kontrolnie spojrzął w okno budynku i wyciągnął telefon. Tknięta przecuciem Weronika pobiegła do uchylonych drzwi wyjściowych, a następnie zbliżyła do nich ucho.

– ...to była jego decyzja. Według mnie on pamięta dużo więcej niż na początku, a może nawet wszystko – powiedział do słuchawki Załuski.



## Wrzesień 2011 roku

*Jest noc. Matylda siedzi na krawędzi jego łóżka. Weszła przez okno, jak to zwykła robić po zmroku, gdy w pokoju jego matki gaśnie światło. Od kilku miesięcy wspina się po pergoli, na której latem rosną winogrona, i rozmawia z nim aż do chwili, gdy zmęczony zaśnie. A teraz on patrzy w ścianę, a ona wbija wzrok w podłogę i ściska w palcach kolczyk w kształcie słonika. Powietrze w pokoju sprawia wrażenie naelektryzowanego. Cisza kąsa uszy i zakłóca ją tylko skrzypienie niedomkniętej okiennicy poruszanej wiatrem.*

*– To niemożliwe, nie opowiadaj takich rzeczy. – Chłopak strzepuje z pościeli okruchy zakazanych drożdżówek, które zjedli we dwoje.*

*– Widziałam, jak wsypała do twojego obiadu biały proszek.*

*– I co z tego? To były na pewno jakieś witaminy.*

*– Ludzie nie wymiotują po witaminach.*

*– Wymiotuję, bo jestem chory.*

*Dziewczyna zrywa się z podłogi i podchodzi do okna, za którym panuje ciemność.*

*– Dlaczego nie chcesz zobaczyć tego, że ona cię truje? – pyta.*

*– To nieprawda. Zrezygnowała dla mnie ze wszystkiego, co było dla niej ważne. Z przyjaciół, pracy. Nie dojada, nie dosypia, jeździmy do lekarzy w całej Polsce. Nie mogłaby mnie krzywdzić. No bo po co? To by nie miało żadnego sensu.*

*– Nie wiem – odpowiada Matylda, kapitulując, po czym siada na dywanie i opiera plecy o ciepły grzejnik. – Może sprawia jej to przyjemność?*

– Przestań!

Nastolatka zaciska usta i odwraca twarz. Gładzi palcami włosie dywanu.

– Nie dziwi cię to, że odkąd znów ukrywasz leki w materacu, czujesz się lepiej? – rzuca w zamyśleniu.

Chłopak drapie swędzące z irytacji ręce. Z całych sił odpycha od siebie te absurdalne myśli.

– Musiały być źle dobrane.

– Na wszystko masz gotową odpowiedź.

– Bo to, co sugerujesz, to czyste szaleństwo. Nie każdy jest tak okrutny jak twój ojciec i brat. – Milknie, zdając sobie sprawę, że wypowiedział o kilka słów za dużo.

Przesuwa się na skraj łóżka, wyciąga rękę i kładzie dłoń na ramieniu Matyldy, ale ona ją strąca.

– Kupiłam bilety na autobus do Londynu – mówi, skupiona na odrywaniu kulistych zmechaceń od skarpet. – Dla ciebie i dla mnie. Moglibyśmy stąd uciec. Zaszyć się gdzieś z dala od ludzi, przed którymi musimy się ukrywać.

W jego głowie rozbrzmiewają radosne dzwonki.

– Odłożyłam trochę pieniędzy – kontynuuje dziewczyna. – Niebawem będziemy pełnoletni. Znajdę pracę w jakiejś knajpie. Wynajmiemy maleńki pokój.

– A co z moją matką?

– Odzyska wolność. Znów będzie mogła spotykać się z przyjaciółmi i chodzić na tańce.

Chłopak rozpromienia się, lecz po chwili na powrót pochmurnieje.

– Nie, to się nie uda. Jestem chory, nie mogę być dla ciebie ciężarem.

Ze smutkiem spuszcza głowę, a wtedy ona przysuwa się do niego i chwyta w palce drobny podbródek.

– Nie będziesz. Według mnie twoja choroba jest tylko tu – dotyka jego skroni – i tu. – Przesuwa spojrzeniem po ścianach starego domu. – Te mury są nią przesiąknięte.

Nagle z korytarza za drzwiami dobiegają szelest i ciche stuknięcie. Nastolatkwie kamienieją, pewni, że lada chwila zostaną nakryci. Czekają w napięciu, ale nic więcej się nie wydarza.

– To pewnie suchy liść z figusa – tłumaczy chłopak.

Matylda jednak nadal niepewnie spogląda w kierunku wyjścia. Splata palce z palcami chłopaka.

– Posłuchaj – szepcze szybko, jakby bała się, że ktoś mógłby jej przerwać. – Przyjdę po ciebie w piątek w nocy. Bus do Warszawy odjeżdża z dworca przed północą. W stolicy wsiądziemy do autokaru, który zabierze nas prosto do Anglii. Uciekniemy stąd, dobrze? – Widzi, że chłopak się waha, dlatego kładzie jego dłoń na swoim sercu. – Kiedy jesteśmy razem, nie grozi nam nic złego, pamiętasz?

On się uśmiecha, a później zaskakująco dla samego siebie mówi:

– Dobrze. Pojadę z tobą.



Teraz

Wieczór

Poniedziałek, 29 kwietnia 2019 roku, Sinice

Weber dogonił go przed domem. Stał przy furtce z wzrokiem wbitym w asfalt i rękoma w kieszeniach. Jego ramiona opadły, a usta wygiął smutek. Na dźwięk kroków wzdrygnął się i podniósł przestraszone spojrzenie.

– Naprawdę mógłby mnie pan zabrać ze sobą? – zapytał nieśmiało.

– Lepiej będzie Daniel. – Dziennikarz wyciągnął do niego rękę, a gdy mężczyzna podał mu swoją, uśmiechnął się. – Jest jakieś imię, którym można się do ciebie zwracać?

– W szpitalu mówili na mnie Jan.

– Jan – powtórzył Weber. – Dostojnie. W takim razie chodźmy. To niedaleko. Porozmawiam z panią Wandą i zobaczymy, co da się zrobić.

– Dziękuję.

Kilka pierwszych metrów pokonali w pełnym skrępowania milczeniu. Zapadający wieczór rozmywał kontury i kształty. Reporter obawiał się, by nieopatrzenie nie wywołać u mężczyzny kolejnego ataku paniki. Ciepły wiatr lekko muskał ich policzki, a powietrze pachniało świeżo skoszoną trawą. Towarzyszył im odgłos butów

uderzających o chodnik i warkot przejeżdżających ulicą samochodów.

– Jak to jest nie pamiętać? – odezwał się w końcu Daniel.

Jego kompan w namyśle przygryzł wargę.

– Najczęściej strasznie, jakby się nie istniało. Ale czasami też wspaniale, bo ma się poczucie, że można wszystko zacząć od nowa i nigdy już nie wracać do tego, co było.

– A jeśli ktoś gdzieś tam na ciebie czeka?

– Nie sądzę. Gdyby tak było, już dawno by mnie szukali. A z tego, co wiem, nikt nie zgłosił mojego zaginięcia.

Jan powiódł spojrzeniem po polach rozciągających się pod lasem, Weber natomiast obracał w palcach monetę, którą miał ukrytą w kieszeni. Na myśl cisnęło mu się wiele pytań, ale ostrożnie je selekcjonował, czując, że stąpa po kruchym lodzie.

– Dlaczego płakałeś, gdy okazało się, że umiesz kłaść gładź?

– Nie wiem. Może z radości, że w końcu coś o sobie wiem. Że mam coś swojego. – Zakłopotany Jan zerwał jedną z przydrożnych traw i zaczął ją drzeć na kawałki.

Dziennikarz obserwował go ze współczuciem. Myślał o żonie i córce oraz o dniu, który niegdyś tak bardzo chciał wykasować z pamięci. Wcześniej rozmawiał o tym tylko ze swoim teściem, a teraz nagle poczuł, że musi to z siebie wyrzucić.

– Był taki czas w moim życiu, że bardzo chciałem zapomnieć – wyznał. – Żeby nie pamiętać, piłem na umór, a kiedy dotarło do mnie, że moje wspomnienia znikną tylko wtedy, kiedy ja przestanę istnieć, postanowiłem się zabić.

Jan zwolnił kroku, a w jego rysach odmalował się niepokój.

– I co się stało?

– Spieprzyłem swoją śmierć, tak samo jak życie. Odratowali mnie w szpitalu i skazali na wieczne pamiętanie. Ironia losu, co? Dla



takich jak ja niepamięć byłaby błogosławieństwem, ale najwyraźniej nawet na nią nie zasłużyłem.

Po słowach reportera zapadła cisza, równie gorzka co one. Na szczęście dotarli już do domu z wyblakłym szyldem informującym o dostępnych pokojach. Weber, przypomniawszy sobie, że Wanda z rezerwą wypowiadała się o człowieku z lasu, przystanął obok ogrodowej ławki w podwórku, po czym zerknął w stronę budynku. W kuchni na dole paliło się światło, a w jego blasku majaczyła sylwetka właścicielki pensjonatu.

– Wiesz co... Mógłbyś tu na mnie chwilę poczekać? – zapytał Daniel. – Porozmawiam z nią najpierw sam. Bywa nieufna w stosunku do obcych.

Jan przystał na tę propozycję, lecz zamiast siadać na ławce, zadarł głowę i zajął się podziwianiem nieba. Tymczasem Weber ruszył do domu. Już od progu poczuł słodki zapach, a jego uszu dobiegły odgłosy kuchennej krzątaniny.

– To ja, pani Wando! – zawołał.

Kobieta wyjrzała na korytarz, trzymając w ręce plastikowe sitko. Na jej policzkach widniały zdrowe rumieńce, a biodra otulał przysypany mąką fartuch.

– Piękę szarlotkę, będzie miał pan ochotę na kawałek?

– Z wielką przyjemnością. Właściwie to chętnie przyprowadzę też gościa.

– Tak? A kogo?

Ciekawość rozświetliła jej spojrzenie. Wspięła się na palce i usiłowała wyrzeć na podwórko przez okno w salonie. Dziennikarz nabrał tchu.

– To ten mężczyzna, który stracił pamięć. Pomyślałem, że może mógłby zatrzymać się tutaj na kilka dni. Oczywiście za wszystko zapłacę.

Na dźwięk tych słów plastikowe sitko wypadło jej z dłoni, a twarz straciła kolor. Zakłopotana podniosła naprędce upuszczony przedmiot, po czym stanowczo oznajmiła:

– To wykluczone. Nie przyjmę pod swój dach kogoś, kto mógł zabić niewinną dziewczynę. Mówiłam panu przecież, że to diabeł wcielony.

– Szczerze mówiąc, nie wydaje mi się, żeby to zrobił. Niech się pani zgodzi, proszę. Chociaż na jedną noc, a jutro z samego rana znajdę mu coś innego.

– Pan chyba do reszty zwariował. Nie mogę tego zrobić. Zresztą pojutrze zjeżdżają się goście na majówkę. Pokoje są już wysprzątane, wszystko gotowe. Wie pan, co się rozpęta, jak ludzie usłyszą, że ten człowiek u mnie śpi? Nikt w miasteczku mi nawet ręki nie poda.

– Chodzi tylko o jedną noc.

Wanda zacisnęła usta i pokręciła głową.

– Jeśli pan chce, mogę zadzwonić do proboszcza. Może weźmie go do siebie na plebanię. To moje ostatnie słowo.

Nie mając innego wyjścia, Daniel zgodził się na takie rozwiązanie, ale narastała w nim złość. Słyszał strzępki rozmowy kobiety z duchownym i zastanawiał się, co zrobi, jeśli Kościół również odmówi Janowi schronienia. Być może Jagoda Borowiec myliła się, twierdząc, że okoliczni mieszkańcy boją się Boga i opinii sąsiadów. Według Webera lękali się jedynie tego ostatniego.

Z rozmyślań wyrwał go trzask odkładanej słuchawki. Właścicielka domu podeszła bliżej, rozwiązując fartuch.

– Ksiądz Edward go przyjmie – oznajmiła. – Niech pan mu powie, a ja wyprowadzę samochód z garażu i go podrzucę. Proboszcz poprosił, żebym przyjechała wyjąć Kulce drzazgę z łapy, więc i tak się tam wybieram.

– Komu?

– Kundlowi, którego znalazłam w zeszłym roku w lesie. Ktoś przywiązał biedaka drutem do drzewa. Trząsał się ze strachu, a na ciele miał kilka głębokich ran, jakby się nad nim znęcano. – Otrzeptała mąkę z rękawów bluzki. – No, ale teraz czuje się o niebo lepiej. Tylko nerwus z niego straszny. Jak mu coś dolega, to nikomu poza mną nie pozwala do siebie podejść. Nawet na weterynarza warczy.

– Pojadę z wami.

– Pan niech tu lepiej siedzi i mi ciasta pilnuje, na wypadek gdyby z Kulką dłużej zeszło. Za pół godziny trzeba je wyciągnąć z piekarnika – rzuciła. – A o mnie niech się pan nie martwi. W końcu to tylko kilka minut drogi, jakoś dam radę. Zostawię go tam, zrobię, co trzeba, i zaraz wracam.

Kiedy dziennikarz wyszedł na zewnątrz, jego towarzysza nie było w miejscu, w którym wcześniej się rozstali. Na widok uchylonej furtki Weber poczuł ukłucie lęku. Przestraszony zaczął obchodzić dom i panicznie rozglądać się wokół.

– Jan! – nawoływał, lecz nikt mu nie odpowiadał.

Dostrzegł go dopiero po chwili. Stał oparty o pień starej jabłoni z powykrzywianymi gałęziami i patrzył na dom. Białe, pachnące słodyczą kwiaty obsypały drzewo, nadając mu magiczny wygląd. Na niebie zawisł srebrny księżyc, otoczony przez migoczące punkciki.

Daniel odniósł wrażenie, że mężczyzna drży. Jego oczy wydawały się lśnić chłodnym, stalowym blaskiem, a wargi szeptały jakieś niewyraźne słowa, jakby zaklęcia. Przez ułamek sekundy dziennikarz zobaczył w nim nie człowieka, ale szatana, czyhającego przy drzewie jak wąż w raju. Po jego plecach przeszedł dreszcz, lecz siłą woli odepchnął od siebie nedorzeczne fantazje.

– Tu jesteś! A już myślałem, że zwiąłeś.

Jan nawet na niego nie spojrział. Trwał nieruchomo, pogrążony w myślach.

– Pani Wanda odwiezie cię do proboszcza pobliskiej parafii. Będziesz się mógł tam zatrzymać przez jakiś czas.

– Dlaczego nie tutaj?

Weber zastanawiał się, co odpowiedzieć, ale nim zdążył wymyślić zgrabne wyjaśnienie, mężczyzna sam podsunął rozwiązanie:

– Boi się mnie?

– Chyba tak.

– I słusznie, powinna się bać.

W tonie Jana zabrzmiała niepokojąca nuta, od której włosy na karku Daniela się uniosły.

– Nie rozumiem.

– Nikt nie ma pojęcia, kim mogłem być, zanim straciłem pamięć. Czy byłem dobrym człowiekiem, czy może potworem? Nawet mnie to przeraża. Bo co, jeśli robiłem w życiu straszne rzeczy i nadal jestem do nich zdolny?

Jan patrzył na swoje rozdygotane dłonie, a dziennikarz znów poczuł wspinający się po kręgosłupie strach. Zza domu dobiegło ich trąbienie samochodu. Mężczyzna wygiął usta w dziwnym, gorzkim grymasie, po czym ruszył przed siebie i na odchodnym rzucił krótkie:

– Miałeś rację. Czasem niepamięć to błogosławieństwo. Pozwala się ludzić.

Reporter zmrużył oczy, zastanawiając się, co dokładnie mężczyzna miał na myśli. Po chwili ruszył za nim, obserwując z oddali, jak zniecierpliwiona kobieta wysiadła z za kierownicy starego daewoo lanosa i machnięciem ręki pospieszyła pasażera. Weber mógłby przysiąc, że na widok Jana drgnęła, a jej palce mocno uczepliły się drzwi. Wykonał krok w ich stronę, ale właścicielka pensjonatu wskazała palcem na dom.

– Ciasto – mruknęła.

Nim odjechali, dziennikarz zdołał pochwycić jedno ze spojrzeń mężczyzny, którym ten przesunął po ciele Wandy. I choć bardzo chciał zinterpretować je inaczej, to poczuł, że było przepełnione nienawiścią.

\*

Od wyjazdu Wandy minęła już prawie godzina i Daniel zaczął się poważnie niepokoić. Wpatrzony we wskazówki zegara, tłumaczył sobie, że pewnie jak to na plebanii, gospodyni zaparzyła herbatę, postawiła na obrusie ciastka, a proboszcz zaprosił gości do stołu. Z nerwów dziennikarz zaczął zajadać się szarlotką, a dla zajęcia myśli raz jeszcze analizował fotografie przesłane przez Sowińską.

Przed momentem zakończył rozmowę ze specjalistą od remontów, Zdzisławem Belą, którego wizytówka znajdowała się w jednej z przegródek portfela. Mężczyzna ponownie zaprzeczył, by znał Jana, choć na pytania o człowieka z lasu reagował podejrzaną nerwowością. Jego ton był oschły, chwilami podnosił głos i zdawało się, że chciał jak najszybciej pozbyć się reportera. Po rozmowie Weber w zamyśleniu wędrował korytarzem od drzwi wejściowych do przesuwnej szafy we wnęce i z powrotem, masując palcami spięty kark. Po chwili zatrzymał się przy telefonie i wybrał numer siostry emeryta kolejowego, który dostał od aspirantki. Kiedy kobieta podniosła słuchawkę, dobiegło go ciche:

– Halo?

– Dobry wieczór, przepraszam za kontakt o tak późnej porze. Nazywam się Daniel Weber, jestem dziennikarzem i poszukuję informacji o mężczyźnie z amnezją znalezionym w lesie w Sinicach.

W jego portfelu znajdowała się legitymacja emeryta z nazwiskiem pani brata.

– Ja już wszystko powiedziałam policji – odparła starowinka trzęsącym się głosem. – Nie wiem nic na temat tego człowieka. Proszę do mnie więcej nie dzwonić.

Weber ścisnął słuchawkę tak mocno, aż plastik zatrzeszczał w jego dłoni. Błądził wzrokiem po zapiskach w notesie, szukając jakiegoś punktu zaczepienia, gdy natrafił na imię dominikanina, obok którego widniał znak zapytania.

– Jeszcze jedno – podjął. – Czy pani brat mógł znać duchownego o imieniu Bernard?

– Chodzi o ojca Bernarda Parysa?

– Szczerze mówiąc, nie wiem. W portfelu natrafiliśmy na obrazek z podpisem jakiegoś dominikanina.

– Jedyne Bernard, jakiego Jerzy znał, to jego przyjaciel z dzieciństwa – tłumaczyła. – Razem służyli w wojsku, a później każdy z nich wybrał inną drogę. Beniu poszedł do zakonu, a Jurek na maszynistę. Wiem, że widywali się raz na jakiś czas, zwykle gdy Bernard odwiedzał rodzinę na Podlasiu. Mój brat spowiadał się tylko jemu.

Daniel poczuł niecierpliwe pulsowanie w opuszkach palców.

– Ma pani do niego jakiś kontakt? To ważne.

W słuchawce zapadła przedłużająca się cisza, przerywana cichymi miauknięciami kota, po czym uszu dziennikarza dobiegł szelest przewracanych kartek i wreszcie dziewięć, podyktowanych słabym głosem, cyfr. Weber pożegnał się zdawkowo, pospiesznie wybrał zapisany numer i zaczął tarmosić spiralny kabel od telefonu.

– No, odbierz! – poganiał dominikanina.

Głos, który rozległ się w słuchawce, sprawiał wrażenie zaspanego. Daniel przedstawił się mężczyźnie, wyjaśnił, jak do niego trafił,

a następnie przytoczył historię Jana oraz portfela i znalezionych wewnątrz przedmiotów. Duchowny pomrukiwał w zadumie, słuchając reportera.

– A ma pan może jakieś zdjęcie tego człowieka?

– Musiałby go ojciec poszukać w internecie. Proszę wpisać do wyszukiwarki: mężczyzna o nieustalonej tożsamości, Sinice.

– Da mi pan chwilę.

Chwila okazała się niemal kwadransem, podczas którego Weber, siedząc na podłodze ze słuchawką wciśniętą między ucho a ramię, wyłapywał odgłosy stękania, uderzeń w klawiaturę i ziewnięć. Wreszcie dominikanin ponownie podniósł telefon. Jego oddech zdawał się niespokojny.

– Nie mam stuprocentowej pewności, ale to może być tamten chłopak. Oczy ma podobne.

Daniel z wrażenia upuścił słuchawkę. Chwycił ją pospiesznie i wstał z nową energią, jakby właśnie podano mu dożylnie espresso.

– O kim ojciec mówi?

– To było jakieś siedem, może osiem lat temu. Nie pamiętam dokładnie. Jerzy uratował jednego chłopca od samobójstwa. Mówił, że dzieciak był potwornie chudy i przestraszony. Chciał się rzucić pod pociąg.

Serce Webera podskoczyło w piersi.

– Wie pan, jak się nazywał?

– Nie. Mieszkał u Jurka jakiś rok i przez ten czas nigdy nie podał nawet swojego imienia. Powiedział tylko, że zrobił coś złego, ale nie chciał wyjawiać więcej.

– Ile mógł mieć lat?

– Trudno to stwierdzić. Kilkanaście? Być może był już nawet pełnoletni, przynajmniej tak utrzymywał, ale najdziwniejsze było to, że nikt tego chłopaka nie szukał. Jakby nikogo nie obchodził.

Wyobraźnia dziennikarza zaczęła podsuwać mu różne hipotezy. Przyciskał notes do ściany, kreśląc nierówne litery na kremowych kartkach, byle tylko nie zgubić żadnego ze słów dominikanina.

– Co się z nim stało? – dopytał.

– Uciekł. W dniu, w którym przyjechałem, by z nim porozmawiać. – Westchnął ciężko. – Obwinałem się o to później długo, choć wiem, że nie uciekał przede mną, tylko przed czymś, co go dręczyło. Podobno w nocy przez sen czasami krzyczał, że kogoś zabił.

Włoski na karku Daniela stanęły dęba.

– Dlaczego pan Jerzy nie zgłosił tego na policję?

Duchowny znów stęknął.

– Zastanawiał się nad tym, ale obawiał się, że w ten sposób zrujnuje zaufanie, które tak długo budował. Poza tym sam chyba w to nie wierzył. Dlatego zaprosił mnie, bym go wyspowiadał.

Kiedy rozmowa dobiegła końca, reporter z wzrokiem utkwionym w notatkach uderzał miarowo końcówką długopisu o wargi. W podobnym rytmie tykała wskazówka zegara w kuchni, sprawiając, że Webera opadła obezwładniająca senność. Z otępienia wyrwał go nagły i ostry jak brzytwa dzwonek telefonu. Gdy tylko podniósł słuchawkę, osoba po drugiej stronie zaczęła mówić:

– No wreszcie, dodzwonić się do pani nie można. Jedziecie wy do nas? Bo proboszcz tu czeka i czeka, a chciałby się zaraz spać położyć.

Daniel zachwiał się, a w jego żołądku zagościł chłód, jakby połknął bryłkę lodu.

– Pani Wanda wyjechała z domu już jakieś półtorej godziny temu – zapewnił.

– No jak wyjechała, jak jej u nas nie ma? Przecież to raptem pięć minut drogi. Już dawno by byli.



Dziennikarz przygryzł wargę, czując, że coraz trudniej mu złapać oddech. Na samą myśl, że kobiecie coś się stało, jego plecy oblał zimny pot. Rzucił słuchawkę na widełki, złapał klucz wiszący na haczyku w korytarzu i zatrzasnął drzwi, wybiegł z domu. Gdy tylko wypadł na zewnątrz, kątem oka wyłapał ruch za tujami oddzielającymi posesję od drogi. Rzucił się w tamtym kierunku i ku swojemu zdziwieniu zobaczył człowieka, którego zdjęcia oglądał wcześniej w prasie.

– Doktor Jarosz? Co pan tu robi?

Mężczyzna, który najwyraźniej zamierzał się właśnie oddalić, w zakłopotaniu podrapał skroń i uciekł spojrzeniem.

– Ja... – tłumaczył, jękając się. – Przepraszam, nie powinienem tu przychodzić. To był błąd.

Znow odwrócił się tyłem, ale Weber zdążył położyć mu dłoń na ramieniu.

– Moment, niech pan zaczeka. Przyjechał pan może samochodem? – Rozejrzył się w poszukiwaniu środka transportu. Jego ręce się trzęsły, a z oczu wyzierała panika.

– Tak – odparł lekarz, przyglądając się podejrzliwie rozedrganiu nieznanego mężczyzny. – Zaparkowałem tu niedaleko. Dlaczego pan pyta?

– Obawiam się, że panią Wandę mogło spotkać coś złego. Musimy ją jak najszybciej znaleźć. Chodźmy. – Złapał Jarosza za łokieć. – Resztę opowiem po drodze.

Ortopeda wyswobodził się z uchwytu, zamrugał, jakby nie do końca rozumiał, czego się od niego oczekuje, i z oburzeniem w głosie rzucił:

– To jakiś żart? Co tu się, do licha, wyprawia? Kim pan w ogóle jest?

– Wynajmuję tu pokój, jestem dziennikarzem z Warszawy, ale teraz to nieistotne – objaśniał Daniel, gestykulując gorączkowo. – Musimy namierzyć lanosa właścicielki pensjonatu. Półtorej godziny temu wyjechała z domu zawieźć tego mężczyznę z amnezją na plebanię i oboje przepadli bez wieści.

Na czole Bogdana zarysowała się głęboka zmarszczka. Kiwnął głową, po czym wskazał kierunek i po chwili dotarli do błyszczącego mercedesa. Kiedy lekarz przekręcił kluczyk w stacyjce, silnik przyjemnie zamruczał.

Wnętrze samochodu pachniało luksusem, ale choć skórzane siedzenia zapewniały najwyższą wygodę, Weber kręcił się niespokojnie, wyobrażając sobie najgorsze. Jego stopy rytmicznie podrygiwały na gumowej wycieraczce, a wyschnięte grudki błota chrzęściły pod butami.

– Dokąd mam jechać? – zapytał Jarosz.

– Może najpierw w stronę kościoła, a jeśli tam jej nie znajdziemy, to będzie trzeba przeszukać całe miasto.

Dziennikarz wbił spojrzenie w pejzaż za szybą. Mijali rzędy domów, kolorowe sklepy i wypielęgnowane trawniki. Ciche, pograżone w mroku miasto, na które sływała poświata ulicznych latarni, tchnęło spokojem, ale trzewia Daniela ścisnął strach. Z każdym kolejnym przejechanym metrem coraz intensywniej obgryzał skórki przy paznokciach.

– Myślę, że ten człowiek zabił moją córkę. – Nieśmiały głos lekarza zmącił pełną napięcia ciszę.

Weber spojrzał na zapadniętą, naznaczoną smutkiem twarz Jarosza. Widział, jak kurczowo mężczyzna obejmuje kierownicę i jak drży jego podbródek.

– Przykro mi z powodu tego, co państwa spotkało – odparł.

Zamierzał dodać coś jeszcze o przedwczesnym ferowaniu wyroków, ale doświadczenia minionej godziny sprawiły, że sam nie wiedział już, komu powinien ufać. Wbił paznokcie w uda i przytknął nos do szyby.

Auto sunęło miękko przez osiedle Świt, a kiedy skręciło w prawo, na horyzoncie zarysowała się kościelna wieża. Objechali ją, po czym ruszyli w stronę wsi Lipki. Kawalek dalej, w zaroślach, Daniel ujrzał fragment srebrnej karoserii.

– Niech pan się zatrzyma! – krzyknął.

Jarosz zahamował tak gwałtownie, że dziennikarz, który z emocji rozpiął już pasy, poleciał do przodu i niemal uderzył głową o szybę. Oszołomiony otworzył drzwi, wyskoczył z samochodu i popędził w stronę porzuconego w polu pojazdu. Bogdan tymczasem zaparkował mercedesa na chodniku, po czym przeszedł na drugą stronę ulicy i ze zgrozą odkrył, że patrzą na srebrne daewoo.

– To jej samochód – rzucił Weber, szarpiąc za klamkę otwartego, pustego auta.

Na fotelu kierowcy znajdowały się przedmioty wysypane z damskiej torebki, lusterko wsteczne było dziwnie wygięte, a choinka zapachowa zerwana. Sekundę później z okolic bagażnika dobiegło rozpaczliwe wołanie o pomoc. Jarosz, który znajdował się bliżej, zwolnił blokadę zamka i podniósł klapę, a z jego gardła wyrwało się gwałtowne:

– Mój Boże!

Wewnątrz, zwinięta w kłębek, leżała zapłakana i przerażona Wanda, która drżała jak ktoś, kto wyszedł z lodowatej kąpieli. Na widok lekarza zaniósła się szlochem. Jej twarz oraz ubranie pokrywała krew z pękniętego łuku brwiowego. Miała rozczochrane włosy i rozciętą wargę, a na jej szyi widniała długa, czerwona szrama, z której również sączyła się krew.

– Już dobrze, pomożemy pani – powiedział Daniel, nachylając się nad kobietą, by chwycić ją pod ramię i pomóc jej wyjść z bagażnika.

Wanda odepchnęła go ze wstrętem. Poczucie winy wbiło swoje ostre pazury w pierś dziennikarza. Przełknął ślinę i cofnął się instynktownie.

– To wszystko przez pana, to pan sprowadził tego człowieka do mojego domu! – wysyczała, a on skulił się w sobie, bo miał świadomość, że popełnił karygodny błąd.



## Wrzesień 2011 roku

*Od rana nie może się na niczym skupić, a kiedy czuje na sobie wzrok matki, myśli, że ona już wie. Na pewno widziała plecak ukryty w szafie i buty schowane pod łóżkiem. Jej wzrok przypomina promienie rentgenowskie, prześwietla go na wylot. Tego dnia chłopak odmawia zjedzenia obiadu, mówi, że źle się czuje, za co natychmiast się gani, bo matka po chwili wręcza mu pastylkę wraz ze szklanką wody. Blade czoło rosza krople potu. Chłopak próbuje ukryć tabletkę, ale nie potrafi, jest zbyt przejęty. Połyka ją w nerwach, czując, jak lek z trudem przechodzi mu przez gardło. Później zapada w nicość.*

*Budzi się, gdy za oknem jest już ciemno. Pokój tonie w ciszy. Przerażony spogląda na zegar, który wskazuje pierwszą w nocy, i wtedy słyszy czyjeś ziewanie. Na fotelu obok siedzi matka otulona w wełniany koc. Przeciera oczy, jakby ona również właśnie wróciła z krainy snu.*

*– Jak się czujesz, kochanie? – pyta z troską. – Okropnie krzyczałeś przez sen, dlatego zostałam, by potrzymać cię za rękę.*

*Chłopak rozgląda się zdezorientowany. Gdzie jest Matylda? Co z ich planem? Pytania pęcznieją w jego głowie.*

*– Pokaż mi czoło. – Kobieta dotyka dłonią jego skóry i nieruchomieje. – Boże, jesteś cały rozpalony. Przyniosę ci coś na zabicie gorączki.*

*Biegnie na dół, a on w tym czasie miota się po łóżku, nie wiedząc, co powinien zrobić. Chciałby uciec do Matyldy, wziąć ją w ramiona*

*i przeprosić. Czy tu była? Czy dobijała się do okna, gdy spał? Z niepokoju cały się trzęsie. Chowa twarz w poduszkę i krzyczy, ale tak, by nikt go nie usłyszał.*

*Nagle ktoś dotyka jego ramienia. Podnosi się z nadzieją, lecz nie dostrzega dziewczyny, ale swoją matkę.*

*– Proszę – mówi kobieta, podsuwając mu tabletkę leżącą na otwartej dłoni. – To powinno ci pomóc.*

*Chłopak kręci głową.*

*– Nie chcę.*

*– Masz całe ubranie mokre. To może być stan zapalny.*

*Tembr jej głosu, nachalna dłoń z pastylką i to, że w ogóle go nie słucha, budzą w nim irytację. Tak wielką, że miałby ochotę gryźć.*

*– Powiedziałem: nie. – Odpycha rękę matki, a pigułka upada na dywan. – Nigdy więcej nie wezmę już od ciebie żadnych leków. To wszystko twoja wina.*

*Kobieta wydaje się skołowana. Zerka pytająco na syna, a wtedy on zauważa róg koperty wystającej z kieszeni jej fartucha.*

*– Co to jest? – pyta, wskazując to, co przed momentem dostrzegł.*

*– Nic wielkiego. Zwykły list. – Matka wciska go głębiej, lecz chłopak zdążył już rozpoznać wzór na papeterii. Dokładnie taki sam widniał na listach, które podrzucała mu Matylda.*

*– Daj mi go. – Wyciąga dłoń, ale kobieta się odsuwa.*

*– Nie jest do ciebie. To z banku.*

*– Nie kłam – żąda ostrym, chrapliwym głosem, który zdumiewa go równie mocno co matkę.*

*Kobieta nabiera tchu i opieszale podaje mu kopertę. Drobne rozdarcia papeterii sugerują, że list był już wcześniej otwierany. Chłopak to zauważa, ale na razie ignoruje, tak bardzo pragnie dowiedzieć się, co jest w środku. Jego niecierpliwe palce rozrywają*

*papier. Wzrok przeskakuje po okrągłych literach, tak znanych mu i bliskich, rozmytych gdzieś kleksami łez.*

*„Nie mogę tego zrobić z tobą. Przepraszam. Kłamałam, mówiąc, że Cię Kocham. Czuję tylko litość. Miałaś rację, to się nigdy nie uda, a Ty wkrótce staniesz się dla mnie ciężarem. Zakończmy to teraz, gdy jeszcze są między nami dobre wspomnienia”.*

*Chłopak patrzy na kartkę raz i drugi. Jego oczy nabiegają wilgocią. Na pled przykrywający pościel padają grube krople.*

*– Co to ma być?! – krzyczy, wściekle uderzając dłońią w papier.*

*Matka krzywi się, jakby było jej przykro. Przykuca obok jego nóg i łagodnie kładzie rękę na nodze syna.*

*– Ona to zostawiła. Przyszła, gdy spałeś. Zdążyłam tylko zobaczyć, jak ucieka, a potem wzięłam ten list i... – Pociera w zakłopotaniu czoło. – Schowałam go przed tobą, żebyś nie cierpiał. Tak mi przykro, Kochanie.*

*Chłopak dyszy ciężko, jego nozdrza pulsują.*

*– Nie wierzę ci – syczy.*

*– Od początku czułam, że ta dziewczyna cię zrani. Dlatego nie chciałam, żebyście się spotykali.*

*– Matylda nigdy by tego nie napisała! – grzmi, wymachując kartką.*

*Mnie papier i rzuca go ze złością na dywan. Kobieta delikatnie ujmuje w dłonie twarz syna.*

*– Tylko ja Kocham cię naprawdę.*

*– Przestań – warczy chłopak i odpycha jej rękę, jakby parzyły, a później, podtrzymując się półki, wstaje z łóżka.*

*– Co ty robisz? Chyba nie zamierzasz do niej iść?*

*– To moja sprawa.*

*Matka z przerażeniem przygląda się szarpaninie syna. Jego chwiejnym krokom i histerycznym ruchom. Patrzy, jak nieporadnie*



*wsuwa stopy w podniszczone adidas i wiąże sznurówki, po czym zarzuca na siebie bluzę z kapturem.*

*Kiedy chce zapiąć suwak, kobieta staje mu na drodze. Chwyta go za ramiona i drżącym głosem mówi:*

*– Musisz się położyć. Jesteś chory. Twoje ciało tego nie wytrzyma.*

*– Moje ciało czuje się o niebo lepiej, odkąd nie biorę tego świństwa. – Zrywa z postania prześcieradło, rozpina zamek błyskawiczny w materacu, a wtedy na podłogę wypadają białe pastylki. Sypią się jak monety z jednorękiego bandyty, gdy gracz trafia wygraną.*

*Matka niemo kręci głową. Jej usta otwierają się, a po chwili na powrót zamykają. Wbija paznokcie w bluzę syna.*

*– Jak mogłeś mi to zrobić?*

*– Puszczaj! – Chłopak wyszarpuje się z jej uścisku, kuśtyka do szafy, skąd bierze plecak, zarzuca go na ramię, a potem rusza do drzwi.*

*Kobieta zastępuje mu drogę. Staje w progu pokoju, blokując przejście.*

*– Nie pozwolę na to – mówi.*

*– Odsuń się.*

*– Chroniłam cię przez tyle lat, nie możesz teraz tak po prostu odejść. – W jej tonie pobrzmiewa groźba.*

*– Chroniłaś? To dlaczego po lekach, które mi podawałaś, zawsze czułem się gorzej? Dlaczego kłamałaś lekarzom i zastaniałaś mi uszy, żebym nie słyszał, jakie bzdury im opowiadasz?*

*Matka blednie, a jej ciałem wstrząsa dreszcz.*

*– To nieprawda. Wszystko to robiłam z troski.*

*– Czyżby? Zabraniałaś mi wstawać, strasząc tym, że połamię kości. Na siłę wciskałaś mi do ust tabletki, nawet gdy płacząc,*

*błagałem, żebyś tego nie robiła. – Jego głos zaczyna się łamać. Chłopak ociera dłonią wilgoć skapującą z nosa.*

*Kobieta marszczy brwi, jakby nie rozumiała, o co mu chodzi.*

*– Synu, musisz odpocząć. Usiądźmy, proszę. Ten list od Matyldy zupełnie wytrącił cię z równowagi. – Wyciąga rękę, jakby chciała go objąć.*

*– Nie dotykaj mnie. – Chłopak cofa się o krok, unosząc dłonie w obronnym geście. – Więziłaś mnie w tym pokoju i w wózku, w którym wcale nie musiałem być.*

*– Wszystko ci się pomieszało.*

*– Matylda ostrzegła mnie przed tobą. Mówiła, że widziała, jak dosypywałaś mi coś do jedzenia!*

*– Okłamała cię. Nigdy bym tego nie zrobiła – zaprzecza bezradnie matka.*

*– Zabrałaś mi wszystko, nawet ją! – wyrzuca z siebie chłopak.*

*Dłoń kobiety nagle łąduje na jego policzku. Powietrze przecina odgłos przypominający strzał z bicia. Chłopak trzyma rękę na twarzy, a miejsce po uderzeniu pali go żywym ogniem.*

*– Dość tego – syczy ona. – Wrócisz teraz do łóżka, a jutro rano przeprosisz mnie za te wszystkie bzdury.*

*– Nigdzie nie wrócę.*

*Chłopak chce ją ominąć, ale matka chwyta go za ubranie, wbija w nie kościste palce i pcha go w głąb pokoju. On jednak stawia opór. Zaczynają się szarpać. Spinka zsuwa się z włosów kobiety i z trzaskiem uderza o drewnianą klepkę. Ten głuchy odgłos na ułamek sekundy ją rozprasza. Chłopak wykorzystuje chwilową przewagę, popycha kobietę na biurko, z którego spada pojemnik z przyborami do pisania, a sam wychodzi na korytarz. Jednak gdy tylko kładzie dłoń na poręczy schodów, matka z rykiem rzuca się na niego i ciągnie kaptur jego bluzy.*

*– Nie pozwolę ci odejść! – krzyczy.*

*Chłopak dyszy, usiłując wyswobodzić się z jej szponów. Czuje, jak wzbiera w nim złość tłumiona przez lata. Za wszystko, czego mu odmawiała. Za to, że nie zobaczył magika w cyrku, za pana Winnickiego, z którym uwielbiał się uczyć, za brednie opowiadane lekarzom i ból, który mu sprawiała, by nie przeszkadzał jej kłamać.*

*Ten gniew w nim rośnie, a potem przejmuje nad nim kontrolę. Nie jest już słabym siedemnastolatkiem. Jest potężnym, rozwścieczonym niedźwiedziem, który chwyta kobietę za nadgarstki, ściska je mocno i z furią spycha matkę ze schodów. Kobieta toczy się jak zabawka. Jej głowa podskakuje przy kolejnych uderzeniach, nogi sterczą w górze, a spódnica się zadziera. Kiedy ląduje na dole, ma nieruchome, puste oczy – jak lalka. Spod jasnych włosów wypływa krew.*

*Chłopak patrzy na brunatną strugę i na powrót staje się sobą. Czuje chłód oraz strach. Podbiega do matki, chce ją ocucić, ale kobieta nie reaguje. Jego dłonie pokrywają się czerwienią. Boi się i w myślach błaga, by ktoś cofnął czas o te kilka chwil. Chodzi w tę i we w tę, trąc rękoma ogoloną głowę. Mamrocze coś do siebie, a w końcu robi to, co wydaje mu się jedynym wyjściem.*

*Ucieka.*



Teraz

Noc

Poniedziałek, 29 kwietnia 2019 roku, Sinice

Czas na korytarzu szpitala ogólnego w Sinicach zdawał się stać w miejscu. Daniel siedział na niewygodnym, plastikowym krześle w poczekalni na SOR-ze wystarczająco długo, by zdążyć poznać wszystkie pęknięcia tynku na ścianach i zlokalizować najbardziej wytarte miejsca w linoleum. Znał już na pamięć twarze oczekujących godzinami pacjentów i umiał ocenić po minach ratowników medycznych, jak poważny jest przypadek, z którym przyjechali. Słowem, widział już dostatecznie dużo, by wybić sobie z głowy wszystkie szaleństwa, które mogłyby spowodować, że wylądowałby w podobnym miejscu.

Po tym, jak Bogdan Jarosz przywiózł jego i właścicielkę pensjonatu do szpitala, dziennikarz udzielił wyjaśnień aspirant Sowińskiej, a później usiadł, by poczekać na policjantkę i dowiedzieć się, co z Wandą. Z głową opartą o ścianę, zaczynał powoli przysypiać, gdy poczuł na twarzy cień i usłyszał głos funkcjonariuszki:

- Jest w ciężkim szoku – oznajmiła, stojąc naprzeciwko reportera.
- Dali jej leki na uspokojenie. Zostanie do jutra na obserwacji, na wypadek gdyby pojawiły się powikłania. Wszystko wskazuje na to, że doznała wstrząśnienia mózgu.

Weber skrzywił się, jakby coś go zabolalo.

– Jak ona się ma?

– Beznadziejnie. Błada, roztrzęsiona i cholernie zła.

– To pewnie tak jak Lipski – zażartował Daniel, a Weronika uniosła lekko kąciki ust.

– Na pana... – Umilkła, przypominając sobie, że wcześniej przeszli już na ty. – Na twoim miejscu nie naigrywałabym się z komisarza. Jest wściekły za ten cały eksperyment i uważa, że to przez ciebie potencjalny sprawca uciekł.

Dziennikarz westchnął ciężko, po czym podniósł się i zaproponował, by porozmawiali na osobności.

– Jaka jest szansa, że go złapiecie? – zapytał, gdy odsunęli się od pozostałych pacjentów.

– Mikra. Po takim czasie facet może być już na drugim końcu Polski. Krzysztof wziął na siebie zawiadomienie patroli i wysłanie informacji do straży granicznej, na wypadek gdyby poszukiwany chciał zbiec poza granice kraju.

– Zawaliłem sprawę. – Weber uderzył pięścią w ścianę, przy której stali, a okruch tynku spadł na posadzkę. – Kurwa, tak czułem, że coś jest nie w porządku. Według mnie on sobie przypominał, kim był. Mówił jakieś dziwne rzeczy o tym, że pamięć pozbawia złudzeń, a kiedy odjeżdżali, patrzył na nią w taki specyficzny sposób.

Sowińska nachyliła się, ściągając brwi.

– W jaki?

– Jakby czuł do niej odrazę.

Policjantka z niedowierzaniem pokręciła głową.

– Ten bydlak zabrał nóż z jej szopy na narzędzia, a potem przyłożył go do szyi kobiety i zażądał, by weszła do bagażnika. Kiedy zaczęła się stawiać, złapał ją za włosy i uderzał jej twarzą o karoserię tak długo, aż straciła przytomność.

– Jezu – syknął Daniel.

Tuż obok nich przemknęli ratownicy z wrzeszczącym człowiekiem na noszach. Weber zdążył usłyszeć tylko, że to ranny mężczyzna z wypadku ciężarówki pod Zambrowem.

– A skąd się w tym całym zamieszaniu wziął Bogdan Jarosz? – dopytała Weronika.

– Sterczał pod pensjonatem. Nakryłem go, kiedy wybiegłem szukać Wandy. Zmieszał się i gadał od rzeczy, że nie powinien był przychodzić, czy coś takiego, a potem wspomniał jeszcze, że to facet z amnezją zabił jego córkę.

Funkcjonariuszka potarła twarz, jakby chciała zetrzeć z niej brud, i po chwili zamarła.

– Chyba wiem, co mógł tam robić. Myślę, że czatował na człowieka z lasu.

– Nie wydaje mi się. Nie mógł wiedzieć, że go tam zastanie. No bo skąd?

– Od pewnego lekarza, który zadzwonił do swojego kumpla i wszystko mu wypaplał.

– Załuski?

Sowińska potwierdziła skinieniem.

Dziennikarz odtworzył w pamięci moment tuż przed wypadkiem, w którym zginęły jego żona i córka. Przed oczyma znów mignęła mu biała plama i światło, mocne, wdzierające się pod powieki. Teraz, gdy Jan zniknął, Webera ogarnął strach, że już nigdy nie pozna prawdy o tym, co wydarzyło się w lesie pod Hajnówką dwa lata temu. Nie dostanie szansy na odkupienie, a resztę swoich dni spędzi w piekle, w którym tkwił od tamtej nocy.





Teraz

Ranek

Wtorek, 30 kwietnia 2019 roku, Sinice

Zimna woda siekła bezlitośnie plecy Daniela. Mężczyzna stał pochylony pod szumiącym prysznicem i patrzył na blizny znaczące przedramię oraz część brzucha. Czasami ich nienawidził. W gorsze dni chciał je zedrzeć razem ze skórą. W lepsze wodził po nich palcami jak po mapie swojego życia, bo przecież te zaróżowione zgrubienia opowiadały jego historię. Zakręcił wodę i szorstkim ręcznikiem zaczął pocierać skórę. Nadal był na siebie zły. Powinien zatrzymać Jana i Wandę, nie bagatelizować przeczucia.

Trzasnął wściekle drzwiami kabiny, po czym zastygł. Zdawało mu się, że słyszy pukanie do drzwi. Przepasany ręcznikiem wyjrzał przez okno i zobaczył na dole młodą dziennikarkę, Jagodę Borowiec. Dziewczyna malowała właśnie usta szminką, oglądając je w podręcznym lusterku. Ubrał się więc w pośpiechu, a następnie zbiegł na parter.

– Cześć – powiedziała, gdy otworzył. Jej policzki zapłonęły rumieńcem.

– Dzisiaj nie w szkole?

– Odpuściłam sobie dwie pierwsze lekcje. Ciotka nie może się dodzwonić do pani Wandy, potwornie się o nią niepokoi. Podobno została napadnięta przez tego człowieka z lasu, to prawda?

Weber zamrugnął z niedowierzaniem. Jak szybko rozprzestrzeniły się wieści w tym miasteczku.

– Wszystko na to wskazuje.

Nastolatka przygryzła wargę i krygując się nieco, zapytała:

– Myślisz, że zgodzi się opowiedzieć o tym, co przeszła, w wywiadzie dla „Głosu Sinic”?

– Według mnie ona potrzebuje teraz odpoczynku. Z tego, co wiem, nadal jest w szoku, daj jej trochę czasu.

– Nie no, jasne. Tak tylko pytam.

Jagoda poprawiła torbę zsuwającą się z ramienia i założyła pasmo długich włosów za ucho. Nieśmiało zaglądała do wnętrza domu, jakby chciała wejść do środka, ale dobre wychowanie nie pozwalało jej tego zaproponować.

– Zdążyliście porozmawiać o tych artykułach? – rzuciła.

– Jakich artykułach?

– Pisałam do ciebie. Czytałeś w ogóle moje wiadomości?

Daniel nie miał pojęcia, o czym opowiada dziewczyna.

– Wejdz – powiedział, otwierając szerzej drzwi. – Bez śniadania nie kontaktuję. Kawy, herbaty, a może coś do jedzenia? – zapytał, gdy znaleźli się już w korytarzu.

– Herbata wystarczy, dzięki.

Licealistka zajęła miejsce przy stole, odstawiła torbę na podłogę, po czym zaczęła rozglądać się po wnętrzu z zachłanną ciekawością. Przesuwała wścibskim wzrokiem po półkach, jakby nie mogła się pohamować. Kuchnię wypełnił szum czajnika. Weber wrzucił do tosterki dwie kromki chleba, postawił na blacie kubki i włożył do nich torebki liptona, które następnie zalał wrzątkiem.

– To o jakich wiadomościach mówiłaś? – wrócił do tematu, podsuwając dziewczynie gorący napój i zatapiając zęby w przypieczonej kromce z masłem.

– Wysłałam do ciebie kilka SMS-ów po tym, jak udało mi się porozmawiać z ciotką o źródle całej tej legendy o mgle.

Daniel skrzywił się.

– No tak... Obawiam się, że przepadły razem z moim telefonem, który utonął w bagnie – oznajmił, a uczennica otworzyła szeroko oczy. – Przepraszam, zapomniałem ci powiedzieć, ale już zamieniam się w słuch. Natrafiłaś na coś ciekawego?

– Okazuje się, że to nie Lipski zainspirował ciotkę, by wplatała w artykuły te sugestie o mgle, tylko pani Wanda.

Dziennikarz zakrztusił się tostem. Jego twarz poczerwieniała. Przez moment nie mógł złapać tchu. Wstał z uniesionymi rękoma i dopiero gdy nastolatka uderzyła go płaską dłonią w plecy, wrócił do równowagi. Pociągnął kilka łyków herbaty i ponownie opadł na krzesło.

– Boże, prawie umarłem. Zaskoczyłaś mnie. Jesteś tego pewna?

– No tak, mówiłam ci, że się kolegują. Po zaginięciu Dominiki i Maksa pani Wanda przyszła do ciotki cała roztrzęsiona. Twierdziła, że we mgle jest coś złego, że czuje to za każdym razem, gdy ta biel podchodzi pod dom. I że to nie może być przypadek, skoro już kolejni nastolatkwie giną w mglistą noc.

Daniel uniósł wysoko brwi.

– I twoja ciotka to kupiła?

– Według mnie uznała, że to się sprzeda, i chciała przyciągnąć czytelników. Wiesz, jak jest, prasa lokalna odchodzi do lamusa. Nieważne, czy w wersji papierowej, czy online. Nawet nasze materiały video nie mają takiej oglądalności, jak byśmy chcieli. A te drobne insynuacje, podrzucane w artykułach, podsycaly zainteresowanie. Ludzie zaczęli o tym mówić, częściej sięgali po „Głos Sinic”, a wkrótce okazało się, że wiele osób doświadczyło czegoś dziwnego we mgle, i legenda zaczęła żyć własnym życiem. –

Dziewczyna klasnęła w dłonie i rozłożyła ręce, jakby mówiła: „Tadam”.

Weber roześmiał się i wstał, by wrzucić nowe kromki do tosterka. Jagoda w tym czasie wyjęła komórkę, odpisała na wiadomość i przejrzała się w aparacie telefonu.

– Zrobimy sobie selfie? – zapytała nagle z entuzjazmem.

Nóż, którym Daniel rozsmarowywał masło na kromce, zawisł w powietrzu. Reporter odwrócił się powoli w stronę nastolatki.

– Niekoniecznie. Nie lubię się fotografować.

– Chodzi o blizny? Są ekstra. Moi znajomi umarliby z zazdrości, gdyby nas zobaczyli razem.

Weber odchrząknął.

– No właśnie, a my nie życzymy im śmierci i dlatego nie będziemy nigdzie umieszczać wspólnych zdjęć.

Borowiec przewróciła oczami, a Daniel przypomniał sobie, że ma do czynienia z siedemnastolatką, która patrzy na świat zupełnie inaczej niż on. Sam ledwie już pamiętał siebie takiego. Jego wspomnienia zdominowały obrazy życia z kilkuletnią córką, kadry z podróży z żoną i ta feralna noc.

Postawił talerz ze świeżymi tostami na stole i zapytał:

– Co jesteś gotowa zrobić, by odnieść sukces w dziennikarstwie?

– Wszystko – odparła z uśmiechem, choć on zachowywał powagę.

– I może właśnie dlatego to nie jest praca dla ciebie.

– Słucham?

Mina Jagody zrzędała, a jej pewność siebie w ułamku sekundy wyparowała.

– Wiem, że dosypałaś swojej szefowej coś do kawy. Widziałem nierozpuszczoną do końca tabletkę na dnie jej kubka.

– Nie mam pojęcia, o czym mówisz.

– Czyli to przypadek, że miałaś w torebce środek na przeczyszczenie akurat wtedy, gdy redaktor naczelny „Głosu Sinic” dotknęły problemy z żołądkiem?

Dziewczyna zbladła. Zacisnęła wargi i podniosła z podłogi torbę, którą nerwowo zarzuciła na ramię.

– Muszę lecieć, zaraz zaczynam lekcje.

Weber złapał ją za nadgarstek, kiedy chciała wyjść. Spojrzała mu w oczy z niepokojem, a jednocześnie z nadzieją, jakby liczyła na to, że może zmienić zdanie i zechce ją przeprosić.

– Po prostu wykonuj dobrze swoją robotę, to wystarczy – powiedział. – Nie musisz krzywdzić innych.

Borowiec wyrwała się z uchwytu, po czym wybiegła na zewnątrz, trzasnąwszy drzwiami. Daniel odniósł wrażenie, że płakała. Przez moment walczył ze sobą, a potem przeklął pod nosem i wstał zobaczyć, co się z nią dzieje. Jednak kiedy wyrzwał na zewnątrz, nastolatka zdążyła już zniknąć. Pod dom zajechała właśnie terkocząca śmieciarka. Wskoczył z niej mężczyzna o ogorzałej twarzy, w pomarańczowych spodniach z odblaskami i koszulce z napisem MPO. Dłonie w rękawicach położył na biodrach i niezadowolony tupął nogą.

– A co to się stało, że śmieci niewystawione? – krzyknął. – Dawać mi tu panią Wandę, to z nią poważnie porozmawiam.

Dziennikarz rozpoznał w nim mężczyznę, który niedawno spotkał się z właścicielką pensjonatu. Emila Biernata, odpowiedzialnego za morderstwo we mgle w dwa tysiące dwunastym. Tknięty nagłym impulsem Weber postanowił nawiązać relację z niespodziewanym gościem.

– Dzień dobry, panie Emilu. – Wyciągnął rękę, by uścisnąć dłoń pracownikowi zakładów oczyszczania miasta, który ochoczo ściągnął rękawicę i odwzajemnił gest. – Niech pan się zlituje, pani

Wanda wylądowała w szpitalu, a ja nie wiedziałem, że to dzisiaj odbieranie śmieci.

– W szpitalu? Zachorowała czy co? – Po twarzy mężczyzny przebiegł cień niepokoju.

Daniel nachylił się konspiracyjnie, przywołał rozmówcę kiwnięciem, a ten ściągnął z głowy przybrudzoną czapkę z daszkiem i nadstawił ucha.

– Podobno została napadnięta – szepnął dziennikarz.

– O mój Boże! Ale jak to? Tu u nas? Kto jej to zrobił?

– Nie znam szczegółów, ale wiem, że czuje się już dobrze i jutro, a może nawet jeszcze dzisiaj, wróci do domu. Wtedy będzie mógł pan ją odwiedzić.

Facet, wyraźnie poruszony, miał w rękach czapeczkę.

– To może w takim razie pomogę? – zaproponował, wskazując wiatę śmietnikową, pod którą stały kolorowe pojemniki na odpady.

Weber otworzył skrzydło stalowej bramy zamykanej na zasuwę i wpuścił mężczyznę na posesję. Obserwował jego wprawne ruchy, zastanawiając się, kim mógłby być ten człowiek, gdyby nie zdarzenia sprzed siedmiu lat. Śmieciarz podrapał żylaste przedramię oznaczone nieco wyblakłymi tatuażami więziennymi. Wśród nich Daniel dostrzegł trzy imiona: nieżyjącego przyjaciela Marka, obok którego wytatuowano krzyż, oraz dwa kobiece, „Elżbieta” i „Katarzyna”, zapewne matki i siostry. Wlokąc kosz, mężczyzna narzekał na kolegę, który zostawił go samego z robotą, bo dostał telefon od żony, że wody jej odeszły.

Reporter nie słuchał go jednak uważnie, ponieważ cały czas myślał o tym, dlaczego Biernat utrzymywał, że zabił z powodu podszeptów mgły. Sprawiał wrażenie człowieka prostolinijnego, a zarazem z głową na karku.

Dziennikarz patrzył, jak pracownik MPO podczepia czarny kontener do śmieciarki, a później wciska guzik, by w akompaniamencie zgrzytów pozwolić maszynie pożreć odpady.

– Wie pan – zaczął ostrożnie Weber, drapiąc kark z udawanym zakłopotaniem. – Miałem o tym nie wspominać, bo to w sumie nie moja sprawa, ale panią Wandę potwornie dręczyło to, że doradziła panu, by nie mówić matce prawdy.

Mężczyzna, który właśnie opuścił kontener, zastygł z rękoma na uchwytach pojemnika. Daniel poczuł, że złapał go na haczyk, i postanowił naciągnąć żyłkę z nadzieją, że zdobycz się z niej nie zerwie.

– Uznała, że jeśli przerwanie milczenia pozwoli się wam pojednać przed jej śmiercią, to warto to zrobić.

Emil Biernat uporczywie wpatrywał się w pokrywę kosza. W jego oczach zalśniły łzy. Zawstydzony chwycił kontener, by pociągnąć go w stronę wiaty, ale słowa dziennikarza najwyraźniej wywołały w nim lawinę emocji, bo po chwili przystanął ponownie ze wzrokiem utkwionym w przestrzeni, jakby odbywał daleką podróż.

– Wie pan, ludziom się wydaje, że najgorsza jest bieda albo choroby, ale to bzdura – powiedział zamyślony. – Najgorszy to, proszę pana, jest strach. Jak człowieka ściśnie w tych swoich łapskach, to żyje się tak, jakby się codziennie umierało. Po tysiąc razy. Nie ma na to tabletki ani sposobu.

– Może właśnie prawda nim jest.

Mężczyzna powiódł spojrzeniem po lesie rysującym się na horyzoncie.

– Matka powtarzała mi zawsze, że najgłupsze rzeczy to ludzie robią z miłości albo ze strachu – wyznał. – Jakby przeczuwała, że ja też to kiedyś zrobię. – Śmieciarz siąknął nosem, po czym otarł go niedbale rękawicą i chwycił za kosz.

Daniel tkwił w miejscu niczym zahipnotyzowany, usiłując nie tyle zrozumieć, co poczuć sens usłyszanych słów. Nagle przypomniało mu się, co dokładnie powiedziała Wanda w rozmowie z Emilem. „Złamię jej pan serce tą prawdą o was”. Nie „o morderstwie”, tylko „o was”. To odkrycie go uderzyło. Zrobiło mu się gorąco, a trzewia ścisnęło współczucie.

– Zabił go pan z miłości? – wypalił, kierując się intuicją. – Kochał pan Marka, prawda?

Biernat drgnął ledwie zauważalnie, jego twarz skamieniała, a ruchy nabrały tempa, jakby chciał jak najszybciej odjechać. Zamknął ze szczękiem furtkę wiaty śmietnikowej.

– Byliśmy przyjaciółmi. Marek ożenił się z moją siostrą – rzucił na odczepnego, idąc w stronę samochodu.

Weber nie zamierzał mu odpuścić. Szedł za mężczyzną w stronę drogi.

– Jeśli nie zabił pan z miłości, to może ze strachu? Mam rację? – atakował, dostrzegając, że na twarzy jego rozmówcy wykwitają czerwone plamy. – Co się wtedy stało?

Emil Biernat przystanął i jęknął poirytowany.

– Mgła mnie omamiła, to wszystko.

Daniel prychnął.

– Niech pan przestanie opowiadać te kłamstwa. Przynajmniej z szacunku dla Marka – zirytował się. – Wanda powiedziała, że złamię pan serce matce tą prawdą o was – podkreślił dobitnie ostatnie słowa. – Tego się pan tak bał? Że jak opowie o tym, co się stało w lesie, to wyjdzie na jaw, że byliście kochankami?

Śmieciarz zwał szczęki tak mocno, że aż zatrzeszczały zęby.

– Niech pan nie opowiada głupot! – zachnął się, nerwowo ściągając rękawice.



Wskoczył do śmieciarki, odpalił silnik i już chciał zatrzaskać drzwi, gdy Weber zablokował je, stając między nimi a kabiną. Nie miał pojęcia, jak powinien teraz postąpić, ale jednocześnie czuł, że nie może się poddać. Zakręciło mu się w głowie, delikatny wiatr musnął jego kark.

– A może o to właśnie chodziło? Może miał dość ukrywania się i chciał powiedzieć o was żonie?

Biernat zacisnął palce na kierownicy aż do bieli kostek, oparł głowę o zagłówek i zrobił długi wydech.

– Moja siostra dowiedziała się wtedy, że jest w ciąży – wyznał cicho, unikając patrzenia na dziennikarza. – Prosiła, bym mu o tym nie mówił. To były pierwsze tygodnie i chciała poczekać. Dlatego... – Urwał i zaczął szarpać breloczek od kluczy, zwisający ze stacyjki. – Uznałem, że to, co działo się między nami, trzeba skończyć raz na zawsze, ale zanim zdążyłem mu to przekazać, on oznajmił, że chce powiedzieć o nas Kasi. – Westchnął. – Zaczęliśmy się kłócić. Od słowa do słowa doszło do rękoczynów. W końcu go popchnąłem, a on upadł i uderzył głową o głaz.

Daniel, który nie śmiał nawet drgnąć, gdy mężczyzna opowiadał, przestąpił z nogi na nogę.

– Dlaczego nie zawiózł go pan do szpitala?

– Myślałem, że go zabiłem. Tam było tyle krwi. – Emil pokręcił głową i ścisnął nasadę nosa, jakby chciał odeprzeć powracające obrazy. – Lasem szli akurat jacyś ludzie. Spanikowałem, ukryłem go w takim wgłębieniu i przysypałem gałęziami. Nie miałem pojęcia, że jeszcze żył. – Schował twarz w dłonie, a potem odetchnął głęboko, jakby wyznanie prawdy przyniosło mu ulgę i zdjęło z piersi ciężar.

Weber poczuł, że ze wzruszenia drapie go w gardle.

– Wanda nigdy nie powinna kazać panu kłamać – powiedział. – To przez nią stracił pan kontakt z rodziną.

Teraz mężczyzna rzucił mu zaciekle spojrzenie.

– Jak pan może?! – syknął. – Gdyby nie ona, zabiłbym się tam, w tym lesie. Znalazła mnie otępiałego nad bagnami, a później przez lata była jedyną osobą, która chciała ze mną rozmawiać. Nikt w mieście nie podał mi nawet ręki. Ta kobieta uratowała najpierw mnie, a później moją matkę i siostrę.

– Przed czym, do licha?! – Dziennikarz z irytacji podnosił głos.

– Przed prawdą, od której pękłyby im serca.

Daniel parsknął.

– Serca pańskiej matki nie złamie prawda, zniszczyło je to głupie kłamstwo podsunięte przez Wandę. Kłamstwo, przez które straciła jedyne go syna.

Śmieciarz przełknął ślinę, po czym docisnął pedał gazu, a gdy Weber odskoczył w panice, mężczyzna zatrzasnął drzwi i zostawiając za sobą chmurę kurzu, odjechał. Daniel odprowadził wzrokiem trzeszczący samochód. Z rękoma na biodrach próbował uspokoić oddech, ale wściekłość buzowała w nim jak bąbelki w szampanie. Rozsierdzony ruszył do domu, myśląc tylko o jednym: że nie spocznie, dopóki nie pozna prawdy o właścicielce pensjonatu.



## *Listopad 2011 roku*

*Stoi na kładce nad torami. Deszcz siąpi, a mokre, cuchnące ubranie przykleja się do jego skóry. Z odrętwienia nie czuje już zimna. Ręce fioletowe od chłodu trzymają barierkę. Patrzy w dół, na przejeżdżające pociągi, i myśli tylko o jednym – by skoczyć. Zakończyć to coś, co dawno już przestało być życiem. Ile minęło czasu? Kilka dni, a może kilkanaście. Nie wie, bo wszystkie zlewają się w jedno bezbarwne trwanie. Pamięta tylko pociąg towarowy, do którego wsiadł i który wywiózł go gdzieś tu. Gdziekolwiek to jest. Do ciemnych piwnic pełnych szczurów, śmierdzących klatek schodowych i ludzi przeganiających go z miejsca na miejsce. Do strachu, duszącego jak pętla założona na szyję, i do resztek jedzenia znajdowanych na śmietnikach.*

*W oddali dostrzega sunące z szumem wagony. Może teraz, myśli, lecz nie jest w stanie się poruszyć i zielona lokomotywa odjeżdża. Woda skapuje z kaptura naciągniętego na głowę, a plecak żałośnie zwisa z chudego ramienia chłopaka. Był pewien, że umrze pokonany przez chorobę albo rozszarpany przez wyrzuty sumienia. A jednak nie. Nie potrafi zrozumieć, dlaczego nadal żyje, jakby los celowo go torturował. Jakby chciał, by każdego dnia odtwarzał w pamięci obraz matki leżącej w tej upiornej pozycji. Jest zły na Matyldę za jej kłamstwa, za wszystkie podstępne słowa sączone mu do uszu i za to, że skłóciła go z jedyną osobą, która go naprawdę kochała.*

*Jak o tym pisali w prasie? „Nieszczęśliwy wypadek w Sinicach. Kobieta zmarła wskutek upadku ze schodów...” Tylko tyle zdążył*

*przeczytać, zanim sprzedawca przegonił go z kiosku. Serce biło jak oszalałe. Czuł, że wszyscy się na niego gapią. Musieli wiedzieć i na pewno go szukali. Czy obchodziłoby ich, że żałuje? Czy chcieliby wiedzieć, jakie katusze przeżywa, odkąd to się stało?*

*Nie wydaje mu się, by tak było. On sam nie potrafi sobie wybaczyć. Nienawidzi siebie za to, że w nią zwątpił, i tęskni za nią tak bardzo, jak tylko dziecko może tęsknić za matką.*

*Tym razem jest pewien. Błękitny pociąg InterCity mknie w jego kierunku. Przerzuca jedną nogę przez barierkę, kładzie się na kawałku metalu, z którego odłazi farba, i drżąc, czeka. Metaliczny szum narasta. Krople deszczu roztrzaskują się o spękany asfalt na kładce. Teraz wystarczy, że przeniesie ciężar ciała na prawo i w odpowiedniej chwili zamachnie się ramieniem. Stukot kół pociągu staje się coraz głośniejszy. Wszystko wibruje. „Idę do ciebie, mamo” – szepcze.*

*Pęd powietrza uderza go w twarz. Gdzieś z oddali dobiega niewyraźne wołanie. W głowie się kręci. Lokomotywa ryczy, jakby błagała, by tego nie robił. Lecz już za późno. Chłopak szarpie ciałem na prawo, zaciska powieki i spada, wierząc, że tym, co go zabije, będzie strach. A potem uderza o ziemię.*

*Spodziewa się potwornego bólu, zapachu spalin, trzasku łamanych kości, pisku hamulców i krzyków ludzi, ale nic takiego nie nadchodzi. Jedyne, co czuje, jest klucie w czaszce. Otwiera oczy i widzi, że nie spadł na tory, ale na kładkę. Nic z tego nie rozumie – do czasu, gdy jego spojrzenie natrafia na postać starego mężczyzny. Siedzi na ziemi, dysząc, jakby przed chwilą dokonał nadludzkiego wysiłku. Ma kurtkę rozdartą na ramieniu, siwe włosy i zmarszczki tak głębokie, że można by w nich coś schować.*

*– W ostatniej chwili złapałem cię za plecak – wysapuje, po czym z trudem dźwiga zmęczone ciało.*

*Chłopak ze złości wciska pięść w asfalt, aż chropowata powierzchnia rani skórę.*

*– Niepotrzebnie.*

*– Może i tak, ale przez trzydzieści lat pracy na kolei mogłem tylko patrzeć na ludzi rzucających się pod pociąg. Samochodem można odbić, skręcić do rowu, a tu wiesz, że już nic nie zrobisz. Czekasz tylko na ten dźwięk, jakbyś kamień najechał.*

*– Trzeba było poczekać.*

*Staruszek wzdycha.*

*– Nie masz pojęcia, co mówisz, dzieciaku. To tam – wskazuje na tory – jest gorsze od piekła.*

*Mężczyzna doczłapuje do barierki, opiera łokcie o metal i patrzy w dal z nostalgią. Trwają tak w milczeniu. Jednego z nich ogarnia wstyd pomieszany z gniewem, drugi po raz pierwszy od dawna czuje, że nie wszystko jeszcze stracone.*

*– Chudy jesteś potwornie. Narkotyki bierzesz? – pyta emeryt.*

*– Nie.*

*Starzec mruczy pod nosem, przyglądając się mu nieufnie.*

*– Chodź ze mną. Dam ci obiadu, a później zrobisz, co zechcesz. – Wyciąga rękę do chłopaka, a ten po chwili wahania chwyta ją i podnosi się z ziemi.*

*Zwycięża w nim głód, choć może również pragnienie, by ogrzać zmarznięte kości i przez moment nie bać się tak bardzo jak dotychczas. Poza tym mężczyzna ma w sobie uspokajającą łagodność człowieka, który wiele przeżył.*

*Wędrują niespiesznie ścieżkami wydeptanymi w zaroślach, a później starym, spękany chodnikiem. Mówi głównie emeryt. Opowiada o pracy maszynisty, o swoich sentymentalnych spacerach na dworzec i twarzach samobójców, które przychodzą do niego w snach. Gdy wchodzi do mieszkania na parterze, każe chłopakowi*

zdjąć buty i wysyła go do łazienki. W korytarzu stoją puszeki z farbą, na nich leżą pędzle oraz wałki, a w powietrzu unosi się zapach jedzenia, od którego aż burczy w brzuchu.

Chłopak zamyka za sobą drzwi i przez jakiś czas patrzy na człowieka w lustrze. Jego włosy powoli odrastają, spojrzenie jest bardziej wyraziste, a twarz powoli traci dawną chłopięcość. Szoruje mydłem brudne ręce, nieśmiało zerkając w stronę wanny ukrytej za foliową zasłoną, gdy rozlega się pukanie.

– Kładę pod drzwiami ręcznik i moje stare ubrania. Pewnie będą trochę za duże, ale chociaż czyste – oznajmia staruszek.

Chłopak, który nadal trzyma dłonie pod ciepłą wodą, zaczyna płakać, jakby wraz z brudem zmył z siebie część strachu. Kiedy kwadrans później wychodzi z łazienki w koszuli z podwiniętymi rękawami i w zwisających z bioder spodniach, wygląda jak inny człowiek. Na stole pokrytym wyblakłą ceratą stoją talerze z parującą zupą i mniejsze z ziemniakami. Aromat drażni nozdrza.

– Odgrzałem kapuśniak. Jedz, póki gorący – rzuca mężczyzna znad patelni, na której rumienią się skwarki.

Po chwili rozlewa okrasę na ziemniaki, zajmuje miejsce na skrzypiącym taborecie i zacierając ręce, chwyta w dłoń łyżkę.

Chłopak jednak się waha. Zerka na zawartość talerzy jak na coś niebezpiecznego.

– No nie bój się, siadaj – zachęca mężczyzna. – Musisz jeść, żeby żyć.

Po pierwszej porcji nastolatek myśli, że mu smakuje, po kilku kolejnych, że właśnie tak wygląda szczęście. Ciepły posiłek, czyste ubranie i człowiek, do którego można się odezwać. Je chciwie, uderzając łyżką o talerz, a w ustach eksplodują mu tysiące nieprawdopodobnych smaków. Matka zawsze powtarzała, że musi być na diecie, by ograniczyć wymioty i nie nadwyrężyć chorego

żołądka. Przez lata karmiła go burą papką bez smaku, nie mając świadomości, że jest w błędzie. Po raz pierwszy odkrył to dzięki Matyldzie, która nocami przemycała pachnące bułeczki i ciasto.

Uśmiecha się i za moment gaśnie, jakby wspomnienie dziewczyny bolało. Emeryt obejmuje go troskliwym spojrzeniem.

– Z jakiego powodu chciałeś umrzeć?

Chłopak zwleka z odpowiedzią, ale w końcu cicho wyznaje:

– Zrobiłem coś złego i nie potrafię sobie wybaczyć.

– Mój spowiednik mówi, że nie potrzebujemy wybaczenia od ludzi, a jedynie od Boga. Choć szczerze mówiąc, uważam, że gada bzdury. – Mężczyzna śmieje się, po czym wygląda na podwórko niknące w zapadającym zmroku.

W namyśle przygryza wargę, dzwoni palcami o pusty talerz.

– Gdzie twoi rodzice? – pyta.

– Nie żyją.

Staruszek kiwa w ciszy głową.

– Posłuchaj – rzuca, ocierając usta serwetką. – Wyglądasz na dobrego dzieciaka. Jeśli chcesz, możesz się u mnie zatrzymać na kilka dni. Dopóki nie nabierzesz sił. – Wstaje i jakby zawstydzony swoją propozycją, koncertuje się na zmywaniu naczyń.

Chłopak milczy przez jakiś czas, nieśmiało popatrując na mężczyznę.

– Dlaczego pan to robi?

– Bo kiedy nie zdołało się uratować kilkunastu żyć, chce się ocalić chociaż to jedno – odpowiada i weselszym tonem dodaje: – No i szukam kogoś, kto mi pomoże odmalować pokój.

Chłopak przełyka łyżkę zupy. Jego dłoń drży pod wpływem fali uczuć, które nie mogą się w nim pomieścić.

– Spróbuję – mówi.





Teraz

Południe

Wtorek, 30 kwietnia 2019 roku, Sinice

Weber wszedł do sypialni Wandy z zamiarem zrozumienia, kim jest ta kobieta, ale gdy tylko przekroczył próg, poczuł, jakby odpychała go jakaś niewidzialna siła. Ciałem dziennikarza wstrząsnął dreszcz, zawahał się i niemal zawrócił, a wtedy jego wzrok spoczął na artykule wyciętym z gazety. Oprawiony w ramkę tekst wisiał nad drewnianym sekretarzykiem. Reporter podszedł bliżej. Za oknem, na parapecie, przysiadł gawron i skrzekliwie zakrakał, co zabrzmiało jak ostrzeżenie.

Na zdjęciu ilustrującym publikację Daniel ujrzał rozpromienioną dumą twarz właścicielki pensjonatu. Wanda uśmiechała się szeroko do obiektywu, przytulając kilkuletnią dziewczynkę o złotych warkoczach. Artykuł mówił o jej bohaterskim wyczynie, gdy z narażeniem życia uratowała dziecko spod kół staczającego się ze wzgórza samochodu. Weber z wrażenia zagwizdał. Spojrzał lękliwie w stronę drzwi, jakby sprawdzał, czy ktoś lub coś zdoła go jeszcze powstrzymać, po czym zaczął przeglądać zawartość biurka. Nie znalazł w nim niczego, co mógłby uznać za kontrowersyjne. Zastanowiło go tylko, dlaczego jedna z szuflad pozostawała zamknięta na klucz.

Ze zmarszczonym w namyśle czołem otworzył drzwi drewnianej szafy. Zapach naftaliny buchnął mu w twarz. Na dnie, pod ubraniami zwisającymi z wieszaków, stały dwa pudła zaklejone szeroką brązową taśmą. Ktoś musiał je zamknąć dawno temu, ponieważ klej zdążył wyschnąć, a taśma w kilku miejscach odstawała od kartonu. Chwycił brązową wstęgę w palce, po czym z satysfakcją ją oderwał. Pokój wypełnił dźwięk dartego papieru. Oczom Daniela ukazały się wyblakłe, pozamykane w złożonych ramach dyplomy ukończenia kursów pielęgniarstwa oraz certyfikaty ze szkoleń specjalizacyjnych. Wszystkie pochodziły z późnych lat osiemdziesiątych i wczesnych dziewięćdziesiątych. Na każdym widniało imię i nazwisko właścicielki pensjonatu. Wanda Malec. Dziennikarz przewracał je w rękach, zastanawiając się, dlaczego kobieta porzuciła pracę pielęgniarki, mimo iż nie osiągnęła jeszcze wieku emerytalnego.

Odpowiedź znalazł w drugim kartonie, pełnym albumów ze zdjęciami. Wziął do ręki jeden z nich. Fotografie zostały poukładane w przezroczystych, plastikowych przegródkach. Część jednak musiała być wetknięta luzem między strony albumu, ponieważ po jego otwarciu zdjęcia wypadły na drewnianą klepkę podłogową i rozpierzchły się we wszystkie strony. Weber przeklął, po czym schylił się po fotografię, która zgrabnym ślizgiem wjechała pod łóżko. Wyciągnął mocno palce, stękając przy tym z wysiłku, chwycił lśniący prostokąt za krawędź i w końcu wydobył go z czeluści.

Na zdjęciu zobaczył chłopca na wózku inwalidzkim. Wyglądał na jakieś osiem, góra dziewięć lat. Widok jego chudych kończyn, zapadniętych policzków i podkrążonych oczu, kontrastujących z promiennym uśmiechem, rozczulił reportera. Wykładał kolejne albumy na podłogę i siedząc w kucki, przerzucał szeleszczące strony, z których wyzierały twarze Wandy i chłopca, który musiał być jej synem. Reporter wpatrywał się w kadry sprzed czerwonego

cyrkowego namiotu, z koncertu charytatywnego i z ogrodu, gdzie wózek z synem właścicielki pensjonatu stał pod obsypaną białymi kwiatami jabłonią.

Daniel zatrzymał się na tym zdjęciu i poczuł, jakby jego żyłami popłynął prąd. Wymizerowane dziecko nie było w żaden sposób podobne do Jana, a jednak kadr silnie kojarzył się z obrazem człowieka z amnezją opartego o pień drzewa, który Weber zachował w pamięci.

Wiedziony przeczuciem, wyszedł z pokoju i chwycił za słuchawkę telefonu stacjonarnego. W pamięci aparatu odszukał numer zaczynający się od cyfr sześć, dziewięć, trzy, a następnie wbił spojrzenie w fotografię ścisną w palcach.

– Nie bardzo mogę teraz rozmawiać, co jest? – usłyszał stłumiony głos aspirantki Sowińskiej i toczącą się gdzieś w tle rozmowę.

– Czy Wanda z pensjonatu miała syna?

– Tak. Był chory. Z tego, co pamiętam, wyjechał do ojca, do Stanów. Czemu cię to interesuje?

Dziennikarz wodził palcem po wzorze na tapecie w korytarzu.

– Moglibyście zrobić progresję wiekową jego zdjęcia? Na wczoraj. Weronika prychnęła.

– Wolne żarty. Do czego ci to w ogóle potrzebne?

– Być może się mylę, ale oglądałem właśnie ich rodzinne albumy i odniosłem wrażenie, że w tym chłopaku jest coś, co przypomina mężczyznę z amnezją – wyjaśnił, gniotąc w dłoni kabel telefonu. – Wiem, to brzmi niedorzecznie, bo przecież by go rozpoznała, ale nie mogę przestać myśleć o tym, jak on na nią spojrzał wczoraj wieczorem. To nie była wyłącznie nienawiść, ale też żal.

Policjantka jęknęła.

– Lipski mnie zamorduje, ale w porządku, zlecę to. Wiesz tylko, że wykonanie dobrej progresji zajmuje czasem nawet czterdzieści

godzin, prawda?

– Nie da się tego przyspieszyć? Nie mamy tyle czasu, zróbcie jakąś symulację.

Sowińska wydała z siebie długie westchnienie.

– Dobra, pogadam z naszym komputerowym magikiem, może coś wymyśli. Poproszę, by poszukał zdjęć młodego w sieci, a ty siedź przy telefonie, odezwę się, jak tylko będę coś miała.

Rozłączyła się nagle. Weber odwiesił słuchawkę, gdy nagle coś go tknęło. Wbiegł po schodach na górę, by po chwili wrócić z laptopem, w którym pospiesznie odszukał wiadomość od Weroniki. Dotychczas tylko jeden człowiek zdołał uchylić się od odpowiedzi. Zdzisław Bela, specjalista od remontów, którego wizytówka znajdowała się w portfelu należącym do Jana.

Daniel wybrał jego numer, a gdy rozmówca odebrał, dziennikarz przystąpił do ataku.

– Weber z tej strony – przedstawił się. – Panie Zdzisławie, myślę, że pora skończyć te gierki, wiem, że rozpoznał pan faceta z amnezją. Muszę wiedzieć, jak on się nazywa.

– Kpi pan sobie? Mówiłem przecież, nie mam pojęcia, kto to jest – warknął rozeźlony budowlaniec.

– A ja nie oglądałem zdjęć nagich dziewczyn przed osiemnastką. Litości. Za bardzo się pan denerwuje jak na kogoś, kto go nie zna.

Mężczyzna po drugiej stronie parsknął ironicznie.

– Nie wiem, co się panu uroiło, ale nie zamierzam kontynuować tej bezsensownej...

– On przypomniał sobie, kim jest, i zbiegł – wszedł Beli w słowo. – Ale zanim to zrobił, skatował kobietę, uderzając jej głową o maskę samochodu.

Rozmówca milczał o sekundę za długo, by udąć, że nie robi to na nim wrażenia.

– Naprawdę mnie to nie obchodzi – próbował nieudolnie, choć opór w jego głosie zelżał.

Weber uśmiechnął się do siebie.

– A powinno, bo jeśli w jakiś sposób zalazł mu pan za skórę, to przyjdzie i po pana – oznajmił. – Jest nieobliczalny, radziłbym więc uprzejmie, by sięgnął pan do swojej pamięci i łaskawie wyjawiał, jak on się, do cholery, nazywa. – Przemierzając korytarz nerwowym krokiem, gestykulował impulsywnie. – Może wtedy gliny zdążą go złapać, zanim kolejnej osobie stanie się krzywda.

Specjalista od remontów przełknął ślinę.

– Ale ja naprawdę nie wiem.

Daniel wysyczał nieme „kurwa”.

– Myślałem, że ma pan więcej oleju w głowie... – zaczął, ale mężczyzna mu przerwał.

– Nie, nie, niech pan zaczeka, to nie tak. Znam go, ale nie wiem, jak się nazywa. Nie chciał o tym mówić. Dla mnie był zawsze młodym, tak na niego wołałem – tłumaczył. – Zgarnąłem go z Centralnego w Warszawie, jak z bezdomnymi łaził. Akurat pracownik mi się wysypał, robota była pilna, a on się napatoczył i sprawiał wrażenie, że ogarnie remont, to go wziąłem. – Westchnął, jakby pożałował tamtej decyzji. – Miał mi pomóc tylko przy tym jednym zleceniu, ale dobrze się nam razem pracowało i w końcu został.

Zaskoczony tą informacją Weber przystanął i mocniej przycisnął słuchawkę do ucha.

– Jak długo razem pracowaliście?

– Będzie z pięć lat. W czternastym, jak moja żona w trzecią ciążę zaszła, go poznałem. Dobrze się nam razem robiło, nie powiem. On taki raczej małomówny, słuchał, co mu kazałem. Pojętny był, fuszery nie odwalał i do kielicha nie zaglądał. Tylko wystraszony zawsze

czegoś. Na policję spode łba patrzył, jak diabeł na święconą wodę. – Mlasnął z dezaprobatą. – Czasem to sam się go bałem, bo wiadomo, co to w takim siedzi? Niby mówił, że jego rodzice zmarli, ale kto go tam wie.

– Mógł już wtedy nie pamiętać, kim jest? – spytał Weber.

– Czy ja wiem? Raczej nie. Na moje to on przed czymś uciekał. Jakby coś zmajstrował i się ukrywał.

Dziennikarz przytknął czoło do ściany i zamknął oczy, biorąc głęboki wdech. Od natłoku myśli zaczynała boleć go głowa.

– A co się stało, że przestaliście ze sobą pracować? – chciał wiedzieć.

Zdzisław Bela zamilkł na moment, ale po chwili odchrząknął i odparł:

– No zniknął któregoś dnia po robocie. Odwiozłem go do domu, wysiadł z samochodu i przepadł. Starowinka, u której go ulokowałem, mówiła, że już nie wrócił.

Daniel z niedowierzaniem ściągnął brwi.

– Tak po prostu? Bez żadnego pretekstu? Kiedy to było?

– Jakies dwa miesiące temu. Kiedy wysiadał z furgonetki, wypadł mu z kieszeni artykuł wydarty z gazety. O jakiejś kobiecie z podlaskiego, co dziewczynkę spod auta wyratowała. Po co mu to było, to ja nie wiem.

Weber przypomniał sobie tekst wiszący w ramce nad biurkiem w sypialni Wandy i uznał, że musiało chodzić o tę samą publikację. Nawijając kabel na palec, zapytał:

– Dlaczego nie powiedział pan tego od razu i ukrywał, że go rozpoznał?

– Wie pan, czasem człowiek robi różne głupstwa i wolałby, żeby nikt mu o nich nie przypomniał. Jak by to wyjaśnić... – Bela się

zawahał. – Nie było w moim interesie pomagać mu odzyskać pamięć, ale skoro to i tak już się stało, to chociaż tyle mogłem.

Uszu Daniela dobiegł warkot silnika samochodowego. Naciągnął kabel telefonu, by przejść ze słuchawką do pokoju, a kiedy przez okno zobaczył parkującego pod domem lanosa Wandy, załała go fala gorąca. Pożegnał się zdawkowo i rzucił się do sypialni kobiety, by uprzątnąć porzucane zdjęcia, zanim ich właścicielka wejdzie do domu. Ręce mu się trzęsły, a wzrok chaotycznie błędził po pudłach i albumach, jakby nie wiedział, od czego zacząć.

Wtedy usłyszał skrzypnięcie naciskanej klamki, a po chwili kroki Wandy w przedpokoju.

\*

Filip Klepacki siedział na podłodze pod salą od geografii, przeglądając zdjęcia w galerii aparatu. Na uszach miał duże słuchawki, z których płynęły ciężkie i ostre brzmienia death metalu. Nie słyszał gwaru szkolnej przerwy ani uwag, które jego koledzy wymienili na widok Jagody Borowiec. Był w swoim świecie. Korytarzem przebiegali niewidzialni dla niego, wygłupiający się uczniowie. Nie dostrzegał latających kulek z papieru, urody dziewcząt zajmujących miejsce na parapecie naprzeciwko ani niezadowolenia dyżurującej nauczycielki, która z obawy o awanturę dawno już przestała zwracać siedemnastolatkom uwagę.

Dopiero gdy jeden z chłopaków wylądował nogą na jego plecaku, potknął się i upadł tuż obok, uderzając przy tym nastolatka w ramię, Filip ściągnął słuchawki z uszu. Dźwięki muzyki ustąpiły miejsca dzikiemu harmidrowi ogólniaka.

Wstał, otrzepując spodnie, po czym rzucił blondynowi rozdrażnione spojrzenie.



– Uważaj, jak łazisz, baranie – zirytował się.

– To ona mnie popchnęła. – Chłopak wskazał na purpurową twarz Borowiec.

Na policzkach miała ślady rozmazanego tuszu, jakby wcześniej płakała. Jej zaciśnięte dłonie przypominały dwa kamienie, a wzrok ciskał gromy. Klepacki, którego złość na dziewczynę od czasu wizyty Daniela Webera w redakcji gazety przybrała na sile, rozłożył ręce i pytająco uniósł brew.

– Co z tobą? – warknął.

– Ze mną? To twoi kumple mnie zaczepiali. Mógłbyś coś zrobić, zamiast prawić mi morały.

Z oczu nastolatki wyczierała niema, błagalna prośba o wsparcie. Dwóch chłopaków opartych o ścianę zachichotało, a kilkoro pozostałych uczniów zbliżyło się, by nie stracić ani słowa z rozgrywającego się na korytarzu dramatu. Dziewczyny trącały się łokciami i szeptały między sobą.

– Przestań ich prowokować, to nie będą ci dokuczali – rzucił Filip zajadle.

– Słucham? Chyba upadłeś na głowę. Nikogo nie prowokowałam. Klepacki prychnął.

– Jasne. Jakbym cię nie znał.

– Że co? – Jagoda trzęsła się z oburzenia.

– Błagam, nie próbuj udawać świętej. Wszyscy wiedzą, że uwielbiasz być w centrum uwagi.

– To nieprawda! – krzyknęła, po czym z żalem zapytała: – Dlaczego mi to robisz? Myślałam, że mogę na ciebie liczyć.

Zaplotła ramiona na piersi, wyczekująco wpatrując się w Filipa. On jednak miał dość stawania po stronie nastolatki, która pamiętała o nim tylko wtedy, gdy widziała w tym własny interes. Nie chciał być dłużej przez nią wykorzystywany.

– Poradzisz sobie sama, jesteś dużą dziewczynką – odparł, a potem zarzucił plecak na ramię i odwrócił się, jakby planował odejść.

– I co, tak po prostu sobie pójdziesz? Pozwolisz, żeby mówili do mnie w ten sposób? To jest ta twoja przyjaźń? – Jej głos z emocji przechodził w pisk. – Wielkie dzięki!

Chłopak przystanął, po czym spojrzał na Jagodę z wyrzutem.

– Nagle sobie o mnie przypomniałaś? Słynny dziennikarz nie miał czasu? A co oni niby takiego powiedzieli, że księżniczka się aż tak bardzo zdenerwowała? – ironizował.

Borowiec odwróciła twarz do okna i zamknęła oczy. Jej wargi drżały, a po chwili spod powieki wytoczyła się samotna łza, która spłynęła w dół policzka. Wokół zrobiło się cicho. Nastolatki przestali rzucać papierami, przepychanki ustały.

– „Jagoda, zrobisz mi loda?”, „Słodka, pogłaszczesz mi kotka?” – Nabrzmiałym od smutku głosem przytoczyła teksty, które usłyszała od kolegów.

Klepacki omiół wzrokiem czerwone policzki dziewczyny oraz jej krótką białą spódniczkę, podobną do tych, jakie noszą tenisistki. Poczł ukłucie zazdrości o to, że umalowała się i ubrała zapewne dla kogoś innego niż on. Podszedł bliżej, nachylił się tak, jakby zamierzał ją pocałować, i szepnął:

– Widocznie sobie na to zasłużyłaś.

W ułamku sekundy ręka dziewczyny uderzyła z głośnym plaśnięciem w policzek Filipa. Chłopak natychmiast złapał się za twarz i popatrzył na koleżankę ze złością pomieszaną z żalem.

– Jesteś zerem! – wrzasnęła. – Nikim, rozumiesz? Zazdrosnym dupkiem, niemającym odwagi stanąć w obronie koleżanki, w której od roku się podkochuje. Ty pieprzony tchórze – syknęła.

Tym razem Klepacki milczał. Czuł się nagi. Obnażony przed wszystkimi licealistami. Ciasno objął palcami szelkę plecaka. Jagoda jedynie zwerbalizowała jego myśli, bo właśnie tak siebie postrzegał, jak kompletne dno. Nienawidził chłopaka, którego widywał rano w lustrze. Brzydził się jego nieudolnością. Czuł wstręt do siebie za te wszystkie momenty, gdy ze strachu nie robił nic. Gdy zamiast mówić to, co naprawdę chciał, wypowiadał słowa, których oczekiwali inni. Stał się aktorem, który grał pożądaną rolę. Na pstryknięcie palcami i na zawołanie. Wiecznie napięty. Przerażony tym, że kamuflaż mógłby nie zadziałać.

– Co tu się dzieje? – Nauczycielka pełniąca dyżur podeszła do zbiegowiska.

Kiedy patrzyła wyczekująco na nastolatków, metaliczny dzwonek obwieścił koniec przerwy. Wokół zapanowało poruszenie. Uczniowie zaczęli wlewać się do klas i tylko Jagoda z Filipem trwali nieruchomo pośród tej płynącej rzeki licealistów.

– Nic – rzucił Klepacki, po czym ruszył w stronę schodów, nawet nie spoglądając na Borowiec.

– Filip, wracaj na lekcje! – zawołała za nim belferka, ale on zbiegał już na dół.

W szatni zmienił buty, w pośpiechu złapał kurtkę i wypadł na ulicę Tysiąclecia z zaróżowionymi policzkami. Musiał działać szybko, by nie zdążyć się rozmyślić. Wykorzystać ten gniew jak paliwo i wreszcie zrobić to, co już od dawna uważał za słuszne. Przestać się w końcu bać. Znaleźć powód ku temu, by nienawidzić siebie choć trochę mniej.

Chciał udowodnić Jagodzie, choć jeszcze bardziej sobie, że nie jest tchórzem, tylko zapomniał, jak być odważnym.



## Wrzesień 2012 roku

*Ktoś puka do drzwi. Pan Jerzy wyszedł po gazetę i chłopak boi się otworzyć. Po cichu, na palcach podpełza do wizjera, by po drugiej stronie ujrzeć człowieka w białym habicie do ziemi i z tysiącą błyszczącą w świetle żarówki. Ze strachu cofa się do wnętrza mieszkania, lecz brodata postać na klatce schodowej najwyraźniej nie zamierza odejść, ponieważ naciska guzik dzwonka. Rozbrzmiewa donośne „ding dong”, po którym chłopak przylega plecami do ściany i niespokojnie oddycha.*

*A jeśli ten ktoś przyszedł tu po mnie? – myśli. Nogi zaczynają mu drżeć i wtedy za drzwiami odzywa się znajomy głos, a później klucz chrobocze w zamku.*

*– Proszę, proszę. Wejdz, przyjacielu.*

*Słyszą szuranie butów o wycieraczkę, pstryknięcie włącznika światła i szelest kurtki pana Jerzego.*

*– Zaparzę herbaty, a ty się rozgość – dobiega uszu chłopaka, który w panice rozgląda się za miejscem, gdzie mógłby się ukryć, lecz jest już za późno.*

*Zakonnik właśnie wchodzi do dużego pokoju, zwanego salonem, a jego wzrok pada na nastolatka przyklejonego do ściany.*

*– Tu jesteś. – Rozpromienia się. – Jurek dużo mi o tobie opowiadał.*

*Chłopak ma wrażenie, że serce zaraz wyskoczy mu z piersi. Przez ostatni rok przybrał na wadze i odzyskał siły, a chodzenie nie*

*sprawia mu już trudności, ale co, jeśli mimo to zostanie rozpoznany? Czy ten mężczyzna już wie?*

*Z nerwów jego skóra pokrywa się lepkiem potem. Lustruje duchownego, usiłując ocenić, czego nieznajomy może od niego chcieć. Tamten uśmiecha się życzliwie. Zbyt szeroko, by mogło to być szczere.*

*Z ratunkiem przychodzi staruszek. W rękach ma tacę z herbatą i ciasteczkami, a na twarzy zatroskany wyraz.*

*– Widzę, że zdążyliście się poznać – mówi, uciekając wzrokiem, jakby czuł się odpowiedzialny za niepokój chłopaka. – Ojciec Bernard przyszedł tu, by z tobą porozmawiać. Poprosiłem go o to.*

*– Ale dlaczego?*

*– Rok już prawie jesteś u mnie, a nic się nie zmienia. Wciąż krzyczysz przez sen, budzisz się zlany potem i unikasz ludzi. Nawet jak i co złego zrobiłeś, to czas sobie odpuścić. Wystarczy tego zadręczania się.*

*Przerażenie ściska chłopaka za gardło. Czuje się oszukany i zdradzony. Patrzy, jak pan Jerzy ustawia naczynia na stole, a potem spokojnie wygładza dłońią obrus.*

*– Nie potrzebuję tego – broni się.*

*– Tak myślisz, chłopcze, ale zobaczysz, że po spowiedzi ci ulży – tłumaczy zakonnik. – Wszystko, co powiesz, zostanie między tobą, mną a Bogiem.*

*Chłopak rzuca prośące spojrzenie emerytowi, ale on tylko klepie go w ramię.*

*– Nie bój się. To dla twojego dobra – przekonuje. – Posiedzę sobie w kuchni, przeczytam gazetę, a wy tu rozmawiajcie.*

*Gdy wychodzi, chłopak jest bliski omdlenia. Zajmuje miejsce na krześle tylko po to, by nie upaść. Jak przez grubą warstwę waty docierają do niego słowa duchownego, których i tak nie rozumie.*

*Okrągła twarz rozpływa się i wyostrza na przemian. Zakonnik podaje mu święty obrazek, a potem wrzuca do herbaty trzy kostki cukru i głośno dzwoni łyżeczką o ścianki naczynia.*

*– Muszę do toalety – rzuca chłopak i zrywa się od stołu, ściskając w palcach kartonik z wizerunkiem młodzieńca z anielskimi skrzydłami.*

*Biegnie, podtrzymując się ścian korytarza, a w łazience osuwa się na podłogę i tępo wpatruje w napisy na odwrocie świętego obrazka. „Michał Archanioł jest aniołem stróżem, wstawia się u Boga za ludźmi...” – czyta, nim litery rozmażą mu się przed oczyma. Z każdą sekundą jest mu coraz bardziej duszno. Przecież nie może niczego powiedzieć temu człowiekowi.*

*Odnosi wrażenie, że z salonu dobiegają go szepty. Czy rozmawiają o nim? Czy go przejrzeni?*

*Podnosi się z trudem i spryskuje twarz zimną wodą, a wraz z orzeźwieniem przychodzi rozwiązanie. Wsuwa obrazek do tylnej kieszeni spodni, ostrożnie otwiera drzwi łazienki i szybkim krokiem zmierza do przedpokoju. Tam chwyta kurtkę pana Jerzego i choć czuje ukłucie żalu, nie spogląda nawet w stronę kuchni, tylko wychodzi z mieszkania. Byle prędej, byle dalej. Gna co sił w płucach i zatrzymuje się dopiero kilka bloków dalej. Zdyszany, ukryty za ścianą śmietnika, zdaje sobie sprawę, że właśnie stracił kolejne życie.*





## *Marzec 2014 roku*

*Chłód poranka sprawia, że wlecze się na dworzec. Przepędzą go, to pewne, ale przynajmniej ogrzeje zziębnięte kości i może zdoła wyżebrać parę groszy na jedzenie. Od ponad roku, odkąd opuścił mieszkanie pana Jerzego, błąka się po stolicy. Zabrali go studenci jadący do Warszawy, gdy rozpaczliwie wymachiwał rękoma przy drodze. Nieważne było dokąd, byle jak najdalej od ojca Bernarda, siwowłosego mężczyzny i przeszłości, której oddech nieustannie czuł na karku.*

*Przybrudzona, nieświeża kurtka wisi na nim jak ubranie po starszym bracie. W kieszeni tkwi portfel, zabrany przypadkiem razem z okryciem. Początkowo nie chciał wydać ani złotówki z pieniędzy emeryta, który udzielił mu schronienia. Obiecał sobie, że wszystko zwróci, bo przecież nie jest taki, ale gdy przyszedł głód, musiał zmienić zdanie. Jakby był zwierzęciem, którym rządzi instynkt przetrwania. Trzy banknoty i kilka monet starczyły mu zaledwie na tydzień. Sypiał na ławkach, w dworcowych podziemiach, a czasem, gdy mu się poszczęściło, na ciepłych klatkach schodowych w Śródmieściu. Ani do noclegowni, ani do schronisk iść nie zamierzał, bo zaglądali tam strażnicy miejscy i policja, a tych musiał się wystrzegać.*

*Nawet teraz, mimo iż włosy odrosły, a on wygląda inaczej niż w dniu, w którym uciekł z domu matki, nie ma chwili, by nie oglądał się za siebie. Zawsze napięty i czujny. Z lękiem, który wyziera*

*z oczu. Cichy, jakby już dawno był martwy, choć przecież nadal płynie w nim krew.*

*Wchodzi do hali Dworca Centralnego. Rój podróżnych wiruje wokół w obłąkańczym tańcu. Wszyscy dokądś biegną, zapatrzeni w komórki. Gwar rozmów i nadawanych przez megafony komunikatów wciska mu się do uszu. Kuli się pod naporem tych dźwięków, a później chowa dumę do kieszeni i podchodzi do młodej kobiety, która wygląda na miłą.*

*– Czy mogłaby mi pani kupić coś do jedzenia? Od wczoraj nie miałem niczego w ustach – prosi.*

*Kobieta rzuca mu pogardliwe spojrzenie i bez słowa odchodzi. Następna prycha, twierdząc, że powinien od razu przyznać, iż zbiera na wódkę, a kolejna odmawia, ale obiecuje się za niego modlić. Ma ochotę wykrzyknąć jej, by sobie wsadziła te pacierze, bo jej różańcami on żołądka nie napełni, ale potyka złość. Zwykle wybiera kobiety, one częściej niż mężczyźni okazują współczucie, ale dziś to nie działa.*

*Snuje się jeszcze chwilę, podejmując nieudolne próby wyproszenia kanapki albo herbaty, gdy kątem oka zauważa sunący w jego kierunku patrol policyjny. W popłochu próbuje wmieszać się w grupę studentów z transparentami, ale potyka się i ląduje na plecach faceta w dżinsowej kurtce podszytej misiem, który prowadzi ożywioną rozmowę przez telefon, pokrzykując do słuchawki.*

*– Uważaj pan! – rzuca mężczyzna, a on pospiesznie przeprasza i biegnie w stronę restauracji McDonald's.*

*Nie wie jeszcze, co robi, na razie gra na zwłokę. Musi się ukryć. Zerka nerwowo za siebie, a kiedy odkrywa, że nikt za nim nie podąża, oddycha odrobinę głębiej. Już zza zakrętu wyczuwa przyjemny zapach tłuszczu, w którym smażone są frytki. Ludzie w restauracji kłębią się, jakby jedzenie rozdawano tam za darmo.*

*Przypominają mrówki obłażące porzuconego w trawie lizaka. Najwięcej osób tkwi w kolejkach przy kasach. Ich oczy błyszczą, a z ust zdaje się kapać ślina. On też czuje skurcz żołądka i ma nadzieję, że uda mu się upolować jakiś niedojedzony kąsek.*

*Niczym łowca, przyczajony w ukryciu, przesuwając spojrzeniem po stolikach. Szuka klientów, którzy zamówili za dużo, albo dzieci, którym często coś nie smakuje. Nie mija kwadrans, gdy zauważy kobietę w eleganckim kostiumie i z walizką na kółkach. Idzie w kierunku kosza na śmieci. Na tacy niesie nietknięte frytki. Chłopak musi się spieszyć, nim kobieta je wyrzuci. Przemyka między stolikami, jakby brał udział w wyścigu. Ona otwiera już metalową klapę nad pojemnikiem z odpadkami i zbliża do niej tacę. Chciałby ją powstrzymać, zawołać, by tego nie robiła, ale wie, że nie może zwracać na siebie uwagi.*

*Nim zdąży dobiec do kobiety, jest już za późno. Z obojętnym poczuciem bezradności obserwuje, jak jedzenie ginie w śmieciach, a wraz z nim znika jego szansa na ciepły posiłek.*

*– Niech pan się przysiądzie do mnie – rzuca ktoś stojący za jego plecami.*

*Kiedy spogląda za siebie, widzi mężczyznę, którego spotkał wcześniej w hali głównej. Faceta w ocieplanej dżinsowej kurtce. W dłoniach trzyma czerwoną tacę pełną jedzenia.*

*– No chodź pan. – Kiwa głową w stronę zwalniającego się stolika.*

*Chłopak posłusznie zajmuje miejsce, choć cały czas towarzyszy mu podejrzliwość. Siada ostrożnie, jakby krzesło parzyło, i nieufnie taksuje mężczyznę.*

*Spotkał się z tym już wcześniej. Kilka dni temu pewien biznesmen zaproponował mu obiad, po czym mimochodem, gdzieś między zupą a drugim daniem, oznajmił, że po posiłku skoczą razem do toalety, by uregulować należność. Chłopak, nie rozumiejąc, na czym miałoby*

to polegać, zrobił zdziwioną minę, a wtedy jego towarzysz położył mu dłoń na kroczu i wyszeptał do ucha: „Nie udawaj niewiniątka, widzę, jak na mnie patrzysz”.

Pamięta, że w tamtym momencie dopadły go mdłości. Wstał od stolika i uciekł na zewnątrz, a później zwymiotował wszystko, co zdążył zjeść.

– Proszę – mówi facet i podsuwa w jego stronę frytki, obejmując wzrokiem zawartość tacy. – Sam nie wiem, po co tyle tego nabrałem. Wściekłem się strasznie, a wie pan, że na nerw to najlepiej coś zjeść. Od razu się człowiek jakoś tak lepiej czuje.

Chłopak je w ciszy. Walczy ze sobą, by nie wpychać do ust po kilka frytek i nie oblizywać palców. Sól szczypie go w język, a przyjemny zapach otacza jak miły kokon.

– Pracownik mnie wystawił, wie pan? – Mężczyzna kontynuuje swoją opowieść, przełykając kęsy burgera popijanego colą. – Remont dzisiaj na Woli zaczynamy, a ten zadzwonił, że jednak nie przyjedzie, bo za mało płacę. Jęczybuła jeden. Ludziom to się w dupach przewracało, wie pan? Tylko o kasie myślą, a pracować to nie ma komu. Ja nie wiem, co ja teraz zrobię. Zdaje sobie pan sprawę, jak trudno dziś o dobrego człowieka do roboty? – Wzdycha i macha ręką.

Chłopakowi przychodzi do głowy pewna myśl, ale natychmiast odpędza ją, jakby była niestosowna.

– A pan to długo żyje w ten sposób? – Mężczyzna mierzy go spojrzeniem. – Ile w ogóle ma pan lat? – drąży.

– Prawie dwadzieścia.

– To co, rodzice z domu wygonili czy sam pan uciekł?

– Moi rodzice nie żyją – mówi chłopak. – Nie mam nikogo. Muszę radzić sobie sam.

Mężczyzna odsuwa od ust gorące ciastko.

– Widzi pan, jakie to nieszczęścia ludzi spotykają. Przykra sprawa, przykra. – Kręci głową. – Pewnie nie jest lekko na ulicy, co?

Chłopak myśli, że może właśnie otwiera się przed nim szansa, i postanawia zarzucić wędkę.

– Byłoby łatwiej, gdybym robotę jakąś złapał. Cokolwiek, byle parę groszy zarobić.

– A doświadczenie pan jakieś ma?

– Niewielkie, ale szybko się uczę. Nie piję, nie ćpam, no i mieszkanie umiem pomalować.

Oczy fachowca od remontów błyszczą.

– Tak? A wie pan, skąd się biorą bąble podczas malowania?

– Albo poprzednia warstwa farby nie wyschła, albo ściana zawilgocona.

– Może też być słaba gładź.

Chłopak przytakuje, choć o gładzi nie wie nic. Mężczyzna podnosi plastikowy kubek i pociąga długi łyk ze słomki. Na jego czole rysuje się pionowa zmarszczka, jakby się nad czymś intensywnie zastanawiał.

– A chciałby pan trochę przy remoncie porobić? Prosta fucha, kilka dni, żarcie i spanie w pakiecie. Może nawet wykąpać się będzie gdzie. Nie proponowałbym, gdybym sam nie został na lodzie.

Twarz chłopaka się rozpromienia.

– Chętnie pomogę.

– Wie pan tylko, że to by musiało być na czarno?

Znów dziwne, niezrozumiałe dla niego słowa, a w brzuchu radość tak wielka, że miałby ochotę zatańczyć.

– W porządku – mówi i choć nie ma pojęcia, na co się zgodził, czuje, że rozpoczął właśnie nowe, lepsze życie.



Teraz

Popołudnie

Wtorek, 30 kwietnia 2019 roku, Sinice

Czaszka Webera sprawiała wrażenie, jakby miała zaraz wybuchnąć. Mężczyzna w ostatniej chwili wybiegł z pokoju, nie zdążywszy uprzątnąć bałaganu. Gorączkowo próbował wymyślić usprawiedliwienie dla tego, co zrobił, ale jak na złość wszystkie wymówki, które przychodziły mu do głowy, brzmiały absurdalnie. Mokry od potu i rozdygotany ruszył w stronę wejścia, przyklejając do twarzy niefrasobliwy uśmiech.

– Pani Wanda! – wykrzyknął na jej widok i natychmiast zganił się w myślach za nadmierny entuzjazm. – Tak szybko? Myślałem, że potrzymają panią dłużej na obserwacji.

– Nie było takiej potrzeby. Poza tym nigdzie człowiek nie zdrowieje tak, jak w domu.

Kobieta rozciągnęła usta w bladym półksiężycu. Miała na sobie ubrania z poprzedniego dnia, jasny sweter z kilkoma plamami krwi i dżinsy. Jej twarz znaczyły zadrapania i siniaki, a przy lewej brwi prezentował się długi szew chirurgiczny. Poruszała się wolno, z dużą ostrożnością, jak ktoś mocno obolały, komu każdy ruch sprawia trudność. Daniel podszedł, by pomóc jej usiąść na ławce, gdzie zdejmuje się buty, ale zatrzymała go gestem.

– Nie będę się rozbierać. Muszę jeszcze pojechać do apteki, zapomniałam jednej rzeczy – wyjaśniła oschle. – Wezmę tylko jakiś proszek przeciwbólowy, bo nie jestem w stanie wytrzymać.

Przyłożyła dłonie do skroni i skrzywiła się pod wpływem dźgnięcia bólu.

– W takim razie może ja podskoczę do apteki? Powinna pani teraz jak najwięcej odpoczywać.

– Od pana to ja już niczego nie chcę. Zresztą to tylko migrena. Zaraz przejdzie. – Machnęła ręką, bagatelizując problem, i z zaciętym wyrazem twarzy poszła w stronę sypialni.

Dziennikarz wstrzymał oddech. W myślach zaklinał, by zmieniła zdanie, a wtedy kobieta niespodziewanie skręciła do kuchni. Weber wypuścił zatrzymane powietrze.

– Nadal jest pani na mnie zła o to, że go tutaj przyprowadziłem? – zapytał, gdy do niej dołączył.

Wanda, która przeglądała zawartość szafki z lekami, stojąc na drewnianym stołku, nie raczyła nawet na niego zerknąć. Przystawiając pudełka i buteleczki, mruknęła tylko:

– A jak pan myśli?

W jej tonie pobrzmiwała surowość, jak w głosie srogiej nauczycielki. Kark Daniela musnął powiew chłodu. Dręczony poczuciem winy, opuścił głowę i wcisnął dłonie do kieszeni.

– Nie podejrzewałem, że może być zdolny do czegoś takiego – usiłował tłumaczyć. – Wydawał się raczej kruchy.

– W takim razie nie powinien pan więcej ufać swojej intuicji. Przez pana prawie zginęłam. – Wbiła w dziennikarza oskarżycielskie spojrzenie, po czym wskazała na plastikowe pudełko stojące na lodówce. – Niech pan sprawdzi, czy nie ma tam przypadkiem tabletek przeciwbólowych. Tutaj nie mogę ich znaleźć.



Kiedy tylko odwrócił się do niej tyłem i wspiął na palce, by sięgnąć po pojemnik, kobieta zeszła ze stołka, a następnie pospiesznie upchnęła coś w torebce. Weber, przerzucając w palcach szeleszczące blistry z pigułkami, kątem oka dostrzegł jej popłoch oraz to, jak uważnie go obserwowała.

– Magnez, witamina A+E – czytał głośno. – Jest! Proszę bardzo. – Podał kobiecie opakowanie nurofenu, a ona wyjęła jedną z tabletek, włożyła ją do ust i popiła wodą z butelki stojącej na blacie. – Jest pani pewna, że może prowadzić samochód? Doznała pani poważnego urazu.

– Poradzę sobie. Szkoda, że dopiero teraz się pan tak o mnie martwi – fuknęła. – Gdyby był pan równie troskliwy wcześniej, może nie doszłoby do tej tragedii.

Zarzuciła torebkę na ramię i skrzyżowała ręce na piersi. W jej postawie wyczuł coś agresywnego, jakby dążyła do konfrontacji. Wziął głęboki wdech.

– Pani Wando, naprawdę mi przykro – dodał pojednawczo. – Przepraszam, że przyprowadziłem do pani domu tego człowieka. To był błąd.

– Pana przeprosiny nie są mi do niczego potrzebne. One nie wrócą mi zdrowia – burknęła, przyciskając do piersi torebkę. – Jedyne, czego teraz chcę, to to, żeby zszedł mi pan z oczu. Najlepiej definitywnie.

Daniel przechylił głowę ze zdziwieniem.

– Nie rozumiem. Mam się wyprowadzić?

– Tak. Im szybciej, tym lepiej. Niech pan spakuje swoje rzeczy, ureguluje należność i zniknie. Po tym wszystkim nie jestem w stanie dłużej na pana patrzeć.

Na jej twarzy odmalował się wstręt. Tak silny, że dziennikarz przez moment myślał, iż kobieta splunie mu pod nogi, ale ona tylko omiotła

go wzrokiem zimnym jak lód, po czym trąciwszy dziennikarza ramieniem, wyszła z kuchni.

– Jak wrócę, chcę, by pana już tu nie było – zawołała, nim zatrzasnęły się za nią drzwi.

Widział przez okno, jak idzie do samochodu. Tym razem jej krok nie sugerował, by odczuwała dotkliwy ból, wręcz przeciwnie, poruszała się zwinnie i szybko niczym pantera.

Coś nie dawało mu spokoju, jak kamień uwierający w buty. Usłyszał warkot zapalanego silnika, a później zobaczył srebrnego lanosa, który przystanął w bramie i czekając, aż jezdnią przetoczy się terkoczący ciągnik, włączył prawy migacz, jakby chciał skręcić w stronę wsi Lipki. Dlaczego tam, a nie do miasta, gdzie mieściła się apteka? – rozważał dziennikarz.

Wiedziony irracjonalnym przeczuciem, pobiegł do kuchni po modlitewnik, na którym widniały adres i telefon lokalnej parafii. Drżącą ręką wybrał numer, a gdy gospodyni odebrała, zapytał:

– Dzień dobry, Daniel Weber przy telefonie. Chciałem zapytać tylko, czy poradziliście sobie państwo z tą drzazgą w łapie Kulki.

– Co, proszę? Jakiej Kulki? – Kobieta nie kryła zdziwienia.

– Przepraszam, może pomyliłem imiona. Chodzi mi o psa proboszcza.

– Chyba zaszła jakaś pomyłka, proboszcz nie ma...

Nie czekał, aż kobieta dokończy. Rzucił słuchawką i wybiegł na drogę. W oddali na horyzoncie majaczył jeszcze zarys daewoo. Weber zatrzymał spojrzenie na rowerze opartym o płot, a następnie zerknął w stronę domu. Chciał zadzwonić do aspirant Sowińskiej i podzielić się z nią swoimi podejrzeniami, ale miał świadomość, że wtedy zgubi Wandę. Chwycił więc zielonkawego składaka, łudząco przypominającego model Wigry trzy z jego dzieciństwa, wskoczył na siodło i ruszył.

\*

Kiedy Filip Klepacki dotarł na komendę, część odwagi już go opuściła. Nieśmiało rozejrzył się po wnętrzu, przesunął spojrzeniem po interesantach zajmujących miejsca na krzesłach w korytarzu, a następnie wziął głęboki wdech i ruszył do okienka dyżurnego policji.

– Chciałbym rozmawiać z panią Sowińską – powiedział cicho.

Łysy funkcjonariusz w granatowej koszulce z pagonami, na których widniały dwie gwiazdki, przyjrzał mu się nieufnie.

– A w jakiej sprawie?

Chłopak przełknął ślinę.

– Zaginięcia Alicji Jarosz – wyjął szeptem.

Policjant chwycił za słuchawkę, wybrał numer i zapytał:

– Jak się nazywasz?

– Filip Klepacki – odparł już głośniej, po czym usiadł obok pozostałych oczekujących, jak zalecił mu oficer dyżurny.

Z nerwów zaczął obgryzać paznokcie. Nagle zrobiło mu się duszno, strach ścisnął kark i chłopak był gotowy do kapitulacji, ale wtedy wyrosła przed nim aspirantka Weronika Sowińska.

– Chodźmy – rzuciła krótko.

Szli pustym korytarzem o szarych ścianach. Ona przodem, on za nią. Odgłos kroków dudnił mu w głowie, tętno wariowało. Filip pomyślał, że może popełnił błąd. Zerknął za siebie, jakby rozważał ucieczkę, lecz gdy słowa Jagody wróciły jak refren nie lubianego przeboju, zacisnął szczęki i wszedł za policjantką do niewielkiego pokoiku. Przywitały go nagie, białe ściany, cisza i chłód.

– Usiądź. – Aspirantka podsunęła mu krzesło, a sama zajęła miejsce po drugiej stronie.

Klepcki miał wrażenie, że zaraz zemdleje. Czekał na jakieś pytanie, bo sam nie wiedział już, od czego zacząć. Funkcjonariuszka położyła na stoliku notes i wertowała go w poszukiwaniu czystej kartki, kiedy do pomieszczenia wszedł Krzysztof Lipski.

Komisarz przywitał się zdawkowo, po czym usiadł obok koleżanki i oboje wbili zaciekawione spojrzenia w nastolatka.

– Podobno chciałeś porozmawiać o czymś dotyczącym zaginięcia Alicji Jarosz? – zaczęła Weronika.

– Tak. – Chłopak odchrząknął. Jego nogi poruszały się niespokojnie, a pot spływał po plecach.

Komisarz gestem dłoni dał znać licealiście, by mówił, a ten podrapał miejsce za uchem i patrząc w blat stołu, wydukał:

– W niedzielę rano byłem w domu Alicji.

Żółty plastikowy pisak Lipskiego spadł na podłogę. Krzysztof jednak, podobnie jak aspirantka, siedział nieruchomo, czekając na dalszy ciąg tej historii. Nastolatek skrzyżował nogi, jakby tylko w ten sposób mógł powstrzymać ich nerwowe ruchy.

– Zobaczyłem przez okno mercedesa Jaroszków, gdy jechali do kościoła, i pomyślałem, że to idealny moment – ciągnął Klepcki.

– Na co?

– Żeby w końcu dać jej nauczkę.

Filip poprawił się na krześle i schował dłonie pod udami w obawie, że mogłyby zdradzić emocje, które i tak miał wypisane na twarzy.

– Dzień wcześniej, na dyskotecce w Euforii, potraktowała mnie niesprawiedliwie – kontynuował. – Próbowałem ją odciągnąć od tego obleśnego typu, a ona naskoczyła na mnie jak jakaś wariatka. Wkurzyłem się. Nie wiem, co mi odbiło, ale kiedy nie patrzyła, zwinąłem klucze z jej torebki.

– Klucze do domu Jaroszków? – dopytała Sowińska z oczami okrągłymi jak pięciozłotówki.

– Tak. – Westchnął. – Chciałem ją ukarać, zemścić się jakoś, sam nie wiem... Dlatego jak zobaczyłem w niedzielę, że jadą do kościoła, postanowiłem wykorzystać okazję. Poszedłem do nich, otworzyłem drzwi i zakradłem się do pokoju Alicji, a później zrobiłem to. – Wyjął z kieszeni telefon, odblokował go, po czym otworzył wcześniej przygotowane zdjęcie i odwrócił ekran w stronę śledczych.

Lipski wziął do ręki komórkę, a jego brwi uniosły się w zaskoczeniu. Na fotografii Klepacki leżał z nagim torsem w pościeli. Jedną rękę trzymał pod głową, drugą na kołdrze, spod której wystawała również jego goła noga. Chłopak patrzył w obiektyw i uśmiechał się lubieżnie.

– Wysłałem jej Ali WhatsAppem, z głupim komentarzem: „Ktoś się modli, by grzeszyć mógł ktoś” – wyznał zawstydzony, odgryzając skórkę ze spierzchniętych warg. – Wyobrażałem sobie, jak odczytuje wiadomość, gdzieś między komunią a znakiem pokoju, i dostaje szału na myśl, że wlałem jej do łóżka. Chciałem, żeby nie mogła wymazać z pamięci tego kadru, żeby ją prześladował. Tylko że ona nawet nie raczyła odpisać.

Aspirant Sowińska, która rozpoznała na zdjęciu pokój zaginionej dziewczyny, niecierpliwie zabębniła palcami o blat.

– O której to było godzinie? – chciała wiedzieć.

– Jakoś koło dziewiątej. Chwila, mogę? – Wziął od funkcjonariuszki komórkę, po czym nacisnął kilka klawiszy i odparł: – Dokładnie o ósmej pięćdziesiąt.

– I nie spotkałeś Alicji w domu? – wtrącił komisarz, wyraźnie zaintrygowany.

– Nie, nie było jej tam. Jestem tego pewien. Spędziłem u nich jakieś dwadzieścia minut, zrobiłem rundkę po pokojach, strzeliłem parę fotek, a potem zszedłem na dół, zamknąłem drzwi i okrężną drogą przez Lipki wróciłem do starych. Po drodze zatrzymałem się

jeszcze w parku, gdzie rozmawiałem z kumplem, Grześkiem Sokolikiem, możecie to sprawdzić.

Śledczy wymienili spojrzenia.

– A klucz? Co z nim zrobiłeś? – drażyła Weronika.

– Ojciec kazał mi go utopić na bagnach. Powiedział, że policji nie obchodzi prawda i mam siedzieć cicho, bo inaczej ja za to beknę.

– No to co tu robisz?

– To, co trzeba – odparł odważnie, choć cały dygotał.

Krzysztof odchylił się na krześle, jego wzrok uważnie śledził chłopaka, który w nerwach tarł sznurki od bluzy. Funkcjonariusz nie potrafił zdecydować, czy mu wierzy. Z jednej strony mógł to wszystko wymyślić, z drugiej przyszedł do nich z własnej woli i wyjawiał informacje, na które sami prawdopodobnie, by nie wpadli.

– Dlaczego wysłałeś młodemu Jaroszowi zdjęcie jego siostry z dyskoteki? – chciał wiedzieć.

– Zakładałem, że Kuba się wścieknie i przyjdzie po nią. Próbowałem wszystkiego, byle odciągnąć Alicję od tego obleśnego typu, z którym się migdała.

– A on nie tylko nie pojawił się w Euforii, ale jeszcze spuścił ci łomot, bo przez tę fotkę pokłócił się z siostrą. Jest jakiś powód, dla którego nie wniosłeś zawiadomienia o pobiciu?

Klepacki instynktownie przejechał dłonią po bliźnie na czole.

– Nie chciałem być znowu na świeczniku – odparł. – Tłumaczyłem go tym, że nie radzi sobie po zniknięciu Alicji. Zresztą nawet gdybyśmy przyszli tu obaj, uznalibyście, że to ja go sprowokowałem czy coś. Ludzie zawsze wierzą takim jak on, nie takim jak ja. – Zaczął trzeć plamę po długopisie na kciuku.

Policjant zamierzał jeszcze o coś zapytać, gdy jego uszu dobiegło pukanie, a po chwili drzwi się uchyliły i do środka wetknął głowę niski policjant w okularach.

– Wera, mówiłaś, że mam przeszkodzić, jeśli uzyskam coś ciekawego. – Rzucił okiem na trzymany w dłoniach wydruk z komputera. – To wersja ekspresowa i może mało precyzyjna, ale myślę, że...

Sowińska nie czekała, aż mężczyzna dokończy, tylko wyrwała mu z rąk kartkę i gdy na nią spojrzała, z jej ust wyrwało się przekleństwo.

– Co jest? – zapytał Lipski, spoglądając na wydruk. – Przecież to nasz człowiek z lasu.

Aspirantka pokręciła głową.

– Pudło, to syn Wandy. Poprosiłam Huberta, by zrobił progresję wiekową jego zdjęcia.

Komisarz zamrugał, a jego usta otworzyły się w oszołomieniu.

– Jeśli tej Wandy, co myślę – wtrącił funkcjonariusz stojący w progu – to dzwonił jakiś lekarz przekazać, że pół godziny temu wyszła ze szpitala na własne żądanie.

Weronika Sowińska wyjęła z kieszeni telefon, wybrała numer i gryząc do krwi wargę, w myślach prosiła, by osoba po drugiej stronie podniosła słuchawkę. Po chwili rozłączyła się, a następnie zaczęła chodzić po pokoju, uderzając komórką o dłoń.

– Krzysiek, pojedziesz ze mną do pensjonatu? Mam jakieś złe przeczucia.

Lipski, którego zaintrygowało nowe odkrycie, skinął głową.

– A ty, młody, zaczekaj – rzucił do Klepackiego. – Podeślę tu zaraz kogoś, kto spisze wszystko, co nam powiedziałeś, i weźmie od ciebie wszystkie zdjęcia, które zrobiłeś u nich w domu. Okej? – Kiedy licealista potwierdził, że nigdzie się nie ruszy, funkcjonariusz dodał: – Narozrabiałeś, ale dobrze, że z tym do nas przyszedłeś. Twój ojciec nie miał racji. Kłamać umie każdy, ale mówić prawdę już

tylko niektórzy. – Mężczyzna z uznaniem klepnął chłopaka w ramię i razem z Sowińską wyszli z pokoju.

Filip czuł się dziwnie, jakby coś łaskotało go w brzuchu. Powoli i nieśmiało, pierwszy raz od bardzo dawna rozciągnął usta w szczerym, pełnym zadowolenia z siebie uśmiechu. W tej samej chwili dogonił go odgłos powarkiwania. Zaintrygowany podniósł się z krzesła i podszedł do okna.

Młody sznaucer, stojący na trawniku, szczyrzył kły na fruującą w powietrzu foliową torebkę. Nastolatek gwałtownie wciągnął powietrze, a później z jego ust wyrwał się radosny okrzyk:

– Rocky!





## *Luty 2019 roku*

*Jeszcze tylko ostatni szlif i wszystko będzie gotowe. Starannie doczyszczają taflę lustra w eleganckiej łazience, a później rękawem poleruje złoty kran o fikuśnym kształcie. Ma lśnić, jak powiedział szef. Na kolanach zbiera płachty gazet, którymi przykrył nowe kafelki, by nie zachlapać ich chemią do sprzątania.*

*Teraz umyje podłogę i robota będzie skończona, myśli z satysfakcją, gdy jego wzrok pada na jeden z artykułów opublikowany w „Super Expressie”. Podnosi wyrwaną z dziennika stronę, czując, jak robi mu się gorąco.*

*Na zdjęciu widzi kobietę, która łudząco przypomina jego matkę. Może odrobinę starszą i z nieco krótszymi włosami, ale jednak wyjątkowo podobną. Z wrażenia przysiadła na krawędzi wanny. Jego skóra pod koszulą w kratę pokrywa się potem. Drżącymi rękoma przysuwa arkusz do twarzy i czyta. Łakomie, jakby był głodny tych liter i słów. Jego wzrok przeskakuje po zdaniach, potyka się i grzęźnie. Wraca do początku i czyta raz jeszcze.*

*– To niemożliwe – szepcze.*

*W głowie mu szumi, brakuje powietrza. Artykuł opowiada o kobiecie, która uratowała dziecko spod staczającego się z górki dostawczaka. Przechodziła obok parku w drodze do sklepu, gdy na ulicę za piłką wybiegła dziewczynka. Kobieta bez chwili zastanowienia ruszyła na pomoc kilkulatce, złapała ją i odskoczyła w ostatnim momencie, cudem unikając tragedii.*

*Tą bohaterką była jego matka. Teraz wie to już na pewno, bo w artykule odnajduje jej imię i nazwisko.*

*Przykłada dłoń do ust, a z oczu płyną mu łzy. Niedowierzenie miesza się z radością. Czy mógł się aż tak pomylić? Wyobraził sobie tylko tamten nagłówek? A może to ktoś inny zmarł po upadku ze schodów? Czy przez minione osiem lat zadręczał się niepotrzebnie? Dygocze cały, gładząc palcami twarz kobiety, której zdążył wybaczyć wszystko. Świadomość, że matka żyje, zdejmuje mu z pleców ogromny ciężar. Wstaje, jakby chciał do niej pobiec, a potem znowu przysiadła, z lęku o to, czy będzie chciała spojrzeć mu w oczy.*

*Drzwi w ekskluzywnym apartamencie na Wilanowie trzaskają. Chłopak ociera pospiesznie twarz, składa stronę z gazety i upycha ją w kieszeni roboczych spodni. Z korytarza dobiegają kroki oraz głos pana Zdzisława:*

*– Jak tam, młody, wszystko skończone?*

*– Prawie, przetrę jeszcze tylko podłogę i możemy jechać.*

*Majster zagląda do łazienki i cmoka z uznaniem, obserwując, jak pracownik łapie za mopa.*

*– Ładnie to nam wyszło, muszę ci powiedzieć – komentuje. – Aż by się chciało w takim luksusie pomieszkać, co?*

*– Czy ja wiem? Chyba czułbym się trochę nieswojo wśród tych marmurów i złota.*

*– Przyzwyczaiłbyś się, tak jak i do roboty. Zobacz, pięć lat temu nie miałeś nawet pojęcia, co to gładź, a teraz sam kładziesz kafle na ścianach. Wyrobiłeś się. – Mężczyzna klepie go po ramieniu jak syna, którego nie ma, gdy zauważa smutek na twarzy pracownika. – A co to za mina, humorek coś nietęgi?*

*Chłopak rozciąga usta na siłę, byle nie musieć już o tym rozmawiać.*

– Zmęczony jestem tylko, panie Zdziśku. Wyśpię się i jutro będę jak nowo narodzony.

– No dobrze, to chodźmy do auta, odwiozę cię, bo z samego rana czeka nas wycieczka do Konstancina. Domek wprawdzie mały, ale klient upierdliwy, więc lepiej fuszery nie odwalić.

W drodze cały czas chłopak trzyma rękę w kieszeni, jakby sprawdzał, czy przypadkiem nie wymyślił sobie tego artykułu o matce. Z nerwów wierci się niespokojnie. Układa setki scenariuszy, by zrozumieć, co mogło się wydarzyć tamtej nocy, gdy uciekł, ale żaden nie daje mu odpowiedzi, których poszukuje. A kiedy majster przystaje na stacji benzynowej i znika z pola widzenia, chłopak wyjmuje skrawek gazety, rozkłada go i czyta aż do chwili, gdy zauważa nadchodzącego szefa. W popłochu chowa artykuł do kieszeni, niechętnie otwierając kolanem schowek przed fotelem pasażera.

Zamierza zamknąć skrytkę, gdy w środku dostrzega elegancki zegarek, dokładnie taki, jaki nosił właściciel domu w Piasecznie, u którego pół roku temu robili prace wykończeniowe. Podobno wart jest tyle, co niezły samochód, i chłopak dziwi się, jakim cudem pana Zdzisława było stać na tak drogi gadżet. Za szybko szef rozmawia z pracownikiem stacji, a wtedy on sięga po rolexa i ze zdumieniem odkrywa dedykację na kopercie zegarka. „Piotrowi – żona” – czyta, upewniając się, do kogo naprawdę należy. Blednie. W panice wciska znalezisko do schowka i trafia na pęk brzęczących kluczy oraz kolczyki z brylantami w satynowym woreczku, które wcześniej widział w mieszkaniu innych klientów.

– Kto kazał ci grzebać w moich rzeczach?! – słyszy nagle i dopiero zauważa majstra, który stoi w otwartych drzwiach samochodu.

– Ja tylko... Czy to są klucze do ich... Czy pan ich... – Język płacze mu się jak za długa nitka podczas szycia.

Mężczyzna, z twarzą czerwoną od gniewu, wrywa mu z rąk przedmioty, wrzuca je do schowka i zatrząskuje drzwiczki.

– A czy ja cię pytam, co zmalowałeś, że wiecznie oglądasz się za siebie? Czy chcę wiedzieć, jak się nazywasz albo dlaczego na widok policji ze strachu prawie robisz w gacie?

Chłopak zaprzecza ruchem głowy.

– To może ty lepiej też nie zadawaj pytań, co?

Właściciel firmy remontowej wsiada do peugeota i rusza z impetem. W samochodzie panuje cisza, w której słychać jedynie rytmiczne tykanie kierunkowskazu i pisk wycieraczek trących o szybę. Chłopak drapie paznokciem płamę z farby na spodniach, a we wnętrzu experta robi się nieznośnie duszo.

Auto mknie mokrymi od deszczu ulicami, a gdy podjeżdża pod zniszczoną kamienicę przy Targowej na Pradze, pan Zdzisław, wbijając spojrzenie w deskę rozdzielczą, mówi:

– Ci ludzie mają pieniądze jak lodu. Dla nich to drobiazg, nawet nie zauważą.

– Ale...

– Nie ma żadnego ale – ucina. – I niech ci nie przyjdzie do głowy, żeby się komuś tym chwalić. Jak będziesz grzeczny, to i ciebie kiedyś zabiorę na robotę, ale na razie cicho sza. Zrozumiano?

Znów przytakuje, choć zaufanie, które dotychczas pokładał w mężczyźnie, rozpuszcza się jak kostka cukru w gorącej herbacie.

Na miękkich nogach dociera do klatki schodowej. Przysiada na schodku, sięga po artykuł, a później myśli o pani Jadwidze, która zgodziła się, by u niej mieszkał, za zakupy i pomoc w sprzątaniu. Pewnie czeka na niego w zagraconej kuchni, gdzie pod ścianą, za zasłonką z materiału, stoi jego łóżko polowe. A może znów zapomniała, kim on jest, i nie zechce wpuścić go do domu. Choć to

*przecież nie dom, bo prawdziwy dom miał w życiu tylko jeden. Ten, którego zapachu już prawie nie pamięta.*

*I nagle czuje, że musi tam wrócić. Zobaczyć matkę, przytulić się do jej ciepłego ciała i przeprosić za te wszystkie lata. Dlatego zamiast do mieszkania na parterze idzie na dworzec autobusowy.*



## Teraz

Wtorek, 30 kwietnia 2019 roku, Sinice

Płuca paliły go z wysiłku, a łydki płonęły z bólu, gdy pedałowal jak szalony, próbując dogonić kobietę. Auto mknęło meandrującą między domami drogą, z każdą chwilą zwiększając dystans. Daniel dyszał i charczał, gdy tuż przed nim wyrosła wyjeżdżająca zza rogu półciężarówka wypełniona po brzegi butlami z gazem. Kierowca zatrąbił wściekle na rowerzystę, który ścinał zakręt. Weber pobladł ze strachu, a następnie zjechał gwałtownie na pobocze. To właśnie w tym momencie stracił Wandę z oczu. Zły przeklął i uderzył pięścią o kierownicę, po czym ruszył z nową energią.

Gdy dojechał do wsi, musiał zwolnić. Na ulicy bawiły się dzieci, a przez otwarte bramy na drogę wychodziły kury oraz psy. Sunął zatem przez Lipki, poszukując srebrnego lanosa. Przejechał niemal dwa kilometry i powoli zaczynał karmić mroczne wizje, że nie zdoła już dogonić kobiety. Skręcił w prawo, minął kilka domostw i dotarł do zagajnika, za którym kończyły się zabudowania, a wiejska uliczka krzyżowała się z sinicką drogą szybkiego ruchu. Poczucie przegranej odebrało mu siły. Zsiadł ze składaka, łapiąc oddech, a wtedy zobaczył, że pomiędzy drzewami, w lesie po prawej, dokąd wiodła wąska żwirówka, majaczą kontury jakiegoś budynku.

Tym, co dostrzegł, był parterowy domek obity sidingiem i otoczony przez wysokie sosny. Skryty za zaroślami od strony drogi,



pozostawał niemal niewidoczny. Tak jak podwórko, na którym zaparkował srebrny lanos.

Na widok znajomej rejestracji Daniel poczuł dreszcz podniecenia wędrujący w górę pleców. Położył ostrożnie rower w trawie i na palcach podszedł do budynku. Jego okna przysłaniały od wewnątrz grube kotary, przez które niczego nie można było dojrzeć.

Dziennikarz kucnął pod oknem i nasłuchiwał. Dobiegło go szurnięcie, jakby ktoś przesuwiał jakiś mebel – krzesło, a może stół – potem z ciszy wyłapał szept oraz tłumiony pomruk. Wiatr zaszumiał w koronach drzew, kilka wron siedzących na gałęzi pobliskiej leszczyny poderwało się do lotu.

Nagle Webera dosięgł zdławiony jęk, przeciskający się na zewnątrz niewielkimi szczelinami w ramie okiennej. Okrążył dom i odnalazł wejście. Położył dłoń na klamce, po czym ostrożnie ją nacisnął. Drzwi miękko ustąpiły.

Mężczyzna wszedł do środka, ogłuszany przez dudnienie własnego serca. Próbował uspokoić oddech, ale każdą komórką ciała czuł strach. Wewnątrz panował mrok. W powietrzu wisiał dziwny, żywiczny zapach pomieszany z wonią mokrych ubrań i alkoholu. Zajęło chwilę, nim wzrok dziennikarza przyzwyczyił się do ciemności. Wysunął przed siebie dłoń i natrafił na coś przyjemnego w dotyku, jak zasłona z aksamitu, gdy nagle podłoga pod nim zaskrzypiała.

Przywarł plecami do ściany. Przerażony czekał w bezruchu, a kiedy nie wydarzyło się nic niepokojącego, uchylił kotarę, za którą paliło się wątle światło lampy naftowej. Z tej perspektywy mógł obejrzeć fragment niewielkiego pokoju pełnego obrazów różnej wielkości, stojących na sztalugach i opartych o ściany. Jeśli sądzić po nagromadzeniu pędzli, słoczków oraz tub z farbami, dom musiał należeć do kogoś, kto maluje.

Daniel wysunął się odrobinę bardziej ze swojej kryjówki – i wtedy go zobaczył. Jan siedział przywiązany do masywnego fotela. Ręce miał wygięte do tyłu, nogi spętane w kostkach, wzrok nieprzytomny. Głowa mężczyzny zwisała, opadając bezwładnie na pierś. Mruknął coś niezrozumiałego, ale z jego zakneblowanych ust zamiast słów wydostała się jedynie strużka śliny, która skapnęła na spodnie. Weber poczuł, że wszystko w nim kruszeje. Ruszył na pomoc, ale zdążył wykonać tylko jeden krok, nim na jego głowę spadło pióro drewnianego wiosła.

Poczuł, jak nagły huk prawie rozsadza mu czaszkę, a przed oczyma zatańczyły świetliste punkciki, jak wtedy, gdy został ogłuszony nad bagnami. Uniósł dłoń do potylicy, ale nim zdążył dotknąć głowy, zatoczył się i upadł na kolana. Krew szumiała mu w uszach. Był pewien, że zaraz straci przytomność. Zrobiło mu się duszno. Świat drgał jak nieostry obraz na starym nagraniu video. Za plecami usłyszał kroki oraz głos powtarzający: „Mówiłam, by zszedł mi pan z oczu”.

W odruchu paniki zaczął spazmatycznie oddychać i po chwili jasność wróciła, a kadr się ustabilizował. Spojrzał na odstłonięte ręce Jana, ze śladami po wkłuciach w zgięciach łokci. Ten widok sprawił, że eksplodowała w nim złość. Z trudem przetoczył się na pośladki. Przed sobą miał pełną pogardy twarz Wandy. Kobieta uniosła wiosło, gotowa do kolejnego zamachu.

– A mógł pan spokojnie wyjechać – wysyczała. – Po co to panu było?

Daniel rozejrzał się wokół, szukając czegoś, czym dałby radę odeprzeć jej atak, ale w pobliżu widział tylko obrazy, starą wersalkę i paprotki zwisające ze ściany. Ból po uderzeniu był tak silny, że dopadły go mdłości. Skrzywił się, skupiając całą uwagę na oddechu.

– Gdzie jesteśmy? – zapytał pomiędzy kolejnymi skurczami żołądka.

– To dom mojej znajomej. Opiekuję się nim, kiedy odwiedza syna w Belgii – wyjaśniła. – Nikt nas tu nie usłyszy.

– To musi być fajna kobieta, pamięta o swoim dziecku. Nie to, co pani. – Zerknął na Jana, który pozostawał otępiały. – Czym sobie na to zasłużył?

– To nie pańska sprawa. Zresztą to ścierwo nie zasługuje na miano mojego syna – warknęła, groźnie wymachując wiośłem. – Oddałam mu całe życie, opiekowałam się nim, a on mnie zostawił i odebrał mi wszystko, na co tyle lat pracowałam.

– Czyli co?

– I tak pan nie zrozumie.

Weber odtworzył w pamięci fotografie chorego chłopca na wózku, ujęcie rozemocjonowanego tłumu na koncercie charytatywnym, kadr, na którym mieszkańcy miasta otaczali kręgiem Wandę i jej syna, obdarzając matkę pełnymi podziwu spojrzeniami. Przypomniał sobie również dyplomy pielęgniarskie oraz apteczkę pełną leków i nagle to do niego dotarło. Kobieta wykorzystywała chorobę dziecka, by grać niezłomną, a dzięki temu zdobywać współczucie i podziw.

– On nigdy nie był naprawdę chory, mam rację?

Właścicielka pensjonatu zacisnęła palce na drewnianym pagaju.

– Bzdura.

– Znęcała się pani nad nim latami. Za takie rzeczy idzie się do więzienia – kontynuował, dostrzegając, że szczeka Wandy zaczęła drżeć.

– Nie jest mi pan w stanie niczego udowodnić.

– Od udowadniania jest sąd, ja mógłbym zdemaskować panią w prasie. Media to dziś potężne narzędzie. Jestem pewien, że ludzie

bez wahania staną w obronie krzywdzonego dziecka. Już widzę te nagłówki – prowokował. – *Bezдушna matka* albo *Potwór z Sinic...*

– Zamknij się.

Kobieta uderzyła wiosłem w kolano Daniela, a ten zawył z bólu i gwałtownie cofnął nogę.

– Wiem, że to pani zainicjowała te bzdurne legendy o mgle. Po co to pani było?

– Jest pan za głupi, by to rozgryźć.

– Chodziło o to, by ludzie uwierzyli w te bajki i nie doszukiwali się prawdy? Ma pani coś wspólnego z zaginięciami? Dlatego kazała pani kłamać Emilowi Biernatowi?

Właścicielka pensjonatu kopnęła z furią w uszkodzone kolano Webera. Dziennikarz jęknął, ale poza prądem przenikającym go od nóg po czubek głowy poczuł także satysfakcję, bo jej wzburzenie sugerowało, że trafił.

– Matylda Sarnacka mieszkała w sąsiednim domu, prawda?

Wzrok kobiety pociemniał. Zastygła w napięciu, dysząc ciężko.

– Była głupią dziewczuchą, nikim więcej. Chciała mi zabrać syna.

– A pani nie mogła na to pozwolić – stwierdził. – Co jej pani zrobiła?

– Nic. – Klatka piersiowa Wandy poruszała się niespokojnie.

– Na pewno? A może pomogła jej pani zniknąć?

Właścicielka pensjonatu z rykiem zamachnęła się wiosłem, jednak przez to, że Daniel w ostatniej chwili odsunął głowę, pióro z impetem uderzyło w lampę naftową stojącą na ławie.

Szkło z trzaskiem rozpadło się na kawałki, nafta zaczęła rozlewać się na wykładzinie, a pełgający płomień powoli obejmował coraz większą powierzchnię. Sunął po podłodze, wspinał się na skórzaną kanapę i lizał politurę stolika. Ogień, który dziennikarz tak dobrze

znał i który zostawił na jego ciele nieusuwalne tatuaże, zachłannie pożerał pomieszczenie.

Ciepło i pomarańczowa łuna wypełniły pokój. Weber z przerażeniem rzucił okiem na płomienie podchodzące pod fotel Jana i na baniaki z terpentyną ustawione w rogu pokoju, przy sztalugach. Języki ognia pełzły niestrudzenie w tamtym kierunku. Dziennikarz próbował się podnieść, ale ostry ból z tyłu głowy, jakby ktoś wbijał w nią gwóźdź, sprawił, że ponownie wylądował na podłodze. Wanda uśmiechnęła się dziko. Jej wzrok przypominał spojrzenie szaleńca.

Daniel słyszał, jak trzaskający ogień trawi płótna. Powietrze wypełnił gryzący dym.

Czy właśnie tak to się skończy? Czy wreszcie dołączę do córki i żony? – rozważał Weber, już niemal pogodzony z losem.

– Pamięta pan, co mówiłam o szatanie? Skrada się tak cicho, że nie zdąży pan nawet zauważyć. – Zaśmiała się i ruszyła w stronę drzwi, gdy Daniel ostatkiem sił chwycił ją za nogę i przewrócił.

Kobieta runęła z hukiem na podłogę, wypuszczając z dłoni wiosło.

– Uwolnij go, bo inaczej zginiemy tu wszyscy – zażądał, ciasno obejmując rękoma kostkę Wandy.

– Ani mi się śni – warknęła, szarpiąc się z dziennikarzem, gdy z zewnątrz dobiegł ich dźwięk silnika samochodowego.

– Pomocy! – wrzasnął Weber z całej siły.

Instynktownie odwrócił wzrok w stronę drzwi, a wtedy właścicielka pensjonatu, wykorzystując moment nieuwagi reportera, wierzgnęła nogą i wyrwała się z jego uchwytu. Podniosła się sprawnie z podłogi i chwyciła wiosło, które po chwili z siłą pocisku raz jeszcze spadło na głowę Daniela.

Świat utonął w mroku.

\*

To, co zdołał zapamiętać, przypominało kadry zmieniające się w stroboskopowym świetle. Wpadający do domku policjanci, na czele z Sowińską i Lipskim. Błękitne światła karetki. Żar płomieni. Zastępy wozów strażackich. Krzyki. Nieprzytomny Jan ułożony na noszach. I Wanda, zanosząca się od kaszlu, z twarzą pokrytą sadzą, jakby wróciła z piekła.

Ten poszatowany film jest niemy. Wszystko dzieje się w absolutnej ciszy. Można odnieść wrażenie, że jakaś część mózgu Webera się wyłączyła, by to, co potworne, było choć odrobinę bardziej znośne. Film rwie się i przeskakuje po kilka klatek, jak gdyby ktoś majstrował przy taśmie, na której został nagrany. Jakby wspomnienia poddano cenzurze, by sprawiały mniej bólu ich właścicielowi.

W szpitalu ogolono mu część włosów i założono szew na potylicy. Pierwsze uderzenie drewnianego wiosła rozcięło skórę na głowie, drugie mocno obilo kolano, które szczęśliwie okazało się tylko stłuczone. Daniel siedział na szpitalnym łóżku, przykładając do nogi żelowy okład chłodzący owinięty ściereczką, gdy do sali weszła aspirantka Sowińska. Stała przy oknie, opierając się biodrami o parapet. Miała podkrążone oczy i spoconą, lśniącą twarz, a jej ubranie pachniało dymem.

– Niezły hotel. – Rozejrzała się z uznaniem. – Taki pokój tylko dla jednej osoby. Można by powiedzieć, że tu jest jakby luksusowo.

Uśmiechnął się, choć przy każdym spontanicznym ruchu tępy ból z tyłu głowy dawał o sobie znać.

– Trafiło się ślepej kurze ziarno. Niedługo pewnie przywiozą nowych pacjentów i moje eldorado się skończy. – Jego pogodny

wyraz twarzy ustąpił miejsca napięciu. – Jak mnie znalazłaś? Skąd wiedziałaś, że będę w tamtym domku?

Funkcjonariuszka wyjęła z wewnętrznej kieszeni kurtki kartkę złożoną na czworo, a następnie mu ją podała. Papier zaszeleścił w dłoniach dziennikarza, chwilę później zaś, kiedy przed jego oczami ukazał się portret mężczyzny bliźniaczo podobnego do Jana, Daniel zagwizdał.

– Chciałam ci o tym powiedzieć, ale nie odbierałaś telefonu i coś mnie tknęło – wyjaśniła. – Podjechaliśmy z Lipskim pod pensjonat, zobaczyłam otwarte na oścież drzwi, a potem spotkaliśmy jeszcze jakiegoś oburzonego kierowcę z Gaspolu. Facet skarżył się na pijanego rowerzystę z bliznami, który mu prawie wjechał pod koła, i wskazał kierunek rzekomej ucieczki wariata, jak cię nazwał. Ruszyliśmy w tamtą stronę, Krzysiek zauważył dym, a chwilę potem samochód Wandy.

– Miałem farta.

– Z takim szczęściem powinienes grać w totolotka.

Weber uniósł kąciki ust.

– Złapaliście ją? – zapytał z niepokojem.

Sowińska kiwnęła głową.

– Można powiedzieć, że uciekając, wpadła wprost w ramiona Krzyśka.

Weber wypuścił powietrze z wyraźną ulgą.

– A co z Janem?

– Żyje, a do tego odzyskał pamięć – odparła z westchnieniem. – Udzielił nam wstępnych wyjaśnień, dzięki czemu wiemy, co się z nim działo przez ostatnie lata. Uwierzysz, że jego matka najpewniej cierpiała na przeniesiony zespół Münchhausena, a wszyscy w mieście mieli ją za wzorową opiekunkę?

– Domyśliłem się tego. Miała w domu kosmicznie dużo leków. Zaintrygowało mnie też to, że jego stan się poprawił, gdy uciekł z domu i wyrwał się spod wpływu matki. Ktoś tak chory jak chłopak ze zdjęć w albumach Wandy nie mógłby nagle ozdrowieć.

Weronika pokręciła głową z niedowierzaniem.

– Aż mnie skręca na myśl, że przez lata go podtruwała, a lekarze niczego nie zauważyli.

– Tacy ludzie są doskonałymi manipulatorami. Potrafią omamić najlepszych specjalistów. Zanieczyszczają próbki, które oddają do badań, wykorzystują ufność dziecka, by nafaszerować je lekami, i robią to wszystko tak sprytnie, że nikt nie może się zorientować. A kiedy ktoś zaczyna coś podejrzewać, zmieniają lekarza i cała historia zaczyna się od początku.

Policjantka wyjęła z kieszeni spodni chusteczkę higieniczną, otarła nią mokre czoło, a później zaczęła nerwowo gnieść papier w dłoni.

– Wszystko wskazuje na to, że Wanda upozorowała własne pobicie – oznajmiła. – Z tego, co wiemy, w samochodzie między nią a Janem doszło do szarpaniny. To ona rzuciła się na syna z nożem, gdy wyznał, że odzyskał pamięć, a potem wstrzyknęła mu jakieś świństwo, po którym stracił przytomność, i wywiozła go do tamtego domu w Lipkach. – Westchnęła ciężko.

Daniel ze złością cisnął na łóżko worek z lodem i opuścił nogawkę szpitalnej piżamy.

– Powinienem był się domyślić, że coś ukrywa, po tym, jak nalegała, bym został w domu – stwierdził, wypluwając z ust stek przekleństw. – Dałem się jej podejść jak ostatni frajer.

– Nie ty jeden. Ja z kolei uwierzyłam w to, że Jan ją napadł. Kurczę, naprawdę jej współczułam, a teraz chętnie sama bym jej przyłożyła. – Sowińska zamarkowała gest duszenia.



Weber parsknął. Przez chwilę oboje milczeli, pogrążeni we własnych myślach. Za oknem mieszkańcy Sinic po skończonej pracy wracali beztrąsko do domów. Nastolatki przysiadali na ławkach w parku po drugiej stronie ulicy i nawet psy, radośnie merdając ogonami, okazywały swoją radość z powodu wiosny, która wreszcie rozpanoszyła się w mieście na dobre.

– Podejrzewam, że Wanda może mieć coś wspólnego z zaginięciem Matyldy Sarnackiej. – Daniel przerwał przedłużającą się ciszę. – Dziewczyna chciała uciec z Janem, ale wtedy Wanda została sama. Nie mogłaby już zgrywać troskliwej mamuski niepełnosprawnego chłopca. I może dlatego musiała pozbyć się nastolatki. By ta nie zabrała jej syna.

– Jan, a właściwie Adam, bo takie jest jego prawdziwe imię... – Weronika się uśmiechnęła – ...myśli podobnie, choć nie ma na to żadnych dowodów. Twierdzi, że jego matka od początku nienawidziła Matyldy. Tamtej nocy, gdy miał uciec z dziewczyną, Wanda podała mu leki nasenne, które wyłączyły go na wiele godzin. Kiedy się obudził, był wściekły, chciał wyjść z domu, szukać Sarnackiej, ale matka stanęła mu na drodze. Wybuchła awantura, doszło do przepychanki i w końcu Malec spadła ze schodów, a Jan, przekonany, że ją zabił, zbiegł.

Weber zamrugnął oszołomiony. Nagle stało się jasne, dlaczego chłopak przez tyle lat się ukrywał i nikomu nie zdradzał swoich personaliów. Mnąc w zamyśleniu pościel, dziennikarz wyobrażał sobie strach i wyrzuty sumienia, jakie musiały mu towarzyszyć podczas tułaczki.

– To dlaczego ostatecznie postanowił wrócić? Skoro był przekonany, że matka nie żyje? – Zmarszczył brwi z zaciekawieniem.

Na twarzy Sowińskiej odmalowało się zadowolenie.

– Słuszne pytanie – zauważyła. – Natrafił na artykuł o bohaterskim wyczynie Wandy i zrozumiał, że się pomylił. Początkowo nie mógł w to uwierzyć, szczególnie że krótko po ucieczce z domu przeczytał w gazecie informację o śmierci kobiety, która spadła ze schodów w Sinicach. Był pewien, że chodziło o jego matkę, ale najwyraźniej tamta publikacja musiała dotyczyć kogoś innego albo pozostając w szoku, ją sobie wyobraził. Wrócił, by odzyskać matkę i przeprosić za to, co jej zrobił. Wyobrażasz sobie? On jej. – Prychnęła.

– Domyślam się, że nie było to serdeczne spotkanie?

– Zdecydowanie nie.

Weronika przytoczyła opowieść o powrocie Jana do domu, której wysłuchali z komisarzem Lipskim godzinę wcześniej. Dziennikarz usiadł głębiej na łóżku i opadł na podniesiony wysoko zagłówek. Przez kilka chwil patrzył przed siebie, przygryzając wargę, jakby intensywnie się nad czymś zastanawiał.

– Wierzycie mu?

– Na razie nie wykluczamy go z grona podejrzanych. Nadal nie jesteśmy pewni, jak te nowe informacje łączą się z zaginięciem Alicji Jarosz. – Potarła zmęczoną twarz. – Sprawdzamy wszystko po kolei i jak dotychczas historia Jana układa się w logiczną, choć potworną całość. Nie pomaga też to, że Wanda milczy jak zaklęta. Od zatrzymania nie odezwała się ani słowem. Nawet nie poprosiła o adwokata.

– Ciekawe – mruknął Weber. – Ustaliłem, że to ona zainspirowała redaktor naczelną „Głosu Sinic” do wplatania w artykuły tych herezji i namówiła Emila Biernata, by utrzymywał, że zabił z powodu mgły, która namieszała mu w głowie. Jakby starała się ukryć coś pod tą legendą. Tylko jaki mogłaby mieć motyw, by skrzywdzić tamtą parę nastolatków i Alicję?

– Nie mam pojęcia. – Zastukała paznokciami w parapet, spojrzęła na wyświetlacz komórki i drgnęła, jakby nagle uświadomiła sobie, która jest godzina. – W każdym razie wysłaliśmy ekipę do przeszukania jej posesji. Może to nam coś wyjaśni. Krzysiek jest już na miejscu, a ja dołączę do niego za chwilę. – Zaczęła się zbierać do wyjścia. – Zdrzemnij się, dużo dzisiaj przeszedłeś.

– Gdybym wiedział, że na tym Podlasiu czeka mnie tyle atrakcji, przed przyjazdem zastanowiłbym się dwa razy.

Wymienili uśmiechy, a później Weronika pożegnała się i ruszyła do drzwi.

– Jeszcze jedno! – zawołał za nią. – Skoro Jan odzyskał pamięć, to wiecie już, gdzie odnalazł wisiorek Alicji Jarosz?

Sowińska wzięła głęboki wdech, jakby brak odpowiedzi na wszystkie pytania ją uwierał.

– Utrzymuje, że w lesie, gdzieś w okolicy Zawrocia. Ale ile w tym prawdy? – Westchnęła. – Ruszymy tam jutro z samego rana.

– No to chyba jesteśmy w domu.

– Na razie dopiero u progu – odparła z niepokojem. – Jeszcze długa droga przed nami.



## *Luty 2019 roku*

*Autobus zatrzymuje się na dworcu PKS w Sinicach tuż przed jedenastą wieczór. Chłopak wysiada niespiesznie, jakby był tu po raz pierwszy w życiu, choć zna na pamięć układ domów przy każdej z ulic w tym mieście. Powietrze ma kojący zapach. Jest chłodno, a na czarnym niebie migoczą gwiazdy. Chodnikiem idzie rozchichotana nastolatka. Dziewczyna wygląda zupełnie jak ona. Jasne włosy do ramion, szczupła sylwetka i długie nogi. Jego serce na ułamek sekundy przestaje bić. Co innego oglądać ją w snach, co innego mieć na wyciągnięcie ręki. Odchrząkuje, a później nieśmiało woła za nią:*

*– Matylda?*

*Oczekiwanie na reakcję nastolatki trwa ledwie chwilę, ale jemu wydaje się, że całą wieczność. Napina mięśnie, wstrzymuje oddech i przetyka ślinę. Dziewczyna odwraca głowę, mierzy go mętным wzrokiem, po czym parska śmiechem, podlanym alkoholem. Nie jest tą, którą pragnął zobaczyć. I po chwili chwiejnym krokiem odchodzi w noc.*

*Ta sytuacja budzi w nim rozdrażnienie. Ze złości, a może ze strachu przed spotkaniem z matką, kopie puszkę po piwie, porzuconą obok ławki. Metal zgrzyta o beton, wywołując ciarki na jego plecach. Chłopak postanawia zaczekać. Nie jest jeszcze gotowy, by stanąć twarzą w twarz z matką. Musi dokładnie zaplanować, co jej powie. Bo choć myślał nad tym przez całą drogę, to nadal nie wie, od czego zacząć. Jak wytłumaczy to, że zostawił ją*

na pewną śmierć. Nabiera tchu, a chłód wypełnia go od stóp po opuszki palców. Wędruje pustymi, ciemnymi uliczkami, w wyobraźni prowadząc rozmowę, która go czeka. Zmienia scenariusze, szuka lepszych słów, lecz nadal wszystkie wydają się mu pokraczne.

Kiedy dociera do domu, żołądek ma zawiązany na supeł, nogi ciężkie jak z ołowiu, a w gardle gulę niczym zwitek mokrych chusteczek. W oknie na parterze pali się słabe światło, na ścianie pokoju tańczą cienie z grającego telewizora. Chłopak podchodzi do szyby i dostrzega matkę. Jej widok go rozczula. Leży na kanapie zwinięta w kłębek, z odchyloną głową. Śpi. Ma otwarte usta, a jej brzuch i klatka piersiowa poruszają się w rytm oddechu. Koc, którym była przykryta, zsunął się na podłogę.

Nagle dopada go silna potrzeba, by się nią zaopiekować. Naciska klamkę w drzwiach, pewien, że będą zamknięte, ale one łagodnie ustępują. Chłopak wchodzi do środka i natychmiast uderza go myśl, że wszystko w domu skurczyło się przez te osiem lat. Oczywiście zdaje sobie sprawę, że to on urósł, jednak dziwnie mu w tej znanej, a zarazem obcej przestrzeni. W powietrzu unosi się zapach smażonej kiełbasy, którą matka musiała jeść na kolację.

Skręca do salonu, podnosi koc i okrywa nim śpiące ciało. Przygląda się jej twarzy, zmarszczkom, które powstały w ostatnich latach, bladej cerze i wąskim ustom. Matka chrapie. Na ławie stoją opróżniona do połowy butelka nalewki z pigwy i kieliszek, a obok nich leży talerz poplamiony ketchupem. W telewizji leci jakiś serial. Chłopak wyłącza go, ostrożnie podkłada matce pod głowę poduszkę, a później sprząta naczynia i idzie na górę.

Dotyka dłonią poręczy, nie mogąc uwierzyć, że teraz chodzenie jest dla niego tak naturalne jak oddychanie. Schody skrzypią pod nogami. Na piętrze odnajduje drzwi do swojego dawnego pokoju. Otwiera je, wstrzymując oddech, po czym, zawiedziony, przystaje

w prog. Wszystko się tam zmieniło. Pozostały jedynie dywan, szafa i biurko, ale nigdzie nie ma jego książek ani zabawek. Łóżko też jest inne, większe, a do tego przykryte narzutą w kwiaty. Na pościeli leżą ręczniki, półki świecą pustkami. Nic z tego nie rozumie.

Wchodzi do środka i muska dłońmi stare meble. Po chwili przypomina sobie, po co tu przyszedł. Kuca, podnosi róg dywanu i szuka obluzowanej deski w podłodze. To pod nią chował listy od Matyldy, które dziewczyna mu podrzucała, ale gdy wreszcie namierza skrytkę, niczego w niej nie ma.

Powoli, tak by nie narobić hałasu, zakrada się do sypialni matki na dole. Być może schowała listy u siebie. Zapala nocną lampkę przy łóżku, a później przegląda zawartość szuflad drewnianego biurka. Najniższa z nich jest zamknięta na klucz, w pozostałych odnajduje długopisy związane gumką recepturką, papeterię w kwiaty, teczki z dokumentami i swoje pomięte zdjęcie, ukryte na dnie pod stertą papierów. Przetrzęsa półki w nadziei na odnalezienie klucza, zagląda do toaletki, a wreszcie do damskiej torebki wiszącej w korytarzu. Tam go znajduje.

Ręce się mu trzęsą. W salonie matka wierci się na kanapie i przez moment jest pewien, że zaraz go nakryje, ale ona obraca się jedynie na drugi bok, nie przerywając snu.

Chłopak ociera pot z czoła, a następnie wraca do pokoju matki. Klucz zgrzyta w zamku szuflady. Na widok listów w kopertach, zapakowanych do foliowej koszulki, serce zaczyna mu szybciej bić. Podnosi je, by sięgnąć po tekturową teczkę związaną sznurkiem. Jest lekka i cienka. Jego palce rozwiązuje kokardkę, tętno przyspiesza, a potem nagle, na ułamek sekundy zamiera. Wewnątrz natrafia na kilka artykułów wyciętych z prasy. Wszystkie mówią o zaginięciu siedemnastoletniej Matyldy Sarnackiej, która zniknęła osiem lat temu, tej nocy, gdy on uciekł z domu.

*Siada na podłodze, opiera plecy o łóżko matki i przebiega wzrokiem treść doniesień. Wie, że dziewczyna nie zaginęła, bo przecież znał jej sekretny plan. Wprawdzie nadal ma do niej żal, ale jednocześnie cieszy go myśl, że zdołała uciec od życia, które ją uwierało. Ze zdjęć zerka na niego uśmiechnięta Matylda, dokładnie taka, jaką zapamiętał. Są też fotografie, na których jej ojciec i brat z poważnymi minami patrzą prosto w obiektyw. W wypowiedziach obaj deklarują tęsknotę, choć tak naprawdę żaden z nich jej nie kochał. Starszy brat ją zadręczał, ojciec odrzucał. Zastanawia go, dlaczego matka zbierała te artykuły. Czy mogła to robić dla niego? Tylko po co?*

*Najnowszy pochodzi sprzed miesiąca, nosi tytuł Zaginieni przed laty. Dziennikarka Jagoda Borowiec opisuje w nim mieszkańców Podlasia, którzy zniknęli bez śladu, a ich los nadal pozostaje nieznany. W tekście pojawia się nazwisko Matyldy i pary nastolatków z Sinic, zaginionych w dwa tysiące piętnastym. To intryguje chłopaka, choć przypuszcza, podobnie jak cytowany w artykule policjant, że młodzi uciekli, by móc być ze sobą, z dala od nieakceptujących ich związku rodziców. Najbardziej jednak wstrząsa nim wypowiedź ojca Matyldy, który zapytany o brak zaangażowania w szukanie córki, wyznał, że odnalazł jej pamiętnik. Z zapisków dziewczyny miało wynikać, iż spotykała się z kimś, w kim była bez pamięci zakochana, określała go jako A. i zamierzała z nim uciec.*

*Chłopak wypuszcza z rąk artykuł. Ciepło rozlewa się po jego wnętrzu, a uśmiech zakwita na ustach, które po chwili wykrzywia konsternacja. Jeśli był dla niej ważny, to dlaczego przyniosła mu tamten list i wyjechała sama? A może poza nim istniał w jej życiu ktoś jeszcze z imieniem rozpoczynającym się na tę samą literę? Wygrzebuje z foliowej koszulki ostatni list od Matyldy, ten, o który pokłócił się z matką, a później sięga po jeszcze jeden, starszy, by*



porównać pismo w obu wiadomościach. Łudzi się jeszcze, że może został oszukany, że ktoś podrobił te okrągłe litery, ale gdy zerka na kartki, wie, że wszystko się zgadza. Bez wątpienia autorką obu listów jest ta sama osoba.

Nagle coś go tyka, podnosi się i podchodzi do biurka. Papeteria, na którą natrafił, przeszukując sekretarzyk, wygląda dokładnie jak ta używana przez Matyldę. Ponownie wraca do szuflady zamykanej na klucz, pamiętając, że widział tam jeszcze inne teczki. Kiedy wyjmuje pierwszą z nich, słyszy, jakby coś uderzyło o dno.

Wkłada dłoń do środka i odnajduje drobny metalowy kolczyk w kształcie słonika, schowany w głębi, tuż obok kamery video.

– Co pan tu robi?! – słyszy niespodziewanie za plecami.

Krew szumi mu w uszach. Wpycha pospiesznie ozdobę do kieszeni spodni i odwraca się w stronę matki. Kobieta stoi nieopodal drzwi. Jej ręka ściska duży, kuchenny nóż, w oczach majaczy strach. Nie rozpoznaje syna od razu. Dopiero po chwili jej napięte rysy miękną, a usta otwierają się ze zdziwienia.

– Boże jedyny – szepcze, upuszczając nóż. – Czy to naprawdę ty?

Chłopak potwierdza skinieniem, gdyż słowa więzną mu w gardle. Matka zbliża się do niego. Jej oddech pachnie alkoholem. Muska już nie chłopięcy, ale męski policzek. Ogląda go z każdej strony, dotyka.

– Tyle lat – mówi. – Zmieniłeś się.

Chłopak przetyka ślinę.

– Wyzdrowiałem. Nie biorę już leków.

– To niemożliwe. Przecież jesteś ciężko chory.

– A jednak. Od ośmiu lat radzę sobie bez tabletek i zastrzyków.

Ta informacja powoduje, że kobieta z niedowierzaniem marszczy brwi. Widać, jak pod skórą napinają się jej szczęki, a tęczęwki ciemnieją, jakby nagle wróciła do niej przeszłość.

– Zostawiłeś mnie – syczy.

*On spuszcza głowę, nerwowo przygryzając wargę.*

*– Byłem przekonany, że cię zabiłem. To mnie przerosło.*

*– Leżałam tam nieprzytomna i ranna, a ty sobie tak po prostu wyszedłeś. – Z każdym słowem coraz bardziej się do niego zbliża.*

*Ręce chłopaka dygoczą.*

*– Nie chciałem, mamó, przysięgam! Miałem siedemnaście lat, przestraszyłem się.*

*– Nie kłam! – grzmi, grożąc mu palcem. – I tak zamierzałeś mnie zostawić. Po tym wszystkim, co dla ciebie zrobiłam! Planowałeś uciec z tą dziewczuchą. Jak mogłeś?*

*Syn patrzy na nią oniemiały.*

*– Skąd o tym wiesz?*

*Kobieta uśmiecha się przebiegle.*

*– Może rozmawialiście nieco za głośno.*

*Chłopak mruga oszołomiony. Przecież zawsze zachowywali ostrożność, nikt nie mógł usłyszeć ich sekretów. Gorączkowo analizuje tamte wieczory i nagle wszystko staje się jasne. Przypomina sobie donośny szum wody dochodzący z łazienki na dole, znak, że matka już nie przyjdzie na piętro. W ten sposób kobieta usypiała jego czujność.*

*Wściekły patrzy na nią z pogardą.*

*– Tamtego dnia podałaś mi jakiś lek, prawda? Chciałaś, żebym się nie obudził i nie mógł odejść z Matyldą?*

*Matka krzywi się, jakby te słowa ją oburzały.*

*– Nie rozumiem, o czym mówisz.*

*Chłopak czuje, jak narasta w nim złość. Podchodzi do kobiety, zwalczając w sobie pokusę, by nią potrząsnąć. Teraz jest od niej wyższy, zapewne również silniejszy.*

*– Doskonale rozumiesz. Zmusiłaś ją, żeby napisała tamten list, a później kazałaś jej odejść, tak?*

– To jakaś bzdura.

– Masz taką samą papeterię. – Wskazuje na biurko. – Ona mnie kochała, wiesz? Pisała o tym w pamiętniku, który znalazł jej ojciec. Nie opuściłaby mnie tak po prostu. Przyznaj, co jej zrobiłaś?

Przez twarz matki przetacza się cień niepokoju.

– Kazałam jej zniknąć z twojego życia – rzuca przez zaciśnięte zęby. – To wszystko.

– I mam uwierzyć, że tak po prostu cię posłuchała? Matylda cię nie znosiła. Była przekonana, że mnie trujesz, nie zostawiłaby mnie w twoich rękach. – Chłopak z niedowierzaniem kręci głową. – Boże, jak mogłem być taki głupi, że sam tego nie dostrzegłem! Teraz jestem pewien, że to przez leki, które mi podawałaś, czułem się źle. Dodawałaś mi jakieś świństwo do jedzenia, przez co wymiotowałem aż do krwi. To ty byłaś potworem. Uzależniałaś mnie od siebie.

Matka wymierza mu piekący policzek.

– Nie waż się tak mówić! Dbałam o ciebie.

– Niby jak? Odbierając mi wszystko, co kochałem? – Wściekły, z czerwoną od uderzenia twarzą, sięga do kieszeni i pokazuje jej srebrnego słonika. – Skąd to masz?

Kobieta krzyżuje ramiona na piersi.

– Ze sklepu.

– Nieprawda. Te kolczyki należały do matki Matyldy. To jedyna pamiątka, jaką po niej miała. Nie oddałaby jej nikomu. – Podchodzi do rodzicielki i chwyta ją za sweter tak, by nie mogła mu umknąć. – Zapytam cię po raz ostatni: co jej zrobiłaś?

Matka przechyla głowę i mruży oczy, jakby nie rozumiała, o czym on mówi.

– Ja? A może ty jej coś zrobiłeś? Z tej niespełnionej miłości?

Zszokowany rozluźnia uchwyt i kręci głową, nie mogąc uwierzyć w to, co słyszy.

– Co?!

– Ja postąpiłam tylko jak kochająca matka. Kryłam cię.

– Przestań mną manipulować.

Kobieta uśmiecha się z wyższością.

– Wmówiłam ludziom, że wyjechałeś na leczenie do Stanów. Że twojego ojca po latach ruszyło sumienie i zabrał cię do siebie. Dzięki temu nikt nie połączył twojego wyjazdu z jej zaginięciem. Ale mogłabym im teraz powiedzieć, że było inaczej.

Chłopak ledwie łapie powietrze.

– To jakiś obłąd.

– Przemyślałam to wszystko, na wypadek gdybyś wrócił i próbował mi grozić – wtrąca. – Jak sądzisz, kto uwierzy schorowanemu, nieszczęśliwie zakochanemu chłopakowi, a kto cenionej mieszkance Sinic? Jesteśmy ze sobą związani na zawsze – mówi, kładąc dłonie na jego przedramionach.

Chłopak odpycha je.

– Zwariowałaś. Nie zamierzam tu zostać ani chwili dłużej. Idę na policję. Powiem im o wszystkim, co mi robiłaś.

Chce wyjść, ale kobieta jest szybsza, schyla się po nóż i przykłada go do jego brzucha.

– Nie próbuj nawet drgnąć, bo wbiję ci go w bebechy. Powiem, że zrobiłam to w samoobronie, bo chciałeś mnie zabić, tak samo jak Matyldę.

Syn łapie ją za kościsty nadgarstek. Szarpią się, wirując po pokoju. Chłopak uderza jej ręką o ścianę, ale ona nie rozluźnia uchwytu. Zawzięcie ściska nóż, dysząc przy tym zapiekłe z wzrokiem lśniącym jak u obłąkanych ludzi. Ostrze znajduje się nagle niebezpiecznie blisko jego koszuli. Chłopak czuje, jak dotyka brzucha, i przez moment myśli, że właśnie tak będzie wyglądał jego koniec.

*Napędzany wolą przetrwania, zbiera wszystkie siły, a następnie z impetem popycha matkę na krzesło, które upada razem z nią. Nóż dzwoni o podłogę.*

*Z trudem łapiąc oddech, spoglądają na siebie jak dwaj gladiatorzy, z których tylko jeden może wyjść z tego starcia bez szwanku. Kobieta właśnie zaczyna się podnosić. Patrzy na syna pełnym agresji, zwierzęcym wzrokiem. On wie, że mu nie odpuści i zaatakuje ponownie, dlatego postanawia biec. Rzuca się w stronę wyjścia. Powodowany instynktem, wyszarpuje klucz z zamka i wkłada go po zewnętrznej stronie. Zanim jednak zdąży zamknąć drzwi, matka jest już po drugiej stronie i próbuje staranować je ramieniem. Walczą tak przez chwilę, aż w końcu chłopakowi udaje się dopchnąć skrzydło i przekręcić klucz w zamku.*

*– Tak mi się odpłacasz? – krzyczy kobieta, waląc pięściami w drzwi, ale on już jej nie słucha, biegnie w stronę lasu i mgły.*



Teraz

Wieczór

Wtorek, 30 kwietnia 2019 roku, Sinice

Pod lasem przy domu Wandy parkowało nadzwyczaj dużo samochodów. Obecność radiowozów policyjnych zainteresowała przejeżdżającą na rowerze kobietę, która przystanęła obok, by móc z bliska obserwować zajście. Pod wodzą Krzysztofa Lipskiego posesję przeczesywali funkcjonariusze w asyście psów. Wyposażeni w latarki i policyjny georadar, fragment po fragmencie sprawdzali podwórko. W budynku paliło się światło, a ubrani w białe kombinezony i lateksowe rękawiczki technicy przetrząsali wnętrze.

Skupieni na pracy wymieniali jedynie zdawkowe komentarze, przez co w domu dominowały odgłosy spustu migawki, otwieranych szuflad i przesuwanych mebli. Weronika Sowińska zatrzymała się w progu, a kiedy jeden z policjantów wręczył jej ochraniacze na obuwie, założyła je i weszła do środka. Z kuchni pomachał do niej barczysty Łukasz Maćkowiak, który wyjmował pudełka, blistry i ampułki z dużej wiszącej szafki nad blatem.

– Chodź, nie czaj się tak! – zawołał.

– Mamy coś ciekawego? – zapytała, pocierając ręce.

– Same rarytasy. Babka zgromadziła tyle leków, że można by nimi zatowarować co najmniej dwie apteki. Tabletki przeciwlękowe, leki zwiotczające mięśnie, środki antydepresyjne, przeciwdrgawkowe,

silne pigułki nasenne – wymieniał, układając opakowania na blacie.  
– Są też fiolki z preparatami do wstrzykiwania, kroplówki, a nawet jakieś medykamenty dla zwierząt. Większość przeterminowana o dobrych parę lat.

Aspirantka z szeroko otwartymi oczyma i uchylonymi w szoku wargami powiodła spojrzeniem po stosach pudełek.

– Jezu, skąd ona to wszystko wzięła?

– Część musieli jej przepisywać lekarze, jak chodziła z synem na wizyty, te od psychiatrów podejrzewam, że brała na siebie, a resztę może z tych ukradzionych recept.

Weronika zmarszczyła brwi.

– Jakich recept?

– A to ty nie wiesz, że wyleciała ze szpitala właśnie z tego powodu? Podobno Jarosz ją nakrył, zrobiła się straszna chryja. Ona początkowo się wypierała, później wciskała jakiś kit, że niby nie radzi sobie z samotnym wychowywaniem przewlekłe chorego dziecka, że wstydziła się iść do psychiatry i dlatego to wszystko. W efekcie doktorowi zmiękło serce i zamiótł sprawę pod dywan. To dobry człowiek, ostatecznie nawet nie wniósł o jej zwolnienie z pracy, tylko poprosił, żeby sama złożyła podanie. Kto wie, czy w tej Łodzi, skąd przyjechała, też nie robiła podobnych numerów.

– Skąd ty masz takie wieści?

– Od matki, była wtedy oddziałową. Teraz już na emeryturze, ale swoje w życiu widziała. – Pokręcił głową, wypuszczając powietrze z płuc. – Jak ta sprawa z Wandą wyszła, Bogdan Jarosz wziął matkę na stronę, wyjaśnił, co się stało, i poprosił o dyskrecję ze względu na trudną sytuację kobiety i jej syna. Ludzie różne rzeczy o nim gadają, że trochę gburowaty i zasadniczy jak cholera, ale matka złego słowa o Jaroszu nigdy nie powiedziała. Dla niej to złoty człowiek.



Sowińska mruknęła. W jej myślach zamajaczyła gorzka refleksja, że czasami złoto czernieje. Wróciła pamięcią do zeznań Filipa Klepackiego, które sugerowały, iż Alicji nie było w domu niedzielnego ranka. Gdyby nie pożar i rewelacje dotyczące Wandy, z pewnością rozmawialiby już z Jaroszami, a tak musieli się uzbroić w cierpliwość.

– Mam coś! – Dochodzące z głębi domu wołanie przywróciło Weronikę do rzeczywistości.

Razem z Maćkowiakiem ruszyli za głosem, by za moment znaleźć się w sypialni właścicielki pensjonatu, gdzie młody technik w kombinezonie obracał w dłoniach kamerę cyfrową. Na drewnianym sekretarzyku leżały otwarte tekturowe teczki pełne wycinków z gazet. Publikacje dotyczyły zabójstwa dokonanego przez Emila Biernata oraz zaginięć Matyldy Sarnackiej i dwójki nastolatków z dwa tysiące piętnastego.

– Wszystkie te rzeczy, łącznie z kamerą i kolczykiem, znajdowały się w zamkniętej na klucz szufladzie – wyjaśnił policjant przeszukujący pokój.

– Udało ci się włączyć kamerę? – zapytała Sowińska.

Mężczyzna pokręcił głową.

– Jest albo rozładowana, albo zepsuta. W każdym razie nie mogłem jej uruchomić.

Policjantka nerwowo uderzała butem o drewnianą klepkę podłogową. Ciekawość i podszept intuicji nie pozwalały jej tak lekko odpuścić.

– Łukasz... – odezwała się do technika. – Znalazłbyś u siebie jakąś przejściówkę z takim wejściem? – Podsunęła kamerę Maćkowiakowi.

– Nie wygłupiaj się, Wera – rzucił, patrząc na nią z ukosa. – Robimy to, co zawsze. Zabezpieczamy do oględzin i wysyłamy do

laboratorium. Jutro będziesz wszystko wiedziała, a jak dobrze pogadasz z chłopakami, to może nawet jeszcze dziś w nocy.

Sowińska jęknęła.

– Naprawdę proszę o tak wiele?

Technik przeklął pod nosem, a później obejrzał uważnie sprzęt.

– Mam się ja z tobą – warknął. – No dobra. Zaczekaj, zaraz sprawdzę w samochodzie. A ty, młody, daj pani aspirant coś na ręce, żeby sobie mogła pooglądać fanty.

Szczupły funkcjonariusz wyjął ze srebrnej walizki parę rękawiczek, podał je Weronice i zachęcająco kiwnął głową w stronę biurka. Policjantka poczuła przyjemne ciepło rozlewające się po ciele. Wodziła spojrzeniem po artykułach, próbując zrozumieć, po co Wanda miałaby je gromadzić. W pierwszej kolejności chwyciła kolczyk ze srebrnym słonikiem z trąbą uniesioną do góry. Był niewielki i mocno zaśnieżony. Zważyła go w dłoni, a następnie zaczęła oglądać wycinki, metodycznie, jeden po drugim, gdy niespodziewanie na zdjęciu siedemnastoletniej Matyldy Sarnackiej ujrzała dokładnie taki sam element biżuterii. Zadrżała.

Jej palce z coraz większą zachłannością przerzucały publikacje z gazet, a gdy dotarła do końca i odłożyła ostatni artykuł z teczki dotyczącej zaginięcia Dominiki i Maksa, zauważyła, że na okładce, po wewnętrznej stronie teczki, ktoś zapisał ołówkiem kilka słów. Pismo było rozedrgane, niektóre ze znaków ledwie widoczne i z trudem rozszyfrowywała poszczególne litery, ale w końcu zdołała rozkodować nagryzmołone zdanie. „Zagubili się we mgle i nigdy już nie znaleźli drogi powrotnej do domu” – przeczytała, a po jej plecach przebiegł dreszcz.

– Poszukajcie w tym, coś tam powinno się znaleźć – dobiegł ją głos Łukasz Maćkowiaka, który właśnie wrócił do pokoju, trzymając

w ręce gąszcz splątanych czarnych kabli i podał je drugiemu technikowi.

– Napadłeś na sklep rtv agd? – zapytał młody funkcjonariusz.

– Mam w domu dwie nastoletnie youtuberki, które uparły się, by nagrywać filmiki w moim samochodzie. Nie chcesz wiedzieć, co tam czasem znajduję.

Policjant machnął ręką, jakby nie miał już siły komentować zachowania własnych córek, po czym wyszedł. Jego kolega tymczasem zdołał wyłuskać z kłębowiska jeden z kabli, który następnie podpiął do kamery, a drugi jego koniec umieścił w gniazdku. Odczekał chwilę, odgiął niewielki, prostokątny ekran i włączył sprzęt. Zagrała powitalna melodyjka, a wyświetlacz błysnął kolorami.

– O kurde, działa! – rzucił zaskoczony, popatrując na Sowińską.

Aspirantka podbiegła do mężczyzny, a kiedy ten uruchomił odtwarzanie ostatniego zarejestrowanego filmu, oboje wstrzymali oddech.

Na ekranie czternastoletnia Dominika, z zafarbowanymi na czarno włosami i powiekami obrysowanymi grubą ciemną kredką, przedzierała się przez zarośla otulone mgłą. Z jej ust wypływały obłoczki pary. Słuchać było trzask deptanych gałęzi i urywany oddech. „Cztery lata temu, w noc taką jak ta, Matylda Sarnacka wyszła z domu i zaginęła bez śladu” – mówiła dziewczyna do kamery, starając się tłumić wyraźną wesołość. W końcu nie wytrzymała, parsknęła śmiechem, a głos zza kadru, który zapewne należał do jej chłopaka Maksa, poprosił, by się opamiętała, choć sam z trudem powstrzymywał chichot. „Dobra, pokażmy jej dom” – zaproponował.

Kadr przesunął się i obiektyw objął budynek z ciemnymi oknami, skryty za rzędem ciasno posadzonych tui. Dominika odchrząknęła,

a następnie zaczęła z przejęciem opowiadać: „Matylda mieszkała w tym ponurym domu z ojcem i starszym bratem. Mówiło się, że bliscy traktowali ją surowo...”. Przerwała nagle, patrząc gdzieś ponad głowę chłopaka. „Ej, kto to?” Obraz poruszył się, przez moment w kadrze widać było jedynie czern. Zza kamery odezwał się Maks. „To chyba ta babka od dzieciaka na wózku, kilka lat temu ojciec pomagał jej organizować koncert charytatywny”. „A to nie o nim wspominał brat Sarnackiej twojemu bracholowi? No wiesz, że leciała na jakiegoś dziwoląga z sąsiedztwa, który po jej zniknięciu wyjechał za granicę? Jak on miał na imię? Może to ten A. z pamiętników? Chodź, pogadamy z tą babką” – zaproponowała nastolatka.

Widok na ekranie drgał, jakby ktoś się przemieszczał, z głośników dobiegały trzaski, ale wreszcie obraz się ustabilizował i policjantka z technikiem, nachyleni nad ekranem, ujrzeli twarz Wandy. Zaskoczona kobieta wyciągała rękę przed siebie, by osłonić twarz przed nagrywaniem. Była wyraźnie spięta i zawstydzona. „Przestańcie, kto wam pozwolił?” – irytowała się, Maks jednak nie reagował na jej protesty, co więcej, zrobił zbliżenie, jakby denerwowanie Wandy go fascynowało. „Spokojnie, to tylko projekt do szkoły” – wyjaśnił. „Szukamy świadków zaginięcia Matyldy Sarnackiej, może pani coś widziała albo słyszała?” – pytał. Kobieta przytuliła do siebie plastikową konewkę i odwróciła się tyłem. „Idźcie stąd. Nie znałam tej dziewczuchy!” – przepędziła nastolatków, ale chłopak nie spuszczał z niej oka kamery. Prowokował ją celowo, czerpiąc z tego satysfakcję.

„A może jej pani nie lubiła, co? Podobno dziewczyna kochała się w pani synu, to prawda?” Twarz Wandy wykrzywił grymas wściekłości. „Bzdura” – warknęła. „A to nie on był tą miłością z pamiętnika? Jak ma na imię pani syn? Jego chyba też już nie ma

jakiś czas” – ciągnął Maks. Właścicielka pensjonatu wbijała paznokcie w uchwyt konewki. Rozglądała się niespokojnie, jakby chciała się jak najszybciej oddalić, i nim zdążyła odpowiedzieć, cios przyszedł z drugiej strony. „Idę o zakład, że uciekli gdzieś razem” – zasugerowała Dominika, żując gumę. Wanda zmrużyła oczy, skóra na jej policzkach się napięła. „Mój syn nigdy by nie uciekł z taką jak ona” – zawrzała, tracąc nad sobą kontrolę. „Z jaką?” – zaciekawił się nastolatek, a wtedy właścicielka pensjonatu umilkła, przesunęła spojrzeniem po okolicy, jak gdyby upewniała się, czy nikt ich nie podsłuchuje, a następnie otworzyła bramkę. „Wejdźcie, zaparzę herbatę i wszystko wam opowiem” – rzuciła pojednawczo. Kadr drgnął, by następnie się urwać.

– O ja cię – skomentował technik, rumiany z emocji.

Zszokowana Weronika spojrzała na niego, nie mogąc wydusić z siebie ani słowa. Jej twarz również poczerwieniała, a rozbiegane oczy błyszczały.

– Kiedy zarejestrowano to nagranie? – chciała wiedzieć.

Policjant nacisnął kilka guzików, a następnie odnalazł datę w opisie pliku.

– Ósmego kwietnia dwa tysiące piętnastego – przeczytał na głos.

Sowińska bez słowa wybiegła z pokoju. Musiała jak najszybciej pogadać z Lipskim. Kiedy wypadła na zewnątrz i skręciła za róg domu, zauważyła, że jeden z funkcjonariuszy otacza taśmą policyjną foliowy tunel, pod którym uprawia się warzywa. Jej mięśnie automatycznie się napięły. Owczarek niemiecki trzymany na smyczy przez przewodnika niespokojnie szczeakał. Obok funkcjonariuszki przebiegł policjant niosący więcej lamp do oświetlenia terenu, a Krzysztof dreptał za domem, wymachując ręką i krzycząc do telefonu. Jego ton był ostry, a gesty nerwowe.

Po tym, jak się rozłączył, otarł spocone czoło i sięgnął po paczkę papierosów ukrytą w wewnętrznej kieszeni kurtki.

– Nawet nie próbuj tego komentować – rzucił, gdy zobaczył wzrok policjantki prześlizgujący się po opakowaniu L&M-ów. – Znaleźliśmy czaszki i kości zakopane mniej więcej metr pod ziemią. Georadar to potwierdził. Prokurator już tu jedzie. – Wetknął papierosa do ust, ale jego dłoń trzęsła się tak, że nie mógł uruchomić zapalniczki.

Weronika wyjęła ją Lipskiemu z ręki i jednym szybkim ruchem wyczarowała pomarańczowy płomień. Komisarz, przymykając powieki, zaciągnął się dymem, jakby czekał na ten moment od bardzo dawna. Punkcik na końcu papierosa rozżarzył się na czerwono, a tuż nad nim zatańczyła sina wstążka dymu. Policjant wydmuchał szary obłok, podążając za nim spojrzeniem.

– To może być Matylda Sarnacka i tamta dwójka z dwa tysiące piętnastego – zasugerowała Sowińska. – W domu znaleźliśmy kolczyk, który mógł należeć do Sarnackiej, oraz nagranie zarejestrowane na kamerze cyfrowej, potwierdzające, że Dominika i Maks byli u Wandy w noc zaginięcia. Myślę, że padli ofiarą zbrodni, bo zadawali za dużo pytań i stanowili zagrożenie.

Krzysztof wessał do płuc nową porcję nikotyny.

– Sprawdzimy to – rzucił nerwowo. – Trzeba będzie zabezpieczyć szczątki i wysłać cały ten majdan do zakładu medycyny sądowej – stwierdził, strzepując popiół do przydomowego kwietnika.

Weronika chrząknęła znacząco i wskazała głową na doniczkę.

Lipski stęknął rozeźlony.

– Dobrze, już dobrze. – Wyjął chusteczkę, zgasił w niej papierosa, a później owinął go w papier i schował do kieszeni. – Zadowolona?

– Jak nigdy. – Uśmiechnęła się, a on westchnął i kontynuował:

– Te kości z pewnością nie należą do Alicji Jarosz. To czyste szkielety, nie ma na nich już żadnych tkanek, a to oznacza, że

musiały być zakopane minimum jakieś kilka lat. Zadzwoń do domu i powiedz, że wrócisz późno. Czeka nas długa noc. Nadal brakuje czwartej zaginionej.

Kącki ust policjantki opadły. Tego dnia bardziej niż kiedykolwiek pragnęła zasnąć wtulona w słodkie ciało dwuletniej córki, ale skinęła głową, wiedząc, że odzyskają spokój dopiero, gdy znajdą wszystkie odpowiedzi.

– Myślę, że jej tu nie ma – rzuciła. – Według mnie Alicji trzeba szukać przy Zawrociu, w okolicy miejsca, gdzie Jan trafił na ten zakrwawiony naszyjnik.

Komisarz spojrział na wyświetlacz dzwoniącego telefonu. Na ekranie widniało imię jego żony. Odrzucił połączenie, obiecując sobie, że oddzwoni, gdy tylko będzie mógł.

– Nie wiemy nawet, czy on mówi prawdę. Ale jeśli rzeczywiście znalazł zakrwawiony naszyjnik sobotniej nocy, a my odkryjemy we wskazanym przez niego miejscu zwłoki dziewczyny, to będzie oznaczało, że...

– Alicja nie zaginęła w niedzielę, w drodze do kościoła, tylko w sobotnią noc – wtrąciła, podekscytowana odkryciem.

Krzysztof skinął twierdząco głową.

– No właśnie, a to wyklucza się z wersją świadków, którzy widzieli dziewczynę w niedzielę rano.

Weronika westchnęła ciężko. Czuła, że są blisko, ale nadal coś im umyka. Nic do siebie nie pasowało. Za ogrodzeniem zamajaczyło audi prokuratora Klicha. Dostrzegła, jak mężczyzna w garniturze przechodzi przez otwartą bramę i zmierza w ich kierunku. W myślach cały czas odtwarzała zeznania sąsiadów Jaroszków, gdy nagle wyłapała pewien istotny szczegół, który całkowicie zmienił jej perspektywę.





## *Luty 2019 roku*

*Wszystko zamazuje się mu przed oczami. Nie wie już, czy to ta mgła, czy strach przed matką. Trze powieki, lecz to nie pomaga. Biały welon otula wszystko. Biegnie na przelaj przez pole, nie mając nawet pojęcia, dokąd tak gna.*

*Mógłby pójść na policję, ale boi się, że na komendzie nikt mu nie uwierzy. Nie ma żadnych dowodów na to, że matka latami się nad nim znęcała. Może też jedynie przypuszczać, że to ona zrobiła coś złego Matyldzie. Kobieta jest uważana w miasteczku za wzór cnót. Ludzie widzą w niej matkę, która poświęciła życie dla chorego dziecka, i bohaterkę, która uratowała dziewczynkę spod kół samochodu. Nikt nie da wiary temu, że mogłaby kogoś skrzywdzić. Co innego on. Odrzucony, nieszczęśliwie zakochany, wyśmiewany przez całe życie chłopak, za którym ciągnie się poczucie krzywdy.*

*Płacze z bezradności. Wilgotne powietrze wciska się za kołnierz roboczej koszuli. Jest mu zimno i trzęsie się jak w delirium. Usiłuje zmieścić w sobie te wszystkie prawdy, których tak bardzo nie chciał zobaczyć. Zniknięcie Matyldy, trucie lekami i świadomość, że matka była gotowa go zabić. Przytłoczony spogląda za siebie i dostrzega w oddali światła samochodu. Z nerwów potyka się o kamienie, upada twarzą w mokrą, zimną trawę, gubiąc portfel. Maca dłońmi zarośla, chcąc go odnaleźć, ale gdy warkot silnika jadącego za nim samochodu narasta, a on zauważa srebrną karoserię, rzuca się do ucieczki.*

*W końcu zdyszany dociera do drogi prowadzącej na Białystok. Ma wrażenie, że z wysiłku zaraz wypluje płuca. Opiera dłonie o kolana i sapiąc, wygląda na ulicę. Chce złapać pierwszą nadarzącą się okazję i uciec, nim dogoni go matka. Znów zerka za siebie, wypatrując srebrnej osobówki, ale ta gdzieś zniknęła. Wmawia sobie, że się pomylił i to musiał być ktoś inny.*

*Gdy przez kolejną minutę, która zdaje się wiecznością, drogą nie przejeżdża żaden samochód, strach chwyta chłopaka za gardło. Nagle dostrzega światła reflektorów. Desperacko macha rękoma, ale kierowca mija go i odjeżdża, trąbiąc klaksonem. Po chwili jednak znów pojawia się szansa. Od strony Zambrowa nadjeżdża samochód na długich światłach. Ich blask go oślepia, chłopak osłania ręką oczy i tym razem wychodzi na jezdnię. Auto zdaje się pędzić prosto na niego. Początkowo jest pewien, że się zatrzyma, ale gdy dociera do niego, że kierowca nie zamierza zwolnić, odskakuje z przerażeniem na bok, upadając na kolano.*

*Srebrny lanos zatrzymuje się z piskiem opon kawałek dalej. Wrzuca wsteczny i wraca. Chłopak orientuje się o kilka sekund za późno, przez co samochód uderza go tylnym zderzakiem i spycha z asfaltu.*

*Skołowany leży na piaszczystym poboczu. Ból rozsadza klatkę piersiową i odbiera dech. Mimo to powoli próbuje wstać.*

*Nagle zauważa, że drzwi lanosa się otwierają i ze środka wychodzi jego matka. Na twarzy kobiety dostrzega cyniczny uśmiech, od którego drętwieją mu ręce. Nie zważając na potworne darcie w okolicy żeber, chłopak dźwiga ciało i rusza przez las w stronę Zawrocia.*

*Biegnie najszybciej, jak może. Z bólu ćmi mu się przed oczami, ale na szczęście gęstwina drzew i mleczny całun unoszący się nad łąkami pozwalają mu ukryć się przed ścigającą go kobietą. Z każdym*

*krokiem czuje się coraz słabszy, drzewa zdają się wirować wokół niego, jakby był na karuzeli. Świat to się przybliża, to oddala. I chłopak nie wie już, co jest naprawdę, a co tylko sobie wyobraża.*

*Widzi burą papkę, którą matka wpychała mu do ust, kuchenną szafkę pełną leków, uśmiech Matyldy i nóż na swoim brzuchu. Potyka się o gałąź i przewraca. Monety z jego spodni rozsypują się w trawie. Chwyta je w garść i panicznie wciska do kieszeni. Wydaje mu się, że słyszy głosy. Szelest i kroki. Zastyga. Ze strachu zatyka uszy. Chce, żeby odeszły, przestały go prześladować. Czuje, że dłużej nie da rady. Że to, czego doświadczył, nie może się w nim pomieścić i za moment eksploduje, rozsadzając czaszkę.*

*Na niebie wykwitają kolory. Nocną ciszę mąci huk fajerwerków, lecz on tylko kuli się w sobie. Przedziera się między drzewami na oślep, gdy nagle ziemia usuwa mu się spod nóg, a on spada gdzieś w głąb. W ciemność. I tam traci przytomność.*



Teraz

Rano

Środa, 1 maja 2019 roku, Sinice

Pierwszomajowy ranek przywitał policjantów szarością. Zdawało się, że nad miastem ktoś rozciągnął grubą kołdrę z popielatych obłoków. Wprawdzie radiowy spiker zapewniał, że tego dnia słońce wyjrzy zza chmur na terenie całego kraju, a temperatura na Podlasiu sięgnie szesnastu stopni, ale kiedy Krzysztof Lipski spojrział w niebo, odniósł wrażenie, że Sinice jako jedyne tego zaszczytu nie dostąpią. Zmęczenie po minionej nocy kładło się ciężko na jego karku, szczypało pod powiekami i potęgowało rozdrażnienie. Mimo dwóch mocnych kaw, które wlał w siebie tuż po przebudzeniu, czuł obezwładniającą senność.

Zgodnie z przypuszczeniem Weroniki przeszukanie posesji Wandy Malec nie przyniosło więcej drastycznych odkryć. Zatrzymana kobieta, mimo zarzutów, które nad nią ciążyły, konsekwentnie odmawiała wyjaśnień, trwając w swoim uporze. Kiedy Lipski zapytał ją o szczątki, jak się okazało, trzech ofiar, zakopane w ziemi, spojrzała na niego z pogardą i odwróciła wzrok, jakby chciała w ten sposób powiedzieć, że i tak niczego nie zrozumie. Komisarz widział jej drżące wargi, poobgryzane do krwi skórki przy paznokciach oraz otarcia na knykciach wywołane bezsilnym uderzaniem pięściami

o ściany. Był pewien, że w końcu pęknie, i postanowił zaczekać na moment, gdy ta cała żółć się z niej wyleje.

Tymczasem to w nim buzowało. Od dwóch godzin błądzili po lesie za Zawrociem, pozwalając wodzić się za nos podszeptom mężczyzny, któremu, jak sądził, nie można było ufać. Krzysztof zauważał na twarzach funkcjonariuszy narastającą irytację, słyszał ich westchnienia i wymieniane szeptem uwagi. Spora część członków ekipy, podobnie jak on, pracowała w nocy. Byli niewyspani, głodni i zziębnięci, a przez to bardziej drażliwi. Szczególnie przewodnicy dwóch owczarków niemieckich, którzy nie przywykli do tak chaotycznej pracy.

Jan miał zaprowadzić śledczych do miejsca, w którym znalazł naszyjnik Alicji. Jednak od siódmej rano gubił się, co jakiś czas przystawał, drapiąc usilnie czoło i mamrocząc coś do siebie pod nosem. Tłumaczył, że to przez ciemność i przerażenie, które towarzyszyły jego ucieczce, a przy tym upierał się, że muszą odnaleźć jakąś jamę w ziemi.

Lipski był coraz bardziej przekonany, że mężczyzna sobie z nich drwi i marnuje ich czas.

– Po cholere go ze sobą wzięliśmy? – utyskiwał do Sowińskiej.

– To ogromny teren, myślałam, że będzie w stanie wskazać miejsce, gdzie znalazł ten wisiołek.

– Przecież to jest czysta manipulacja. Nie widzisz, że on się nami bawi?

Weronika westchnęła. Jej wzrok spoczął na zagubionej twarzy Jana, który przykucnął i zaczął rozgarniać ściółkę, odsłaniając butwiejącą gałąź oraz kilka rozrzuconych monet. Jego ruchy stały się nagle bardziej gorączkowe. Psy zaszczekały, a policjanci spojrzeli po sobie.

– To gdzieś tutaj – powiedział i nie czekając na reakcję funkcjonariuszy, ruszył naprzód.

Zatrzymał się dopiero kilka metrów dalej, tam gdzie teren nieco się obniżał, tuż przy zarośniętej lisiej jamie, i powiódł wzrokiem dookoła.

Jak to było? Trąc czoło, usiłował sobie przypomnieć. Wiedział, że upadł, ze spodni wysypały się srebrne monety, a później jego drżąca dłoń zgarnęła pieniądze z trawy i upchnęła je w kieszeni. Tej samej, w której następnego dnia znalazł zawieszkę ze zdjęciem Alicji. Musiał ją zabrać razem z monetami. Była podobnej wielkości i mieniła się metalicznym blaskiem.

Odwrócił się do policjantów z wyrazem satysfakcji na twarzy.

– W tym miejscu straciłem przytomność, jestem tego pewien, ale zanim to się stało, tam wyżej – wskazał dłonią kierunek – potknąłem się o gałąź i natrafiłem na wisiołek – wyjaśniał przejęty. – Musicie szukać gdzieś przy tych rozsypanych monetach – przekonywał usilnie, jakby w obawie, że nikt mu nie uwierzy.

Funkcjonariusze, po tym, jak ich zaufanie do mężczyzny osłabło, trwali w chwilowym zawieszeniu, czekając najwyraźniej na jakiś sygnał od komisarza, który potwierdziłby kierunek działań.

– Jest pan pewien? – dopytał Lipski.

Jan potwierdził skinieniem, po czym uniósł twarz do nieba.

– Pamiętam, że tamtej nocy wybuchały fajerwerki – wyszeptał.

Krzysztof drgnął na te słowa, bo rzeczywiście w sobotnią noc, niedługo po tym, jak odwiózł Alicję do domu, sinickie niebo zalały kolory, jakich świat nie widział. Sztuczne ognie były niespodzianką prezesa lokalnej mleczarni dla jego żony, obchodzącej tamtego dnia pięćdziesiąte urodziny.

Komisarz rozejrzał się po zmęczonych twarzach zebranych, którzy zdawali się trwać w letargu.

– No co jest, panowie? Na co się tak gapicie? Chyba nie trzeba wam dwa razy powtarzać? Do roboty! – zawołał, a policjanci, niczym odczarowani, ruszyli w teren, ściskając w dłoniach nakłuwacze.

Nie minęły nawet dwa kwadranse, gdy las przeniknęło alarmujące ujadanie psa. Komisarz z aspirantką rzucili się w tamtym kierunku. Na miejscu ich oczom ukazała się rozkopywana wcześniej połać, ukryta pod gałęziami rozłożystego krzewu, przysypana gałązkami i liśćmi. Padające niedawno deszcze sprawiły, że podłoże w tym miejscu było nieco bardziej ubite. Tropiciel szczeptał, wyraźnie pobudzony, a Lipski miał wrażenie, że tętno za moment rozsadzi mu żyły.

– Zdejmijmy wierzchnią warstwę ziemi – zarządził.

Gryząc do krwi wargę, obserwował pracę policjantów. Stojąca obok niego Sowińska w napięciu kręciła obręczką na serdecznym palcu, a powietrze zdawało się naelektryzowane od oczekiwań. Tylko Jan sprawiał wrażenie wyłączonego, jakby po tym, co sam przeszedł, przebywał we własnej, niedostępnej innym krainie, która nie mogła pomieścić już więcej bólu i cierpienia.

Po pewnym czasie spod ziemi wyłonił się fragment czarnej folii, jakiej używa się do wykładania oczek wodnych i stawów, a nozdrzy policjantów dobiegł niedający się z niczym pomylić odór rozkładających się zwłok. Weronika gwałtownie wciągnęła powietrze i zasłoniła dłonią twarz, a Krzysztof poczuł uderzenie gorąca. Niektórzy policjanci odwrócili spojrzenia, by nie musieć nosić pod powiekami obrazu, który miał się za chwilę ukazać.

Pod warstwą folii znajdowała się ciastowata, cuchnąca breja, na której żerowały owady. Lipski przycisnął rękę do nosa i mimo wstrętu wyraźnego na jego pobladłej twarzy nachylił się nad zwłokami, uważnie je lustrując. Wstał dopiero, gdy w gąszczu larw ujrzał



bransoletkę na sznurku z oznaczoną grupą krwi. Wcześniej dokładnie tak opisali ją rodzice dziewczyny.

– To ona – rzucił. – Zabezpieczcie teren. Trzeba sprowadzić biegłego z zakładu medycyny sądowej i zadzwonić po Klicha. Obstawcie las i pilnujcie, żeby nikt się tu nie plątał. Niech wam nawet nie przyjdzie do głowy, by dotykać zwłok. – Zamierzał odejść, gdy coś mu się przypomniało, i z uniesionym palcem odwrócił się do funkcjonariuszy. – Dopóki nie mamy stuprocentowej pewności, czyje to zwłoki, nie puszczacie pary z gęby. Żadnych SMS-ów do żonek, matek czy kochanek, bo nogi z dupy powyrywam. Jasne?

Odpowiedział mu zbiorowy twierdzący pomruk. Na czole aspirantki Sowińskiej rysowała się głęboka pionowa zmarszczka, jej policzki były blade, a wzrok nieobecny. Zdenerwowana podeszła do Krzysztofa.

– Posłuchaj, nie wydaje mi się, żeby on mógł to zrobić – rzuciła ściszym głosem, spoglądając na syna właścicielki pensjonatu, który stał oparty o drzewo kawałek dalej. – Nie miałby odpowiednich narzędzi. Nie sądzę też, by dał radę przetransportować ciało tak, by nikt go nie zauważył, a to, że sama tu przyszła, jest raczej wątpliwe.

– Też o tym myślałem.

– Uważam, że musimy jak najszybciej porozmawiać z Jaroszami – dodała rozgorączkowana.

– Zgadzam się. Choć w tych okolicznościach to nie będzie rozmowa, tylko przesłuchanie. Od tej pory nie zajmujemy się już zaginięciem, ale morderstwem.



## *Luty 2019 roku*

*Kiedy otwiera oczy, jest widno. Kaszle i pluje, bo w ustach ma pełno ziemi. Leży na boku, zwinięty w kłębek, w czymś, co przypomina jamę. Boli go całe ciało, najbardziej wtedy, gdy oddycha.*

*Próbuje wstać, ignorując klucie w klatce piersiowej, a ziemia zsypuje się z jego ubrania i włosów. Mruga, by powstrzymać dokuczliwe drapanie pod powiekami. Z trudem przekręca się na kolana. W głowie mu dudni, usta z pragnienia są suche i spękane. Chroniąc dłońią żebra, powoli wyczołguje się z wgłębienia.*

*Powietrze pachnie wilgocią. Wie, że znajduje się w lesie. Nie ma tylko pojęcia dlaczego. Patrzy na swoje ręce, ubranie oraz buty i zastanawia się, do kogo należą, bo czuje, jakby oglądał je po raz pierwszy w życiu.*

*I wtedy dociera do niego z całą mocą, że nie zna swojego imienia ani nazwiska. Wyciąga przedmioty z kieszeni, ale znajduje tam tylko srebrne monety, kolczyk w kształcie słonika i jakiś obcy wisiołek ze zdjęciem dziewczyny, której nigdy wcześniej nie widział.*

*Kompulsywnie dotyka dłońmi twarzy, szczypie policzki, jakby chciał w ten sposób zrozumieć, kim jest. A jednak nie wie. I jest to tak straszne uczucie, że nagle zaczyna krzyczeć.*



Teraz

Popołudnie  
Środa, 1 maja 2019 roku, Sinice

Wspinał się po siedmiu schodkach w klatce bloku przy Pierwszego Maja z takim trudem, jakby wchodził na Giewont. Ubłocone buty ciężko opadały na stopnie z wymalowanym czarną farbą napisem: „Oszczędzaj światło”. Echo odbijało odgłos jego kroków. Lipski od niechcienia rzucił okiem na korkową tablicę ogłoszeń przytwierdzoną do ściany i zobaczył, że nad informacją o godzinach obowiązywania ciszy nocnej ktoś przytwierdził pinezką plakat z wizerunkiem Alicji Jarosz i nagłówkiem „Zaginęła”. Zasmucił się.

Rozejrzał się na boki i zdjął kartkę z tablicy, a później zgniótł ją w kulkę. I choć twarz dziewczyny zniknęła, to wyrzuty sumienia pozostały. Nieruchomo patrzył na pomięty papier, a wyczerpanie sprawiało, że posadzka zdawała się falować pod jego stopami. Przesunął dłonią po czole, jakby chciał odgarnąć nie włosy, ale wszystkie niepokojące myśli. Wiedział, że musi wziąć prysznic i wrócić na komendę, by porozmawiać z Jaroszami. Jednak w tym momencie pragnął tego równie mocno, co wrywania zębów. Sapnął ze zmęczenia, w myślach rzucił zastłyszane gdzieś: „Spraw, żeby się chciało tak, jak mi się nie chce”, położył dłoń na wyszczerbionej poręczy i już miał ruszyć, gdy od strony wejścia do piwnic dobiegło go szuranie.

Wzdrygnął się, a kiedy odwrócił głowę, zobaczył wychudzoną kobietę o cienkich włosach i twarzy pokrytej rozdrapanymi strupami. Bez trudu rozpoznał w niej siostrę swojej żony. Jego usta wygięła niechęć.

Klara miała na sobie dżinsy i rozciągniętą bluzkę odsłaniającą jedno ramię, na którym widniał tatuaż. Malunek przedstawiał scenę kuszenia w raju. Ewa podawała Adamowi jabłko, a nad ich głowami wisiał wąż.

– Mówiłem ci, żebyś się trzymała z daleka – warknął Krzysztof przyciszonym głosem, by nie wzbudzić zainteresowania sąsiadów. – Po co tu przyszłaś?

Kobieta rozciągnęła usta w uśmiechu, który odsłonił zęby z czarnymi plamami próchnicy.

– Chciałam wrócić do domu. Przypomnieć sobie, jak to w ogóle jest mieć dom. Kiedyś tu mieszkałam, wiesz? Razem z rodzicami, gdy byliśmy jeszcze małe – mówiła lekko zachrypniętym głosem.

– Wybij to sobie z głowy.

Lipski doskoczył do niej, ale dziwny słodkawy zapach i plamy na ubraniu powstrzymały go przed wypchnięciem Klary z budynku. Kobieta zaśmiała się szyderczo.

– Nie gorączkuj się tak – uspokoiła go. – Pukałam już do niej i wiem, że mnie nie wpuści. Po prostu chciałam pobyc tu chwilę. – Powiodła wzrokiem po klatce schodowej, a jej rysy zmiękły, jakby patrzyła na obrazy sprzed lat.

– Po co tak naprawdę przyszłaś? Po pieniądze? Zabieraj się stąd, słyszysz? Przez ciebie moja żona zadała się z jakimś szemranym towarzystwem. Nie próbuj wikłać jej w to bagno, w którym sama siedzisz.

Klara zmarszczyła brwi ze zdziwienia.

– O czym ty, do cholery, mówisz?

– Jak to o czym? O telefonie. Kazałaś jej załatwić sobie numer na kartę z lewego obiegu.

Kobieta jeszcze szerzej otworzyła oczy.

– A po co miałabym ją o to prosić? Myślisz, że sama nie ogarnę takiej sprawy? Weź się prześpij, człowieku, bo wygadujesz bzdury.

Krzysztof zamrugął z konsternacją.

– To znaczy, że nie jesteście ze sobą w kontakcie?

– Jesteśmy. Dzwoni do mnie czasem, ale nie chce się spotykać. Zgadnij przez kogo?

– Przez ciebie, Klaro. Przez narkotyki, alfonsów i kłamstwa. Ja ją tylko przed tobą chronię.

Wściekłość wykrzywiła rysy kobiety. Podeszła tak blisko policjanta, że czuł jej kwaśny oddech.

– Taka z was rodzina, co? Chcieliście mnie, gdy wszystko było w porządku, ale kiedy wpadłam w kłopoty, zamiast pomóc, pozwoliliście mi utonąć w tym syfie. Nie pasowałam wam do idealnego obrazka. – Palcami nakreśliła w powietrzu znak cudzy-słowu. – Jak to było? Z rodziną najlepiej wychodzi się na zdjęciach? – Uderzyła dłonią w kulkę papieru, którą nadal trzymał w ręku. Zmięta kartka upadła na schody. – A ci Jaroszowie to myślisz, że lepsi są? Też ładnie wyglądają na fotkach, nie? Tyle że ojciec traktuje dziewczynę jak maskotkę, którą może się chwalić, a brat się nią brzydzi. To jest cała prawda o rodzinie. – Prychnęła ze złością i zaczęła schodzić do wyjścia.

Krzysztof zmrużył oczy, próbując zrozumieć, co miała na myśli.

– Zaczekaj! – zawołał. – Skąd masz te informacje o Jaroszach? To prawda?

– A zaprosisz mnie do domu na herbatę? – Czekwała na jego odpowiedź, a kiedy zaprzeczył, skwitowała: – To nie mamy o czym rozmawiać.

Drzwi zatrzasnęły się za nią z hukiem. Do środka wpadło świeże powietrze. Lipski westchnął ciężko i powtarzając w myślach słowa Klary, wszedł do mieszkania, gdzie czekała na niego żona. Ewa stała w korytarzu, gryząc naciągnięty na dłoń ściągacz sportowej bluzy. Jej twarz przepęłniał niepokój.

– Słyszałam waszą rozmowę – rzuciła, gdy zdejmował buty. – Sama chciałam ci o tym powiedzieć.

Mężczyzna kiwnął głową dla potwierdzenia, że wiadomość dotarła, a później minął żonę, jakby była powietrzem, i poszedł umyć ręce.

Kiedy stał nad umywalką, wsłuchując się w kojący szum wody, dopadło go dojmujące poczucie samotności, które wracało od tygodni. Westchnął ciężko, potarł zmęczone oczy, a po chwili usłyszał nieśmiałe pukanie.

– Wejź – zaprosił ją.

Ewa przysiadła na wannie. Widział, że zbiera się, by coś powiedzieć, ale nie zamierzał jej tego ułatwiać. Przeczesała palcami krótkie włosy, a potem z jej ust padły słowa, których się nie spodziewał.

– To ja cię szantażowałam.

Mydło wysunęło mu się z rąk.

– Kupiłam ten telefon, żeby dzwonić do Klary. Gdybym używała swojej komórki, prędzej czy później byś się o tym dowiedział – tłumaczyła Ewa, usilnie śledząc wzór na płytkach ściennych. – Nie chciałam też korzystać z zarejestrowanego na mnie numeru, by w razie kłopotów nasze nazwisko nie wypłynęło w jakiejś sprawie o narkotyki.

Krzysztof wytarł ręce, a następnie oparł biodro o pralkę i słuchał.

– Tamtej nocy, gdy wyszłam cię szukać, rozmawiałam krótko z siostrą – ciągnęła, ściskając rant wanny. – Kiedy skończyłyśmy, zobaczyłam ciebie i tę dziewczynę. Uśmiechałeś się do niej jak do



mnie na początku. Jak wtedy, gdy coś się dopiero zaczyna i czujesz się najszcześliwszym człowiekiem na świecie. – Uniosła smutno kąciki ust. – Chciałam krzyknąć, rzucić się na was, ale zrobiłam tylko zdjęcia, na wypadek gdybyś próbował się wyprzeć. – Przełknęła ślinę.

Słowa więzły mu w gardle, bo sam doskonale pamiętał to uczucie, które owładnęło go, gdy spotkał Alicję Jarosz.

– Bałam się ciebie o to zapytać – podjęła, patrząc mu w oczy. – Ale kiedy następnego dnia gruchnęła wieść o zaginięciu dziewczyny, zaczęłam myśleć, że możesz mieć z tym coś wspólnego. – Głos jej się łamał. – Założyłam, że jeśli przyznasz się Weronice Sowińskiej albo Jaroszom, to będzie dowód, że nie masz nic do ukrycia. Przepraszam – powiedziała, ocierając łzy.

Krzysztof usiadł obok żony i niezgrabnie objął jej ciało ramieniem. Wziął głęboki oddech, przymknął powieki, by odtworzyć tamten wieczór. Moment, gdy zauważył dziewczynę w krótkiej spódnicy i błękitnej kurtce. Wiatr tańczył z jej jasnymi włosami. Obcasy stuknęły o chodnik, a biodra kołysały się zalotnie. Trójka zagrała *Sound of Silence*, piosenkę, przy której zakochał się w Ewie. Uchylił szybę i chłonał nocne powietrze. Ten mariaż obrazów, dźwięków i zapachów sprawił, że przez chwilę poczuł się jak w młodości. Zdawało mu się, że zdołał pochwycić to, za czym tak bardzo tęsknił. Świadomość, że jeszcze wszystko przed nim. Zapomniał o żonie, pracy na komendzie, był Krzyśkiem sprzed lat, nieznanym lęku ani wstydu. Krew zaczęła szybciej płynąć w żyłach, uśmiech rozświetlił twarz. Jakby odzyskał życie, które zabrała rutyna.

Kiedy Alicja wsiadła do samochodu, żartował jak nigdy wcześniej. Śmiali się, dał jej swój numer telefonu, a ona przelotnie dotykała jego ramienia. Zapomniał, ile ma lat i o tym, że mógłby być jej ojcem. Tak bardzo chciał znów czuć w sobie to życie, co kiedyś, że w końcu

położył dłoń na jej udzie i zaczął ją całować. Zachłannie, jak gdyby robił to po raz pierwszy w życiu. Nastolatka go odepchnęła. Popatrzyła z odrazą i żalem, a potem wybiegła. Kiedy zniknęła za ogrodzeniem domu rodziców, Krzysztof otrzeźwiał. Wstyd palił go w gardle. Nagle zrozumiał, co zrobił. Uderzał pięściami w głowę, sycząc do siebie słowa nienawiści, a potem jeździł bez celu po mieście, zagłuszając wyrzuty sumienia muzyką z dawnych lat.

– Postąpiłaś słusznie – stwierdził, głaszcząc plecy Ewy. – Weronika powinna znać prawdę, a ja z własnej woli nigdy bym się jej nie przyznał.

Opowiedział żonie o tamtej nocy. O swoim poczuciu, że coś bezpowrotnie minęło, i bezradności wobec faktu, że czasu nie da się zatrzymać. Nie pamiętał, kiedy ostatnio tak się otworzył. Ze zdziwieniem przywitał ulgę, którą mu to przyniosło. Ewa słuchała go uważnie, a gdy skończył, objęła dłońmi zmęczoną twarz męża i złożyła na jego ustach pocałunek. Nie zauważył, kiedy zdążyła rozpiąć guziki jego koszuli, nie pamiętał też drogi do sypialni. We wspomnieniach zapisał jednak to ulotne poczucie szczęścia, gdy dotykał nagiej, drżącej skóry żony, a ona gładziła jego ramiona.

Wychodząc na komendę, już przy drzwiach, przytulił Ewę mocno do siebie.

– Kocham cię – szepnął jej do ucha, jakby wypowiedzenie tego głośno było na razie zbyt trudne.

Trwali w uścisku, kiedy przypomniało mu się, że aspirantka Sowińska znalazła sekretny numer jego żony na liście połączeń Alicji Jarosz.

– Z jakiego powodu dzwoniłaś tamtej nocy do Alicji?

– Długo nie wracałeś, nie mogłam się z tobą połączyć i chyba wpadłam w panikę. Cały czas wyobrażałam sobie, że ty i ona... – Z zakłopotaniem podrapała brew.

Krzysztof kiwnął głową ze zrozumieniem.

– A skąd w ogóle miałaś do niej kontakt?

– W zeszłym roku Ala i jej brat chodzili do mnie na angielski w szkole językowej. Mam ich numery w telefonie.

Lipski zganił się w myślach za to, że sam na to nie wpadł.

– Kiedy odebrała, milczałam. Zależało mi tylko na tym, by sprawdzić, czy z nią jesteś. – Przesunęła palcami po jego zaroście.

– Rozłączyłam się, gdy usłyszałam w tle głos jej brata.

Krzysztof napiął mięśnie.

– Kuby Jarosza? Zdążyłaś wychwycić, co mówił?

Ewa zastanowiła się przez moment.

– Chciał, żeby nie odbierała telefonu, gdy z nim rozmawia. Był zdenerwowany i podnosił głos. Rzucił coś w stylu: „Jesteś kompletnie pijana, jak ci nie wstyd?”.

Lipski drgnął, dał żonie buziaka w policzek i wybiegł z domu. Nie wiedział jeszcze wszystkiego, ale był bliżej rozwiązania niż kiedykolwiek wcześniej.

\*

Aspirant Sowińska wyjrzała przez okno na parking przed komendą w Sinicach, kurczowo ściskając w palcach długopis. Zmierzchało. Policjantka z nerwów zdążyła już ułamać plastikowy klips i doszczętnie obgryźć końcówkę pisaka. Przez dojmujące zmęczenie traciła nad sobą panowanie. Ręce się jej trzęsły i czuła, że jeśli zaraz nie porozmawia z Krzyśkiem, to z emocji wybuchnie.

Po zakończonych pracach w lesie przy Zawrociu wpadła na moment do domu, by wziąć prysznic i pospiesznie uściskać męża oraz córkę, a potem wróciła na komendę. Od kwadransa wydeptywała ścieżkę w wykładzinie, czekając, aż vectra Lipskiego

pojawi się w zasięgu wzroku. W dłoniach trzymała wydrukowane zdjęcia z domu Jaroszów, które przyprawiły ją o szybsze bicie serca.

Kiedy tylko Krzysztof z piskiem opon zaparkował pod budynkiem, wbiegł do środka i wpadł na Weronikę, czekającą w korytarzu.

– Musimy pogadać – powiedzieli oboje w tym samym momencie.

Lipski uśmiechnął się, ale jego pogodny wyraz twarzy szybko ustąpił miejsca nerwowemu spoglądaniu na zegarek.

– O której oni tu będą? – zapytał.

– Za jakieś dwadzieścia minut.

– W takim razie chodźmy, coś zaczyna mi się klarować.

Przeszli do pokoju, gdzie policjant zawiesił dżinsową kurtkę na krześle i podciągnął rękawy bluzki, a aspirantka podsunęła sobie krzesło do jego biurka, po czym położyła na blacie puste kartki oraz mazaki.

– Wiesz, że nie będziemy się bawić w kalambury? – zapytał, rzucając jej sceptyczne spojrzenie.

– To może chociaż w kółko i krzyżyk, panie komisarzu? – skomentowała złośliwie. – Lepiej mi się myśli, gdy notuję, przecież wiesz. Czy ja się czepiam, że chodzisz po pokoju, kiedy rozmawiamy o czymś ważnym?

Krzysztof uniósł ręce w geście kapitulacji, a następnie klasnął w dłonie i potarł jedną o drugą.

– Wszystko wskazuje na to, że Jaroszowie nas okłamali – zaczął, obchodząc biurko. – Alicja raczej nie zaginęła w niedzielę rano, ponieważ najpewniej już wtedy była martwa. Dlatego Jan znalazł zakrwawiony naszyjnik sobotniej nocy, a młody Klepacki nie zastał dziewczyny w domu następnego dnia. – Myślał głośno. – Problem w tym, że nie umiem wyjaśnić, dlaczego świadkowie nadal upierają się, iż widzieli ją w niedzielę przed dziesiątą.

Oczy Sowińskiej zabłyśły.

– Chyba wiem, w jaki sposób mogło do tego dojść. Pamiętasz, jak powiedziałeś, że dla osób postronnych z pięćdziesięciu metrów każda dziewczyna w niebieskiej kurtce, kapturze na głowie i dżinsach będzie wyglądać tak samo? A co, jeśli świadkowie nie patrzyli na Alicję, tylko na kogoś innego? Osobę, która wygląda bardzo podobnie – zasugerowała. – Sąsiedzi zeznawali, że szła wolno, zatrzymywała się, przyklękała, żeby zawiązać sznurówkę...

– Jakby chciała, by ją widziano – wpadł jej w słowo, przystając w swoim spacerze wokół biurka.

Oparł ręce na biodrach i z niedowierzaniem niemo potrząsał głową. Weronika położyła na blacie jedno ze zdjęć wydrukowanych z facebookowego profilu Alicji, na którym dziewczyna i druga kobieta w identycznych sukienkach pozowały na tle zachodu słońca. Lipski podniósł wydruk i zaklął.

– Na tej fotce wyglądają jak siostry – skomentował.

– Zgadza się. Ten sam wzrost, kolor włosów i podobna figura. Nie odróżniłbyś ich, gdyby obie założyły kurtki z kapturem.

Nagle do pokoju wpadła wiązka ostrego światła z parkingu. Raz i drugi. Aspirantka odruchowo zmrużyła oczy i zgmiotła w przestrachu kartkę trzymaną w palcach, pewna, że to Jaroszwie. Po chwili jednak okazało się, że to jeden z funkcjonariuszy zamrugął do nich długimi światłami na pożegnanie. Sowińska z westchnieniem ulgi opadła na biurko, a Krzysztof rozluźnił palce, które zacisnął na czerwonej piłeczce.

– Jezu, myślałem, że to oni – jęknął, po czym nabrał tchu. – Co w takim razie według ciebie wydarzyło się w sobotnią noc?

– Intuicja podpowiada mi, że po tym, jak odwiozłeś Alicję do domu, musiało tam dojść do jakiejś awantury. Może pokłóciła się z ojcem? Była pijana, a wtedy trudniej utrzymać język za zębami. On udzielił jej reprimendy, ona coś odszczeknęła. Skoro trzymał ją krótko, mógł

się wściec, gdy zobaczył, w jakim jest stanie. Może kategorycznie odmówiła powrotu na studia, a on wpadł w szal?

Lipski przestąpił niespokojnie z nogi na nogę.

– To prawdopodobne... Choć intryguje mnie też jej brat. Powiedział nam, że jego ostatnią rozmową z Alicją była ta przez telefon, do której doszło po pierwszej w nocy, gdy Ala była jeszcze w Euforii, ale to nieprawda. Wiem, że kiedy mój szantażysta dzwonił do dziewczyny, kłóciła się z Kubą.

Weronika wypuściła mazak z ręki.

– Skąd masz takie informacje?

Lipski, gniojąc w dłoniach piłeczkę antystresową, streścił policjantce swoją rozmowę z żoną, opowiedział również o spotkaniu z Klarą i słowach, które padły z jej ust. Aspirantkę tak pochłonęły nowe informacje, że nie poczuła wibrującej w kieszeni dzinsów komórki.

Na policzki Sowińskiej wypląnęły czerwone rumieńce.

– Pamiętasz, co Kuba Jarosz wykrzyczał Klepackiemu, gdy go bił? „To wszystko przez ciebie. Po cholere mi to wysłałeś?”. Może nie miał na myśli telefonu, który do niej wykonał, tylko to, co stało się w nocy? Może zdjęcie od Filipa wyprowadziło go z równowagi i uruchomiło lawinę? Sam widziałeś, z jaką furią okładał kolegę.

Krzysztof mruknął, jakby się nad tym zastanawiał.

– A co z matką? – zapytał.

Sowińska zaszleściła kartkami notesu.

– Kiedy byłam u nich pierwszy raz, Urszula powiedziała... – Zerknęła w notatki. – „Ja nie wiem, czy dam radę, to dla mnie za dużo”. Początkowo odebrałam to jako słowa matki, która nie radzi sobie z zaginięciem dziecka i niedawną śmiercią ojca, ale teraz myślę, że mogło jej chodzić o odgrywanie roli w tym dramacie.

– Boże, oni wszyscy w tym siedzą – podsumował Krzysztof, pocierając czoło lśniąco w świetle żarówki. Dreptał w tę i w tę, usiłując zrozumieć motyw rodziny zamordowanej. Nerwowo zerkał to na parking, to na zegar ścienny, jakby obawiał się, że nie zdążą dokończyć rozmowy przed przyjazdem gości.

W tym czasie Weronika gorączkowo przerzucała wydrukowane zdjęcia, które Filip Klepacki wykonał podczas swojej samowolnej przechadzki po domu Jarosów.

– Szukasz czegoś konkretnego? – zaintrygował się Lipski.

– Tego – oznajmiła, gdy jej wzrok spoczął na jednej z fotografii. – Spójrz, to może być motyw. – Podeszła do niego i rozedrganym palcem dotknęła punktu na zdjęciu.

Komisarz zbliżył je do oczu, ale niewiele widział, dlatego wygrzebał z szuflady lupę, a kiedy przyłożył ją do fotografii, ze świstem wciągnął powietrze. W tej samej chwili do pokoju wszedł funkcjonariusz, który wcześniej umożliwił im dostęp do komputera Jarosz, Hubert. Na jego twarzy malowała się irytacja.

– A po państwa hrabiostwa to trzeba jakąś specjalną delegację wysłać? Czemu nie odbieracie telefonów? – oburzał się. – Wasi goście przyjechali, czekają w holu już od kilku minut.

Krzysztof z Sowińską spojrzeli na siebie z niepokojem.

– Ja po nich pójde – oznajmił Lipski. – Zaprowadzę ich do oddzielnych pokojów, by mieli czas na przemyślenia. A ty biegnij do trójki i zabierz ze sobą te kalambury. – Wskazał zapiski na stole. – Zakładam, że na folii ogrodowej, w którą była zawinięta Alicja, nie znajdziemy żadnych odcisków palców, a stopień rozkładu ciała uniemożliwi określenie bezpośredniej przyczyny zgonu. – Dobitnie podkreślał każde słowo. – Dlatego jeśli się wyłożymy na tych rozmowach, nigdy nie poznamy prawdy o tym, jak umarła. Możemy

uzyskać te informacje wyłącznie w trakcie przesłuchania. Zdajesz sobie z tego sprawę?

Aspirantka skinęła twierdząco i znieruchomiła. Zmęczenie i świadomość presji, która na nich ciążyła, całkowicie ją obezwładniły. Stała tak, z opuszczonymi ramionami i wzrokiem zawieszonym w próżni, nie zauważając nawet, kiedy Krzysztof wyszedł. Szumiało jej w głowie, oczy piekły, a gardło wyschło.

– Wszystko w porządku? – zapytał Hubert, który nadal znajdował się w pokoju. – Wyglądasz, jakbyś miała zaraz zemdleć albo urodzić. Nie jesteś chyba znowu w ciąży, prawda?

Weronika parsknęła. Żart kolegi wyrwał ją z odrętwienia i przywrócił do rzeczywistości.

– Nie, Hubi, nie martw się – odparła, klepiąc go uspokajająco w ramię. – Ale mam do ciebie małą prośbę. Mógłbyś przejrzeć raz jeszcze maile, które Alicji Jarosz wysyłał jej brat Jakub, i sprawdzić linki dołączane do wiadomości od niego?

– Czego mam szukać?

– Drzwi, przez które do jej komputera mógł dostać się wirus przejmujący obraz z kamerki.

\*

Zawiasy drzwi jęknęły i do niewielkiego pokoju, który tonął w rażącym białym świetle jarzeniówki, Krzysztof Lipski wprowadził nastolatka w czarnej bluzie na suwak. Jego wzrok omiótł duże lustro na przeciwległej ścianie, a ciałem wstrząsnął ledwie zauważalny dreszcz. Chwycił tapicerowane oparcie krzesła, po czym odsunął je od stolika z płyty meblowej, przy którym czekała już Weronika Sowińska. Metalowa nóżka krzesła zazgrzytała o gres na podłodze, a brak okien wywołał wrażenie klaustrofobiczności.



– Coś się stało? Dlaczego nas rozdzielacie? – zapytał Kuba, rozglądając się niepewnie.

Szukał odpowiedzi w trupio szarych twarzach funkcjonariuszy, które wydawały mu się nieprzeniknione i zimne jak ten pokój.

– Musimy dopytać o kilka drobiazgów. Usiądź, za chwilę dowiesz się wszystkiego – poprosił komisarz, po czym, zamknąwszy drzwi, zajął miejsce obok policjantki.

Chłopak obrzucił spojrzeniem teczkę oraz notatniki, które przynieśli śledczy, i grzecznie położył dłonie na kolanach. Zegar wiszący na ścianie leniwie odmierzał czas. Krzysztof odchrząknął, a następnie zaczął przeglądać dokumenty, gdy jego towarzyszka zapisała datę i godzinę w prawym górnym rogu białej kartki. Licealista czuł się coraz bardziej zagubiony. Niespokojnie potarł dłońmi o dżinsy.

– Wyjaśnicie mi w końcu, o co chodzi? Czy to ma coś wspólnego z wczorajszym pożarem w Lipkach albo przeszukaniem posesji Wandy Malec? – rozpaczliwie chciał wiedzieć. – Kumpel mówił, że jego matka widziała tam radiowozy. Znaleźliście Alicję?

Komisarz Lipski ignorował pytania i milczał. Z doświadczenia wiedział, że to jedno z lepszych narzędzi skłaniających rozmówców do mówienia. Cisza ciążyła, a wypowiedanie słów niosło ulgę.

Policjant wyjął z teczkę plik kartek, uderzył nimi o blat, by tworzyły równy stos, który następnie położył przed sobą, i pstryknął długopisem. Brat dziewczyny spoglądał skołowany to na Weronikę, to na jej towarzysza.

– Jakubie – zaczął Lipski, gdy uznał, że wystarczy już tych tortur. – Chciałbym ustalić, czy twoja siostra mogła wychodzić z domu, kiedy byliście w kościele.

– Nie sądzę. Była wykończona po imprezie. Nie miała nawet siły wstać na śniadanie. Dlaczego pan o to pyta?

Aspirant Sowińska przysłuchiwała się tej wymianie z ciekawością i notowała każde słowo.

– Bo według świadka, który o ósmej pięćdziesiąt w niedzielę przebywał w jej pokoju, Alicji nie było wtedy w domu.

Młody Jarosz otworzył usta ze zdumienia i wyprostował się na krześle.

– To jakieś żarty?

– Bynajmniej. W noc poprzedzającą zaginięcie świadek ukradł klucz z torebki twojej siostry. Kiedy w niedzielę rano zobaczył was jadących do kościoła, postanowił skorzystać z okazji i wszedł do waszego domu.

Chłopak zamrugnął zaskoczony.

– O kim pan mówi?

– To teraz nieistotne. Ważne są fakty. A tak się składa, że mamy sporo zdjęć wykonanych w waszym domu w niedzielę dwudziestego czwartego lutego tuż przed dziewiątą, również w pokoju Alicji. Na żadnym z nich nie ma twojej siostry.

Kuba spojrzał na śledczych z konsternacją.

– Co to ma niby znaczyć? Może to ten człowiek coś jej zrobił? Jego powinniście przemaglować.

– Ale przecież widziałeś siostrę po powrocie z kościoła, więc nie mógł jej skrzywdzić – wtrąciła Weronika, po czym odczytała z notatek: – „Stała przy lodówce, piła kefir, jakby ją suszyło”.

– Mógł najpierw zrobić te zdjęcia, a później zacząć się na Alę gdzieś w okolicy.

– Tylko gdzie się podziewała, gdy przemierzał wasz dom i fotografował pomieszczenia? – kontynuował policjant.

Nastolatek westchnął.

– Nie mam pojęcia. Może w takim razie jednak gdzieś wyszła?

– Może...

Lipski zapisał coś tak drobnymi literami, że chłopak nie mógł tego odczytać. Zauważył jedynie, że funkcjonariusze wymienili spojrzenia.

– Pamiętasz, co dokładnie robiła twoja mama tamtej niedzieli po powrocie z kościoła? – zapytała Sowińska, nie dając licealiście czasu na złapanie oddechu. Światło jarzeniówki padało na jej twarz, podkreślając szarość zmęczonej skóry.

Kuba wzruszył ramionami.

– Pewnie szykowała obiad.

– A czy Urszula i Alicja pożyczały sobie ubrania?

Chłopak uniósł brew.

– Chyba tak, Jezu, nie wiem. Jakie to ma znaczenie?

– Wasi sąsiedzi mówili, że w drodze do kościoła Ala zatrzymała się przy ogrodzeniu jednego z domów, by zawiązać sznurówkę. Szkopuł w tym, że za siatką tej posesji biegały dwa wyjątkowo wredne kundle, a twoja siostra podobno bała się psów. Sam nam o tym powiedziałeś. – Aspirantka odchyliła się na oparcie krzesła, nie spuszczać z oka rozmówcy, który położył stopę na kolano drugiej nogi i zaczął nią poruszać. – Nie przystanęłaby w takim miejscu, a już na pewno nie drażniłaby się z nimi. A tak zeznał właściciel domu.

Stopa Jarosza znieruchomiła.

– Nie rozumiem, do czego pani zmierza?

Weronika nie odpowiedziała, ale wyjęła z teczki zdjęcie Alicji z matką, zrobione na tle zachodzącego słońca, na którym dwie bose kobiety stały tyłem do obiektywu, wpatrzone w spokojne, granatowe morze.

– Umiąłbyś wskazać siostrę?

Kuba nachylił się, po czym dotknął palcem postaci po lewej.

– To Ala. Poznają po bransoletce.

– Bo po niczym innym nie można, prawda? Z rozpuszczonymi włosami i w identycznych sukienkach wyglądają jak bliźniaczki.

– Bez przesady, może dla osób, które ich nie znają, ale ja i tata nie mielibyśmy kłopotu, by je rozróżnić.

– W to nie wątpię – skwitowała. Po jej twarzy przemknął ledwie zauważalny uśmiech, a nastolatek poprawił się na krześle, jakby nagle stało się wyjątkowo niewygodne.

Otworzył usta, chcąc coś powiedzieć, ale Sowińska zdążyła już wyciągnąć z papierowej teczki spis połączeń wykonanych na telefon Alicji feralnej nocy i z kamiennym wyrazem twarzy przesunęła go w stronę rozmówcy. Krzysztof Lipski, który czujnie rejestrował każde słowo przesłuchiwanego, zaplótł ramiona na piersi i z fascynacją obserwował zmieniające się rysy chłopaka.

– Zgodnie z zeznaniami świadka, który zadzwonił do twojej siostry w noc poprzedzającą zaginięcie, dokładnie o drugiej trzydzieści osiem – policjantka zaszeleściła kartkami i wskazała końcówką długopisu pozycję w billingu – w tym czasie kłóciliście się z Alicją, a ty powiedziałeś... – zerknęła na otwarty notes z odręcznym zapiskiem – „Jesteś kompletnie pijana, jak ci nie wstyd”. To prawda?

– Nie – zaprotestował gwałtownie. – Nic takiego się nie wydarzyło.

– Chcesz powiedzieć, że tamtej nocy nie doszło między wami do sprzeczki?

Zaprzeczył ruchem głowy.

– Starliśmy się przez telefon, jeszcze gdy była w klubie, tak jak mówiłem wcześniej. Po jej powrocie do domu nie zamieniliśmy ze sobą nawet słowa.

– To do kogo należał drugi, męski głos zarejestrowany przez świadka?

Aspirantka czuła, że jej palce z nerwów stały się wilgotne, przez co jeszcze mocniej objęła nimi długopis, w obawie, iż lada chwila

wypuści go z rąk. Chłopak przeniósł wzrok na okalającą prawy nadgarstek bransoletkę z grupą krwi i bawiąc się jej zapięciem, zasugerował:

– Może do ojca?

– Może? Przecież śpisz w pokoju obok. Słyszałeś, jak wróciła i trzasnęła drzwiami, a nie dotarły do ciebie odgłosy awantury zza ściany? Ani brzęk tłuczonego szkła?

Palce nastolatka przerwały zabawę bransoletką.

– Jakiego znowu szkła? – zapytał, mrużąc oczy w wyrazie zagubienia.

– Szklanki z wodą, którą Ala trzymała na nocnej szafce – oznajmiła Weronika. – W trakcie szarpaniny musiała upaść i rozbić się na kawałki. Dlatego pod łóżkiem znaleźliśmy odprysk i resztki wody, która już prawie zdążyła wyparować.

Chłopak parsknął.

– To absolutne bzdury.

– Ale co jest bzdurą? Że Alicja wróciła do domu kompletnie pijana czy że powinna się tego wstydzić? – wtrącił Lipski, który nie mógł już wytrzymać z emocji i od kilku minut kompulsywnie drapał wnętrza dłoni. – Tak się składa, że obaj widzieliśmy zdjęcie z Euforii, na którym obcy facet wkładał twojej siostrze ręce w majtki. Nie uważasz, że to ohydne?

Kuba zacisnął szczęki, a skóra na jego policzkach się napięła. Siedział rozparty na krześle, z kciukami założonymi za kieszenie dżinsów i szeroko rozstawionymi nogami, usiłując pozować na rozluźnionego, ale żyły pulsujące na jego skroniach zdradzały, że jest bliski wybuchu.

Aspirantka Sowińska zauważyła, że na jej telefon przyszła wiadomość SMS. Odczytała ją pospiesznie pod stolikiem, po czym zapisała coś w brulionie i dyskretnie pokazała notatkę Krzysztofowi.

– Sądzę, że to obrzydliwe – odparł w końcu chłopak. W jego głosie pobrzmiwała pogarda. – Zresztą nie tylko ja, rodzice myślą podobnie. Mówiliśmy jej o tym wielokrotnie. Alicja powinna się bardziej kontrolować.

– Prawda? A nie pozwalać, by obcy faceci obmacywali ją w miejscach publicznych. – Komisarz nie przestawał prowokować. – Wiedziałaś, że kupowała sporo bielizny erotycznej? Najbardziej lubiła tę wyjątkowo wyuzdaną. Zamówiła sporo body stocking, to takie body połączone z rajstopami z otworem... domyślasz się zapewne gdzie. – Uśmiechnął się znacząco. – Wygląda na to, że kręcił ją ostry seks. Ciekawe, czy robiła to tylko dla przyjemności, czy może jeszcze z innych powodów?

Nozdrza Jarosza pulsowały. Zacisnął dłonie w pięści, a jego knykcie zbladły. Zatrzymał wzrok na lustrze weneckim, jakby usiłował dojrzeć osobę po drugiej stronie. Weronika nabrała tchu i odchrząknęła, ale policjant ruchem dłoni powstrzymał ją przed zadaniem kolejnego pytania. Czekali. Z łokciami opartymi o blat biurka zawiśli spojrzeniami na twarzy rozmówcy.

Upływające sekundy przypominały godziny, a stukot oddalających się korytarzem kroków zdawał się wyjątkowo donośny.

– Nie ma pan prawa mówić w ten sposób o mojej siostrze – rzucił ze złością Kuba.

Obserwując rosnące rozedrganie przesłuchiwanego, Krzysztof uznał, że zmierzają w dobrym kierunku. Delikatnie dotknął przedramienia Sowińskiej, dając jej znać, by kontynuowała.

– „Kara jest także rodzajem lekarstwa” – przeczytała aspirantka. Był to cytat, który wisiał nad biurkiem w pokoju nastolatka. Błękitne oczy chłopaka na dźwięk tych słów otworzyły się szeroko. – Co o tym myślisz?

Licealista przełknął ślinę.

– Nie wiem, może czasem tak jest.

– A w przypadku Alicji? Uważasz, że zasługiwała na karę za to, jak się prowadziła?

– Jest dorosła, może robić, co chce.

Lipski prychnął.

– Serio? Przecież chwilę temu powiedziałeś, że to obrzydliwe – przypomniał. – Wyjaśnij mi więc, dlaczego wściekłeś się tak bardzo, kiedy Klepacki wysłał ci jej zdjęcie z dyskoteki? Prawie skatowałeś tego biednego chłopaka. A przecież to jej życie i może robić, co chce...

Jakub odwrócił twarz do ściany.

– Bo było mi wstyd – powiedział przez zęby. – Zachowywała się jak dziwka. I to już nie tylko w Warszawie, ale tu, na oczach wszystkich. Jakby nie miała do siebie za grosz szacunku. Jak jakaś suka w rui. Upokarzała całą naszą rodzinę. Ani ja, ani rodzice nie mogliśmy dłużej na to patrzeć.

– To jej powiedziałeś tamtej nocy?

– Wykrzyczałem jej, że budzi we mnie wstręt. Kazałem się opamiętać, bo nie tak wychowali nas rodzice.

Krzysztof poczuł, że jego serce zaczyna bić coraz szybciej.

– To dlatego musiała zniknąć? – zapytał. – Bo psuła idealny wizerunek rodziny Jaroszów i nie pozwoliła się dłużej kontrolować?

– Co takiego?

– Pytam, czy pozbyliście się jej, bo niszczyła waszą reputację. Zaszkodziła nieskalanej opinii o Jaroszach.

Chłopak zamrugął.

– Nikt się jej nie pozbył – fuknął i zaczął rozglądać się wokół. – Ile to jeszcze potrwa? Jestem już zmęczony.

W pokoju zrobiło się duszno. Kuba rozpiął mocniej bluzę, odsłaniając biały T-shirt. W ciszy każdy dźwięk brzmiał jak hałas.

Krzesło pod bratem Alicji skrzypnęło.

– Zastanawiam się, który z was to zrobił. Bo raczej nie podejrzewałbym Urszuli, jest zbyt roztrzęsiona – powiedział Krzysztof.

Nastolatek gwałtownie podniósł głowę.

– O czym, do licha, pan bredzi?

Komisarz położył na stole fotografię Alicji. Tę, która widniała na wszystkich plakatach w mieście. Aspirant Sowińska zastygła, dostrzegając błysk w oku partnera.

– Ładna dziewczyna. Pełne usta, brązowe oczy. Lubieś sobie na nią popatrzeć?

– Słucham? – Chłopak ze zdziwieniem cofnął tułów.

– Zainstalowałeś w jej komputerze wirusa i podglądałeś ją przez kamerkę.

– To jakieś szaleństwo. Po co miałbym to robić?

– Bo lubieś ją obserwować. Może początkowo z troski, a później, gdy zobaczyłeś, jak wygląda w tej bieliźnie... Krew nie woda, jak to mówią.

Jarosz parsknął, jakby to wszystko było dobrym żartem, ale jego kolano zaczęło niespokojnie podrygiwać.

– Kompletnie panu odbiło. To moja siostra. Skończmy już tę błazenadę.

Lipski uśmiechnął się i pojednawczo unióśł dłonie, ale chwilę później wyprowadził kolejny cios.

– Kręciło cię to, prawda?

– Że co?

– Przecież wiesz, o czym mówię.

– Jak pan może?! To chore.

Policjant zauważył, że podbródek chłopaka zaczyna drżeć, i postanowił trzymać się obranego kursu. Splótł ze sobą palce, oparł



ręce o blat, po czym spojrzał głęboko w oczy licealisty.

– Ona też tak uważała? Może dlatego ją zabiłeś? Bo dowiedziała się, że masz na jej punkcie obsesję? Że podniecasz się, kiedy patrzysz na nią przez kamerkę?

Nastolatek zacisnął palce na udach.

– To obrzydliwe. Proszę natychmiast przestać!

Komisarz wstał zza biurka, podszedł do Kuby i nachylając się nad jego uchem, wyszeptał:

– Wiesz co? Myślę, że ty wcale nie martwiłeś się o jej dobre imię, tylko byłeś zazdrosny, bo robiła to z innymi, a nie z tobą.

– Dość! – krzyknął Jakub, na jego czole zaśniły krople potu. – Alicja jest moją siostrą, słyszy pan?!

– No tak, a to strasznie komplikuje sprawę. – Krzysztof cmoknął i rozłożył ręce w geście bezradności, spacerując wokół nastolatka. – Błagała o litość, zanim zginęła?

Jarosz zgrzytnął zębami, a Weronika, przycupnięta na krawędzi krzesła, obserwowała rozmowę z rosnącym niepokojem, gotowa w każdej chwili ją przerwać. Chłopak oddychał coraz szybciej. Jego nogi trzęsły się już tak, że nie potrafił opanować dygotu.

– Nie powiem niczego więcej bez adwokata – odparł, a następnie splótł ramiona na piersi i wbił w policjanta wrogie spojrzenie.

– Co się stało tamtej nocy? Sprzeciwiła ci się? Powiedziała, że będzie się puszczać, z kim zechce, a ty nie wytrzymałeś?

Brat Alicji milczał, ale Lipski nie zamierzał ustąpić.

– To musiało być miłe, wreszcie poczuć nad nią pełną kontrolę. Patrzyłeś jej w oczy, gdy umierała?

Sowińska drgnęła niespokojnie.

– Krzysztof – upomniała go, ale pogrążony w transie komisarz nie zareagował.

Drepcząc po pokoju, pocierał o siebie dłonie. Jego policzki nabiegły krwią, a oczy błyszczały. Nagle przystanął, jakby pochwycił coś nowego, i stwierdził:

– Znienawdziłeś Alicję, bo to przez nią zaczęłeś się brzydzić sobą. Nie chciałeś, by cię podniecała. Nie tak was rodzice wychowali, prawda? To wynaturzone i wstrętne. Z jednej strony usiłowałeś ją poskramiać, a z drugiej nie mogłeś się jej oprzeć.

– Skończyliśmy – syknął Jarosz i poderwał się z krzesła, ale Lipski powstrzymał go, kładąc dłoń na ramieniu nastolatka.

– Zabiłeś ją, by przestać czuć tę pogardę, czyż nie? Do niej i do siebie.

– Nikogo nie zabiłem! – upierał się chłopak, a jego klatka piersiowa unosiła się rytmicznie.

Na jego policzkach płonęły szkarłatne rumieńce. Powietrze sprawiało wrażenie naelektryzowanego. Weronika w napięciu czekała na kolejny ruch Krzysztofa, a on ponownie sięgnął po zdjęcie leżące na blacie.

– To przez nią się taki stałeś. – Z wściekłością uderzył palcami o fotografię. – Brudny i odrażający. To wszystko jej wina. – Z premedytacją dźgał oblicze Alicji Jarosz palcem. – Przecież chciałeś tylko, żeby przestała. Wystarczyło posłuchać. Ale ona musiała postawić na swoim. Tak było?

Brat dziewczyny odwrócił wzrok, a aspirantka z nerwów przygryzła paznokieć kciuka.

– Powiedz szczerze. Sprawilo ci to przyjemność, prawda? Wtedy, gdy w końcu ją uciszyłeś.

Pokój wypełniał chrapliwy oddech Kuby.

– W jednej chwili twoje udreki się skończyły. Odzyskałeś nad sobą kontrolę. – Lipski nie ustawał, a potem raz jeszcze zbliżył się do

chłopaka, który przypominał napięty do granic wytrzymałości balonik.  
– Musiałeś poczuć ulgę, gdy umarła.

Jarosz zamknął oczy, jego zaciśnięte powieki drżały. Wszystko wokół zastygło jak na stopklatce.

– Tak – wyszeptał w końcu.

W pokoju przesłuchań zapadła głęboka cisza, którą po chwili wypełnił szloch. Nastolatek oparł łokcie o kolana i zwiesił głowę. Z jego twarzy na szary gres skapywały łzy. Weronika nabrała tchu i z uznaniem kiwnęła głową Krzysztofowi.

Lipski oparł się plecami o drzwi. Kręciło mu się w głowie, nogi się trzęsły, a pot spływał po plecach, sprawiając, że bawełniana bluzka z długim rękawem przywierała do skóry.

– Jak to zrobiłeś? – zapytała miękko Sowińska, gdy smutek nastolatka wybrzmiał.

– Udusiłem ją poduszką – odparł wyzutym z emocji głosem.

Słowa ciężkie jak kamienie upadły między nimi. Przez chwilę nikt się nie poruszał. Można było pomyśleć, że świat stanął, a może nawet się skończył.

Jakub przypomniał sobie, że wtedy wyglądało to podobnie. Po tamtym również wszystko się zatrzymało. Niespodziewanie wrócił do niego odgłos dudnienia kroków, gdy zbiegał po schodach, by powiedzieć rodzicom o tym, co się wydarzyło. Znów poczuł tamten chłód, obejmujący go od stóp aż po czubek głowy. Nigdy nie zapomni spojrzenia ojca, który patrzył tak, jakby już wszystko wiedział i rozumiał. Nie było w nim gniewu, lecz jedynie akceptacja. Łagodna zgoda na los, który już i tak był ich udziałem. Objął syna silnym ramieniem. Co powiedział tamtej nocy? Że tak się musiało stać? Że Alicja nie chciała się zmienić, mimo iż wszyscy ją błagali? Że sama jest sobie winna i że nie można było inaczej?

We wspomnieniu zobaczył własną drżącą dłoń, w której trzymał telefon ze zdjęciem siostry z dyskoteki. Z jego ust wylały się kanciaste słowa, a potem złość, gęsta jak lawa. Matka początkowo trwała nieruchomo, mnąc w palcach rąbek śnieżnobiałej poszewki. Wahala się, a on nie wiedział, czy stanie w obronie córki, która budziła w niej odrazę i ośmieszała rodzinę, czy opowie się za synem, który skończył ten wstyd. Dopiero po chwili matka podniosła się i zaczęła głaskać zapłakaną twarz nastolatka, powtarzając, że teraz muszą trzymać się razem, że trzeba chronić rodzinę. Jej „Nie bój się, synuś” wciąż pobrzmiwało mu w uszach. Wypowiadane tak gorliwe, jakby to sobie, nie jemu, dodawała otuchy.

Nadal potrafił poczuć dotyk ciepłych, rozedrganych dłoni na policzkach i przywołać strach wyraźny w jej oczach.

Strach, który teraz podkradał się także do niego.

\*

Daniel Weber czekał w sinickiej naleśnikarni, podrywając się za każdym razem, gdy w restauracji rozbrzmiewał odgłos dzwonka, zwiastujący przybycie nowego klienta. Człowiek, z którym miał przeprowadzić rozmowę do kolejnego wydania „Newsweeka”, pojawił się punktualnie o dziewiętnastej i poprosił kelnerkę o herbatę z cytryną. Kiedy zajął miejsce obok dziennikarza, rozciągnął usta w niepewnym uśmiechu, jakby dopiero uczył się to robić.

– To jak powinienem się do ciebie zwracać? – zapytał Daniel.

– Wystarczy Jan albo Janek. Polubiłem to imię. Tamten chłopak, którym kiedyś byłem, umarł, gdy straciłem pamięć.

Za ich plecami pojawiła się kelnerka z zamówieniem, lecz zanim zdążyła postawić parujący napar na stole, jedna z łyżeczek zsunęła

się ze spodka i z łoskotem upadła na podłogę. Jan na ułamek sekundy zastygł, a krew odpłynęła z jego twarzy.

– Wszystko w porządku, to tylko łyżeczka – uspokoił go Weber, podnosząc sztuciec z podłogi.

Mężczyzna otarł zroszone czoło i z zakłopotaniem podrapał szyję za kołnierzykiem zielonej koszulki.

– Przepraszam, przez tyle lat żyłem w strachu, że trudno mi funkcjonować inaczej.

– Nauczysz się. Daj sobie czas. – Dziennikarz wspierająco położył mu dłoń na ramieniu. – Jesteś pewien, że chcesz opowiedzieć o tym, co cię spotkało?

Jan skinął głową.

– Może gdzieś tam jest ktoś, kto tego potrzebuje – powiedział, wsypując cukier do herbaty.

– Kto zgubił się we mgle i szuka drogi do domu – zasugerował reporter.

Zamyśleni upili po łyku napoju. Daniel wyjął z torby dyktafon i położył go na stole obok odzyskanej komórki. Policjanci natrafili na jego telefon podczas przeszukania domu Wandy. Leżał na dnie jednej z szuflad, schowany pod stosem papierów.

– Czujesz ulgę? Teraz, gdy pamiętasz już wszystko? – zapytał Jana.

Mężczyzna zaprzeczył. Jego naznaczone drobnymi ranami dłonie ciasno obejmowały ciepły kubek.

– Gdybym mógł wybrać, wolałbym nigdy nie odzyskać wspomnień. Czasem po prostu lepiej jest nie wiedzieć. Możesz wtedy tworzyć różne scenariusze swojego życia. Ubarwiać je, idealizować. A gdy już poznasz prawdę, nie ma przed nią ucieczki. Musisz spoglądać jej w oczy każdego dnia. I decydować, czy pozwolisz, by cię zniszczyła, czy wykorzystasz ją, by stać się mocniejszym.

Dziennikarz instynktownie dotknął złotej obrączki na palcu. Poruszył się niespokojnie na siedzisku, chcąc odpędzić niewygodne obrazy, które wróciły, by go dręczyć.

– Słyszałem, że twoja matka przyznała się do wszystkiego – powiedział, chcąc zmienić temat.

– Nie miała wyboru. Podejrzewam, że liczyła na łagodniejszy wyrok, jeśli pójdzie na współpracę, ale jak tak patrzę na to, co policja znalazła w jej ogródku, posiedzi w więzieniu do końca swoich dni.

– Odwiedzisz ją kiedyś?

Jan wzruszył ramionami.

– Może – odparł wymijająco. – Podobno powiedziała adwokatowi, że niczego nie żałuje, jak Edith Piaf.

– Jeszcze, ale wkrótce zacznie i wtedy będzie śpiewać jak Beatlesi. „Help, I need somebody”. – Weber przywołał fragment znanego utworu.

Zaśmiali się, a po chwili przestrzeń między nimi znów wypełniła napięta cisza. Daniel potarł o siebie dłonie i nabrał tchu.

– Zanim zaczniemy, chcę cię o coś zapytać. – Przełknął nerwowo ślinę. – To mi nie daje spokoju, dlatego muszę się dowiedzieć, bo inaczej zwariuję.

Jan domyślał się, co gnębi reportera. Właściwie spodziewał się, że w którymś momencie ich spotkania poruszą ten wątek, a on będzie musiał zdecydować, jakiej odpowiedzi udzieli. Gestem dał Weberowi znać, by kontynuował.

– Czy dwa lata temu byłeś świadkiem wypadku pod Hajnówką, w którym zginęły moja żona i córka?

– Tak.

Dziennikarz wypuścił nagromadzone powietrze z płuc.

– Remontowaliśmy wtedy dom niedaleko tamtego miejsca – ciągnął Jan, starannie dobierając słowa. – W nocy długo nie mogłem

zasnąć. Myślałem o matce i tym, że umarła przeze mnie. Przewracałem się niespokojnie z boku na bok, aż w końcu postanowiłem przejść się na spacer do pobliskiego lasu. Miałem nadzieję, że jeśli się zmęcę, to wreszcie zasnę z wyczerpania.

Jan uśmiechnął się blado, a Daniel wbił wzrok w blizny na przedramieniu. Czy naprawdę chciał wiedzieć? Żołądek mu się ścisnął, gardło wyschło, a po twarzy przebiegł cień lęku. A co, jeśli prawda nie przyniesie odkupienia? Jeżeli za kotarą niepamięci czeka tylko ból i jeszcze większe poczucie winy?

– Nie jestem pewien, ile widziałeś, ale zanim uderzyłem w drzewo, przysnąłem za kierownicą – zaczął mówić z nieobecnyim wzrokiem.  
– Kiedy otworzyłem oczy, zobaczyłem przed sobą ostre, oślepiające światła i pędzącą w moim kierunku białą plamę. To były ułamki sekund. Szarpnąłem kierownicą mocno w prawo, by ominąć to, co uznałem za samochód, i wtedy doszło do wypadku. – Drżącą ręką podniósł kubek do ust, ale nie zdołał się napić i na powrót odstawił naczynie. Kilka kropli herbaty spłynęło po ściankach i zostawiło ślady na stole. – Cholera jasna – rzucił, pociągając nosem. Wszystko w nim drżało. – Policja powiedziała mi, że nikt w okolicy nie widział białego samochodu i że najpewniej nigdy go tam nie było. Że musiałem go sobie wyobrazić albo mi się przyśnił. Czy mógłbyś... – Głos uwiązł mu w gardle. Otarł czerwoną twarz chusteczką i powiedział: – Jesteś jedyną osobą, która może znać prawdę.

Jan poczuł, jakby dziennikarz położył na jego rękach swoje życie i pozwolił mu o nim zadecydować. Oblała go fala gorąca. Zwilżył językiem spierzchnięte wargi i nerwowo zamrugał.

– Pamiętam, że kiedy szedłem przez las, usłyszałem rżenie starego silnika. Odwróciłem głowę w stronę, z której dochodził dźwięk, i zobaczyłem światło, a potem zza drzew wypadła biała, rozpędzona półciężarówka – powiedział, rejestrując, jak Weber

oddycha z ulgą. – Niedługo później rozległ się huk. Usłyszałem czyjś krzyk i z oddali dostrzegłem płomienie. Gdy tam dobiegłem, zobaczyłem samochód roztrzaskany na drzewie i mężczyznę, który desperacko próbował wyciągnąć kogoś z płonącego auta.

Dziennikarz ścisnął ze sobą dłonie.

– Chciałem... – przełknął żal. – Usiłowałem ocalić moją żonę. Ale... – Urwał, nie będąc w stanie wykrztusić z siebie ani słowa więcej.

– Wiem, wtedy nastąpił wybuch – dopowiedział Jan. – Podszedłem tam, by ci pomóc, ale było już za późno. Nie mogłem już nic więcej zrobić.

Jan ze smutkiem spuścił wzrok, lecz Daniel patrzył na niego z wdzięcznością. Na twarzy dziennikarza malowało się poczucie ulgi, a po policzkach cicho spływały łzy.

– Nie masz pojęcia, jak bardzo potrzebowałem to usłyszeć. – Otarł oczy, z niedowierzaniem potrząsając głową. Świadomość, że nie wymyślił sobie tamtej ciężarówki, przyniosła mu wytchnienie. – Dziękuję.

Mężczyzna uśmiechnął się, czując, że postąpił słusznie. Mógł oczywiście powiedzieć prawdę, ale czasami prawda nic już nie zmieni. Nie cofnie czasu i nie zaleczy ran. Niekiedy bardziej od prawdy potrzebna jest nadzieja. Bo kiedy trzyma się w rękach ludzkie życie i można je uratować albo zniszczyć, wybór jest oczywisty.





## Postowie

Jest rok dwa tysiące drugi, marzec, za oknem ciemno. Do Fundacji Itaka, która działa od trzech lat, dzwoni mężczyzna. Ma przyjemny głos i mówi, że dostał ten numer od szefa. Nie wie, kim jest. Pamięta tylko tory, obok których się ocknął, i to, że z głowy ciekła mu krew. Nie potrafi powiedzieć, kiedy to się stało, czy była wiosna, czy zima ani co wydarzyło się wcześniej. Na Dworcu Centralnym w Warszawie spojrzął w lustro i nie poznał człowieka w odbiciu. Tułał się, sypiał w lesie, a pewnego dnia zaczepili go górale, którzy zaoferowali mężczyźnie pracę na budowie. Wkrótce jeden z szefów wręczył mu numer do Itaki.

Fundacja rejestruje go jako osobę o nieustalonej tożsamości. Szybko okazuje się, że nie widnieje on w bazie przestępców ani w wykazie zaginionych. Bierze udział w programie *Ktokolwiek widział, ktokolwiek wie*, pisze o nim ogólnopolska prasa, ale mimo to nikt nie jest w stanie go rozpoznać.

Minęło dwadzieścia lat i wciąż nie udało się ustalić jego personaliów. Nie odzyskał też pamięci. Sąd nadał mu pesel oraz nowe imię i nazwisko – Jan Wojciech Man.

Ten przypadek fascynował mnie od dawna. Nie mieściło mi się w głowie, że w niemal czterdziestomilionowym kraju nikt nie jest w stanie zidentyfikować człowieka. Przecież musiał mieć jakichś

sąsiadów, kupować pieczywo, być może wychodzić do pracy albo jeździć autobusem. Myśl o człowieku bez tożsamości nie dawała mi spokoju. Pewnego dnia, gdy jechałam na rodzinne Podlasie i zobaczyłam gęstą mgłę unoszącą się nad łąkami, zrozumiałam, że muszę napisać o kimś takim jak Jan Man. Nagle oczyma wyobraźni ujrzałam ludzi wychodzących z mgły. Pozwoliłam im się prowadzić i z ciekawością słuchałam tego, co mieli mi do przekazania.

Ta książka nie powstałaby, gdyby nie szereg wspaniałych osób, które zgodziły się podzielić ze mną swoją wiedzą. Z całego serca dziękuję J., doktor nauk prawnych i kryminalistyk, która wspiera mnie jak mało kto od pierwszej książki. Wyrazy wdzięczności kieruję do Pani Anny Jurkiewicz, prezes zarządu Fundacji Itaka, która udzieliła mi informacji na temat działań wobec osób o nieustalonej tożsamości. Kłaniam się Pani Iwonie Grobel, psychiatrze, dziękując za rozmowy na temat amnezji organicznej i psychogennej oraz za przedstawienie mi całego wachlarza niezwykle ciekawych przypadków amnezji oraz metod pracy z osobami, które jej doświadczyły. Uśmiecham się serdecznie do Marcina Szewczaka z Grupy Poszukiwawczo-Ratunkowej OSP Wałbrzych, z wdzięcznością za ogrom informacji na temat poszukiwań zaginionych.

Dziękuję także policjantom, Pani Annie Zarembie, aspirant sztabowej Komendy Powiatowej Policji w Wysokiem Mazowieckiem, Pani Ilonie, funkcjonariuszce z Krakowa, st. sierż. Iwonie Szodzie, „Policjantce ulicy”, oraz Michałowi, technikowi kryminalistyki.

W podziękowaniach nie mogę pominąć neurolog Agaty Rauszer-Szopy, dr Ewy Wach, biegłej psycholog Instytutu Ekspertyz Sądowych w Krakowie oraz biegłej sądowej Polskiego Towarzystwa Psychologicznego, a także dziennikarki Angeliki Całko, Julii Teszner

– pielęgniarki i autorki profilu na IG @dyzur.z.książka – czy Janka Światały, ratownika medycznego, autora książki *Polski SOR*.

Osób, które wspierały mnie przy powstawaniu tej książki, była naprawdę cała armia. Z góry przepraszam Was, drodzy konsultanci, jeżeli dokonałam zbyt daleko idących uproszczeń bądź nie w pełni zrozumiałam to, co cierpliwie chcieliście mi przekazać. A Państwa proszę o wyrozumiałość – co złego, to nie oni. Wszak fikcja literacka rządzi się swoimi prawami.

Wyrazy wdzięczności kieruję również do ekipy Czwartej Strony Kryminału, za towarzyszenie mi w tej pięknej drodze, a także do dwóch niezwykłych kobiet: pisarki i przyjaciółki Joanny Łopusińskiej za celne uwagi oraz do redaktorki Karoliny Borowiec-Pieniak, która ratuje mnie przed obłędem i rozśmiesza do łez.

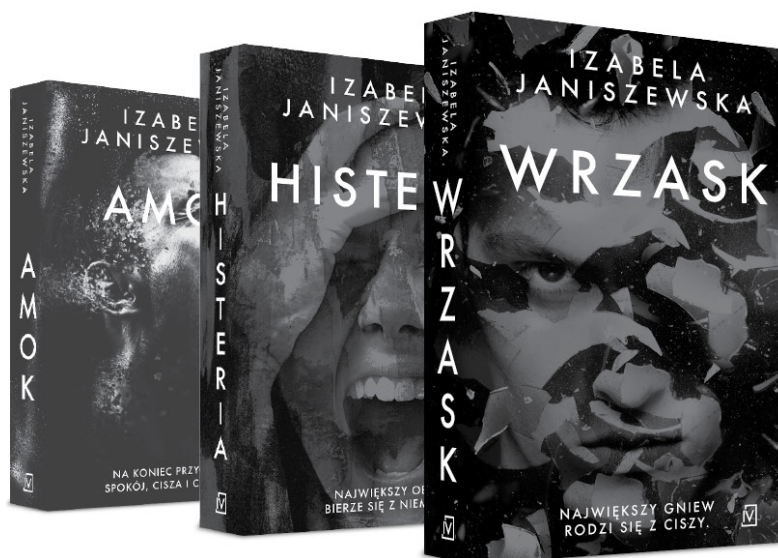
Kłaniam się również Wam, moi Czytelnicy. Dziękuję, że jesteście.

Do przeczytania!

Izabela Janiszewska  
Warszawa, grudzień 2022 roku



**TRYLOGIA KRYMINALNA,  
KTÓRĄ POKOCHAŁY  
TYSIĄCE CZYTELNIKÓW**





# MAM KRYMINALNY CHARAKTER

Jeśli masz go i ty, koniecznie sięgnij po nasze kryminały i thrillery.



[www.wydajenamsie.pl](http://www.wydajenamsie.pl)





## Spis treści

[Dwa miesiące wcześniej](#)

[Maj 2000 roku](#)

[Teraz](#)

[Wrzesień 2001 roku](#)

[Dwa miesiące wcześniej](#)

[Kwiecień 2003 roku](#)

[Teraz](#)

[Luty 2004 roku](#)

[Dwa miesiące wcześniej](#)

[Czerwiec 2005 roku](#)

[Teraz](#)

[Październik 2007 roku](#)

[Teraz](#)

[Marzec 2008 roku](#)

[Teraz](#)

[Sierpień 2009 roku](#)

[Teraz](#)

[Marzec 2010 roku](#)

[Teraz](#)

[Wrzesień 2011 roku](#)

[Teraz](#)

[Wrzesień 2011 roku](#)

[Teraz](#)

[Teraz](#)

[Listopad 2011 roku](#)

[Teraz](#)

[Wrzesień 2012 roku](#)

[Marzec 2014 roku](#)

[Teraz](#)

[Luty 2019 roku](#)

[Teraz](#)

[Luty 2019 roku](#)

[Teraz](#)

[Luty 2019 roku](#)

[Teraz](#)

[Luty 2019 roku](#)

[Teraz](#)

[Postłowie](#)

[Polecamy.](#)